

Iris Johansen

NIEWINNA



Prolog

*Promontory Point, Utah
25 listopada 1869 roku*

Zaczekaj!

Dobry Boże, nie słyszał jej. Szedł w stronę pociągu, długimi krokami przemierzając drewniany peron. Za chwilę już go nie dogoni.

Przerażenie wstrząsnęło ciałem Jane Barnaby. Zaczęła biec, a jej perkalowa, wypłowiała spódnica wydymała się za nią jak balon. Przez dziury w podeszwach butów ostre kawałki lodu kaleczyły jej stopy. Nie zwracając uwagi na ból, przedzierała się przez zamrożone błoto pociętej koleinami ulicy w stronę peronu oddalonego o sto jardów.

- Proszę! Nie jedź!

W szarudze świtu sylwetka Patricka Reilly'ego była tylko zamazaną plamą, ale musiał usłyszeć jej wołanie, bo zawahał się przez chwilę. Podjął jednak marsz w stronę pociągu, szybko pokonując dystans pomiędzy budynkiem stacji a pasażerskim wagonem.

Opuszczał ją.

Strach ścisnął jej gardło i z rozpaczą przyśpieszyła biegu. Pociąg już drżał, dyszał kłębamii pary, napinał swe stalowe mięśnie, szykując się do skoku naprzód.

- Zaczekaj na mnie!

Patrzył prosto przed siebie, nie zwracając na nią uwagi.

Rozpacz wybuchła w niej krzykiem pełnym wściekłości:

- Do cholery! Słyszysz mnie? Nie waż się wsiadać do tego pociągu!

Zatrzymał się w pół kroku, a jego potężne barki napięły się groźnie pod wełnianym płaszczem w szarą kratkę. Odwrócił się i ze zmarszczonym czołem patrzył, jak biegnie do niego wzdłuż peronu. Zatrzymała się przed nim.

- Jadę z tobą.

- Jak cholera! Powiedziałem ci wczoraj wieczorem u Frenchiego, że masz tu zostać!

- Musisz mnie zabrać!

- Nic nie muszę! - Spojrzał na nią groźnie. - Wracaj do mamusi. Będzie cię szukać.

- Nie, nie będzie. - Podeszła o krok bliżej. - Wiesz, że troszczy się tylko o swoją fajkę. Nie obchodzi jej, gdzie jestem. Nie wzruszy się, że pojedę z tobą.

Potrząsnęła głową.

- Wiesz, że to prawda. - Jane zwilżyła usta. - Jadę z tobą. Ona mnie nie chce. Nigdy mnie nie chciała.

- No, ja też cię nie... - Rumieniec jeszcze bardziej zaczerwienił jego i tak czerstwą twarz, a irlandzki akcent stał się bardzo wyraźny, kiedy powiedział niezgrabnie: - Bez obrazy, ale w moim życiu nie ma miejsca dla dzieciaka.

- Nie jestem taka mała, mam prawie dwanaście lat! - To było małe kłamstewko, dopiero co skończyła jedenaście, ale pewnie o tym nie pamiętał. Znów podeszła o krok bliżej. - Musisz mnie zabrać. Jestem twoja.

- Ile razy mam ci powtarzać? Nie jestem twoim ojcem!

- Moja matka powiedziała, że najpewniej to ty. - Dotknęła kosmyka kręconych, rudych włosów, otaczających jej szczupłą twarzyczkę. - Mamy takie same włosy, a ty przychodziłeś do niej na długo przedtem, zanim wzięła się za fajkę.

- Tak samo jak połowa facetów z Union Pacific! - Nagle ukucnął przed nią, a jego głos złagodniał. - Wielu Irlandczyków ma rude włosy, Jane. Cholera, tylko z mojej brygady czterech było stałymi klientami Pearl. Dlaczego nie wybierzesz sobie jednego z nich?

Bo rozpaczliwie chciała, żeby to był on. Był dla niej miłszy niż którykolwiek z mężczyzn płacących za ciało jej matki. Kiedy Patrick Reilly odwiedzał namiot Frenchiego, był najczęściej pijany, nigdy jednak nie krzywdził kobiet jak inni. Kiedy zaś spotkał tam Jane, traktował ją z szorstką serdecznością.

- To ty. - Zacisnęła szczęki w wyrazie uporu. - Przecież nie wiesz na pewno, że to nie ty!

Jego twarz przybrała równie nieprzejednany wyraz:

- A ty nie wiesz na pewno, że to ja. Wracaj więc do Frenchiego i daj mi spokój! Chryste, nawet bym nie wiedział, jak się tobą opiekować!

- Opiekować się mną? - Popatrzyła na niego zaskoczona. - Po co miałbyś to robić? Ja sama się o siebie troszczę.

Przez moment na jego nieprzystępnej twarzy pojawił się cień współczucia.

- Chyba rzeczywiście musiałaś się tego nauczyć. Przy twojej mamusce przyssanej do tej przeklętej tai z opium, wychowując się w norze tego alfonsa...

Natychmiast wykorzystała cień złagodnienia w jego głosie.

- Nie będę ci sprawiała kłopotów! Nie jem dużo i nie będę ci się plątała pod nogami! - Znów zaczął się chmurzyć, więc zaczęła mówić jeszcze szybciej: - Chyba że każesz mi coś zrobić, oczywiście. Umiem ciężko pracować! Spytaj kogo chcesz u Frenchiego. Wynoszę pomyje i pomagam w kuchni. Sprzątam, zmywam i załatwiam sprawunki. Umiem liczyć i zająć się pieniędzmi. W soboty Frenchie każe mi nawet pilnować klientów i mówić im, kiedy już minął czas, za który zapłacili. - Złapała go za ramię. - Obiecuję, że będę robić wszystko, co chcesz, tylko mnie zabierz ze sobą!

- Cholera, nie różu... - Zamilkł na chwilę, patrząc na błagalny wyraz jej twarzy, a potem powiedział cicho: - Zrozum, jestem robotnikiem kolejowym. To wszystko, co umiem, a teraz moja praca tu się skończyła, położyliśmy już tory na całym szlaku. Mam propozycję, żeby razem z moją brygadą pracować w Salisbury, a to jest wielka szansa dla takiego nieuka jak ja. Salisbury jest daleko za oceanem, w Anglii. Przecież nie będziesz chciała jechać tak daleko.

- Chcę! Wszystko mi jedno, dokąd pojedziemy! - Jej mała rączka zacisnęła się na jego ramieniu. - Weź mnie na próbę! Zobaczysz, że nie pożałujesz!

- Jak cholera, że nie pożałuję! - W jego głosie nagle pojawiło się zniecierpliwienie. Strząsnął z siebie jej rękę i wstał. - Nie uwiążę się do końca życia z dzieciakiem jakiejś dziwki! Wracaj do Frenchiego! - Znów ruszył w stronę pociągu.

Odmowa przestraszyła ją, ale nie zaskoczyła. Przez całe życie była odrzucana i odpychana przez wszystkich poza mieszkańcami namiotu Frenchiego. Dawno już się nauczyła, że była inna niż dzieci szanowanych żon, jeżdżące z miasta do miasta za kolejowymi brygadami. One należały do innego świata, świata nakrochmalonych, czystych ubrań, kąpieli co sobotę i kościoła co niedzielę, a ona...

Fala mdłości naszała ją wraz ze wspomnieniem ponurego, ledwie oświetlonego latarniami wnętrza namiotu Frenchiego, gdzie wyrka oddzielone były od siebie tylko brudnymi kocami, zawieszonymi na obwisłych linach. Przypomniała sobie słodkawy zapach opium, które matka pociągała ze śmiesznie wyglądającej szklanej bańki postawionej obok barłogu, i twardą dłoń Frenchiego, uderzającą ją w policzek, kiedy nie wypełniła wystarczająco szybko jego rozkazu.

Nie, nie mogła do tego wszystkiego wrócić teraz, kiedy ucieczka była tak blisko.

Tak mocno zacisnęła ręce w pięści, że paznokcie wbiły jej się w skórę.

- Nic ci nie pomoże zostawienie mnie. I tak pojedę za tobą. - Doszedł już do wagonu i postawił lewą nogę na schodku. - Naprawdę pojedę. Jesteś mój.

- Jak cholera!

- Pojadę za tobą do tego Saddlebury i...

- Salisbury! I będziesz musiała przepłynąć przez ten przeklęty ocean!

- To przepłynę! Znajdę sposób. Zobaczysz, że znajdę sposób, żeby... - jej głos się załamał i przerwała.

- A niech to! - Opuścił głowę i wbił wzrok w metal schodka. - Dlaczego, do diabła, musisz być taka cholernie uparta?!

- Weź mnie! - wyszeptwała. Nie wiedziała już, co powiedzieć, co mu jeszcze obiecać. - Proszę! Boję się, że jak zostanę, będę kiedyś taka jak ona. Ja... nie chcę tam być.

Stał i słuchał, coraz bardziej przygarbiony.

- Och, do cholery! - powiedział nagle, odwrócił się i zeskoczył z powrotem na peron. Jego wielkie, piegowate dłonie chwyciły ją w talii; bez wysiłku uniósł ją i postawił w wagonie. - Jezu! Ależ jesteś malutka! Nic nie ważysz!

Czyżby się poddał? Bała się w to uwierzyć.

- To nieważne. Jestem mała na swój wiek, ale jestem bardzo silna.
- Dobrze by było! Możesz jechać, ale to nic nie znaczy! Nie jestem twoim ojcem i masz mnie nazywać Patrick, jak wszyscy!
- Patrick - powtórzyła posłusznie.
- I ciężko zapracujesz na swoje utrzymanie!
- Jeśli tak każesz. - Trzymała się mocno żelaznej poręczy, a z nadmiaru szczęścia kręciło jej się w głowie. - Nie pożałujesz! Wynagrodzę ci to. Nie ma takiej rzeczy, której bym...
- Czekaj tu, a ja pójde pogadać z konduktorem o zabranii cię do pociągu. - Odwrócił się. - Chryste! Pewnie każe mi kupić dla ciebie bilet! Spędzam lata na budowaniu tej cholerniej linii kolejowej, a teraz każą mi płacić ciężką forszę za...
- Dwa bilety.
Zatrzymał się i popatrzył na nią. Jego głos był złowieszczo miękki:
- Dwa bilety?
Zebrała się w sobie.
- Li Sung. - Uniosła rękę i kiwnęła na małego, chudego człowieczka, który przyszedł za nią, a teraz czekał w cieniu budynku stacyjnego. - On też jedzie. - Na jej sygnał Chińczyk pokuśtykał naprzód, dźwigając plecak i zniszczoną, rozlatującą się torbę podróżną. - To mój przyjaciel. Nie będzie sprawiał kłopotów.
- Nie będzie? On jest kaleką!
- Umie gotować. - powiedziała szybko. - Wiesz, że umie. Jadłeś kiedyś u Frenchiego jego gulasz. Poza tym jest mądrzejszy od większości ludzi, których znam. Uczy mnie czytać i liczyć i wie wszystko o ziołach, i...
- Nie! - powiedział Patrick kategorycznie. - Nie będę ciągnął ze sobą żadnego kaleki. Żółtek wraca.
- On musi jechać z nami! - Znów się nachmurzył. A co będzie, jeśli zmieni zdanie i ją też odeśle z powrotem? Ale nie może zostawić Li Sunga. Pośpiesznie mówiła dalej. - Pozwalasz mi jechać ze sobą, a Li Sung ma siedemnaście lat, jest prawie mężczyzną. On będzie ci bardziej pomocny niż... - Wyraz twarzy Patricka ani trochę nie zmiekkł. - Nie będzie ci przeszkadzał! Ja będę się nim opiekować!
Patrick spojrział na nią z niedowierzaniem.
- Tak, potrafię się nim zająć! Tylko kup mu bilet! - wyszeptała. - Proszę!
- Myślisz, że mam maszynkę do robienia forsy?
- Nie mogę pojechać bez niego. Frenchie robi z nim straszne rzeczy!
Li Sung zatrzymał się obok nich, przenosząc wzrok z Jane na Patricka.
- Jadę?
Jane spojrzała błagalnie na Patricka.
- A niech to wszystko jasna cholera! - Patrick odwrócił się gwałtownie i ruszył wzdłuż peronu w kierunku umundurowanego konduktora, który rozmawiał z maszynistą wychylonym z breka. - Ale tylko do Omaha. Niech mnie szlag, jeśli go wezmę dalej!
Jane z ulgą wypuściła powietrze.
- W porządku. Wsiadaj do pociągu, Li Sung.
- Gdzie jest Omaha?
- Myślę, że daleko. - Jane też nie wiedziała. - Ale zanim tam dojedziemy, wymyślę sposób na to, żebyś był z nami do końca. On nie jest nieugiętym człowiekiem.
Li Sung uśmiechnął się kwaśno.
- Ale jest Irlandczykiem, a Irlandczycy nie lubią mojej rasy.
- Znajdę sposób - odpowiedziała Jane. - Tylko przez jakiś czas nie pokazuj mu się na oczy.
Kiedy otworzyła drzwi do przedziału pasażerskiego, poczuła nagłą wibrację podłogi pod stopami i zastygła, przestraszona. Ten ruch był jakiś... dziwny. Odkąd pamiętała, zawsze przenosiła się wraz z matką od jednego namiotowego obozowiska do drugiego, w miarę jak Frenchie podążał za brygadami kładącymi tory, jednak nigdy dotąd nie jechała pociągiem.
Li Sung ze zrozumieniem pokiwał głową, kiedy ich spojrzenia się spotkały.
- Mnóstwo siły. Rozumiem, dlaczego nazywają to żelaznym koniem.
Potrząsnęła głową.
- To bardziej jak te smoki, o których mi opowiadałeś, zionące ogniem i dymem i smagające

ogonami. - Ruszyła przed nim przejściem między siedzeniami. - Przyzwyczajmy się.

Li Sung wrzucił na półkę nad jej głową oba plecaki, torbę położył obok niej i przytaknął:

- Jeśli w ogóle można się przyzwyczaić do smoków.

- Można. - Usiadła i zawinęła ręce w pelerynę. Powietrze czuć było starymi cygarami, a z pojemnika na opał, umieszczonego obok pieca na przedzie wagonu, pachniało świeżo porąbanym drewnem i węglem. Musi oswoić się z tą wibracją, tymi zapachami i tym hałasem, które mają stanowić jej nowe życie. - Wszystko będzie dobrze. Li Sung. Zobaczysz, będziemy...

Nagle z torby podróźnej dobiegło żalosne skomlenie.

- O, psiakrew, miałam nadzieję, że będzie spał. - Jane rzuciła ukradkowe spojrzenie za okno i zobaczyła, że Patrick wciąż pogrążony jest w kłótni z konduktorem. Szybko otworzyła torbę. W polu widzenia natychmiast pojawił się brązowo-biały pysk. Delikatnie pogłaskała miękką sierść na głowie chudego szczeniaka ogara. - Ciii, nie teraz. Żadnych hałasów!

- Mówiłem ci, żeby nie brać tego przybłądy.

Podniosła głowę i rzuciła Li Sungowi spojrzenie pełne nagany.

- Sam ma tylko sześć tygodni. Frenchie pozwoliłby mu zdechnąć z głodu tak samo, jak to zrobił z jego matką i innymi szczeniakami. Musiałam go zabrać.

Uśmiech rozjaśnił żółtą twarz Li Sunga, towarzysząc wyrazowi rezygnacji.

- Wiem, taka jest twoja natura. Ale twój ojciec nie będzie zachwycony.

- On nie wie... jeszcze. - Szybko zamknęła torbę i wręczyła ją Li Sungowi. - Lepiej go zabierz na przód wagonu i zostań tam, dopóki po ciebie nie przyjdę.

Li Sung wzruszył ramionami i wziął torbę.

- Pewnie wyrzuci mnie z pociągu razem ze szczeniakiem.

- Nie, nie wyrzuci. Nie pozwolę mu. Po prostu przekonam go, że przyda się nam obronny pies w... - Przerwała, starając się przypomnieć sobie nazwę miasta, do którego zmierzali. - Salisbury.

- A jak to zrobisz?

- Po prostu się do niego przyczepię i nie popuszczę. - Zacisnęła szczęki. - Jeżeli naprawdę czegoś chcesz, możesz sprawić, że to się stanie. Musisz tylko przeć naprzód, aż wszyscy inni zmęczą się walką.

- No to miejmy nadzieję, że on się znuży, zanim dojedziemy do tego Omaha. - Li Sung pokuśtykał wzdłuż przejścia na drugi koniec wagonu.

Jej ojciec skończył dyskusję z konduktorem i szedł po peronie, wyraźnie niezadowolony.

Ojciec. Muszę pamiętać, żeby go tak nit nazywać, pomyślała smutno. I tak nie uzna jej za swoją córkę, tylko się rozżłości. Kiedyś, jeżeli będzie ciężko pracowała, jeśli okaże się wystarczająco niezbędną, może jej pozwoli wymawiać to słowo.

Kiedy lokomotywa wydała z siebie przeszywający gwizd, Jane aż podskoczyła i chwyciła się drewnianej ławki, bo pociąg ruszył naprzód z szarpnięciem.

Usłyszała, jak Patrick wyrzuca z siebie stek przekleństw, wielkimi susami pokonując ostatnie kilka jardów. Wskoczył na stopnie i wspinał się do wagonu.

W zimnym powietrzu za oknem para wyglądała jak mgła, a czarny smok powoli odjeżdżał od byle jak skleconych chat i poplamionych namiotów, które tworzyły Promontory Point.

Strach jej ścisnął gardło, kiedy ten widok przesunął się przed oczami, a ona zdała sobie sprawę, że oto znika wszystko, co kiedykolwiek znała.

- Chcesz wrócić?

Spojrzała w górę i zobaczyła swego ojca... Patricka, stojącego obok niej z wyrazem nadziei na twarzy.

- Mogę cię odesłać do domu, kiedy tylko dojedziemy do następnej stacji.

- Nie.

- Ostatnia szansa!

Promontory Point zniknęło, jakby go nigdy nie było, i jej strach też nagle się rozplynął.

- Nie!

Niewiele mogła wiedzieć o czymś takim jak dom, ale była pewna, że u Frenchiego go nie miała. Skoro jej ojciec jest robotnikiem kolejowym, przemieszczającym się z miejsca na miejsce, więc być może ten ryczący, buchający Parą smok, którym teraz jechała, będzie

odtąd jej domem. A jeśli tak, musi się o nim dowiedzieć wszystkiego i oswoić go. Tak, właśnie to musi zrobić; jej ojciec kocha kolej, więc kolej musi stać się jej życiem tak samo jak jego.

Ostrożnie usiadła z powrotem na twardym siedzeniu i powoli starała się rozluźnić napięte mięśnie.

- Nie wracam. Tylko przez chwilę się bałam, ale już jest w porządku.

Zamruczał coś pod nosem i opadł na siedzenie obok niej.

Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w stukot kół o żelazne szyny. Powoli, stopniowo, do jej świadomości dotarł rytm metalicznego turkotu, podobny do bicia ogromnego serca, i nieuchwytnie uspokajająca miarowość syku pary. Może ten smok wcale nie jest taki groźny. Może z biegiem czasu uda się z nim zaprzyjaźnić i poznać jego tajemnice...

1

*Krugerville, Afryka
3 kwietnia 1876*

Ruel przywodził Ianowi na myśl pięknego tygrysa, gotowego do błyskawicznego ataku.

Z wprawą mordercy trzymał w prawej ręce nóż o kościanej rękojeści, a na twarzy igrał mu uśmiech zadowolenia. Był obnażony do pasa. W świetle latarni jego mięśnie lśniły brązowo i złoto, a niebieskie oczy jarzyły się złowróżbną radością, kiedy zataczał kręgi wokół olbrzymiego, uzbrojonego w maczetę Mulata.

Przyglądając się poprzez zalegający w barze dym walczącym mężczyznom Ian MacClaren przeżył szok. Mimo wszystko nie spodziewał się, że Ruel będzie wyglądał tak... zabójczo. Wieści, które do niego docierały przez te wszystkie lata, powinny go ostrzec, bo przecież nawet jako chłopiec Ruel nigdy nie dał się poskromić. A już na pewno teraz w wyglądzie jego brata nie było śladu łagodności.

Tygrys stąpa cicho, tygrys wścieka się głośno...

Przypomniał mu się urywek starego wierszyka, dopełniając wrażenia, jakie odniósł natychmiast po dostrzeżeniu Ruela. Ten chłopak zawsze tryskał nieujarzmioną, radosną energią, teraz jednak biła od niego wręcz rozplómięta żywotność. Rysy jego bezbłędnie symetrycznej twarzy, które kiedyś Margaret określiła jako piękno upadłego anioła, z upływem czasu wyostrzyły się i stwardniały, lecz zachowały ten porywający magnetyzm, jaki zawsze w nich wił. Jego ciemnobrązowe włosy, zaczesane do tyłu i związane w ogon, splecione były spłowiałym, biało-złotym sznurkiem, co jeszcze bardziej upodobiło go do tygrysa.

Mulat ciął nagle maczetą.

Ruel z łatwością wykonał unik i sparował cios, po czym zaśmiał się cicho, z wyraźnym zadowoleniem.

- Nareszcie! Już mnie zaczynałeś nudzić. Barak.

- Nie stój tak! - Miła, złapała Iana za rękę. - Powiedziałaś, że jak cię do niego zaprowadzę, to pomożesz. Barak go zabije!

- Z pewnością tego właśnie próbuje - mruknął Ian. Kiedy kilka godzin wcześniej przyjechał do miasta, powiedziano mu, że jest to po prostu jedną z dziwek obozu poszukiwaczy złota, jednak wyraźnie związaną uczuciowo z Ruelem. Taki stan rzeczy nie zaskoczył Iana, bo kobiety, zwabione zabójczo przystojnym wyglądem i beztroskim, radosnym cynizmem, ciągnęły do łóżka Ruela jeszcze zanim przeszedł pokwitanie. Niemniej Ian sam był zdziwiony faktem, że wcale nie czuł lęku przed możliwością sprawdzenia się proroctwa kobiety. Ten Barak był jak wieża; jego prawie siedem stóp wzrostu i bycza muskulatura robiły przytłaczające wrażenie. W porównaniu z nim sylwetka Ruela, pięć stóp i jedenaście cali, wyglądała dziecinnie, jednakże Ian czuł, że Ruel nie będzie miał więcej problemów z pokonaniem Mulata niż z łobuzami, którzy szydzili z jego brata w dzieciństwie.

- Myślę, że jeszcze chwilę poczekamy i popatrzymy. Ruel nigdy nie lubił, kiedy się wtrącałem w jego sprawy.

Olbrzymi Mulat znów zrobił wypad. Ruel kocim ruchem wygiął ciało w łuk, a ostrze o włos minęło jego brzuch.

- Lepiej! - Zaśmiał się. - Ale nie wystarczająco dobrze. Boże, ależ jesteś ślamazarny!

Barak ryknął z wściekłością i znowu zaatakował.

Ale Ruela już tam nie było.

Z szybkością błyskawicy zatańczył w lewo, a na boku Baraka pojawiła się nagle czerwona szrama.

- Jesteś tak samo niezdarny z maczetą, jak przy rozdawaniu kart. Mógłbym cię nauczyć co nieco i jednego i drugiego. - Zataczył koło wokół olbrzyma ze zręcznością mangusty walczącej z kobrą. - Ale nie sądzę, żeby było warto. Nie chcę tracić czasu, skoro i tak wkrótce umrzesz.

Ian zeszytywniał, nagle zdając sobie sprawę, że to nie jest dziecięca bójka, która skończy się tylko podbitymi oczami i obdrapanymi kłykciami.

Zwrócił się do kobiety:

- Myślę, że powinniśmy nakłonić miejscowego sędziego, żeby to skończył.

Spojrzała na niego z zakłopotaniem.

- Sędziego?

- Przedstawiciela prawa! - wyjaśnił jej niecierpliwie.

- Tu nie ma prawa - powiedziała. - Ty musisz to skończyć! Barak chce działki Ruela. Oszukiwał tylko po to, żeby rozwścieczyć Ruela i zmusić go do walki, żeby moc go zabić.

Rozglądając się po barze Ian przeklinał poi nosem. Bóg świadkiem, że dziś wcale nie był lepiej przygotowany do wtrącenia się w tę walkę niż kiedyś, w Glencaren, do chłopięcych bójek Ruela. Ale najwyraźniej nie można się było spodziewać żadnej pomocy ze strony mężczyzn w roboczych ubraniach, siedzących przy stołach nędznej nory. Poszukiwacze złota wpatrywali się w walczących, mając w oczach tylko rozbawienie i pełną złowieszczygo zaciekawienia żądzę.

Stało się jasne, że Ian musi coś zrobić, nie mógł przecież pozwolić Ruelowi na popełnienie morderstwa. Nawet w obronie własnej.

Barak znów zaatakował i Ruel znów odskoczył. Długa, krwawa szrama pojawiła się na ramieniu Baraka. - Zaczynasz mnie nudzić, ty kurwi pomociu! - posiedział Ruel.

Ian rozpoznał symptomy; Ruel bawił się z Barakiem, ale zaczynał się już niecierpliwie. Zaraz przejdzie do ataku. Trzeba coś zrobić!

Barak krwawił.

Ruel był o ułamek sekundy za wolny i maczeta Baraka musnęła jego klatkę piersiową.

- Świetnie! - Niewiarygodne, ale Ruel pokiwał głową z aprobatą. - Zawsze powinieneś wykorzystywać nadmierną pewność siebie przeciwnika. Może twój mózg nie jest aż tak otłuszczony, jak myślałem.

- Okłamałeś mnie! Nic nie robisz! - Kobieta obok Iana rozluźniła kurczowy uścisk na jego ramieniu. - Nie rozumiesz? On mi pomógł! On ich... a ty pozwolisz mu umrzeć, bo chcesz popatrzeć na Baraka! - Zaczęła się przedzierać do walczących, którzy krążyli wokół siebie.

- Nie! - Ian ruszył naprzód, porywając butelkę whisky ze stołu obok. Usłyszał okrzyk protestu jednego z kopaczy, wymamrotał więc: - Bardzo proszę o wybaczenie, ale być może będę tego potrzebował.

Ruel kolejny raz się zaśmiał, ale Ian wyczuł w tym śmiechu twardszy odcień. Chłopak nie był taki głupi, żeby zlekceważyć ostrzeżenie, jakim było skaleczenie maczetą, i ruszy teraz, żeby to skończyć.

- Barak! - Mila wskoczyła olbrzymowi na plecy, otaczając swymi żyłastymi rękami jego grubą szyję.

Ruel zatrzymał się, zaskoczony, po czym znowu zaczął się śmiać.

- Zejdź z niego. Mila! On ma dość innych kłopotów!

Olbrzym otrząsnął się jak rozjuszony niedźwiedź, rozrywając chwyt Mili.

Upadła na kolana. Barak odwrócił się do niej, unosząc maczetę.

- Nie! - Uśmiech znikł z twarzy Ruela. - Mnie. Nie ja, ty bękarcie! Chcesz mnie! - Skoczył w przód i czubek jego sztyletu narysował cienką, czerwoną kreskę na karku Baraka. - Czy zwróciłem już twoją uwagę, ty głupi wole?

Barak zaklął, odwrócił się do Ruela i zrobił krok naprzód.

Ruel balansował na palcach stóp, jego oczy błyszczały dziko, nozdrza miał rozdęte.

- A teraz, ty złodziejski synu...

Ian postąpił w przód i powiedział cicho:

- Nie, Ruelu!

Ruel zamarł.

- Ian?! - Jego wzrok powędrował od Baraka do Iana, a oczy rozszerzyły się w zaskoczeniu. - Co, do cholery...

Barak skoczył naprzód i maczetą spadła na ramię Ruela. Ostrze było skierowane w jego serce. Gdyby Ruel w ostatniej chwili nie zrobił uniku, rozciąłaby jego pierś tak, jak rozciąła ramię.

Ian usłyszał krzyk klęczącej na podłodze kobiety, dostrzegł twarz Ruela wykrzywioną z bólu i zareagował bez namysłu.

Zrobił krok bliżej, podniósł butelkę i z całej siły spuścił ją na głowę Baraka.

Szkło rozprysło się, alkohol trysnął na boki.

Olbrzym zarzęził, zachwiał się i upadł na podłogę.

Ruel pochylił się, zaczęły mu się uginać kolana.

Ian podbiegł do niego i złapał go, zanim ten zdążył dołączyć do Baraka na podłodze.

- Dlaczego... - Ruel przerwał, wzdrygnąwszy się w fali bólu. - Cholera, Ian, dlaczego, do diabła, ty...

- Cicho. - Ian poprawił chwyt i unióś Ruela z taką łatwością, jakby ten ważył tyle co dziecko. - Przyjechałem, żeby cię zabrać do domu, chłopcze.

Kiedy Ruel otworzył oczy, zdał sobie sprawę, że jest w swojej chacie. Zbyt wiele nocy spędził leżąc i wpatrując się w gwiazdy przez te szpary w dachu, żeby nie rozpoznać otoczenia - nawet mimo tak straszego bólu.

- Obudziłeś się?

Wzrok Ruela przesunął się na mężczyznę siedzącego przy jego barłogu.

Długi, orli nos, szerokie usta, jasnobrązowe oczy, osadzone głęboko w twarzy, którą tylko humor i inteligencja broniły przed wyrazem prostoduszności. Twarz Iana.

- Wydobrzejesz. Gorączkowałeś, ale teraz ładnie zdrowiejesz.

Głos Iana przyjemnie zabrzmiał w uszach Ruela, choć przez moment odczuł ostry ból. Odrzucił od siebie myśl, że mogła to być nostalgia. Chryste, to musi być ta gorączka. Pozbył się przecież wszelkich sentymentalnych tęsknot za Glencaren w ciągu pierwszych sześciu tygodni po wyjeździe. Wyszeptał:

- Co ty tu robisz?

- Już ci mówiłem. - Ian zanurzył szmatę w stojącej obok łóżka misce z wodą. - Przyjechałem zabrać cię do domu.

- O mały włos zabrałbyś mnie do domu w trumnie! Zawsze ci powtarzałem, żebyś w czasie bójki nie wchodził mi w drogę.

- Przepraszam. Uznałem, że nadszedł czas na moją interwencję. Byłeś gotów go zamordować, a przecież tak naprawdę wcale nie chciałeś zabić tego tępego woni.

- Czyżby?

Ian wyjął szmatę i położył ją na czole Ruela.

- Zabijanie to grzech śmiertelny. Życie jest o wiele łatwiejsze, jeśli nie ma się takich rzeczy na sumieniu. Chcesz się napić wody?

Ruel skinął głową, po czym obserwował, jak Ian sięga do wiadra obok jego stołka i nabiera wody żelaznym czerpakiem, Ian miał teraz około trzydziestu pięciu lat, ale Ruel z trudem dopatrzył się w nim jakichś zmian spowodowanych upływem czasu. Wciąż tkwiła w nim ta sama olbrzymia i nieokiełznana siła, która mu umożliwiła uniesienie brata jak piórko, wciąż miał te same czarne, schludnie ułożone włosy, nadal mówił i poruszał się tak samo powoli i spokojnie.

Ian przytknął czerpak do ust Ruela i trzymał go nieruchomo, podczas gdy ten pił łapczywie.

- W garnku jest gulasz. Mila ugotowała go ledwie pół godziny temu, powinien być jeszcze ciepły.

Ruel potrząsnął głową.

- Dobrze, więc później. - Ian odłożył czerpak do wiadra i delikatnie osuszył czoło Ruela. - Ta Mila sprawia wrażenie bardzo oddanej.

- W takiej dziurze lgnie się do tych, którym można ufać.
- Jak rozumiem, sypiasz z nią? Ona naprawdę próbowała przejąć na siebie to uderzenie maczetą.
Ruel uśmiechnął się, naprawdę rozbawiony.
- Przyznaję, że mam prawdziwy talent w tej dziedzinie, ale nawet mojej próżności nie starczy, żeby uznać, że kobieta zaryzykuje obcięcie głowy maczetą po to tylko, żeby mieć mnie między nogami. Ale będzie o mnie dbała, póki nie wydobrzeję. - Zmienił świadomie temat. - Nie musisz zostawać.
- Jesteś pewien, że nic nie chcesz jeść? To cię wzmocni, a chciałbym stąd wyjechać za dwa tygodnie.
- Nie jadę z tobą.
- Oczywiście, że jedziesz. Co tu masz? Mila mówi, że Barak doszedł do siebie i przejął twoją działkę.
- Skurwysyn! - mruknął Ruel.
- Zapewne. - Ian się skrzywił. - Ale przyznaję, że jestem zadowolony, że zajął się okradaniem cię, zamiast szukania na mnie zemsty.
- Trzeba było o tym pomyśleć, zanim się wtrąciłeś.
- Chyba tak. - Uśmiechnął się nieśmiało Ian. - Tym bardziej że nie byłeś już w stanie walczyć za mnie, jak to robiłeś, kiedy byliśmy chłopcami.
- Nigdy nie byłeś wystarczająco bezwzględny. Mogłeś wlać każdemu w naszej dolinie, ale nigdy nie nauczyłeś się iść przebojem. Nie możesz pozwolić nikomu...
Ian przerwał.
- Rozumiem, że kiedy tylko utrzymasz się na nogach, pójdziesz za Barakiem odebrać swoją własność?
Ruel zastanowił się nad tym.
- Nie.
- Bardzo rozsądnie. - Ian pochylił głowę, żeby dostrzec minę Ruela. - Ale zupełnie nie w twoim stylu. Jak pamiętam, zawsze twoją dewizą było oko za oko i ząb za ząb.
- Och, nadal tak uważam - powiedział Ruel. - Ale kiedy sprawa nie jest warta tego, czasami pozwalam losowi wziąć za mnie odwet.
- To znaczy?
- Działka wyczerpała się już tydzień temu. - Ruel uśmiechnął się z najwyższą satysfakcją. - Z przyjemnością będę sobie wyobrażał, jak ten bękart wypruwa z siebie flaki, zyskując za fatygę garstkę złotego proszku.
- Rozumiem. - Ian przerwał na chwilę. - Więc twoja kopalnia złota była takim samym fiaskiem jak Jaylenburg?
Ruel zeszywniał.
- Co wiesz o Jaylenburgu?
- Tyle, że oznakowałeś sobie działkę złotonośną, pobyłeś tam sześć miesięcy i pojechałeś dalej. - Ian znów zmoczył szmatę i wycisnął ją. - W ogóle dużo podróżowałeś: Australia, Kalifornia, Afryka Południowa...
- Sprawiasz wrażenie bardzo dobrze poinformowanego.
- Niezupełnie. Zapłaciłem pewnemu młodemu człowiekowi, żeby cię znalazł, ale zawsze, aż do Krugenvile, mijał się z tobą o włos. - Potrząsnął głową i położył szmatę na czole Ruela. - Już nie jesteś chłopcem. Nie możesz przez całe życie gonić tęczy.
- Nigdy nie goniłem tęczy. - Ruel uśmiechnął się niewinnie. - Szukałem garnca złota ukrytego u podnóża tęczy, a nie samej tęczy.
- Złoto. - Twarz Iana wyciągnęła się. - Zawsze mi mówiłeś, że znajdziesz swoją kopalnię złota i będziesz najbogatszym człowiekiem w Szkocji.
- Bo będę.
- Uciekłeś z Glencaren, kiedy miałeś piętnaście lat, i jeszcze jej nie znalazłeś.
- Skąd wiesz?
Ian rozejrzał się dookoła po byle jak urządzonej chacie, potem jego wzrok powędrował do szpar w dachu.
- Jeśli tak, to stałeś się bardziej skąpy niż stary Angus MacDonald.

Uśmiech Ruela poszerzył się.

- A co u czarującej Maggie MacDonald? Pobraliście się w końcu?

Ian pokręcił głową.

- Wiesz, że Margaret ma obowiązki wobec swego ojca. Nie wyjdzie za mnie, dopóki on jej potrzebuje przy łożu boleści.

- Wciąż? Dobry Boże, w ten sposób pobierzecie się dopiero, kiedy oboje będziecie nad grobem.

- Będzie, jak Bóg zechce. - Ian zmienił temat. - Co to jest Cinnidar?

Ruel zeszywniał i gwałtownie poderwał wzrok na twarz Iana.

- Cinnidar?

- Chyba cały czas o nim myślisz. Kiedy miałeś gorączkę, ciągle powtarzałeś tę nazwę.

- Mówiłem coś jeszcze?

- Nie, tylko jedno słowo... Cinnidar.

Ruel odprężył się.

- Nieważne. Po prostu miejsce, gdzie kiedyś byłem.

- Byłeś w zbyt wielu miejscach. Czas wrócić do domu i zapuścić korzenie. - Przerwał. - Ojciec nie żyje.

- Wiem. Dostałem twój list.

- Nie odpowiedziałeś.

- Nie było sensu. Lata temu przestał być dla mnie ważny. Tak jak Glencaren - dodał.

- A ja?

- Glencaren to także ty.

- Niezaprzeczalnie. - Ian się uśmiechnął. - Kocham tam każdy stawek, każdy kamień i każdy zeżarty przez mole kawałek obicia.

- Więc wracaj.

Ian pokręcił głową.

- Bez ciebie - nie. - Popatrzył na podłogę, następne słowa zabrzmiały niezręcznie. - Nie pojechałem za tobą za życia ojca nie dlatego, że cię nie kochałem. Wiem, że nie miał racji i że cię źle traktował. To było po prostu... wredne. Zawsze żałowałem, że...

- Poczucie winy? - Ruel potrząsnął głową. - Na Boga, wiem, że zawsze byłeś wobec mnie uczciwy. Nie oczekiwałem niczego od ciebie.

- Ja tego oczekiwałem od siebie.

Spojrząwszy na Iana Ruel odczuł przez moment falę ciepła. Sentyment? Boże, był pewien, że wszystkie te delikatne uczucia wypaliły się w nim już lata temu. Sentymenty były niebezpieczne, znacznie pewniej było ślizgać się po powierzchni uczuć niż pakować się w to bagno. Powiedział więc ostrożnie:

- No tak, zawsze byłeś głupi.

- Tak. - Uśmiechnął się miękko Ian. - Ale głupi czy nie, mam zamiar przywrócić ci właściwe miejsce - Glencaren.

Ruel wpatrywał się w twarz brata z rozdrażnieniem połączonym z bezsilnością, Ian zawsze czuł się winny za sposób, w jaki ojciec traktował Ruela, a teraz najwyraźniej był zdecydowany wszystko poustawić na swoim miejscu. Ruel dobrze znał ośli upór Iana i zdawał sobie sprawę, że jeśli brat wyznaczy sobie cel, to nie popuści, dopóki go nie osiągnie.

- Dlaczego miałbym wrócić? Nic mnie tam nie ciągnie. - Nie zauważył żadnych oznak złagodnienia w postawie Iana i po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że brat może rzeczywiście stać się problemem. Chryste, miał mnóstwo do zrobienia w ciągu najbliższych paru miesięcy i nie potrzebował przy tym Iana, płaczącego się za nim i próbującego go odwieść od jego celu. - Cholera! Nie jesteś mi tutaj potrzebny!

- Masz pecha.

- Będziesz mi przeszkadzał.

- Tylko do chwili, kiedy wsiądziemy na statek. Zostawię cię w spokoju natychmiast po wyruszeniu do domu.

- Nie jadę do Glencaren. Kiedy już wyzdrowieję, pojedę do Kasanpuru.

- A nie do tego Cinnidaru?

- Powiedzmy, że Kasanpur jest przystankiem w drodze do Cinnidaru.

Ian zmarszczył brwi.
- Nie sądzę, żebym kiedyś słyszał o tym Kasanpurze.
- Indie. Kasanpur jest głównym miastem prowincji rządzonej przez maharadżę Sawitsaru.
Ian pokręcił głową.
- Poczujesz się znacznie lepiej będąc w Glencaren niż włóczęc się po jakimś pogańskim kraju.
- Jadę do Kasanpuru - powiedział Ruel przez zaciśnięte zęby.
Ian przez chwilę wpatrywał się w niego, po czym westchnął z rezygnacją.
- Masz wystarczające fundusze na tę podróż?
- Przez ponad trzy miesiące działka była wyjątkowo wydajna. Nawet po zostawieniu małej sumki Mili wystarczy mi jeszcze na realizację moich planów.
- Dobrze, więc stać cię na moje towarzystwo. Niestety, Glencaren jest nadal tak samo bogate w ziemię i ubogie w pieniądze jak wówczas, kiedy tam mieszkałeś. Pojadę tobą i poczekam, aż się zmęczysz swoimi szaleństwami.
- A jeśli się nie zmęczone?
- To poczekam dłużej.
- Ian, do cholery, mam coś bardzo ważnego do zrobienia w Kasanpurze! Nie mam czasu na...
- Czas jest od Boga - powiedział spokojnie Ian, wstając i podchodząc do pieca. - Ale o tych swoich sprawach w Kasanpurze możesz mi opowiedzieć później. Teraz dam ci miskę gulaszu. Przystaniesz się już kłócić i zjesz. Jak mówiłem, będą ci potrzebne siły, żeby podróżować.

*Kasanpur, Indie
6 maja 1876*

Dobry wieczór, panno Barnaby. Czy nikt pani nie powiedział, że cudzoziemskie damy nie powinny poruszać się w tej części miasta po zmroku bez opieki?

Głos był niski i miękki, lecz ukryta w nim groźba zmieniała sens słów. Kiedy Jane obejrzała się, jej serce zamarło, by zaraz ruszyć na złamanie karku. Zaledwie kilka jardów za sobą ujrzała księcia Abdara i tego pięknego mężczyznę, Pachtala, w towarzystwie którego książę przyszedł wypytywać ją wtedy w domu. Dobry Boże, wydawało jej się, że była taka ostrożna, a dziś nawet nie zauważyła, że jest śledzona!

Zareagowała instynktownie, zrywając się do biegu, pędząc wzdłuż ciemnej, pustej ulicy.

Ale za późno. Byli zbyt blisko. Zanim dobiegła do rogu, silna ręka chwyciła jej ramię i obróciła w miejscu.

Przed nią stał Abdar. Jego przystojny młody towarzysz przesunął się za jej plecy, ściskając i unosząc w górę jej ramiona, zmuszając do upuszczenia niesionego przez nią plecaka.

- To nieuprzejmie uciekać, kiedy ja zyczę sobie mówić z tobą. - powiedział Abdar, stawiając na ziemi latarkę. - Myślę, że powinniśmy ją ukarać za tę nieuprzejmość, Pachtal.

Powstrzymując krzyk bólu Jane przygryzła dolną wargę, kiedy Pachtal wykręcił jej lewą rękę. Przez szczypiące łyżki ujrzała zbliżającą się delikatną, dziecinną, otoczoną turbanem twarz księcia Abdara.

- Byłaś bardzo niekomunikatywna w czasie naszej dyskusji kilka dni temu. Uznałem, że powinniśmy odbyć mniej oficjalną rozmowę. No więc, gdzie jest Kartauk?

- Nie znam żadnego Kar... - Urwała, kiedy jej lewą rękę poderwano jeszcze wyżej.

- Jak widzisz, Pachtal się niecierpliwi - powiedział miękko Abdar. - On zdecydowanie woli uciechy pałacu i zupełnie nie bawiło go spędzanie ostatnich trzech nocy na próbach śledzenia cię. Szczególnie, kiedy jego wysiłki okazały się bezowocne.

Rozpaczliwie próbowała wymyślić sposób osiągnięcia ukrytego w bucie sztyletu.

- Powinno cię to przekonać, że nie mogę ci dać tego, co chcesz.

- Przekonało mnie tylko, że znasz nasz bazar bardzo dobrze jak na cudzoziemkę i umiesz zniknąć. Gdzie on jest?

- Nie wiem, mówiłam ci... - Wciągnęła gwałtownie powietrze, kiedy Pachtal jeszcze mocniej wykręcił jej rękę. W spazmie bólu wydało jej się, że światło latarki w ręce Abdara zamigotało i zamgliło się. Z niejasnym poczuciem poniżenia zdała sobie sprawę, że mdleje.

Nie! Nigdy w życiu nie zemdląca i nie zrobi tego teraz, za sprawą tego bękarta!

- Jeszcze raz! - rozkazał Abdar mężczyźnie za jej plecami.

Przez długą chwilę cały świat Jane był bólem.

- Dlaczego jesteś taka uparta? - spytał Abdar. - I tak mi powiesz. Jesteś tylko kobietą, zbyt słabą i zbyt głupią, żeby się dłużej opierać.

Nawet w tym morzu cierpienia poczuła się obrażona jego słowami. Owszem, była głupia, bo nie zauważyła, że od bungalowu jest śledzona, ale nie była słaba!

- Po co tak cierpieć? Kim jest dla ciebie Kartauk? - wyszeptał jej do ucha Pachtal, zaciskając chwyt na jej przedramionach. - Dostałaś od niego to, co chciałaś. Zwróć go więc teraz Jego Wysokości.

- Nie znam żadnego Kartauka.

- Czy on jest twoim kochankiem? - szeptał Pachtal. - Jego Wysokość sądzi, że musiał ci dać wiele rozkoszy, skoro tak ryzykujesz. Ale będziesz musiała go wydać. Jego Wysokość go potrzebuje.

Pięknie ukształtowana dłoń Abdara ujęła jej pierś przez bawełnianą koszulę.

- Nie jesteś brzydka i znajdziesz sobie innego mężczyznę, żeby ci dawał rozkosz. Nie byłbym nawet przeciwny dopuszczeniu cię do mojego łóżka.

Zastanawiała się, co by zrobił, gdyby plunęła w jego obojętną, dziecianną twarz.

Książę bez pośpiechu studiował jej kształty.

- Tak, nie jest taka zła. Kości policzkowe są za wysoko, ale usta całkiem ładne. Spójrzmy na jej ciało, Pachtalu. - Odpiął guziki jej obszernej koszuli i odrzucił połę na boki, żeby obejrzeć jej piersi. - Och, to śmieszne męskie ubranie ukrywa skarby! Jesteś taka chuda, że nigdy bym nie zgadł, że są tak pięknie pełne. - Ujął jej nagie piersi, ważąc je w rękach jak melony. - Ona mi trochę przypomina Mirad, Pachtalu.

- Puść... mnie! - wyszczała przez zęby.

- Bardzo ładne. - Pachtal zignorował jej prośbę, przysunął się bliżej i spojrzał ponad jej ramieniem na ręce Abdara trzymające jej piersi. - Trudno ocenić w tym świetle, ale chyba jej sutki są bardziej różowe. Sutki Mirad były jak wielkie, szkarłatne winogrona.

Zaczęła się wyrzywać.

- Nie! - Pachtal zacisnął swój chwyt na jej ramionach z ogromną siłą. - Nie odmówisz przecież Jego Wysokości, kiedy zaszczycą cię swym dotykiem?

- Nigdy nie miałem w łóżku cudzoziemskiej kobiety. Sądzę, że zabawiłabyś mnie przez całkiem długi czas. - Abdar uśmiechnął się, wziął do ręki jej gruby warkocz i szybko go rozplótł. - Oczywiście, te szkaradne spodnie i koszula będą zabronione. Każę cię uperfumować i ubrać w prawdziwie kobiecą odzież. - Przebiegł palcami po jej rozpuszczonych włosach, spływających teraz niesfornymi falami do połowy pleców. - Ciemnorude. Bardziej przypominały brąz, kiedy były w warkoczu. Ciekawe. - Jego ręce powróciły do piersi, a głos stał się słodki jak miód. - Chciałbym cię zobaczyć związaną, nagą i bezbronną w mojej sypialni w pałacu. Właściwie, dlaczego nie? Nikt nigdy by się nie dowiedział, gdybym zdecydował wziąć cię do mojego pałacu i nauczyć cię należnego mi posłuszeństwa.

Na wspomnienie opowiadań Kartauka o Abdarze przeszedł ją dreszcz.

- Nie jestem twoją poddaną. Zauważono by moją nieobecność. Twój ojciec nie pozwoli na to.

Abdar uniósł brwi.

- On nie zabroni mi zabawiania się. Dla mojego ojca kobiety mają małą wartość.

Nie znalazła odpowiedzi na to stwierdzenie. Na swój własny sposób maharadża był równie arogancki i samolubny jak jego syn. Powiedziała szybko:

- Ale jego linia kolejowa ma dla niego wartość. A mój ojciec potrzebuje mojej pomocy dla jej ukończenia.

- Zauważyłem, że mu jesteś pomocna. Być może przemyślę jeszcze raz moje zamiary. - Spojrzał jej w oczy. - Jeżeli wydasz mi swojego kochanka, Kartauka.

Połączenie bólu i obrzydzenia wywołanego jego dotykiem spowodowało kurcze żołądka.

- Nie znam żadnego Kartauka.

Skinął Pachtalowi i znów musiała zacisnąć zęby powstrzymując krzyk, kiedy przeszła ją

kolejna fala bólu.

- Zaczynasz mnie złościć. Zbyt długo już czekałem i chcę Kartauka jeszcze dziś w nocy. A teraz powiedz mi prawdę!

Starła się zapomnieć na chwilę o bólu i strachu, zacząć myśleć. Najwyraźniej bezsensowne było dalsze zaprzeczanie znajomości z Kartaukiem. Abdar torturowałby ją, póki nie dostałby tego, czego chce.

- Dobrze, co chcesz wiedzieć?

- To jest rozsądniejsze. A więc przyznajesz, że znasz Kartauka?

Przytaknęła ruchem głowy.

Skinął mężczyźnie za jej plecami i nagle jej ręce były wolne.

- Coraz lepiej. Widzisz, jak wynagradzamy współpracę? Nie pragniemy sprawiać ci przykrości.

Kłamał. Kiedy była jeszcze u Frenchiego, widziała zbyt wielu mężczyzn chcących udowodnić swą władzę nad kobietami przy pomocy zadawania bólu i uderzeń, żeby nie rozpoznać tego typu przy pierwszym spotkaniu.

- Przez trzy kolejne wieczory opuszczałaś swój bungalow, żeby pójść do miasta. Czy spotykałaś się z Kartaukiem?

- Tak.

Spojrzał na plecak, który upuściła.

- I zanosilaś mu jedzenie?

Znów przytaknęła.

- To dobrze. Byłbym niepokieszony, gdyby Kartauk cierpiał krzywdy lub niedostatek. - Sięgnął do jej gardła i delikatnie je ścisnął. - A teraz powiesz mi, gdzie on jest, ażebym znów mógł go otoczyć moją opieką.

- Ukrywa się w jednym z warsztatów przylegających do rzeki.

- Który to dom?

- Żółta lepianka. Z brudną, pasiastą zasłoną.

- Opisałaś połowę warsztatów w Kasanpurze. - Zmarszczył brwi. - Zabierzesz mnie tam.

- Nie jestem ci potrzebna. Powiedziałam, co chciałeś wiedzieć.

- Ale czy to prawda? Myślę, że upewnię się, zanim ci pozwolę nas opuścić. Ty poniesiesz latarkę, Pachtalu. Ja będę pilnował tej damy.

Pachtal puścił całkiem jej ręce i przesunął się do boku Abdara, po czym podniósł latarkę.

Jane zamknęła oczy, żeby ukryć nagły przypływ nadziei. Dzięki ruchowi Pachtala nie była strzeżona od strony pleców, a nie przypuszczała, żeby nadarzyła się jej lepsza okazja do ucieczki.

Spuściwszy wzrok w geście pokonania powiedziała płaczliwie:

- Pozwól mi wrócić do mojego bungalowu. Powiedziałam ci, co... - W pół słowa pochyliła głowę i rzuciła się na Abdara, a jej czoło zmiażdżyło jego usta.

Wrzasnął z bólu, puścił jej szyję i podniósł ręce do swej krwawiącej dolnej wargi.

Jane okręciła się w miejscu i pobiegła w dół krętej, brukowanej ulicy.

- Łap ją!

Słyszała za sobą tupot biegnących i grad wściekłych przekleństw Abdara. Skręciła na rogu w lewo, niemal tratując skurczonego w ciemnościach żebraka. Złapała równowagę, ominęła wyciągnięte ręce biedaka i pobiegła dalej.

Żebrak bluzgnął za nią wyzwiskami, a potem wydał z siebie przenikliwy wrzask bólu. Zaryzykowała spojrzenie przez ramię i zobaczyła, jak kuli się, trzymając się za żołądek po tym, jak Pachtal i Abdar przebiegli po nim.

Powoli lecz nieubłaganie zbliżali się do niej.

W panice przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, w którą stronę powinna biec. Na lewo. W prawo do rzeki. Musi skręcić w lewo i spróbować zgubić się na bazarze. Następnego dnia po tym, jak zdecydowała się pomóc Kartaukowi, spędziła cały poranek na bazarze, zapoznając się z każdym straganem i każdym zaułkiem tego wielkiego targowiska. Dopiero co zaczęło się ściemniać, więc bazar będzie jeszcze zatłoczony. Będzie mogła się schować między straganami do czasu, aż Abdar zaprzestanie pogoni.

Skręciła za rogiem i wpadła w tłum ludzi.

Bazar.

Miedziane lampy wiszące na przysłoniętych markizami straganach; wielbłąd objuczony zrolowanymi dywanami, ociężałym krokiem przedzierający się przez ciżbę.

Hałas. Płaczliwe głosy żebraków. Sprzedawcy zachwalający swoje towary.

Usłyszała za sobą przekleństwa Abdara, lecz wmieszała się już w tłum, przepychała się między kramami. Minęła sprzedawcę skór, ubranego w różowy turban czyściciela uszu, którego srebrna łyżeczka tkwiła właśnie w uchu siedzącego na niskim stołeczku klienta, handlarza złotem, kiosk obwieszony wiklinowymi klatkami z ochryple skrzeczącymi papugami. Obejrzała się i jej serce zamarło. Rozpoznając Abdara, ludzie robili mu przejście.

Wtedy z ulgą zauważyła w uliczce zamykającej targowisko od zachodu małą, obwieszoną miedzianymi garnkami i patelniami słonicę, prowadzoną przez właściciela. Powszechnie wiadomo było, że Abdar nienawidzi słoni i unika ich za wszelką cenę. Jeśli będzie miał wybierać, zawsze pobiegnie w kierunku innej uliczki. Żeby zniknąć Abdarowi z oczu, wskoczyła w gęsty tłum, zebrany wokół kramu z warzywami, skręciła w lewo przy następnym straganie, przebiegła obok słonicy i zanurkowała za kramem rybiarza. Skuliła się i w kucki wycofała w najgłębszy cień. Wszechogarniający odór ryb, smród odchodów słonicy, śmieci i ciężki zapach orientalnych perfum, dochodzący ze straganu obok rybiarza niemal ją udusiły. Starając się wstrzymać oddech, wyteżyła wzrok wpatrując się w wąski prześwit między kramami. Widziała ludzi tylko od pasa w dół i rozpaczliwie starała się przypomnieć sobie ubrania Abdara i Pachtala. Dobry Boże, jedyne, co pamiętała, to uśmiechnięta, dziecinna twarz Abdara i złowrogo piękne, kształtne usta Pachtala, które widziała, kiedy wykręcał jej rękę. Wspomnienia wywołały tak silne bicie serca, że chyba było ono słyszalne nawet w zgiełku bazaru.

- Czy mogłabyś mnie oświecić, dlaczego oboje przebywamy w tak wyjątkowo niewygodnym miejscu?

Odwróciła się gwałtownie i wpatrzyła w cień po swej lewej stronie. O kilka jardów od niej Li Sung siedział na podwiniętej zdrowej nodze, wyciągnąwszy kalekę przed siebie.

- Co ty tu robisz? - wyszeptwała.

- Zobaczyłem, jak chowasz się za tym obrzydliwie śmierdzącym straganem i pomyślałem sobie, że najlepiej będzie się do ciebie przyłączyć.

- Kazałam ci czekać przy bramie miejskiej.

- A ja pomyślałem, że lepiej czekać przy wylocie tej uliczki, z której, jak wiem, zwykle wychodzisz na bazar. Uznałem, że przy bramie za bardzo będę się rzucał w oczy. Wiesz, że tu, w Kasanpurze, nie lubią Chińczyków, więc sądziłem, że mojemu warkoczykowi grozi wyrwanie z...

- Cicho! - Odwróciła się, żeby przepatrzyć ulicę. - Abdar!

- Sam Abdar? - Li Sung znieruchomiał.

Przytaknęła ze wzrokiem wbitym w tłum przepływający przed prześwitem między straganami.

- Z tym samym mężczyzną, który przyszedł do naszego domu trzy dni temu. Śledzili mnie od samego bungalowu, ale myślę, że jesteśmy bezpieczni. Gdyby widzieli, że tu wbiegam, już by byli. - Nachmurzyła się, przysiadając na piętach. - Ale straciłam plecak z jedzeniem.

Spojrzenie Li Sunga powędrowało do jej splątanych, potarganych włosów i wychylających się spod odpiętej koszuli piersi. Jego usta wykrzywiły się w grymas.

- Czy to wszystko, co straciłaś?

Znała bardzo dobrze ten wyraz jego twarzy. Jeśli nie będzie uważać, zbudzi się instynkt opiekuńczy Li Sunga, a tego należy unikać za wszelką cenę.

- Nie. - Uśmiechnęła się. - Straciłam także panowanie nad sobą. Wyrznęłam Abdara głową w usta i zmiażdżyłam je jak orzech, a potem wiałam jak wiatr. - Szybko zapięła koszulę i sięgnęła do kieszeni swoich roboczych spodni, wydobywając małe dłuto. - Daj to Kartaukowi. Kupiłam je wczoraj na bazarze. Sądzę, że tak czy inaczej będzie je wolał od jedzenia. Jutro spróbuję dostarczyć ci drugi plecak.

Li Sung pokręcił głową.

- Od tej pory trzymaj się blisko budowy lub bungalowu. Teraz, kiedy Abdar ma cię na oku, jest to dla ciebie zbyt niebezpieczne. Mamy jeszcze trochę chleba i sera, więc to ja przyjdę.

Teraz ja przejmuję zaopatrzenie.

- Dobrze. Co wieczór będę zostawiać plecak za kładem torów na placu zaopatrzeniowym. - Sięgnęła do kieszeni i odłączyła klucz od małego mosiężnego kółka. Od dziś będę zamykała bramę placu zaopatrzeniowego. Tak będzie bezpieczniej dla ciebie. Bądź ostrożny!

- Ty też. - Li Sung wziął od niej klucz, wstał i podkuśtykał bliżej. - Odwróć się!

- Po co?

- Splotę ci z powrotem włosy. Ten nieład mnie drażni.

- Tutaj?

- Chyba nie chcesz jeszcze bardziej zwracać na siebie uwagi? Gdybyś miała takie piękne, czarne włosy jak moje, to nie byłoby problemu, ale twoje włosy są zbyt krzykliwe, żeby ich nie zauważono.

- Nie są krzykliwe! - zaprotestowała.

- Dobrze, więc wstrętne. Włosy powinny być czarne, nie rude. Bóg starannie stworzył Chińczyka, ale potem już był zmęczony i niedbały w tworzeniu reszty. Nie rozumiem, dlaczego nie dał sobie spokoju i eksperymentował z innymi kolorami. - Mamrocząc tak pod nosem szybko zaplatał jej włosy w pojedynczy, gruby warkocz.

Latami Li Sung wykonywał tę czynność tysiące razy i znajomy rytuał ukoił ją. Czują, jak rytm jej serca uspokaja się, a strach stopniowo ją opuszcza.

- Jesteś już zdrowa? - spytał Li Sung. - Nie miałaś już gorączki?

- Już od ponad dwóch tygodni.

- Ale wciąż bierzesz *quinghao*, które ci dałem?

- Nie jestem głupim dzieciakiem. Li Sung. Wiem, że muszę być zdrowa. Przez chorobę straciłam prawie miesiąc pracy.

- I omal nie umarłaś. Zapomniałaś o tym nieważnym szczególe. - Przerwał. - Jesteś głupia, że ochraniaś tego człowieka, wiesz? To nie jest zabłąkany szczeniak.

- Wiesz, że go lubię.

Przemyślał to.

- Jest bardzo śmieszny, ale niebezpiecznie jest lubić Kartauka.

- Cóż, ja go lubię.

- Bo myślisz, że jest bezbronny, a to nieprawda. Wejdz mu w drogę, a przejedzie po tobie jak rozpędzona lokomotywa.

Prawdopodobnie miał rację, ale wiedziała, że nie może wydać Kartauka Abdarowi.

- Oddał mi przysługę. Wiesz, że byłam zrozpaczona.

- Sobie oddał przysługę. Był głodny, a ty go nakarmiłaś. - Skończył pleść warkocz, po czym wyjął ze swych roboczych spodni motek sznurka i związał jej włosy. - Jeśli Patrick dowie się o Kartauku, będzie zły.

Najeżyła się.

- Nie dowie się.

- Chyba że Abdar zażyczy sobie go wtajemniczyć.

- Nie robi tego. Kartauk powiedział mi, że Abdar nie chce, żeby jego ojciec dowiedział się o tych poszukiwaniach. - Jane odrzuciła swój warkocz. - A Patrick nie zadaje pytań. Jest zbyt zajęty budowaniem tej przeklętej linii kolejowej.

- Chcesz powiedzieć, że jest zbyt zajęty chlaniem, łajdaczeniem się i pozwalaniem ci na budowanie tej linii.

Nie zaprotestowała przeciw temu oskarżeniu, choć każdy poza Li Sungiem naraziłby się natychmiast na jej gwałtowną reakcję.

- Poprawi się, jak tylko wyjedziemy z Kasanpuru.

- To samo mówiłaś o Yorkshire. - Odwrócił ją i zaczął jej zapinać bluzkę. - Z każdym dniem robisz się chudsza i bardziej wymęczona, a Patrick coraz bardziej leniwy. I nic nie widzi. Albo go to nie obchodzi - dodał miękko.

- Obchodzi go! - Wyrwała mu się. - On po prostu nie wie, co... Ten upał go wykańcza.

- A już na pewno budzi w nim wielkie pragnienie.

Ze znużeniem pomyślała, że temu też nie może zaprzeczyć. Ostatnio Patrick zaczynał pić wczesnym popołudniem i nie ustawał, póki o północy nie dowlókł się do łóżka. Ale z pewnością jego pogłębiające się pijaństwo było spowodowane piekłem tego kraju. Jeden

Bóg wie, że trudności, jakie pokonywali w Anglii, były śmieszne w porównaniu z tym duszącym upałem, niewykwalifikowanymi robotnikami i maharadzą, którego nierealne żądania i obraźliwe groźby doprowadziły ich na krawędź bankructwa.

- Nie chcę o tym mówić. - Zanim wstała, ostrożnie wyjrzała przez przesmyk. - Muszę wrócić do bungalowu i trochę się przespać. Jutro zaczynamy kłaść tory na moście przez Wąwóz Sikor.

- A Patrick będzie się gdzieś szwendał w promieniu mili od domu.

- Nie. Obiecał mi, że... - przerwała, napotkawszy spokojny wzrok Li Sunga, a potem wybuchła: - Jeśli go nie będzie, nic mnie to nie obchodzi! Niewielki kłopot! Tak też dobrze!

- Dobrze, że ty pracujesz, a Patrick bierze pieniądze?

- On mnie potrzebuje!

- I tak poświęcasz się, poświęcasz, aż nic więcej nie będzie do oddania. - Powstrzymał ją gestem. - Ale dlaczego mam narzekać? Ja, tak jak Patrick, też tylko biorę.

- Bzdura! Zawsze pracowałeś przy tej linii więcej niż ktokolwiek inny. - Wstała i ostrożnie wyszła z cienia.

- A jeśli Abdar czeka na ciebie przy bungalowie?

- Pójdę dookoła i wejdem tylnym wejściem. - Przerwała i uśmiechnęła się do niego ponad ramieniem. - Nie martw się o mnie. Po prostu pilnuj Kartauka i powiedz mu, że szukam sposobu na wyciągnięcie go z Kasanpuru.

- On nie jest niecierpliwy. - Spojrzał na dłuto, które mu dała. - Czasem zastanawiam się, czy on w ogóle zdaje sobie sprawę z upływu czasu.

Wiedziała, co ma na myśli. Ona też widywała Kartauka w tym stanie zapomnienia.

- Nie może tu zostać na zawsze, skoro Abdar go szuka. Musimy go wyciągnąć. - Zawahała się, kiedy nagle myśl zaświtała jej w głowie. - Chyba nie czekałeś tu, na bazarze, bo właśnie wracałeś od Zabrie?

Li Sung spojrzał na nią bez wyrazu.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- No więc? - nalegała.

Wzruszył ramionami.

- Mężczyzna ma potrzeby.

- Abdar widział cię ze mną w domu. To byłoby dla ciebie niebezpieczne, gdyby cię widziano w mieście.

- Upewnię się, że nie prowadzę go do Kartauka.

- Nie o to chodzi! To niebezpieczne dla ciebie, gdyby...

- Nie twoje zmartwienie.

Znów się w sobie zamykał. Poczula bezsilność i rozgoryczenie. Czasami Li Sung wydawał jej się równie stary jak Budda, innym razem był tylko wrażliwym, dumnym, młodym mężczyzną. Nie umiała mu powiedzieć, że właśnie to ją martwi, i że to, co miało być aktem współczucia, może go teraz wciągnąć w sieci.

- Czy przynajmniej obiecasz mi, że będziesz ostrożny?

Uśmiechnął się.

- Zawsze!

Była to jedyna obietnica, jaką mogła od niego uzyskać, lecz wiedziała, że jeśli niebezpieczeństwo będzie nadal zagrażało, trzeba będzie coś zrobić z Zabrie.

- To postaraj się! - Nie czekając na odpowiedź wyslizgnęła się spoza straganu i ostrożnie, rozglądając się w obie strony, ruszyła swobodnie przez bazar.

2

*Pałac Savitsar, Kasanpur,
Indie 30 maja 1876*

Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego. - Ian patrzył ze wstrętem na wysoką na cztery stopy rzeźbę, stojącą na ozdobnym stoliku z drzewa lękowego. - Co to jest, do diabła?

- Wspaniałe dzieło sztuki. - Ruel z szacunkiem dotknął złotych kropli krwi ociekających ze sztyletu, trzymanego przez kobietę w sań, centralną postać rzeźby. Obszedł stół dookoła, żeby obejrzeć ją ze wszystkich stron. - Na Boga! Spójrz na jej wyraz twarzy! Jak mu się

udało uchwycić tę wrogość?...

- Nie mam ochoty patrzeć dłużej na tego pogańskiego bożka. Ten książę Abdar musi być bardzo szczególnym człowiekiem, skoro w swojej komnacie audiencyjnej trzyma coś takiego. Nie rozumiem, jak możesz nazywać to... - Przerwał i skrzywił się ze smutkiem. - No tak. Złoto. Nawet szatana uznałbyś za pięknego, gdyby nosił płaszcz ze złota.

Ruel uśmiechnął się do niego ponad ramieniem.

- Sam płaszcz to mało, ale może gdyby był ubrany z takim smakiem jak ta fascynująca dama... - Jego wzrok wrócił do rzeźby. - Ciekawe, kim był artysta.

- Zapewne jakaś zwichnięta dusza, zmarła przed bekami. - Ian nagle zmarszczył czoło. - Tylko nie pytaj księcia Abdara o to szkaradztwo! Słyszałem, że ci poganie są bardzo czuli na punkcie swoich bogów i bogiń, a nie chcę, żeby mnie rzucono krokodyłom.

- Nie masz się czym martwić. Udławiłyby się tobą - mruknął Ruel. - Ten sztywny kręgosłup moralny i nieugięte zasady by je podusiły. - Kucnął, żeby pod innym kątem obejrzeć rzeźbę. - Mnie połknęłyby bez kłopotów. Grzech jest zawsze apetyczniejszy od cnoty.

- Przestań opowiadać bzdury - burknął Ian. - Nie jesteś taki zły, jakim...

- Ależ jestem! - Uśmiechnął się kpiąco Ruel. - Powinieneś o tym wiedzieć, biorąc pod uwagę, z jakiej piekielnej dziury mnie wyciągnąłeś kilka miesięcy temu. Mam dokładnie tyle zasad moralnych co kocur i nie mam ochoty tego zmieniać. Lepiej mnie zostaw i wracaj do Maggie i uroczej Szkocji.

- Margaret - odruchowo poprawił go Ian. - Wiesz, że nienawidzi być nazywana Maggie.

- Margaret - poprawił się posłusznie Ruel. - Naprawdę powinieneś wrócić do Margaret, chłodnych, zamglonych wzgórz i czystości moralnej. Ty tu nie pasujesz.

- Ani ty - przerwał mu Ian. - Ten pogański kraj nie jest dobrym miejscem do życia dla żadnego cywilizowanego człowieka.

- Jest bardziej cywilizowany od większości miejsc, w których mieszkałem przez ostatnie dwanaście lat. Powinieneś być zobaczyć obóz poszukiwaczy złota w Zwanigar. - Pokręcił głową. - Chociaż nie, chyba nie powinieneś. Tam krokodyłami byli ludzie, a ty jesteś zbyt prostolinijny, żeby to przetrwać.

- Ty przetrwałeś.

- Tylko dlatego, że zostałem królem krokodyli.

- Uśmiechnął się szeroko. - I nauczyłem się używać zębów.

- To jeszcze jeden powód, żebyś wracał do domu. Ta przekłeta dzikość Wschodu nie jest dla ciebie dobra.

- Miejsce jak każde inne. - Uśmiech Ruela przygasł, kiedy dostrzegł nieszczęśliwy wyraz twarzy Iana. Zdawał sobie sprawę, że brat okropnie się czuł z daleka od Glencaren, a jednak od przyjazdu do Kasanpuru był niezwykle cierpliwy i pomocny. Powiedział więc cicho: - Obiecuję, że nie będę obrażał jego królewskiej wysokości bezceremonialnymi uwagami po tych wszystkich kłopotach, które zwalczyłeś, żeby uzyskać audiencję.

- Nie wierzę, żebyś dostał od tego księcia to, czego chcesz, ale wiem, że nie poddałbyś się bez choćby rozmowy.

- Masz rację, nie poddałbym się.

- Poza tym moje wysiłki prawdopodobnie na nic się nie zdadzą - powiedział Ian. - Pułkownik mówi, że książę Abdar nie lubi swego ojca, maharadży, i ma z nim bardzo mało do czynienia.

Resztki kpiarstwa zniknęły z twarzy Ruela.

- I tak masz moją wdzięczność za podjęcie wysiłku. Wiem, że uważasz to przedsięwzięcie za głupotę.

- Wdzięczność? - Ian spojrział z zaskoczeniem, a jego pospolitą twarz rozjaśnił uśmiech. - Uważaj, Ruelu, wdzięczność jest jednym z tych uczuć wyższych, przez które wiedzie droga do cnoty.

- Nic mi nie grozi. - Wzrok Ruela wrócił do rzeźby. Coś w posągu nie dawało mu spokoju. Zdał sobie sprawę, że to nie sam posąg, lecz sposób jego wyeksponowania, dowodzący, jak cenny jest dla właściciela. Powiedział impulsywnie: - Zrobiłeś już swoje. Dalej ja będę ciągnął tę sprawę. Może wrócisz do hotelu i zaczekasz na mnie?

- Możesz mnie potrzebować.

- Słuchaj, kręcę się po tej części świata dłużej niż ty. Wiem, jak...
- Zobaczymy.
- Do cholery, obiecuję, że nie pozwolę Abdarowi, żeby mną nakarmił krokodyle!
Ian nie odpowiedział.
- Dobra, zostań, ale pozwól, że ja będę mówił. Wydaje mi się, że Abdar i ja nie będziemy mieć kłopotów w porozumieniu się.
- To ja jestem starszy, więc wypada, żebym to ja przedstawił prośbę.
Ruel zdał sobie sprawę, że jego brat naprawdę tak myśli. Ian nie rozumiał, że te siedem lat nic nie znaczyło. Jego życie w Glencaren upływało spokojnie ustalonym trybem, podczas kiedy losy Ruela przypominały ruchy monsunu.
- Niech Bóg cię broni przed zrobieniem czegoś, co nie wypada. - Ruel wyciągnął rękę do rzeźby i przesunął palcem po ostrzu sztyletu. - A mnie przed zrobieniem czegokolwiek, co wypada. Rób, jak uważasz. To był tylko przelotny pomysł.
- Jesteś uprzejmy i troskliwy. - Surowe oblicze Iana złagodniało. - Następny krok.
- Nie jestem tros... - Ruel odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. - Dobry Boże, nie dasz za wygraną, dopóki nie będę miał nad głową aureoli! Ile razy mam ci powtarzać, że nie jestem...
- Dzień dobry, panowie! Widzę, że podziwiacie moją rzeźbę. Czyż nie jest to czyste piękno?
- Ian i Ruel odwrócili się i zobaczyli Hindusa, ubranego w długą, ciemnoniebieską, jedwabną kurtkę, białe jedwabne spodnie i biały turban. Wysoki, szczupły, pełnym wdzięku i gibkości ruchem podszedł do nich po mozaice posadzki. - Jestem bardzo dumny z mojej bogini. Jest dla mnie bardzo droga. - Zatrzymał się przed nimi. - Jestem Abdar Savitsar.
Twarz księcia była pełna, gładka, prawie chłopięca, lecz jego wielkie, ciemne oczy miały dziwny wyraz matowej pustki, jak nieszlifowany onyks.
- Wasza Wysokość! - Ian skłonił się lekko. - To bardzo uprzejme z twojej strony, że raczyłeś nas przyjąć. Jestem Ian MacClaren, hrabia Glencaren, a to mój brat, Ruel.
- Anglicy?
- Szkoci.
Abdar machnął niedbale ręką.
- To to samo.
- Nie dla Szkotów - mruknął obojętnym głosem Ruel.
Abdar zwrócił ku niemu swą twarz i Ruel zeszywniał w nagłym poczuciu niebezpieczeństwa. Ta twarz, mimo że niemal dziecinna, wywołała ten sam niepokój, który odczuł oglądając rzeźbę.
Książę przez chwilę przyglądał się Ruelowi, po czym znów spojrzał na Iana.
- Nie wyglądacie jak bracia. Nie widzę żadnego podobieństwa.
- Jesteśmy przyrodnimi braćmi - wyjaśnił Ian. Spojrzenie Abdara powędrowało do dłoni Ruela, spoczywającej na sztylcie rzeźby.
- Nie powinieneś jej dotykać. Dotykanie bogini przez cudzoziemca to świętokradztwo.
Ruel odsunął rękę od posągu.
- Proszę o wybaczenie. Powierzchnia złota aż się prosi, żeby jej dotykać. Dla mnie ta pokusa zawsze była nie do odparcia.
Abdar nagle skupił wzrok na Ruelu.
- Masz zamiłowanie do złota?
- Raczej nazwałbym to pasją.
Abdar skinął głową.
- A więc znaleźliśmy płaszczyznę porozumienia. Ja również mam taką pasję. - Przeszedł przez pokój i zasiadł na turkusowych poduszkach pięknie rzeźbionego, ozdobnego krzesła. - Pułkownik Pickering powiedział mojemu sekretarzowi, że chcecie mnie prosić o łaskę. Mam mało czasu. Jak brzmi wasza prośba?
- Chcemy uzyskać audiencję u twojego ojca, maharadży - powiedział Ian. - Od kiedy jesteśmy w Kasanpurze, to znaczy od dwóch tygodni, usiłujemy załatwić sobie takie spotkanie.
- On obecnie spotyka się z bardzo niewielu osobami. Dbą tylko o swą najnowszą zabawkę, kolej żelazną. - Abdar wyduł wargi w kwaśnym uśmiechu. - Ale dziwię się, że nie udało się

wam. Mój ojciec wierzy, że Brytyjczycy są jego szczerymi braćmi, wysłał mnie nawet na naukę do Oksfordu. Nie widzi, że brytyjska królowa chce zrobić z niego marionetkę w Kananpurze.

- Mamy dla twojego ojca propozycję interesu, który nie ma nic wspólnego z polityką Indii czy Anglii - powiełał Ian. - Prosimy tylko o dziesięć minut jego czasu.

- To za dużo. - Abdar wstał. - Nie mogę wam pomóc.

Ruel zatrzęsł się z niezadowolenia, ale rozpoznał wyraz twarzy Abdara. Był zbyt dobrym pokerzystą, żeby nie zorientować się, że to, co wyglądało na odprawę, miało ich tylko onieśmielić.

- Nie mogę czy nie chcę? - spytał miękko.

- Bezczelność - powiedział Abdar. - Jak na drugiego syna jesteś bardzo arogancki.

- Proszę mi wybaczyć. Wasza Wysokość, ale zawsze kierowałem się zasadą, że mężczyzna nie powinien się bać utraty tego, czego nie posiada. - Przerwał. - I że nie powinien nigdy prosić o nic, za co nie jest gotów zapłacić.

- A czym jesteś gotów zapłacić za moje poparcie twojej prośby?

- A czego chcesz?

- Dlaczego miałbym czegoś od was chcieć? - Abdar uśmiechnął się pogardliwie, ruchem ręki pokazując bogactwo jego otoczenia. - Spójrzcie wokół. Czy robię wrażenie człowieka w potrzebie? - Wydał usta. - Za klejnot, który noszę na małym palcu, prawdopodobnie mógłbym kupić wasze Glencaren.

- Zapewne. - Ruel oparł się na stole. - Ale czasami żądza ma bardzo niewiele wspólnego z potrzebami. Dlaczego zgodziłeś się nas przyjąć. Wasza Wysokość?

- Z uprzejmości wobec pułkownika Pickeringa.

Ruel pokręcił głową.

- Nie sędzę. Nie przejawiasz przesadnej sympatii dla Brytyjczyków.

- A więc dlaczego miałbym pozwolić wam przyjść?

- Właśnie, dlaczego?

Abdar zawahał się i pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Możliwe, że coś wynegocjujemy. Jest coś, czego bardzo chcę, a wy możecie mi to dostarczyć.

- Co to jest?

- Człowiek. - Kiwnął głową w stronę posągu stojącego na stoliku. - Złotnik o nazwisku John Kartauk.

- On to stworzył? - Wzrok Ruela wrócił do bogini. - Znakomite!

- Geniusz! Sześć lat temu mój ojciec przywiózł go z Turcji i objął naszym królewskim protektoratem. Kartauk stworzył wiele pięknych dzieł dla upiększenia naszych pałaców. - Zaciśnął usta. - A potem ten niewdzięczny pies wzgardził naszą łaskawością i zbiegł.

- Zbiegł? - Ruel uniósł brwi. - Zdziwiający. Dlaczego tak faworyzowany artysta miałby zdecydować się na ucieczkę?

Abdar umknął wzrokiem i nie od razu udzielił odpowiedzi.

- Mój angielski nie jest dobry. Miałem raczej na myśli, że opuścił nas bez pożegnania.

Ruel pomyślał cynicznie, że angielski Abdara jest lepszy niż jego, i że książe miał na myśli dokładnie to, co powiedział.

- I nie podałeś przyczyn?

- Wielcy artyści są często chwiejni i ulegają zachciankom. - Abdar wzruszył ramionami. - Niemniej, jestem gotów mu przebaczyć i przyjąć go z powrotem.

- Jakże wielkodusznie!

Abdar postanowił zignorować ironię w głosie Ruela.

- Owszem, jednak aby go namówić do powrotu, muszę go znaleźć.

- Może nie ma go już w Kananpurze - powiedział Ian.

- Ciągle tu jest. Ostatnio widziałem jego nowe dzieło.

- Gdzie?

- Wiecie o kolei żelaznej, którą mój ojciec kazał wybudować pomiędzy Kananpurem a naszym letnim pałacem w Narinth?

- Trudno nie wiedzieć - oschle odpowiedział Ian. - Wygląda na to, że w tym mieście

wszyscy przy niej pracują.

- Mój ojciec jest jak dziecko, które dostanie nową zabawkę. Ściągnął z Anglii tego Patricka Reilly'ego, inżyniera budowlanego, i o niczym innym nie mówi. Interesują go tylko silniki, gwizdki i kryte welurem Cedzenia, które... - Przerwał i głęboko westchnął. - Nie lubię tych wszystkich nowinek. Ta kolej to ohydztwo. W każdym razie mój ojciec uznał, że dla upiększenia swego prywatnego wagonu chce mieć drzwi ze złota, rzeźbione w wymyślne wzory. Nalegał, żeby Reilly dostarczył takie drzwi.

- To raczej ekstrawaganckie żądanie.

- Nie w przypadku maharadży. - Abdar uniósł wyniośle głowę. - Naszym prawem jest żądać tego, co nas raduje, od tych, którzy są od nas niżsi.

- Czy Reilly spełnił żądanie twojego ojca?

- W końcu tak. Ojciec powiedział mu, że jeśli nie wstawi tych drzwi, nic mu nie zapłaci i znajdzie innego inżyniera budowlanego, żeby ukończył linię.

- To mogło istotnie stanowić zachętę - zauważył sucho Ruel.

- Drzwi wyrzeźbił Kartauk.

- Jesteś pewien?

- Dobrze znam jego rękę. - Usta Abdara zwęziły się. - Te drzwi to przepiękne paskudztwo.

- Przepiękne paskudztwo - powtórzył powoli Ruel. - Chyba powinno być albo jedno, albo drugie.

Abdar wzruszył ramionami.

- Znowu mój kiepski angielski.

- Rozwiązanie wydaje się być całkiem proste. Spytaj Reilly'ego, gdzie można znaleźć tego twojego artystę.

- Czy uważasz mnie za głupiego? Zapytałem go oczywiście, ale on twierdzi, że nic nie wie o Kartauku. Powiedział mi, że jego wychowanica znalazła w mieście jakiegoś człowieka, żeby wykonał tę pracę, a kiedy ją wypytywałem, nic mi nie powiedziała. Wyjaśniła, że to był po prostu miejscowy złotnik, który zaraz po ukończeniu drzwi wyjechał do Kalkuty.

- Co to za kobieta?

Abdar gwałtownie poruszył głową i nagle jego słowa stały się ciężkie od jadu.

- Reilly nazywają swoją wychowanica, ale to popychle jest bez wątpienia jego dziwką. Nazywa się Jane Barnaby, bezczelne stworzenie, bez manier i z niewyparzoną językiem. Odwiedza zamtuż Zabrie, gdzie zadaje się i śpi z cudzoziemcami i robotnikami niskich kast, i nie ma...

- Przekup ją! - wtrącił się w tę tyradę Ruel.

- Nie daję pieniędzy dziwkom i kłamcom.

- Szkoda. To takie użyteczne narzędzie.

- Niemniej kazałem ją obserwować. Nie spotkała się z Kartaukiem przez ostatnie dwa tygodnie.

- Może więc powiedziała prawdę i on rzeczywiście wyjechał do Kalkuty.

- Nie mógł opuścić miasta! Kasanpur jest mój. Tutaj nikt nie oddycha bez mojej wiedzy!

- A jednak Kartauk zdołał się ukryć i ozdobić całe drzwi bez twojej wiedzy.

Rumieniec pokrył oliwkowe policzki Abdara.

- Powoli przestaję tolerować twoją bezczelność. Może jednak wcale nie potrzebuję waszej pomocy?

Ian wtrącił się szybko:

- Co chcesz, żebyśmy zrobili?

- Powiedziałem wam, znajdźcie Kartauka i przyprowadźcie go do mnie. Jego matka była Szkotką, a on tak samo darzy sympatią ludzi waszej narodowości, jak mój ojciec. Być może zaufa wam, skoro nie dowierza człowiekowi mojej rasy.

- A jak według ciebie mamy go znaleźć?

- Ta kobieta. Ta dziwka Barnaby musi sypiać z Kartaukiem, tak jak z Reillym, bo inaczej nie podejmowałaby takiego ryzyka. - Wzruszył ramionami. - To mnie nie dziwi. Reilly nie jest już pierwszej młodości, a Kartauk to mężczyzna w sile wieku.

Ruel skupił wzrok na twarzy Abdara.

- A jakie ryzyko właściwie ona podejmuje?

Abdar uśmiechnął się dobrotliwie.

- No, jakże, ryzyko obrażenia mojego ojca swym kłamstwem, oczywiście. O jakim innym ryzyku mógłbym mówić?

- A w zamian zorganizujesz nam spotkanie z twoim ojcem?

- Tak.

- I wszelkimi swoimi wpływami pomożesz nam uzyskać to, o co nam chodzi?

- A czego właściwie od niego chcecie?

Ruel pokręcił głową.

- Myślę, że w tej chwili nie będziemy o tym rozmawiać.

- I oczekujecie, że przyrzeknę w ciemno? - Abdar nie czekał na odpowiedź. - Dobrze, to nie ma znaczenia. Sprowadźcie mi Kartauka, a dam wam, co tylko chcecie. - Odwrócił się i odszedł na drugi koniec komnaty. Przy drzwiach zatrzymał się, spojrzawszy przez ramię na Ruela i na moment dziwny uśmiech wykrzywił jego usta. - Chciałbym, żebyś pozował Kartaukowi.

- Co?

- Rysy twojej twarzy zawierają specyficzne piękno, przypominające mi boga słońca, czczonego przez Greków. Kiedy już będę miał Kartauka z powrotem, chcę, żebyś mu pozował do złotej maski na ścianę w moim gabinecie.

- Raczej nie.

- Umieć być bardzo przekonujący. Przedyskutujemy to później. - W następnej chwili drzwi zamknęły się za nim.

- Arogancki skurwiol - powiedział Ian.

- Tak - odrzekł nieobecny głosem Ruel, wpatrując się w rzeźbioną powierzchnię drzwi. - Ale on może być w stanie dać mi Cinnidar.

- Masz zamiar szukać tego Kartauka?

- Nie. - Ruel ruszył w stronę drzwi. - Mam zamiar znaleźć Kartauka.

Podążając za bratem Ian zmarszczył czoło.

- Nie wiem, czy powinniśmy wchodzić w układy z Abdarem. Kartauk mógł mieć naprawdę istotne powody do opuszczenia dworu.

- Jestem pewny, że je miał. Ale nie ważniejsze niż ja do odnalezienia go.

- Masz obsesję.

- Zapewne.

- Nawet jak go znajdziesz, nie oddasz go Abdarowi.

- O to bym się nie zakładał. Podejmę decyzję, kiedy już go odnajdę.

- Ja jednak bym się założył - powiedział łagodnie Ian. - Masz zamiar obserwować i śledzić tę kobietę?

- Chyba tak.

- Ale Abdar powiedział, że nie spotkała się z Kartaukiem przez ostatnie dwa tygodnie.

- Z tego powodu powinna być rozdrażniona i chętna wskoczyć mu do łóżka przy pierwszej sposobności.

- Nawet jeśli to będzie oznaczać dla niego niebezpieczeństwo? Czym można usprawiedliwić takie postępowanie?

Ruel wydał cynicznie usta, rzucając przekleństwo.

Ian gwałtownie potrząsnął głową.

- Cieleśne przyjemności nie mogą być tak ważne.

- Może dla ciebie! - Ruel popatrzył na niego drwiąco. - Ale dla pobłażających sobie lubieżników jak Jane Barnaby i ja, ich brak może wywołać chwilową gorączkę, a wówczas wydają się być warte dużego ryzyka.

- Przecież nawet nie wiesz, czy to, co o niej mówił, to prawda.

- Zgadza się. Przyznaję, że odmalowany przez niego jej obraz jest zbyt czarny. Nawet najbardziej rozwiązłe dziwki nie z każdym idą do łóżka. Zobaczymy.

Spojrzawszy znów na rzeźbę, Ian wzruszył ramionami.

- Człowiek, który może czcić takie okropieństwo, jest zdolny do każdego fałszu.

- Zapewne. - Ruel uśmiechnął się beztrudnie, podążając za wzrokiem Iana. - Ale Abdar miał rację. Jego Wysokość i ja mamy szeroką płaszczyznę porozumienia. Jego pani nie jest moją

ulubioną boginią, ale miałem już z nią do czynienia i znam dobrze jej metody.

- Co to za bogini?

- Kali.

- Nic mi to nie mówi. Wiesz, że nie bardzo mnie interesują pogańskie praktyki.

- To żona Sziwy. - Ruel szybko przeszedł przez hol obok dwóch lokajów w turbanach i wyszedł przed główne Ujście pałacu. Na najwyższym schodku zatrzymał się na chwilę, kiedy wilgotny upał zaparł mu dech w piersiach, i popatrzył na muliste wody rzeki Zastu, wijącej się jak wąż opodal pałacu. Pólnagi, wychudzony żebrak siedział w kucki nad rzeką, ocieniony parasolem z liści palmowych, i błogosławił przechodniom, którzy rzucali mu rupie, a przeklinał tych, którzy mijali go obojętnie.

Kasanpur. Chryste, co za podłe miejsce! Gorące, śmierdzące, zawładnięte przez zarazy i węże, te pełzające po ziemi i te chodzące na dwóch nogach.

Kiedy Ian go dogonił, Ruel ruszył w dół stustopniowych schodów, prosto do rikszy, która czekała na nich za bramą pałacu.

- Ale to nie jest jedyna cecha Kali - powiedział Ruel, kontynuując swoją wypowiedź. - Dama, którą Abdar tak wielbi, jest też boginią zniszczenia.

Jane Barnaby była zupełnie inna, niż myślał.

Ruel oparł się plecami o skałę i zsunął swój filcowy kapelusz na czoło, żeby osłonić oczy przed słońcem. Patrzył w dół doliny, na robotników pracujących przy układaniu torów. Z opisu Abdara stworzył sobie obraz posągowo pięknej lecz wrzaskliwej jędzy, ale żadne z tych określeń nie pasowało do Jane Barnaby. Drobną, proporcjonalnie zbudowaną, wyglądała wręcz dziecinnie w workowatych, płóciennych spodniach, luźnej, niebieskiej koszuli i brązowych, zamszowych butach. Przed bezlitosnymi promieniami słońca jej głowę chronił brązowy słomiany kapelusz. Szła wzdłuż torów, zatrzymując się co jakiś czas, żeby sprawdzić mocowanie lub ostro przemówić do robotnika, który niedbale ubijał podkład. Jej każdy krok, każdy najmniejszy ruch naładowane były energią i żywiołowością, ale nie zawsze tak było. Ruel widział już, jak pod koniec dnia, po zwolnieniu robotników, kiedy myślała, że nikt nie dostrzeże jej słabości, opierała czoło o siodło swej klaczy, Bedelii, a jej ramiona przygarbiały się z wyczerpania. Potem zbierała siły, żeby wspiąć się na konia i wyruszyć w długą drogę powrotną do Kasanpuru.

Jane zatrzymała się, skupiając wzrok na żylastym Hindusie, którego ruchy przy wbijaniu zbrojenia w ziemię były wręcz leniwe. Ruel uśmiechnął się widząc, jak jej barki unoszą się do linii prostej, a szczęki zaciskają. Rozpoznał te przejawy rozzłoszczenia i zdecydowania tak samo, jak rozpoznawał już każdy gest i rum, jaki wykonywała. To dziwne, jak szybko nauczył się „odczytywać” tę kobietę. Myślał, że obserwacja będzie go nudzić, odkrył jednak, że jest zaintrygowany, zafascynowany, a często rozbawiony.

Energicznie podeszła do Hindusa i zatrzymała się przed nim. Ruel nie mógł usłyszeć jej słów, ale sądząc po chmurnym spojrzeniu mężczyzny nastąpiła poważna reprimenda. Odwróciła się i odeszła. Hindus patrzył na nią, a jego rysy wykrzywił paskudny wyraz. Jednakże on został na miejscu, i to nie tylko ze względu na śniadego nadzorcę, Robinsona, obserwującego go od strony drogi. Wiedział o nożu ukrytym w lewym bucie Jane Barnaby

Ruel też o nim wiedział.

Po chwili Hindus podniósł swój wielki młot i zaczął wbijać hacel z nieco większym entuzjazmem.

- Dlaczego nie dasz sobie spokoju?

Ruel obejrzał się i zobaczył Iana, wspinającego się na wzgórze od strony kępy drzew, w której, jak Ruel, uwiązał swojego konia.

- A dlaczego miałbym dać sobie spokój? Ona jest kluczem do Kartauka.

- Obserwujesz od czterech dni, a ona nie robi nic, tylko haruje jak galernik. - Ian przykucnął obok Ruela. - Nie widzisz, że Abdar cię okłamał? Ona nie może być kochanką Kartauka. Popatrz tylko na nią! To prawie dziecko.

- Wygląd prawie zawsze zwodzi. Przypomnij mi, żebyś ci opowiedział o dziwce, którą miałem kiedyś w Singapurze. Mei Lei miała twarz aniołeczka i równie wspaniałe skłonności do zepsucia jak Dalila. - Jego wzrok wrócił do kobiety tam w dole. - Czego się dowiedziałeś o

Reillym od pułkownika Pickeringa?

- Niewiele. Reilly nie jest wykształcony, ale ma niezły charakter i pije jak smok. W Yorkshire dorobił się Elkiem dobrej reputacji i po ukończeniu budowy linii między Dover a Salisbury przyjął zlecenie na tę robotę.

- A kobieta?

Ian wzruszył ramionami.

- Nikt jej nigdzie nie widuje. Nigdy z nim nie przychodzi do klubu. Wyraźnie Reilly trzyma ją dla siebie.

- A ich stosunki?

Wzrok Iana wyrażał zakłopotanie.

- No cóż, są plotki... ale nikt nie wie nic na pewno. - Jego spojrzenie przeniosło się na Jane w dolinie u ich stóp. - Sądzę, że to wszystko bzdury, a ona istotnie jest wychowanką Reilly'ego.

- Po prostu chcesz w to wierzyć.

Spojrzawszy na Ruela Ian pokręcił głową.

- A ty nie. Dlaczego?

Ruel z zaskoczeniem skonstatował, że Ian ma rację. Rzeczywiście chciał, żeby Jane Barnaby okazała się taką puszczającą się kurwą, jak to opisał Abdar. Przyczyna tkwiła zapewne w tej dziwnej fascynacji, jaką w nim wzbudziła. Zniecierpliwiony pomyślał, że to nie może być żądza. Jak mógłby chcieć tego kościstego, wielkookiego chucherka? Nie była to też litość. Nawet zupełnie wyczerpana przejawiała siłę woli i wytrzymałość, które wykluczały współczucie. A jednak w jakiś sposób go poruszała.

Ten wniosek wywołał w nim natychmiastowy odruch obronny. Boże, słońce musiało mu rozmiękczyć mózg! Nikomu nie pozwoli na igranie ze swymi uczuciami, a już na pewno nie kobiecie, którą zapewne wykorzysta w celu odnalezienia Kartauka. Zwrócił się do Iana i uśmiechnął cynicznie.

- Nie mam takiej wiary w naturę ludzką jak ty. Wszyscy jesteśmy tacy, jakimi ukształtuje nas życie. A śmiem twierdzić, że życie Jane Barnaby było równie burzliwe jak moje.

- A ja ciągle uważam, że... - Ian wzruszył ramionami, napotkawszy wzrok brata. - Siedzisz na słońcu wiele godzin. Chcesz, żebym ją obserwował przez resztę dnia?

- Nie! - Ian aż uniósł brwi, zaskoczony szybkością odpowiedzi. Ruel zapanował nad głosem: - Jestem przyzwyczajony do upału. Ty pewnie dostałbyś udaru po godzinie.

- Zapewne masz rację. Nie rozumiem, jak możesz to znosić. - Głos Iana zdradził tęsknotę. - W Glencaren nigdy nie jest tak gorąco. Pamiętasz, jak chłodna mgła wstaje rano ze wzgórz?

- Nie, nie pamiętam.

Ian uśmiechnął się.

- To będziesz miał niespodziankę, kiedy już do nas wrócisz. - Wstał. - Skoro nie chcesz, żebym ci teraz pomagał, to ja przejmę obserwację jej bungalowu dziś wieczorem.

- Zobaczymy.

- Sam nie wiesz, kiedy przestać. Zaczynasz mieć na punkcie obserwacji tego dzieciaka taką samą obsesję, jak na punkcie Cinnidaru.

- Ona nie jest dzieckiem. - I znów słowa zabrzmiały zbyt obcesowo, więc Ruel zmusił się do beztróskiego uśmiechu. - Jeśli chcesz pomóc, wracaj do Klubu Oficerskiego i spróbuj dowiedzieć się od Pickeringa, czy maharadża ma jakieś inne pasje poza swoją nową zabawką, koleją żelazną. Ian wyjął chusteczkę, wytarł spocone czoło i pokiwał głową.

- Nie będę się z tobą sprzeczał. Chłodny drink na werandzie, wachlujący cię służący, to wydaje mi się teraz niebem na ziemi... - Odwrócił się i ruszył w dół stoku w stronę koni. - Do zobaczenia w hotelu.

- Tak - powiedział Ruel nieobecny głosem, odwracając się i znów spoglądając na kobietę w dolinie. Jane zatrzymała się właśnie przy nosiwodzie i wzięła od niego pełen czerpak. Pijąc odchyliła do tyłu głowę, a Ruel obserwował zgrabną linię jej szyi i ciemne rzęsy, dochodzące do opalonych policzków, kiedy przymknęła oczy, mrużąc je przed słońcem.

Czekał, będąc pewien, że wie, co dziewczyna teraz robi. Kiedy się napije, ochłapie wodą szyję i policzki, a potem przeciągnie wilgotną ręką pod tym ciężkim warkoczem, który zakrywa jej kark.

Oddała czerpak nosiwodzie, który uśmiechnął się, napełnił go powtórnie i nalał wody w jej złożone dłonie.

Ruel znów oparł się plecami o skałę, patrząc, jak Jane zwilża sobie policzki, czoło, potem szyję i kark. To było idiotyczne, czuć taką absurdalną satysfakcję tylko dlatego, że zrobiła dokładnie to, co przewidywał. Jednak jego zadowolenie nie zniknęło, wzrosło nawet, kiedy oddała czerpak nosiwodzie.

Teraz pójdzie z powrotem do miejsca, gdzie położono nowe tory, i sprawdzi podkłady, potem zmierzy odległość między szynami, żeby się upewnić, że wynosi ona dokładnie cztery stopy i osiem i pół cala.

Jane odwróciła się i energicznie pomaszerowała wzdłuż świeżo położonych torów do ich początku.

Zaśmiał się miękko i przesunął kapelusz na tył głowy. Na Boga, przejrzał ją na wylot! Miał wrażenie, że w całym swoim życiu nie poznał nikogo tak dobrze jak Jane Barnaby. Znał jej każdy gest, każdą reakcję, prawie każdą myśl!

Jego uśmiech znikł. Przyjemność, którą odczuwał, była mu znana. Doświadczenie podpowiadało mu, że taką przyjemność odczuwa mężczyzna, kiedy poznaje chód dobrego niedawno kupionego konia lub dokonuje pierwszych zmysłowych odkryć przy utalentowanej kochance.

To przyjemność posiadania.

Nonsens. Nie miał ochoty nikogo posiadać, a jego namiętność budziło tylko to, co go oczekiwano w Cinnidarze. Był raczej znudzony, a przewidywanie następnych ruchów dziewczyny tylko go bawiło. Poza tym zapoznawanie się z jej sposobem myślenia miało sens, jeśli zaprowadziłoby go do Kartauka.

Prace posuwają się zbyt wolno. - Patrick wyciągnął swoje długie nogi pod stołem i uniósł do ust szklaneczkę z whisky. - Maharadża złożył mi wizytę dziś po południu. Ten bydlak mówi, że chce, aby linia kolejowa była ukończona przed porą monsunową.

- No cóż, nic z tego. - Jane ze znużeniem spojrzała na ryż z kurczakiem na swoim talerzu. Była zbyt zmęczona, żeby jeść, lecz wiedziała, że musi. Jedzenie daje siłę, a ona musi być silna. Wzięła widelec i wbiła go w górkę ryżu. - Deszcze zaczynają się za dwa tygodnie, a my dopiero ukończyliśmy most przez Wąwóz Sikor.

- No to żeby się połączyć z torami, które położyliśmy od Narinth, pozostaje tylko dwadzieścia pięć mil. Kładąc sześć mil dziennie, możemy...

- Nie robimy sześciu mil dziennie. Jak dobrze pójdzie, to dwie.

Patrick zaklął pod nosem.

- No to przyciśnij ich, do cholery!

Palce Jane zacisnęły się mocniej na widelcu.

- Robię, co mogę. Wiesz, że robotnicy mnie nie słuchają. - Uśmiechnęła się bezradnie. - Ci, którzy nie uważają mnie za wariatkę, traktują mnie jak kobietę, czyli niewartą uwagi.

- W Yorkshire brygada cię słuchała.

- Bo przez większość czasu byłeś na miejscu. Byli pewni, że tylko przekazuję twoje rozkazy.

- Ich oczy spotkały się nad stołem. - Tutaj też tak może być, jeśli codziennie choćby na moment się pojawisz.

Zaczerwienił się.

- Przez ten piekielny upał boli mnie głowa. Masz Robinsona do pomocy.

- Robinson to tylko nadzorca. Przyjdź chociaż na godzinę. Potem możesz wrócić do Kasanpuru.

Przez chwilę milczał, wreszcie ciepły uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- Masz rację. Od jutra aż do zakończenia robót będę tam codziennie. - Przyjrzał się jej twarzy. - Wyglądasz na trochę zmaltretowaną. Może byś jutro została w łóżku i trochę odpoczęła?

- Wystarczy, jak prześpię noc. - Zjadła trochę ryżu. - Ale naprawdę byłoby dobrze, gdybyś jutro pojechał ze mną.

Skrzywił się.

- Dobry Boże, zachowujesz się, jak zrzędząca handlarka ryb. Powiedziałem, że przyjdę, czy

nie?

- Przepraszam. - Odsunęła talerz. - Dlaczego nic nie jesz?

- Jest za gorąco, żeby jeść. - Napełnił ponownie szklaneczkę z butelki stojącej na stole. - A nawet gdybym był głodny, nie strawiłbym tych pomyj. Nie rozumiem dlaczego musiałaś odesłać Li Sunga do Narinth. Od kiedy wyjechał, nie jadłem porządnego posiłku.

Szybko spuściła wzrok i wbiła go w swój talerz.

- Sula nie jest złą kucharką. Potrzebowałam kogoś w Narinth, by mieć pewność, że prace na stacji przebiegają bez problemów.

- Nikt przecież nie będzie zważał na rozkazy jakiegoś żółtka. - Zaczerwienił się, widząc wyraz jej twarzy. - No, oni go nie będą słuchać.

- Tak jak i nie będą słuchać kobiety - zgodziła się. - Ale może obserwować i informować nas, czy nie jesteśmy oszukiwani przez podwykonawcę, którego wynajęłaś do tej pracy. - Wstała i zaczęła zbierać naczynia ze stołu. - Postaraj się coś zjeść, bo jutro będziesz miał kaca.

- Później. - Patrick uniósł szklaneczkę do ust, a ona wiedziała, że zostawi jedzenie nietknięte. - Z maharadzą przyszedł ten przyjaciel księcia.

Zesztywniała.

- Pachtał?

Patrick przytaknął.

- Wygląda na całkiem miłego faceta. Kazał ci przekazać ukłony.

- Naprawdę? - Starła się, by jej głos brzmiał obojętnie. - Czy mówił coś jeszcze?

- Nie. - Patrick skrzywił się. - Mówił maharadza. Chciał wiedzieć, gdzie jest jego lokomotywa i kiedy skończymy układać szlak.

- Powiedziałaś mu, że lokomotywa przybędzie za parę dni?

- Będziemy mieli szczęście, jeśli ta przeklęta łódź nie pójdzie na dno rzeki razem z nią - powiedział ponuro Patrick. - W tej robocie jeszcze nic nie poszło prawidłowo. - Rozchmurzył się. - Przynajmniej lokomotywa go zadowoli. Zużyto na nią tyle mosiądzu, że jego blask go oślepi.

Spojrzała mu w twarz.

- Skąd miałaś na to pieniądze? Przecież miało nam z trudem wystarczyć na sam silnik.

- Udało mi się przyciąć parę wydatków. - Patrick, nie spojrzawszy na nią, jednym haustem wypił whisky. - Maharadza lubi połysk i blichtr, a my powinniśmy go utrzymywać w dobrym humorze.

- To prawda. - Stała i patrzyła na niego ze zmarszczonym czołem. - Jakie wydatki?

Machnął lekceważąco ręką.

- Po prostu wyrzuciłem to i owo. Nic ważnego.

- Na pewno?

- Przecież mówię! - powiedział rozdrażnionym tonem. - Jestem robotnikiem kolejowym od czternastego roku żyda, Jane. Chyba wiem, co robię.

- Chciałam tylko...

- Tu jest za gorąco. - Patrick odepchnął swoje krzesło, wstał i zgarnął ze stołu szklanekę i butelkę. - Idę na werandę, tam jest chłodniej.

„I nie ma kłopotliwych i niewygodnych pytań” - dokończyła w myślach Jane, patrząc, jak Patrick idzie do drzwi wiodących na zacienioną werandę. Jego chód był trochę niepewny, ale się nie zataczał. Znaczyło to, że w trakcie spotkania z maharadzą i Pachtałem nie był tak pijany, żeby dało się to zauważyć.

Pachtał. Zarówno jego obecność, jak i pozdrowienia miały najwyraźniej być ostrzeżeniem, że Abdar o niej nie zapomniał. Przez ostatnie dwa tygodnie przezornie nie opuszczała obozowiska. Pomyślała, że Abdar musi skręcać się ze zdenerwowania. Uśmiechnęła się z zadowoleniem i wyniosła naczynia do kuchni przylegającej do jadalni.

Wysoka, owinięta sari służąca zgarniała właśnie resztki kurczaka do miski Sama. Wyprostowała się z uśmiechem wina, kiedy Jane weszła do kuchni.

- Wiem, że psa tu nie powinno być, ale pomyślałam, że ten jeden raz...

- Już dobrze, Sula. Żeby tylko sahib go nie zobaczył.

Sula kiwnęła głową.

- Obiad smakował, memsahib?

- Był bardzo dobry. - Jane posłała jej nieobecny uśmiech i postawiła naczynia na kredensie. Potem pochyliła się i pogłaskała jedwabisty łeb psa. Wizyta Pachtala mogła też oznaczać, że Abdarowi znudziła się zabawa w czekanie. Już przedtem Jane miała zamiar odwiedzić Zabrie i poprosić ją o pomoc w znalezieniu sposobu, w jaki Kartauk mógłby opuścić miasto. Nawal pracy spowodował jednak, iż nie była w stanie myśleć o czymkolwiek innym niż układanie torów. Naprawdę powinna iść dziś do tej kobiety.

Nie, nie dziś. Każdą częścią ciała czuła zmęczenie. Dlaczego zresztą miałyby się przejmować? Li Sung miał rację; Kartauk wykorzystywał ją tak samo jak ona jego. A jednak przejmowała się. Nigdy nie mogła znieść myśli o okrucieństwie wobec bezbronnych - choć nazwanie Kartauka bezbronnym byłoby kpina. Ale dopóki Abdar uosabiał władzę w Kasanpurze, Kartauk był bez...

Na Boga, jej mózg musiał być równie znużony jak ciało, żeby krążyć po takich meandrach myśli. Umyje się i pójdzie spać, postara się nie myśleć o Abdarze, jego ojcu, Kartauku i oczekującym ją jutro koszmarnym nawale pracy.

Kiedy w drodze do swojej sypialni przechodziła przez salon, usłyszała, jak Patrick mamrocze coś do siebie na werandzie. Przez chwilę odczuła coś jakby oburzenie. Patrick radośnie topił swoje kłopoty w butelce whisky, zostawiając jej rozwiązywanie ich problemów.

- Jane! - zawołał Patrick.

Zatrzymała się, ale nie odwróciła w stronę werandy.

- Tak?

- Mówiłem poważnie o twoim zostaniu w łóżku jutro. - Jego głos był miękki, pieszczotliwy, niemal przepełniony uczuciem. - Nie możesz się znowu rozchorować. Co ja bez ciebie zrobię?

Jej oburzenie znikło. Naprawdę jej potrzebował.

- Nie zachoruję. Jestem tylko trochę zmęczona.

- Dbaj o siebie.

Pomyślała, że powiedzieć to było łatwo, ale wykonać - prawie niemożliwe, kiedy nie widać końca pracy.

- Będę dbała. - Podjęła marsz w stronę drzwi sypialni, a część jej zmęczenia i zniechęcenia rozpuściła się w ciepłe, jakie poczuła do Patricka. Może Li Sung ma rację, że Patrick ją wykorzystuje, ale wyciągnął ich oboje od Frenchiego, dał im wolność i dach nad głową. Za samo to zawsze mu będzie wdzięczna.

Zapaliła lampę naftową obok nakrytego moskitierą, wąskiego łóżka i zaczęła rozpinąć luźną bluzkę. Już się czuła lepiej, a poczuje się jeszcze lepiej, kiedy zmyje z siebie pot i brud dnia. Głupotą byłoby odkładanie spotkania z Zabrie, kiedy Abdar najwyraźniej znów zaczynał stanowić realne niebezpieczeństwo. Kąpiel ją orzeźwi. Będzie na tyle odświeżona, żeby wyruszyć do miasta i pogadać z Zabrie.

Co to za miejsce? - szepnął Ian, spoglądając przez szerokość ulicy na duży, piętrowy dom z cegły wypalanej z mułu rzecznego.

Nie odrywając wzroku od drzwi, przez które dopiero co weszła Jane Barnaby, Ruel odparł:

- U Zabrie. Kasanpurska odmiana domu o złej reputacji. Niezupełnie takie miejsce, które odwiedza szanowana dama.

- Zabrie... ach, tak. Abdar wspominał o tym miejscu, prawda? - Twarz Iana spochmurniała. - Mógł kłamać na temat jego przeznaczenia.

- Nie kłamał.

- Skąd wiesz?

- W zeszłym tygodniu spędziłem tu dwie noce.

- Nie mówiłeś mi o tym.

- Nie mam zwyczaju konsultować się z kimkolwiek, kiedy idę do burdelu - mruknął Ruel.

- Jak sądzę, nie dowiedziałeś się niczego o Kartauku?

- Nie, trudno byłoby chodzić od dziwki do dziwki i zadawać pytania.

- Po co więc tu przyszedłeś?

- Zanim dokopiesz się do bogatego złoża, musisz zbadać działkę - odpowiedział Ruel. - A akurat to badanie nie było pozbawione przyjemności. Zabrie gorliwie przestudiowała Kamasutrę.

- A cóż to takiego?

- Osiemdziesiąt osiem pozycji rozkoszy.

- Pogańska rozpusta! - Ian przez chwilę milczał, ale nie był w stanie powstrzymać ciekawości. - Ile wypróbowałaś?

Ruel zachichotał.

- Sześć. Chyba nie można oczekiwać więcej, skoro zapłaciłem tej damie tylko za dwie wizyty? - Jego uśmiech zbladł, kiedy powrócił wzrokiem do budynku. - Ciekawe, jak dalece nasza panna Barnaby zgłębiła radości Kamasutry. Wygląda na to, że myliłeś się co do niej.

- Niekoniecznie. Być może tutaj ukrywa się Kartauk.

- Może. - Uśmiechnął się Ruel. - Ale raczej nie.

- Dlaczego?

- Abdar wiedział, że ona tu przybywa, i nie wątpię, że przeszukał to miejsce. Nie, raczej tęskni za kochankiem, chce zaspokoić swe zachcianki i dlatego przychodzi tutaj. Zabrie opowiedziała mi o kilku tak zwanych wzorowych, uczciwych żonach oficerów z fortu, które zaglądały tu od czasu do czasu. Ona je ubiera w śmieszne maski i w przyćmionym świetle wszyscy świetnie się bawią. - Umyślnie mówił to wszystko lekkim głosem, żeby ukryć chaotyczną mieszaninę urazy, satysfakcji i zawodu, które nim targwały na myśl o Jane Barnaby, leżącej nago w jednym z tych ciemnych pokoi. Satysfakcja wiązała się z faktem, że to on miał rację - puszczała się, uraza zaś z tym uczuciem posiadania, z którym walczył, a zawód... Dość już tego grzebania w duszy, pomyślał niecierpliwie. Ruszył na drugą stronę ulicy.

- Dokąd idziesz?

- Zaofiarować swoje usługi, a co? - Zaśmiał się lekko przez ramię. - Mam dość patrzenia i czekania. Czas, żebym bardziej osobiście zajął się tą damą.

- Chcesz poprosić Zabrie, żeby przysłała ją do ciebie?

- Nie z imienia. To niepotrzebne. Wątpię, czy będzie tam dziś więcej białych kobiet.

- Czekaj, idę z tobą!

- I poświęcisz dla mnie swoją czystość? - spytał kpiąco Ruel. - Nawet bym o tym nie myślał. Maggie nigdy by tego nie wybaczyła.

- Margaret - poprawił go Ian. - Nie mam najmniejszego zamiaru folgować swoim żądom.

- Żartowałem. - Ruel spojrzał z zaciekawieniem na brata. - Zaręczyłeś się z nią, kiedy była szesnastoletnią dziewczuszką. Chcesz mi powiedzieć, że jesteś jej wciąż wiemy po tylu latach?

- Oczywiście.

- Tu nie ma żadnego „oczywiście”. Nie jestem pewny, czy twoim przeznaczeniem nie jest stan duchowny. - Uśmiechnął się. - A u Zabrie ksiądz wyglądałby jak przysłowiowy kwiatek u kozucha. Stój tu i czekaj na mnie.

Nie jesteś tu mile widziana. - Zabrie patrzyła wilkiem na Jane. - Narobiłaś mi dużo kłopotów.

- Jak również dałam ci wystarczająco dużą sumę rupii, żeby rozwiązać te kłopoty.

- To prawda. - Złe spojrzenie Zabrie zniknęło, kiedy odwróciła się do lustra na toaletce, aby znów na siebie popatrzeć. - Utrudnianie życia Jego Wysokości sprawia mi przyjemność. Posiedź chwilę, a ja się przygotuję do dzisiejszego wieczoru.

Jane przysiadła na krytym satyną pufie.

- Czy Abdar tu przychodził od czasu przeszukania?

Zabrie potrząsnęła głową.

- Powiedziałaś mi, że przychodzisz tu tylko po to, żeby oddawać się moim klientom. - Uśmiechnęła się Cytrze. - Powiedziałaś, że to jedyny sposób, żebyś się mogła zabawić bez okrywania się hańbą. Czy to nie było mądre z mojej strony?

- Bardzo mądre. - Jane przeszła przez pokój i usiadła przy stole. - Musimy pogadać.

- Li Sung? - wyprostowała się nagle Zabrie. - Uskarżał się?

- Nie, wręcz przeciwnie, bywa u ciebie zbyt często.

- Bo jestem bardzo, bardzo dobra. - Zabrie uśmiechnęła się z zadowoleniem, zanurzając szczoteczkę w stojącym na toalecie pojemniku z koniem. - W każdym razie czy nie po to do mnie przyszedłeś?

- Powiedz mi, że nie możesz spotykać się z nim tak często. Przychodzenie tu jest teraz dla niego niebezpieczne.

- Dobrze. - Ostrożnie narysowała kreskę wokół lewego oka. - Ale opłata będzie taka sama. Jane potaknęła.

- Nie spodziewałam się niczego innego, ale wymyśl dobry pretekst. Nie chcę, żeby poczuł się urażony.

Zabrie wyrysowała kreskę wokół drugiego oka.

- On myśli, że jest dobrym kochankiem. Teraz nawet by nie uwierzył w nic innego. - Podniosła wzrok z uśmiechem zadowolenia. - Dobrze to z nim rozegrałam. Czy to wszystko?

Jane pokręciła głową.

- Kartauk.

Uśmiech Zabrie zgasł.

- To zbyt niebezpieczne.

- Powiedziałaś, że Pachtal i Jego Wysokość nie wrócili.

- To nie znaczy, że nie jestem obserwowana. - Zabrie pomalowała usta cynobrem. - Musisz wymyślić inny sposób wydostania go z Kasanpuru. Nie zaryzykuję ściągnięcia gniewu Jego Wysokości na swoją głowę.

- Myślałam, że sprawia ci przyjemność oszukiwanie Abdara.

- Na małą skalę. Ale on z każdym dniem ma większą władzę i wkrótce urażenie Jego Wysokości będzie zbyt niebezpieczne.

- Nie będzie niebezpieczne, jeśli...

- Przepraszam, że przeszkadzam. - W drzwiach stała ta sama sarnioka dziewczyna, która przyprowadziła Jane do pokoju Zabrie. - Ale jest tu mężczyzna, Zabrie. Powiedziałaś...

- Jestem zajęta, Lenar. Daj mu inną kobietę.

- Ale kazałaś mi powiedzieć, kiedy wróci!

Zabrie szybko się odwróciła i spojrzała na dziewczynę.

- To ten Szkot?!

Dziewczyna przytaknęła.

- Mówi, że jest w nastroju na coś innego. Chce białej kobiety...

- Och, naprawdę? - Mały uśmiezek pojawił się na ustach Zabrie. - Chyba będę musiała jakoś go od tego odwieść. - Kiwnęła głową w stronę drzwi po drugiej stronie ubieralni. - Weź go do pokoju obok i posadź. Powiedz mu, że będę u niego za parę chwil. - Kiedy dziewczyna wyszła, zwróciła się do Jane. - Będziesz musiała wyjść. Mam klienta.

- Ja też jestem klientem. Niech czeka.

Zabrie uśmiechnęła się, podniosła oprawną w srebro szczotkę i zaczęła rozczesywać swoje długie, czarne włosy.

- Ale ja nie chcę, żeby czekał. On jest... niezwykły. To wyzwanie. Nigdy przedtem nie spotkałam człowieka z Zachodu, który miałby wystarczająco wiedzy i doświadczenia, żeby mnie zdominować. Czasami nie byłam pewna, czy naprawdę kontroluję sytuację.

- Masz trochę krwi brytyjskiej, więc jesteś sama w połowie człowiekiem z Zachodu.

Cynobrowe usta Zabrie zmieniły się w cienką linię.

- Brytyjscy oficerowie, którzy tu do mnie przychodzą, nie zgodziliby się z tobą. Widzą tylko obcą o ciemnej skórze, która ich podnieca, i zniżają się do spróbowania mnie. - Wstała i rozprostowała przewiewne, ufarbowane szafranem fałdy swojej sukni. - A kiedy już mnie mają, ja mam ich.

- Nienawidzisz ich?

- Nie lubię ich ani trochę bardziej niż moich własnych ludzi, którzy uważają mnie za niedotykalną ze względu na moje mieszane pochodzenie. Ale to nie ma znaczenia. Wkrótce będę tak bogata, że nie będę potrzebować ani tych, ani tych. - Zabrie w lustrze uśmiechnęła się kpiąco do Jane. - Obie, każda na swój sposób, jesteśmy wyrzutkami, prawda? Przychodzisz tu w tych swoich męskich ubraniach, czasami tak zmęczona, że ledwie stoisz. Tu jest łatwiejsze życie od twojego. Dlaczego nie rzucisz tej idiotycznej kolei, nie przyjdiesz

do mnie i nie pozwolisz mi pokazać sobie, gdzie leżą łatwe pieniądze?

Jane pokręciła głową.

- Powinnaś całkiem nieźle sobie radzić. - Zabrie krytycznie ją obejrzała. - Jesteś młoda i niebrzydka, Czasami Brytyjczycy nudzą się egzotyką i pragną pofolgować sobie z kimś ich rasy.

- Jak ten twój Szkot?

Zmarszczyła brwi.

- On chciał mnie tylko rozdrażnić. Byłby rozczarowany, gdybym przysłała kogoś innego. - Wstała i wygładziła pomalowanymi henną palcami delikatny materiał zakrywający piersi. - No to jak?

- Nie.

Zabrie wzruszyła ramionami.

- Zaczekam. Zmienisz zdanie. Kiedy kobieta jest sama, bez opieki, może wybrać tylko jedną drogę.

Pewność w głosie Zabrie spowodowała, że ciało Jane przeniknął strach.

- Powiedziałam nie! Nie jestem sama, a nawet gdybym była, to nikogo nie potrzebuję. Umieję się bronić. Nie jestem dziwką! Nigdy nie będę dziwką!

Zabrie wyprostowała się wyniośle.

- Wygląda na to, że ty też uważasz dziwkę za niewartą twojego dotknięcia.

Jane wzięła głęboki wdech, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Ostre słowa skierowane do Zabrie również dla niej były zaskoczeniem.

- Nie powiedziałam tego.

- Nie musiałaś tego mówić.

- Nie chciałam ci zrobić przykrości, a już na pewno nie chciałam cię potępiać. Moja matka była kurwą, i to w dużo gorszym miejscu niż to. Każdy sam wybiera, ale... - Zawahała się, a potem wyrzuciła to z siebie: - Raczej bym umarła, niż się sprzedawała!

Spojrzenie Zabrie skupiło się na jej twarzy.

- Boisz się. Dlaczego?

- Nie boję się.

Zabrie spojrzała na nią z niedowierzaniem, a Jane wyjaśniła niepewnie: - Takie życie odbiera wolność, stajesz się niewolnikiem.

- Zależy, jak na to patrzeć. Jeśli kobieta jest wystarczająco dobra, to mężczyzna staje się niewolnikiem. - Zabrie odwróciła się od lustra. - Teraz musisz iść.

- Kartauk.

Widząc wyraz determinacji na twarzy Jane, Zabrie uśmiechnęła się.

- Nie poddajesz się, co? Możemy się nie zgadzać w wielu rzeczach, ale tę jedną cechę mamy wspólną.

- Czy przynajmniej dasz Kartaukowi schronienie w mieście, kiedy o to poproszę?

- Jeśli zdołasz to tak zorganizować, że nie będę zagrożona, to przemyśl...

Drzwi gwałtownie się otwały, a do pokoju wpadła młoda dziewczyna, którą Zabrie nazywała Lenar.

- Pachtal! Przyszedł kilka minut temu! Chce cię widzieć!

- Co? - Zwróciła się w stronę Jane. - Ty idiotko!

- Nie śledził mnie. - Jane wstała. - Znam Pachtala i zauważyłabym go. Musiał obserwować dom.

- I widział, jak wchodziłaś. Co za różnica, jak to się stało, że tu jest. On tu jest!

Jane poczuła dreszcz strachu, kiedy przypomniała sobie wstrętny wyraz twarzy Pachtala i okropny ból wykręcanej ręki.

- Jak mogę stąd wyjść, żeby mnie nie zobaczył?

- Za późno. - Zabrie złapała ją za nadgarstek i pociągnęła do drzwi po drugiej stronie pokoju.

- Pewnie przeszuka dom, ale postaram się go powstrzymać z dala od tego miejsca.

- Jak?

- Zwyczajnie. Pachtal i Abdar, kiedy tu byli poprzednio, nie zawahali się mnie wykorzystać. Zawołałam cię, kiedy już będzie bezpiecznie. - Otworzyła drzwi, westchnęła Jane do środka i zamknęła pokój.

3

Nawet w przyćmionym świetle lampy Ruel natychmiast rozpoznał kasztanowy połysk włosów Jane, kiedy w pośpiechu wpadła do pokoju.

Mięśnie jego brzucha odruchowo się napięły, a w lędźwiach poczuł mrowienie. Spokojnie, powiedział sobie, przecież był tu w innym celu, niż domagało się tego jego ciało. Spokojnie? Ta myśl była absurdalna, w tej chwili zarówno spokój, jak i rozsądek nie wchodziły w rachubę.

Ona tu jest.

Wkrótce dowie się o niej więcej niż kiedykolwiek dotąd.

Wkrótce dotknie jej po raz pierwszy.

Jane usłyszała przekręcanie klucza w zamku drzwi za nią. Ten sam dźwięk doszedł ją od drzwi po drugiej stronie pokoju. Więcej drzwi nie było.

Była więźniem.

Strach ścisnął jej piersi. Poczucie zamknięcia w klatce przypomniało jej bezsilność, której doświadczyła wówczas, kilka tygodni wcześniej, kiedy była ściśnięta pomiędzy Pachtalem i Abdarem w pustej uliczce.

Zalegającą pokój ciemność rozjaśniała tylko pojedyncza lampa naftowa na stole obok niej. Przygniał ciężki zapach piżma i kadzideł.

- Nareszcie. Chodź tu i pozwól mi się obejrzeć.

Zamarła, a jej wzrok pomknął przez pokój do mężczyzny leżącego na łóżku.

W półmroku dojrzała tylko, że był nagi i leżał na boku twarzą do niej. Opierał policzek na rękę i wpatrywał się w nią, powoli oglądając od stóp do głowy.

- Niebawem. Wygląda na to, że Zabrie zrobiła to, o co prosiłem.

Tym razem dosłyszała w jego słowach lekki akcent. Szkot, przypomniawszy sobie Jane, ten mężczyzna, którego Zabrie kazała tu wprowadzić. Ten, co chciał czegoś innego.

- Zabrie przyjdzie do ciebie później. Teraz jest zajęta.

- Ale przysłała cię, żebyś mnie zabawiła. - Ruchem palca dał jej znak, by podeszła bliżej. - Nie denerwuj się. Nie szkodzi. Powiedziałem jej, że mam ochotę na angielską dziewczuchę.

Wyraźnie wziął jej panikę za zdenerwowanie z powodu jego niezadowolenia. Roześmiałyby się, gdybym nie była tak przerażona.

- Nie jestem Angielką i nie jestem zdenerwowana. Nic nie rozumiesz.

- Rozumiem, że się rozzłoszczę, jeśli nie podejdziesz bliżej i nie pozwolisz zobaczyć, jak wyglądasz.

Niechętnie podeszła do łóżka.

- Zabrie na pewno nie będzie... - Dobry Boże! Był najpiękniejszą istotą ludzką, jaką kiedykolwiek widziała. Cały lwiopłowy; złota skóra, brązowe włosy, zaczesane do tyłu i ściągnięte w ogon odsłaniały idealny kształt głowy. Lecz jego oczy były niebieskie, nie kociozielone czy żółte. Głęboko, przenikliwie niebieskie...

Uniósł brwi.

- Kiedy przyjdzie Zabrie?

Zapomniała, co chciała powiedzieć. Powoli odzyskała panowanie nad sobą.

- Po prostu bądź cierpliwy.

Zachichotał.

- Niełatwo zachować cierpliwość w takiej sytuacji. - Wskazał na dolną część swego dała. - Jak zresztą widać.

Podążyła wzrokiem za jego gestem i gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy ujrzała jego pulsujący we wzwodzie, wspaniałych rozmiarów członek.

Szybko wróciła wzrokiem do jego twarzy.

- Zabrie wkrótce tu będzie.

- To nie przez Zabrie tak wyglądam. Weszłaś tu, a ja cię zapragnąłem. - Spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Dla mnie to też niespodzianka. Nie oczekiwałem tego. W tych męskich ciuchach z pewnością nie wyglądasz pociągająco. - Wyciągnął rękę i złapał ją za nadgarstek.

- Zdejmij je - powiedział miękko.

Dotyk jego ręki wywołał w niej dziwne uczucie gorąca i nagle zabrakło jej tchu.

- Nie!

- Wolisz, żebym ja to zrobił? - Pociągnął ją w dół, aż usiadła na łóżku obok niego. Jego jasne oczy wpatrywały się w jej twarz, a ona nie była w stanie odwrócić wzroku. Otoczył ją jego zapach, mydlano-korzenny i jeszcze jakiś, głębszy, mieszający się z wonią kadzidel w powietrzu. - Dlaczego nie? - mruknął. - To może być ciekawe, zmienić chłopca w dziewczynę.

- Nie powiedziałam, że chcę...

Zaczął rozpinać jej koszulę.

Instynktownie szarpnęła się w tył.

Szybko chwycił w jedną dłoń oba jej nadgarstki.

- Ciicho, już dobrze. - Drugą rękę przeniósł z guzików na jej piersi, pieszcząc je przez materiał. - Chcę cię po prostu obejrzeć. - Uśmiechnął się, kiedy dostrzegł jej sutki, sterczące i przebijające przez koszulę. - Jak pięknie! - powiedział, powoli pocierając dłonią jej piersi.

Żar zaczął ogarniać ciało Jane, a między nogami poczuła mrowienie. Dlaczego się nie wyrwała? Była wystarczająco silna, żeby złamać jego chwyt, gdyby tylko podjęła próbę. Pachtał. Chwyciła się rozpaczliwie jedynej sensownej myśli, jaka jej przyszła do głowy. To musi być ten tek przed Pachtalem, że znajdzie ją, jeśli zrobi awanturę. A może to te kadzidla ją tak oszołomiły i osłabiły?

- Ja... ja nie chcę tego.

- Oczywiście, że chcesz. - Odpiął następne dwa guziki. - Inaczej by cię tu nie było, prawda?

Przełknęła głośno.

- Nic nie rozumiesz!

- Już to mówiłaś. Mylisz się. To coś, co doskonale rozumiem. Spytaj Zabrie. - Odpiął kolejny guzik. - Możemy...

- Przestań!

- Mam cię nie rozbierać? Jak chcesz! - Jego dłoń odsunęła się od guzików. Wziął jej dłonie w swoje ręce. - Widzisz? Przestałem. - Powolnym ruchem kciuka badał skórę jej dłoni. - Zgrubienia. - Odwrócił jej dłoń i spojrział na nią. - Twarda i silna. Nie dorobiłaś się ich uprawiając angielski ogródek.

Spróbowała wyrwać dłoń, ale jego palce się zacisnęły.

- Nie chciałem cię urazić. Podobają mi się. Upodobniają nas do siebie. Ja też mam zgrubienia. - Przesunął dłoń po jej ręce. - Czujesz je? Widzisz? Wiem, co to znaczy harować tak, że lecisz z nóg ze zmęczenia. Znam znużenie i zniechęcenie. Rozumiem, co to znaczy próbować i próbować, i wciąż nie osiągać celu. Niełatwo co dzień toczyć bitwę. - Jego głos był pieszczotliwy, a słowa kojące. - Dlatego musimy korzystać z każdej okazji, żeby sobie to wynagrodzić.

- Nie muszę wynagradzać mojej...

- Ciii... - Pochylił usta nad jej piersiami. - Chciałbym cię obejrzeć, ale może tak jest nawet lepiej. To podniecające widzieć, co twoje sutki robią z tą koszulą. Czy to właśnie dlatego przyszłaś tu w męskim ubraniu zamiast w masce?

Schylał się, nie mogła więc widzieć tych jasnych, błyszczących oczu. Ale jego wypłowiałe włosy lśniły w świetle lampy, a ona miała dziwaczne wrażenie zmysłowej dzikości, wszechogarniającej, gotowej uderzyć... lub głaskać.

Jego oddech na jej piersi był gorący, a mrowienie między udami wzmagало się, prawie powodując ból. Czowała się oszołomiona, zdezorientowana... tak, to musiały być te kadzidla.

Ciepły język dotknął jej piersi poprzez cienką bawełnę koszuli.

Wydała cichy okrzyk, wyginając plecy w łuk w spazmie doznania.

- O, tak - wyszeptał. - Czujesz mnie. Potrzebujesz mnie.

W oszołomieniu zdała sobie sprawę, że naprawdę go potrzebuje. Zawsze myślała, że to mężczyźni potrzebują kobiet, że te miękkie, kwilące okrzyki rozkoszy i poddania, jakie wydawała jej matka i inne dziwki, były udawane. Teraz pod wpływem ciepła ust tego nieznanego sama nie mogła się powstrzymać od jęków. Dobry Boże, może to nie fajka z opium, ale taka właśnie rozkosz czyniła z jej matki niewolnicę!

Nie! Nie pozwoli się tak samo uwięzić. Nie będzie kurwą. Nie będzie niewolnicą.

- Puść mnie! - Uwolniła się z jego uchwytu i poderwała na nogi. Drżącymi palcami zapięła koszulę. - Nie dotykaj mnie! Nie jestem dziwką!

Nie starał się jej zatrzymać, nie próbował też zakryć swej nagości. Po prostu leżał i patrzył na nią, pełen czaru, koci, podniecony.

- Wcale cię nie wziąłem za dziwkę. Wiem od Zabrie, że sporo brytyjskich żon oficerów z fortu przychodzi tu trochę się zabawić.

- Mówiłam ci, nie jestem Angielką. - Jej głos drżał, starała się go uspokoić. - To pomyłka. Nie mam ochoty pieprzyć się z tobą.

- Ośmielam się nie zgadzać. - Jego wzrok spoczął na jej powiększonych sutkach, wyraźnie widocznych przez koszulę. - Z całą pewnością masz ochotę.

- To była pomyłka! - powtórzyła z nagłą zawziętością. - Byłam przestraszona i nie miałam się na bacności.

- Przestraszona? Balaś się mnie?

- Nie! - Odsunęła się od łóżka i stanęła koło drzwi. Nie mogła wyjść, dopóki Zabrie nie wróci i nie otworzy drzwi. - Nie ciebie.

Usiadł i spuścił nogi na podłogę.

Sprężyła się.

- Nie podchodź do mnie! Mam nóż!

- Naprawdę? Mało cywilizowane! - Nie ruszył się z łóżka. - Nie chciałem cię atakować. Mogę poczekać na moje rozkosze, skoro najwyraźniej ty nie masz ochoty mi ich dostarczyć. Nie usiądziesz?

Jej wzrok znów powędrował do jego podbrzusza.

- O, tak, on wciąż tam jest. - Zaśmiał się lekko. - Ale kontroluję się. - Przyjrzał się jej zdenerwowanej twarzy. - Dlaczego jeszcze stąd nie wybiegłaś?

- Zabrie zamknęła drzwi.

- Ciekawe. Czy miało to stworzyć bardziej podniecającą sytuację?

- Nie, tam jest ktoś, kogo nie chcę widzieć.

Znieruchomiał.

- Kto?

Nie odpowiedziała.

- Nieważne. - Wstał i podszedł do stolika koło drzwi, gdzie światło lampy naftowej objęło całą jego postać. Jane bez powodzenia starała się na niego nie patrzeć. Na Boga, był tak samo piękny i egzotyczny, jak zwierzę z dżungli, i równie wolny od wstydu. Jego brązowe, związane w ogon włosy przeplatane były płowymi, lśniąco w świetle pasmami. Obserwowała blask światła na łuku jego kręgosłupa i prężność jego pośladków, zwartość mięśni barków. Pierwszy raz zauważyła biały bandaż, owijający jego lewe ramię.

Wziął ze stołu butelkę i nalał wina.

- Chcesz?

- Nie.

Podniósł kielich do ust.

- Kogo się boisz? Czy to twój kochanek?

Nie odpowiedziała.

Jego uwagę zwrócił przedmiot leżący na stole. Uśmiechnął się i podniósł go.

- To pewnie miało być dla ciebie.

Była to egzotyczna maska z brązowych, czarnych i turkusowych pawich piór.

- Piękna rzecz. Chciałbym cię w tym zobaczyć. - Uniósł i przyłożył maskę do oczu. - Mogłabyś to założyć?

Maska zakrywała całą górę jego twarzy, a pęki ciemnych pawich piór sterczały po obu jej stronach. Jego niebieskie oczy połyskiwały poprzez migdałowego kształtu wycięcia, a ściśle przyleganie maski uwydatniało piękne linie jego kości policzkowych. Brązowe pióra miały identyczny odcień, jak trójkąt włosów na jego piersi i podbrzuszu. Wyglądał dziko, grzesznie i niezwykle męsko - rzadkie, wspaniałe stworzenie z obcej ziemi.

- Nie, wyglądałabym idiotycznie.

- Szkoda. - Odrzucił maskę i wsparł się na stole, wbijając kpiące spojrzenie w jej twarz. - No więc, któż mógłby cię ścigać? Mąż? Spróbuję zgadnąć. Starszawy mąż, który nie umie ci

dogodzić, więc jesteś zmuszona szukać tutaj zadowolenia. - Melodramatycznie uniósł grzbiet dłoni do czoła. - Ale niestety, mąż cię śledzi i stąd...

- Nonsens, nie mam męża. - Posłała mu złe spojrzenie. - A gdybym miała, nie zdradzałabym go. Obietnic trzeba dotrzymywać.

- Zgadzam się. - Przelknął wino. - A więc wróciliśmy do kochanka. - Wyprostował się i wrócił do łóżka. - Jak mu na imię?

Zastanawiała się intensywnie, jak długo była w tym pokoju? Powietrze było ciężkie i trudno było oddychać, a sytuacja nieznośnie kłopotliwa. Z pewnością Zabrie wkrótce po nią przyjdzie.

Położył się na łóżku i oparł wygodnie o wezgłowie.

- Rozmawiaj ze mną. Skoro - jak się zdaje - mamy tu jeszcze jakiś czas być zamknięci, to przynajmniej możemy spędzić te chwile najprzyjemniej, jak to możliwe.

- Nie muszę cię zabawiać.

- No tak, nóż. - Uśmiechnął się i podniósł wino do ust. - Ale ja jestem silny i szybki, po co więc ryzykować fiasko, skoro można mnie zadowolić konwersacją? - Wskazał jej krzesło po drugiej stronie pokoju. - Siadaj. Nazywam się Ruel MacClaren.

- Ruel. To dziwne imię.

- Nie w Szkocji. To bardzo stare imię. Usiądź - powtórzył. - Nie odpowiesz na uprzejmość? Jak się nazywasz?

Przeszła przez pokój i ostrożnie usiadła na wskazanym krześle.

- Jane.

- Jaka Jane?

Nie odpowiedziała.

- Oczywiście, masz rację. W tych okolicznościach podawanie nazwisk wygląda na dziwaczną formalność, ale chcę wiedzieć więcej o tobie. - Zmarszczył brwi w wyrazie skupienia. - Jane... - Jego czoło wygładziło się, strzelił palcami. - Jane Barnaby. Patrick Reilly. Kolej.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

Zachichotał.

- Nie sądziłaś, że połączę wiadomości? Twój akcent nie jest ani angielski, ani szkocki, a chociaż Reilly nigdy cię nie przyprowadził do Klubu Oficerskiego, nie ma wielu Amerykanów w Kasanpurze. Zdziwiłabyś się, jak wiele plotek krąży po mieście na temat Reilly'ego i jego „wychowanicy”.

Zachnęła się.

- Mylisz się. Nie dziwi mnie to.

- Czy to przed Reillem się chowasz?

- Oczywiście, że nie.

- Więc dlaczego...

- Co pan robi w Kasanpurze, panie MacClaren?

- Ach, atak - mruknął. - Spodziewałem się tego Posunięcia wcześniej. - Znowu popił łyk wina. - Staram się o audiencję u maharadży. Jak dotąd, z mizernymi efektami.

- Dlaczego chcesz go widzieć?

- On ma coś, czego ja chcę. - Przerwał. - Może ty Mogłabyś się wstawić. Słyszałem, że często przychodzi sprawdzać postępy robót.

- I nigdy nie jest zadowolony. - Założyła ręce na brzuchu. - Jestem ostatnią osobą, która miałaby na niego wpływ.

- Niedobrze. - Swobodnie uniósł nogę i zaczął pocierać stopą powierzchnię materaca. - Myślę, że będę musiał poszukać pomocy gdzie indziej.

Ruch jego stopy, gra mięśni łydki, kontrast między ciepłą, złotą skórą a białą pościeli przyciągnął jej oczy. Szybko przeniosła wzrok na wcześniej dostrzeżony bandaż.

- W jaki sposób zraniłeś się w ramię?

- Pozwoliłem sobie na rozproszenie uwagi i otrzymałem surową karę za niedbalstwo. To już się nie powtórzy. - Nagle odstawił kielich na stolik przy łóżku i opuścił nogi na podłogę. - Zaczynam się niecierpliwić, a ty? Wyjdźmy stąd.

- Musimy poczekać na Zabrie.

- Nie lubię czekać. - Podeszedł do krzesła w zacienionym kącie pokoju i podniósł białą, płócienną koszulę. - Nie lubię zamków. - Mówiąc, szybko się ubierał. - A już szczególnie nie podoba mi się myśl o żadnym zemsty kochanku, który chciałby mnie zadźgać. Myślę, że oboje powinniśmy opuścić ten budynek. - Usiadł na łóżku i wciągnął lewy but. - Szkoda. To zupełnie nie to, co planowałem na ten wieczór.

- Jak niby mamy wyjść? Drzwi po obu stronach pokoju są zamknięte.

- Mamy jeszcze okno.

- Jesteśmy na piętrze.

Wciągnął drugi but.

- Ta trudność jest do pokonania.

- Nie mam zamiaru złamać nogi usiłując wyskoczyć.

- Spodziewałem się po tobie większego zdecydowania.

- Jestem zdecydowana dokończyć budowę kolei, a nie zrobię tego zostając kaleką.

- Kolej. - Uśmiechnął się wstając. - Zapomniałem o kolei. - Podeszedł do okna. - Nie martw się. Zadbana o to, żebyś nie odniosła nieuleczalnych kontuzji. - Usiadł na parapecie i przełożył nogi na zewnątrz. - Jeśli się dobrze orientuję, ten pokój wychodzi na tyły. Wygląda na to, że pod nami jest ścieżka do śmietniska. - Pociągnął nosem. - Tak, bez wątplenia. Smród jest taki sam na całym świecie.

Zbliżyła się i spojrzała mu przez ramię. Światło księżycy oświetlało ścieżynkę, o której mówił. Zdawała się być bardzo daleko w dole.

- Zwariowałeś? Jak sobie...

Zeskoczył na ziemię, lądując na ugiętych nogach i natychmiast odtaczając się. Potem lekkim skokiem stanął na nogach i podbiegł pod okno.

- Skacz!

Patrzyła na niego z otwartymi ustami.

- Jak to zrobiłeś?

- Teraz to nieważne. Skacz. Złapię cię.

Spojrzała na niego niepewnie.

- Nic ci się nie stanie! Zaufaj mi! - Kiedy wciąż się wahała, wyjaśnił niecierpliwie: - Jeszcze jako chłopak przez pewien czas w Londynie zarabiałem na życie jako uliczny akrobata.

Zręczność, jaką się dopiero co wykazał, z pewnością potwierdziła jego słowa. Wahała się, ale mając szansę odzyskać wolność, nie chciała siedzieć i czekać na przyjście Zabrie lub wykrycie przez Pachtalę. Usiadła na parapecie, wysuwając na zewnątrz nogi, jak on.

- Dobrze - powiedział. Wyciągnął ręce. - A teraz chodź do mnie.

Z każdą sekundą ziemia wydawała się oddalać.

- Na co czekasz? Pamiętaj tylko, żeby się odepchnąć od parapetu i nie uderzyć o ścianę!

Wzięła głęboki wdech, zamknęła oczy i odepchnęła się od okna.

Przez nieskończenie długą chwilę leciała w przestrzeni.

Ruel złapał ją w powietrzu.

- Mam cię!

Potem stracił równowagę, zaklął i przewrócił się pod jej ciężarem.

- O rany! - jęknął. - Cholera, ale boli!

Chwilę trwało, nim odzyskała oddech. Potem stoczyła się z niego i wstała.

- Mówiłeś przecież, że byłeś akrobatą.

Spojrzał wilkiem.

- Nie mówiłem, że byłem dobrym akrobatą. To było jak miałem piętnaście lat i nigdy nie byłem wart złamanego grosza. - Ukląkł z wyrazem bólu na twarzy. - Dlatego rzuciłem to po sześciu miesiącach i zostałem ulicznym krzykaczem.

Spojrzała na niego.

- Ty cholerny idioto! Mogłeś mi złamać kark!

- Ale nie złamałem. - Skrzywił się. - To ja wyrznąłem tyłkiem o kupę Bóg wie czego.

- Jak mogłeś brać takie... - Przerwała i wybuchnęła niepowstrzymanym śmiechem na myśl, jak idiotycznie musieli wyglądać, klęcząc twarz w twarz pośród śmieci i odchodów. Jakby jej zdjęto wielki ciężar z ramion. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo onieśmiała ją ten człowiek. Nigdy dotąd nie spotkała nikogo tak wspaniałego i tajemniczego jak Ruel

MacClaren, i ulgę przyniosło dostrzeżenie w nim zwykłego człowieka.

Podniósł głowę i powoli uśmiech wpełzł na jego usta.

- Jeszcze nigdy nie słyszałem twojego śmiechu.

- Nie powinno cię to dziwić, skoro znamy się dopiero pół godziny.

Wstał i pomógł jej się podnieść.

- Nie sądzę, żebyś się zbyt często śmiała. - Odwrócił się i ruszył ścieżką w stronę narożnika budynku. - Chodźmy stąd, zanim pojawi się twój kochanek. Nie mam ochoty na następne obrażenia z twojego powodu.

Jego słowa natychmiast przywróciły ją do rzeczywistości. Matko Boska, jak mogła zapomnieć o niebezpieczeństwie, jakie stanowił Pachtal? Niemniej, przez chwilę zapomniała. Czuła się młoda i szczęśliwa... i dziwnie bezpieczna.

- Powiedziałam ci, że nie chowam się przed kochankiem. - Szła szybko za Ruelem, okrążając narożnik domu zaraz za nim. - Nie słuchałeś... Uważaj!

Z mroku pojawił się nóż, celujący prosto w nie osłonięte plecy Ruela.

Nie było czasu do namysłu. Instynktownie rzuciła się pomiędzy Ruela i sztylet, starając się odepchnąć go na bok.

Kiedy sztylet prześlizgnął się po jej ramieniu, z bólu straciła oddech. Zachwiała się i jak przez mgłę zobaczyła napastnika. Wysoki, szczupły... białe zwoje turbanu. Pachtal, pomyślała w oszłomieniu, to musiał być Pachtal.

Niewyraźnie usłyszała przekleństwa Ruela. Odwrócił się w miejscu, jedną dłonią złapał nadgarstek ręki z nożem, drugą sięgnął do gardła mężczyzny.

Ciemność. Nie widziała już twarzy Ruela.

Osuwała się po ścianie. Nie, musi ustać na nogach i pomoc Ruelowi. Nóż... Pachtal go...

Ktoś ją podnosił.

Otworzyła powieki i zobaczyła nad sobą ponurą twarz Ruela.

- Jesteś... ranny? - spytała z trudem.

- Dlaczego miałbym być ranny? - spytał ostrym głosem. - To nie ja łapałem nóż.

- Myślałam, że Pachtal... Gdzie... - Zamilkła, ujrawszy napastnika o kilka stóp dalej, na ziemi. Jego usta były szeroko otwarte w niemym krzyku, oczy wytrzeszczone, wpatrzone ślepo w przestrzeń. Nigdy przedtem go nie widziała. - To nie Pachtal - wyszeptała. - Czy on jest martwy?

- Bardzo. - Szybko ruszył na drugą stronę ulicy. - Nie teraz. Bądź cicho, póki cię stąd nie zabiorę.

Coś ciepłego spływało po jej ramieniu.

- Krwawie?

- Wiem, do cholery, że krwawisz! Zrobię z tym porządek, jak tylko będę mógł, ale...

- Dobry Boże, coś ty jej zrobił?! - Inny głos ze szkockim akcentem. Jakiś człowiek wyszedł z podcienia i przyjrzał się jej.

Abraham Lincoln - pomyślała z otępieniem, kiedy długa, pospolita twarz pojawiła się przed jej oczami. Nie, ta twarz była gładko ogolona, nie brodata jak ta, którą oglądała na zdjęciach w gazetach. Poza tym przecież Lincoln chyba został zastrzelony.

- Nic jej nie zrobiłem - powiedział szorstko Ruel. - Dostała w ramię sztylitem skierowanym we mnie.

- Chryste, druga Mila? Ty chyba wyzwalasz w kobietach potrzebę poświęcenia!

- Cieszę się, że ta sytuacja cię bawi, Ian. Czy będziesz chichotał tak długo, aż ona się wykrwawi?

Całe rozbawienie momentalnie znikło z twarzy mężczyzny, którego Ruel nazwał Ianem.

- Czy jest poważnie ranna? Postaw tę dziewczynę i pozwól, że to obejrzę.

- Twierdzi, że ktoś ją ściga, chcę ją więc stąd zabrać. Zawiąż jej swoją chusteczkę powyżej rany na ramieniu, to zmniejszy krwawienie.

Ze wzrokiem wbitym w jej twarz Ian posłusznie zabrał się do pracy.

- Dziewczyno, to będzie trochę bolało.

Bolało bardziej niż trochę. Ciężko sapnęła, kiedy dokładnie zaciskał opaskę wokół jej ramienia.

- Mocniej - powiedział Ruel. - Nie ma czasu na delikatność. Cholera, nadal krwawi.

Ian mocniej zacisnął bandaż. Przygryzła dolną wargę, żeby powstrzymać krzyk bólu, ale Ruel musiał usłyszeć jej nagły spazm, bo spojrzał na nią i powiedział chrapliwym głosem:

- Wiem, ale musimy to zatrzymać. Nie mam zamiaru pozwolić ci umrzeć. - Odwrócił się do drugiego mężczyzny. - Zabierajmy się stąd!

- Poniosę ją - zaofiarował się Ian.

- Nie! - Ramiona Ruela zacisnęły się opiekuńczo wokół niej. - Ja się nią zajmę, ty pilnuj naszych tyłów.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła siedzącego obok jej łóżka Abrahama Lincolna.

Nie, źle, pomyślała otepiała, już raz się tak samo pomyliła.

- Wyzdrowiejesz, dziewczyno. To tylko draśnięcie, chociaż mocno krwawiłaś. - Uśmiechnął się. - Chyba nie byliśmy sobie przedstawieni. Jestem Ian MacClaren, hrabia Glencaren. Ruel to mój brat.

Spojrzała na swoją rękę. Nadal była ubrana, ale rękaw koszuli został odcięty, a czysty, porządnie zawiązany bandaż otaczał jej ramię. Potoczyła wzrokiem dookoła pomieszczenia.

- Gdzie...

- To hotel Nayala. Pokój Ruela. Kiedy zemdlałaś, postanowiliśmy przynieść cię tutaj. Ruel twierdzi, że tu jest bliżej niż do twojego bungalowu.

- Ja nigdy nie mdleję - zaprotestowała.

- Oczywiście, że nie - powiedział poważnie. - Powiedzmy w takim razie, że naprawdę bardzo mocno spałaś.

- Gdzie jest Ruel?

- Był ociupinkę poplamiony krwią i śmierdzał potwornie, więc wysłałem go do mojego pokoju, tu obok, żeby się umył i przebrał. Bałem się, że się przestraszysz, kiedy się obudzisz i zobaczysz go obok siebie.

Mówił o odesłaniu Ruela, jakby był on małym, niegrzecznym chłopcem. Jane nie mogła sobie wyobrazić, żeby ten mężczyzna, którego spotkała u Zabrie, oddalił się posłusznie na czyjekolwiek polecenie. Wpatrzyła się w ciemność za oknem po drugiej stronie pokoju.

- Która godzina?

- Prawie pierwsza w nocy. Jak mówiłem, ucięłaś sobie niezłą drzemkę.

Gwałtownym ruchem usiadła na łóżku.

- Muszę wracać do bungalowu.

- Możesz tu zostać na noc. Będę spał z Ianem - odezwał się od drzwi Ruel. Przebrał się. Był w brązowych bryczesach, brązowych butach z cholewami i nakrochmalonej, białej, płóciennej koszuli. Podszedł do niej, a ona znów dostrzegła tę gibkość jego ruchów, którą zauważyła u Zabrie. - Poślę Reilly'emu wiadomość, gdzie jesteś.

- Nie! - odparła natychmiast. - To znaczy, dziękuję, ale nie chcę go niepokoić.

- I nie chcesz, żeby Reilly wiedział, gdzie byłaś te nocy - powiedział miękko. - Kim jest Pachtal, Jane?

Nie odpowiedziała.

Wzruszył ramionami.

- Czy mogę ci przypomnieć, że dziś w nocy, tam w alejce, zabiłem człowieka? Nie żebym miał zastrzeżenia. Nie cierpię zabójców czających się w mrokach nocy, ale sądzę, że powinienem wiedzieć, czy będą jakieś następstwa.

Zacisnęła ręce na kołdrze.

- Nie będzie następstw. Myślę, że to musiał być jeden ze służących Pachtala.

- Pytam więc jeszcze raz, kto to jest Pachtal?

- Pachtal służy księciu Abdarowi - i szybko kontynuowała: - ale nie musicie się obawiać, że maharadża się dowie. Abdar nie chce, żeby cokolwiek o tym wiedział.

- O czym? - spytał Ruel. Zadał to pytanie dla spokoju, bo nie musiał się niczego więcej dowiadywać.

Odrzuciła koc.

- Muszę wracać do bungalowu. Wstaję o świcie.

- Ta twoja kolej może się bez ciebie obyć przez dzień lub dwa. Możesz przecież trochę odpocząć, żeby nabrać sił po utracie krwi.

- Dzień lub dwa?! - Spojrzała na niego, jakby oszalała. - Za dwa tygodnie zaczynają się monsuny. Nie mogę stracić nawet godziny!

- Reilly może przejąć od ciebie kierowanie. To przecież jego inwestycja.

Nie odpowiadając wstała raptownie z łóżka.

Zawrót głowy. Cały pokój wirował wokół niej.

- Do cholery, co chcesz sobie zrobić? - Ruel szybko zrobił dwa kroki i podtrzymując złapał ją za ramiona. - Kładź się!

- Nie, już jest lepiej. - Mówiła prawdę. Wciąż czuła się słaba, ale pokój już nie wirował. - Muszę iść...

- Do swojej pieprzonej kolei! - dokończył za nią. - Za cholere, nie pójdziesz!

- Nie powinieneś przeklinać w obecności damy - wtrącił Ian z potępieniem w głosie. - Ale przyznaję, że masz rację. Powinnaś odpocząć, dziewczyno.

- Nic mi nie będzie. - Odsunęła się od Ruela. - Dziękuję za troskę.

- Troskę?! - wybuchł Ruel. - Dlaczego miałbym się troszczyć o ciebie? Tylko dlatego, że byłaś tak głupia, żeby pakować się prosto pod sztylet, który miał być wbity we mnie?

- Nie mógł być przeznaczony dla ciebie. To musiała być pomyłka. - Pokręciła głową. - Ty nie jesteś w to wpłątany.

- Wygląda na to, że jestem, i to mocno - powiedział ponuro. - Mam wobec ciebie dług, a ja zawsze płacę długi.

- Nic mi nie jesteś winien.

Niespodziewany uśmiech rozjaśnił jego twarz, usuwając wyraz ponurości, jakby go nigdy nie było.

- Podobno Chińczycy wierzą, że jeśli komuś uratujesz życie, to należy ono do ciebie. - Jego głos był aksamitny i przymilny. - Przecież mnie tak po prostu nie przegnasz?

Boże, on był równie piękny i pociągający, jak myśl o wypoczynku w jakimś pięknym, dalekim miejscu.

- Li Sung twierdzi, że to przysłowie przekreślił biali ludzie.

- A kto to jest Li Sung?

- Mój przyjaciel.

- Wolę moją własną wersję filozofii Orientu - powiedział, znów posyłając jej ten promienny uśmiech. - Czy zrobisz, o co proszę?

Nagle Jane zdała sobie sprawę, że on doskonale wie, co robi. Aż do ostatniej uncji tego pięknego, silnego ciała siedział, jak uwięź kobietę, nagiąć i przekonać do swojego sposobu myślenia. Zapewne nauczył się tego w trakcie tysięcy takich przygód jak ta, która przydarzyła się u Zabrie.

- Nie. - Widząc cień zaskoczenia na jego twarzy, poczuła przez moment satysfakcję, ale wiedziała, że nie będzie w stanie spierać się z nim dłużej. Musi zakończyć tę dyskusję. - Dziękuję za zajęcie się moją ręką. Nie musicie się już o nią martwić. Jestem pewna, że nie będziecie mieli kłopotów przez...

- O, nie. Nigdzie nie pójdziesz! - Ruel zagroził jej, drogę do drzwi. Ponury wyraz twarzy powrócił. - Wracaj do łóżka. - Kiedy nieruchomo stała, wpatrując się w niego niecierpliwie rzucił: - Dobra, do cholery! Pójdziesz tyrać jak niewolnik przy tej swojej pieprzonej kolei, ale kilka godzin odpoczynku ci nie zaszkodzi. Prześpij się, a o pierwszym brzasku będziemy w drodze.

- My?

- Twoja kolej zatrudniła już chyba wszystkich w Kasanpurze. Dlaczego więc nie mnie? Po dzisiejszej nocy wydaje mi się, że przyda ci się ktoś do obrony.

- Nie potrzebuję niczyjej opieki. Sama się o siebie troszczę.

- To przynajmniej mogę na ciebie uważać, byś się nie zabiła nadmierną pracą.

„Uważać na ciebie”. To wyrażenie brzmiało niezwykle słodko, było fascynujące. Pomyślała szybko, że to nie znaczy, że ktoś musi na nią uważać.

- Kładzenie torów nie jest chyba twoją wymarzoną pracą.

- Kilka dni mi nie zaszkodzi.

Rozejrzała się po urządzonym ze smakiem pokoju hotelowym.

- Na nic mi się nie zdasz.

- Bo nie mieszkam w lepiance? Spytaj Iana, gdzie mnie znalazł w Krugerville. Kiedy dążysz do spotkania z maharadzą, nie oszczędzasz rupii. Zapewniam cię, że umiem być przydatny prawie w każdej sytuacji i że nie boję się ciężkiej pracy.

Przypomniała sobie twardą szorstkość zgrubień na dłoni, która głaskała jej rękę.

- Połóż się - powtórzył Ruel. - Obudzę cię o świcie i pojedziemy razem na budowę.

Odwróciła się i położyła na łóżku, okrywając się kocem. Walka z nim to tylko utrata sił. Jeden dzień wbijania haków chyba go uspokoi.

- Będę potrzebowała czystej koszuli, żeby przykryć ten bandaż. Nikt nie może wiedzieć, że jestem ranna.

- To życzenie mogę chyba spełnić.

- Nie. - Kiwnęła w stronę Iana. - On. On jest większy, a mnie potrzebna luźna koszula.

Ian uśmiechnął się.

- To będzie dla mnie przyjemność.

- I na pewno obudź mnie o świcie! - Zamknęła oczy.

- Mam wysłać Reilly'emu wiadomość, że tu jesteś? - spytał Ruel.

- Nie, nie zauważy mojej nieobecności. Zwykle mnie już nie ma, kiedy on wstaje.

- Jak miło - powiedział uszczypliwie Ruel. - Muszę pamiętać, żeby...

- Idź już - powiedziała, nie otwierając oczu. - Nie dajesz mi zasnąć.

Usłyszała zachwycony chichot Iana.

- Czyżbyś został wreszcie ustawiony na swoim miejscu, Ruelu? Chodź, odpoczniemy w moim pokoju i wypijemy po szklaneczce whisky. Jak na jedną noc mam dosyć tego wilgotnego powietrza. Będę szczęśliwy, kiedy wrócę do Glencaren.

- Co dzień mi to mówisz.

- Bo uważam, że nie zaszkodzi ci przypominać.

Zawsze wierzyłem w celowość umacniania pozycji.

Po ich wyjściu nie otworzyła już oczu. Jaka dziwnie kontrastowa para, ci dwaj mężczyźni. Ruel tak zmienny i błyskotliwy jak rtęć, a jego brat tak stanowczy i trwały jak granit. Mimo wszystko jednak wyczuwała pomiędzy nimi silną więź.

Musi przestać myśleć o Ruelu i jego bracie. Szkoccy lordowie i piękni, egzotyczni młodzi mężczyźni nie mają nic wspólnego z tym, co ważne w jej życiu. Musi zasnąć i nabrać sił do zwalczania słabości.

Ona mi się podoba. - Ian wręczył świeżo napełnioną szklaneczkę whisky Ruelowi. - To dzielna dziewczyna.

- Podoba ci się, bo jest równie uparta jak ty.

- Przyznaję, że z przyjemnością obserwowałem, jak kobieta mówi ci „nie”. Z pewnością dobrze to wpłynie na twój charakter. - Ian wziął swoją szklaneczkę i podszedł do okna. - Wygląda na to, że tym niebezpieczeństwem które jej grozi, a o którym mówił Abdar, jest coś więcej niż niezadowolenie maharadży.

- Taak.

- Ale ty to podejrzewałeś, tak?

- Mówiłem ci przecież, że jestem obeznany z krokodylami.

Ian odezwał się znów dopiero po dłuższej chwili.

- Długo cię nie było. Czy ty... - zawahał się.

- Usiłujesz w ten sposób mnie spytać, czy użyłem cielesnych uciech z naszym gościem?

- Chyba tak.

- No więc nie. - Ruel przełknął trochę whisky. - Jeszcze nie.

- Nadal uważasz, że ten Kartauk jest jej kochankiem?

Półprzymknięte powieki Ruela skryły jego oczy.

- Dlaczego miałbym zmienić zdanie? Ona naprawdę bardzo dla niego ryzykuje.

- Myślisz, że ten skrytobójca na ścieżce czekał na nią?

- To ma sens. Kiedy pojawiłem się z nią, zdecydował, że pierwsze uderzenie powinno trafić groźniejszy cel.

- Ale nie jesteś tego pewny?

- Zaczynasz zbyt dobrze czytać moje myśli. Nie, nie jestem pewien. Akurat ten krokodyl

może być uzbrojony i w zęby, i w spryt. - Wzruszył ramionami. - Ale dzięki temu poszukiwania stają się ciekawsze.

- Ta dziewczuszka mogła dziś stracić życie. - Ian w zafrasowaniu zmarszczył czoło. - Wszystko się zmienia. Chcę, żebyś dał spokój tej bzdurze z wykorzystaniem jej dla znalezienia Kartauka.

Ruel nie odpowiadał. »- Ruel?

- Nic się nie zmieniło poza tym, że jestem teraz w dużo lepszej sytuacji, można mi zaufać, mogę łatwiej postać informację niż na początku tego wieczora. - Uśmiechnął się sardonicznie. - Nie bądź taki przerażony. Staram ci się tylko powiedzieć, jaki jestem.

- Po prostu lubisz mnie szokować - uzupełnił cicho Ian. - Ona uratowała ci życie. Nie zawiedziesz jej zaufania.

- Ona mi nie ufa. Zapewne nie ufa nikomu, no, może temu Kartaukowi.

- A to cię dręczy, tak?

- Psiakrew, nie dręczy mnie to! - Ruel wściekłym ruchem gwałtownie odstawił szklaneczkę na stół i skoczył na równe nogi. - Jedyne, co mnie dręczy, to twoje piekielne wypytywanie. Mam tego po dziurki w nosie! - Ruszył do drzwi.

- Dokąd idziesz?

- Przewietrzyć się. Duszę się tu. - Spojrzał przez ramię na Iana. - Nic mnie nie obchodzi, ani ty, ani Glencaren, ani ta cholerna dziewczyna! Chcę tylko Cinnidaru!

Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

Ian uśmiechnął się lekko i uniósł whisky do ust.

Tygrys stąpa cicho, tygrys wścieka się głośno...

W tej chwili tygrys wcale nie stąpał cicho, zdecydowanie był wściekły. Nawet wtedy, w barze, kiedy podjudzał Baraka, Ruel nie był taki rozjuszony. Ale mimo wszystko to nie był zły znak. Czasami płomień jest oczyszczający. Można tylko mieć nadzieję, że wszystkie te mrzonki o Cinnidarze wreszcie się wypalą i będą mogli wrócić do domu.

Dom.

Choć w obecności Ruela ciągle mówił o nim jak o świetle przewodnim, w samotności starał się zupełnie nie myśleć. To tylko zwiększało jego tęsknotę i czyniło ją bardziej bolesną.

Pomyśli zamiast tego o Margaret. Margaret nie była jego w tym sensie, w jakim Glencaren było jego własnością. Cekał na nią już tak długo, że wyczekiwanie straciło całą swą gorzkość, a stało się tęsknie słodkie. Margaret, chłodna i rześka, ale z sercem równie gorącym jak płomień ogniska.

Tak, będzie myślał o Margaret.

Nie żyje. - Klęcząc obok zwłok Zabrie spojrzała w górę na Pachtala. - Ślady na jego szyi wskazują na to że go uduszono. Czy to zaszkodzi twoim planom?

- Absolutnie nie - odrzekł Pachtal. - Śmierć Resarda jest bez znaczenia. - Bez wyrazu popatrzył na wybałuszone oczy swego sługi. - Jeśli tylko zdołał wypełnić swoje zadanie.

- Na nożu jest krew, a jej ślady prowadzą na drugą stronę ulicy. Chciałeś, żeby Szkot był tylko ranny?

Pachtal przytaknął.

- Jego Wysokość uznał, że za mało się dzieje. Zażyczył sobie, żeby Szkot znalazł się w dwuznacznej sytuacji z tą dziewczyną. - Błady uśmiech pojawił się na jego ustach, kiedy spojrzał na zakrwawiony nóż na ziemi. - Jak sądzę, mogę powiedzieć Jego Wysokości, że jego życzenie zostało spełnione.

Zabrie powstrzymała dreszcz, spojrzawszy znów na trupa. Nie powinno jej zaskoczyć, że Pachtal uważał śmierć tego mężczyzny za nieważną w porównaniu z kaprysami Abdara. Od pierwszego spotkania z Pachtalem wiedziała, że może on być dla niej albo niebezpieczeństwem, albo błogosławieństwem - w zależności od tego, jak z nim będzie postępować.

Wstała, podniosła latarnię i ruszyła w kierunku łukowo sklepionych drzwi.

- A więc Jego Wysokość powinien być zadowolony z nas obojga. Czy nie od razu wysłałam do ciebie wiadomość, kiedy tylko dziewczyna przekroczyła mój próg? Skąd wiedziałeś, że pójdzie za nią i poprosi o białą kobietę?

- Nie byliśmy pewni, ale wiedzieliśmy, że ją śledził. - Uśmiechnął się. - A Szkot nie jest

cierpliwym człowiekiem. Tylko kwestią czasu było zrobienie przez niego pierwszego kroku.

- A więc ja zastawiłam pułapkę, a ty ją zatrzasnąłeś.

- Zastawiłaś pułapkę, ale Szkot nie zachował się tak, jak myślałaś. Powiedziałaś, że nie wierząc słowu dziewczyny sprawdzi drzwi na korytarz, stwierdzi, że nie są zamknięte i tędy wyprowadzi ją na ścieżkę. Ale nikt nie przechodził przez drzwi na tyły domu. Jak oni wyszli?

- Nie mam pojęcia. Ten Szkot jest nieprzewidywalny. - W ułamku sekundy przez myśl przeszły jej wspomnienia, jak zachwycająco nieprzewidywalny był podczas ich wspólnych hulank. Odsunęła szybko te myśli i spytała: - Jaka to zresztą różnica, skoro skończyło się zgodnie z planem?

- Nie ma różnicy. Będiesz odpowiednio nagrodzona za swe usługi. Ta dziwka nie wspomniała o Kartauku?

- Mówiłam ci już, że nie. Zajmowała się tylko swoim przyjacielem, Li Sungiem. - Nauczyła się, że kłamiąc dobrze było powiedzieć odrobinę prawdy, a zdecydowała, że nie byłoby mądrze ujawniać Abdarowi wszystkiego, co wiedziała. - Ona się obawia, że przychodząc tu za często Li Sung rozżołości Reilly'ego zaniedbywaniem swoich obowiązków w Narinth.

Wydął usta.

- Jak ty wytrzymujesz w łóżku z tym chińskim kundlem?

Kundel. Pachtal uważał za nieczystych wszystkich spoza jego własnej kasty. Musiała jakoś załagodzić gniew ukryty w tych słowach.

- Muszę zarabiać na chleb, a nie wszyscy mężczyźni dają mi tyle rozkoszy, co ty i Jego Wysokość. Mam nadzieje, że uznaliście mnie za zręczną.

- Dosyć. Jego Wysokość powiedział mi, że wielką

Pojemność daje mu patrzenie na ciebie.

- Naprawdę?

Zaśmiał się.

- Powiedział też, że kiedy już znajdziemy Kartauka, być może każe zrobić złotą maskę twojej twarzy.

- Jestem zaszczycona.

- Ale byłabyś bardziej zaszczycona, gdyby zrobił z ciebie jedną ze swych nałożnic w pałacu - powiedział miękko. - Jego kobiety mają wspaniałe klejnoty i ozdoby z ciężkiego złota, od których twoje oczy błyszczałyby z zachwyty.

Poczuła cień nadziei.

- Czy mówił o tym?

- Nie, ale ja mam wielki wpływ na Jego Wysokość. Mógłbym mu przypomnieć, jakimi talentami wykazałaś się, kiedy się z tobą obaj zabawialiśmy.

- I byłbyś taki łaskawy, żeby to dla mnie zrobić?

- To możliwe - przerwał. - Jeśli mnie zadowolisz.

To była odpowiedź, której oczekiwała.

- Zadowolę cię. - Uśmiechnęła się do niego. - Chodźmy do mojego pokoju, a pokażę ci, że to, czego zaznałeś poprzednim razem, to dopiero początek.

Pokręcił głową.

- Nie, tutaj.

Jej oczy rozszerzyły się, kiedy obrzuciła wzrokiem ścieżkę i zwłoki leżące kilka jardów dalej.

- Oczywiście żartujesz. Tu śmierdzi i ten twój sługa...

- To mnie podnieca - powiedział zduszonym głosem. - Odwróć się i oprzyj rękami o ścianę.

- Będzie nam wygodniej w moim łóżku. Mam chłodną, jedwabną pościel, która cudownie dotyka ciała.

- Nie chcę wygody. - Wyjął jej z ręki latarnię i ustawił delikatnie obok głowy zabitego. - Chcę cię wziąć tu, gdzie on się w nas wpatruje. Chcę mu pokazać, jak dobrze jest być żywym.

- Miał rozdęte nozdrza, a jego oczy dziko błyszczały. - Chyba że nie chcesz mnie zadowolić, ty kurwo?

Przełknęła ciężko, odwróciła się i oparła dłonie o szorstką, glinianą ścianę. Nieważne, powiedziała sobie. Dla mniejszych spraw robiła już rzeczy prawie równie szalone.

Poczuła, jak zadziera jej spódnicę i po chwili wbił się w nią głęboko. Charczał i dyszał w

podnieceniu, poruszając się w niej z dziką, zwierzęcą brutalnością.

A jednak to nie było nieważne. Brał ją, jakby była warta tyle, co suka w rui. Smród śmieci i odchodów skręcał jej żołądek, była przerażająco świadoma wpatrzonych w nich oczu trupa.

Ale nie była mieszańcem, a kiedy już Abdar obdarzy ją tymi wszystkimi bogactwami i władzą, to ona im wszystkim pokaże.

Kiedy Jane wychodziła rano z hotelu z Ruelem, zatrzymała się zaskoczona.

Jej klacz, Bedelia, stała uwiązana obok kasztanowego ogiera.

- Skąd wziąłeś Bedelię?

- Nie mogłem spać, więc od recepcjonisty dowiedziałem się, gdzie mieszka samb Reilly i pojechałem na Nuggecie, żeby ją przyprowadzić. Przy okazji, ten pies, którego trzymacie w stajni, jest kompletnie do niczego. Jedno, co z jego strony zagraża, to zalizanie na śmierć.

- Wiem, próbowałam wyuczyć Sama na psa obronnego, ale nie jest zbyt mądry, za to bardzo przyjacielski. Trzymam go w stajni tylko dlatego, że Patrick nie chce go w bungalowie - mówiła z roztargnieniem, głaszcząc chrapy Bedelii. - Ale skąd wiedziałeś, który koń jest mój?

Przez moment twarz Ruela miała nieokreślony wyraz.

- To nie było trudne. W stajni były tylko dwa konie. Ten drugi, większy, w kiepskiej kondycji, wyraźnie pozbawiony ćwiczeń. Pomyślałem, że swojego konia pewnie tak samo nie oszczędzasz jak siebie. Cieszę się, że dobrze wybrałem. - Podeszedł do lewego boku klaczy. - Chyba powinniśmy ruszać. Pomogę ci.

Zawahała się, zanim pozwoliła mu podsadzić się na siodło. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz ktoś wyświadczył jej grzeczność. Odebrała to jako coś dziwnego, ale trawiło jej pewną przyjemność. Popatrzyła, jak sam dosiada konia.

- Dlaczego nie mogłeś spać?

- To był bardzo podniecający wieczór. - Uśmiechnął się sardonicznie, nawracając swego wierzchowca, Nuggeta, i podrywając go do szybkiego truchtu. - Mam nadzieję że nie miałeś kłopotów ze spaniem?

- Żadnych. Nie byłam w stanie robić nic innego - Uciekła od niego wzrokiem. - Czuję się dziś dużo lepiej Nie musisz ze mną jechać.

- Już to przedyskutowaliśmy w nocy.

- W nocy mnie nie słuchałeś.

- I dziś rano też nie słucham. Jak daleko jest budowa?

- Około pięciu mil. Zaczęliśmy kłaść tory od Narinth wstecz do punktu mniej więcej dwanaście mil od Kasanpuru, a przez ten czas budowano mosty.

- Mosty?

- Po drodze są dwa głębokie wąwozy, dziesięć mil od siebie, przez które trzeba było przewiesić mosty. Rzeka Zastu płynie z północy, potem rozdziela się na dwie odnogi, które łączą się jakąś milę przed Kasanpurem. Musieliśmy wybudować most, zanim zaczęliśmy kłaść tory.

- I już skończyliście?

- Położyliśmy już tory przez Wąwóz Sikor, ale mamy jeszcze do pokonania siedem mil, zanim dojdziemy do mostu nad Wąwozem Lanpur.

Nie odezwali się więcej do siebie, zanim wyjechali kilka mil poza miasto i podążyli szlakiem torowiska w stronę Wąwozu Sikor.

- Kto to jest uliczny krzykacz? - spytała nagle Jane. Widząc zdziwione spojrzenie Ruela dodała: - Powiedziałaś, że zostałeś ulicznym krzykaczem, bo nie byłeś dobry jako akrobata.

- Ach, uliczny krzykacz to chłopak, który sprzedaje na ulicy historyjki. Stoi na rogu ulicy i stara się, żeby artykuły w gazetach, które sprzedaje, były ciekawsze niż reklamowane przez innych ulicznych krzykaczy.

- A w tym byłeś dobry?

- Z początku nie, ale szybko się nauczyłem. Pusty żołądek umie krakaniu wrony nadać miękkość treli słowika.

- Dlaczego byłeś głodny, skoro twój brat jest hrabią?

Miał nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Bo nie jestem Ianem.
Pytania na ten temat były mu wyraźnie nie w smak.
- Jakie jeszcze prace wykonywałeś w Londynie?
- Łapałem szczury. - Spojrzał na nią szelmowsko spod oka. - Mam ci opisać moje przygody w kanałach?
Skrzywiła się.
- Nie trzeba. Nie miałam pojęcia, że takie rzeczy dzieją się w Londynie. Chociaż, niewiele wiem na ten temat. Byłam tam tylko kilka dni przed wyjazdem do Salisbury, i miejsce to wydało mi się zatłoczone i onieśmielające.
- Tak, to prawda. Musisz tylko odrzucić onieśmielenie i oswoić miasto. Więc nigdy już nie wróciłaś do Londynu?
- Nie.
- Dlaczego?
- Budowałam linię kolejową.
- Najwyraźniej zawsze jest jakaś linia kolejowa do wybudowania.
- Tak - odpowiedziała po prostu. - Zawsze.
- Niektórzy ludzie powiedzieliby, że to nie jest zadanie dla kobiety.
Najeżyła się.
- Więc ci niektórzy ludzie są głupcami. Dlaczego nie? Bo nie mam wielkich, wydętych mięśni? Tu trzeba więcej niż tylko siły fizycznej. Trzeba dbałości i mierzenia, trzeba wiedzieć, kiedy przebić się przez górę, a kiedy ją obejść. Trzeba się upewniać, że każdy podkład i każda szyna leżą bezpiecznie i prawidłowo. Umiejętność to robić równie dobrze jak mężczyzna. A nawet lepiej.
- Spokojnie. Nie kłóć się z tobą. - Zawiesił głos. - A kto nauczył cię robić to lepiej?
- Sama się nauczyłam. Kiedy przyjechaliśmy do Salisbury chodziłam wszędzie za Patrickiem, słuchałam i uczyłam się.
- Gdzie mieszkałaś, zanim przyjechałaś do Salisbury?
- W Utah. - Szybko zmieniła temat. - Wąwóz jest zaraz za zakrętem. - Ściągnęła wodze i wskazała ręką zbrocze przed nimi. - Tu musimy zsiąść i iść pieszo po podkładach.
- Jeśli tylko możesz iść nie przewracając się na twarz. Jesteś wciąż blada jak kamień nagrobny.
- Nie przewrócę się. Mówiłam ci, że dzisiaj czuję się o wiele lepiej. - Zsiadła z kłaczy. - Jeśli się nie myśli o niewygodach, można iść dalej. - Kiedy rozkulbaczala Bedelię i przywiązywała ją do figowca w oddalonej o kilka jardów od torowiska kępie drzew, czuła na sobie jego wzrok.
- Nie, nie przewrócisz się. - Dziwna nuta w jego głosie kazała jej spojrzeć na niego przez ramię, lecz jego twarz była równie kpiarska jak zawsze. - Powiedz, czy Reilly docenia to, co dla niego robisz?
- Oczywiście!
- Ale nie na tyle, żeby ci pozwolić na trzymanie w bungalowie psa, którego lubisz.
- Patrick uważa, że zwierzęta są dobre tylko wtedy, kiedy pełnią jakąś funkcję - powiedziała i dodała napastliwym tonem: - Wielu ludzi tak myśli o zwierzętach domowych. Założę się, że nigdy nie miałaś zwierzaka.
- Przegrałabyś. Kiedyś miałem.
Spojrzała na niego ze zdziwieniem.
- Psa?
- Lisa.
- Bardzo dziwne zwierzę domowe.
Wzruszył ramionami.
- Byłem dziwnym chłopakiem.
- Jak miał na imię?
- Nigdy mu nie dałem imienia.
- Dlaczego?
- Był moim przyjacielem. Byłoby to oszustwo. Poza tym miałem tylko jego. Nie istniała kwestia pomyłki.

- Dziwne... - Ruszyła wzdłuż torów ponad wąwozem. Pół mili stąd mam całą brygadę, która mnie może chronić. Nie musisz już iść dalej ze mną.

- Nie próbuj się mnie pozbyć. - Zsiadł z konia, rozkulbaczył go i uwiązał obok jej klaczy. - Są inne niebezpieczeństwa, nie tylko Abdar. Co będzie, jeśli spadniesz z mostu? - Idąc za nią po podkładach, spojrział w dół na wąską, żółtą wstążkę wody, przepływającą przez wąwóz. - Może byś i nie utonęła, ale upadek mógłby cię zranić. A właściwie, dlaczego miałbym odejść? Skoro już tu jestem, to mogę się nauczyć czegoś nowego.

- Kładzenie torów nie wymaga umiejętności - powiedziała sucho - ale mocnych pleców.

- Och, mam mocne plecy.

Nagle przypomniała sobie nagiego Ruela w łóżku; gładkie ścięgna, mięśnie, sama siła.

- Nie wątpię - mruknęła.

- To rozumiem, że zostałem wynajęty?

- A co z twoją raną? Nie ma chyba sensu pracować ze zranionym ramieniem.

- To właśnie usiłuję ci wytłumaczyć - mruknął. - Przygarnął kocioł garnkowi. Moje ramię jest prawie zdrowe. Noszę na nim bandaż tylko dlatego, że Ian na to nalega.

Ich oczy się spotkały.

- Dlaczego to robisz?

- Nie wierzysz, że robię to ze szlachetnych pobudek?

Nachmurzyła się, starając się zrozumieć jego zachowanie.

- Nie jesteś taki jak twój brat.

- Czuję się zraniony do głębi. Muszę namówić Iana na rozmowę z tobą. On uważa, że mam szlachetną duszę.

- Nic nie wiem o duszach, ale wiem, że ty nie jesteś taki jak się wydaje.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza. Ale w końcu niektórzy z nas są tacy, jakimi się wydają. Jestem uczciwszy niż większość ludzi, jeśli nie boli mnie to za bardzo. - I dodał miękko: - I płacę swoje długi, Jane.

- Ale to nie jest jedyny powód twojej obecności?

Na chwilę całe kpiarstwo zniknęło z jego twarzy.

- Nie, to nie jest jedyny powód, ale nie mam zamiaru dzielić się z tobą pozostałymi. Musisz mnie przyjąć takim, jakim byłem, gdy mnie poznałaś.

A poznała go jako denerwującą, wyslizgującą się tajemnicę.

- W ogóle nie muszę cię brać.

- Ale weźmiesz, prawda? - powiedział, wpatrując się spokojnie w jej oczy.

Powinna go odrzucić. Nie pasował tu, a ona nic potrzebowała wprowadzanego przez niego zamieszania jednak jakoś nie mogła zdobyć się na odpędzenie go w jakiś tajemniczy sposób zdołał nadać ostatnim kilku godzinom kolor i blask, jakich nigdy nie znała. Może nic się nie stanie, jeśli pozwoli mu zostać trochę dłużej.

- Praca w tym upale to żadna przyjemność. Po jednym dniu chyba dasz już sobie spokój.

- Och, nie! - Uśmiechnął się. - Nigdy nie porzucam zajęcia, dopóki nie pojawi się coś ciekawszego.

4

Nie poddał się.

Jane przekonywała samą siebie, że jedynym powodem, dla którego wracała do niego wzrokiem przez cały dzień, było jego zranione ramię. Rana jednak najwyraźniej mu nie przeszkadzała, bo przy każdym machnięciu młotem mięśnie jego pleców i brzucha poruszały się tak gładko, jak tłoki lokomotywy. Za każdym rytmicznym uderzeniem z wielką siłą wbijał głęboko i porządnie klinowate haki. Pod koniec dnia machał olbrzymim młotem z taką samą siłą i zdecydowaniem, jakimi wykazywał się na początku, dziesięć godzin wcześniej.

- Już możesz przestać. - Podeszła do niego. - Nie słyszałeś, jak Robinson wołał na fajrant? Inni odeszli pięć minut temu.

- Słyszałem. - Machnął młotem i hak wszedł głębiej. - Ale ja nie jestem taki jak inni. Musiałem się przecież okazać, prawda? - Odrzucił młot na bok. - Mam przyjść jutro?

Z uczuciem bezsilności wpatrywała się w niego.

- Nie rozumiem, dlaczego tego chcesz.

- Czasami mam ochotę na taką pracę. Nie trzeba myśleć, tylko czuć.

Zdjął koszulę parę chwil potem, jak dostał młot od Robinsona. Teraz jego złota skóra pokryta była patyną potu i kurzu, a jego pierś unosiła się w przyśpieszonym przez ciężką pracę oddechu. Poczula mrowienie w dłoniach i ze zdziwieniem zorientowała się, że chciałaby dotknąć go i sprawdzić, czy te rozrośnięte mięśnie są tak twarde na jakie wyglądają. Szybko zacisnęła dłonie w pięści i odsunęła się.

Ruel podniósł koszulę leżącą na ziemi obok torów.

- Zaproś mnie do swojego bungalowu na kolację.

- Po co?

- Chcę poznać twojego Patricka Reilly'ego. - Ruszył wzdłuż torów przez Wąwóz Sikor. - Chcę was zobaczyć razem.

Już mu chciała zadać następne pytanie, ale jego twarz przybrała ten wyraz uporu, który zaczęła już rozpoznawać.

- Nie spodoba ci się. Jesteś zupełnie inny.

- Zaproś mnie.

Zawahała się przez chwilę, a potem powiedziała oficjalnym głosem:

- Czy zechcesz przyjść do nas na kolację?

- Z rozkoszą. Pójdę najpierw do hotelu, zmyję z siebie ten kurz i będę u was o ósmej. - Posłał jej chytre spojrzenie. - Nie bój się, nie będziesz musiała bronić swojego przyjaciela Reilly'ego. Nie jestem zagrożeniem dla niego.

Nagle przypomniała sobie wytrzeszczone oczy martwego mężczyzny na ścieżce. Ruel MacClaren mógł nie zagrażać jej czy Patrickowi, ale kiedy się wściekł, mógł być wyjątkowo niebezpieczny.

- On na to zasłużył. - Ruel wbijał wzrok w jej twarz, a ona miała niesamowite wrażenie, że czyta w jej myślach. - Zawsze płacę za to, co dostaję.

- No to nie muszę się martwić. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Kiedy się wreszcie przekonasz, że jestem zdrowa, zajmiesz się swoimi sprawami. - Odwróciła się i spojrzała na niego. - A przy okazji, czym się zajmujesz?

- W tej chwili inwestuję. - Zaśmiał się, widząc jej niedowierzające spojrzenie. - Czyżbym wyglądał zbyt ordynarnie jak na handlowca? To prawda, nie czuję się dobrze w świecie interesu, ale już dawno nauczyłem się, że królowi wszystko się wybacza.

- Królowi?

- Mając dość pieniędzy można zostać królem.

- Czy właśnie tego pragniesz?

Zmrużył oczy.

- Być może zadowolony mnie pozycja księcia korony, ale jeśli będę miał widoki na więcej? Czy nie tego każdy z nas chce? To dużo lepsze, niż być miażdżonym butanu innych.

Pokręciła głową.

- Nie sądzę, żebym się dobrze czuła w takim świecie. To by było... dziwaczne.

- Wolisz być niewolnikiem na swojej kolei?

- Nie zawsze tak jest. Tu jest ciężko, ale czasem praca jest lżejsza.

- A czy to warte zachodu?

Energicznie potaknęła:

- O, tak.

- Dlaczego?

- Nie umiem wytłumaczyć. - Pomyślała chwilę. - Pociąg to... wolność. Wsiadasz do pociągu, a on cię zabiera gdzieś daleko, zostawiasz wszystko co złe za sobą.

- A jeśli tory wiodą tam, gdzie jest jeszcze gorzej niż tam, skąd odjeżdżasz?

- To wsiadasz przed tym „tam”. Masz możliwość wyboru.

- I ucieczki. - Wbił wzrok w jej twarz. - Przed czym chcesz uciec, Jane?

- Już uciekłam i nigdy nie wrócę - powiedziała cicho.

- A twój Patrick pomógł ci w ucieczce?

Uśmiechnęła się.

- Tak, Patrick mi pomógł.

Jeszcze jedną whisky, panie MacClaren? - spytał Patrick.

- Myślę, że nie. Dziękuję.

- A ja chyba łyknę jeszcze kapkę. - Patrick wylał do szklanki resztę whisky, która została w butelce. - Wiem, że nie dopełniają butelek. Myślę, że służący w klubie kantuje mnie. Tym Hindusom nie można wierzyć, MacClaren.

- Mówi pan z doświadczenia? - spytał uprzejmie Ruel

- Sula! - zawołał Patrick. - Gdzie jest ta kobieta, Jane, poleć do kuchni i powiedz jej, że potrzebujemy jeszcze jednej butelki.

- Wczoraj wyjęłam ostatnią ze spiżarki - odpowiedziała Jane.

Patrick spojrział wilkiem.

- Pewnie komuś sprzedaje ten alkohol na bazarze. Nigdy tak nie było, kiedy Li Sung opiekował się moją whisky. Ściągnij go z powrotem tutaj, gdzie jego miejsce, Jane.

Jane szybko spuściła wzrok na swój talerz.

- Mówiłam ci, że Li Sung jest mi potrzebny w Narinth.

- Czy to ten Li Sung, o którym mi wspominałaś?

Podniosła oczy i zobaczyła, że Ruel się w nią wpatruje. Rozzłościło ją to. Nie dość, że przez cały wieczór Patrick był obiektem bezlitosnych badań, wyglądało na to, że teraz jej kolej.

- Tak, Li Sung pracuje dla nas.

- Jak na żółtka, niezły facet. Nie taki, jak ci oszuści, Hindusi. - Patrick wstał i chwiejnie ruszył w stronę drzwi na werandę. - Zaraz wracam, MacClaren. Chyba zostawiłem na stole na werandzie pełną butlę.

- Miły gość - skomentował Ruel, kiedy Patrick zniknął.

Jane z wściekłością zwróciła się w jego stronę.

- Dlaczego sobie nie pójdziesz?

Ruel uniósł brwi.

- Czyżbym cię czymś obraził?

- Przez całą kolację siedziałeś i obserwowałeś go, ciąłeś go na kawałki swoimi pytaniami. - Wzięła głęboki wdech. - Obserwowałeś nas oboje. Nie podoba mi się to.

- Lubię na ciebie patrzeć. - Uśmiechnął się lekko. - Sądziłem, że wiem o tobie wszystko, ale ciągle dowiaduję się czegoś nowego.

- Nic o mnie nie wiesz i nie masz żadnego interesu w ocenianiu Patricka, skoro go nie znasz!

- Ranisz mnie. - Jego niebieskie oczy lśniły w świetle lampy. - Myślałem, że byłem czarujący i wygadany. Jestem pewny, że Reilly tak sądzi. Jeśli w ogóle może myśleć w tych oparach alkoholu. Czy zawsze jest pijany, kiedy wracasz z harówki dla niego?

- To przez upał.

- Naprawdę? - Wstał i położył serwetkę na stole. - Najwyraźniej nadużyłem gościnności, więc będę się zbierał. - Lekko się skłonił. - Dziękuję za kolację. Mam nadzieję, że obecność Suli oznacza, że jesteś tylko robolem dziennym, a nie kuchcią?

Jej ręce pod stołem zacisnęły się w pięści.

- Dobranoc.

Nagle z jego twarzy zniknął kpiący wyraz.

- Na Boga, idź do łóżka! - powiedział szorstko. - Jesteś śmiertelnie zmęczona, a jemu nie będzie ciebie brakowało. Zobaczmy się jutro na budowie.

- Wrócisz?

- O, tak. To dla mnie bardzo interesujące doświadczenie. - Ruszył do drzwi. - Uczenie się nowych rzeczy zawsze jest intrygujące. To dlatego uczestniczyłem w tak zajmującej kolacji.

- A czego nowego nauczyłeś się dziś wieczorem?

Rzucił jej spojrzenie ponad ramieniem.

- Że jesteś nieprawdopodobnie lojalna i że szczerze chcesz się zaharować na śmierć dla tego sympatycznego moczymordy.

- Nie jest moczymordą. Mówiłam ci...

- To ten upał - dokończył za nią. - Spotkałem tu mnóstwo ludzi, którzy pogodą tłumaczą pobażanie sobie. Przez upał są spragnieni, przez monsuny przybici, przez burze piaskowe

mają bóle głowy. Ale tak naprawdę nie interesuje mnie już Patrick Reilly, od kiedy dowiedziałem się o nim wszystkiego, czego chciałem.

- A cóż to takiego? - spytała jadownicę.

Spojrzał jej w oczy.

- Że cokolwiek was łączy, plotki nie potwierdziły się. Nie dzielisz z nim łóżka.

No i jak? - spytał Ian, kiedy w godzinę później Ruel wszedł do swego pokoju hotelowego. - Miałaś owocny dzień?

- Dosyć owocny. - Ruel zdjął płaszcz i koszulę i skierował się do umywalki po drugiej stronie pokoju. - Poznałem Patricka Reilly'ego.

- No i?

- Nie ma nic wspólnego z Kartaukiem. Sądzę, że nie ma nic wspólnego z czymkolwiek poza swoją flaszką.

- Biedna dziewczyna.

- Nie byłaby zachwycona twoim współczuciem. - Wlał wodę do miednicy i zaczął myć twarz. - Zresztą ten, kto potrafi rzucić wyzwanie Abdarowi, musi być na tyle silny, żeby nie potrzebować współczucia.

- Mimo to współczuję jej. Ona mi trochę przypomina Margaret.

- Nasza niewinna i przywoita Maggie nie byłaby zachwycona porównaniem jej z kobietą, która odwiedza burdele i obnosi się w męskich ciuchach. - Podniósł ręcznik i wytarł twarz. - Wierz mi, nie są do siebie zupełnie podobne.

- Tak naprawdę nigdy nie znałeś Margaret. - Uśmiechnął się Ian. - I nie sądzę, żebyś znał także to dziecko.

- Wkrótce ją poznam. - Spojrzał przez ramię. - I Kartauka. - Zaczął odpinać pas. - Ten Li Sung, o którym wspomniała, jest podobno w Narinth. Może byś się tam jutro przejechał i sprawdził, czy rzeczywiście tam jest?

- Myślisz, że on ma coś wspólnego z Kartaukiem?

- Może. Wiem, że skłamała na temat jego miejsca pobytu. - Odrzucił pas na krzesło i zaczął rozpinąć spodnie. - Ona nie umie dobrze kłamać.

- Co znaczy, że jest uczciwą dziewczyną.

- A gdybyś tak już stąd poszedł, żebym mógł się trochę przespać?

- Jutro też masz zamiar pracować na szlaku?

- Jak długo to będzie potrzebne. - Zaczął ściągać spodnie. - Dobranoc, Ian.

- Zaczynam się czuć przepędzany. - Ian ociężale podniósł się i odwrócił do drzwi. - Daj mi znać, gdybyś potrzebował mojej pomocy.

- Pomożesz mi oszukać to „biedne dziecko”? - spytał kpiąco Ruel.

- Nie oszukasz jej. Jesteś przywoitym człowiekiem, a w dodatku zaczynasz czuć coś do niej - powiedział spokojnie Ian. - Ale im szybciej ta sprawa z Kartaukiem wyjdzie ci z głowy, tym szybciej będziemy mogli pojechać do domu.

- Nic do niej nie... - Ruel przerwał w połowie, bo za Ianem zamknęły się już drzwi.

Pięć minut później Ruel zdmuchnął lampę na stoliku nocnym obok łóżka i położył się na plecach, wpatrując się w ciemność. Powinien być zmęczony, ale był zbyt spięty, żeby spać, a słowa Iana nie wprowadziły go w spokojniejszy stan.

Nic nie czuł do Jane Barnaby, do cholery! Oczywiście, istnienie długu do spłacenia komplikowało sprawę, ale wciąż miał niezłomny zamiar wykorzystać ją dla odnalezienia Kartauka. Kiedy już osiągnie swój cel, zadecyduje, czy oddać Kartauka Abdarowi, czy zabić tego bydlaka samemu.

Zabić Kartauka? Ta brutalna myśl pojawiła się właściwie bez powodu. Nawet nie znał Kartauka i nie miał żadnych powodów, żeby go zabijać.

Ale wiedział, że Jane Barnaby wystarczająco mocno się troszczy o tego sukinsyna, żeby ryzykować dla niego życie.

I wiedział dosyć, by być pewnym, że jest jego kochanką.

Na tę myśl wstrząsnęła nim wściekłość.

Żądza. Nie zwykłe pożądanie, ale obsesyjna, przemożna żądza posiadania. Dopuścił do tego, że wpadł w pułapkę, zainteresował się nią i zaangażował, zanim jeszcze jego ciało

zareagowało na nią u Zabrie. Teraz to wszystko plotło się w jakiś bolesny, idiotyczny sposób.

Musi się pozbyć emocji, myśleć chłodno i jasno. Nie wolno dopuścić, by to uczucie do Jane przeszkodziło jego dążeniu do Cinnidaru. Trzeba oddzielić od siebie te dwie sprawy i zrealizować je niezależnie. Wtedy u Zabrie wyraźnie na niego reagowała i na tym oprze swoje dalsze postępowanie. Nie można o nim powiedzieć, że jest niedoświadczony, więc może jeśli da jej w łóżku więcej rozkoszy niż Kartauk...

Jego wyobraźnia podsunęła mu obraz:

Jane w łóżku z Kartaukiem, wije się pod nim w szaleństwie, a on dziko porusza się na niej w przód i w tył...

Ruelem targała furia. Dłonie u boków zacisnęły się w pięści. Boże, co się z nim dzieje? Nigdy nie był zazdrosny o żadną kobietę. Namiętność była dla niego zawsze miłą gierką, której się oddawał, i o której zapominał. A teraz szalał na samą myśl o pozbawionym twarzy obcym mężczyźnie, kradnącym mu ciało kobiety, której nawet nigdy nie posiadał.

Chyba rzeczywiście zabije tego skurwiela.

Pułkownik Pickering powiedział Ianowi, że prywatny wagon maharadży to naprawdę coś wartego obejrzenia - powiedział niedbale Ruel, pomagając Jane wsiąść na Bedelię. - Pokażesz mi go?

Spojrzała na niego z zaskoczeniem. Była półprzytomna, słała się ze zmęczenia, a przecież nie wbijała cały dzień haków jak on. A mimo to ruchy Ruela były tak samo sprężyste i energiczne jak rankiem, kiedy zaczynał pracę.

- Teraz? Nie jesteś zmęczony?

- Bywałem bardziej zmęczony. - Mrugnął do niej wsiadając na konia. - Jak to mi ktoś ostatnio powiedział, kiedy się o tym nie myśli, można iść dalej. Pokażesz mi ten wagon? Nowa stacja jest chyba po drodze do bungalowu?

- Tak, na stacji są dwa wagony. Jeden to prywatny wagon maharadży, a drugi to pasażerski wagon dla jego gości.

- Ale złote drzwi są w tym prywatnym?

Popatrzyła mu w twarz.

- Słyszałeś o drzwiach?

- Musiałbym być głuchy, żeby nie usłyszeć o drzwiach, o których mówi cały Kasanpur. Nie co dzień ludzie słyszą o złotych drzwiach.

- No, chyba nie. - Zawahała się. - Nie wolałbyś poczekać? Wczoraj wieczorem dostałam wiadomość, że lokomotywę już załadowano w dole rzeki, jest już w drodze i będzie dostarczona jutro po południu. Mógłbyś obejrzeć je razem.

- Lokomotywa mnie nie interesuje. - Uniósł jedną brew. - Chyba że ma złoty kociół?

Zaśmiała się.

- Nie, chociaż dopilnowaliśmy, żeby bardzo błyszcziała. - Przerwała. - Kiedy już dojedzie, będzie na nią czekał maharadża. Zaprosił prawie wszystkich w Kasanpurze na jej oględziny.

- To zmienia postać rzeczy. Czy zdołasz mnie przedstawić maharadży?

Pokręciła głową.

- Nie zaryzykuję rozdrażniania go. Nie będzie miał ochoty na myślenie o czymkolwiek poza swoją nową lokomotywą.

- Niedobrze. Wolę więc rzucić okiem na te drzwi teraz, kiedy mam czas na oglądanie. Mam wielki pociąg do złota, niezależnie od jego formy.

- Znam kogoś, kto ma takie same skłonności. - Jej uśmiech przybladł. - A właściwie, znam dwie osoby, które... - Wbiła pięty w bok klaczy, która skoczyła naprzód. - Jeśli chcesz to zobaczyć, to pośpieszmy się.

Zanim dojechali do stacji, słońce już prawie zaszło, ale jego ostatnie promienie padały jeszcze na jasno wypolerowany mosiądz, zdobiący dwa szkarłatne wagony.

- Maharadża najwyraźniej nie jest najskromniejszym z ludzi - powiedział Ruel, ściągawszy wodze i zsiadłszy z konia przed stacją. - Wyobrażam sobie, że ten mosiądz w Pełnym słońcu musi po prostu oślepić.

- O, tak. - Jane zsiadła z Bedelii i poszła za nim po peronie w stronę wagonów. - Jak mówiłam, on lubi połysk.

- A gdzie są te sławetne złote drzwi?
Wskazała drugi wagon.
Szybko przeszedł obok pierwszego wagonu i wskoczył na metalowe stopnie drugiego.
- Słońca już prawie nie ma. Nie widzę dobrze. - Zdjął lampę z haka obok drzwi, zapalił ją i uniósł. Przez chwilę patrzył na drzwi w milczeniu. - Wspaniałe!
- Mają przedstawiać rajski ogród. Same drzwi są z brązu, ale pokrytego bardzo grubo złotem. - Skrzywiła się. - Kosztowały nas zdecydowanie za dużo.
Te pieprzone drzwi kosztowały mnóstwo i problemów, i pieniędzy. W końcu nie była w stanie patrzeć na nie z takim zachwytem, na jaki zasługiwały. Teraz jednak spróbowała je zobaczyć oczami Ruela.
Dwa kwitnące drzewa zamykały oba boki drzwi. Tropikalne kwiaty poplątanymi zwojami owijały się wokół ich gałęzi i spływały obfitymi strugami na całą złotą powierzchnię. Przez gąszcz kwiatów można było dojrzeć tygrysa i gazelę, baraszkujące bez troski przed ubraną w sari kobietą. Kobieta przeglądała się w lusterku, nie zwracając uwagi na zwierzęta.
- Jakość wykonania jest wyjątkowa! Kto to robił?
- Miejscowy rzemieślnik. Napatrzyłeś się? - spytała szybko.
- Nie. - Jego spojrzenie zatrzymało się nagle na pniu drzewa po lewej stronie. - Co to jest? - Zaczął się śmiać. - Dobry Boże, przecież to wąż!
Miała nadzieję, że nie zauważy owiniętego dokoła pnia węża.
- Podobno w raju zawsze jest wąż.
- Też tak słyszałem. - Zaśmiał się dziwnie. - Ale nigdy nie bywa tak mądrze ukazany. Jego zainteresowanie węzem zaniepokoiło ją, spróbowała więc odwrócić jego uwagę.
- Ja uważam, że tygrys jest pięknie zrobiony.
- Bardzo ładny. - Wciąż wpatrywał się w węża. - Przepiękne paskudztwo - mruknął.
- Co?
- Nic takiego. - Ku jej uldze podniósł wreszcie wzrok z węża. Spojrzał na nią. - Czy mogę zobaczyć wnętrze wagonu?
- Oczywiście. - Szybko wyjęła z kieszeni kółko z kluczami, a potem zawahała się, przypomniawszy sobie, co jest za drzwiami. - W umeblowaniu nie ma nic niezwykłego. Jeszcze się nie napatrzyłeś?
Przyjrzał jej się uważnie.
- Co takiego jest w środku, czego nie chcesz mi pokazać?
- Jestem zmęczona i głodna - powiedziała, gestykulując niecierpliwie. - Chciałeś zobaczyć drzwi i zobaczyłeś je. To strata czasu.
- Dlaczego? - spytał znowu.
- Och, na Boga! - Odryglowała ciężkie drzwi i szeroko je otworzyła. - Patrz, jeśli chcesz! Nic mnie to nie obchodzi.
- Dziękuję, popatrzę. - Wszedł do wagonu. - Idziesz?
- Już to wszystko widziałam. - Wpatrywał się w nią bez mchu, więc niechętnie postąpiła do przodu i stanęła obok niego. - Pośpiesz się!
- Tak, pamiętam, jesteś głodna. - Podniósł latarnię i rozejrzał się wokół. Światło wydobyło z mroku obite purpurowym pluszem kanapy, polerowane stoliki z drewna lękowego, ozdobne zasłony, otaczające inkrustowane masą perłową parapety okien. Uniósł latarnię jeszcze wyżej i jego spojrzenie padło na osiem obrazów zdobiących ściany. Gwizdnął przeciągle. - Sam zaczynam nabierać apetytu.
- Maharadza je wybrał - powiedziała szybko. - Kazał przynieść te obrazy z pałacu.
- Z komnat nałożnic bez wątpienia. Kamasutra...
- Kama co?
Podszedł bliżej, studiując dokładnie obrazek na wprost niego.
- Te są naprawdę świetnie wykonane. Zabrze pokazała mi kilka obrazków w książce, ale tamte miały wyraźnie na celu podniecanie, a nie ukazanie uczuć. Zauważyłaś, jaki czuły wyraz twarzy ma ten mężczyzna? - Przysunął latarnię bliżej obrazka. - A pośladki tej kobiety zdają się być równie delikatne i jędrne jak brzoskwinie. Ta pozycja jest bardzo przyjemna, jeżeli odpowiednio dobierze się kąt...

Przyłapała się na tym, że nie patrzy na obrazek, lecz na grę światła na łagodnych liniach

jego twarzy. Nie dotykali się, ale czuła gorąco jego ciała, uświadamiała sobie przyziemność jego zapachu, mieszaniny soli, mydła i potu. Zaczęło jej brakować tchu. Intymność tego wagonu przytłaczała ją i osłabiała.

- Pójdziemy już?

Objął ją zaciekawionym spojrzeniem.

- Rumienisz się? Nigdy bym nie przypuszczał, że dla kobiety, która odwiedza Zabrie, może być w tych obrazkach cokolwiek szokującego.

- Nie rumienię się! - Wiedziała, że płomień na jej policzkach zadaje kłam słowom, rozmyślnie więc mówiła opryskliwym głosem. - Nie widzę w nich nic szokującego, najwyżej są kłamliwe. Mężczyźni nie... Nie ma łagodności. To nie jest tak, jak na tym obrazku.

Spojrzał jej w twarz.

- Nie? A jak to jest?

- Ciężko i szybko - powiedziała bez wyrazu.

Zachichotał.

- Nie da się zaprzeczyć, że ciężko. Powinnaś spróbować...

- Nie chcę o tym mówić.

- Dlaczego nie? Dla mnie ta dyskusja jest fascynująca. Powiedz coś więcej!

- Naigrawasz się ze mnie.

- Możliwe. Twoje doświadczenia wydają się cokolwiek ograniczone.

- Mylisz się - powiedziała oschle. - Spędziłam pierwsze dwanaście lat życia w burdelu. Wiem wszystko o... - Przerwała nagle. Odwróciła się na pięcie i poszła do drzwi. - Mam dość tych bzdur.

- W burdelu? - Dziwna szorstkość w jego głosie zmusiła ją do spojrzenia na niego przez ramię. Cała wesołość zniknęła z jego twarzy, był spięty, sprężony jak kot przed skokiem. - Czy to tam Reilly cię znalazł?

- Tak.

- Chyba go więc źle oceniłem. Nie zgadłbym nigdy, że ma skłonności do dzieci. Ten moczomorda jest nie do zniesienia.

- To nie było tak... Muszę wracać do bungalowu.

- Zgadza się, nie wolno ci się spóźnić. - Kłujące szyderstwo kryło się pod jedwabnym głosem Ruela, a jego jasne oczy błyszczały spod półprzymkniętych powiek. - Jestem pewny, że Patrick będzie się czuł samotny, jeśli każesz mu czekać jeszcze chwilę.

- Zamknij się! - Jej dłonie zacisnęły się w pięści. - Patrick może nie zawsze jest trzeźwy, ale nie kpi z ludzi i nie stara się ich zranić. Nie jest taki okrutny jak ty.

Odwróciła się i otworzyła drzwi.

- Jane! - Zaklął pod nosem i nagle był już koło niej, złapał ją za ramię.

Próbowała oderwać jego palce od swojej ręki.

- Cholera! Puść mnie!

Natychmiast ją puścił i uniósł rękę.

- Już cię nie dotykam! Mogę teraz coś powiedzieć?

Wpatrywała się w niego.

- Przyznaję, że chciałem cię zranić. Poczulem szpilę i instynktownie oddałem.

- Nie miałam na myśli ciebie. Nie wiem nawet, o czym mówisz.

- Staram się usprawiedliwić. - Wykrzywił się. - Ale najwyraźniej nieumiejętnie. Chyba dlatego, że nie pamiętam już, kiedy ostatni raz korzyłem się przed kimś. Bóg jeden wie, musimy wszyscy robić to, co musimy, żeby przeżyć. Nie miałem prawa cię osądzać. Przebaczysz mi?

Poczuła, że jej gniew znika.

- Jesteś dziwnym człowiekiem.

- Bez wątplenia. - Cofnął się o krok i gestem wskazał żeby przeszła pierwsza. - Idź. W tej chwili niezupełnie jestem sobą, i lepiej byłoby, gdybyś mnie takim nie widziała. Spotkamy się rano.

- Czy ma sens próba namówienia cię raz jeszcze do porzucenia pracy przy torowisku? - spytała niepewnie.

- Najmniejszego. - Nie spojrzawszy na nią przeszedł obok i szedł po stopniach na peron. -

Teraz za późno na to. Należy dokończyć, co się zaczęło.

- Co?

- Jeszcze niedawno wiedziałem - powiedział ochryple. - Teraz już nie jestem pewny.

W chwilę później dosiadł konia i truchtem ruszył w stronę miasta.

Li Sunga nie ma w Narinth - powiedział Ian. - Nie było go tam od jakichś dwóch miesięcy, kiedy odwiedził to miasto z Jane Barnaby.

- No, to naszym następnym pytaniem jest, dlaczego kłamała - mruknął Ruel. - I gdzie teraz przebywa ten dzentelmen.

- I dlaczego wypiliśmy trzy porcje whisky, od kiedy wróciłeś - dodał uprzejmie Ian.

- Bo chciało mi się pić. - Uśmiechnął się beztrudnie Ruel. - I bo to dobra szkocka. Powinieneś to pochwalać. Wszystko, co choć trochę wiąże się z Glencaren, jest wartościowe, prawda? - Opadł na krzesło. - Cudowne, wspaniałe Glencaren. Powiedz, miałeś jakieś wiadomości od Maggie?

- Wiesz przecież, że nie.

Ruel uniósł szklanekę do ust.

- Niewątpliwie wciąż niańczy swojego ojca i jest obowiązkową córką. O ile pamiętam, MacDonald zmienił życie Maggie w piekło na ziemi. Zawsze uważałem, że specjalnie symuluje chorobę, żeby uwięzić Maggie do swojego łóżka i robić z niej niewolnicę.

- Ja też. Nie podoba mu się pomysł oddania Margaret człowiekowi niebogatemu.

- A nigdy cię nie kusilo, żeby utłuc tego starego skurwiela?

- Nawet często.

- No i?

- To grzech śmiertelny. Możemy poczekać.

- Mam to zrobić za ciebie?

Ian szeroko otworzył oczy.

- Mam to zrobić? - powtórzył Ruel.

- Żartujesz.

- Czyżby? - Ruel sam się zastanawiał, czy zaproponował to tylko, żeby zaszokować Iana, czy rzeczywiście miał na to ochotę. Miał ochotę na przemoc, a dręczenie, torturowanie i upodlanie córki przez MacDonalda wydawało mu się gorsze od śmiertelnego grzechu, o którym mówił jego brat. - Skąd wiesz?

- Znam cię.

- Już nie.

- Przemawia przez ciebie alkohol. - Ian zaniepokojony wzruszył ramionami. - Przestań gadać bzdury.

- Jak chcesz. - Ruel znów się napił. - Powiedz mi, jak zmienisz zdanie.

- Dlaczego jesteś taki dziś wieczór?

- Jaki?

- Dziki.

- To natura bestii.

Ian potrząsnął głową.

- Jesteś wytrącony z równowagi. Dlaczego?

- Nie jestem wyt... - Po co właściwie zaprzeczać, skoro Ian i tak mu nie uwierzy? Ruel miał nadzieję, że alkohol przytępi uczucia zazdrości, złości i litości, jakie wzbudziły w nim słowa Jane. Od czasu rozstania z nią nie przygasły ani trochę. Miał ochotę udusić... kogo właściwie, na litość boską? Patricka, Kartauka, tych mężczyzn, którzy zmienili jej dzieciństwo w koszmar? Och, do cholery! Nalał sobie następną porcję. - Widziałem dzisiaj te złote drzwi.

- No i?

- To wspaniałe obraz rajskiego ogrodu... z węzłem o twarzy Abdara.

- Co? Jesteś pewny?

- To jest bardzo subtelnie zrobione, ale nie można nie zauważyć podobieństwa.

- Przepiękne paskudztwo. - Ian zachichotał. - Zaczynam lubić tego Kartauka. Ten człowiek ma poczucie humoru.

Ruel miał podobne odczucia i usiłował z tym walczyć od chwili, kiedy ujrzał tego diabelsko chytrego węża.

- Maharadża zdaje się niespecjalnie lubić swojego syna, skoro pozwolił na tak szczególny dowcip.

- Tę samą opinię głosił pułkownik Pickering, o ile sobie przypominasz.

- Jutro dostarczą lokomotywę. Jane mówi, że maharadża będzie przy tym obecny. Może byś poszedł z pułkownikiem i zorientował się, czy mógłbyś uzyskać audiencję?

- Świetna myśl. Przystajesz szukać Kartauka?

- Tego nie powiedziałem. Ale zawsze mądrze jest przepatrzeć wszystkie ścieżki. - Skierował się do drzwi ze szklanką w ręku. - Chociaż, sądząc po jego artystycznym guście, którego wyraz widziałem dziś w wagonie, szczerze wątpię, abyś znalazł z nim wspólny język.

To musi być dla ciebie wielki dzień.

Jane odwróciła się i ujrzała stojącego o kilka stóp od niej Iana MacClarena. Gdy zobaczyła jego ciepły uśmiech, nastrój jej od razu się poprawił.

- Dzień dobry, lordzie MacClaren.

- Ian. - Podszedł o krok bliżej, zasłaniając swoją wysoką postacią tłum paplających mężczyzn i kobiet, kłębiący się wokół małego budynku stacyjnego. - Dlaczego się tu ukrywasz? Myślałem, że będziesz tam, na peronie, pławić się w zadowoleniu maharadży.

- Zrobiłam swoje nadzorując transport lokomotywy z łodzi. - Jej wzrok powędrował do Patricka, stojącego na peronie obok maharadży i gestykulującego przy mosiężnym zderzaku na przedzie lokomotywy. - Patrick jest w tych sprawach lepszy ode mnie. Czy Ruel jest z tobą?

- Nie, pracuje dla ciebie na budowie. Przyszedłem z pułkownikiem Pickeringiem. - Ian skinął w stronę potężnego mężczyzny o stalowosiwych włosach i interesującej kolekcji medali zdobiących jego umundurowaną pierś. - Poznałaś go już?

- Nie, ale Patrick o nim wspominał. Bardzo nam pomógł, używając swych wpływów na maharadzę.

- Ruel miał nadzieję, że dziś też się tak stanie, ale nie sądzę, aby mnie spotkało to szczęście.

- Uśmiechnął się. - Ściągnięcie tutaj tej monstrualnej lokomotywy musiało być niełatwym zadaniem. Zaslugujesz na nagrodę. Chodź ze mną do bufetu i pozwól, że zafunduję ci szklankę soku owocowego.

- Nie! - Wbrew woli cofnęła się o krok. - To znaczy, nie chce mi się pić.

- W tym upale? Musisz być spragniona. - Ian ujął ją delikatnie za łokieć. - Chodź, zrobimy sobie...

- Nie! - Wyrwała rękę. - Powiedziałam, że nie chce mi się pić. - Wpatrywał się w nią z takim zaskoczeniem, że w końcu wyjaśniła: - Nie rozumiesz? To nie jest moje miejsce. Oni wszyscy patrzą na mnie, jakbym była jakimś dziwnym stworkiem. - Uniosła głowę. - Ale mnie to nie obchodzi.

Jego wzrok prześlizgnął się po jej luźnej koszuli i roboczych spodniach.

- Wyglądasz czysto i porządnie. Będę zaszczycony mogąc ci towarzyszyć.

- Czystość to za mało. Dla nich jestem inna. - Odwróciła się na pięcie. - Nie mogę dłużej marnować tutaj czasu. Mam pracę. Do widzenia, lordzie MacClaren.

- Ian - powtórzył. - Nie sądzę, żeby konieczna była to oficjalność, skoro dałem ci koszulę z własnego grzbietu.

Spojrzała na niego spłoszona.

- Ojej, zapomniałam! Chciałam ją zwrócić. Przepraszam, lordzie... - urwała, napotkawszy jego wzrok. - Ian. Jutro oddam ją Ruelowi, żeby ci zwrócił.

- Nie ma pośpiechu. - Kiedy wyszła z budynku stacyjnego, ruszył obok niej i bezskutecznie starał się zrobić jej przejście w tłumie na peronie. - Nie jedziesz dziś na budowę?

Pokręciła głową.

- Już jest za późno. Zanim bym dojechała do wąwozu byłoby po zachodzie słońca. Jadę do składu zapasów sprawdzę, czy razem z lokomotywą dowieziono transport torów.

- A więc pozwól mi sobie towarzyszyć. - Wykrzywił się. - W tym zamięcie z pewnością nie będę w stanie zorganizować sobie dostępu do maharadży. Może nie jestem taki dziki, jak

mój brat, ale moje rozmiary czasami odstręczają napastników.

- Nie potrzebuję opieki. - Urwała. - Nie jestem pewna, czy celem Ruela jest rzeczywiście opieka nade mną. On mi czasem przypomina wielkiego kota, gotowego do ataku.

- Tygrys stąpa cicho, tygrys wścieka się głośno - mruknął.

- Słucham?

- To urywek starego szkockiego wiersza. Pasuje do Ruela, nie sądzisz?

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Szkocki wiersz? Sądziłam, że w Szkocji nie ma tygrysów.

- Mamy ich trochę, tych dwunożnych. Mój sławetny przodek, Alexander MacClaren, był jednym z nich. Ten łotr mógłby dawać lekcje Ruelowi. - Popatrzył na nią z rezerwą. - I myślę, że się mylisz. Jestem pewny, że Ruel chce cię chronić. Nawet jeśli sam sobie z tego nie zdaje sprawy.

- Nigdy jeszcze nie spotkałam nikogo, kto by lepiej wiedział, co robi, niż twój brat - powiedziała chłodno.

- Miał ciężkie życie. Czasami to z niego wychodzi, nie zawsze jest w stanie sam siebie prawidłowo ocenić.

- Ale ty wiesz, jaki naprawdę jest?

- O, tak, ja zawsze wiedziałem.

- To jaki on jest?

- To olbrzym.

- Co takiego?

- On jest jednym z herosów tego świata. Zawsze wierzyłem, że każde pokolenie daje światu kilku herosów. Ludzi, którzy są zdolni do niezwykłych aktów poświęcenia. Mających siły i odwagę do złapania życia za rogi i pokonania go. Ruel jest takim herosem. Tyle że nie przyjmuje do wiadomości swojego przeznaczenia.

Zachichotała.

- A ty, też jesteś herosem?

- Och, nie, ja jestem bardzo nudny. Ja po prostu się mżole, robię, co do mnie należy i staram się żyć jako tako.

- Nie sądzę, żeby to było nudne - powiedziała delikatnie.

- Jesteś bardzo uprzejma. - Znów się skrzywił. - Ale jestem nudnym facetem. To cud, że Margaret w ogóle na mnie spojrzała.

- Margaret?

- Margaret MacDonald. Jesteśmy zaręczeni.

- A więc ona jest wielką szczęściarą.

- To ja jestem szczęściarzem. - W uśmiechu jego twarz była prawie ładna. - Przekonałabyś się, gdybyś ją poznała. To wyjątkowa dziewczyna. Powiedziałem Ruelowi, że trochę mi przypominasz moją Margaret.

- Ja? - Popatrzyła na niego ze zdziwieniem i pokręciła głową. - Nie, nie mogę być taka jak ona.

- Dlaczego?

- Bo nie jestem... - Kiwnęła ręką w stronę budynku stacyjnego. - Bo ty jesteś lordem, a ona zapewne jest taka jak one.

- Pod jakim względem?

- Nie wiem. - Zamyśliła się. - Suknie z gorsami i koronki wokół szyi... miękkie ręce. Nie spodobałabym się jej. Jestem inna.

Wybuchnął śmiechem.

- To nie Margaret. Poza tym Bóg stworzył różnych ludzi. Nie wolno ci się wstydić tego, czym jesteś.

- Nie wstydzę się. - Pojęła, że jej nie zrozumiał. - Jestem dumna z tego, kim jestem. Żadna z tych kobiet nie umiałaby robić tego, co ja robię, a i niewielu mężczyzn trafiłoby. Po prostu uważam, że mądrze jest nie pchać się tam, gdzie mnie nie chcą.

- Bo wtedy napotykasz okrucieństwo i nietolerancję? - spytał cicho.

Gwałtownie przytaknęła.

- I twoja Margaret byłaby taka sama.

- Mylisz się. Spytaj Ruela. On był zawsze uważany za wyrzutka, tylko ona traktowała go

sprawiedliwie.

- Dlaczego Ruel był... - Nie, nie chciała wiedzieć o Ruelu nic ponad to, czego już się dowiedziała. Kiedy ją opuścił poprzedniego wieczora, spędziła bardzo niespokojna noc, już i tak zbyt zajęta jej myślami. Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - A więc muszę być w błędzie, a twoja Margaret jest dokładnie taka, jak mówisz. - Dojechali do składu, wyciągnęła pęk kluczy. - Dziękuję za dotrzymanie towarzystwa. Nie będę cię dłużej zatrzymywać. Wiem, że chcesz wrócić do reszty gości.

- To była dla mnie przyjemność. Uważam, że twoja „inność” jest dużo bardziej interesująca niż ich „taksamość”.

Zrobiło jej się cieplej na sercu, kiedy wyczuła, że nie kpi. Nie był taki jak Ruel, którego każde słowo trzeba obejrzeć i przemyśleć w poszukiwaniu ukrytego znaczenia.

- Masz niezwykły gust. Jestem pewna, że...

- Czy wasz skład jest zawsze zaryglowany?

- Tak.

- Dlaczego? - spytał z zaciekawieniem. - To nie do pomyślenia, żeby ktoś śmiał coś ukraść z budowy maharadży.

Uciekła spojrzeniem w bok.

- Chyba w Anglii przyzwyczałam się do strzeżenia naszych zapasów.

- Rozumiem. - Skłonił się lekko. - Cóż, jestem pewny, że robisz to dobrze. Margaret postępuje podobnie.

Posłała mu wymuszony uśmiech, otworzyła bramę i weszła na podwórze.

Masz rację, ona nie umie kłamać - powiedział powoli Ian.

Ruel odwrócił się od umywalni i rzucił mu pytające spojrzenie.

- Coś się dzisiaj stało na stacji?

- Niezupełnie.

- Ian!

- Ona się czuje bardzo samotna, wiesz?

- Wszyscy jesteśmy samotni.

- Uważa, że jest inna niż reszta kobiet.

- Bo jest inna.

- Nie... Myślę, że została bardzo skrzywdzona.

- Powiesz mi wreszcie, co się dziś stało?

Ian przez chwilę milczał, a potem powiedział niechętnie:

- Skład zapasów. Zawsze go rygluje, a ja myślę że to nie z powodu złodziei.

- Myślisz, że Kartauk...

- Tego nie powiedziałem. Po prostu była zakłopotana, kiedy wspomniałem o tych ryglach. - Skrzywił się. - Nie chciałem ci mówić. Czuję się, jakbym ją zdradzał.

Ruel zmarszczył czoło w namyśle.

- Kartauk nie może tam przebywać. Byłoby to zbyt ryzykowne, skoro co kilka dni zabiera się stamtąd tory na budowę.

- To dobrze. - Odetchnął Ian. - Musiałem się więc mylić.

- Być może. Dla pewności poobserwuj ten skład przez kilka wieczorów.

- To dla mnie krępujące, Ruelu.

- Wiem. - Uśmiechnął się Ruel. - Boisz się, że twoja dusza będzie skazana na potępienie.

Ian przecząco pokręcił głową.

- Nie, boję się skrzywdzić tę dziewczynę.

Uśmiech Ruela zbladł.

- Nie skrzywdzimy jej, tylko znajdziemy Kartauka.

- To może znaczyć tyle samo.

Ruel ściągnął koszulę.

- Wyjdź. Chcę się przespać.

Ian z westchnieniem wstał.

- Będę obserwował skład, ale mam nadzieję, że się myliłem. - Podszedł do drzwi. - Wierzę, że ty też.

- Jak cholera!

Ian uśmiechnął się i wyszedł z pokoju.

Patrząc na zatrzaśnięte drzwi Ruel zaklął. Nie przerwie poszukiwań Kartauka przez jakieś idiotyczne wyrzuty sumienia. Nie powstrzymają go też one przed wzięciem od Jane, czego chciał. Chryste, gdyby był mądrzejszy dałby upust tej pieprzonej żądzy poprzedniego dnia w wagonie. Nie wytrzyma tak dłużej, za każdym razem kiedy jest z nią, jest podniecony do bólu.

Dlaczego, do cholery, nie miałyby wziąć sobie tego czego chciał? Nie był taki święty jak Ian. Psiakrew, miał dosyć czekania i polowania na odpowiedni moment.

Gdzie są tory? - Jane napadła Patricka, kiedy tylko wszedł wieczorem do bungalowu.

- Myślę, że maharadża był zadowolony, prawda? - Patrick podszedł do barku i nalał sobie drinka. - Nadymał się jak paw nad tymi mosiężnymi latarniami.

- Tory miały przyjść razem z lokomotywą. Gdzie one są?

- Musiałem opóźnić dostawę do czasu, kiedy zorganizuję nową pożyczkę w banku. - Pociągnął długi łyk. - Boże, ależ w tym słońcu było gorąco.

- Potrzebuję tych torów!

- Dostaniemy je. Za trzy dni. Zająłem się wszystkim.

- Chyba mówiłeś, że nie dostaniemy już od banku kredytu?

Spojrzał na nią spode łba.

- Powiedziałem ci, że zająłem się wszystkim. Teraz idź i zobacz, czy ta leniwa Sula zadała sobie trud zrobienia dla nas jakiejś kolacji.

Chciał zakończyć wypytywanie, ale tym razem nie mogła do tego dopuścić.

- Będziemy w Wąwozie Lanpur za tydzień. Będę potrzebowała torów.

- Będiesz je miała. - Opadł na leżak i zamknął oczy. - Zaufaj mi.

Nie miała wyboru. Zrezygnowana zdała sobie sprawę, że musi mu zaufać.

- Powiem Suli, by podawała już kolację.

Odwróciła się i wyszła. Boże, czasami myślała, że już nie da rady. Była zmęczona prowadzeniem ciągłych walk z Patrickiem i maharadżą, a teraz jeszcze pojawił się na scenie ten Ruel MacClaren, żeby jej przeszkadzać i wprawiać w zakłopotanie. Szybko uciekła od myślenia o Ruelu. Miała dosyć kłopotów i bez przypominania sobie wyrazu jego twarzy, kiedy oglądał te przekłete obrazki.

Następnego dnia na szlaku zauważyła subtelny zmianę w Ruelu. Ledwo co na nią patrzył i nie przejawiał tej zmysłowości, którą tak odczuła w wagonie. A jednak było coś...

Po raz pierwszy odezwał się do niej, kiedy wracali do wierzchowców o zachodzie słońca.

- Cały dzień byłaś zdenerwowana. Powiesz mi dlaczego?

- Nie jestem zdenerwowana. Mam po prostu pracę do wykonania. Ty możesz sobie zaspokajać swoje zachcianki, ale dla mnie ta linia kolejowa to nie żarty.

- Przestań mnie atakować i powiedz, co się dzieje? Może będę umiał pomóc.

- Nie możesz pomóc.

- Skąd wiesz? Jestem bardzo pomysłowym facetem. Znajduję odpowiedzi na większość pytań.

Odwróciła się do niego gwałtownie.

- Umiesz powstrzymać monsuny od nadejścia w przyszłym tygodniu? - spytała ostro. - Umiesz mi znaleźć stu robotników, którzy będą pracować za darmo? Umiesz powstrzymać maharadżę od zamęczania mnie żądaniem skończenia tej choleryjnej linii? Umiesz...

- Nie, nie umiem żadnej z tych rzeczy - przerwał jej. - Ty też nie umiesz, więc dlaczego tego nie przyjmiesz do wiadomości i nie powiesz maharadży, że linia nie będzie gotowa na czas?

- Bo nam nie zapłaci, do cholery! - Uśmiechnęła się kwaśno. - On też zaspokaja swoje zachcianki. Jeśli go nie zadowolimy, może nas zrujnować.

- Nie macie kontraktu?

Kiwnęła głową.

- Ale w Kasanpurze jest nic niewart. Nie mamy szans na wygranie warunków kontraktu przeciw maharadży.

- To dlaczego przyjęliście tę robotę?

- Patrick uważał to za... - Odwiązała klacz i dosiadła jej. - Dlaczego właściwie mam się męczyć odpowiadaniem na twoje pytania? Nie wiem nawet, dlaczego tu co dzień przychodzisz.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, dlaczego pracuję dla ciebie z takim oddaniem?

- Chyba dość często cię o to pytałam.

- Podam ci jeden z powodów. - Urwał, a potem powiedział z namysłem: - Mam zamiar wypróbować z tobą tę pozycję, którą oglądaliśmy razem na obrazku w wagonie.

Spojrzała mu w twarz. Jej wyraz był tak beznamiętny, a głos tak obojętny, że nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

- Co?!

- O, tak, to stało się u mnie w ostatnich dniach obsesyjne. Cały czas o tym myślę. Jak ułożę cię na dłoniach i kolanach. Jak ujmę w dłonie twoje piersi. Jak powoli się wślizgnę i poczuję, jak się wokół mnie zacieśniasz. - Jego głos stał się ochrypły. - Jak zaczynam spokojnie, a potem napieram mocniej, głębiej, jak zmuszam cię do krzyku, kiedy sam...

- Przestań! Nie chcę tego słuchać! - Przerwała mu, zwilżając usta. - Idź do Zabrie, jeśli potrzebujesz kobiety.

- Nie chcę po prostu kobiety. - Urwał. - Chcę ciebie.

- Każda kobieta jest dobra do tego, czego chcesz.

- Też tak myślałam. Zmieniłem zdanie.

- To zmień je jeszcze raz. Nie chcę... tego.

- Mógłbym cię nakłonić do tego, żebyś zechciała. Chyba zauważyłaś wtedy u Zabrie, że bardzo do siebie pasujemy. - Nagle popatrzył jej prosto w twarz. - Może nawet za bardzo. Przestraszyłem cię?

- Ty? - Usiłowała mówić szyderczym głosem. - Nigdy mnie nie przestraszyłeś.

- Może nie w zwykłym znaczeniu, ale w końcu nie jesteś zwyczajną kobietą. Jesteś przyzwyczajona do swojej niezależności. Boisz się, że nie będziesz w stanie mnie kontrolować?

- W ogóle o tobie nie myślę. Nie mam czasu na zastanawianie się nad takimi głupotami.

- W takich sytuacjach często reagujemy nie myśląc.

- Nie ty. Ty zawsze myślisz, kombinujesz i planujesz. - I dodała ponuro: - A w dodatku masz czelność twierdzić, że wiesz o mnie wszystko.

- Nie wszystko. Codziennie odkrywam nowe rzeczy. Zauważyłem też, że im dłużej cię obserwuję, tym bardziej jestem zaniepokojony. To dlatego zdecydowałem się coś z tym zrobić. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Mam ci powiedzieć co?

- Myślałam, że już mi powiedziałaś.

- Och, to tylko początek.

- Zabrie - powiedziała z rozpaczą.

- Jane - rzekł miękko. - Tylko Jane.

- Nie słuchasz mnie. - Zaciśnęła dłonie na cuglach. - Chcę, żebyś odszedł. Po pierwsze, nie powinnam była nigdy pozwalać ci na pracę przy torowisku.

- A dlaczego pozwoliłaś?

- Byłeś zabawny. - Ale kiedy była obok Ruela, odbierała go nie tylko jako zabawnego. To było jak wpatrywanie się w połyskujące wnętrze magicznej kryształowej kuli w pozbawionym tchu oczekiwaniu na pojawienie się nowych obrazów. Odczuła dziwny ból, uświadomiwszy sobie, że trzeba zakończyć to niezdrowe podniecenie. Pocieszyła się, że szybko o tym zapomni. Wywoływał w niej zbyt intensywne uczucia, ta fascynacja była niebezpieczna. - Nie wykorzystasz mnie, Ruelu.

- Ależ tak! Będziemy się wykorzystywać nawzajem - będziemy się cieszyć każdą minutą. - Zobaczył, że chce zaprzeczyć, podniósł więc rękę. - I na pewno nie będę się cieszył, kiedy wreszcie będę cię miał. Z pewnością nie uznasz mnie za „szybkiego”, Jane.

Te żywo wypowiedziane słowa wywołały w jej pamięci obraz Ruela, leżącego nago na łóżku u Zabrie, leniwie pocierającego stopą prześcieradło. Nagle poczuła ucisk w piersiach, oddychanie stało się trudne.

- Nie będę się cieszyć żadnym...

- Będiesz, do cholery! - Jego chłód nagle znikną a jego niebieskie oczy zaczęły się jarzyć. - Nie wmówisz mi, że jestem brutalny. Nie jestem facetem z tego bagna gdzie wyrosłaś i nie jestem obcym w ciemnym pokoju czekającym na obsłużenie cię i wyrzucenie za drzwi. Jestem Ruel MacClaren i będziesz o tym pamiętać przez cały czas, kiedy będziesz ze mną!

Następny obraz - muskularne, opalone nogi, ułożone na białej kołdrze, a on powoli wychyla się w przód...

Poczuła, że jej policzki zaczynają płonąć.

- Nie chcę o tym mówić!

- To nie będziemy o tym rozmawiać! - Patrzył wprost przed siebie i mówił twardo i szybko.

- Ale będę o tym myślał - i ty też. Będziesz wiedziała, że chcę cię aż do bólu. Będziesz wiedziała, że przy każdym układanym haku myślę o tobie. Przy każdym początkowym, delikatnym stuknięciu, kiedy chcę go tylko wszpilić, myślę o wchodzeniu w ciebie. Przy każdym zamachu młotem będę myślał tylko o twoim głębokim i ciepłym wnętrzu - mówił już cicho i ochryple. - W każde uderzenie będę wkładał całą siłę, bo chcę wejść bardzo, bardzo głęboko. - Dźgnięciem pięt zmusił konia do galopu. - Pamiętaj o tym!

Hak wgrzył się w drewno.

Ciało Jane przeszył dreszcz. Powiedziała sobie, że to wibracja od walenia młotem w drzewo. Tyle razy przedtem to czuła, że przestała już zauważać.

Dobry Boże, ale teraz zauważała. Jej piersi nabrzmiały pod luźną koszulą, a sutki były boleśnie przeczulone na dotyk materiału.

Ruel znów uniósł młot. Mięśnie jego ramion naprężyły się i zalśniły złociście w świetle słońca.

Hak wszedł głębiej.

Jej mięśnie brzucha skurczyły się.

Młot wyrzwał łeb haka.

Co się z nią działo? Płonęła, krew z łomotem pulsowała pod jej skórą.

Upał. Silne słońce musiało wywołać taką reakcję.

Oderwała wzrok od Ruela i szybko podeszła do nosiwody.

Pokręciła głową, kiedy wyciągnął w jej stronę czerpak i złożyła dłonie w miseczkę. Chwilę później ochlapała zimną wodą twarz i policzki, potem kark i szyję. Tak lepiej. Miała rację, to niezwykle uczucie gorąca było spowodowane przez słońce, a nie przez Ruela.

Nie przez Ruela...

Przestał pracować i wpatrywał się w nią. Stał na lekko rozstawionych nogach, trzymając w obu rękach zwisający młot i wbijał wzrok w jej szyję. Nagle uświadomiła sobie tę stróżkę wody, powoli spływającą po jej szyi, pod koszulę, między piersi.

Zimna ciecz na gorącym ciele.

Płonące, niebieskie oczy wpatrzone w nią.

Woda dotarła do jej sutków, mocząc ciemniejszą plamą jasnoniebieskie płótna i przeczulając nabrzmiące sutki.

Ruel zwilżył językiem dolną wargę.

Wzdrygnęła się.

Uśmiechnął się i wskazał wzrokiem swoje podbrzusze.

Olbrzymi wzwód.

Znów zamachnął się młotem.

Hak wszedł głębiej w drzewo.

Nie czekałaś na mnie wczoraj - powiedział miękko. Jak mam cię ochraniać, jeśli ode mnie uciekasz?

- Ile razy mam ci powtarzać, że nie potrzebuję twojej ochrony? - Nie patrząc na niego szła szybkim krokiem po podkładach nad Wąwozem Sikor. - I nie uciekałam.

Czuła, że się w nią wpatrywał, a jej piersi naprężyły się jak wtedy, kiedy obserwowała go machającego młotem.

- Dlaczego z tym walczysz? Łatwiej będzie raz wreszcie oddać mi się.

- Zamknij się! - powiedziała gwałtownie.

- Spodoba ci się - powiedział ochryple. - I Bóg jeden wie, że oboje tego potrzebujemy. Ja chyba oszaleję.

Przyśpieszyła kroku, prawie biegnąc, potykając się o podkłady.

Zaklął pod nosem.

- Uważaj, psiakrew! - zawołał za nią. - Chcesz spaść do wąwozu?

- Nie chciałybyś tego, co? - odchrząknęła przez zaciśnięte zęby. - Nie miałabyś pożytku z kaleki?

Nagle zachichotał.

- To by rzeczywiście nieco skomplikowało, ale moglibyśmy wprowadzić parę usprawnień, i nawet kalectwo działałoby na naszą korzyść. Mam ci powiedzieć jak?

- Nie! - Przebiegła kilka stóp pozostałych do końca wąwozu, do kępy figowców, gdzie była przywiązana Bedelia. Spojrzała za siebie, ale on wciąż szedł po podkładach, nie próbując jej gonić. Pośpiesznie osiodłała klacz.

- Jeżeli przyjdiesz jutro, każę Robinsonowi cię wyrzucić!

- Nie zrobisz tego, bobym się rozzłościł, a to by znaczyło, że musisz sobie radzić bez nadzorca. - Uśmiechnął się. - Czy mówiłem ci kiedyś, jaki wredny jestem, kiedy się rozzłoszczę?

Martwe oczy wpatrywały się ślepo w ciemność ścieżki.

- Będiesz sama musiała rozwiązać ten problem - powiedział miękko. - To takie łatwe. Dlaczego utrudniać?

Światło słońca odbijało się od płowych pasm w jego włosach, wyglądał jak skąpany w poświacie, kiedy powoli szedł w jej kierunku. Cały dzień patrzyła, nie mogła oderwać od niego oczu, jak machał tym przekłętym młotem.

- Nie! - wreszcie zdołała oderwać wzrok, dosiadła Bedelii, przynagliła ją do truchtu, a po chwili, rozpaczliwie, do galopu.

Sądzę, że dziś wieczorem do składu przyszedł Li Sung - powiedział Ian.

Ruel zeszywniał i odwrócił się do niego.

- Jesteś pewny?

- Prawie pewny. Miał klucz. Jane przyszła do składu wcześniej, niosąc plecak, i wyszła bez niego. Dwie godziny później przyszedł Chińczyk z chromą nogą i zabrał ten plecak. Poszedłem za nim, ale zgubiłem go na bazarze.

- Specjalnie? - spytał sardonicznie Ruel.

- Bóg chodzi tajemnymi ścieżkami.

- Również wygodnymi.

- Mam dalej obserwować skład?

Ruel zawahał się.

- Nie teraz. Wiemy, co nam potrzebne. Reszta może poczekać.

- To niezupełnie po twojemu. Zwykle jesteś bardziej niecierpliwy.

Niecierpliwy? Chryste, był tak zniecierpliwiony i rozdrażniony, że czuł się jak wulkan tuż przed wybuchem.

Ale jego niecierpliwość nie miała nic wspólnego z Kartaukiem.

5

Dwa dni później, wcześniej rano, zaczął padać deszcz.

Niebo pękło i zaczął się potop. Jane pomyślała z rozpaczą, że deszcz w tym kraju jest taki sam jak wszystko inne - ciężki, gorący i prawie nie do zwalczenia. Niemniej początkowo była prawie zadowolona z tego kataklizmu, bo pierwszy raz od kilku dni była w stanie zignorować obecność Ruela i skoncentrować się na stojących przed nią zadaniach.

W południe woda utworzyła po obu stronach torów sadzawki, robotnicy ślizgali się i obsuwali przy każdym kroku. Około trzeciej deszcz padał tak gęstymi i silnymi strumieniami, że robotnicy ledwie widzieli łby haków, które mieli wbijać. O czwartej Jane okrzyknęła fajrant i kazała wszystkim wrócić nazajutrz o świcie.

- Najwyższy czas - mruknął Ruel, wrzucając młot na stojącą obok torów krytą żaglowym płótnem taczkę. - Już myślałem, że odczekasz, aż wszyscy utoniemy w tym bagnie.

- Nie przychodź, jak ci się nie podoba - powiedziała gniewnie. - Nikt cię nie prosi, żebyś zostawał. Deszcze mnie nie zatrzymają. Mam jeszcze piętnaście mil do połączenia torów i będziemy pracować co dzień, dopóki nie skończymy roboty.

- Albo dopóki ty się nie wykończysz. - Ruel wpatrywał się w nią, a woda spływała mu na policzki z ronda kapelusza. - Ledwie stoisz na nogach.

- Ja się dobrze czuję. To ty narzekasz. - Ruszyła w stronę mostu nad wąwozem. - Może lepiej nie przychodź jutro.

- Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. - Uśmiechnął się nagle. - Nie podoba mi się ta przekłeta pogoda, ale przyzwyczaję się do niej.

Pomyślała z rezygnacją, że ten szatan przyzwyczaiłby się pewnie i do przypiekania w piekle. Dobry Boże, znów ją brało. Ledwie na nią popatrzył w ten sposób, a już jej ciało zaczynało reagować, naprężać się, szykować.

- Po co się męczysz? Oplaca ci się?

- Oplaci się.

Idąc szybko po moście czuła na plecach jego wzrok. Rzeka nie była już leniwym strumieniem, lecz błotnistą kipielań rwącą przez wąwóz. Podpory stały mocno, zauważyła z ulgą. O, tak dobrze. Myśl o linii kolejowej. Zapomnij o wyglądzie Ruela, kiedy tak stał w deszczu, a przemoczona koszula oblepiała napięte mięśnie jego piersi i brzucha. Myśl o swoim zmęczeniu, zniechęceniu, ale nie o tej dziwnej, bolesnej pustce między udami.

- Dlaczego nie zaczekać do zakończenia pory deszczowej? - spytał cicho. - W tej ulewie nie można robić takich postępów.

- Zrobimy, co się da. - Pochyliła się, zanurkowała pod gęsty baldachim drzew figowych i wyciągnęła siodło Bedelii. - Maharadża nie robi wyjątków z powodu pogody, a to oznacza, że my też nie możemy tego robić.

- Co za czarujący człowiek. Nie mogę się doczekać poznania go.

- Cóż, nie poznasz go dzięki mnie. - Dlaczego stał - po prostu się na nią gapił? Szybkimi ruchami palców ściągnęła popręg siodła. - Jeśli to właśnie cię tu trzyma, to równie dobrze możesz sobie darować.

- Nie to mnie tu trzyma. Wiesz, dlaczego tu jestem.

- Nie wiem, dlaczego...

- To przestań wreszcie unikać mnie wzrokiem i zobacz!

- Nie chcę na ciebie patrzeć. Dlaczego miałabym chcieć... - Ich wzrok spotkał się, a ona szybko zamknęła oczy. - Nie! - szepnęła.

A jednak wciąż tam stał, deszcz przylepiał mu ubranie do ciała, do napiętych mięśni. I wpatrywał się w nią.

- Tak - powiedział. - Już czas, Jane. - Jego głos był miękki, pieszczotliwy. - Już nie chcesz ze mną walczyć. Jesteś zmęczona i zniechęcona, ale mogę ci pomóc zapomnieć o tym. Chcesz - bierz. Jeśli ci się nie spodoba, nie będę ci więcej zawracał głowy.

Ale wiedziała, że się jej spodoba. Był jak ci potężni, dawni mandaryni, o których opowiadał jej Li Sung, bez wysiłku rzucający czary, hipnotyzujący ludzi.

Przecież nie była bezbronnym głuptasem. Miała siły, żeby go pokonać... gdyby zechciała.

Gdyby zechciała. Pierwszy raz przyznała się sama przed sobą do wątpliwości, i nagle ulga spłynęła na jej napięte ciało. Miał rację, była już znużona walką z nim. Dlaczego mu nie pozwolić? Jeden raz i bez wątpienia się znudzi, jak zawsze mężczyźni, kiedy już zaspokoją swe potrzeby, i będzie miała z nim spokój.

Rozpinał jej koszulę.

Otworzyła oczy.

- Ciiiicho. - Jego twarz była oddalona tylko o parę cali od jej twarzy, a jego palce szybko i zwinnie pracowały przy jej guzikach. - Chcę cię tylko zobaczyć. Nie miałem okazji u Zabrie, ale dzisiaj jesteś chyba skłonna do większej łaskawości. - Rozchylił koszulę i spojrzał. - O, tak, bardzo łaskawa. - Pochylił się, a jego oddech musnął naprężone sutki. - A teraz...

Jęknęła głośno, opierając się o siodło, zaciskając dłonie w pięści, kiedy fale doznań kolejno przepływały przez jej ciało. Ruel ssał powoli, namiętne.

- Dobrze - mrucał. - O, jak dobrze. - Jego ręka wślizgnęła się pod pasek i zagłębiła się we włosach otaczających jej łono, bawiąc się nimi i szarpiąc delikatnie. - Rozsuń nogi. O, tak,

jeszcze trochę.

Nogi ugięły się pod nią, kiedy znalazł miejsce, którego szukał.

Odchyliła głowę do tyłu. W jej krtani wezbrał jakiś pierwotny jęk, kiedy dłoń Ruela zaczęła ją... dotykać, pieścić, drażnić.

Podniósł głowę. Piękny, pomyślała w oszołomieniu, nigdy jeszcze nie widziała nic piękniejszego niż twarz Ruela w tej chwili, jego płonące rumieńcem policzki i jarzące się oczy.

- Nie w tym deszczu. - Wyjął dłoń i szybko zapiął jej koszulę. - Musimy gdzieś pojechać. - Podniósł ją na Bedelię, szybko osiodłał Nuggeta i dosiadł go. - Tylko, na Boga, nie zmieniaj teraz zdania!

Nie była pewna, czy w ogóle miała jakieś zdanie, żeby je zmienić. Była bezwolna, oszołomiona, reagowała tylko na dotyk, jak zwierzę w rui.

Klepnął Bedelię po zadzie, żeby ją ponaglić do galopu.

- Jeszcze tylko chwilę! - powiedział chrapliwie. - Trzymaj się!

Zastanawiała się, czego ma się trzymać. Bezsilnie podążała za Ruelem, prowadzona na niewidzialnej, trzymanej przez niego wodzy.

- Czekaj! - Przynurzył się bliżej wraz z Nuggetem, sięgnął w jej stronę, przeciągnął dłonią po jej udzie, aby na koniec dotknąć jej łona. Miał rozdęte nozdrza i zapadnięte policzki, jakby w wielkim głodzie. - Ciągłe mi mało! Muszę cię dotykać! Boże, chcę w ciebie wejść! - Zaciśnął dłoń, puścił, znów zaciśnął. - Wiesz, co chciałbym zrobić? Ściągnąć cię tu, w to błoto, zedrzyć z ciebie ubranie, żebyś leżała naga i zachłanna, zadzierając nogi i błagając o jeszcze!

Brutalność tych słów powinna ją obrazić, ale tak się nie stało. Przeszyła ją fala gorąca.

Zabrał rękę i mruknął coś pod nosem, czego nie dosłyszała. Potem powiedział:

- Jedźmy, nie mogę się doczekać!

Deszcz padał równie mocno jak przedtem, ale już nie chłodził jej. Wydawało się jej, że już nigdy nic nie zgasi tego płomienia.

- Dokąd jedziemy?

- Na stację kolejową. - Popędził konie. - Jest bliżej.

Nie była wcale tak blisko. Zanim zatrzymali konie przed peronem, Jane dygotała i drżała jak w febrze.

- Pośpiesz się! - powiedział gwałtownie, zdjąwszy ją z Bedelii. - Gdzie są klucze?

Wagon maharadży. Chciał klucze do wagonu. Wygrzebywała je z kieszeni swych przemoczonych roboczych spodni, kiedy przynagłał ją popychając w stronę prywatnego wagonu maharadży. Złapał klucze, odryglował złote drzwi i wepchnął ją do środka.

Wnętrze wagonu pogrążone było w półmroku. Szarawe i zamglone pasma światła wpadały przez okno, którego pokryta ociekającymi kroplami deszczu szyba oddzielała ich od świata zewnętrznego.

- Pośpiesz się! - Ruel zerwał z siebie koszulę i rzucił ją na dywan. - O Boże! Słuchaj, obiecałem ci, że to nie będzie szybko i że nie jestem taki, jak inni. Spróbuję... - Odwrócił się i zobaczył, że się nie ruszyła. - Dlaczego się nie rozbierasz?

Nie była w stanie się ruszyć. Była obolała, ciągle zgrzana, w gorączce, i nie mogła oderwać od niego wzroku. Nigdy jeszcze nie widziała nikogo tak żywego, tak pełnego namiętności. Czowała jego żądzę. Jarzył się w tym perłowym półmroku jak tysiąc płonących świec.

- Tylko nie mów, że zmieniłaś zdanie! Nie mógłbym... - Podeszedł bliżej, odpinając jej guziki, a głos jego był aksamitnie miękki, niemal zawodzący. - Przestraszyłem cię? Obiecuję, że ci się spodoba. Musimy tylko przejść przez pierwszy raz i dotrzymam słowa.

Jego brązowe włosy były mokre i nie dostrzegła w nich tych złotych pasm, które były tam przedtem, wspaniała twarz jaśniała, a oczy lśniły. Cały tak tryskał magnetyzmem, że była w stanie tylko patrzeć na niego jak zahipnotyzowana.

Zdjął z niej mokrą koszulę i upuścił na podłogę. Powoli pochylił się do przodu i jego gorące usta dotknęły jej lewego ramienia.

Przeniknął ją dreszcz. To dotknięcie było dużo mniej intymne niż poprzednie, ale w jakiś sposób jeszcze bardziej rysiowe.

- Boli mnie tak, że chyba nie dam rady już dłużej... - przerwał i zaśmiał się szorstko,

spojrzawszy na swoje ręce. - Chryste! Spójrz na mnie! Trzęsę się. Musisz zrobić resztę sama.

Jego przyznanie się do słabości złamało czar. Jej ręce też się trzęsły, kiedy odpinała pas. Czuli się słabi, bezradni, miękkie jak wosk, jej serce waliło jak krople deszczu o blaszany dach. Na Boga, chciała znów czuć na sobie jego ręce. Musi się pozbyć tych ciuchów, pozbyć się wszelkich barier, żeby mógł jej dotykać.

- Tak jest dobrze. - Jego głos był ciepły i zachęcający. Usiadł na kanapie i zdjął buty. - Będzie dobrze. Wiesz przecież, że oboje tego chcemy. - Zawiesił głowę, wpatrzywszy się w trójkąt włosów na jej łonie. - Miękkie - wyszeptał. - Pamiętam, jak miękkie...

Poczuła przypływ gorąca i naprężyła się znów, jakby jego dłoń wciąż jeszcze była między jej udami, poszukując, pieszcząc...

Dostrzegł to poruszenie i na jego policzku drgnął mięsień.

- Chodź tutaj!

Podeszła do niego bez protestu, po prostu usłuchała. Ledwie zdawała sobie sprawę z miękkości dywanu pod nagimi stopami. Stała przed nim.

Delikatnie rozsunął jej uda i znów, jak przedtem, ujął dłonią jej srom.

Rozkosz, żądza, głód.

- Chcesz mnie? - Jego palec poruszał się i uciskał.

Zadrżała.

- Tak.

- Chcesz mnie wciągnąć i trzymać w sobie?

- Tak.

- Szybko? Mocno?

- Tak.

Popchnął ją delikatnie na kanapę i położył się między ją udami.

- Więc mnie weź - rzekł ochryple, wchodząc w nią

Zachłysnęła się, czując wniknięcie, ciepłe, płynne twarde jak maczuga.

Zmarszczył czoło.

- Nie walcz ze mną. Nie zrobię ci krzywdy. Wpuść mnie.

- Nie walczę z tobą - odpowiedziała. Jeśli już, to walczyła o niego, o wzięcie więcej.

- Za ciasno - mruknął. - Musisz walczyć... - Silnie popchnął biodra w przód.

W nagłym bólu zagryzła dolną wargę, żeby nie wrzeszczeć.

Poderwał głowę i spojrział na nią.

- Nie!

Był do połowy w niej, do połowy na zewnątrz.

Jego jasne oczy świeciły.

- Nie mogę teraz przestać! Już za późno. Muszę dalej...

- Wiem, że musisz. - Przełknęła z trudem. Ból mijał, pozostawiając tylko ćmienie, wspomnienie. - Wiem...

- Nic nie wiesz! - powiedział ostro. - Chciałbym, na Boga, żebyś wiedziała. - Wciągnął urywanie wdech. - Jezu, to mnie zabije! - Wysunął się i znów delikatnie w nią wszedł.

Delikatność, opiekuńczość, umiejętności. Czuli gwałtowną siłę wrzącą pod powierzchnią, każdy ruch jednak był kontrolowany, zdyscyplinowany.

- Ruel...

- Cicho bądź! - jęknął przez zęby. - Muszę myśleć o tym, co robię. - Zaśmiał się. - I czego nie robię. Dobrze się czujesz?

- Tak.

- To spróbuję zrobić następny krok. - Wysunął się, a potem wszedł szybko, mocno, jakby zadawał pchnięcie nożem.

Zabrakło jej tchu, a wzrok poszukał jego twarzy.

Jego oczy były teraz niewidzące, usta ciężkie od zmysłowości, a z twarzy przebijał ten sam stan zapomnienia, który i ona odczuwała.

- Dobrze - jęknął chrapliwie. - Teraz trzymaj mnie, spróbuję to szybko skończyć.

Wybuchł w lawinie ruchów, wbijając się, zgłębiając.

Jej palce zacisnęły się na jego ramionach, kiedy trzymała go tak, jak jej kazał. Na Boga, co się z nią działo? Całkowite oddanie. Czuli się przykuta do niego ciałem i duszą. Nie mogła

się powstrzymać od brania, rzucania się na każdy jego ruch, każdy rozkaz. Rozkosz trzymała ją, żądza, która wznosiła ją wyżej i wyżej...

Rozkosz wzmagała się, sięgała szczytu, a potem...

Czy krzyczała? Nie była już niczego pewna w tym oszalamiającym uczuciu gorąca, które ją otaczało.

Napreżył się, wygiął plecy w łuk, a na jego twarzy pojawił się wyraz nieopisanej rozkoszy. Potem na nią opadał, drżąc jak w chorobie.

Niebezpieczne... Ta myśl przedarła się przez otaczającą ją mgłę omdlenia. Miała rację, opierając się Ruelowi, błędem było uleganie. To było zbyt silne. On był zbyt silny.

Niewyraźnie zdała sobie sprawę, że Ruel ześlizguje się z niej, wstaje i odchodzi na koniec wagonu.

- Dokąd idziesz? - mruknęła. Była tak osłabiona i wymęczona, jakby przedarła się wpływ przez tę straszliwą kipieli w Wąwozie Sikor.

- Rozpalić w piecu. - Ukląkł obok pękatego, ceramicznego pieca i otworzył drzwiczki.

- Zimno ci? - spytała z wyraźnym zdziwieniem. Jej samej chyba jeszcze nigdy nie było przyjemniej i cieplej.

- Nie. - Zapalił węgiel i zamknął drzwiczki pieca. - Ale pobędziemy tu jakiś czas, a ja nie chcę, żebyś zaczęła się trząść. Jeden Bóg wie, jak bardzo czuję się winny z powodu tego, co już się stało. - Wstał i podszedł do niej. - Jak się czujesz? Bardzo jesteś obolała?

- Trochę. - Usiadła i odgarnęła ze skroni pasmo włosów. - To... przeszło moje oczekiwania.

- Ty też przeszłaś moje oczekiwania. - Podniósł z kanapy jedwabną pelerynkę i zarzucił jej na ramiona. - I bardzo mi się to nie podobało.

Nawet mimo rozleniwionego oszołomienia zauważyła w jego głosie ponury odcień.

- Jesteś zły?

- Nie chciałem tego. - Usiadł na dywanie, podciągając kolana pod brodę i ciasno opasując je rękami. - To się właśnie nazywa komplikacja. Do cholery, przecież ty wcale nie miałaś być dziewczicą! Nie mam ochoty na taką odpowiedzialność!

Te słowa zraniły ją do głębi i gwałtownie przywróciły do rzeczywistości.

- Nie ponosisz żadnej odpowiedzialności - powiedziała z rezerwą. - Nikt mnie nie zmuszał, żebym tu przysłała. Sama zdecydowałam.

- Jak cholera! - powiedział ostrym głosem. - Uwiodłem cię. Pragnąłem cię i zrobiłem wszystko, żeby dostać, czego chciałem.

- Zgadza się, właśnie tak było. - Zaczęło ją opuszczać to uczucie ciepła. Zadrżała i ciasniej owinęła się pelerynką. - Ale robiłeś to naprawdę świetnie. Nieważne, pozwoliłam na to i koniec. Chyba... lepiej już wrócę do bungalowu.

- Do Patricka! - Uśmiechnął się gorzko. - Wiesz, że byłem już bardzo blisko złożenia mu wizyty? Ciągle myślałem o nim i jego skłonnościach do małych dziewczynek. Zdałem sobie nagle sprawę, że mam ochotę wyrwać mu serce.

Uwierzyła mu. Siedział bez ruchu i wyglądał jak wspaniała rzeźba nagiego gladiatora, ale pod tymi pozorami spokoju wyczuwała tłumioną gwałtowność.

- Nigdy nie było między nami nic takiego.

- Najwyraźniej. Do diabła, dlaczego mi na to pozwoliłaś?

- Myślałam, że kiedy już... Mężczyźni potem odchodzą. Nie chcą już więcej.

- Czyżby? - Dostrzegłszy jej zdziwiony wyraz twarzy. - O, tak, ciągle tego chcę. Chciałem cię znów właściwie w tej samej chwili, kiedy z ciebie wyszedłem i jestem wściekły, że to niemożliwe. Może raczysz mnie poinformować, dlaczego z rozmysłem wprowadziłaś mnie w błąd?

- Nie wprowadziłam cię w błąd. To cię po prostu nie obchodziło.

- No więc, teraz mnie obchodzi. Kim jest dla ciebie Patrick Reilly?

- To mój ojciec. - Widząc zdziwienie na jego twarzy wyjaśniła: - Nie umiałabym tego udowodnić, bo był tylko jednym z klientów mojej matki, ale ja wiem, że jest moim ojcem.

- A on?

- On też nie lubi odpowiedzialności - powiedziała po prostu.

- Chryste!

- Kiedyś mi powie, że też uważa to za prawdę - szepnęła. - Ale nie musisz się martwić.

Niczego nie oczekuję od żadnego z was.

- Nawet ja mam jakieś zasady. Jeśli coś od ciebie dostałem, muszę to zwrócić.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Fizycznie to jest chyba niemożliwe.

- To oddam ci coś innego. Czego chcesz?

Dotarło do niej, że mówi serio.

- Nie zabrałeś mi nic wartościowego. Nie jestem taka jak kobiety z fortu. Nie uważam, że dziewczyna na wieki okrywa się wstydem, jeśli nie dotrze do ślubnego łoża jako dziewica.

- Ian stwierdził - powiedział sardonicznie Ruel - że jesteś „inna”. Ale wątpię, czy twój przyszły mąż zaakceptuje akurat ten szczególny rodzaj inności.

- Pewnie nigdy nie wyjdę za mąż, więc cała ta dyskusja jest głupia. - Poszukała wzrokiem swojego ubrania. Leżało na dywanie, pozwijane, tam gdzie Ruel je rzucił. - Czy Mógłbyś mi podać moją koszulę?

- Nie, położę wszystkie ubrania bliżej ognia, żeby oschły. - Pozbierał z dywanu porozrzucane części garderoby i podszedł z nimi do pieca. - Nie puszczę cię nigdzie, dopóki tego nie skończymy. No więc, czego chcesz?

Boże drogi, czy on nigdy się nie poddaje? Miała ochotę powiedzieć mu, że marzy tylko o ucieczce od tego dziwnego bólu, który narastał w niej z każdą chwilą w jego towarzystwie.

- Nic mi nie jesteś winien - powtórzyła - Dlaczego mnie nie słuchasz?

- Bo mam bardzo nieprzyjemne wyrzuty sumienia. Zapewniam cię, że rzadko mi się to zdarza. - Odwrócił się od pieca, przed którym rozkładał ubrania. - Ale jeszcze nigdy nie byłem w takiej sytuacji. Najpierw omal cię nie zaszytowano z mojego powodu, a potem odbieram ci niewinność. Nawet jak na mnie, to trochę za dużo.

- Nie byłem niewinna.

- Przestań chrzanić! Wychowywanie się w burdelu nie czyni dziwką!

Zesztywniała.

- Wiem - powiedziała ostro. - Nigdy nie będę taka jak ona.

- Kto?

- Moja matka - odrzekła niechętnie.

- A ona była dziwką?

- Tak, ale nie mam ochoty o tym rozmawiać.

- O, nie, nie pozbędziesz się mnie już tak łatwo! Już za daleko zaszliśmy. Gdybym wcześniej zmusił cię do tej rozmowy, nie znalazłbym się w takiej durnej sytuacji. Dlaczego tak cię przeraża sama myśl o tym, że mogłabyś być taka sama jak twoja matka?

- Bo życie w ten sposób... to koszmar. Ona stała się niewolnicą. A ja nigdy nie będę niewolnicą. Nigdy nie pozwolę nikomu, żeby zrobił ze mnie niewolnicę.

- Skoro tak nienawidzisz burdela, to dlaczego poszłaś do Zabrze? - uśmiechnął się kwaśno. - Już wiem, że na pewno nie w tym celu, o jaki cię podejrzewałem.

Spuściła wzrok.

- Miałam z nią interesy.

- Związane z linią kolejową?

- Nie.

- Z Kartaukiem?

Gwałtownym ruchem podniosła głowę.

- Co wiesz o Kartauku?

- Więcej, niż wiedziałem godzinę temu. Że również on nie jest twoim kochankiem.

- Oczywiście że nie. - Jej głos wyrażał zdziwienie, ale wzrok pełen był podejrzliwości. -

Gdzie o nim usłyszałeś?

- Abdar. - Widząc, jak silny wstrząs wywołało w niej to wyjaśnienie, dodał szybko: - Nie patrz tak na mnie! Myślisz, że mówiłbym o Kartauku czy o Abdarze, gdybym wciąż był dla ciebie zagrożeniem? Reguły gry się zmieniły. Muszę wymyślić inny sposób, żeby dostać to, czego chcę.

- A czego chcesz?

- Audiencji u maharadży i sposobu na wywarcie nacisku, który skierowałby jego myśli na odpowiadające mi tory. - Przerwał. - A to właśnie obiecał mi Abdar w zamian za

odnalezienie i dostarczenie mu Kartauka.

- I miałeś zamiar to zrobić? - szepnęła.

- Takiej decyzji nie podjąłem. Istniała taka możliwość.

- Zadałeś sobie mnóstwo trudu dla ledwie możliwości. - W ruchu jej głowy widać było niedowierzanie. - Jak mogłeś? Ten człowiek to potwór!

- Też do tego doszedłem, ale mój brak skrupułów już omawialiśmy. Chyba nie ma sensu dalej oceniać mojej nikczemności.

Jej zaskoczenie zaczęło się zmieniać we wściekłość.

- Więc to dlatego przyprowadziłeś mnie tu? Czy to Abdar kazał ci...

- Nie bądź idiotką! Abdar nie ma z tym nic wspólnego.

Nagle coś sobie przypomniała.

- A nasze spotkanie u Zabrie? Czy ten zabity nie był częścią twojego planu?

- Muszę cię zmartwić, ale naprawdę nie zabijam bez istotnego powodu. - Zmarszczył czoło.

- Jego obecność tam nie miała ze mną nic wspólnego, ale przybycie Pachtala wydało mi się podejrzane. Zacząłem się zastanawiać... Gdzie ty się wybierasz?

- Wychodzę. - Zrzuciła pelerynkę i nerwowymi rudami włożyła wilgotną koszulę. - Zakładam, że na zewnątrz nie ustawileś Pachtala ani żadnego z jego sług.

- Ani Pachtala, ani Abdara - powiedział oschle. - Koniec z tym. Wiem, że cię zraniłem, ale spróbuj myśleć rozsądnie.

Odwróciła się do niego.

- Nie zraniłeś mnie. Nie pozwalałam, żeby tacy jak ty czy Abdar mnie zranili. - Wciągnęła spodnie i szybko zapięła pas. - A rozsądek podpowiada mi, że byłabym głupia, gdybym ci znów zaufała.

- Nigdy mi nie zaufałaś. Pozwoliłaś mi się wziąć, bo dało ci to rozkosz, nie dlatego, że wierzyłaś w moją uczciwość. - Podniósł rękę, kiedy zaczęła mówić. - A ja nigdy niczego innego nie oczekiwałem. Musiałabyś być chora umysłowo, żeby mi ufać. A teraz, kiedy już ustaliliśmy, jak wygląda prawda, przejdźmy do ważniejszych rzeczy. Abdar chce Kartauka. Ty nie chcesz, żeby go znalazł. Wynika z tego, że chcesz, żeby Kartauk zniknął z Kasanpuru.

Nie odpowiedziała.

Wzruszył ramionami.

- Dobrze, wyciągnę Kartauka z Kasanpuru i znajdę mu miejsce, gdzie będzie bezpieczny przed Abdarem. A wtedy będziemy kwita, żadnych długów więcej.

- Co?

- Słyszałaś. Na pewno nie powtórzę tych idiotyzmów. - Zaczął się ubierać. - Chryste, nie wierzę, że w ogóle to powiedziałem.

- Ja też. Ani w to, że naprawdę myślałeś, że ci uwierzę.

- Chcesz dowodu, że nie jestem na usługach Abdara? - Li Sung.

Znieruchomiała.

- Co Li Sung?

- Nie ma go w Narinth. Przedwczoraj wieczorem był w twoim składzie zapasów i wyszedł stamtąd z plecakiem, który wcześniej zostawiłaś. Rozumiem, że zabrał go do Kartauka. Ian szedł za nim, ale zgubił go na bazarze.

- Twój brat też pomaga Abdarowi?

- Mój brat pomaga mnie... i to z olbrzymią niechęcią. Wiesz, że nie musiałem ci tego wszystkiego opowiadać. Mogłem sam podjąć obserwację składu i poczekać, aż Li Sung znów się tam pojawi. Istnieje duża szansa, że znalazłbym Kartauka. W tropieniu jestem dużo lepszy niż Ian.

- O, tak, wyobrażam sobie. Masz instynkt myśliwego.

- Nie muszę się wstydić tego instynktu - powiedział, ignorując gorycz w jej głosie. - Mnóstwo razy uratował mi on życie. Może też pomóc mi w uratowaniu twojego Kartauka.

- A jeśli ja nie chcę twojej pomocy?

- I tak ci pomogę - odpowiedział oschle. - Chcę mieć z głowy ten dług.

- Och, jakże honorowo!

- Nie jestem honorowy, ale zwykle postępuję uczciwie. - Zacisnął nagle usta. - Ale z tobą coś się popsuło, i to mi nie odpowiada.

- Już to mówiłeś.
- Tak, bo to jest prawda. Niebezpiecznie jest, kiedy człowiek zaczyna okłamywać sam siebie.
- To mnie okłamałeś.
- Nie, po prostu nie powiedziałem ci całej prawdy. Za to okłamywałem siebie. Oszalałem na punkcie zdobycia ciebie i przekonywałem się... Nie jestem głupi i znam ludzi. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Ale nigdy nie poszedłem ścieżką, która wiodłaby tam, gdzie nie mam ochoty pójść. Staralem się nie zastanawiać zbyt mocno, po co poszłaś do Zabrie. Dawałaś wszelkie możliwe dowody na to, że nie jesteś taka, za jaką cię chciałem uważać, ale nie pozwoliłem im się przekonać. Cholera, nawet Ian mówił mi, że widzę tylko to, co chcę zobaczyć.
- Skończyłeś?
- Prawie. Abdar zapewne z zainteresowaniem obserwuje postępy w naszych stosunkach. Jeśli pozwolisz mi sobie pomóc, wyciągniemy Kartauka z Kasanpuru. Ale jeśli mnie przegonisz, Abdar uzna, że przegrałem i prawdopodobnie sam wykona jakiś ruch. - Uśmiechnął się. - Stać cię na walkę z Abdarem, kiedy musisz kończyć linię?
- Bardziej niż na zaufanie człowiekowi, który może cię zdradzić.
- Nie zdradzę cię. Zrozumiesz to, jeśli popatrzysz na mnie chłodno i ocenisz mnie takiego, jakim jestem naprawdę. Umiesz to zrobić, Jane?
Matko Boska, ten człowiek był niemożliwy. Posiadł jej ciało w takim stopniu, że czuła się jak niewolnica z haremu maharadży, a teraz spokojnie oświadcza, że ją wykorzystał. Czy on naprawdę myśli, że taka wściekła i zraniona jest w stanie myśleć rozsądnie?
- Nie wiem. - Uśmiechnęła się gorzko. - Ale zgadzam się, że dokładnie mnie oświeciłeś co do tego, kim naprawdę jesteś. - Odwróciła się na pięcie i wyszła z wagonu.

Dostałem wiadomość, że jutro przyjadą tory. - Patrick uśmiechał się triumfalnie do Jane nad stołem z kolacją. - Dokładnie na czas. Mówiłem ci, że wszystko będzie dobrze.

- Będziesz musiał nadzorować ich transport z portu do składu. Ja nie mogę ani na chwilę oddalić się od torowiska. Położyliśmy dzisiaj mniej niż milę.

Patrick pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Monsun. Biedne kochanie, serce mi pękało, kiedy zobaczyłem cię dziś po powrocie.

Jej serce też pękało po usłyszeniu tych wszystkich rewelacji od Ruela. Nie, to nie serce, zaczęła zapewniać samą siebie, to jej duma została urażona.

- Może jutro pójdzie szybciej.

- Nie wydaje mi się. - Patrick nalał sobie kolejną whisky. - Przemyślałem to, co mówiłaś o mnie i moim miejscu na budowie. Masz rację, Jane. Byłem samolubnym bydlakiem, ale naprawię to.

- To nieważne - powiedziała znużonym głosem. - Teraz robota jest prawie ukończona.

- I naprawdę wykonałaś dobrą robotę. - Łyknął whisky. - Ale monsuny to cholerstwo i nie mam ochoty pozwolić ci na moczenie się tam w błocie. Mogłabyś znowu zachorować. Daj mi jeszcze jeden dzień na przetransportowanie torów, a potem przejmę twoją pracę na budowie. Ty zostaniesz w domu i wreszcie odpoczniesz, tak jak na to zasłużyłaś.

Powoli uniosła głowę i spojrzała na niego. Brzmiało to wszystko tak, jakby naprawdę tak chciał zrobić, ale nie wolno było rozbudzać w sobie nadziei. Już wcześniej obiecywał jej różne rzeczy i zawsze na tym się kończyło.

- Na pewno byłoby dobrze, gdybyś przyszedł - powiedziała ostrożnie.

- No, to postanowione. - Promieniał. - Za dziewięć dni skończymy pracę i pożegnamy Jego Pieprzniętą Śmierdzącość razem z tym przeklętym krajem.

- Nie potrzebuję odpoczynku. Jak będziemy tam oboje, to praca będzie szła jeszcze szybciej i...

- Nonsens. Świetnie dam sobie radę. Jeśli chcesz mi pomóc, weź się za te parszywe rachunki w górnej szufladzie biurka. Nikt ich nie ruszał od wyjazdu Li Sunga.

Zaczynała mu wierzyć. Nadzieja narastała w niej wraz z myślą, że nie mając na głowie nadzorowania pracy na budowie będzie mogła znaleźć czas na wymyślenie sposobu wydostania Kartauka z Kasanpuru.

- Mówisz serio?

Przez chwilę coś jakby cień skruchy pojawił się na jego twarzy. Pochylił się i położył dłoń na jej ręce.

- Tak, naprawdę. Jeden Bóg wie, że naprawdę już czas, żebym trochę popracował. Czasami sam się dziwię, dlaczego w ogóle jeszcze przy mnie jesteś.

Chciała powiedzieć „bo jesteś moim ojcem, bo może kiedyś, kiedy udowodnię, że jestem tego warta, sam tak powiesz”. Ale wiedziała, że nie wolno jej wypowiedzieć tych słów. Niemniej jej nadzieja rosła, stawała się coraz mniejsza.

- Obiecałam ci przecież. Poza tym wystarczy trochę wypoczynku. Dziękuję, Patricku.

Cofnął rękę i sięgnął po szklanke.

- Skoro mowa o odpoczynku, idź już lepiej do łóżka. Masz przed sobą jeszcze cały dzień walki z tym bałaganem, nim ja przejmę dowodzenie.

- Masz rację, idę. - Wstała i skierowała się do sypialni. - Dobranoc, Patricku.

A teraz, skoro pojawiła się okazja, w jaki sposób wyciągnąć Kartauka z Kasanpuru?

Ruel. Odrzuciła natychmiast tę myśl, ale po chwili wróciła do niej i zaczęła ją rozważać. Obiecał jej nie tylko ucieczkę dla Kartauka, ale też znalezienie dla niego azylu. Była w stanie sama wymyślić sposób ucieczki, ale nie bezpieczne schronienie. Bez wątpienia Ruel był silnym i mądrym człowiekiem i zapewne również godnym przeciwnikiem dla Abdara. Jego słowa wypowiedziane w wagonie miały sens, a w dodatku brzmiały szczerze. Jego brat to człowiek honoru, ręcący za prawość Ruela.

Na Boga, zupełnie nie miała ochoty znowu stykać się z Ruelem MacClarenem. Chciała tylko wreszcie skończyć tę znajomość. Od chwili opuszczenia go robiła sobie wciąż wymówki z powodu swej głupoty. Powiedziała mu, że to był jej własny wybór, ale przecież ofiarowała mu coś, czego nigdy wcześniej nawet nie myślała nikomu ofiarować, a teraz czuła się zraniona i zdradzona. Jej ciało wciąż reagowało boleśnie na wspomnienie tego oddania, każda myśl przypominała jątrzenie otwartej rany. Sam pomysł zobaczenia go znowu przerażał ją i złościł.

Przerażał? Właściwie głupio byłoby bać się go teraz, kiedy dokładnie wiedziała już, w jaki sposób nią manipulował. Oprócz ciała miała przecież mózg i odtąd z całą pewnością jej umysł nie straci kontroli nad ciałem. Ruel nie był już zagadką. Pytanie tylko, czy można mu zaufać choćby po to, żeby go wykorzystać tak samo, jak on wykorzystał ją?

Dwie godziny później Ruel otworzył drzwi swojego pokoju hotelowego w odpowiedzi na stanowcze pukanie.

Na korytarzu stała Jane.

- Co za miła niespodzianka! Może wejdiesz?

- Nie - odrzekła chłodnym głosem. - Przyszłam ci powiedzieć, że od pojutra Patrick przejmuje prace na torowisku, będę więc mogła zająć się wydostaniem Kartauka z Kasanpuru. Postaraj się być na czas jutro w pracy. - Nie chcę, żeby Abdar coś zaczął podejrzewać.

- Czy to znaczy, że przyjmujesz moją pomoc?

- Dlaczego nie? Jak to określiłeś, rzadko zdarza ci się oferować.

- Zgadza się. - Przerwał. - Nie martw się, Jane. Jestem zdolny do wszystkiego, żeby sobie dogodzić, ale możesz być co do mnie pewna dwóch rzeczy: zawsze mszczę się za zadane mi rany i nigdy nie łamię słowa.

- Będę się martwić, ale będę cię obserwować. - Odwróciła się w stronę schodów i już przez ramię dodała: - Ale wyciągnięcie Kartauka z Kasanpuru jest warte ryzyka.

- Zaczekaj! Jak się tu dostałaś?

- A co to za różnica? - spytała niecierpliwie. - Przyszłam piechotą. Przecież nie wyciągnę znowu Bedelii na ten deszcz. - Zniknęła na schodach.

Korciło go, żeby za nią pobiec i odprowadzić do bungalowu, ale wiedział, że odrzuciłaby tę propozycję. Nie ufała mu i bała się go, choć pewnie by się do tego nie przyznała. Jej lęk był bardziej uzasadniony, niż mogłaby podejrzewać, pomyślał ponuro. Spodziewał się, że jego żądza zniknie po wydarzeniach popołudnia, ale zdobycie jej tylko wzmogło apetyt. Wystarczyło, że ujrzał ją w drzwiach, a natychmiast poczuł wzwód.

Pewnie już wyszła na ulicę i kierowała się w stronę przedmieść Kasanpuru.

W ciągu ostatnich tygodni ani Pachtal, ani Abdar nie dawali znaku życia, ale kto wie, kiedy Abdar się niecierpliwi? W tym ulewnym deszczu ulice są ciemne, a w którymś z podcieni ktoś może się ukryć, zupełnie niewidoczny...

Zatrzasnął za sobą drzwi i pognał schodami w dół. Od kiedy tak go ciągnie ratowanie biednych niewiast? Jane przecież doskonale umie zatroszczyć się o siebie, a jeśli zobaczy, że ją śledzi, może wyciągnąć ten nóż z buta i wypruć mu bebechy. Poza tym był wykończony, wreszcie duszony i naprawdę nie miał ochoty wychodzić.

Ale wiedział, że nie zaśnie, dopóki nie upewni się, że ta piekielna kobieta bezpiecznie dotarła do bungalowu.

6

Następnego dnia deszcz był równie ulewny i znowu Jane zmuszona była przerwać pracę późnym popołudniem. Po okrzyknięciu fajrantu ruszyła w stronę przeciwną do Wąwozu Sikor.

- Dokąd idziesz? - spytał Ruel, dołączywszy do niej.

- Muszę sprawdzić podpory mostu nad Wąwozem Lanpur. Wracaj do hotelu - dodała oschle.

- Podrepczę z tobą. - Szedł obok. - Daleko to?

- Ćwierć mili wokół wzgórza. - Patrzyła wprost przed siebie. - I nie mam ochoty na twoje towarzystwo.

- Musisz się przyzwycząić. Czasem przecież musimy porozmawiać. Gdzie ukryłaś Kartauka?

- Na razie nie musisz wiedzieć. Kiedy będziesz miał już plan, powiedz mi, a ja zdecyduję, czy konieczne jest twoje z nim spotkanie.

- Teraz jest konieczne.

- To źle, nie zgadzam się.

- Jane, posłuchaj mnie! - Położył jej rękę na ramieniu. - Mam zamiar...

- Nie dotykaj mnie! - Odskoczyła gwałtownie od niego. Jej oczy pały.

- Dlaczego? - spytał miękko. - Czyżbyś to za bardzo lubiła?

- Nienawidzę tego!

- Nie, możesz nienawidzić mnie, ale na pewno nie moich rąk na tobie. Nigdy się nie okłamuj. Ja zrobiłem ten błąd i spójrz, gdzie mnie to zawiodło.

- Nie okłamuję się. - O Boże, on chyba ma rację. Niedobrze jej było na samą myśl, że ciało może ją tak łatwo zdradzić, ale jednak przecież czuła coś jeszcze poza gniewem, kiedy jego ręka dotknęła jej ramienia. Nie, nie pozwoli na to, żeby to była prawda. Odwróciła się do niego plecami i z trudem ruszyła przez błoto. - Dlaczego chcesz się widzieć z Kartaukiem?

- Z egoistycznych pobudek. Chcę, żeby mi pomógł.

- To ty masz mu pomóc.

- I pomogę mu, ale kiedy sobie już poszłaś wczoraj wieczorem, przemyślałem sytuację i doszedłem do wniosku, że może być sposób, żebyśmy sobie pomogli nawzajem. - Zaciśnięła usta. - Niech mnie szlag, jeśli przez tę donkiszoterię porzucę moje plany.

- Chyba nikt nie mógłby ci zarzucić donkiszoterii.

- Cieszę się, że wreszcie mnie zrozumiałaś. Chociaż musisz przyznać, że nigdy nie robiłem z siebie cnotliwego miedzianka.

Nie, mógł ją wykorzystać, ale nigdy nie udawał kogoś innego.

- A co takiego Kartauk może dla ciebie zrobić?

- Abdar powiedział, że Kartauk mieszkał w pałacu całe lata i - zanim tak nagle go opuścił - był pupilkiem maharadży. Musi znać maharadżę bardzo dobrze, może wystarczająco dobrze, żeby podpowiedzieć mi sposób na

Przekonanie go do mojego pomysłu.

- Chcesz tylko wypytać go o maharadżę?

- Chcę wiedzieć wszystko o Jego Imperialnym Majestacie.

- A dlaczego miałabym ci pomóc? Nie obchodzi mnie, czy dostaniesz to, czego chcesz - powiedziała i zaraz dodała ostrym głosem: - Dobrze by ci zrobiło, gdybyś tego nie dostał.

- Ale rzadko dostajemy to, co nam się należy - zakpił. - Prawie zawsze tylko tyle, ile potrafimy sami sobie wziąć. A jeśli chodzi o twoje pytanie, dlaczego miałabyś mi pomóc, to po to, żeby mnie uszczęśliwić.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Chyba oszalałeś, jeśli myślisz, że to dla mnie coś znaczy.

- Och, nie. Jeśli będę szczęśliwy, to z przyjemnością wybiorę możliwość pomocy tobie, a nie Abdarowi. A ponieważ najwyraźniej wciąż mi nie ufasz, to mądrze byłoby zapewnić sobie sposób na utrzymanie mojej lojalności.

- Przemyślę to.

- Jutro.

- Powiedziałaś, że to przemyślę - powiedziała obce sowo. - Nie popędzaj mnie.

- Muszę. Zmarnowałam już zbyt wiele czasu. - Kpina zniknęła z jego głosu. - Kiedy już wydobędę Kartauka z Kasanpuru, Abdar z pewnością zadba o to, żebym już nigdy nie dostał się do maharadży. Muszę mieć ten dowód sprzedaży, zanim wyjedziemy.

- Dowód sprzedaży?

- Mam zamiar kupić od maharadży kawałek gruntu.

Niedowierzanie znowu pojawiło się w jej spojrzeniu.

- I wszystko to zrobiłeś dla kawałka gruntu?

- Bardzo specjalnego kawałka gruntu. Chcę się jutro zobaczyć z Kartaukiem i spytać go...

Wyszli zza zakrętu i ryk kipieli w Wąwozie Lanpur zagłuszył resztę jego zdania.

Jane z lękiem zauważyła, że woda płynęła tu jeszcze szybciej niż w Wąwozie Sikor. Do tej odnogi rzeki Zastu dochodziły jeszcze dopływy ze wzgórz. Żółtobrazowe wody z hukiem podobnym do kanonady artyleryjskiej przedzierały się przez wąwóz wzdłuż niemal pionowych skał brzegów.

- Wygląda, że się mocno trzymają - Ruelowi udało się przekrzyczeć ryk żywiołu. Wpatrywał się w dwie stalowe podpory, utrzymujące most nad wąwozem. - Musiałas tu postawić naprawdę mocne fundamenty, skoro wytrzymują tę nawałę.

- Oczywiście, że tak.

- To dlaczego się denerwowałaś?

- Nie denerwowałam się. Chciałam po prostu sprawić. Za dwa dni Patrick powinien dojść do mostu i zacząć kłaść na nim tory.

- A wtedy co?

- Połączymy się z torem z Narinth dziesięć mil poniżej wąwozu.

- I wtedy koniec?

- Patrick przejedzie konno całe torowisko do Narinth, szukając ewentualnych szkód. Potem zrobimy próbną jazdę pociągiem do Narinth i z powrotem. Następnego dnia oficjalnie przekazemy pociąg maharadży. - Zacisnęła usta. - I wreszcie dostaniemy nasze pieniądze. - Odwróciła się i ruszyła w kierunku, skąd przyszli.

- Jutro? - spytał Ruel dołączając do niej. - Muszę zobaczyć się z Kartaukiem.

Był nachalny jak diabli i pewnie będzie jej wiercił dziurę w brzuchu, póki nie dopnie swego. Po cóż więc tracić siły na opór? Jak powiedział, dobrze będzie zapewnić sobie jego lojalność we własnym interesie.

- Przyjdź jutro o dziewiątej do bungalowu.

Czy mi się zdaje, czy od czasu wyjścia za bramy miasta chodzimy w kółko? - spytał Ruel.

- Nie zdaje ci się - odpowiedziała Jane, odsuwając mokre liście wiszące nad ścieżką. - Twój przyjaciel, Pachtal, może mnie wciąż śledzić, a jeśli go nie zgubiliśmy na bazarze, to chcę być pewna, że nie wyśledzi nas tu.

- Albo że ja nie znajdę tej drogi - dokończył za nią Ruel. - Czy w powrotnej drodze też masz zamiar wlec mnie przez ten labirynt?

- Oczywiście. - Spojrzała na niego. - Nie jestem taka głupia, żeby ci wierzyć na słowo. Nie mam najmniejszego zamiaru poświęcać Kartauka dla twoich ambicji.

Zachichotał nagle.

- To dobrze. Kiedy wczoraj zgodziłaś się mnie zabrać, byłem trochę rozczarowany. Zawsze trzeba być czujnym, kiedy Grecy przynoszą dary.

- Albo Szkoci - powiedziała sucho. Szybko odwróciła od niego wzrok i zanurkowała pod gęstwinę z boku ścieżki. - Świątynia jest na wprost nas.

- Świątynia?

- Opuszczona świątynia buddyjska - uzupełniła z namysłem. - Jedna z wielu na tych terenach, opuszczona jak inne setki lat temu.

- Uprzedzasz mnie na wypadek, gdybym chciał ją dokładnie opisać Abdarowi? - pokiwał głową. - To uprzejme z twojej strony, oszczędzasz mi zachodu.

- Bawi cię to?

Jego uśmiech znikł.

- Właściwie traktuję to wszystko bardzo poważnie, ale nigdy nie zaszkodzi trochę się pośmiać z drobiazgów. Zrozumiesz to, kiedy dorośniesz.

- Nie jestem dzieckiem.

- Tak też powiedziałem Ianowi, ale teraz staram się sprowadzić cię do takiego poziomu, gdzie nic ci nie będzie groziło z mojej strony.

- Nic mi nie grozi z twojej strony - powiedziała napastliwym głosem.

- Nieprawda, jeśli ja zdecyduję inaczej. Jestem świetny w zmienianiu rzeczy zabronionych w nieodparte. To z pewnością wynik moich doświadczeń w roli ulicznego krzykacza.

- Nie masz...

- Czy mogę spytać, co tutaj robicie? - Z gęstwiny wyszedł Li Sung i pokuśtykał w ich stronę.

- Nie dość, że robicie tyle hałasu, to jeszcze zmuszacie mnie do przedzierania się przez to całe błoto, żeby sprawdzić, kto nadchodzi.

- To jest Ruel MacClaren. Pomoże nam wyciągnąć Kartauka z Kasanpuru. - Wręczyła Li Sungowi plecak i odwróciła się do Ruela. - To jest mój przyjaciel. Li Sung. Poprowadzi cię dalej do świątyni. Ja dołączę później.

- Dokąd idziesz? - spytał Ruel.

- Wrócę po naszych śladach i sprawdzę, czy na pewno nikt nas nie śledził.

- Po całym tym kluczeniu i krążeniu? Nie jesteś za bardzo ostrożna?

- Nie - odrzekła krótko.

Jakiś dziwny cień przemknął przez jego twarz.

- Chyba będę musiał cię oduczyć tej niewiary. To zaczyna być męczące i kiedyś może zaszkodzić.

- Nie należy mu ufać? - Li Song spytał Jane.

- Do pewnego stopnia. Zabierz go do Kartauka.

Odwróciła się i zniknęła w buszu.

Jak daleko jest do świątyni? - spytał Ruel, podążając za Li Sungiem przez dżunglę.

- Niedaleko.

- Dlaczego świątynia?

- Kartauk tak chciał.

- Dlaczego?

Li Sung nie odpowiedział

- Dlaczego? - powtórzył Ruel.

Li Sung obejrzał się na niego przez ramię.

- Zadajesz dużo pytań.

- Bo twoje odpowiedzi niewiele wyjaśniają.

- Nie mają wyjaśniać. Jane ci nie ufa.

- Czy jej sądy są nieomyłne?

- Nie. Ma bardzo miły charakter i chce wierzyć ludziom. Często z tego powodu cierpiała.

- No więc, skoro mi nie ufa, nie stanowią dla niej zagrożenia.

- Chyba że już ją skrzywdziłeś.

- A co byś zrobił, gdyby tak było?

- Znalazłbym sposób na ukaranie cię. - Li Sung uśmiechnął się chłodno. - My, Chińczycy, jesteśmy dobrzy w zadawaniu bólu. Czy uważasz, że jako kaleka jestem niepełnym mężczyzną?

- Nigdy więcej nie popełnię tego błędu - powiedział Ruel z dziwnym grymasem na twarzy. -

Kiedys wziąłem udział w bójce w barze w Sydney. Marynarz o nazwisku Hollow Jack kopnął mnie swoją drewnianą nogą, prawie mnie kastrując. A jak już padłem, odczepił to świństwo i wyrzucił mnie nim w głowę.

- Interesujące. - Twarz Li Sunga była bez wyrazu. - Może powinienem zamienić tę pokręconą nogę na jakieś praktyczniejsze wyposażenie. Co zrobiłeś temu marynarzowi?

- A co mogłem zrobić? Kiedy się obudziłem, odpłynął już na Nową Zelandię.

Li Sung przyjrzał mu się uważnie.

- Kłamiesz - powiedział spokojnie.

- Dlaczego miałbym to robić?

- Chcesz mnie lepiej do siebie nastawić przez tę miłą opowiastkę o kulawym żeglarzu. Myślisz, że zmienię swój pogląd na własne kalectwo.

Ruel odrzucił głowę do tyłu i zaczął się głośno śmiać.

- Mądrała z ciebie.

- Nie zyskasz więcej chwaląc mój umysł, niż zyskałeś opowiadaniem o kalece. Chociaż to ostatnie stwierdzenie było o wiele bardziej prawdziwe niż twoja opowieść.

Ruel potrząsnął głową. Wciąż był roześmiany.

- Ale ta opowieść była prawdziwa!

Li Sung pytająco uniósł brwi.

- No, w każdym razie większość - poprawił się Ruel. - Byłem porządnie wkurzony, więc popłynąłem za nim na Nową Zelandię.

- I co?

- Niech ci wystarczy, że już nigdy więcej nie użyje swojej drewnianej nogi do ataku na męskość innego mężczyzny.

- Tak, to wystarczy. - Li Sung wykrzywił usta. - Myślę, że ty i Kartauk świetnie się dogadacie.

- Dlaczego tak myślisz?

- Zobaczysz sam. - Li Sung przyśpieszył i po chwili wyszli z dżungli.

Przez długość polany Ruel ujrzał ruiny dużej, kamiennej świątyni w kształcie pagody. Pędy roślin otaczały budynek, sięgając połowy spękanych schodów, jakby dżungla starała się zawładnąć całą konstrukcją. Na szczycie schodów stał posąg Buddy, którego pogodny spokój zakłócały uszkodzenia głowy i brak nogi.

- Całkiem niezłe mieszkanie - mruknął Ruel.

- Daje dach nad głową - odrzekł Li Sung. - A przynajmniej tak było przed monsunami. Teraz, gdy jest wilgotno, te kamienie się pocą. - Wzruszył ramionami. - Kartaukowi się tu podoba. Mówi, że jeśli nie może mieszkać w pałacu, to świątynia jest prawie równie dobra.

- Istotnie.

- Patrz pod nogi. To miejsce roi się od węży. Jest tu taki jadowity wąż drzewny, którego z ledwością można odróżnić od roślin na schodach.

Ruel zdrętwiał.

- Węże?

- Nie lubisz ich? - uśmiechnął się Li Sung.

- Nienawidzę!

- Kartauk! - krzyknął Li Sung, kiedy z trudem pokonał wysokie stopnie świątynnych schodów. - Mamy gości!

- Powiedz mu, żeby się wynosił... chyba że to Abdar! - dobiegł z głębi świątyni gruby głos.

- Naprawdę chcesz zobaczyć Abdara? - spytał zaszokowany Ruel.

- Oczywiście, to moje najszczerze życzenie! Chcę go zobaczyć... martwego! - zahuczał śmiech. - Chyba możecie wejść. I tak mnie rozproszyliście. Kto to. Li Sung?

- Ruel MacClaren. Jane mówi, że pomoże ci się wydostać z Kasanpuru - powiedział Chińczyk, kiedy weszli do świątyni.

- Och, jakaż szlachetna dusza!

Pośrodku świątyni w koszu z brązu płonęły szczapy drewna. Poza paleniskiem w pomieszczeniu były tylko dwa legowiska pod ścianą i długi stół na kobyłkach pod oknem.

- Przychodzisz uratować moje wspaniałe talenty dla potomności? - John Kartauk stał przy stole, zręcznie oblepiając gliną stojącą przed nim formę. Był to zbliżający się do czterdziestki

mężczyzna, którego ogromne rozmiary Pasowały do głębokiego basu, jaki słyszeli na powitanie, ubrany był w luźne spodnie, długą, bawełnianą tunikę i sandały. Zbliżywszy się do niego, Ruel odniósł wrażenie, że Kartauk jest jeszcze większy, tak potężne były bicepsy złotnika i szerokie barki. Jego ciemnobrązowe włosy spływały swobodnie na ramiona, a równo obcięta, jedwabista broda podkreślała silną linię szczęk. Jednak poza bardzo ciemnymi oczami i krzaczastymi, czarnymi brwiami jego rysy były nieokreślone. - Jesteś księdzem czy świętym, że... - Kartauk podniósł wzrok znad formy i zamarł, rozszerzonymi oczami wpatrując się w Ruela. - Dobry Boże, co za twarz! Podejdz tu, do światła, żebym mógł cię obejrzeć!

Ruel podszedł do okna.

- Tak dobrze?

Kartauk skinął głową i postąpił krok.

- Obróć głowę w prawo!

Ruel posłusznie wykonał polecenie.

- Wspaniale! - mruknął Kartauk. - Prawie idealna symetria!

- Czy mogę już się ruszać? - spytał uprzejmie Ruel. - Deszcz pada przez okno, a ja chciałbym się wreszcie pozbyć tej peleryny i osuszyć.

- Oczywiście. - Kartauk niechętnie odsunął się i obserwował, jak Ruel odchodzi od okna. - Cudowne...

- Dziękuję, lubię być doceniony.

- Czy jesteś homoseksualistą? - spytał nagle Kartauk.

Ruel zmrużył oczy.

- Nie, chyba będziesz musiał gdzie indziej poszukać zaspokojenia.

- Och, nie po to pytam - skrzywił się Kartauk. - Choć przez te tygodnie spędzone w dżungli różne rzeczy chodziły mi już po głowie - uśmiechnął się krzywo do Chińczyka. - Li Sung na pewno jest zadowolony, że jestem normalny. Ten biedny, kaleki łotr nie zdołałby zwiać, gdyby mi przyszło do głowy na nim wyładować żądzę.

- Zdołałbym - powiedział spokojnie Li Sung, usiadł przy palenisku i zaczął grzać ręce nad ogniem.

Kartauk znów przeniósł wzrok na Ruela.

- Pomyślałem, że jesteś pedałem, bo większość mężczyzn nie jest w stanie zaakceptować swego fizycznego piękna.

- Ładna twarz to tylko narzędzie, którego można użyć jak mocnego grzbietu czy sprawnego umysłu. - Ruel wzruszył ramionami. - Czasami działa to na moją korzyść, czasami mi szkodzi.

- Ale wciąż posługujesz się tymi narzędziami?

- Jasne, po to są. - Uśmiechnął się, dostrzegłszy dłuto o rękojeści z kości słoniowej leżące na stole obok glinianego modelu. - Czy trzymałbyś tak użyteczne narzędzie jak to za szkłem, tylko dlatego, że zostało zrobione, by cieszyć i oko, i dłoń?

Kartauk wybuchnął tubalnym śmiechem.

- Wiesz, Li Sung, on mi się podoba!

- Jane mówi, że mamy z nim postępować ostrożnie.

- Ależ oczywiście, każda interesująca osoba może stanowić zagrożenie. Wiedziałem o tym od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyłem, a dowiem się o nim więcej z biegiem czasu. Mam oko wielkiego artysty, umiem odrzucić zewnętrzne pozory i obnażyć duszę.

- To brzmi przerażająco - powiedział Ruel grzecznym głosem.

- Chcę wyrzeźbić twoją głowę. Niestety, nie mam odpowiedniego materiału. Używałem drewna i gliny, ale ty zasługujesz na coś lepszego.

- Czy mam to rozumieć jako prośbę o pozowanie?

Kartauk skwapliwie przytaknął.

- Nie mając nic do roboty powoli wariuję.

Wzrok Ruela powędrował do przedmiotów na stole.

- Wygląda na to, że wymyślasz sobie wciąż pracę. Ta mała jest bardzo dobra.

- Masz dobre oko. Mnie też się podoba. - Sięgnął pod stół i wyciągnął następną rzeźbę. - To też powinieneś docenić.

Jane. Z rozpuszczonymi swobodnie włosami, nie ściągniętymi w warkocz, do czego był przyzwyczajony. Uśmiechnięta, pełna życia, wyglądająca bardzo młodo. Ruel wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej policzka.

- Dziwi mnie, że zgodziła się pozować.

- O, nie, nie pozowała. Powiedziała, że jest na to zbyt zajęta. Robiłem to z pamięci... i wyobraźni. To było wielkie wyzwanie. Ta cała siła, a przecież nikt nie jest równie wrażliwy jak Jane.

Ruel przesunął palcem po ustach rzeźby.

- Musisz ją świetnie znać. - Kartauk nie odpowiedział a kiedy Ruel uniósł oczy, napotkał wzrok rzeźbiarza i szybko cofnął palec. - Oczywiście, twoja rzeźba Kali ma w sobie o wiele więcej siły.

Kartauk wzruszył ramionami.

- Abdarowi się podobała.

- Ale ja wolę węza na złotych drzwiach.

Złotnik zachichotał.

- Mały kawał, nie mogłem się powstrzymać. Nasza Jane nie była nim zachwycona.

- Bo wiedziała, że przyniesie nam wielkie kłopoty - powiedział Li Sung.

- Tak, wiem, i naprawdę byłem strasznie skruszony... przez jakiś kwadrans. - Znów wzruszył ramionami. - Niebezpieczeństwo było naprawdę małe. Wiedziałem, że maharadza to zlekceważy, nawet jeśli zauważy podobieństwo.

- Ale Abdar zauważył - powiedział Ruel. - Nazwał to „przepięknym paskudztwem”.

- Serio? Nie umiem wyrazić, jak wielką mi to sprawia przyjemność. Znasz Abdara?

- Spotkałem go.

Uśmiech Kartauka znikł.

- On naprawdę jest paskudztwem. Udaje, że czi sztukę, ale w rzeczywistości tylko wykorzystuje do swoich celów.

- Jak tę rzeźbę Kali?

- Nie, nie to miałem na myśli. - Kartauk nagle się uśmiechnął. - Ale on ma też świetne oko. Jak sądzę, powiedział ci, że byłbyś doskonałym uzupełnieniem jego kolekcji?

- Wspomniał o czymś takim.

- Rzeźba?

- Maski.

- Jakże... ciekawe. Co o nim myślisz?

- Niewiele. On też mnie uznał za niezbyt przyjemnego. Nie rozumiem dlaczego.

Kartauk klepnął się z ukontentowaniem w kolano.

- Na Boga, naprawdę mi się podobasz!

- Wiedziałem, że tak będzie - rzekł Li Sung. - Zauważyłem w waszych charakterach kilka podobnych, pożałowania godnych cech.

Kartauk znów spojrzał na Ruela.

- To jak, będziesz mi pozował?

- A nie możesz mnie też zrobić z pamięci?

Rzeźbiarz potrząsnął głową.

- To zbyt wiele roboty. Będziesz pozował?

- Może. - Ruel zdjął wreszcie swoją pelerynę i usiadł na wielkim, płaskim kamieniu przy palenisku naprzeciw Li Sunga. - Jeśli dojdziemy do porozumienia.

- On tu przyszedł, żeby uwolnić mnie od twojej obecności, a nie żeby ci pozować - powiedział Li Sung.

- To zajmie tylko dzień - odrzekł Kartauk. - Czas nie gra roli.

- Jane nie zgodziłaby się z tym. Ona chce, żebyś był bezpieczny.

- Będę bezpieczny. - Głos złotnika był pozbawiony wyrazu. Wpatrywał się w Ruela, analizując jego rysy. - No, co powiesz?

- Jeżeli zapłacisz moją cenę.

- Czyli?

- Jak dobrze znasz maharadzę?

- Wyrzeźbiłem jego pomnik, kiedy tylko tu przyjechałem. Nikt nie zna go lepiej.

- Aha, rozebrałeś go z pozorów?
- Do kości. To nie było trudne. On niewiele skrywa.
- Chcę czegoś od niego.
- I potrzebujesz klucza, żeby to dostać?
- Tak. Możesz mi pomóc?
- O tak, mogę. Mogę ci podać sposób na wyciągnięcie od maharadży czegokolwiek.
- Jak? - spytał Ruel, poczuwszy nagle nadzieję.
- Kiedy już cię wyrzeźbię - uśmiechnął się Kartauk - Skąd mam wiedzieć, że nie zwiejesz?
- A skąd mam wiedzieć, że naprawdę umiesz mi pomóc?
- No więc chyba musimy sobie nawzajem zaufać.
- Wygląda na to, że tylko ja mam ciągle wszystkim ufać.
- Tylko w ten sposób wszystko ma sens. Moja praca jest warta więcej niż cokolwiek, co spodziewasz się uzyskać od maharadży.
- Skąd wiesz?
- Bo moja sztuka to więcej niż wszystko w niebie czy piekle - odrzekł po prostu Kartauk.
- Rozumiem. - Ruel przyglądał się rzeźbiarzowi dłuższą chwilę, zanim kiwnął głową. - Dobrze. Trzy dni?
- Cztery - uśmiechnął się Kartauk. - Przyjdź tu jutro wczesnym rankiem i przygotuj się na spędzenie całego dnia.
W tej właśnie chwili Jane wkroczyła do pomieszczenia i ruszyła w ich kierunku.
- Ani śladu Pachtala. Przeszłam dwie mile wstecz. Myślę, że zobaczyłabym go.
- Czy to oznacza, że zostałem oczyszczony z podejrzeń o perfidię? - spytał Ruel.
- Nie, to znaczy, że Pachtal nie śledził nas... tym razem. - Zdjęła kapelusz i pelerynę, rzuciła je na kamienną podłogę i podeszła do ognia. - Cześć, Kartauk!
- Jane - skinął jej Kartauk - schudłaś od czasu, kiedy cię ostatni raz widziałem. Dobrze się czujesz?
- Oczywiście. - Nie patrząc na Ruela zwróciła się do rzeźbiarza: - On chce cię o coś prosić.
- Już doszliśmy do porozumienia - odrzekł Kartauk.
- Już?
- Na szczęście odkryłem, że mam coś, dzięki czemu mogę się targować - powiedział pogodnie Ruel. - Kartaukowi podoba się moja twarz.
Skinęła głową z nagłym zrozumieniem.
- Powinnaś była to przewidzieć.
Kartauk zaśmiał się.
- Tak, powinnaś. To niska cena za taką twarz.
- Może wcale nie taka niska. - Odwróciła się do Ruela. - Myślę, że już czas, żebyś nam powiedział, jaki to grunt chcesz kupić od maharadży.
Rysy Ruela stężały.
- Dlaczego to takie ważne?
- Nie jest ważne samo w sobie, ale ty wiesz o nas już wszystko, a my nic o tobie. To daje ci przewagę. Nie chcę, żeby tak było.
Przez chwilę milczał, a potem powiedział:
- Chcę kupić od niego wyspę o nazwie Cinnidar. Leży na Oceanie Indyjskim, jakieś dwieście mil od brzegu.
- A dlaczego chcesz ją kupić?
Znów się zawahał.
- Złoto - odrzekł po krótkim namyśle.
- Mylisz się! - odpowiedział natychmiast Kartauk. - Gdyby na jakiegokolwiek wyspie należącej do Savitsarów było złoto, Abdar by o tym wiedział. On jest szalony na punkcie złota, oczyścił już z niego cały swój kraj.
- Nie myślę się. Ono tam jest. Góra złota, najbogatsza żyła, jaką w życiu widziałem.
- To dlaczego nikt go do tej pory nie znalazł?
- Bo jest niedostępne. Góra jest na pomocnym krańcu wyspy, wysokie, pionowe brzegi bronią do niej dostępu od północy, wschodu i zachodu. Od południa oddziela ją od reszty wyspy głęboki, szeroki na ponad sto mil kanion.

Brwi Kartauka uniosły się z powątpiewaniem.

- Nie można się tam dostać, ale ty wiesz, że ono tam jest?
- Widziałem je.
- W jaki sposób? - spytała Jane.
- Chyba już dość wam opowiedziałem - uśmiechnął się zwodniczo Ruel. - Wiecie teraz dosyć, żeby zainteresować Abdara Cinnidarem i zniszczyć moje plany - jeżeli was zdradzę.
- O ile mówisz prawdę.
- On mówi prawdę - powiedział powoli Kartauk, wpatrując się w twarz Ruela. - Słyszałeś kiedyś opowieść o El Dorado?
- Tak.
- Złoto miało leżeć na dnie niezgłębnego jeziora Twój Cinnidar może okazać się równie iluzoryczny i stracisz tylko pieniądze.
- Cinnidar to nie El Dorado. Jeżeli zdołam przekonać maharadżę do sprzedania mi wyspy, znajdę też sposób na wydobycie złota.
- Mam nadzieję - uśmiechnął się nagle Kartauk. - Nie starczy całego złota świata dla mnie.
- Skoro pracuję nad zaopatrzeniem cię w materiał dla twej sztuki, może odłożyłbyś mi płatność za swoje informacje?
- Jasne. Jeśli Abdar dowie się, co chcesz zrobić, poderżnie ci gardło, i co wtedy ze mną będzie? - Zwrócił się do Jane: - Musisz go tu sprowadzić przez najbliższe cztery dni, żebym zdążył uchwycić jego piękno, dopóki jeszcze będzie miał głowę na szyi.
- A może po prostu powiedziałaabyś mi, jak tu dojść? - spytał Ruel.
- Przeprowadzę cię.
- Byłem pewny, że tak powiesz - mruknął Ruel. - Ale byłoby ci znacznie wygodniej nie moknąć na deszczu, w suchym bungalowu.
- Nie, nie byłoby. - Zadrżała i przysunęła się bliżej paleniska. - Tutaj jest chłodniej niż na zewnątrz. Deszcz jest ciepły. Ogień przygasa. Potrzebujemy więcej drewna, Li Sung.
- Zaraz. Najpierw powinnaś się wysuszyć. - Chińczyk wstał i pokuśtykał do legowiska w kącie. - Przyniosę ci ręcznik.
- Nie mam czasu. I tak zmarnowałam już pół dnia - odrzekła. - Kiedy wrócę do Kasanpuru, muszę jeszcze iść na budowę i...
- Upewnić się, że Patrick wykonuje swoją pracę - dokończył za nią Li Sung. Wziął ręcznik i wrócił do niej. - Masz zamiar codziennie go szpiegować?
- Nie szpiegować, tylko sprawdzić, czy robota posuwa się do przodu i czy zorientował się, co robiłam.
- I czy rzeczywiście pracuje, a nie siedzi pod drzewem i chleje whisky. - Ukląkł obok i szybko przetarł jej twarz, po czym przesunął się za jej plecy. Podniósł ciężki warkocz i zaczął go dokładnie osuszać ręcznikiem. - Szkoda zachodu. Nic nie zdziałasz, jeśli wybrał właśnie takie rozwiązanie.
- Tym razem jest inaczej - odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. - On naprawdę...
- Siedz spokojnie! Jak mam wysuszyć te okropne włosy, kiedy kręcisz ciągle głową?
- Nie prosiłam cię o wycieranie mi włosów. - Znów patrzyła przed siebie. - Przecież to głupota. Jak tylko wyjdę, znowu zmoknę.
- To prawda, ale poczujesz się lepiej, a ja przynajmniej zrobię coś pożytecznego - mówił, nie przerywając wycierania warkocza. - A teraz bądź cicho i pozwól mi zachowywać się głupio, skoro mam na to ochotę.

Ruel obserwując ich poczuł ukłucie zazdrości. Bez wątpienia łączyły ich więzy uczuciowe. Uczucia... i zaufania. Chryste, co się z nim działo? Z jakiegoś powodu widok ich razem nappełnił go złością i niechęcią. Co go obchodziło, że obdarzała Chińczyka zaufaniem, które on sam utracił? A jednak obchodziło go to.

- Nie, nie jesteś pedałem - powiedział Kartauk, siadając obok Szkota.

Ruel obejrzał się i napotkał baczne spojrzenie rzeźbiarza. Natychmiast wziął się w garść.

- Przecież ci mówiłem.

Kartauk odezwał się cichym głosem, żeby tamci dwoje ich nie słyszeli:

- Nie powiedziałaś mi, że pożądasz mojej małej Przyjaciółki Jane.
- A gdybym ci powiedział, to co? - spytał zaskoczony Ruel.

- Ostrzegłbym cię, żebyś uważał. Wiele dla mnie zrobiła, a ja nie chcę, żeby ktoś ją skrzywdził.

- Nie mam ochoty jej krzywdzić.

- Żądza i obojętność to dwie różne rzeczy. - Kartauk wzruszył swymi potężnymi ramionami. - Ale ona ma się na baczności wobec ciebie. Może nie będę musiał się wtrącać.

- Dziękuję - odpowiedział sucho Ruel. Jego wzrok powrócił do Jane i Li Sunga siedzących po drugiej stronie paleniska. Z każdą minutą narastało w nim dokuczliwe uczucie niezadowolenia.

- Są sobie bardzo bliscy - skomentował ten widok Kartauk. - To naturalne, że dbają o siebie nawzajem.

- Też tak to widzę.

- Ale to ci przeszkadza.

- Dlaczego miałoby mi przeszkadzać? Jeden Bóg wie, jak bardzo potrzebny jej ktoś, kto by się nią opiekował. Reilly najwyraźniej się tym nie przemęcza. - Zmienił temat. - Dlaczego lubisz pracować w złocie?

- To metal bogów, jedyny pasujący do wielkiego artysty. To dlatego tak długo pozostawałem w pałacu. Niewielu mecenasów stać na zaopatrywanie w tak rzadkie materiały.

- Dlaczego więc odszedłeś?

- Jeśli chodzi o moją pracę, zawsze uważałem, że cel uświęca środki. Ale myliłem się. Z przerażeniem zorientowałem się, że mam sumienie.

- Co masz na myśli?

- Abdar chciał, żebym wykonał pewne prace, które uznałem za odrażające. Odmówiłem mu.

- A on się rozzłościł?

- Jak wszyscy diabli. Zagroził, że jak go nie usłucham, obetnie mi ręce. Nie mogłem przecież dopuścić do takiego świętokradztwa. Odkąd uciekłem, jego życzenie spełnia taki mały szczur, Benares, mój terminator. Ale sarn Abdar wie, że nie ma porównania. - Podniósł głos i zawołał poprzez płomienie paleniska: - Jane, mam nadzieję, że tym razem przyniosłaś w plecaku coś innego niż ryż. Zjadłem już tyle ryżu, że zaczynam mieć równie skośne oczy jak Li Sung.

- To bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności - mruknął Chińczyk. - Taki kształt powinny mieć wszystkie oczy na świecie.

- Przyniosłam wołowinę z fasolą - z uśmiechem wyjaśniła Kartaukowi Jane. - Mam nadzieję, że zanim ją zjesz, już stąd odjedziesz.

- Ale dokąd? - skrzywił się Kartauk. - Wielcy artyści potrzebują mecenasów, a mecenasów uwielbiają chwalić się swymi skarbami. Obawiam się, że Abdar wkrótce usłyszy o jednym z moich wspaniałych dzieł i odnajdzie mnie.

- Tak, dokąd? - Jane zmierzyła wzrokiem Ruela. - Obiecałeś, że znajdziesz dla niego bezpieczne schronienie.

- Które teraz oznacza również mecenasów i to w dodatku utrzymującego jego pracę w tajemnicy - dopowiedział z rozdrażnieniem Szkot.

- To ty powiedziałaś, że dasz mi wszystko, czego zechcę.

- I tak będzie - zwrócił się Ruel do Kartauka zaciskając usta. - Co sądzisz o powrocie do domu, do Turcji?

- Tam zostawiłem po sobie tylko zawiść. Nie jest tam dla mnie bezpieczniej niż tu.

Ruel zmarszczył czoło w zadumie.

- A więc muszę to sobie przemyśleć.

- Najpierw pomyśl o tym, jak go stąd wydostać - powiedziała Jane.

- To już wiem.

- Tak? - Zmrużyła oczy.

- Próbną jazdą do Narinth w przeddzień oficjalnego przekazania pociągu maharadży. Przyczai się gdzieś na szlaku poza Kasanpurem, potem ukryjemy go w pociągu, osadzimy tuż przed Narinth, a stamtąd będzie mógł przedostać się na wybrzeże.

Kartauk zachichotał.

- Bardzo mądre. Rozumiem teraz, dlaczego doszłaś do wniosku, że on może nam pomóc, Jane.

- To może zagrać - odrzekła powoli. - Jeśli tylko Abdar niczego nie będzie podejrzewał.

- Och, zapewne będzie. Musimy tylko skierować jego podejrzenia na co innego.

- Jak?

- Coś wymyślę. Będę miał mnóstwo czasu, gdy Kartauk będzie obnażał moją duszę. - Wstał i sięgnął po swoją pelerynę. - Chyba powinniśmy już ruszać z powrotem do Kasanpuru. - Uśmiechnął się. - I to nie po to żebym mógł natychmiast pobiec do pałacu i wypaplać Abdarowi wszystko o naszym Kartauku. Chciałbym podejść na budowę i zobaczyć, czy Patrick się nie obja.

- To ja miałam...

- Ale to ja pójdę. - Podniósł pelerynę i zarzucił jej na ramiona. - Możesz to uznać za pokutę. Chyba zasługuję na pokutę, nie sądzisz?

- O, tak. Zasługujesz na wszystko, co tylko można wymyślić.

Przerwał jej.

- No więc wyślij mnie na deszcz do swojego czarującego Patricka. - Wziął z podłogi kapelusz z szerokim rondem i założył jej na głowę, dokładnie związując tasiemki pod brodą. Ta czynność dała mu jakąś dziwną, głęboką, pierwotną satysfakcję i przytłumiła targający nim ostry niepokój. Nagle zdał sobie sprawę, że Kartauk nie jest tak spostrzegawczy, za jakiego sam się uważał. Tym razem to nie żądza nim targала. Właśnie tego pragnął, kiedy obserwował Jane z Chińczykiem. Nie mógł ścierpieć istnienia tej więzi uczuciowej, która pozwalała Li Sungowi, a nie jemu, na wykonywanie takich czynności. Szybko się odwrócił i rzekł burkliwie: - Poza tym będę miał możliwość obejrzenia terenu i wybrania najlepszego miejsca, gdzie Kartauk poczeka na pociąg.

W jaki sposób Jane cię znalazła? - spytał Ruel Kartauka.

- Nie ruszaj głową! - Złotnik precyzyjnie wyglądał powierzchnię policzka stojącej przed nim drewnianej rzeźby. - Nie znalazła mnie. To ja ją znalazłem. Ukrywałem się wtedy na bazarze i kiedy usłyszałem, że wypytuje złotnika do wykonania drzwi, poszedłem do jej bungalowu.

- Podjąłeś wielkie ryzyko.

- Byłem zdesperowany - wyjaśnił po prostu Kartauk. - Od prawie trzech tygodni nie mogłem pracować i czułem się, jakbym umierał z głodu. Kiedy uciekałem, musiałem zostawić w pałacu narzędzia i nie mogłem wyrzeźbić nawet figurki do szachów. Nie mogłem już tego znieść. - Obrócił model tak, aby więcej światła padało na jego lewą stronę. - Możliwe, że oparłbym się pokusie, gdyby drzwi były z czegoś innego niż złoto. Jane mówi, że twoja pasja do złota dorównuje mojej.

- Co jeszcze ci powiedziała?

- Że jesteś ambitny, bezlitosny i samowystarczalny.

- To prawda.

- I uczciwy - zaśmiał się Kartauk.

- Tak powiedziała?

- Nie, to moja ocena. - Wzrok rzeźbiarza pobiegł do drugiego końca pokoju, gdzie Jane grała w karty z Li Sungiem. - Wygląda na to, że niechętnie przyznałaby, że masz też jedną lub dwie zalety. Nie wyprowadzam jej z błędu. Bezpieczniej dla niej, jeśli wierzy tylko w twoją diabelską naturę.

- Powiedziałeś jej, że Abdar cię szuka, i mimo to pozwoliła ci wykonać drzwi?

Kartauk przytaknął.

- Nie miałem ochoty jej o tym mówić, ale kiedy się już spotkaliśmy i zorientowałem się, jaka jest, postanowiłem się zdać na jej łaskę.

- A jaka jest?

- Opiekuńcza. Nie umie się powstrzymać od zaopiekowania się kimś, kto potrzebuje pomocy. Nie zauważyłaś?

- Nigdy o tym nie myślałem.

Kartauk spojrzał na niego spod oka.

- Czy nigdy nie dopuściłeś do siebie tej myśli? - Nie bekając na odpowiedź ciągnął: - W każdym razie schowałem się pod jej skrzydłami i pozwoliłem dbać o moje potrzeby w zamian za pracę nad drzwiami.

Ruel zmarszczył czoło z dezaprobatą.

- Nie obchodziło cię, że twoja obecność wystawia ją na niebezpieczeństwo?

- Obchodziło, ale musiałem pracować. Nic nie mogło mi stanąć na drodze. - Złotnik uniósł głowę. - Powinieneś to zrozumieć. Sądzę, że ty też gotów jesteś na wszystko jeśli w grę wchodzi ten twój Cinnidar.

- Tak. - Jego uraza do Kartauka i potępienie go były kompletnie idiotyczne, ale w końcu wszystko, co wiązało się z jego stosunkiem do Jane, było bezsensowne. - Li Sung powiedział mi, że to ty wybrałaś tę świątynię na kryjówkę.

- Odpowiadała mi. Świątynia zawsze powinna kryć piękno i wielkość. Poza tym wiedziałem, że będę mógł rozebrać jedną z wewnętrznych ścian na mój piec.

Ruel szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

- Rozwaliłeś ścianę świątyni?

Po raz pierwszy w głosie Kartauka pojawiły się nuty agresji.

- Była zbudowana z ładnych, płaskich kamieni, a ja potrzebowałem pieca do odlania drzwi. Nikt tu już nie przychodzi się modlić, a tak przynajmniej był z niej użytek.

Ruel zachichotał.

- Z pewnością. - Ale kiedy nieznacznie spojrział na Jane, jak to robił ostatnio coraz częściej, jego uśmiech zbladł. Powiedział jej, że będzie się starał traktować ją jak dziecko, ale zamiar ten rozwiął się jak dym już pierwszego dnia w świątyni. Co się z nim, do diabła, działo?! Nigdy tak jeszcze nie było, z żadną kobietą. Nie mógł od niej oderwać wzroku. Pragnął jej dotknąć.

Splecione włosy Jane lśniły czerwono w świetle ognia, a Ruel odczuł w palcach dziwne mrowienie. Pragnął rozwiązać ten ciężki warkocz i rozczesać palcami jej jedwabiste włosy, aż ułożą się swobodnie na ramionach. Chciał widzieć ją nagą i oddaną, taką, jaka była wtedy na podłodze wagonu. Zrobiło mu się gorąco i poczuł wzwód tak silny, że aż bolesny.

Jane zeszywniała, a Ruel wiedział, że świadoma była jego whitego w nią wzroku. Wpatrywała się wciąż w trzymane w ręce karty, ale był tego pewny, do cholery! Nerwowym ruchem odsunęła kosmyk włosów ze skroni, a rękaw koszuli podsunął się w górę, ukazując delikatną symetrię przedramienia. Kolejna fala gorąca przeszła jego ciało, niosąc ze sobą gniew i zdenerwowanie. W porządku, jakoś powstrzyma się od zgwałcenia jej, ale nie będzie osamotniony w tym napięciu. „Spójrz na mnie!” mówił jego wzrok. Popatrz, co czuję! Pokaż, że oboje to czujemy!

Rzuciła mu spojrzenie kącikiem oka, ale kiedy ich oczy się spotkały, gwałtownie wyprostowała plecy. O, tak, ona wiedziała, pomyślał ponuro. Jej źrenice rozszerzyły się, a potem szybko odwróciła głowę i znów wpatrywała w karty, rozmyślnie go ignorując.

Szkoda, że on tak nie mógł. Chryste, dlaczego nie może oderwać od niej wzroku?!

- O, tak, znacznie bezpieczniej dla niej, że uważa cię za wcielonego diabła - mruknął Kartauk. - Pogarsza się, co?

Ruel z wysiłkiem spojrział na niego.

- O czym ty mówisz?

Kartauk roześmiał się.

- O tym, że gdybym zamiast samej głowy rzeźbił całą twoją postać, musiałbym zużyć pokazną liczbę listków figowych na zakrycie pewnej części twego ciała.

Powstrzymując się od ponownego spojrzenia na Jane, Ruel odrzekł:

- A więc to dobrze, że skupiłeś się tylko na fragmencie.

- Szczególnie, że zachodzi to tak często. Z początku zastanawiałem się, czy jej nie przepędzić - powrócił wzrokiem do rzeźby. - Objawy pożądania nie ograniczają się tylko do dolnej części ciała, wiesz? Szczęki się zaciskają, nozdrza lekko się rozdymają, usta...

- Przykro mi, że naraziłem cię na problemy artystyczne.

- Nie, nie problemy. Nie dopuściłbym do tego. Właściwie twoja żądza nadała rzeźbie odcień prymitywnego piękna.

- A to oczywiście jest warte wszelkich niedogodności jakich mogę doznać?

- Wszelkich - zgodził się Kartauk.
Ruel poruszył się niespokojnie na kamiennym siedzeniu.

- Kiedy wreszcie skończysz tę pieprzoną głowę?
- Jutro - odrzekł rzeźbiarz i dodał w zadumie: - Jest znakomita, to jedno z najlepszych moich dzieł. Jestem naprawdę wspaniały. Gdybym tylko miał...

- Złoto - zachichotał Ruel. - Zaczynam myśleć, że twoja pasja jednak przewyższa moją.
- Nie mam co do tego wątpliwości. Dla mnie złoto znaczy piękno, dla ciebie władzę. Ale piękno zawsze w końcu zwycięża. Królowie upadają, znikają imperia, lecz sztuka i piękno trwają. - Przerwał i westchnął. - Chcesz pewnie swojej nagrody?
- Wydaje się ona niską ceną za dodanie ci jeszcze sławy.
- Czyżbym słyszał nutę lekceważenia?
- Nie rozpoznałbyś jej, nawet gdybyś ją zauważył.
Śmiech Kartauka eksplodował z głośnym hukiem.
- Rozpoznałbym, straciłbym tylko wiarę w twoje zdolności oceniania. - Powrócił do pracy.

- Zabawki.
- Co?
- Poślij maharadży zabawkę.
Ruel wpatrywał się w niego bezmyślnie.

- Jaką zabawkę?
- Dziecinną. Zaufaj mi.
- Mam dać dziecinną zabawkę jednemu z najbogatszych władców w Indiach?
- Ależ on jest dzieckiem. Na tym to wszystko polega. Myślisz, że wytrzymałbym sześć lat jego wygłupy? Oszalałbym, gdybym nie wiedział, jak odwrócić jego uwagę w chwili, kiedy chciałem się go pozbyć. - Dostrzegł powątpiewającą minę Ruela, więc niecierpliwie kontynuował. - To prawda. Maharadża ma umysł dziecka. Savitsarowie są Hindusami, więc od setek lat ściśle przestrzegają systemu kastowego. Ponieważ zaś w wyższych kastach nie ma zbyt dużego wyboru, zmuszeni byli do kazirodztwa. Nic dziwnego, że umysły maharadży i Abdara nie są takie, jak powinny.

- Abdar nie ma umysłu dziecka.
- Nie - uśmiechnął się złotnik. - Ale zapewniam cię, że jest zupełnie zwariowany.
- Zabawki... To brzmi tak łatwo.
- Nie jest łatwo, lecz możliwe. Idź do Namira na ulicy Palmowej, to wspaniały rzemieślnik. Powiedz mu, żeby ci sprzedał taką zabawkę, jakie czasami robił dla Kartauka. Może coś ze słoniem. Maharadża szaleje za słoniami.

Czy możliwe, żeby Kartauk nie mylił się co do maharadży? Ruel poczuł żądzę czynu, przypomniawszy sobie wszystko, co słyszał o bezsensownych wymogach władcy, jego humorach i wymysłach.

*Myśli tylko o tej swojej nowej zabawce, kolei żelaznej.
Lubi, żeby się błyszczało...*

Wszystko, co słyszał o maharadży, zdawało się potwierdzać słowa Kartauka. Dążenie do zaspokajania swych nierozumnych zachcianek miało w sobie rzeczywiście coś dziecinnego.

- Dlaczego nikt inny o tym nie wie?
- Może i wie, ale niemądrze jest kwestionować zdrowie psychiczne władcy, który rządzi życiem i śmiercią. Bezpieczniej jest przyjąć, że jest po prostu zepsuty, niż twierdzić, że oszalał. Poza tym nie każdy ma taką intuicję jak ja.
- A jeśli wyślę mu zabawkę, jaką mam gwarancję, że jej po prostu nie odrzuci i zapomni o moim istnieniu?
- Żadnej. Dałem ci klucz, twoje zadanie to otwarcie drzwi. Naprawdę jestem ciekawy, jak to rozwiązesz. - Rzucił Ruelowi złe spojrzenie. - I przestań marszczyć czoło. Wiedziałem, że powinienem był ci to powiedzieć dopiero jutro. Teraz będziesz kombinował i planował, a ja będę miał dużo więcej pracy z prawidłowym zrobieniem czoła.

Zdecydowałem, że zabawka powinna się składać z dwóch części - powiedział Ruel do Iana.
- Jestem winien Kartaukowi jeszcze jeden dzień, może więc poszedłbyś jutro do tego

Namira? Chcę, żeby jedną z figur zabawki był maharadża, a drugą słoń. Powiedz mu, że wybór innych części zabawki pozostawiam jego decyzji, tylko pierwsza część ma być na tyle intrygująca, by maharadża nie mógł się doczekać pozostałych fragmentów.

- Niezłe zlecenie. Ile mam mu dać czasu?

- Trzy dni. Tor ma być ukończony w ciągu najbliższych sześciu dni, a nie chcę, żeby podniecenie bliskością otrzymania większej zabawki odciągnęło uwagę maharadży od naszego prezentu.

- Ukrywanie przed maharadżą tego, czego pożąda, może być niebezpieczne.

- Zapewne, ale liczę na to, że pragnienie otrzymania drugiej części zabawki będzie silniejsze od chęci rzucenia mnie krokodylom. Poza tym on lubi Brytyjczyków, zapewne więc sobie uczestnictwo pułkownika Pickeringa w końcowych negocjacjach.

Ian pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Bardzo mądrze. Rano pójde zobaczyć się z Namirem. Sądzę, że będziesz mu musiał naprawdę dobrze zapłacić.

- Ile zechce. Kto wie? Może maharadża każe mi zapłacić za Cinnidar mniej, niż myślałem? Kartauk opowiedział mi o kilku swoich interesujących spostrzeżeniach na temat charakteru maharadży.

- Lubisz Kartauka?

- Umie ocenić charakter. Nie muszę go lubić, żeby doceniać jego błyskotliwość.

- Ale go lubisz? - nalegał Ian.

- Ian, do cholery, mówiłem ci... no, dobrze, lubię go.

- Dobrze. Li Sunga też lubisz?

- Owszem. - Ruel posłał bratu spojrzenie spod oka. - W porządku. Jestem napompowany ciepłymi uczuciami i pozytywnie nastawiony do ludzi. Jesteś zadowolony?

- O, tak, wszystko się raczej dobrze układa.

- Nie podejrzewałem, że może cię ucieszyć szansa mojego sukcesu u maharadży. Wiesz chyba, że jeśli zdołam go przekonać do sprzedaży Cinnidaru, już nigdy nie wrócę do Glencaren?

- Jeśli Cinnidar jest dla ciebie tak ważny, to ja również tego chcę - uśmiechnął się uprzejmie Ian. - Doszedłem ostatnio do wniosku, że Cinnidar znaczy dla ciebie coś więcej niż złoto. Nie byłbym nawet taki pewny, czy rzeczywiście pragniesz tego złota. Chcesz zapuścić gdzieś korzenie, mieć dom, który będziesz kochał równie mocno, jak ja Kocham Glencaren. A tego zawsze dla ciebie chciałem, Ruelu.

Chryste, patrząc na brata Ruel poczuł się, jakby coś w nim pękało; coś twardego i ciasnego. Chciał wyciągnąć rękę i poklepać go poufale po ramieniu, tak samo jak robił to, kiedy byli chłopcami. Wszystko się zmieniało i poprzestawiało, od kiedy przyjechał do Kasanpuru.

A może Ian miał rację - zmieniał się sam Ruel?

Nie, nie dopuści do tak łatwego zaprzepaszczenia doświadczeń całego życia. Pozwolił na to, żeby Ian i Jane stali mu się przez chwilę bliżsi, ale kiedy tylko spłacił swoje zobowiązania, wyrzucił ich ze swych myśli i zajął się własnymi sprawami.

- Cieszę się, że nie jesteś zawiedziony - powiedział z rezerwą. - Dobranoc, Ian.

Ian znów się uśmiechnął.

- Dobranoc!

Za cztery dni połączymy wreszcie tory - powiedział Patrick. - O Boże, najwyższy czas. Z przyjemnością zapomnę o tym durnym kraju. Ten ostatni tydzień prawie mnie zabił.

- Mogę jutro przyjść i pomóc - zaoferowała się Jane.

- Nawet o tym nie myśl - odrzekł Patrick. - Siedź tu i pozwól, że dla odmiany ja popracuję.

- Wstał i rozprostował się. - Muszę iść do łóżka. Zapomniałem już, jak człowiek się męczy przy układaniu torów.

- Ale ja naprawdę chcę pomóc - powiedziała z zapałem. - Pamiętasz, jak to było na początku, kiedy razem pracowaliśmy w Salisbury?

- Ty już swoje zrobiłaś. Teraz moja kolej.

Była rozczarowana, ale choć niechętnie, zdecydowała nie nalegać. Od czasu przejęcia kierowania robotami Patrick ograniczył picie do mniej niż ćwierci butelki dziennie. A jeżeli

tę zmianę wywołało w nim poczucie odpowiedzialności, byłaby głupia, próbując go tego pozabawić.

- Dobrze, ale gdybyś zmienił zdanie... - przerwała, a potem dodała obojętnym głosem - skoro nie pozwalasz mi na pomoc na budowie, to chyba zgodzisz się na to, żebym ja wykonała jazdę próbną do Narinth.

- Dlaczego nie? - ziewnął Reilly. - Będę szczęśliwy, mogąc zostać w domu i rozprostować kości po tym tygodniu. Będę musiał następnego dnia zabrać do Narinth maharadżę i całą tę zgraję wysoko urodzonych, a Jego Wysokość zapewne znajdzie jeszcze sto tysięcy powodów do narzekania.

Nie oczekiwała innej odpowiedzi, ale mimo to odczuła ulgę.

- No to ustalone. Ściągnę tu Li Sunga, on będzie maszynistą, a ja pojedę jako pomocnik.

- Jak sobie życzysz. - Patrick ruszył do sypialni. - Czas już, żeby Li Sung wrócił i dla odmiany trochę popracował. Założę się, że nie moknie na deszczu kładąc tory. - Popatrzył na nią przez ramię. - Zauważyłem, że nasz przyjaciel MacClaren opuścił nas natychmiast, kiedy zaczął padać deszcz. Powtarzam mu wciąż, że tylko taki głupiec jak ja może pracować w tej kretyńskiej pogodzie.

- Tak? A kiedy widziałeś go ostatni raz? - spytała, starając się zachować obojętność.

- Och, wpada codziennie na budowę wypić kubek kawy albo trochę pogadać.

Jane nie wiedziała, że poza tym pierwszym popołudniem Ruel zaglądał jeszcze na budowę. Poczula jakąś bezrozumną wdzięczność. W końcu Ruel nie obserwował Patricka ze względu na nią, lecz chciał, żeby tory były ukończone jak najszybciej, żeby można było wywieźć Kartauka z Kasanpuru.

Ruel wpatruje się w nią w świątyni, jego oczy płoną, żądają, dotykają...

- Zaczerwieniłaś się - powiedział leniwie Patrick. - Źle się czujesz?

Pomyślała z rozdrażnieniem, że jej zmieszanie musiało być niezwykle wyraźne, skoro Patrick o to zapytał, a przecież on nigdy niczego w niej nie zauważał.

- Nie, to po prostu ten upał. Od kiedy pada, zdaje się być jeszcze goręcej. - Wstała energicznie z krzesła. - Dobranoc.

Pokonam tę żądę, pomyślała z rozpaczą. Nie jestem zwierzęciem.

Lecz jej ciało reagowało na Ruela jak zwierzę w rui. Kiedy był w pobliżu, cały czas miała świadomość jego obecności. Napotkawszy w świątyni jego wzrok, poczuła takie poruszenie i chęć oddania, że aż się przestraszyła.

Nie będzie na to zwracać uwagi i w końcu ta tęsknota się skończy.

Boże, musi się skończyć!

Ruel ostrożnie ułożył zabawkę w dużym pudełku, potem owinał cały pakunek w szkarłatny welwet, a na koniec związał wszystko ozdobną, białą, satynową wstęgą.

Godzinę później wręczył dowódcy gwardii pałacowej paczkę wraz z potężną łapówką i obietnicą jeszcze większego wynagrodzenia, jeśli maharadża otrzyma prezent natychmiast.

Potem wrócił do hotelu i czekał na dalszy ciąg wydarzeń.

Następnego ranka otrzymał wezwanie do bezzwłocznego stawienia się w pałacu na audiencję u maharadży Dulai Savitsara.

Po godzinie został wprowadzony do komnaty audiencyjnej, gdzie zastał maharadżę klęczącego na podłodze obok planszy z zabawką. Pulchne kształty władcy skrywała przepyszna, czerwona, brokatowa tunika i białe, jedwabne spodnie. W jego bujnych włosach i lśniących włosach pojawiały się nitki siwizny. Był odrobinę podobny do swego syna, Abdara, ale w jego zachowaniu nie było śladu Abdarowej obojętności. Był wyraźnie niezadowolony.

- To ty jesteś ten Ruel MacClaren? - Nie czekał na odpowiedź, lecz kontynuował zręczliwym głosem: - Jestem na ciebie bardzo zły. To nie działa. Coś tu jest nie tak.

Czterostopowa plansza, w którą się wpatrywał, przedstawiała dżunglę. Każde drzewo, krzew, kwiat i zwierzę, wszystko było wspaniale wyrzeźbione i pełne życia. Centralną figurą na planszy był malutki maharadża, ubrany w złotą tunikę i malutką, wysadzaną drogimi kamieniami koronę, Ian powiedział Ruelowi, że Namir pracował nad tą skomplikowaną

zabawką przez rok, a żeby spełnić życzenia Ruela musiał tylko wymienić kilka figurek.

- Popatrz! - powiedział maharadża i uruchomił mechanizm.

Lew skoczył w kierunku małej figurki w koronie, mijając ją o włos i uruchamiając następny mechanizm, dzięki któremu mały maharadża podskoczył do góry i zniknął w gęstwinie korony drzewa. Identyczna figurka pojawiła się z drugiej strony drzewa i zeskoczyła na ziemię przed nosorożcem. Zwierzę zaatakowało władcę, który znów podskoczył, skrywając się w koronie następnego drzewa. Sekwencja ataku i uniku powtarzała się przez całą szerokość planszy, z coraz innymi zwierzętami lub gadami. Mały maharadża zawsze bez trudu unikał niebezpieczeństwa, aż osiągnął krawędź planszy, przypominającą wysoki klif. Tam władca został przez mechanizm zabawki wyrzucony do góry i zamarł, zawisając nad przepaścią.

- Spójrz na to! Wisi tam jak jakiś przejrzały owoc granatu! - gderał maharadża. - Wszyscy wiedzą, że maharadża musi zawsze zwyciężyć los. To wysoce denerwujące!

- Bo nie masz drugiej części tej zabawki.

Maharadża szybko spojrzał w górę.

- Jakiej drugiej części?

Ruel wskazał prawie niewidoczne dziurki w bocznej ścianie zabawki.

- Tu przyczepia się drugą połowę planszy. Maharadża szczęśliwie zeskakuje z urwiska, spadając przed tygrysem. Znów wskakuje na drzewo, a potem ląduje na grzbiecie wspaniałego, białego słonia, gdzie wreszcie jest całkowicie bezpieczny.

Oczy maharadży rozszerzyły się.

- Słonia?

- Białego słonia. Jakież inne zwierzę godne jest nosić maharadżę?

- Tak też powiedziałem mojej Wielkiej Radzie, ale oni wszyscy nie potrafią znaleźć dla mnie prawdziwego białego słonia. Ciągłe tylko się usprawiedliwiają. - Spojrzawszy znów na figurę zawieszoną nad urwiskiem zmarszczył czoło z niezadowoleniem. - Muszę mieć drugą część tej zabawki. Kimże jesteś, że dajesz mi tylko pół prezentu?

- Ale wyjątkowego prezentu, godnego mądrości Twojego Majestatu. Ujrzałem ją w sklepie i natychmiast siedziałem, że może ją mieć tylko człowiek o twoim smaku i inteligencji.

- Ale potrzebna mi jej druga część.

- Poszukuję jej obecnie. Niestety, najwyraźniej nie mam szczęścia.

Maharadża uważnie przyjrzał się Ruelowi.

- A co by ci pomogło w jej znalezieniu? - Westchnął. - Pewnie chcesz, żebym w rewanżu też dał ci prezent? Wszyscy czegoś chcą ode mnie. Co mam ci dać?

- Sprzedać, nie dać. Jesteś posiadaczem małej wyspy na Oceanie Indyjskim. Nazywa się Cinnidar, a ja chcę ją nabyć. Dam ci za nią czterdzieści tysięcy funtów.

- Cinnidar? Nie pamiętam... - Niecierpliwie machnął tłustą dłonią. - Chyba nie jest ważna, skoro jej nie pamiętam. Spytałem mojego doradcę, czy dajesz dobrą cenę. Czy tymczasem będziesz szukał drugiej połowy zabawki?

- Z całą pilnością. Czy mogę odwiedzić cię jutro i złożyć sprawozdanie z postępów?

- Tak, tak. - Maharadża odwrócił się z powrotem do planszy, nacisnął dźwignię przedstawiającą grę na początek i jak zaczarowany wpatrzył się w skaczącego lwa. - Jutro - powtórzył.

Alleluja! Śpiewało Ruelowi w duszy, kiedy wychodził z pałacu po schodach. To był dopiero pierwszy krok, ale cholernie wielki. Przyszłość zaczynała rysować się w jasnych barwach. Nawet deszcz, który lał strumieniami, kiedy wchodził do pałacu, teraz na chwilę ustał. Ciemne niebo bez wątplenia zaraz znów pęknie, wylewając potoki wody, ale to był dobry znak.

- Do hotelu, sahib? - spytał tragarz, kiedy Ruel wsiadł do rikszy.

- Tak - odrzekł, ale po chwili impulsywnie dodał: - Nie. - Był przepełniony nadzieją, ale nagle zdał sobie sprawę, że to nie z Ianem chce się najpierw podzielić wiadomościami. - Zabierz mnie do bungalowu sahiba Reilly'ego.

Łeb kobry kołysał się na boki, a jej onyksowe, pełne nienawiści oczy przesywały oszalałego, dziko skaczącego przed nią psa.

Dobry Boże, żeby tylko nie zaatakowała - modliła się w duchu Jane, stojąc bez ruchu w kącie stajni. Ostrożnie postawiła na ziemi miskę z żarciem, które przyniosła dla Sama, i sięgnęła do buta po nóż.

Wąż wił się na środku stajni, dokładnie przed boksem Bedelii. Jeśli nie zaatakuje skaczącego przed nim psa, może rzucić się na klacz.

- Na miłość boską, Sam, cicho! - powiedziała prawie bezgłośnie.

Durny pies oczywiście nie zwrócił na nią uwagi. Tylko jego szczekanie stało się ostrzejsze, kiedy kobra nagle uniosła łeb na prawie cztery stopy nad ziemią.

Ta cholerna bestia musi mieć co najmniej dziesięć stóp długości. Jeśli z tej odległości rzuci się na Sama, pies nie będzie miał szans na unik. Jane niecierpliwie spojrzała na nóż w swej dłoni i odrzuciła go. Nie była to broń odpowiednia w tej sytuacji. Zbyt blisko musiałaby podejść, żeby go użyć. Bardziej przydatne będą widły, oparte o ścianę stajni.

Zamarła, kiedy łeb węża zwrócił się w jej stronę. Serce waliło jej tak mocno, że wydawało się głośniejsze od ujadania Sama. Choć była poza zasięgiem kobry, strach mroził jej krew; wystarczyło spojrzenie tych paciorkowatych oczu.

Sam skoczył na bok, wciąż wściekle szczekając, i kobra zwróciła łeb za nim.

Dłoń Jane zamknęła się na trzonku wideł.

- Sam, cofnij się! - krzyknęła rozpaczliwie. - Na Boga, przestań ją drażnić! - Powoli, ostrożnie zatoczyła duże koło i znalazła się z tyłu za węzem.

- Co ty wyprawiasz, do diabła?!

Odwróciła wzrok od kobry i dostrzegła w drzwiach stajni Ruela. Jego twarz była śmiertelnie blada i błyszcząca od potu.

- Odsuń się od niej!

- Cicho bądź! - powiedziała ostro, ponownie obserwując gada. - I stój bez ruchu! Jeśli ją przestraszysz, może zaatakować Sama.

- Gównu mnie obchodzi Sam! - odrzekł zduszonym głosem. - Odsuń się od tego przeklętego węża, zanim zabije ciebie!

Jane zignorowała go i podeszła o krok bliżej. Cztery jardy od kobry. Trzy jardy.

Ruel zaklął ordynarnie.

- Dobra. Ja złapię tego kretyńskiego kundla. - Powoli zbliżył się do psa. - A ty wynoś się stąd!

Kobra zauważyła ten ruch i podniosła głowę jeszcze wyżej, głośno sycząc.

- Nie ruszaj się! - szepnęła Jane.

Ruel zamarł.

Wąż był dezorientowany, usiłował objąć wzrokiem jednocześnie Sama i Ruela. Zapomniał o niej. Jeśli będzie szybka, może zdoła...

Rzuciła się w przód, trzymając daleko przed sobą widły. Udało jej się złapać długie cielsko kobry pomiędzy zęby wideł, z rozmachem rzuciła więc węzem o przeciwległą ścianę stajni. Ogłuszona kobra zsunęła się na ziemię i wiła w miejscu.

Sam momentalnie rzucił się za nią.

- Nie! - wrzasnęła Jane.

Klnąc bez przerwy Ruel pobiegł za psem i złapał go za ledwie o stopę od gada.

- Trzymaj go! - Jane odepchnęła Ruela w bok i z całej siły spuściła trzonek wideł na łeb kobry. I znów, i jeszcze raz, i jeszcze...

Przestała wreszcie, zupełnie pozbawiona tchu, kiedy dotarło do niej, że wąż się już nie rusza.

- Chyba... go... zabiłam.

Ruel nie odpowiedział.

Trąciła węża widłami. Żadnej reakcji.

- Już możesz puścić Sama. - Odwróciła się i spojrzała na Ruela. - Duży był, nie? Jeszcze nigdy w tych okolicach nie widziałam tak wielkiego. Zwykle są dużo... Puść mnie!

Ruel zacisnął ręce na jej ramionach.

- Niech cię cholera! - Potrząsnął nią, a oczy mu pały w trupiobladej twarzy. - Niech cię cholera!

- Zabierz te łapy, bo ci wsadzę widły w brzuch! - powiedziała ostro.

- Myślisz, że mnie to obchodzi? Ty i te twoje przeklęte widły, i ten pieprzony wąż! - Znów nią potrząsała. - Mogłem... - Opuścił nagle ręce i chwiejnie ruszył do drzwi.

- Dokąd idziesz? - spytała, zaskoczona tak nagłym odwrotem.

- Wyrzygać się - doszedł ją jego stłumiony głos z zewnątrz.

Patrzyła za nim, zaszokowana. Była również okropnie przerażona, ale tak silna reakcja Ruela była co najmniej nieoczekiwana. Instynktownie ruszyła za nim, ale powstrzymała się. Li Sung nienawidził być oglądanym w chwilach słabości, Ruel więc byłby jeszcze bardziej rozzłoszczony. Poza tym wciąż trzęsała się ze strachu i nie miała nastroju do uspokajania go. Odwróciła się do Sama, który obwąchiwał truchło.

- Dobrze już, ty wstręciuchu. Pozbądźmy się go.

Kiedy kilka minut później wyszła ze stajni, Ruel ochlapował sobie twarz wodą z końskiego koryta. Jego peleryna leżała obok na ziemi, a wilgotna koszula kleiła mu się do ciała. Uniósł wciąż blade oblicze.

- Przepraszam - powiedział sucho. - Nie lubię węży.

- Ja też nie. - Wzruszyła ramionami. - Ale przyzwyczaiłam się do nich. Wyrosłam w namiocie, gdzie nie było nic niezwykłego w wizycie gada.

- Dlaczego, do diabła, nie zrobiłaś, jak mówiłem? - spytał ochryple. - Mogłaś...

- Sam - przerwała tonem wyjaśnienia. - Kobra by go zabiła.

- I dlatego warto było ryzykować życie?

- On należy do mnie - odrzekła krótko. - Trzeba dbać o swoje.

Gapił się na nią.

- Chryste! - wyszeptał.

Zjeżyła się.

- To nie twoja sprawa. Sam nie jest mądry, ale jest...

- Jest najgłupszym psem na świecie - dokończył ponurym głosem. - I świetnie do ciebie pasuje, nie wierzyłem własnym oczom, kiedy zobaczyłem, jak atakujesz kobrę widłami. Miałem ochotę cię udusić. - Zacisnął pięści. - Boże, ale się bałem!

Nie spodziewała się takiego wyznania.

- Ja też.

- Ale widok węża nie sprawia, że drętwiejesz i oblewasz się potem. - Uśmiechnął się krzywo. - Nie byłem bohaterem, co? Cholera, ależ ze mnie tchórz. Chciałem tylko podwinąć ogon i pryskać.

- Ale nie zwałeś - powiedziała cicho. - Kazałeś mi odejść. Chciałeś pomóc Samowi.

- Bo nie było innego sposobu na wyciągnięcie cię stamtąd. Zobaczyłem cię i... - przerwał i głęboko westchnął. - Jezu, nienawidziłem każdej sekundy.

Nigdy jeszcze nie widziała Ruela w defensywie. Ten dowód słabości rozbudził jej ciekawość.

- Dlaczego tak się boisz węży?

- Wszyscy się czegoś boimy. - Podniósł z ziemi pelerynę i narzucił na siebie. Potem, zauważywszy, że Jane wciąż mu się przygląda, wzruszył ramionami. - Chyba jestem ci winien wyjaśnienie mojego parszywego tchórzostwa. - Przez chwilę milczał, a potem wyznał: - Kiedyś wąż mnie ukąsił.

- Kobra? - spytała z szeroko otwartymi oczami.

- Nie, to było lata całe temu, w Glencaren. Żmija. Czasami sypiałem w górach. - Mówił szybko, jakby chcąc to już mieć za sobą. - Opowiadałem ci o moim lisie. Zabierałem go ze sobą. Czasami bywałem samotny. Pewnej nocy obudziło mnie ukłucie w lewą nogę i zobaczyłem, że żmija wpełzła pod mój koc. Zabiłem ją kamieniem. - Zacisnął usta. - Ale kilka jardów dalej znalazłem mojego lisa martwego. Ten przeklęty wąż zabił go, zanim postanowił przespać się ze mną.

- Och, nie - szepnęła.

- Zdjąłem koszulę i podarłem na pasy, żeby podwiązać nogę, i poszedłem szukać pomocy. Nigdy nie byłem szczęściarzem. Matka akurat tę noc postanowiła spędzić we wsi. Następnego ranka Ian znalazł mnie nieprzytomnego i sprowadził pomoc.

- A wcześniej? - zapytała, przerażona. - Dlaczego wcześniej kto inny...

Zignorował pytanie.

- Koniec opowiadania. Wkrótce byłem znów na nogach, w równie dobrej formie. Tyle że stracił ukochane zwierzę i nabawił się chorobliwego lęku przed węzami, który będzie się za nim włókł przez całe życie.

Wyraz jego twarzy zmienił się, jakby Ruel się zamykał.

- Widzisz teraz - powiedział już lekkim tonem - dlaczego tak mi się spodobało, że Kartauk przedstawił Abdara jako węza na złotych drzwiach. Nie wyobrażam sobie większej obelgi. - Odwrócił się w stronę oczekującej go przed bungalowem rikszy. - Chyba czas, żebym wracał do hotelu. Nie martw się, nie będę cię już zanudzał wspomnieniami.

- Nie znudziłeś mnie - powiedziała powoli. - Zrobiło mi się smutno.

- Naprawdę? Nie rozumiem, dlaczego. - Strzelił palcami. - Ach, to pewnie przez mojego lisa. Krwawi ci serce z powodu mojego futrzastego przyjaciela?

- Nie. - Ale chyba jego serce krwawiło tamtej nocy. Chociaż i tak by się do tego nie przyznał.

- A więc przeze mnie? - rzekł kpiąco. - Powiedz, chcesz mnie wziąć pod opiekuńcze skrzydła jak Kartauka?

Aż zeszytniała, zdawszy sobie sprawę z tego, ile z jej niechęci do niego roztopiło się w ciągu ostatnich paru minut. Ależ była głupia! Ruel był równie bezbronny jak kobra, z którą walczyła w stajni. Szybko zmieniła temat.

- Dlaczego tu przyjechałeś? Czy coś się stało?

Przez jego twarz przemknęło coś nieokreślonego.

- Po prostu postanowiłem zajrzeć.

Odpowiedź ją zdziwiła. Stosunki między nimi nie bardzo usprawiedliwiały takie niezobowiązujące wizyty.

- Jak tam twoje spotkanie z maharadzą?

- Dobrze. - Całe kpiarstwo od razu zniknęło z jego twarzy, która rozjaśniła się nagłym uśmiechem. - Nie bardzo dobrze!

- Myślisz, że dostaniesz Cinnidar?

Przytaknął.

- Jestem cholernie blisko. - Spojrzał na Sama. - Trzymaj tego psa w bungalowie niezależnie od tego, co mówi twój słodki Patrick. Chyba nie chcesz, żeby go nawiedził inny wąż. W podłodze tej stajni jest strasznie dużo pęknięć.

- Już podjęłam taką decyzję.

- To dobrze. Nie potrzebujesz ode mnie rad, prawda? - Zdjął kapelusz i uklonił się.

Szedł już do rikszy, kiedy uderzyła ją nagła myśl.

- Ruel, ile miałeś lat, kiedy ukąsił cię ten wąż?

Obejrzał się przez ramię.

- Nie pamiętam. Chyba dziewięć.

Patrzyła, jak riksza odjeżdża spod bungalowu przy wtórce melodyjnego brzęczenia dzwoneczków.

Czasami bywałem samotny...

Dziewięć lat. Myślała, że mówił o czasach, kiedy był znacznie starszy. Co robiło takie małe dziecko samotnie w górach, w nocy? I dlaczego znaleziono go dopiero następnego dnia, kiedy już się dowlóknął do zamku? Pewnie nigdy nie pozna odpowiedzi na te pytania. Ruel wyraźnie dał do zrozumienia, że nie ma ochoty na dalsze spoufalanie.

Uspokoila się natychmiast, że jej też nie zależy na przełamaniu tej niechęci. Tyle że dotąd uważała swoje własne linie obrony za nie do pokonania, a Ruel znalazł jednak sposób na przedarcie się przez nie. Najgorsze w tym wszystkim było to, że nawet nie próbował. Po prostu pokazał jej słabość zamiast siły, szczerłość zamiast kłamstwa.

I ta jego wrażliwość i bezbronność była dla niej bardziej niebezpieczna niż cokolwiek innego przedtem.

Przyniosłeś? - spytał poządlwym głosem maharadza, kiedy następnego popołudnia Ruel wkroczył do komnaty audiencyjnej.

- Nie, ale sądzę, że jestem bliski odnalezienia jej. - Ruel przerwał. - Na nieszczęście byłem tak zaabsorbowany sprawą zakupu wyspy, że pamięć zaczęła mi szwankować.

Maharadża rzucił mu złe spojrzenie.

- Dlaczego bawisz się ze mną tak głupio? Wiem, że mógłbyś mi ją dać, gdybyś tylko chciał.

Ruel tylko się uśmiechał i milczał.

- No, dobrze, możesz mieć tę wyspę, ale nie za czterdzieści tysięcy funtów. Mój doradca twierdzi, że jest warta co najmniej o dziesięć tysięcy więcej.

Ruel starał się, aby na jego twarzy nie pojawił się ślad napięcia.

- Nie jestem bogatym człowiekiem. Zdołałbym zapewne zapłacić jeszcze pięć tysięcy.

- Załatwione. - Maharadża uśmiechnął się chytrze. - Podpiszemy papiery, kiedy mi dostarczysz...

Ruel szybko mu przerwał.

- Mój brat i pułkownik Pickering czekają w przedpokoju z odpowiednimi papierami. Może podpisalibyśmy dokumenty teraz, a potem mógłbym poświęcić całą uwagę odnalezieniu brakującej części. - Przerwał. - Mógłbyś ją otrzymać w ciągu godziny.

- No, to załatwmy to - powiedział niecierpliwie maharadża. - Zawołaj ich.

Czterdzieści pięć minut później Ruel włożył do kieszeni egzemplarz umowy, wręczając drugi pułkownikowi Pickeringowi, który z kolei przekazał wysokiemu doradcy czek bankowy.

- A więc, zrobione - powiedział maharadża. - Teraz dotrzymaj obietnicy.

- Właśnie taki mam zamiar. - Ruel strzelił palcami. - Dorożka. Właśnie sobie przypomniałem, że zostawiłem drugi pakunek w dorożce, kiedy wyszedłem ze sklepu z zabawkami. - Zwrócił się do Iana: - Czy mógłbyś pójść i przynieść go Jego Wysokości?

- Z przyjemnością. - Ian skierował się do drzwi wraz z pułkownikiem. - Przekażę ją gwardziście i zaczekam na ciebie przy głównej bramie.

Maharadża odprowadził ich wzrokiem do drzwi, no czym spojrzał na Ruela.

- Uważasz pewnie, że mnie okpiłeś?

- Dlaczego miałbym tak myśleć?

- Ale to ja cię naciągnąłem. Cinnidar jest bezwartościowy. Mój doradca stwierdził, że to barbarzyńskie odludzie, dżungla, góry i dzikie zwierzęta. Nawet letni pałac, wybudowany przez mojego prapradziadka z pewnością rozleciał się już ze starości. Ta wyspa nie jest warta nawet ćwierci tego, co od ciebie wytargowałem.

- Najwyraźniej więc zrobiłeś ze mnie głupca.

Maharadża zrobił niezadowoloną minę.

- Nie wyglądasz na załamanego. Chciałem, żebyś się załamał.

Ruel pozwolił sobie zaledwie na lekki uśmiech, mając ochotę skakać ze szczęścia i krzyżeć. Na Boga, miał ją!

- Bez wątpienia, kiedy będę miał czas przemyśleć swoją głupotę, będę nią przerażony.

Maharadża rozpromienił się.

- Bez wątpienia. Byłem cwany, co?

- Bardzo. - Ruel odwrócił się i wyszedł z komnaty.

Musiałeś dać więcej, niż to zaplanowałeś - powiedział Ian, kiedy Ruel do niego dołączył.

- Mam jeszcze trzy tysiące funtów. Z tym mogę zacząć.

- Szkoda, że nie mogę ci pomóc - rzekł Ian, marszcząc czoło. - Ale wiesz, że w Glencaren nigdy nie było pieniędzy.

- Nie chcę twoich pieniędzy - przerwał mu Ruel.

- Są również twoje. Zawsze miałem zamiar dzielić się z tobą, nawet tymi groszami. - Dodał delikatnie: - Niech zgorzkniałość nie powstrzymuje cię od brania tego, co twoje.

- Nie jestem zgorzkniały. - Ze zdziwieniem Ruel uświadomił sobie, że mówi prawdę. Pierwszy raz od kiedy sięgał pamięcią, poczuł się całkowicie wolny od zgorzkniałości. Jakby nabycie Cinnidaru w cudowny sposób zdjęło z jego barków ciężar wszystkich wspomnień i nagle odmłodziło go. - Zatrzymaj swoje pieniądze, Ian. Glencaren ich bardziej potrzebuje niż ja. Znajdę sposób, żeby osiągnąć to, czego chcę. Wszystko będzie dobrze.

Ian przez chwilę uważnie wpatrywał się w twarz Ruela, a potem powoli skinął głową.

- Tak, wierzę, że dasz sobie radę. Chyba czas, żebyśmy ruszał do domu. - Odchrząknął i kontynuował: - A może byśmy upiekli dwie pieczenie na jednym ogniu? Pojadę z wami na

jazdę próbną i załatwię bilety na statek z Narinth dla siebie i służącego. Szkocja powinna być dla Kartauka równie bezpieczna, jak jakiegokolwiek inne miejsce.

- Ale czy Kartauk będzie bezpieczny dla Glencaren? - mruknął Ruel. - A jeżeli postanowi rozebrać fundamenty, żeby zrobić piec?

- Co takiego?

- Nieważne. Jestem pewny, że Maggie zdoła powstrzymać wszelkie większe spustoszenia.

- Margaret - poprawił go automatycznie Ian i dodał miękkiem głosem: - Margaret.

Patrząc na rozmarzoną twarz brata, Ruel poczuł, że ogarnia go przemożna fala uczuć. Teraz, kiedy Ian wyjeżdża, można było już opuścić bariery, które wznosił między nimi tak dawno temu. Nawet jeśli nie było to bezpieczne, nie był w stanie dłużej tłumić emocji. W tej chwili świat wydawał się jasnym, miłym miejscem, w którym niepotrzebne są mury.

- Postaram się zapamiętać - powiedział delikatnie. - Margaret.

Cinnidar - mruknął Abdar. - Jesteś pewny, że to był Cinnidar?

Pachtał przytaknął.

- Tak mówił emir. Wyśmiewał się, jakim głupcem jest ten Szkot, że kupił bezwartościową wyspę.

- MacClaren nie jest głupcem. Cinnidar musi mieć jakąś wartość. Jak już dostaniemy Kartauka, przyjrzymy się tej transakcji. - Abdar wzruszył ramionami. - Teraz kiedy MacClaren ma już, czego chciał, straciliśmy broń. Szkoda. Ten Szkot był dla nas wspaniałą szansą na odzyskanie Kartauka.

- I co dalej?

- Musimy sami znaleźć Kartauka... co oznacza znów Jane Barnaby. Idź do Zabrie i dowiedz się, czy ten Chińczyk już wrócił.

- Mógłbym dopaść dziewczyny i sprowadzić ją tu. Upłynęło dużo czasu i pewnie nie spodziewa się żadnego ruchu z naszej strony.

- Jeszcze nie. Udowodniła już, że jest i lojalna, i uparta. Za dużo czasu i wysiłku wymagałoby wydobycie z niej informacji. - Wyciągnął palec i pogładził ostrze sztyletu w ręce bogini. - Linia kolejowa jest prawie ukończona, niedługo ona i Reilly wyjadą z Kasanpuru.

- To oznacza, że przed wyjazdem będzie chciała zabezpieczyć Kartauka.

- Logiczne. Będziemy więc blisko, a kiedy nadarzy się sposobność...

- Dopadniemy Kartauka i weźmiemy go z powrotem do pałacu.

- Nareszcie. - Abdar dotknął złotej kropli krwi. - Nie zniosę dłużej tego głupca, Benaresa. W porównaniu z pracami Kartauka jego są śmieszne. - Uśmiechnął się. - A ponieważ linia już jest gotowa, mój ojciec nie będzie potrzebował tej dziewczyny. Sądzę więc, że ją też możemy sobie wziąć. Nie uważasz, że na miejscu będzie uczynienie z tej małej zbawicielki pierwszej modelki Kartauka?

Szkocja? - Kartauk skrzywił się. - Moja matka opowiadała mi, że to odpychający, zimny kraj. Artysta potrzebuje ciepła i barw do nakarmienia swej duszy. Lubię światło słoneczne.

- Ale założę się, że bardziej lubisz swoje ręce - powiedział Ruel.

- To prawda. - Rzeźbiarz z rezygnacją wzruszył ramionami. - Może się przyzwyczaję do zimna. Twój brat będzie moim mecenasem?

- Iana nie stać na więcej niż ofiarowanie ci dachu nad głową.

- Nieważne. Znajdę sobie mecenasa. Może wasza królowa Wiktoria. Słyszałem, że ma dużo złota.

- Z pewnością będzie zachwycona, kiedy się dowie, że masz związane z nim plany.

- Jak tylko zobaczy moje dzieła, z pewnością tak będzie. Może nawet zgodzę się wyrzeźbić jej głowę. - Skrzywił się. - Chociaż wątpię. Jej twarz nie podoba mi się, nie lubię podwójnych podbródków. Zrobię jej w zamian solniczkę. - Odwrócił się do Jane. - Dokąd ty i Patrick jedziecie po zakończeniu tu pracy?

- Patrick nie ma jeszcze żadnych ofert. Powiedział, że zadecydujemy, kiedy dostaniemy pieniądze od maharadży. - Spojrzała na Li Sunga. - Obiecaj mi, że nie opuścisz świątyni aż do wyjazdu do Narinth!

Jego twarz pozostała bez wyrazu.

- Nie.
- Dlaczego?
- Po co pytasz, skoro znasz odpowiedź?
- Przecież opowiedziałam ci, co się stało u Zabrie!
- I nie byłem tam od tego czasu.
- Pójście tam teraz jest dla ciebie jeszcze niebezpieczniejsze!
- Przecież nie jesteś pewna, że cię zdradziła. Obdarowała mnie. Postąpiłbym nieuprzejmie, gdybym nie poszedł się pożegnać. - Nie czekając na odpowiedź, Chińczyk wyszedł ze świątyni.

Jane w bezsilnej złości zacisnęła dłonie w pięści. Miała ochotę coś połamać.

- Li Sung nie jest głupcem, Jane. Nie zdradzi nas przed tą kobietą - powiedział cicho Kartauk.

- Myślisz, że o tym nie wiem? Boję się o niego. Żałuję, że dałam tej kobiecie choć jedną rupię!

- A dlaczego jej dawałaś pieniądze? - spytał miękko Ruel.

- Bo byłam głupia! Bo nigdy bym nie pomyślała...

- Bo ma za miękkie serce - dopowiedział Kartauk - Widziała, że Li Sung cierpi i chciała mu jakoś pomóc. Z powodu rasy i kalectwa kobiety go unikały, nawet dziwki w takich domach jak u Zabrie.

- A więc poszłaś do Zabrie i zapłaciłaś jej, by sprawiła żeby Li Sung czuł się jak mężczyzna, a nie jak kaleki strzep człowieka - uzupełnił Ruel.

- Nie wolno ci powiedzieć mu o tym! - powiedziała groźnie.

- Szanuję Li Sunga. Nie zrobiłbym mu takiej krzywdy.

- Na pewno? - Podeszła do drzwi, odwróciła się i powiedziała do Kartauka: - Pojutrze o siódmej wieczorem wyjeżdżamy do Narinth. Ruel uważa, że najlepiej będzie, jeśli zaczekasz na pociąg po drugiej stronie Wąwozu Lanpur. Wczesnym popołudniem przyjdę po ciebie i zabiorę cię tam.

Ruel wyszedł ze świątyni za nią.

- Lepiej, żebym to ja przyszedł po Kartauka. Jeśli Abdar dowiedział się, że zdołałem kupić Cinnidar od maharadży, zda sobie sprawę, że jesteś jego jedyną szansą na odnalezienie Kartauka i będzie cię śledził.

- Nie możesz tu przyjść sam. Nie znasz drogi.

- Ależ znam. - Uśmiechnął się na widok jej zdziwionej miny. - Mogłem sam cię tu przyprowadzić już trzy dni temu. Mam dar orientacji w terenie, a labirynt, którym mnie prowadziłaś, to błahostka w porównaniu z kanałami w Londynie. Wspominałem ci już, że byłem łapaczem szcurów?

Zacisnęła usta.

- A więc znów zrobiłeś ze mnie idiotkę!

Jego uśmiech znikł.

- Nie umiałbym zrobić z ciebie idiotki, Jane. Masz zbyt wiele godności i siły.

Pierwszy raz, od kiedy pojawił się tego dnia w bungalowie, naprawdę mu się przyjrzała. Zdała sobie sprawę że charakterystyczna dla jego twarzy twardość rysów zniknęła. No, może nie całkowicie, ale delikatność, z jaką na nią teraz patrzył, pasowałaby raczej do Iana. Niemożliwe, to musi być znowu jakaś jego sztuczka. Był zupełnie inny niż brat.

- Co za przemile słowa!

- Prawdziwe słowa. - Odwrócił wzrok. - Chcę ci jeszcze coś powiedzieć. - Przerwał, zbierając siły, a potem wyrzucił z siebie: - Ja... Przepraszam

- Co takiego? - spytała bezmyślnie.

- Słyszałaś. Nie każ mi tego powtarzać. - Szedł ścieżką, wciąż nie patrząc na nią. - Nie mam zamiaru kłamać i mówić, że nie zrobiłbym czegoś takiego drugi raz. Chciałem ciebie i chciałem Cinnidaru, w każdym wypadku musiałem zejść z drogi cnoty.

- To dlaczego przepraszasz? Skąd ta zmiana?

- I ty też? Dlaczego wszyscy upierają się, że się zmieniłem? Chciałem tylko...

- Dlaczego? - powtórzyła.

Przez chwilę milczał, aby w końcu powiedzieć po prostu:

- Chyba jestem szczęśliwy. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek był szczęśliwy. Bywałem zadowolony, ale nigdy szczęśliwy. To bardzo dziwne uczucie.

- Jesteś szczęśliwy, bo masz już swój Cinnidar?

- To więcej niż tylko Cinnidar. To jak...

- Jak co?

- Nowe życie, możliwość rozpoczęcia od nowa... - Uśmiechnął się. - Jakbym wysiadł z pociągu na ostatniej stacji i wiedział, że to właśnie to miejsce, gdzie chciałem być. Czy to ci więcej wyjaśnia?

- Tak. - Opisywał przecież uczucia, jakie ją opanowały, kiedy wiele lat temu uciekła od Frenchiego. To, co mówił, było jej bliskie. - Tak, to dużo wyjaśnia.

- W każdym razie, chciałem ci o tym powiedzieć. - Urwał, a potem zmienił temat. - Myślisz, że Li Sung naprawdę poszedł do Zabrie?

Przytaknęła przygnębiona.

- Na pewno mnie nie usłuchał. Chciałam, żeby był szczęśliwy, ale... - Załamał jej się głos. - Zawsze mi pomagał, chciałam też pomóc jemu. Cholera, nie powinnam była się wtrącać!

- Jak ci pomagał?

- Och, na wiele sposobów!

- Opowiedz mi!

- Książki. Nauczył mnie czytać, pisać i liczyć. Jego ojciec uważał, że wiedza uchroni Li Sunga od zostania prostym robotnikiem, zmuszał go więc do czytania każdej książki, jaka mu wpadła w ręce - i to od wczesnego dzieciństwa. A czego nie wiedział Li Sung, uczyliśmy się razem.

- Kartauk powiedział mi, że od dawna jesteście razem.

- Wylądował u Frenchiego, czyli tam, gdzie się wychowałam, kiedy miał dwanaście lat. Kilka miesięcy wcześniej w wypadku zginął jego ojciec, a on sam został kaleką. Miał siedemnaście lat, kiedy wyjechaliśmy z Patrickiem.

- Jaki to był wypadek?

- Jego ojciec był hamulcowym i uczył Li Sunga tego fachu - mówiła z gorzkim uśmiechem.

- Li Sung był bardzo dumny ze swojego ojca. Uważano, że Chińczycy są dobrzy do układania torów, ale nie jako maszyniści czy choćby palacze. Nawet na stanowisku hamulcowego rzadko kiedy pracowali. Jego ojciec posiadał wszystkie te trzy zawody i nauczył ich Li Sunga. Niemniej jego głównym zajęciem było hamowanie manewrowe i pewnego dnia razem z Li Sungiem znaleźli się między dwoma wagonami i zostali zgniecieni.

Ruel gwizdnął cicho.

- Och, to nie był jakiś niezwykły wypadek. Zdarzało się tak często, dopóki Westinghouse nie skonstruował hamulca powietrznego, który mógł być obsługiwany przez maszynistę z breka. Przedtem wagony łączył sprzęg członowy i hamulcowy, żeby go obsłużyć, musiał stać między wagonami. Jeśli nie zdołał w odpowiednim momencie wsunąć trzpienia w otwory na końcach złącz obu wagonów, wagony najeżdżały na siebie i zgniatały go. Zapewne z tego powodu zaszczyt bycia hamulcowym powierzono Chińczykowi. Pewnie i tak ojcu Li Sunga gdy nie pozwolono by zostać maszynistą.

- Rozumiem, że pociąg maharadży ma te powietrzne hamulce?

Przytaknęła.

- Musiałam obciąć niektóre wydatki, ale te hamulce na pewno są. - Rzuciła mu szybkie spojrzenie. - Dlaczego zadajesz tyle pytań na temat Li Sunga?

- Bez powodu - odrzekł niedbale. - Po prostu z ciekawości.

Byłeś dzisiaj naprawdę wspaniały - mruknęła Zabrie i lekko pocałowała Li Sunga. - Za każdym razem jesteś lepszy. - Wstała z łóżka i narzuciła na siebie cienki jak pajęczyna szal, który raczej podkreślał niż okrywał jej nagość. - Wina?

Li Sung usiadł i pokręcił głową.

- Muszę już iść.

- Jeszcze nie. Zostań chwilę. - Zabrie podeszła do stołu i naląła sobie kielich wina. - Nie mam żadnych innych klientów, a nawet gdyby, to i tak odesłałabym ich do innych kobiet. - Odwróciła się i popatrzyła na niego. - Dla ciebie.

Pomyślał, że była piękniejsza niż kiedykolwiek. A może zdawała mu się wspanialsza, bo to był ostatni raz?

Podeszła do niego z powrotem.

- Powinam być na ciebie zła. - Usiadła obok i przesunęła palcem po jego piersi. - Bardzo długo do mnie nie przychodziłeś. Dlaczego?

- Byłem... - Urwał, kiedy jej umalowany henną paznokieć zaczął drażnić jego sutek. - Kiedy to robisz, nie mogę myśleć, a muszę ci coś powiedzieć.

- Nie chcę, żebyś myślał.

Odsunął jej rękę.

- Chcę się z tobą pożegnać.

Uniosła głowę.

- Wyjeżdżasz z Kasanpuru? Kiedy?

- Wkrótce.

- To nie jest odpowiedź. - Milczała przez chwilę. - Zabierz mnie ze sobą.

- Co? - spytał wytrzeszczając oczy.

- Chcę jechać z tobą. - Odstawiła kielich na podłogę obok łóżka i pochyliła się, żeby pocałować jego pierś. - Jest ci ze mną dobrze i wiesz, że potrafię cię uszczęśliwić Mam dosyć tych mężczyzn, którzy mnie wykorzystują a potem plują na mnie z powodu mojego pochodzenia! Ty mnie tak nie traktujesz.

- Nie. - Poczł cież nadziei, kiedy delikatnie pogłodził jej błyszczące, czarne włosy. Doleciał go zapach jaśminu, uwielbiał to. Zawsze pachniała kwiatami i korzeniami. - Ja też znam ten ból. Naprawdę chcesz jechać ze mną?

- Daj mi tydzień na załatwienie wszystkich spraw i... - Dostrzegła jego minę. - Nie?

- Dwa dni.

- To bardzo mało, ale chyba da się zrobić. - Odrzuciła szal i położyła się na Li Sungu. - Chcę cię znów. Szczegóły omówimy później. Tak?

- Zabrie... - Zamknął oczy, kiedy wzięła do ręki jego twardniejący członek. Czy ją kochał? Chwilami był tego pewien. Z całą pewnością jego ciało było przez nią zniewolone. - Tak, pogadamy później...

Jesteś durniem - powiedział sobie Ruel, wpatrując się w drzwi domu Zabrie przez kurtynę deszczu. - I nie tylko, możesz być utopionym durniem, jeśli nie dasz sobie spokoju z tą obserwacją i nie wrócisz do hotelu.

Li Sung wyszedł od Zabrie.

Ruel szybko odsunął się od narożnika, widząc, że Chińczyk przechodzi przez ulicę i zmierza wprost do bramy, będącej stanowiskiem obserwacyjnym.

- Trochę zmokłeś - powiedział Li Sung.

- Prawie mnie zmyło - skrzywił się Ruel. - Wiedziałeś, że tu jestem?

- Przez ostatnie tygodnie nauczyłem się oglądać przez ramię. Myślę, że miałeś powód, żeby za mną iść?

- A może miałem tylko ochotę się przespacerować?

Li Sung uśmiechnął się szyderczo, przeniósłszy spojenie na strumienie dżdżu.

- Dziwna noc na spacer. Aż tak lubisz deszcz?

- Już nie pamiętam, czy kiedykolwiek w Kasanpurze była inna pogoda.

- Odpowiesz mi?

Ruel wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że mogę się upewnić, czy nie będzie jakiejś przykrej niespodzianki.

- Ze strony Zabrie?

- Niemądrze jest ufać komuś za bardzo.

- Dzięki za radę.

- Ale nie masz zamiaru jej usłuchać. - Ruel pokiwał głową. - Ja też niechętnie przyjmuję rady. Czy Zabrie zadawała pytania?

Li Sung spojrział przez ramię na dom.

- Ona chce jechać ze mną.

Ruel znieruchomiał.

- Jakże... zaskakujące. I pewnie powiedziałaś jej o naszych planach wyjazdu za dwa dni?
 - Powiedziałem.
 - Czy wolno mi zauważyć, że nie było to najmądrzejsze... - zaczął ostrożnie Ruel, ale Li Sung przerwał mu.
 - Cicho! - Ręka Chińczyka zacisnęła się na ramieniu Ruela i wciągnęła go w głąb bramy. Ruel podążył oczami za wzrokiem Li Sunga i złożył usta w bezgłośnym gwizdnięciu. Zabrie wyszła z domu i szybko ruszyła ulicą.
 - Dziwna noc na spacer - Ruel powtórzył słowa Chińczyka.
 - Tak - odrzekł Li Sung głosem pełnym napięcia. - Chodź! - Wyszedł z bramy i podążył za Zabrie.
 - Dokąd idziemy? - spytał Ruel, dogoniwszy go.
 - Muszę sprawdzić, dokąd ona zmierza.
 Piętnaście minut później cel Zabrie stał się jasny. Zniknęła w bramie pałacu Savitsar.
 - Abdar - powiedział Ruel.
 Li Sung wpatrywał się w miejsce, gdzie zniknęła kobieta.
 - Nic się nie stało. Li Sung - szepnął Ruel. - Skoro wiemy, że nas zdradziła, możemy zmienić plany.
 - Nic się nie stało - powtórzył tępo Chińczyk. Powoli odwrócił się i pokuśtykał w dół ulicy. - Nie musimy zmieniać planów. Powiedziałem Zabrie, że popłyniemy łodzią w dół rzeki, do Narinth. Jestem pewny, że pojutrze wieczorem Pachtal i Abdar będą czekać na nas w porcie Narinth.
 Ruel patrzył z zaskoczeniem na Li Sunga.
 - Podejrzewałeś ją?
 - Nie jestem głupcem. Czasami czułem się dzięki niej jak olbrzym, ale wiem, że jestem tylko kaleką. - Wykrzywił gorzko usta. - Nie, potraktowała mnie gorzej niż kalekę, jak kretyna!
 - No, kretynem nie jesteś. Miałaś zamiar czekać na zewnątrz i sprawdzić, czy pójdzie do Abdara?
 - Musiałem się upewnić. - Odwrócił się do Ruela. - Ani ty, ani Jane nie musicie się już niepokoić.
 - Jane nie ma z tym nic wspólnego. Idziesz z powrotem do świątyni?
 Chińczyk skinął głową.
 - Daleka droga. Mój hotel jest dwa kroki stąd, a Ian ma w pokoju butelkę whisky.
 - Nie piję alkoholu. Otepia umysł i robi z mężczyzn dzieci.
 - Tak tylko sobie pomyślałem - uśmiechnął się Ruel. - Czasami kropelka pomaga się wysuszyć. Gdybyś zmienił zdanie, zapraszam. Dobranoc, Li Sung. - Skręcił za róg i zaczął się wspinać w górę ulicy do hotelu.
 - Zaczekaj!
 Ruel obejrzał się i zobaczył, że Chińczyk kuśtyka za nim.
 - Może jednak kropelkę - powiedział Li Sung.

8

Walenie w drzwi bungalowu wyrwało Jane ze snu. Był środek nocy. Kto...
 Walenie powtórzyło się, jeszcze głośniejsze.
 Pośpiesznie narzuciła pelerynkę na swoją białą, bawełnianą koszulę nocną, pobiegła do drzwi i otworzyła je gwałtownie.
 Ruel i Li Sung stali na ganku.
 - Co wy tu robicie? - szepnęła. Z lękiem obejrzała się za siebie, ale najwyraźniej dobijanie się nie przeszkodziło Patrickowi. Przeniosła wzrok na Li Sunga. - Co się stało? Dlaczego nie jesteś w świątyni?
 - Chciał cię zobaczyć - wykrzywił się Ruel. - I informował o tym wszystkich, wrzeszcząc ile sił. Miałem do wyboru: być wyrzuconym z hotelu albo go tu przywlec.
 - A co on robił w hotelu?
 - Kropelkę... - mruknął Li Sung, zachwiał się i polecał na ziemię.
 Ruel złapał go i oparł o futrynę.
 - On jest pijany. - Jane była zaskoczona. - Li Sung nie pije!

- Kropelkę... - Chińczyk zamknął oczy.
- Teraz to mu się chce spać! - powiedział z obrzydzeniem Ruel. - W hotelu był bardzo rozbudzony i głośny jak diabli!
- Spiełeś go! - Oskarżycielko wyciągnęła palec w stronę Szkota.
- Tak, w tej sytuacji wydawało mi się to sensowne - odrzekł Ruel, poprawiając uchwyt. - Jest tu jakieś miejsce, gdzie mógłby się przespać, czy mam go zanieść z powrotem do hotelu?
- Weranda. - Odsunęła się na bok i patrzyła, jak pół niosąc, pół wlokąc Li Sunga zmierza do drzwi na werandę. - Dlaczego to było sensowne?
- Myślisz, że postanowiłem zdeprawować twojego cnotliwego przyjaciela? - Rzucił Chińczyka na tapczan podniósł poduszkę i podłożył mu pod głowę. - Nawet jeśli tak uważasz, to już więcej się to nie powtórzy. Już po drugim drinku wykrzykiwał na cały głos chińskie przysłowia.
- Dlaczego to było sensowne? - powtórzyła Jane. - I dlaczego był w twoim hotelu, a nie w świątyni?
- Wpadliśmy na siebie pod domem Zabrie i zaprosiłem go do siebie na drinka.
- Zabrie! - popatrzyła na Li Sunga, zwiniętego na łóżku i śpiącego spokojnie. - A co ty robiłeś przed... Śledziłeś go?
- Wyszedłem po prostu na spacer.
- Śledziłeś go!
- On jest kaleką i nie mogłem znieść myśli, że Pachtał... Cholera, skąd mam wiedzieć dlaczego? Ostatnio częściej działałem pod wpływem impulsu niż z rozsądku. - Podniósł z fotela kaszmirową narzutę i okrył nią Chińczyka. - Nie musisz się już martwić, że jeszcze kiedyś pójdzie do Zabrie. Prosto od Li Sunga poszła do Abdara, do pałacu Savitsar. W następstwie tego nasz przyjaciel odczuł potrzebę zapomnienia.
- Rozumiem. - Spojrzała na Li Sunga i poczuła wzbierające łzy. - Nie powinnam była się wtrącać. Ona go skrzywdziła.
- Powiedział, że dzięki niej czuł się jak olbrzym. Jedno nie wyklucza drugiego.
Przełknęła z trudem.
- Dziękuję za odprowadzenie go. To bardzo uprzejme.
- Nie jestem uprzejmy. Mówiłem ci, że działałem pod wpływem impulsu. - Przerwał i po chwili podjął burkliwie: - Nie lubię, kiedy jesteś zdenerwowana i nieszczęśliwa. To mnie martwi.
Rzuciła mu pełne zdziwienia spojrzenie.
- Dziwi mnie to.
- Mnie też dziwiło - odrzekł z rozdrażnieniem. - Jest coś jeszcze. Od dzisiejszego popołudnia przemyślałem parę rzeczy... - Urwał, zawahał się i w końcu powiedział szybko: - Och, do cholery, inaczej nie można tego powiedzieć. Doszedłem do wniosku, że chcę się z tobą ożenić.
Oszłomiło ją to. Nie była pewna, czy dobrze słyszała.
- Co ty mówisz?
- Nie od razu. Minie parę lat, zanim będę mógł ci dać coś więcej niż możliwość obserwowania, jak się zaharowuję na śmierć. Ale kiedy już ruszy kopalnia, a pieniądze zaczną płynąć... - Skrzywił się. - Bóg wie, kiedy to będzie. Możliwe, że będziesz musiała czekać tak długo jak Ian na Margaret.
Potrząsnęła głową, wciąż zaszokowana.
- Nie rozumiem tego wszystkiego.
- Ian twierdzi, że ja chcę domu. Mówi, że potrzebuję... - Wzruszył ramionami. - Może ma rację. Co to za dom bez żony?
- I dlatego mnie chcesz?
- Niezupełnie. Ja... czuję coś do ciebie.
- Żadzę.
- Nie, coś innego.
- Wineę.
- Nie. - Nagle wybuchł. - Dlaczego mnie wypytyujesz? Nie chcę, żebyś mnie opuszczała!

Chcę się tobą opiekować! - mówił coraz gderliwszym głosem. - A to nie jest taka zła propozycja. Zapewnię ci wszystko, czego zechcesz i nie będę żądał niczego, prócz dzielenia ze mną łóżka i w końcu urodzenia dziecka. Czy to brzmi rozsądnie?

- Bardzo rozsądnie. - Była strasznie zakłopotana. Nie oczekiwała czegoś takiego, nawet sobie nie wyobrażała, że to może się zdarzyć. Małżeństwo. Ruel. To jak wyjść za mąż za czarownika. - Rozsądniejsze niż pomysł chęci ożenku ze mną.

- No więc, co powiesz?

Głęboko odetchnęła i pokręciła głową.

- Nie, dziękuję.

- Dlaczego? - Zanim zdążyła odpowiedzieć, mówił dalej. - Wiem, że źle zaczęliśmy, ale to się da naprawić. Szanuję cię, a ty, choć może mnie nie podziwiasz, też mnie szanujesz.

- Nie ufam ci.

- Tego się możesz nauczyć. Nie zdradzam przyjaciół, z czasem się o tym przekonasz.

- Kolej...

- Twoim Patrickiem też się zaopiekuję.

- Patrick nie potrzebuje opieki - odrzekła szybko. - A nawet gdyby... Mnie nie odpowiada takie życie, jakie mi proponujesz. Nie rozumiesz? Nie jestem taką kobietą, jakiej chciałbyś na całe życie. Ty też nie jesteś takim mężczyzną, jakiego ja bym chciała - dodała stanowczym głosem.

Jakiś dziwny wyraz pojawił się na jego twarzy i przez chwilę myślała, że go zraniła. Była pewna, że nigdy nie udałoby jej się zranić tego Ruela, którego znała dotąd, ale ten dziwny, nowy Ruel, był bardziej wrażliwy. Nie, musiała się jednak pomylić, bo uśmiechał się ze swym zwykłym kpiarstwem.

- Ośmielam się nie zgodzić. Są we mnie takie rzeczy, których nadal bardzo chcesz.

Zesztywniała.

- Mylisz się.

- Nie myślę się. Myślisz, że ja nie mam takich samych odczuć? To istnieje między nami cały czas. - Jego niezręczność nagle znikła, a ona w jednej chwili była znów przejmująco świadoma jego obecności. Z drżeniem serca pojęła, że właśnie tego chciał. W mgnieniu oka przeistoczył się w tego zmysłowego mandaryna z dnia poprzedzających ich przeżycia w wagonie. Magnetyzm jaki wydzielał, był dla niej wręcz namacalny.

- Przekonasz się, że zawsze damę kobiecie to, czego ona chce. - Odwrócił się i podszedł do drzwi. - A ponieważ zdecydowanie chcę mieć w rękę jakiś konkretny, zanim się rozjedziemy, będę musiał jakoś ci przypomnieć, za czym oboje tęsknimy. Oczekuj mnie jutro na kolacji.

- Nie. Nie chcę, żebyś...

- Oczekuj mnie. - Obejrzał ją z góry na dół, koncentrując się na jej luźnej, znoszonej koszuli nocnej. - Jeszcze nigdy nie widziałem cię w koszuli nocnej. - Zmarszczył czoło. - Jeśli to jest koszula nocna. Kiedyś obejrzę cię w czymś bardziej kobiecym.

Wyszedł z werandy, a po chwili usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych.

Odejdź, Ruel - powiedziała, otworzywszy drzwi następnego wieczora. - Powiedziałam ci przecież, że cię tu nie chcę.

Uniósł brwi.

- Mam przez to rozumieć, że kolacja jeszcze nie gotowa? - Zdjął mokrą pelerynę i rzucił na podłogę ganku obok drzwi. Był ubrany bardziej oficjalnie niż kiedykolwiek przedtem. Ciemnobrązowy garnitur, biała, nakrochmalona koszula i czarny fular pod szyją. Światło lampy na ganku odbijało się w jego błyszczących, czarnych butach i połyskliwych, płowych pasmach jego brązowych włosów. Nie była przygotowana na tak niespodziewaną elegancję i niemile uzmysłowiła sobie niedociągnięcia własnego stroju.

Pomyślała, że nie ma żadnego powodu, dla którego owiałaby się czuć niezręcznie; to on był intruzem.

- Odejdź!

- Jeśli odmawiasz nakarmienia mnie, wejdę tylko zamienić parę słów z Patrickiem. Czy jest na werandzie?

- Poszedł spać.

- Już? Jest dopiero wpół do dziewiątej. Nie protestował, kiedy popędzałaś go przy kolacji i pompowałaś w niego whisky, żeby już poszedł spać?

- Ja nie... - Przerwała, napotkawszy jego inteligentne spojrzenie. - A co, jeśli tak było? Nie chciałam cię tu, a ty zrobiłeś wszystko, żeby Patrick uważał cię za przyjaciela. Nie ma potrzeby, żebyś z nim rozmawiał.

- Ależ tak! Mam zamiar poprosić go o rękę jego córki. - Pstryknął palcami. - Ale to go będzie krępowało prawda? Nie przyzna przecież, że ma córkę.

- Wygłupiasz się, oczywiście?

- Oczywiście, że się nie wygłupiam. Skoro podążam drogą cnoty, chcę zachować wszystkie formalności. On jeszcze nie może spać. Tylko wejść i...

- Nie! - Głęboko odetchnęła. - To głupota i nie pozwolę ci zawracać mu głowy.

Nagle się poddał.

- Dobrze.

Zaczęła zamykać drzwi.

- Jeżeli wyjdiesz ze mną pospacerować.

- Pospacerować?

- W Glencaren jest zwyczaj, że narzeczeńscy wychodzą razem wieczorami pospacerować. Oczywiście z przyzwoitką.

- Nie mam najmniejszej ochoty „pospacerować” z tobą.

- To będę zmuszony wejść i pogadać z Patrickiem. Sądzę, że wyrazi zgodę. Jak sama mówisz, on mnie lubi.

Najwyraźniej Ruel nie miał ochoty dać się przepędzić.

- Pada - powiedziała słabym głosem.

- W porządku, zadowolę się siedzeniem z tobą na werandzie. Pod warunkiem oczywiście, że Li Sung zwolnił miejsce - dodał po chwili.

- Poszedł dziś rano z powrotem do świątyni. - Patrzyła zakłopotana. Uśmiechał się, ale pod tym uśmiechem i wymuszaną elegancją czuła nieugiętość i zdecydowanie. Otworzyła szerzej drzwi i odwróciła się na pięcie. - Dobrze, dziesięć minut.

- Tak, memsahib. - Poszedł za nią przez pokój w stronę werandy. - Widzisz, jaki jestem posłuszny? Spełniam każde twoje życzenie, waruję przy twojej nodze jak wierny pies. Sam.

- Sam nie waruje przy mojej nodze. - Usiadła na trzcinowej, wykładanej kanapce. - Nawet on ma na to za wiele rozumu.

- Do mnie pijesz? - Usiadł obok niej. - Ale ja nie jestem w takich łaskach jak Sam. Zawiniłem i muszę okazać skruchę.

- Ty?

Zachichotał.

- Przyznaję, że ten pomysł jest mi obcy, ale staram się dopasować. Podaj mi rękę.

- Po co?

- Chcę ją trzymać. Jestem pewny, że nawet Ian i Margaret trzymają się za ręce. To normalne w narzeczeństwie.

- Nie jesteśmy narzeczeńskimi.

- Oczywiście, że tak. - Wziął jej dłoń i splótł ich palce. - Myślałem, że dobitnie to wyraziłem. Nie, nie wrywaj się. Tylko cię trzymam za rękę. - Jego głos był kojący, uspokajający. - Będziemy tylko siedzieli, konwersowali i wsłuchiwali się w deszcz.

Miała napięte mięśnie i siłą zmuszała się do siedzenia spokojnie. Niezwykle wyraźnie uświadamiała sobie stykanie się ich ramion i rąk.

- Odpręż się. Nie obawiaj się mnie. Właśnie próbuję ci pokazać, jaki jestem łagodny.

Gdyby nie była taka spięta, pewnie by się głośno roześmiała. Był przecież równie łagodny jak tajfun.

Usiłowała nie zwracać uwagi na ciepło rozchodzące się od dłoni, którą trzymał, przez nadgarstek, do przedramienia i wyżej.

- Wygląda na to, że wiele wiesz o zwyczajach związanych z zalotami w Glencaren.

- Tylko ze słyszenia. Byłem dzikim chłopakiem i nigdy nie miałem cierpliwości do tych „porządnych” tradycji.

A mandaryn nie potrzebuje cierpliwości. Rzuca czar, potem włącza syrenę i na ten zew

wszystko i wszyscy przychodzą do niego. Oblizwała usta.

- Czy Glencaren jest daleko od...

- Nie chcę mówić o Glencaren. To wilgotne i przygnębiające miejsce. - Zwrócił się w jej stronę i uśmiechnął. - Nie odpowiadało mi. Tobie też by nie odpowiadało Kiedy już się pobierzemy, zamieszkamy na Cinnidarze.

Rozpaczliwie usiłowała wymyślić jakiś mniej osobisty temat, mogący odwrócić jego uwagę.

- Jak znalazłeś ten Cinnidar?

- Byłem na statku kursującym między Australią i Afryką. Zawinął na Cinnidar, żeby uzupełnić zapasy wody i żywności. Statek odpłynął, ja zostałem.

- Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- Ja... Spodobało mi się. Czulem... - Urwał, poszukując słów. - Cinnidar przemówił do mnie.

- Czy jest ładny?

- Chyba tak. - Zamyślił się. - Tak, Cinnidar jest piękny.

- Ale nie dlatego ci się spodobał?

- Kiedy tylko go zobaczyłem, wiedziałem, że będzie mój. Czulem to. - Odwrócił jej dłoń i leniwie wodził palcem po jej wewnętrznej stronie. - A skoro najwyraźniej był dla mnie przeznaczony, nie widziałem powodu, dla którego los nie miałby go obdarować również tym, co najbardziej kochałem.

- Złoto - zachichotała.

Przytaknął.

- Musiałem iść i sprawdzić. Na dno kanionu prowadził szlak, ale był zawałony kamieniami i musiałem przedzierać się górą. A kiedy już wreszcie zszedłem na dół, trzy tygodnie zabrało mi przebrnięcie przez dżunglę i dotarcie do gór. Kilka razy myślałem już, że nie dam rady. Ale kiedy tam wreszcie doszedłem... - Jego twarz rozjaśniła się. - Żyły, pokłady, nie gniazda. Bogate, szerokie złoża... Nawet strumienie były pełne złota. Mogłem schylić się i po prostu podnieść samorodek wielkości gęsiego jaja.

- Zebrałeś je i wzięłeś ze sobą?

Pokręcił głową.

- Wiadomość o złóżu natychmiast by się rozniosła, a Cinnidar musiał legalnie należeć do mnie, zanim do tego dopuszczę. Wróciłem więc do portu, obszarpany i prawie zagłodzony na śmierć, z pustymi rękami i opowiedziałem wszystkim, że nie przedarłem się przez kanion. Wypłynąłem pierwszym statkiem, jaki zawinął do portu, i pojechałem na złotonośne pola Jaylenburga. Po trzech latach pracy na dwóch złożach trafiłem na wystarczająco bogatą działkę, żeby odkupić Cinnidar od maharadży.

Trzy lata katorżniczej, niewolniczej pracy, i wszystko to dla Cinnidaru.

- A teraz wracasz - powiedziała.

- Tak, i przyślę po ciebie natychmiast, kiedy... - Urwał, zobaczywszy jej minę. - Jane, naprawdę tak będzie. - Dotknął kosmyka jej włosów na skroni. - Nigdy nie widziałem cię z rozpuszczonymi włosami. Chciałbym cię zobaczyć z luźnymi, swobodnie opadającymi na ramiona włosami. Chciałem je rozpleść już w wagonie, ale byłem tak podniecony, że nie mogłem się doczekać.

Poczuła, jak rumieniec wpływa na jej policzki, a potem rozlewa się na szyję i piersi.

- Mógłbym to zrobić teraz - rzekł Ruel miękko.

Delikatnie pocierał palcem jej dłoń, aż czuła mrowienie w całym ramieniu. - Mogę zrobić wszystko, czego zechcesz. Patrick śpi i nie będzie nam przeszkadzał. Można zamknąć drzwi i...

- Nie - szepnęła. Boże, jej piersi twardniały, napierały na materiał koszuli. Żeby tylko nie zauważył. Uświadomiła sobie, że pewnie i tak o tym wiedział. Wyglądało na to, że umie sprowokować każdą jej reakcję.

- Pamiętasz rysunek maharadży? Jest tyle sposobów miłości, a ja chcę ci pokazać wszystkie.

Brakowało jej tchu i zaczęła drżeć jak wtedy, w wagowe. Nagle zrozumiała, że chce uklęknąć jak ta kobieta na rysunku, być mu ślepo posłuszna, robić wszystko, czego od niej

zażąda.

Wyczuwała dochodzący od niego lekki zapach mydła, reagowała zmysłowo na dotknięcia jego dłoni, słyszała dzwonienie kropel deszczu o dach bungalowu.

Zupełnie taki sam dźwięk jak w wagonie maharadzy...

- Ale teraz jest inaczej - powiedział, jakby słyszał jej myśli. - Nie próbuję cię uwieść.

- Naprawdę?

- Chcę ci tylko pokazać, że potrzebujesz mnie tak samo jak ja... Boże, to nieprawda! - Zaśmiał się z nutą rozpacz. - Tak było na początku, ale teraz nie dam złamanego grosza za pokaz mojej łagodności i uczciwości.

Czuła, że powinna się odsunąć, ale nie była w stanie się ruszyć.

- Puść mnie - szepnęła.

Jego dłoń zacisnęła się na moment, a potem powoli puścił jej rękę.

- Widzisz, jaki jestem posłuszny? Nie chciałem cię puścić. - Wstał i podszedł do drzwi. - Ale dotrzymam słowa. Dziesięć minut minęło i wychodzę. - Zatrzymał się przy drzwiach i spojrzął na nią. - Ale to nie koniec. Nie pozbędziesz się mnie. Zostanę w Kasanpurze, aż ty i Patrick wyjedziecie.

- To będzie tylko strata czasu. Nie zmienię zdania. A co z twoim Cinnidarem?

- Pracowałem i czekałem na Cinnidar lata. Mogę jeszcze trochę poczekać. - Uśmiechnął się. - Jesteś tego warta, Jane Barnaby.

Kiedy Ruel wskoczył do breka, lokomotywa dyszała już nadmiarem pary, a jej reflektory rozświetlały mrok.

- Kartauk? - spytała Jane.

- Bezpiecznie ulokowany w Wąwozie Lanpur. - Uśmiechnął się. - Skleciłiśmy razem dla niego przytulisko nad brzegiem, ale wciąż narzekał, że musi na nas czekać w deszczu. Musiałem go zapewnić, że w Szkocji nie ma monsunów.

Znów odurzała ją energia, którą emanował Ruel, stojący przed nią z uśmiechem. Po prawie bezsennej nocy przekonała siebie samą, że jest w stanie oprzeć się jego magnetyzmowi, ale kolejny raz odbierała go jako coś nowego. Ruel był tak przemoknięty, że peleryna przypominała swym połyskiem jego włosy. Ale przede wszystkim był piękny. Jane pragnęła podejść i dotknąć go.

Szybko odwróciła od niego wzrok.

- Ian przyjechał kwadrans temu. Jest w wagonie maharadzy. Powiedział, że zdrzemnie się w luksusie, kiedy my będziemy odwalali robotę. Dlaczego się spóźniłeś?

- Złożyłem wizytę w pałacu i poprosiłem o audiencję u Abdara.

Jane natychmiast z powrotem wbiła w niego oczy.

- Co takiego?

Uśmiechnął się.

- Służący poinformował mnie, że Jego Wysokość wybrał się dziś rano do Narinth. - Odwrócił się do Li Sunga, zajmującego siedzenie maszynisty. - Zdaje się, że udało ci się skierować pogoń w pole.

- Chyba tak - powiedział Chińczyk z obojętną twarzą. - Ale pozory często mylą. Kto wie, czy Abdar nie wyczuł oszustwa i nie czeka gdzieś przy torach, żeby nas schwytać?

- Święta racja. - Ruel przyjrzał się zegarom kontrolnym silnika. - Jesteś pewny, że umiesz poprowadzić tę monstrualną lokomotywę?

- Uczyłem się jako dziecko od mojego ojca, a w Salisbury prowadziłem składy towarowe z zaopatrzeniem. - Urwał, a potem dokończył sztywno: - Oczywiście, Patrick nigdy nie uznał Chińczyka za zdolnego do poprowadzenia pociągu pasażerskiego. Czyżbyś też tak uważał? Może wolisz sam prowadzić?

- Nie, dziękuję. Z przyjemnością będę pracował pod twoimi rozkazami.

- Jak na białego masz dziwny stosunek do życia. - Li Sung uśmiechnął się blado. - Zaraz dostanę zawrotu głowy z zachwyty. My, Chińczycy, nie jesteśmy przyzwyczajeni do takiej władzy nad okrągłookimi.

- Czas ruszać - powiedziała Jane do Ruela. - Ty zajmuj się paleniem w piecu, a ja będę wypatrywać ewentualnych niebezpieczeństw na szlaku. - Skinęła Li Sungowi i po chwili

lokomotywa ruszyła ze stacji. - Patrick mówi, że wczoraj, kiedy sprawdzał szlak, tory były w idealnym porządku aż do Narinth, ale to nie znaczy, że od tamtej pory nic się nie stało.

Zanim osiągnęli Wąwóz Sikor, musieli się zatrzymać dwa razy: raz, by usunąć z torów powalone drzewo, drugi raz, żeby przepłoszyć wodnego bawołu, który stał na torach i przeżuwał trawę, nie zwracając najmniejszej uwagi na pociąg.

Zwolnili przejeżdżając nad Wąwozem Sikor, ale kiedy rozszalała kipiela była już za nimi, Li Sung przyspieszył. Lokomotywa płynnie mknęła po torach.

- Wąwóz Lanpur jest już przed nami, zaraz za zakrętem - powiedziała Jane. - Rozglądajcie się za Kartaukiem.

- W tej ulewie on na pewno lepiej widzi nasze światła. - Ruel stanął obok niej koło okna. Przez kurtynę wody był w stanie dostrzec tylko czasami odblask światła na żółtawej powierzchni rzeki Zastu, kiedy pociąg wjechał na most Lanpur. - Jestem pewny, że Kartauk jest gotów do wskoczenia do pociągu natychmiast, kiedy tylko zwolnimy... Co to takiego?

Jane też to usłyszała i serce jej się ścisnęło.

- Li Sung!

- Wiem! - odrzekł ochryple, dając więcej pary. - Mamy tylko dwa wagony. Siła ciągu powinna nas wywlec na drugą stronę, zanim...

Lokomotywa zachwiała się, zgrzytliwie przyhamowała i szarpnęła w bok.

- Co się dzieje, do diabła? - zapytał Ruel.

- Jeden z wagonów się wykołysił - odrzekła Jane. Czowała się, jakby krew zamarzała jej w żyłach.

- Abdar! - rzucił Ruel i zaklął.

Pociąg znów szarpnął i nagle brek się zakołysał.

- Zabieraj ją stąd! - krzyknął Li Sung do Ruela, włączając hamulce. - Lokomotywa też wyskoczyła z torów. Chyba zaczyna się przewracać.

- Chryste! - Ruel złapał Jane na rękę i wyskoczył z breka na most obok torów. Upadli z impetem i przetoczyli się kilka razy.

Drewniany most drżał pod nimi, a między podkładami, sześćdziesiąt stóp niżej, Jane ujrzała rwącą wodę. W jej dowie szaleńczo kłębiły się myśli. To nie może się przecież dziać naprawdę! Dobry Boże, dlaczego?

- Li Sung! - krzyknęła rozpaczliwie.

Zobaczyła Chińczyka w drzwiach breka; sekundę później skoczył.

Ułga, że mu się udało, zniknęła, kiedy jego chora noga ugięła się pod nim przy uderzeniu o podkłady. Upadł i zaczął się ześlizgiwać na krawędź mostu.

Ruel syknął coś przez zęby, skoczył i złapał lewą rękę Li Sunga w chwili, gdy Chińczyk zsunął się już poza krawędź.

- Pomóż mi! - krzyknął rozpaczliwie do Li Sunga. Mięśnie ramienia, utrzymującego cały ciężar ciała mężczyzny, zdawały się już pękać z przeciążenia. - Podaj mi drugą rękę!

- Nie, ja... - Zanim Li Sung zdążył zareagować, obok Ruela pojawiła się Jane i chwyciła rękę Chińczyka. Razem wciągnęli go na most.

- Biegnijcie! - krzyknął Ruel, wstając gwałtownie. - Na brzeg! - Odwrócił się od nich. - Ja muszę... - Urwał, kiedy ujrzał, że drugi wagon, ten maharadży, balansuje nad przepaścią, że jego olbrzymia masa ciągnie go w dół, ściąga z mostu na dno wąwozu. - Ian!

Jane z przerażeniem przypomniała sobie, że Ian jest w wagonie maharadży. Dlaczego nie skacze? Wiedziała, że od czasu kiedy sami wyskoczyli, upłynęła zaledwie minuta, ale wydawała się ona wiecznością.

- Zjeżdżajcie z tego pieprzonego mostu! - Ruel złapał Jane za ramię i popchnął ją w stronę bezpiecznego brzegu, ledwie kilkanaście jardów dalej.

Ciężkie drzwi wagonu maharadży otwarły się raptownie. Stanął w nich Ian z pełnym zaskoczenia wyrazem twarzy. Jego czoło było zakrwawione.

- Ruel!

- Ian! Skacz! - Ruel biegł już po moście w stronę wagonu. Most wibrował, z podkładów torowiska wysuwały się haki, niczym zęby z paszczy wściekłego psa.

Usłyszeli jeszcze inny dźwięk, jeszcze straszniejszy zgrzyt metalu o metal. Most poruszył się gwałtownie rzucając Jane na kolana. W panice wpatrywała się wciąż w wagon. Ruel

również upadł kilka jardów przed pociągiem. Na jego oczach Ian został odrzucony do tyłu gdzieś w głąb, kiedy wagon zsunął się z mostu i zawisł nad przepaścią, szepiony z resztą pociągu tylko łańcuchem. Jane modliła się rozpaczliwie, żeby łańcuch wytrzymał, żeby Ian wydostał się z wagonu.

Łańcuch wytrzymał, ale grawitacja była silniejsza masa wagonu była zbyt duża.

- Nie! - Ruel patrzył bezsilnie, jak cały pociąg, oba wagony i lokomotywa, powoli zsuwają się z mostu i spadają do mętnej wody sześćdziesiąt stóp niżej.

- Ian!!!

Nawet gdyby Jane miała żyć jeszcze sto lat, nigdy nie zapomniabyły tego straszliwego, pełnego bólu i wściekłości krzyku Ruela.

Oba wagony uderzyły o płaskie skały brzegu, rozlatując się jak zabawki. Ich drewniane ściany zapadły się, jakby były zrobione z papieru. Lokomotywa zniknęła pod wodą jak nurkujący krokodyl.

- Dobry Boże... - szepnęła Jane.

- Uważaj na nią. Li Sung! - Ruel przebiegł obok nich, zeskoczył i zaczął zsuwać się po gliniastym brzegu w stronę rozbitych wagonów.

- Nie! - Jane nawet nie zauważyła, że krzyczy. Ruel zaraz zginie! Nie może umrzeć! Nie będzie mogła żyć, jeśli on zginie! Nie będzie mogła...

Ruszyła za nim w dół skarpy, ale zdążyła przebiec ledwie kilka jardów, kiedy Li Sung dopadł jej, powalił i przydusił do ziemi.

- Zejdź ze mnie! - wrzasnęła, walcząc desperacko, okładając Li Sunga pięściami. - Nie rozumiesz? On zginie! Obaj zginą! Muszę...

- I ty też zginiesz, jeśli cię puszcę - powiedział Li Sung. - Ruel jest szalony, skoro myśli, że uratuje brata. Zabiło go pewnie już samo uderzenie.

- Skąd wiesz, skoro nawet nie próbujemy?

- Jane, on ma rację! - Nagle obok nich ukląkł Kartauk z latarką w ręku, z włosami oblepionymi wokół twarzy. - Usłuchaj go.

Zamknęła oczy, czując jak łzy spływają jej po twarzy. Ian zginął, a wkrótce zginie i Ruel.

- Widziałeś to, Kartauk? - szepnęła.

- Widziałem - odrzekł ponuro. - I nigdy już nie chciałbym oglądać czegoś takiego.

- Spadł. Nie powinien był spaść...

- Co?

- Nieważne. - Nie może tak leżeć i poddawać się, skoro Ruel się nie poddał. Nie było pewności, że Ian zginął, a może nawet jakimś cudem Ruel zdoła uratować i jego, i siebie. Muszą być gotowi pomóc, gdyby było to potrzebne. Ruel nie może zginąć. Nie może...

- Zejdź ze mnie. Li Sung. - Zwróciła się do Kartauka. - Lina. Czy Ruel zaopatrzył cię również w linę?

Wrak wagonu maharadży balansował niepewnie na skałach, do połowy zanurzony w wodzie. Ruel wdarł się do środka przez jedyne wejście, wyrwę od strony rzeki.

Wspaniale wewnątrz było teraz beładną płataniną fragmentów konstrukcji, drewnianego wystroju i roztrzaskanych mebli. Z porcelanowego, przewróconego do góry nogami pieca wydobywały się płomienie, usiłując pochłonąć to, co jeszcze zostało z wagonu. Ruel pomyślał, że ogień to nie problem, deszcz i tak zaraz go ugasi. Zatrzymał się na środku, przeszukując wzrokiem wrak.

Ian leżał na podłodze. Jego poskręcane ciało do Połowy przykrywał wgnieciony dach.

Ruel przebrnął przez rumowisko i zaczął wściekle zdzierać z brata szczątki.

Wagon ześlizgnął się głębiej do rzeki, błotnista, żółtawa woda wdarła się do środka.

Ruel zaczął podnosić kanapę, która przyciskała Iana do podłogi.

- Nie, zostaw mnie...

Ruel spojrzął na twarz brata i poczuł falę ulgi. Ian miał otwarte oczy, twarz wykrzywioną bólem, ale żył.

- Ani myślę! - Uniósł kanapę i odepchnął.

Wagon przesunął się jeszcze trochę, a woda zaczęła się wlewać do butów Ruela.

- Za późno - sapnął Ian. - Ratuj siebie.

- Zamknij się! - Szybko obmacał ciało brata. - Chyba nic nie jest złamane. Możesz się ruszać?

Ian wyteżył się, uniósł i opadł z jękiem bólu.

- Nie? To będę cię musiał wyciągnąć. - Oderwał ozdobny sznur od poniewierającej się na podłodze zasłony. - Zrobię uprząż. Kiedy będziemy w wodzie, nie będę już mógł cię trzymać. - Mówiąc to szybko wiązał węzły. Naciągnął na siebie jeden koniec, drugim obwiązując ramiona Iana. - Jesteś gotów? Idziemy! - Chwycił Iana pod pachy i pociągnął.

Ian zawył.

Przerażony krzykiem Ruel znieruchomiał.

- Boże, przepraszam! - mruknął i pociągnął Iana jeszcze kawałek. - Ale wagon już długo nie postoi na tej skale. Jak już spadnie, woda zmyje nas.

- To nie twoja wina... jestem tchórzem...

- Nie jesteś tchórzem. - Ruel znów pociągnął go trochę dalej. - Jeszcze dwa jardy.

- Przestań - stęknął Ian. - Nie wytrzymam.

- Dobrze. - Ruel przestał go ciągnąć, ukląkł obok niego i wbił wzrok w oczy brata. - A więc obaj zostaniemy tu i pozwolimy tej przeklętej rzece nas zabić. Czy tego chcesz? Bo ja cię nie zostawię.

- Ruel, proszę, nie... - Ian ze znużeniem zamknął oczy. - W porządku, ciągnij.

Następne kilka minut było oceanem rozdzierającego bólu dla Iana, dla Ruela zaś wysiłkiem, od którego pękały mięśnie.

W końcu dotarli do wyrwy, gdzie Ruel zatrzymał się żeby złapać oddech, Ian był na granicy omdlenia, jakim więc sposobem, do diabła, Ruel miał go wyciąga z wagonu i zawlec na skały, żeby wyrządzić mu jak najmniejszą krzywdę?

Decyzję podjął za niego wagon, ześlizgując się ze skały do wody.

Prąd porwał ich, jakby byli kawałkami drewna, i rzucił Ruelem o skałę. Instynktownie złapał dłonią krawędź kamienia i przytrzymał się.

Ból. Ciemność.

Musi się trzymać, Ian... Gdzie jest Ian? Poczul szarpnięcie upręży i odwrócił się. Ian unosił się na wodzie kilka stóp od niego. Wciągnął się na skałę, a potem zaczął powoli, cal za cal, przyciągać do siebie sznur łączący go z bratem. Prąd szarpał nim, odciągając Iana, ściągając Ruela z powrotem do wody.

Wydało mu się, że wieczność minęła, zanim Ian był na tyle blisko, że zdołał dosięgnąć go ręką i wywlec na skałę.

Ian leżał bez ruchu, nieprzytomny. Może nawet martwy.

- Nie umieraj, niech cię cholera, nie umieraj! Nie wolno ci umrzeć! - Ruel przycisnęła ucho do piersi brata. Nic. Przesunął trochę - głowę i dosłyszał słabe uderzenia. Żyje, dzięki Bogu, ale czy przeżyje? Umocował sobie sznury upręży na ramionach i zaczął pełznąć po skale, ciągnąc za sobą Iana.

Jeden jard. Dwa jardy. Coś ciepłego ciekło po jego ramieniu. Deszcz? Nie, uzmysłowił sobie, że to krew spod wrzynających się w ciało sznurów.

Osiągnął szczyt skały i zaczął wspinaczkę po stromej skarpcie, tonąc po kostki w błocie. Podciągnął Iana pięć jardów. Zjechał o dwa. Wspiął się o następne trzy jardy. Zsunął się o pięć.

Zaklął i zaczął znów się wspinać.

- Weźmiemy go. Zdejmij uprząż.

Ruel w otępieniu zdał sobie sprawę, że to głos Kartauka. Kartauk i Jane stali obok niego na skale. Kartauk sprawnie odwiązał sznury z ramion Ruela. - Boże, jesteś pocięty na dzwonka.

- Ian...

- Weźmiemy go. - Jane liną zastąpiła sznur wokół pach Iana. - Li Sung przywiązał koniec liny do drzewa na szczycie skarpy. Kiedy wejdziemy już na górę, wciągnie, my go. - Sprawdziła węzeł. - Jest bezpieczny. Chodźmy

Słaniając się Ruel wspiął się na skarpcę za Kartaukiem i Jane. Wspinaczka bez Iana była trudna, ale nie niemożliwa. Po dziesięciu minutach doszli na szczyt, gdzie czekał na nich Li Sung. Razem już wciągnęli Iana na linie.

- Żyje? - spytał Li Sung.

- Tak - odrzekł Ruel. - Zanieśmy go do kryjówki Kartauka, niech nie moknie.
Kilka minut później zdołali umieścić Iana w krytym żaglowym płótnem schronie.
- Pilnujcie go. - Ruel odwrócił się i słaniając się poszedł w kierunku mostu.
- Dokąd idziesz? - krzyknęła za nim Jane.
- Kasanpur. Lekarz...
- Ledwie chodzisz. Jak chcesz zająć do Kasanpuru?
- Nikt inny... Kartauk nie może iść - odkrzyknął urywanym głosem. - Ani Li Sung... kaleka.
- A ja?
- Przestań się ze mną kłócić! - Obejrzał się, jego oczy pałały. - Trzymaj Iana przy życiu, póki nie wrócę.

Jane wstrzymała oddech, kiedy szedł przez wąwóz. Most wydawał się wciąż nietknięty, chociaż nie była tego pewna po ciągach, jakie przeszedł.

Odetchnęła z ulgą, kiedy Ruel postawił nogę na drugim brzegu. Chwilę później zniknął za zakrętem.

Trzymaj Iana przy życiu, póki nie wrócę.

A jak miała niby to robić? Zastanawiała się nad tym rozpaczliwie, patrząc na Iana. Już teraz wyglądał, jakby tylko czubkami paznokci trzymał się życia, a upłyną godziny, zanim Ruel wróci z pomocą. Koc, którym go okryli, był już zupełnie mokry, a nie było żadnej możliwości rozpalenia ognia.

A kiedy Ruel już wróci z pomocą, znajdą Kartauka.

Może nie zdoła utrzymać przy życiu Iana, ale istniał szansa, że uda jej się ocalić Kartauka przed Abdarem. Odwróciła się do Li Sunga.

- Chcę, żebyś zabrał Kartauka do Narinth.
- Nie zostawię cię tu - powiedział Kartauk.
- Rób, co ci mówię! - Musiała przerwać, żeby zapanować nad głosem. - Straciłam już wszystko inne. Nie stracę ciebie - dla Abdara! Powiem wszystkim, że Li Sung zginął we wraku pociągu. Może Abdar pomyśli, że ty też byłeś w pociągu i że ty też zginąłeś. Kiedy dotrzecie do Narinth, zamieszkajcie w jakiejś gospodzie blisko portu i dajcie mi znać.

Kartauk zmarszczył brwi.

- Myślę, że nie...
- Przestań myśleć i rób, co każę. Będę tu bezpieczniejsza niż wy. Dojście pieszo do Narinth może potrwać kilka dni.

Li Sung położył rękę na ramieniu Kartauka.

- Ona ma rację. Nie możemy jej w żaden sposób pomóc, a odkrycie ciebie będzie dla niej niebezpieczne. Jane, dopilnuję, żeby był bezpieczny.

- Wiem - odrzekła ze znużeniem. - Powodzenia.

Znów popatrzyła na Iana. Wydało jej się niemożliwe, żeby teraz, gdziekolwiek na świecie, ktokolwiek mógł być szczęśliwy. Biedny Ian. Wątpiła, czy jeszcze zobaczy Glencaren i swoją Margaret. Kiedy po chwili podniosła wzrok. Li Sunga i Kartauka już nie było.

Powłokła się do krawędzi mostu i przyjrzała torom, a potem resztkom pociągu w rzece. Jej żołądek aż się skręcił, a w gardle narosło coś wielkiego. Odwróciła się i poszła z powrotem do kryjówki.

Trzymaj go przy życiu...

Wydawało się to niemożliwym zadaniem, ale musiała przynajmniej spróbować zrobić, jak jej kazał Ruel. Musiała coś uratować z tego horroru. Musiała uratować Iana dla Ruela. Położyła się na mokrej ziemi obok Iana, przytuliła do niego i usiłowała mu oddać swoje ciepło.

Nie! - Zabierali go od niej. Czy oni nie rozumieją, że on umrze, jeśli ona go nie będzie ogrzewać? - Nie, nie można...

- Ciiiicho, już w porządku - powiedział Ruel. - Biorą go na nosze, żeby przenieść przez most. Uświadomiła sobie obce głosy, dostrzegła latarnie ruch wokół niej i poderwała się do pozycji siedzącej.

- Czy on jeszcze żyje?

- Ledwie. - Głos Ruela był zduszony. Wstał i pomógł jej stanąć na nogach. - Ale musimy go zabrać z tego przekłętego deszczu. Patrick czeka po drugiej stronie Wąwozu Sikor z powozem i będzie lepiej, kiedy tam już dotrzemy. - Poszukał wzrokiem jej twarzy. - Jesteś równie blada jak Ian. Dasz radę przejść przez most? Brakuje niektórych podkładów, więc niezbyt bezpiecznie byłoby, gdybym cię niósł.

- Mogę iść. - Ruszyła chwiejnie za czterema mężczyznami niosącymi Iana, wbijając oczy w nosze. - On musi przeżyć... To moja wina.

- Nie gadaj głupot! - powiedział ostro Ruel. - To niczyja wina. Z początku myślałem, że to musiał zrobić Abdar, ale pewnie już by się pokazał, a poza tym dlaczego miałby sabotować pociąg? Zaczynam myśleć, że to był po prostu wypadek. - Doszli na drugą stronę i wtedy wziął ją na ręce. - Boże, ty się cała trzęsiesz! Nic dziwnego, że nie myślisz logicznie.

- Moja wina...

Obudziła się w swojej sypialni w bungalowie i zauważyła Ruela na krześle obok. Przebrał się już w suche rzeczy, ale wciąż wyglądał strasznie. Ciemne sińce podkręzały jego oczy, a wokół ust pojawiły się głębokie zmarszczki.

- Ian - szepnęła.

- Jeszcze żyje. Baliśmy się wieźć go dalej niż do bungalowu, więc Patrick oddał swój pokój i sprowadził z fortu lekarza. Jest z nim teraz doktor Kendrick. Mam nadzieję, że zrobi wszystko, co możliwe.

- Och, na pewno.

- Chciałbym... - zaczął drżącym głosem - Chcę ci podziękować za to, co zrobiłaś dla mojego brata. - W zadumie powtórzył swoje słowa: - Mojego brata. Wiesz, że nie nazwałem go tak od czasu, kiedy byliśmy chłopcami? Myślałem, że jeśli zdołam utrzymać go na dystans... - Zamknął oczy. - Ja... Kocham go, wiesz?

- Tak, zauważałam to zawsze, kiedy byliście razem.

- Naprawdę? Więc może on też to zauważył. Jeden Bóg wie, jak bardzo starałem się tego nie okazywać. Nie chciałem go kochać. Nie chciałem kochać nikogo, ale jakoś... - Otworzył oczy. - Wciąż jest nieprzytomny. Doktor mówi, że niewiele może zrobić, Ian może się już nigdy nie obudzić, po prostu odpłynie...

- Tak mi przykro - powiedziała delikatnie.

Oczy Ruela rozbłysły nagle gniewem.

- To niemożliwe! Doktor się myli! Nie pozwolę Ianowi umrzeć!

- Ale jeśli nic nie można zrobić...

- Zawsze coś można zrobić! - Wstał i podszedł do drzwi. - I ja to zrobię!

Zatrzasnął drzwi za sobą.

Boże drogi, kochała go! Świadomość tego uczucia wybuchła w niej ostro i boleśnie, kiedy zobaczyła Ruela zbiegającego po skarpie. Ale czy miłość nie powinni być czymś, co napełnia ciepłem? Nie czuła żadnego ciepła, miała tylko wrażenie, że nadciąga coś nieuniknionego. Niezależnie od tego, jak bardzo usiłowała się kontrolować jej uczucia rosły i pogłębiały się, aż w końcu musiała je uznać. Cholera, nie chciała kochać Ruela MacClarena! Był bezwzględny, cyniczny i samolubny, a w dodatku nigdy jeszcze nie spotkała nikogo o tak trudnym charakterze.

Ruel jest jednym z herosów tego świata...

To Ian kiedyś tak o nim powiedział, a tej nocy Ruel dowiódł jego racji. Potrafił być bezwzględny, ale potrafił Też z niesłychaną odwagą poświęcić się, nie zwracając najmniejszej uwagi na własne bezpieczeństwo. A jeśli chodzi o jego cynizm, to nie było po nim śladu w tym mężczyźnie, który od niej wyszedł parę minut temu. Ten człowiek był niezwykle wrażliwy i cierpiał. Uzmysłowała sobie, że odbiera jego ból jako swój i wyzwoliło to w niej poczucie niemocy. Ruel nie zaakceptował własnej bezsilności, działał, walczył, żeby coś zrobić, cokolwiek.

I ona też miała coś do zrobienia.

Poleżała jeszcze przez chwilę, zbierając siły, mdliło ją od kłębiących się myśli. Potem odrzuciła koc i opuściła nogi na podłogę. Kiedy wstała, zachwiała się z bólu; czuła każdy mięsień, każde ścięgno, całe ciało płonęło z przemęczenia. Wysiłkiem woli przełamała opór i

podeszła do umywalki.

Dziesięć minut później wykuśtykała z pokoju i powlokła się na poszukiwanie Patricka. Znalazła go na werandzie, wyciągniętego w ulubionym fotelu, ze szklaneczką whisky w ręku. Modliła się, żeby był jeszcze wystarczająco trzeźwy, aby zrozumieć.

Kiedy wyszła na werandę, nie poruszył się.

- Co tu robisz? - spytał, zapatrzonej w głąb swej szklanki. - Masz odpoczywać. Wracaj do łóżka!

- Patrick, muszę z tobą porozmawiać.

- To straszne, co się stało bratu Ruela MacClarena. On chyba nie...

- To nie powinno było się zdarzyć, Patricku!

- To był wypadek. Ta cholerna rzeka! - Łyknął whisky. - Pech. Wypadki się zdarzają.

- Nie takie.

Jego dłoń na szklance zacisnęła się.

- Dlaczego mnie męczysz? Myślisz, że mam za mało kłopotów? Maharadza jest wściekły, że straciliśmy jego pociąg, i przysięga, że mi nie zapłaci.

- Nie obchodzi mnie maharadza - powiedziała, starając się zapanować nad głosem. - W tym domu umiera człowiek, dobry człowiek.

- Nie miałem na to wpływu! - odrzekł agresywnie Patrick. - Kto by przewidział, że rzeka zdoła wzbudzić tak silną wibrację w podporach? Powinny były wytrzymać.

- Patrick, ja widziałam tory!

Unikając jej wzrokiem pociągnął łyk whisky.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Jedna z szyn pękła, kiedy wjechaliśmy na most. Szyny miały być z najlepszej gatunkowo stali, poszłam więc je obejrzeć. Były inne niż te, których do tej pory używaliśmy. Były żelazne, nie stalowe. Żelazne, Patricku! Żelazo nie wytrzyma takich obciążeń jak stal. Tor był już osłabiony ciągłą wibracją, powodowaną przez uderzenia wody o podpory, a kiedy pociąg wjechał na most, ciężar... - Urwała, zaskoczona jego reakcją.

Po policzkach Patricka spływały łzy.

- Nie chciałem, żeby to się stało. Myślałem, że będzie w porządku. To był taki krótki kawałek toru. Powinno być dobrze. Za dużo pieniędzy wydałem na mosiądz do lokomotywy i nie dostałem już kredytu. Nie chciałem, żeby ktokolwiek zginął.

- Och, Patricku - szepnęła. Miała nadzieję, że jej powie, że się myli, że da jej jakieś wiarygodne wyjaśnienie.

- Zrobiłem błąd - powiedział Patrick. - I zapłacę za niego. Jestem zrujnowany, Jane. Nikt mnie już nigdy nie wynajmie, kiedy rozejdzie się wieść, że maharadza wini mnie za to, co się stało.

Jane zrobiło się niedobrze.

- Nie potrafię ci współczuć.

Patrick skwapliwie pokiwał głową.

- Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli on umrze.

Jane nie była pewna, czy zdołałaby mu wybaczyć, nawet gdyby przeżył.

- Nie powiesz nikomu o torach? Powiedziałem maharadzy, że to był wypadek nie do uniknięcia, spowodowany wibracją, że to wina rzeki... Częściowo to prawda - dodał szybko.

- Nie, nie powiem nikomu - odrzekła znużonym głosem. - Jesteś winny, ale to także moja wina. Wydało mi się dziwne, że chcesz przejąć nadzór nad budową, kiedy przyjechały te tory, ale chciałam wierzyć, że ty... - Poczucie winy opanowało ją z taką siłą, że aż zrobiło jej się słabo. Przecież gdyby wtedy poszła za swym przecuciem, Ian nie leżałby tu teraz za ścianą, na krawędzi śmierci. Zobaczyłaby te tory i dostrzegła ukryte w nich niebezpieczeństwo.

- Moja kochana dziewczynka - powiedział z ulgą. - A na razie zrobimy wszystko, co się da, żeby pomóc temu biedakowi.

- Nie chcę cię tutaj - szepnęła.

- Co?

- Nie mogę na ciebie patrzeć! - Jej głos brzmiał twardo, ale nie czuła się silna, raczej zupełnie pusta. - Spakuj swoją torbę i idź do Klubu Oficerskiego.

Twarz Patricka pokryła się rumieńcem, a oczy rozszerzyły w wyrazie niedowierzania.

- Ale ja... Jeżeli naprawdę tego chcesz.

- Tak, tego właśnie chcę. - Odwróciła się i wyszła z werandy.

Ciemność rzedła, Ian dostrzegł ciepłe, pełne uczucia światło, przywołujące go, przyciągające...

- Wiem, że się ocknąłeś, Ian. Otwórz oczy, do cholery!

To znowu głos Ruela, znów czegoś żąda, mówi do niego przymilnie, mówi ciągle, odciągając go od światła...

- Jestem zmęczony...

- Nie jesteś zmęczony, tylko się poddajesz. Teraz otwórz oczy i spójrz na mnie!

Powieki Iana uniosły się powoli. Ujrzał nad sobą twarz Ruela, wychudzoną, z zapadniętymi policzkami. Jego niebieskie oczy płonęły i zniewalały.

Tygrys wścieka się głośno...

- Dobrze. Teraz otwórz usta.

Bulion, gorący i pożywny.

- Nie, nie odwracaj głowy! Zjesz to wszystko! Nie możesz walczyć nie mając siły.

- Boli. Strasznie boli...

- Zniesiesz ból. Bądź ze mną!

Gdyby Ruel zdawał sobie sprawę z tego, jak wielki był to ból, nigdy nie poprosiłby Iana o jego znośnięcie, Ian chyba wymamrotał coś o tym, bo Ruel odrzekł:

- Naprawdę wiem. Boże, obserwowałem cię... - Nakrył ręką dłoń Iana na łóżku. - Ale i tak cię nie oddam. Wyzdrowiejesz i pojedziesz do Glencaren.

- Glencaren... - Wieże, chłodne wzgórze. - Za... daleko...

- Ale ja jestem tutaj! - Dłoń Ruela ścisnęła rękę Iana. - Nie możesz mnie opuścić! Potrzebuję cię, do jasnej cholery!

Przecież Ruel nigdy nikogo nie potrzebował.

- Nie...

- Tak, naprawdę cię potrzebuję! Nie czujesz tego?

Oczy Ruela były jasne, błyszczące, a jego uścisk rozpaczliwie silny, Ian chciał poprosić, żeby go puścił, pozwolił mu wrócić do światła. Ale przecież Ruel nigdy dotąd nie przyznał, że kogoś potrzebuje, więc to musi być prawda. A zostawienie Ruela w potrzebie nie byłoby w porządku. Chyba więc będzie musiał wrócić...

- Spróbuję, chłopie - powiedział słabo Ian. - Spróbuję...

- Tylko o to cię proszę. - Głos Ruela był ochrypły, ale Ian wyczuł w nim żelazną, niezłomną wolę, która wyrwała go z przytulnej ciemności. - Ja zrobię resztę.

Wszystko w porządku. Gospoda Kedaina.

Drąc ten liścik na drobne kawałeczki Jane odczuwała wielką ulgę. Li Sung i Kartauk byli bezpieczni. Chociaż to poszło dobrze.

Wrzuciła strzępki do kosza i odwróciła się, kiedy Ruel wyszedł z sypialni.

- Właśnie dostałam wiadomość od Li Sunga. Dotarli bezpiecznie do Narinth.

- To dobrze. - Ruel dokładnie zamknął drzwi do sypialni. - Ian śpi. Przy porannym badaniu lekarskim omal nie oszalał.

Słyszała te dochodzące z sypialni krzyki i jęki i czuła się równie zmaltratowana, jak - sądząc po wyglądzie - Ruel.

- Przynajmniej żyje i poprawia mu się z każdym dniem. W ciągu ostatniego tygodnia chyba utył funt albo dwa.

O ile Ian się poprawiał, o tyle Ruel chudł. W pokoju chorego zrobił sobie legowisko i przez ostatnie trzy tygodnie rzadko kiedy opuszczał Iana. Z jego szczupłego ciała spadło co najmniej piętnaście funtów, ale nie wyglądał wcale na wyniszczonego. Czasami, gdy Jane na niego patrzyła, wydawało jej się, że Ruela otacza luna. Okazywana przez niego przy pielęgnowaniu Iana siła woli była jak ogień, w którym płonął, wyostrzał się, hartował.

- Co powiedział doktor?

- Że niebezpieczeństwo już minęło.

- Dzięki Bogu!
- Ian tak nie powiedział. - Ruel uśmiechnął się gorzko. - Ten jeden raz zabrakło mu wiary i bojaźni bożej. Możliwe, że już nigdy nie będzie chodził.
- Och, nie!
- Coś się stało z jego plecami - kontynuował sucho Ruel. - Nie ma czucia w nogach, może nawet nigdy nie usiąść.
- Może to tylko chwilowe. Może doktor się myli.
- Boże, mam taką nadzieję. - Ruel odwrócił się i ciężko przeszedł przez pokój. - Muszę do niego wracać, Nie chcę, żeby się obudził i nikogo przy sobie nie znalazł.
Patrzyła, jak wchodzi z powrotem do sypialni i poczuła pod powiekami łzy. W ciągu ostatnich tygodni, kiedy ciężko pracowali ratując Iana, odkryła, że Ruel to ktoś więcej niż zmysłowy mandaryn, którego się bała. Był również człowiekiem odczuwającym ból i zniechęcenie, potrafiącym okazać czułość tak samo jak siłę. Chciała iść za nim, przytulić go, ulżyć mu w cierpieniu.
- Jane!
Obejrzała się i zobaczyła w drzwiach Patricka. Rumienił się i wyraźnie czuł się niezręcznie.
- Usłyszałem w klubie, że Ian ma się lepiej. Przyszedłem zapytać, czy czegoś potrzebujesz.
Pokręciła głową.
- Jedzenie? Lekarstwa? Wciąż mamy trochę gotówki.
- Ruel dba o wszystko.
- Aha. - Nie ruszył się z miejsca, obracając w swych dużych dłoniach rondo kapelusza. - W razie czego... dał mi znać..
- Nic nie możesz zrobić. - Urwała, a potem wybuchła: - Ian może już nigdy nie chodzić!
- Nie! - szepnął w oszołomieniu.
Jane kiwnęła głową.
- To nie w porządku. Nie znasz go. To taki miły, dobry człowiek... - Głos jej się załamał.
Nagle Patrick był obok niej, objął ją i przytulił.
- Już dobrze. - Ujął jej głowę w swe dłonie, gładząc ją po włosach. - Nie płacz, Jane.
To było nie fair. Nie była pewna, czy w ogóle cokolwiek będzie jeszcze w porządku, ale ręce Patricka były silne, pełne czułości. Ile razy marzyła o tym, żeby ją tak tulił?
- Moja mała dziewczynka - mówił uspokajająco. - Moja mała Jane.
Westchnęła i odsunęła się od niego.
- Przepraszam. Wiem, że takie rzeczy cię krępują.
- Nie, to ja przepraszam. Byłem strasznym durniem. - Uśmiechnął się z wysiłkiem. - Ale chyba mi już przebaczyłaś?
- Ja nie mam tu nic do wybaczenia... - Urwała i dokończyła ze znużeniem: - Nie wiem, czy mogę ci wybaczyć.
- Zbyt wiele przeszliśmy razem, żeby dłużej chować złe uczucia. - Przerwał i po chwili zaczął szybko: - Niechętnie przynoszę ci złe nowiny, ale chyba będziecie musieli opuścić bungalow z końcem miesiąca. Maharadża wypowiedział dzierżawę.
Potrzęsnęła głową.
- Nie możemy wyjechać, dopóki Ian nie będzie na tyle zdrowy, żeby można go było ruszać.
- Maharadża chce, żebyśmy zniknęli z Kasanpuru, Jane.
- Nie obchodzi mnie, czego on chce - odrzekła oschle. - Nie wyjadę, kiedy Ruel i Ian mnie potrzebują. Jeśli chcesz pomóc, znajdź sposób na przekonanie maharadży, aby pozwolił nam zostać.
- Zrobię, co się da - powiedział Patrick ze sztucznym uśmiechem. - Może jeśli pójde do pułkownika Pickeringa i poproszę o pomoc... On chyba lubi Iana MacClarena.
- Zrób, co będzie konieczne.
Pokiwał głową, wciąż się wahając.
- Myślałem o tym, co będziemy robić, kiedy już stąd wyjedziemy. Może powinniśmy wrócić do Ameryki i zacząć od nowa. To daleko i może jeszcze nikt nie słyszał..
- Nie teraz. Nie chcę teraz myśleć o niczym poza Ianem.
Skinął głową.
- Rozumiem. Ale zobaczysz, chociaż to trochę potrwa, wszystko będzie tak jak dawniej.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Mylisz się.

- Dlaczego tak mówisz? - Na jego twarzy pojawił się lęk. - Chyba mnie nie zostawisz? Potrzebuję cię. Potrzebujemy się nawzajem. Jesteśmy rodziną!

To wyznanie było najbliższe słowom, które zawsze chciała od niego usłyszeć. Ale dlaczego dopiero teraz? Nie odpowiedziała mu bezpośrednio.

- Wracaj do klubu i pogadaj z pułkownikiem Pickeringiem.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował. Odwrócił się, zawahał i znów się odezwał.

- Jeśli masz do mnie coś jeszcze, kochanie, powiedz. - Znowu się zawahał, w końcu odwrócił się z powrotem do niej. - Powinnaś wiedzieć coś jeszcze. Maharadża poprosił pułkownika Pickeringa, żeby jeden z jego inżynierów przeprowadził śledztwo w sprawie wypadku.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? - spytała, wbijając w niego wzrok.

- Dlaczego miałabyś się martwić o takie rzeczy? Nie sądzę, żeby Pickering zawracał ci głowę pytaniami. Zająłem się wszystkim.

- Patrick, co mu powiedziałaś?

Uciekł od niej spojrzeniem.

- Lepiej, żeby on myślał, żeby oni wszyscy myśleli.

- Odpowiedz!

- Powiedziałem, że ty zamówiłaś te tory. - Teraz mówił bardzo szybko. - Musiałem to zrobić. Maharadża obwinił mnie. Nie rozumiesz? Mogą oskarżyć mnie, że byłem głupi i oddałem decyzje w takich sprawach w ręce kobiety, ale nie o niedbalstwo czy defraudację. Tobie to nie robi krzywdy. Może nawet uda mi się uratować coś z tego dla nas, żebyśmy...

- Powiedziałaś, że to ja?!

- Nie patrz tak na mnie! Mówię ci, inżynier Pickeringa spojrzał na te tory i od razu wiedział, że...

Nie mogła w to uwierzyć. Nie dość, że zrobił rzecz niewyobrażalną, to jeszcze zrzucił na jej barki całą odpowiedzialność za tę straszliwą noc.

- To świństwo! - Głos trząsał jej się ze złości. - Nie miałaś prawa zwać na mnie całej winy!

- Kochanie, za parę tygodni będziemy daleko stąd i zapomnimy o tym wszystkim!

- Powiedz im prawdę!

- Nie zrobię tego. Przestań...

- Jeżeli ty nie powiesz Pickeringowi, to ja to zrobię!

- Nie! - Usiłował stłumić ostrość swego tonu. - Gdzie twoja lojalność, dziewczyno?

- Gdzie twój honor, Patricku?

Głos Patricka stał się nagle miękki, pieszczotliwy.

- Dawno temu złożyłaś mi obietnicę. Chcesz ją teraz złamać?

Wpatrzyła się w niego z niedowierzaniem.

- Co ty powiedziałaś?

- Zabrałem cię z tamtego miejsca i zapewniłem przyzwoite życie. Umożliwiłem ci zostanie kimś więcej niż obozową kurewką, jak twoja matka. Powiedziałaś, że robisz wszystko, co chcesz.

- Myślałam, że już spłaciłam ten dług.

Zaczerwienił się, ale powtórzył:

- Obiecałaś.

Patrzyła na niego z taką siłą, że zapiekły ją oczy. Stracona nadzieja, stracona wiara. Gdyby teraz go poprosiła, pewnie by przyznał, że jest jej ojcem, powiedziałby wszystko, żeby tylko uchronić swoją skórę.

Nie poprosi go.

- Dotrzymam słowa, Patricku.

Wyraźnie mu ulżyło.

- Obiecujesz, że nikomu nie powiesz? Nikomu?

Każde wypowiedziane słowo sprawiało ból, jakby wbijano w nią gwoździe.

- Nikomu. Wezmę całą winę na siebie. Jeśli ktoś mnie spyta, powiem, że ja zamawiałam

tory.

- Tak będzie najlepiej, kochanie.
- Ale między nami kwita, Patricku. Nic więcej nie jestem ci winna.
- Oczywiście. Możemy zacząć od nowa, gładko i na świeżo.
- Niczego nie zaczniemy od nowa. - Jakoś udało jej się panować nad głosem. - Nie chcę cię już widzieć, Patricku.

Był zaszokowany.

- Chyba nie mówisz serio?
- Mówię serio. Od czasu, kiedy namówiłam cię do zabrania mnie od Frenchiego, nigdy jeszcze nie mówiłam tak serio. - Odwróciła się do niego plecami i odeszła.

Powstrzymywała łzy, póki nie zamknęła się w swoim pokoju. Sen się skończył. Nie potrzebowała ojca. Zawsze w ciężkich chwilach miała Li Sunga do pomocy.

A jednak, o Boże, a jednak to bolało!

Wejdz. - Abdar uśmiechał się, zapraszając Zabrie. - Nie bój się.

Zabrie zawahała się, ostrożnie wodząc wzrokiem od Abdara do Pachtala, po czym powoli weszła do komnaty audiencyjnej.

- Nie jesteś na mnie zły. Wasza Wysokość? - Dalej mówiła szybko, wyrzucając z siebie słowa: - To nie moja wina. Li Sung mnie okłamał. Ten parszywy pies zasłużył na śmierć w tym wąwozie. Nie miałam pojęcia, że przekazuję wam fałszywe informacje.

- Wiem. Nie ośmieliłabyś się mnie oszukiwać. - Abdar spojrział na Pachtala. - Chociaż mój przyjaciel Pachtal usiłował mnie przekonać, że było inaczej. On ma bardzo podejrzliwą naturę.

Posłała Pachtalowi jadowite spojrzenie. Niewdzięczny bydlak. Padła na kolana przed Abdarem.

- Nie wiedziałam. Nigdy nie wysłałabym cię, panie, do Narinth, gdybym podejrzewała, że Li Sung kłamie.

- Byłaś zbyt pewna siebie - powiedział chłodno Pachtal. - Myślałaś, że twoje skromne łózkowe umiejętności przełamią jego lojalność. Mogłem cię od razu wyprowadzić z błędu.

Zapłonęła gniewem.

- Sądziłam, że było ci ze mną przyjemnie. - Natychmiast zdała sobie sprawę, że to było złe pociągnięcie. Musi być mądrzejsza, jeśli chce wygrać w tej grze. Zmusiła się do uśmiechu. - Tak, jak będzie wkrótce Waszej Wysokości. Żeby okazać, jak bardzo zabiję, zaplanowałam noc, którą będziecie obaj pamiętać.

- Naprawdę? - Abdar uśmiechnął się trochę szerzej. - Pamiętam rozkosz, jaką dałaś mnie i Pachtalowi poprzednim razem. Nie wyobrażam sobie, jak możesz przebić tamto niebывale wydarzenie.

Był wyraźnie zaintrygowany. Zabrie przymknęła oczy, żeby ukryć zadowolenie. Królowie czy żebracy, wszyscy mężczyźni są tacy sami. Wybaczą wszystko, jeżeli się umie znaleźć sposób na zaspokojenie ich żądz.

- To był tylko początek. Mogę cię...

- Obietnice! - przerwał jej Abdar. - Słowa mnie nie interesują. - Podszedł do niej i ujął jej policzki w dłonie. - Ale rzeczywiście - powiedział miękko - ty jesteś łątkowa. Tyle życia... Kiedy tylko cię zobaczyłem, wiedziałem, że muszę cię mieć.

Zabrie odczuła wielką satysfakcję. To było nawet łatwiejsze niż myślała.

- Pragnę tylko dawać ci rozkosz - szepnęła. - Pozwolisz mi?

- Jakże miałbym ci się oprzeć? - Jego ciemne oczy lśniły, a palce delikatnie pieściły jej policzki. - Chyba masz rację. To będzie pamiętna noc.

9

Ian, musisz jeść! - Jane ze zmarszczonym czołem spojrzała na tacę z nietkniętym jedzeniem, stojącą na łóżku obok Iana. - Jak sobie wyobrażasz wyzdrowienie, skoro nie jesz?

- Przepraszam. Jestem cholernie kłopotliwy. - Ian podniósł widelec i zjadł kilka kęsów. - No, zjadłem.

- Za mało.

- Wystarczająco dużo, jak na kogoś leżącego plackiem. Ta czynność nie wymaga dużo sił. - Przekręcił się z boku na plecy i dodał: - Ale nie mów Ruelowi. Już i tak się za dużo martwi.

- Bo chce, żebyś ozdrowiał na tyle, żebyś mógł wrócić do Glencaren.

- Przemyslałem to - powiedział Ian, patrząc na swój talerz. - Chyba lepiej, żebym nie wracał.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Nie wracać do domu?

- Tutaj można tanio wynająć służących, a ja potrzebuję opieki... chwilowo.

Chwilowo, bo modlił się o szybką śmierć i uwolnienie od tego więzienia, jakim stało się jego okaleczone ciało. Patrząc na niego, Jane cierpiała. Przez ostatnie tygodnie jego ciemne włosy straciły połysk, a potężne ciało wychudło, ale to ta tęsknota do wyzwolenia się od życia była jej największym zmartwieniem.

- Przecież kochasz Glencaren.

Ból wykrzywił jego usta.

- Właśnie dlatego nie wracam do domu. Dla Glencaren nie jestem już wystarczająco dobry.

- Nie opowiadaj głupstw. Będziesz wielką pomocą dla...

- Margaret? - Pierwszy raz ujrzała na jego twarzy wyraz goryczy. - Tak, będę wielką pomocą dla Margaret... Kaleka, którym miałaby się opiekować. Następny, który będzie jej wisiał u szyi.

- Jeśli jest taką kobietą, jak mówiłeś, to na pewno chce, żebyś do niej wrócił.

- Nie, to miało być inaczej - westchnął Ian. - Powinienem być umrzeć w tym pociągu. Bóg przeznaczył dla mnie śmierć tej nocy. Ruel nie powinien być mnie wyciągać.

- Czyżbyś uważał, że posiadam moc przeciwstawiania się wyrokowi boskiemu? - Ruel stał w drzwiach, na jego bladej twarzy jaśniał uśmiech. - Dziwię ci się, Ian. To bluźnierstwo, a poza tym chyba mnie przeceniasz. - Podszedł bliżej. - Widzę, że nie zjadłeś obiadu. Może spróbujesz jeszcze?

- Nie mogę... - Napotkawszy wzrok brata Ian westchnął, sięgnął po widelec i zaczął jeść.

Jane wyszła z pokoju, nie mogąc dłużej wytrzymać. Stała na werandzie i splótła ręce na piersi, żeby powstrzymać ich drżenie. Dobry Boże, patrzenie na żal Ruela było w tej chwili równie okropne, jak obserwowanie cierpienia Iana.

Dziesięć minut później usłyszała, jak Ruel wychodzi z sypialni i odnosi tacę do kuchni, do Suli. Zaraz potem dołączył do niej na werandzie.

- Namówiłeś go do zjedzenia? - spytała.

- Tak, zawsze w końcu robi tak, jak ja chcę. Nie słyszałaś, że uważa mnie za wszechmocnego?

Nie spojrzała na niego.

- Tak naprawdę, on cię nie wini. On nie chce umrzeć.

- Oczywiście, że chce - powiedział Ruel ochryple. - Gdyby było odwrotnie, ja też bym go przeklinał.

- On cię nie przeklina.

- Tylko dlatego, że wierzy, iż Bóg mógłby rzeczywiście zesłać na mnie Anioła Zemsty. Nigdy nie byłem przecież w jego łaskach.

- Uratowałaś Ianowi życie. Nikomu nie można dać większego daru.

- Ian tak nie myśli.

Śmierć. Jane zadrżała i szybko zmieniła temat.

- On chce zostać w Kasaanpurze.

- Tak, powiedział mi to. - Pokręcił głową. - Jeśli mu pozwolę tu zostać, zmarnieje i umrze. W Glencaren ma przynajmniej szansę na przeżycie.

- Ale chyba się martwi, że nie będzie mógł prawidłowo zarządzać Glencaren.

- Ma rację. To nie jest robota dla kaleki. Mój ojciec codziennie wychodził o świcie i do zmierzchu pilnował pracy w tym cholernym gospodarstwie.

- A Ian nie może kogoś zatrudnić?

- Zarządzać? Tak, ale to kolejny wielki wydatek. W ten sposób ledwie wiązałby koniec z końcem. Za pięć lat mógłbym mu kupić wszystko, czego mu potrzeba. Mógłbym mu wybudować jakiś pieprzony pałac zamiast tej zagrody. Dlaczego, do diabła, nie dano mi tych

pięciu lat? A wydawałoby się, że Bóg dba o swoje owieczki.

- Co masz zamiar zrobić?

Ze znużeniem pokręcił głową.

- Napisałem do Maggie i wykupiłem dla Iana podróż z Narinth na „Bonnie Lady” za trzy tygodnie.

- Jedziesz z nim?

- Nie, jak tylko go wsadzę na statek, jadę na Cinnidar. - Spojrzał na nią. - Nie patrz tak na mnie. W Glencaren nie jestem w stanie teraz nic dla niego zrobić. Jeśli pojedę na Cinnidar, to przynajmniej będę miał możliwość dania mu tego, czego potrzebuje na tym cholernym kawałku ziemi, który tak kocha. Za pieniądze można kupić wygodne, a może nawet szczęśliwe życie.

- Nie można mieć do ciebie pretensji. Zrobiłeś dla Iana więcej, niż ktokolwiek by po tobie oczekiwał.

Gorzki uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- W każdym razie więcej, niż on by sobie życzył. Idę do Klubu Oficerskiego, spotkam się z pułkownikiem Pickeringiem i zorganizuję dla Iana transport do Narinth na jednym z tych wojskowych statków, które kursują po rzece. Dla Iana to będzie lepsze od jazdy łodem. Zaopiekujesz się nim do mojego powrotu?

Zesztywniała, strach ogarnął jej ciało. Od wypadku Ruel nie opuścił Iana i nie wiedział o śledztwie prowadzonym przez pułkownika. Co będzie, jeśli...

- Co się stało? Jakiś kłopot?

Trzy tygodnie minęły, od kiedy Patrick powiedział jej o odkryciach inżyniera. Może pułkownik uzna, że Ruel już o nich wie. Może o tym nie wspomni. A jeśli wspomni, będzie musiała stawić temu czoło. Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Nie, wszystko w porządku. Oczywiście, że się nim zajmę.

- Oczywiście - powtórzył. Po raz pierwszy w jego uśmiechu nie było kpiarstwa czy goryczy, lecz ciepło. - u nie ma żadnego „oczywiście”. Przez ostatnie tygodnie bez słowa podziękowania ode mnie znosisz jęki Iana i moje tyrady, a sama zaharowujesz się tak, że jesteś cieniem siebie.

- Nie potrzebuję twoich podziękowań. Nie mogłabym robić nic innego.

Przyjrzał jej się bacznie.

- Nie, chyba nie. Ale chcę, żebyś wiedziała, że pamiętni i znajdę sposób, żeby ci odplacić.

Pierwszy raz od czasu wypadku naprawdę patrzył na nią. Miała wrażenie, że się przebudziła. Zaśmiała się niepewnie.

- A co, dla mnie też wybudujesz pałac?

- Może. - Poglądził delikatnie jej policzek. - Muszę to przemyśleć. Kiedyś powiedziałaś, że nie byłoby ci dobrze w pałacu.

Zadrżała pod jego dotknięciem.

- Dziwię się, że to pamiętasz.

- Mam długą pamięć. - Odsunął rękę. - Do ważnych rzeczy.

Chciała dotknąć go, przysunąć się do tego ognia który w nim ciągle płonął. Dawać i brać, ciałem i duchem. Uczucie, które poprzednio już uznała za miłość do niego, zwielokrotniło swą siłę w ciągu tych spędzonych razem dni.

- Zobaczymy się za parę godzin. - Odwrócił się i wyszedł z bungalowu.

Drżała ze strachu. Choć może nie było powodu? Może los będzie łaskawy i pozwoli jej zachować ten dar którym był dla niej Ruel? Pickering może mu nic nie powiedzieć.

Następny statek transportowy wypływa dwudziestego siódmego - powiedział John Pickering. - Mogę poprosić jego dowódcę, żeby udostępnił wam na czas podróży swoją kajutę. Czy Ian będzie w stanie wyruszyć w tym terminie?

- Tak, jeśli to w ogóle możliwe. - Ruel wstał od stolika. - Dziękuję. Jest pan bardzo uprzejmy.

- Podziękowania są niepotrzebne. Wszyscy lubimy Iana. Jest takim dobrym człowiekiem. - Pułkownik urwał i po chwili dodał: - A teraz proszę usiąść z powrotem, a ja zamówię panu drinka. Mam wrażenie, że się to panu przyda.

Ruel pokręcił głową.

- Muszę wracać do...
- Proszę siadać - powtórzył stanowczo Pickering. - Bo zrewiduję moją uprzejmość.

Ruel opadł z powrotem na fotel.

- Ale tylko jednego.

Pułkownik skinął na odzianego w biel chłopaka za barem.

- Jeżeli pan trochę nie odpocznie, to pan będzie następnym, którego trzeba będzie przewieźć statkiem na noszach. - Odczekał, aż chłopak postawił przed nimi dwie szklaneczki i kontynuował: - Widziałem równie wymizerowanych ludzi jak pan, ale oni zwykle byli po wyczerpującej bitwie.

Ruel pomyślał, że też bierze udział w bitwie. Łyknął whisky.

- Dobrze się czuję. To Ian jest chory.
- To dlaczego trzęsie się panu ręka?

Zaskoczony Ruel uświadomił sobie, że Pickering ma rację, jego dłoń trzymająca szklanek wyraźnie się trzęsła. Wyętzając siłę woli opanował to drżenie.

- Niewiele ostatnio odpoczywałem. Ale to nie znaczy, że jestem chory.
- Z pewnością zmartwi to Abdara.
- Abdara? - Ruel spojrzał ze zdziwieniem.
- Pachtal okazał w jego imieniu ogromną ciekawość. Przyszedł do mnie w zeszłym tygodniu i zadawał pytania o pański zakup Cinnidaru.
- Jakie pytania?
- Najmniej impertynenckie z nich, to dlaczego w ogóle kupił pan Cinnidar. Oczywiście, ponieważ nie poinformował mnie pan o powodach, nie mogłem go w tej dziedzinie oświecić.
- Wzruszył ramionami. - Ale odniosłem wrażenie, że jego zainteresowanie tym tematem nie wygaśnie. Chyba najlepiej by było, gdyby pan wyjechał z Kasanpuru.
- Zarejestrował pan ten akt sprzedaży w magistracie Kalkuty?

Pickering przytaknął.

- Wszystko zaksięgowane zgodnie z przepisami. Cinnidar jest bezdyskusyjnie pański. Abdar nie może go tknąć.
- Legalną drogą.
- Jak długo żyje maharadza, nie musi się pan martwić. Abdar nie śmie się wtrącać w sprawy ojca.
- Zobaczymy.
- Pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć. - Przez chwilę pułkownik milczał, a potem rzekł: - Pachtal szwendał się też po Wąwozie Lanpur. Nie wie pan przypadkiem, dlaczego tak interesował się śledztwem?

Kartauk. Jedynym powodem, dla którego Pachtal oglądał wąwóz, mogła być chęć sprawdzenia, czy Kartauk rzeczywiście zginął w wodach rzeki. Ta myśl sprawiła, że dopiero po dłuższej chwili do świadomości Ruela dotarło ostatnie słowo wypowiedzi Pickeringa.

- Śledztwo? Jakie śledztwo?

Pickering spojrzał na niego zaskoczony.

- Śledztwo w sprawie wypadku. Maharadza poprosił nas o ustalenie jego przyczyn. - Skrzywił się. - Nieprzyjemne zadanie. Zawsze lubiłem Patricka Reilly'ego i okropne było dla mnie pozbawienie go wynagrodzenia.

Ruel zamarł.

- O czym pan mówi, do cholery? Patrick powiedział mi, że woda płynąca przez wąwóz z taką siłą uderzała w podpory, że spowodowała wibrację i osłabienie torów.

Pickering z wyraźnym żalem pokręcił głową.

- Mój inżynier stwierdził, że te szyny nigdy by nie pękły, gdyby nie były tak podłej jakości.

Ruel poczuł się, jakby go uderzono w żołądek.

- Chce pan przez to powiedzieć, że mogło nie dojść do kalectwa Iana? - spytał ostrożnie.

Pickering zamrugał oczami ze zdziwieniem.

- Myślałem, że pan wie. Patrick na pewno powiedział pannie Barnaby o śledztwie.
- Jeśli nawet, to nie uznała za konieczne poinformować mnie. - Powoli wstał. - Chyba złożę Patrickowi Reilly'emu wizytę. Mam mu do zadania kilka pytań.

- Obawiam się, że nie otrzyma pan odpowiedzi. Ostatnio już w południe jest kompletnie pijany. Ale dlaczego nie spyta pan panny Barnaby? Według Patricka ona doskonale wiedziała o wszystkim.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytał zdrtwiałły Ruel.

Pickering poczuł się bardzo niezręcznie.

- Patrick próbował jej bronić, ale kilku dostawców powiedziało nam, że ona była wyłącznie odpowiedzialna za zamawianie materiałów, a w końcu Patrick też przyznał, że to ona zamówiła tory. Cholerna szkoda, że był takim głupcem i zaufał kobiecie. Zapewne zniszczył tym sobie karierę.

Musiałam obciąć wydatki...

Drzwi kosztowały nas za dużo...

W szaleńczym tempie słowa Jane wypowiedziane kiedyś w wąwozie przelatywały Ruelowi przez głowę.

To moja wina...

- Muszę iść - powiedział ochryple. - Muszę wyjść...

Nie słyszał już, że Pickering woła coś za nim zatroskanym głosem. Odwrócił się i wyszedł z klubu.

Jane nerwowo zacisnęła dłonie na poręczach fotela, kiedy usłyszała, że Ruel wchodzi do bungalowu. Udało jej się już przekonać samą siebie, że pragnie konfrontacji, że chce to mieć za sobą, teraz jednak zrobiłaby wszystko, żeby jej uniknąć. Może Ruel pójdzie prosto do sypialni zobaczyć Iana i...

- Jane? - zawołał cicho Ruel.

Nie wyglądało na to, żeby był zły. Pomyślała z nadzieją, że może Pickering mu nie powiedział. Modliła się o to.

- Jestem na werandzie! Miałeś jakiś problem z pułkownikiem Pickeringiem?

Pojawił się w drzwiach. Oświetlała go tylko od tyłu lampa z salonu.

- Dlaczego miałbym mieć jakiś problem? - spytał.

Napięła mięśnie, wyczuwszy w jego miękkiem głosie jakąś dziwną nutę, jakby krył w sobie ściśniętą sprężynę.

- Bo nie było cię wiele godzin. Jest już po dziesiątej.

- Czyżby opieka nad Ianem była dla ciebie takim Cezarem?

- Nie, tylko się zastanawiałam... Dałam już Ianowi kolację i laudanum. Powinien przespać spokojnie całą noc.

- Nawet po laudanum rzadko mu się to zdarza. Na początku budził się krzycząc z bólu, teraz tylko leży i płacze. - Jego głos brzmiał ochryple. - Wiesz, jaki to ma wpływ na mężczyznę? Napelnia go wstydem. Muszę udawać, że śpię, bo inaczej błaga mnie o wybaczenie, że okazał taką słabość. Boże, słabość!

Zrozumiała, że on wie. Wstała z krzesła.

- Chyba pójdę już spać. Dobranoc, Ruelu.

- Jeszcze nie. Chciałbym cię o coś spytać.

Zebrała siły na nadciągające Nieuniknione.

- O co?

- O tory.

Była pewna, że gotowa jest o tym rozmawiać, ale aż zeszywniała.

- Cóż za gwałtowna reakcja! Czyżby ta myśl była ci niemiła?

- Ruel, ja...

- Bo dla mnie tak, do tego stopnia, że po wyjściu z klubu poszedłem na długi spacer. - Urwał. - Do Wąwozu Lanpur - dodał po chwili.

Oblizła wargi.

- Po co?

- Chciałem sam obejrzeć te szyny. Patrzyłem na ten rozerwany tor i myślałem o Ianie... - Spojrzał jej prosto w oczy. Jane zabrakło tchu, kiedy ujrzała płonąca w nim furie, spalającą go, pochłaniającą, sięgającą również jej. - I postanowiłem zabić Patricka Reilly'ego.

- Nie! - zaprotestowała odruchowo.

- Dlaczego? Nikt nie zasługuje na to bardziej niż on. - Zawiesił głos. - Chyba, że to ty! Milczała, wpatrując się w niego bezsilnie.

- Dlaczego nic nie mówisz?! - Furia, którą do tej pory ledwie wyczuwała, wybuchła w nim teraz niepowstrzymanie. - Do cholery, nie stój tak! Powiedz mi, że się mylę! Powiedz, że Pickering się myli!

- A co powiedział?

- Twierdzi, że byłeś odpowiedzialna za zamawianie materiałów. Czy to prawda?

- Tak - szepnęła. - To prawda.

Wyglądał, jakby go uderzyła.

- Czy o tym myślałaś, mówiąc, że wypadek to twoja wina?

Wzdrygnęła się.

- Tak, o tym.

- Niech cię szlag! - Podeszedł i zacisnął ręce na jej szyi - i to wszystko, żeby twojemu Patrickowi było dobrze i bezpiecznie! - Przeszywał ją wzrokiem. - Na litość boską, dlaczego mnie nie okłamałaś? Nie chciałem w to wierzyć! Zrobiłbym wszystko, żeby w to nie wierzyć!

- Zaciskał palce na jej szyi ze straszną siłą. - Nie chcę...

Rozpaczliwie walczyła o łyk powietrza dla swych udreńczonych płuc, a on jeszcze mocniej zacisnął uchwyt. Czowała, że umiera. Bezsilnie wpatrywała się w jego twarz, usiłując jednocześnie rozluźnić dłonie na swej szyi.

- Proszę... - wyrzęziła tak cicho, że chyba jej nie usłyszał. Jego twarz była ślepa, cierpiąca, wykrzywiona...

Przez ciało Ruela przemknął dreszcz. Palce rozluźniły się, znów zacisnęły, aż wreszcie opadły z jej gardła.

- Dlaczego nie potrafisz tego zrobić? - szepnął. - Zasługujesz na to. Nikt bardziej... - Odwrócił się gwałtownie i poszedł w kierunku sypialni. - Jeśli chcesz żyć, nie pokazuj mi się.

- Spodziewała się, że trzaśnie drzwiami, ale delikatność, z jaką je zamknął, była przerażająca.

Drżącą ręką dotknęła szyi. Nigdy jeszcze nie była tak blisko śmierci. W pewnej chwili obawiała się, że nie zdoła dotrzymać słowa danego Patrickowi i wyjawii prawdę Ruelowi.

Patrick był cwany. Ruel nigdy nie zmieniliby zdania w ostatniej chwili, gdyby to na jego szyi zaciskał palce. Pewnie Patrick domyślił się, że Ruel nigdy jej nie zabije, niezależnie od tego, jaki rodzaj kary dla niej wybierze.

Ze znużeniem pomyślała, że tak czy inaczej ona też Powinna być ukarana. Brak nadzoru był równie karygodny, jak obrzydliwy egoizm Patricka. Chyba zasługiwała na utratę szansy zaznania szczęścia z Ruelem.

Odwróciła się i powoli, ciężko poszła do swojej sypialni.

Musi przestać go kochać. Doszła do wniosku, że Ruel będzie teraz wykorzystywał jej uczucie, aby ją ranić. Musi patrzeć na niego jak na wroga. W obronie własnej musi przestać go kochać.

Nie spodziewała się, że zaśnie. Musiała jednak się zdrzemnąć, bo kiedy w środku nocy obok jej łóżka stanął Ruel, przebudziła się gwałtownie. Zesztywniała i wparła się mocniej w poduszkę.

- Zupełnie jak scena śmierci z „Otella”, co? Z jedną różnicą, ty nie jesteś niewinna. - Przyćmione światło lampy, którą trzymał w ręce, wydobywało całą gorycz jego uśmiechu. - Nie obawiaj się. Nie mam zamiaru cię zabić. Już mi przeszło. - Urwał. - A może to i lepiej, że nie potrafiłem cię zamordować? Śmierć to zbyt ostateczna forma zemsty. W ten sposób ty opuściłabyś ten padół, a Ian co noc modliłby się o dołączenie do ciebie.

Jane również w tej chwili nie opierałaby się śmierci. Życie wydawało jej się zbyt bolesne. Każde słowo czuła jak grot wbijający się w jej ciało.

Usiadł na łóżku i odstawił lampę na stolik.

- Drżysz. - Zaczął powoli rozpinąć jej koszulę nocną. - Boisz się, że cię zgwałcę? Owszem, mógłbym. I nie ma znaczenia, czy cię nienawidzę. Wystarczy, że na ciebie spojrzę i już cię chcę. Chyba nigdy nie przestanę cię chcieć. - Odchylił koszulę na boki i ciepłą dłonią objął jej pierś.

Jej oddech był urywany, a piersi unosiły się i opadały pod jego dotknięciem.

- Proszę... - Zwilżyła usta. - Przecież wcale nie masz ochoty tego robić.

- Ależ mam. - Wziął jej rękę i położył na swym pulsującym członku. - Widzisz? - Pieścił kciukiem jej sutek, aż ten się naprężył, wezbrał. - I ty też zaczynasz tego chcieć. Nie musiałbym nawet cię gwałcić. Mógłbym cię po prostu wziąć. Mógłbym się z tobą kochać, a ty krzyczałabyś z rozkoszy.

Jej oczy dziko błyszczały w świetle lampy, a usta wykrzywiał beznamiętny uśmiech. Ruel był piękniejszy nawet niż tej nocy u Zabrie. Cała sypialnia zdawała się być naelektryzowana zmysłowością.

Dobry Boże, on miał rację. Naprawdę chciała go. Chciała uśmierzyć to cierpienie, które oboje odczuwali; w jedyny sposób, jaki im pozostawał. Wiedziała, że kochanie się z nim teraz byłoby szaleństwem, byłoby torturą i poniżeniem, ale nie zważała na to. Jej ciało nie zwracało uwagi na uczucia, jakie żywiła do Ruela, chciało tylko zaspokojenia żądz, jakie budził. Po tej nocy już nigdy jej zapewne nie dotknie. Chciała tego, chciała, żeby jej dotykał.

- Ale ja nie chcę dać ci rozkoszy - powiedział miękko. - Nie chcę nawet dać jej sobie. - Cofnął rękę i szybkim ruchem okrył ją koszulą. - Muszę więc znaleźć inny sposób.

Pewnie w ogóle nie miał ochoty jej brać. To był tylko sposób na uzmysłowienie Jane jej słabości i jego władzy nad nią. Przełknęła z trudem ślinę.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo żałuję tego, co stało się z Ianem.

- To za mało. Chcę, żebyś cierpiała tak samo mocno jak on. - Jego głos zabrzmiał nagle ostro. - Nie pozwolę ci odejść wolno, Jane.

- Nie oczekiwałam tego.

Zaśmiał się smutno.

- Tak, pewnie. Myślałaś, że jeżeli oddasz Ianowi swój dom i słodko się do mnie uśmiechniesz, będzie to wystarczającym zadośćuczynieniem. Och, nie, musisz się poczuć tak samo uwięziona jak Ian. Ja nie mogę z nim być w Glencaren, ale ty będziesz. Będziesz spełniała jego żądania i słuchała jego jęków w nocy, cały czas ze świadomością, że to przez ciebie cierpi.

- Chcesz, żebym pojechała z nim do Glencaren? - spytała z rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

- Spłacisz swój dług. Jeżeli nie, zapewniam cię, że trawię, aby twój Patrick cierpiał bardziej niż Ian - zanim go zabiję.

- Nie musisz mi grozić - powiedziała cicho. - Bardzo chętnie pojedę do Glencaren. Wystarczyło mi poprosić.

- Nie mam zamiaru o nic cię prosić. Informuję cię tylko, jak ma wyglądać twoja pierwsza płatność.

- Pierwsza płatność?

- Myślałaś, że kilka lat służenia będzie całą twoją karą? Nie brak mi wyobraźni. Znajdę dużo sposobów na zadanie ci cierpień.

Chciała mu powiedzieć, że już cierpi, ale i tak by jej nie uwierzył. Nigdy jeszcze nie widziała w nikim tyle goryczy.

- Zrobisz, jak będziesz uważał za stosowne. Ja uczynię wszystko, żeby pomóc Ianowi. - Potarła czoło. Bolała ją strasznie głowa, cały świat tego dnia wydawał się jej pełen bólu. - Ale Li Sung i Kartauk muszą jechać ze mną. Niebezpiecznie byłoby dla nich tu zostać.

- Oczywiście, zabierz swoją trzódkę. Ian będzie potrzebował wszelkiej pomocy.

- I Patrick. - Te słowa zaskoczyły nawet ją samą. Myślała, że już skończyła z nim, ale nie umiała przełamać wieloletniego nawyku, mimo pogardy i obrzydzenia. Nie mogła zostawić go na pastwę śmiercionośnego gniewu Ruela.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Myślałem o wzięciu kochanego Patricka na Cinnidar, żeby zapewnić sobie ciągłość twoich usług.

- Przeszkadzałby ci tylko - powiedziała szybko.

- Sądzisz, że mógłbym go zabić. - Milczał przez chwilę. - Może masz rację. Nie mogę obiecać, że kiedy pomyślę o Ianie, nie stracę panowania i nie zepchnę tego bydlaka do kanionu. Poza tym nie potrzebuję zakładnika. Będę w kontakcie z Maggie i sprawdzę, czy

dotrzymujesz obietnicy.

- Dotrzymam słowa - powiedziała zmęczonym głosem. - A może ty sam zmienisz z czasem zdanie.

- Nie zmienię. - Odwrócił się i podszedł do drzwi. - Mówiłem ci, mam długą pamięć.

Trzy tygodnie później „Bonnie Lady” wypłynę z Narinth z Jane, Ianem, Li Sungiem, Patrickiem i Kartaukiem na pokładzie.

Li Sung spojrział na osamotnionego na pirsie Ruela.

- On się w ciebie wpatruje.

- Tak? - Jane wiedziała, że Ruel na nią patrzy, ale nie odwróciła się. Chwilę wcześniej, nim statek odbił od brzegu, popełniła ten błąd i spojrzała na niego. Kiedy ich oczy się zetknęły, poczuła się, jakby ją krępowały jakieś więzy, łańcuchy. Zapewne tego właśnie Ruel chciał. Chciał jej przypomnieć, że to rozstanie jest tylko tymczasowe i że nigdy nie będzie w stanie od niego uciec.

- On się teraz bardzo dziwnie do ciebie odnosi. Pewnie nie masz ochoty mi powiedzieć dlaczego?

- Nie, nie mam ochoty. - Ukrywając się w gospodzie w Narinth ani Li Sung, ani Kartauk nie słyszeli nic o śledztwie, a ona nie miała ochoty o tym informować. Li Sung i tak był wobec niej nadopiekuńczy, a dobrze wiedziała, jak zareagowałby, gdyby dowiedział się, że wzięła na siebie winę Patricka.

Czuła na sobie spojrzenie Ruela. Dlaczego nie odwracał oczu?

Odsunęła się od relingu.

- Nie mogę tu dłużej stać. Muszę wracać do Iana.

Li Sung pokręcił głową.

- Jest z nim Kartauk. Chyba umie go rozweselić.

Sama też to zauważyła i przez te dwa dni, które spędzili w gospodzie oczekując na statek, błogosławiła Kartauka. Nikt inny nie potrafił podnieść Iana na duchu.

- Gdzie jest Patrick?

- Tam, gdzie zwykle. Próbuje wejść do butelki z whisky. Od czasu wypadku pogorszyło mu się.

- Tak.

- Widzę, że nie próbujesz już go bronić.

Wciąż go ochraniała, ale nie miała zamiaru już więcej okłamywać ani siebie, ani nikogo innego na temat jego przywar.

- Nie.

- Dlaczego?

- Musi sam stawić czoło swoim problemom. Ja mam dość kłopotów.

- Ale zabierasz go do Glencaren.

- On nie jedzie do Glencaren.

Cień zdziwienia przemknął po twarzy Chińczyka.

- Powiedział mi, że jedzie z nami.

- Załatwię mu pensjonat w Edynburgu. Zostało nam jeszcze trochę pieniędzy, wystarczająco, żeby przeżył tam rok. Potem będzie musiał sobie znaleźć pracę.

- Bez twojej pomocy?

- Bez mojej pomocy.

- Niebawem - uśmiechnął się Li Sung. - Co on takiego zrobił, że otwarły ci się oczy?

Ruel ciągle się w nią wpatrywał. Jego spojrzenie bolało. Chciała się od tego uwolnić.

- Tego też mi nie powiesz?

- Co? - Nie będzie tu stała, przyszpilona wzrokiem Ruela, jak ofiarne zwierzę dla tygrysa. Ruszyła przed siebie. - Powinieneś być zadowolony. Zawsze mi mówiłeś, że jestem głupia.

- Nie jestem zadowolony - odpowiedział, idąc obok niej. - Patrick pewnie cię skrzywdził. Zawsze się tego bałem, ale nigdy tego nie chciałem.

- Przeżyję. - Wyzwoli się też od Ruela, mimo że uparcie okazywał jej swą władzę nad nią. Gdyby nie chciała pojechać do Glencaren, żadna siła by jej do tego nie skłoniła. Sama zdecydowała, że spróbuje naprawić wyrządzone Ianowi zło.

- Idziesz za szybko. Skoro nie zaszczycisz mnie dopuszczeniem do konfidencji w sprawie MacClarena i Patricka, to może powiesz mi chociaż, dokąd tak biegniemy?

- Przepraszam. - Zwolniła, dostosowując się do kuśtykania Li Sunga. Zdała sobie sprawę, że uciekała od Ruela, od jego niezłomnej woli, która wywlokła Iana z łap śmierci, a teraz skierowała się przeciwko niej. - Idę do ładowni, zobaczyć, jak się mają Bedelia i Sam.

Wszyscy strasznie się cieszą na twój widok - powiedziała Jane, trzymając chłodną dłoń Iana. - Twoje Glencaren jest piękne. Rozumiem, dlaczego je tak kochasz.

- Tak, jest piękne - odrzekł Ian, nie odrywając wzroku od odległych wież.

Podciągnęła wyżej okrywający go koc. Z lękiem pomyślała, że ta chybotliwa podróż nie jest dla niego najlepsza. Jeśli to w ogóle możliwe, był jeszcze bledszy niż dwa dni temu, kiedy w Edynburgu przenoszono jego nosze ze statku do tego powozu.

- Naprawdę, wszystko będzie dobrze.

- Prawie w to wierzę - szepnęła, wciąż patrząc na zamek. - Może rzeczywiście to miało sens...

Dziesięć minut później powóz z turkotem przejechał przez drewniany most zwodzony na wyłożony płytami dziedziniec.

Pokryta brudnymi plamami cysterna z pokruszonymi krawędziami zajmowała centralne miejsce, a spomiędzy płyt wyrastały kępki trawy. Gdziekolwiek Jane zwróciła wzrok, wszędzie napotykała na ślady zniszczenia i zaniedbania.

- Nie zawsze tak to wyglądało - powiedział Ian. - Długo mnie nie było, a tak stare miejsca wymagają troski i dbałości.

- Albo zburzenia - mruknął Kartauk.

Jane rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Przeprowadzenie kilku napraw nie zajmie nam wiele czasu, Ian - powiedziała. Jakże dziwne było pomyśleć, że w takim miejscu wychował się Ruel. Trudno byłoby sobie nawet wyobrazić go w tym starym, zmurszałym miejscu.

- Gdzie on jest? - Obramowane mosiądzem drzwi otworzyły się i młoda kobieta zeszła po schodach. - Dobry Boże, Ian, jeszcze cię nie zmusili do siedzenia?

- Margaret? - rzekł Ian z niedowierzaniem. Uniósł się na łokciu i wyjrzał przez krawędź powozu. - Co ty tu robisz?

- A gdzie miałabym być? - Podeszła do powozu. - Kiedy dostałam list od Ruela, przeniosłam się z ojcem do Glencaren. To chyba najsensowniejsze - do czasu aż się wykaraskasz z tej niemocy.

Jane była zaskoczona widokiem Margaret. Zrozumiała dlaczego Ian śmiał się, kiedy opisała mu, jak ją sobie wyobraża. Mówiła wtedy o miękkich dłoniach, koronkach, modnym stroju... Nie widziała dłoni tej kobiety, ale jej zapięta pod szyję granatowa sukienka była znoszona i mocno podniszczona od ciągłego używania. Margaret poruszała się energicznymi, oszczędnymi ruchami, była wysoka i szczupła, a jej włosy koloru pszenicy związane były w gładki kok. Miała wypukłe czoło i szerokie ruchliwe usta, co czyniło jej twarz zbyt silną, aby była piękna, ale jej szeroko rozstawione oczy były wręcz wspaniałe.

Margaret wspięła się do powozu i uklękła obok Iana.

- Wyglądasz strasznie - powiedziała po prostu. - Widzę, że był już najwyższy czas, żebyś wrócił do domu. - Pocałowała go szybko i kontynuowała: - Nieważne, doprowadzę wszystko do porządku.

- Margaret... - Ian wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. - Moja śliczna Margaret...

- Choroba chyba dotknęła nie tylko twoje kończyny, ale i oczy - powiedziała opryskliwie. - Bo śliczna to ja na pewno nie jestem. - Odwróciła się do Jane. - Kim jesteś? - spytała mocnym głosem.

- Jane Barnaby. - Kiwnęła ręką w stronę dwóch mężczyzn na koźle powozu. - Li Sung i John Kartauk.

- Skąd się tu wzięliście?

- Ruel wysłał nas...

- Nieważne, to wyjaśnia wszystko - przerwała Margaret. - Ruel zawsze zadawał się z najdziwniejszymi ludźmi. - Popatrzyła bez wyrazu na Li Sunga, po czym przeniosła wzrok

na Kartauka. - Jesteś silny?

- Jak byk - odrzekł Kartauk, mrugając oczami. - A potężny jak Herkules.

- Trzy czwarte przechwałek bufonów można od razu zapomnieć, ale jedna czwarta też wystarczy. - Odwróciła się i zawołała: - Jock!

W odpowiedzi zbiegł szybko ze schodów niski, krzepko zbudowany człowiek ze strzechą rudych włosów.

- Złaz z kozła i pomóż Jockowi zanieść Iana do jego pokoju - rozkazała Margaret Kartaukowi i zeskoczył z powozu. - Jock, połóż go do łóżka, a ja pójdę do kuchni i zobaczę, czy znajdzie się dla niego coś do jedzenia. - Odwróciła się do Jane. - Chodź ze mną do kuchni i spróbuj być przydatna. Mamy tylko trzech służących na całe to zapuszczone domisko, a teraz, z trzema dodatkowymi gębami do wykarmienia, nie widzę...

- Nie będziemy dla ciebie ciężarem - wtrąciła szybko Jane.

- Mów za siebie - powiedział Kartauk, który wraz z Jockiem ostrożnie zdejmował nosze Iana z powozu. - Artysta jest zawsze najdroższym ciężarem, a żywienie go i opiekowanie się nim to przywilej.

- Babrzesz się w farbach? - spytała Margaret.

- W niczym się nie babrzę - odrzekł zraniony Kartauk. - Tworzę dla potomnych. Jestem wielkim złotnikiem.

- Ważne, że jesteś silnym złotnikiem. Nie upuścisz Iana na schodach. - Margaret zwróciła się do Li Sunga: - Zabierz powóz do stajni i wyprzęgnij konie. Potem przyjdź do kuchni, znajdę dla ciebie jakąś pracę.

- Traktujesz ich jak służących, Margaret - zaprotestował Ian. - A przecież to goście.

- Glencaren nie stać na gości, którzy nie zapracują na swój chleb. - Delikatność, z jaką musnęła go po włosach, złagodziła ostrość jej słów. - Teraz bądź cicho i pozwól mi działać po mojemu. Przyjdę do ciebie, jak tylko Jock cię ułoży w łóżku i trochę odpoczniesz. - Odwróciła się i ruszyła przez dziedziniec. Rzuciła przez ramię do Jane: - Idziesz?

- Idę - odkrzyknęła Jane, podbiegając za nią.

- Zaraz. - Wzrok Margaret zatrzymał się na Samie, płaczącym się przy nogach Jane. - To twój pies?

- Sam nie sprawi kłopotu.

Margaret przeniosła spojrzenie na Bedelię, która szła za powozem do stajni.

- A koń?

- Nie mogłam jej zostawić w Kasanpurze.

- Będziesz musiała się ich pozbyć. Nie stać nas na nie. - Powiedziała Margaret bezbarwnie.

Jane wzięła głęboki wdech i powiedziała dobitnie:

- Nie!

- Nie? - zamrugła Margaret.

- Zostają. Należą do mnie i ja się nimi będę zajmować

- Rozumiem. - Na twarzy Margaret pojawił się przez chwilę wyraz jakby niechętnego szacunku, po czym odwróciła się i weszła do zamku. - Dobrze by było.

Kuchnia, do której Margaret wprowadziła Jane, była równie zapuszczona i zaniedbana jak dziedziniec i aż prosiła się o gruntowne mycie.

Margaret dojrzała krytyczne spojrzenie Jane i wyjaśniła:

- Przyjechałam tu dwa dni temu i nie zdążyłam wszystkiego sama zrobić. Jeśli ci nie odpowiada, sama to wyszoruj.

- Nie miałam zamiaru...

- Oczywiście, że miałaś. Bądź ze mną uczciwa. Nie mam czasu na uprzejme rozmówki.

Ze zdziwieniem Jane uświadomiła sobie, że się uśmiecha.

- Dobrze. Kiedy nie kłóciłaś się o Bedelię i Sama, postanowiłam trzymać język za zębami, ale to miejsce to chlew. Jak tylko Li Sung wróci ze stajni, zabierzemy się do szorowania.

- Tak lepiej. - Margaret wskazała siwowłosą kobietę, siedzącą przy wielkim, otwartym palenisku i obierającą ziemniaki. - To jest Mary Rhodes. Mary, to jest Jane Barnaby. Przyjechała z Ianem.

- Jeszcze jedna gęba do wykarmienia - powiedziała kwaśno kobieta. - Jakby pani miała za mało kłopotów.

- Ona zarobi na swoje utrzymanie. - Margaret przeszła przez kuchnię w stronę paleniska. - I nie martwię się. Głupotą jest martwić się rzeczami, na które nie ma się wpływu. Gulasz gotów?

- Jak tylko dodam ziemniaki.

- Ja to skończę. Ty idź i przygotuj jeszcze trzy pokoje

- Trzy?

- Trzy - powtórzyła dobitnie Margaret. - I bez gderania. Bóg dopomoże.

- Zwykle to pani jest tą, która pomaga - mruknęła Mary, wręczając Margaret garnek ziemniaków i nóż. Wstała. - Zauważyłam, że On zostawia sporo na pani głowie. - Podeszła do drzwi. - Skoro będę obok, to zajrzę też do pani ojca.

- Nie musisz. Ale dziękuję. Mary. - Nagły uśmiech rozjaśnił twarz Margaret, kiedy jednak odwróciła się do Jane, zbladł. - Boże, Ian naprawdę wygląda na chorego - szepnęła. - Ruel pisał, ale nie spodziewałam się... - Usiadła na opuszczonym przez Mary krześle i zaczęła szybko obierać ziemniaki. - Czy jest jakaś nadzieja, że będzie jeszcze chodził?

- Doktor uważa, że nie - odrzekła delikatnym głosem Jane.

- Doktor może być takim samym idiotą, jak każdy inny mężczyzna. Nie będziemy na to zwracać uwagi i zrobimy, co się da. - Poruszyła ramionami, jakby zrzucała z siebie jakiś duży ciężar, i obrzuciła wzrokiem Jane. - Dlaczego nosisz spodnie? Wyglądasz nadzwyczaj dziwnie.

Jane zeszywniała. Ani miękkich rąk, ani modnych ubrań, ale chyba Margaret nie różniła się tak bardzo od innych kobiet.

- To jedyne ubranie, jakie mam. Przykro mi, jeśli nie uważasz go za odpowiednie.

Margaret spojrzała na nią spod oka.

- Kobieta powinna wyglądać jak kobieta. Mężczyźni mają o sobie wystarczająco dobre mniemanie i bez pochlebstw, jakimi byłyby próby naśladowania ich.

Jane spojrzała na nią z zaskoczeniem, po czym się roześmiała.

- Ani myślę naśladować mężczyzn. Pracowałam między mężczyznami na kolei i takie ubranie było praktyczniejsze.

- Ach tak? Może rzeczywiście jest to powód do noszenia tak dziwacznej garderoby, ale powinnaś była Poszukać jakiegoś kompromisu. - Na twarzy Margaret pojawiło się nagle zainteresowanie. - Kolej? Lubię, jak kobiety coś robią. Jakim cudem znalazłaś się na ko... - Urwała i potrząsnęła głową. - Powiesz mi później Muszę teraz skoncentrować się na ważniejszych rzeczach jak długo masz zamiar tu zostać?

- Obiecałam Ruelowi, że zostanę tak długo, jak długo Ian będzie mnie potrzebował.

Margaret nachmurzyła się.

- A jeden Bóg wie, ile to będzie trwało. On potrzebuje dużo wsparcia, a Glencaren wykorzysta wszelką pomoc.

- Tak mówił Ruel.

- Naprawdę? Dla mnie to dziwne. Myślałam, że jest mu obojętne, czy Glencaren się rozsypie w proch.

- Chyba wszyscy ludzie czują jakiś sentyment do miejsca, gdzie się wychowali.

Margaret spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Ależ Ruel nie wychował się tutaj. Annie miała małą chatkę po drugiej stronie doliny.

- Annie?

- Annie Cameron, matka Ruela. Nie wiedziałaś, że Ruel pochodzi z nieprawego łoża?

- Ale nazywa się MacClaren - powiedziała Jane z szeroko otwartymi oczami.

- Ruel odmówił używania innego nazwiska, mimo że jego ojciec nie chciał go uznać. Nie chciał mieć nic wspólnego z Glencaren, ale zawsze uwielbiał sprawiać kłopoty i denerwować lorda.

- Ale Ian zawsze mówił o nim, jakby... - Jane potrząsnęła głową w zakłopotaniu. - Nie rozumiem.

- Ian nigdy nie mówił nikomu o Annie. Staralam się go przekonać, że nie ma jego winy w sposobie, w jaki ojciec traktował Ruela, ale mnie nie słuchał. Ruel to jego brat i Ian uważa, że ponosi część winy za to, że jego ojciec nie ożenił się z tą kobietą i zaprzeczał, jakoby Ruel był jego synem.

- A dlaczego tak było?
- Glencaren. Dziedzic miał już syna i nie potrzebował drugiego, a Annie nie była cnotliwą kobietą. Chociaż - dodała sucho - ten fakt nie miał dla niego znaczenia, póki się nią nie znudził. Z początku szalał za nią. Z tego co słyszałam, była równie urodziwa jak Ruel. Wszyscy urażali, że rzuciła na starego MacClarena czar.

Mandaryn rzucający czary...

- Czy ona jeszcze żyje?
Margaret pokręciła głową.
- Kiedy Ruel miał jakieś dwanaście lat, pojechała do Edynburga. Potem dowiedzieliśmy się, że zmarła na influencę.
- Po prostu opuściła syna?
- On naprawdę potrafił się o siebie troszczyć. - Margaret niecierpliwie poruszyła ramionami. - Dość o Ruelu. Ten łajdak zawsze jest w centrum uwagi, nawet jeśli przebywa na innym kontynencie. - Wstała, podeszła do paleniska i wrzuciła ziemniaki do bulgocącego garnka. - A teraz opowiedz mi o tym Chińczyku i tym aroganckim bufonie, których przywiozłaś ze sobą.

Dwie godziny później Margaret wślizgnęła się do pokoju Iana.

- Ułożyli cię wygodnie? - Spojrzała na siedzącego przy łóżku Kartauka. - Już cię tu nie potrzebujemy. Możesz sobie iść i znaleźć miejsce na pracownię. Jane mówi, że zostaniecie tu jakiś czas i że możesz potrzebować miejsca na swoje struganie.

- Struganie - powtórzył, jakby to słowo zostawiło w jego ustach zły posmak. - Babrzysz się. Nie masz zrozumienia dla ważności mojej pracy.

- Ale świetnie rozumiem ważność mojej. - Kiwnęła ręką w stronę drzwi. - Wybierz sobie jakiegokolwiek miejsce, ale idź.

Kartauk spojrział spod oka.

- Czegóż innego można się spodziewać w tym zimnym, barbarzyńskim kraju? - Wyszedł.
- Krzyżyk na drogę. - Margaret podeszła do łóżka i usiadła obok Iana. - Umówiłam się z wikarym, że za parę dni przyjdzie do zamku i udzieli nam ślubu. Musisz więc wypoczywać i zbierać siły po tej podróży.

- Ale my nie bierzemy ślubu.

- Oczywiście, że tak. Spodziewałam się z twojej strony takich głupot. - Delikatnie odgarnęła z jego czoła kosmyk włosów. - Patrzyłam, jak usiłowałeś bronić Ruela przed nim samym od czasu, kiedy się urodził, a teraz uważasz że ja potrzebuję wybawcy.

- Nie będę dla ciebie kolejnym ciężarem. Twój ojciec...

- Szybko gaśnie i niedługo nie będzie go już między nami.

Podniósł na nią wzrok.

- Nie pisałaś mi o tym.

- A po co? Czy to by mu pomogło?

- Wróciłbym do ciebie.

Wyraz jej twarzy złagodniał.

- Tak, wiem.

- Współczuję ci w twym smutku.

Skrzywiła się.

- Chciałabym czuć smutek, ale oboje wiemy, że mój ojciec nie jest człowiekiem godnym miłości. Czasami zastanawiałam się, kiedy Bóg zmęczy się jego ciągłym udawaniem choroby i ześle mu prawdziwy powód do wylegiwania się w łóżku. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Za co pewnie kiedyś trafi mnie piorun.

- Nigdy - powiedział miękko Ian. - Jesteś najmilszą i najsumienniejszą istotą, Margaret.

- To mój ojciec. - Wzruszyła ramionami. - Wiadomo przecież, że obowiązkowość i honor to jedyna różnica między cywilizacją a dzikością. - Zmieniła temat. - Skoro mowa o dzikości, co u Ruela?

- Jest taki sam. - Urwał. - I inny.

- No cóż, to jest jasne. Niemniej wydaje mi się, że zaczął okazywać nieznane dotąd u niego poczucie odpowiedzialności. Wczoraj dostałam od niego przekaz na dwa tysiące funtów i

wiadomość, że przyśle więcej, jak tylko będzie to możliwe.

- Co? - Ian gwałtownie potrząsnął głową. - Zostawił sobie tylko tysiąc funtów! Odeślij mu to natychmiast!

- Nie zrobię czegoś takiego. Glencaren potrzebuje tych pieniędzy. Ty ich potrzebujesz - odrzekła Margaret. - Ruelowi dobrze robi, jeśli dla odmiany pomyśli o kimś innym.

- Uratował mi życie, ryzykując utratę własnego.

- Och, Ruel jest świetny w takich gestach. Brak mu tylko samodyscypliny.

Ian roześmiał się.

- Boże, jak mi ciebie brakowało, Margaret. - Jego uśmiech przygasł. - Ale nie pozwolę ci wyjść za mąż za kalekę. Dość już sobie zmarnowałaś życia.

- Skąd wiesz, że pozostaniesz kaleką? - Kontynuowała szybko, widząc, że otwiera usta, żeby protestować. - Poza tym silne ciało to dobra rzecz, ale ważniejsze są silne serce i duch.

- Nie mogę dać ci dzieci. A ty kochasz dzieci, Margaret.

- Dzieci są jeszcze możliwe. Pogadam z lekarzem.

Ian pokręcił głową.

- A ileż małżeństw jest bezdzietnych. Bóg mógłby nam nie dać dzieci, nawet gdybyś był silny i zdrowy.

- Nie, Margaret.

- Dobrze, zaczekam z ożenkiem, aż będziesz mógł siedzieć w czasie ceremonii. Wtedy będziesz już na najlepszej drodze do wyzdrowienia i nie będziesz już taki uparty.

- Tak nie może być. Moje plecy...

- Tak będzie. Doprowadzę do tego. - Pochyliła się i pocałowała go lekko w czoło. - A teraz odpoczywaj, podróż musiała cię zmęczyć.

- Wszystko mnie męczy.

- Będzie lepiej. - Wstała. - Kiedy pójde po talerz gulaszu dla ciebie, przyślę Jocka, żeby cię umył. Jak sądzę, jesteś zbyt próżny, aby pozwolić mi na wypełnienie tego zadania. - Pokiwała głową, zobaczywszy jego Sunę. - Tak myślałam. - Podeszła do drzwi. - Nie rozumiem, dlaczego Bóg dał rodzajowi męskiemu taką władzę nad niewiastami, skoro to mężczyznom tak często brak rozumu.

Margaret zamknęła za sobą drzwi i natychmiast zacisnęła mocno oczy. Nikt nie mógł zobaczyć, że odczuwała gniew, smutek i rozpacz. Dobry Boże, biedny Ian.

I biedna Margaret. Dlaczego znów ma poddawać się tej próbie? Czasami Bóg bywa niesprawiedliwy.

- Masz interesującą twarz. Mógłbym dać się przekonać do zrobienia twojej głowy.

Otworzyła oczy i zobaczyła stojącego o kilka jardów dalej Johna Kartauka. Zaczzerwieniła się, kiedy zdała sobie sprawę, że widział moment jej słabości. A może nie, bo jego wzrok nie wyrażał niczego poza zainteresowaniem. Odchrząknęła.

- Chyba ci powiedziałam, że masz iść sobie poszukać miejsca na pracownię.

- I tak też zrobiłem. - Wciąż wpatrywał się w jej twarz. - Zdecydowałem, że wykorzystam kuchnię.

- Kuchnię? - powtórzyła zszokowana. - Nie możesz zająć kuchni!

- Oczywiście, że mogę. Potrzebuję pieca, więc odpadnie kłopot z budowaniem. Mogę obudować to olbrzymie palenisko. - Podeszedł o krok bliżej i uniósł palcem jej podbródek. - Z początku nie widziałem niczego szczególnego w twojej twarzy. Sądzę jednak, że linia szczęki jest do przyjęcia, a ukształtowanie kości policzkowych...

Odepchnęła jego rękę.

- Nie będę ci pozować.

Wyglądał na skrzywdzonego.

- Nie rozumiesz zaszczytu, jaki ci robię, paniusiu. W końcu odmówiłem królowej Wiktorii.

Ze zdziwienia otworzyła szerzej oczy.

- Królowa prosiła cię...

- No, nie. Nie miała jeszcze okazji. Nie opłaca się nigdy obrażać monarchów, ale już zdecydowałem, że jej odmówię. - Odwrócił się i ruszył korytarzem. - Jak się namyślisz, przyjdź i powiedz. Muszę iść do kuchni i wyrzucić te wszystkie gary i talerze.

Pobiegła za nim.

- Wyrzucić? Nie zrobisz tego!
 - Dlaczego? Przeszkadzają mi.
 - Oszalałeś? Musimy wszyscy jeść. Nie możesz zająć kuchni.
 - Piękno ma większą wartość niż jedzenie. - Zmarszczył czoło. - Pójdę na kompromis. Pozwolę wam korzystać z kuchni wieczorem.
 - Pozwolisz? - Wzięła głęboki wdech i wysyczała przez zęby: - Jeśli wyrzucisz choć jeden garnek, zrobię z ciebie jutrzejszą kolację.
 Obejrzał się przez ramię i przyjrzał jej się dokładnie.
 - Wierzę, że tak byś zrobiła. - Nagle zachichotał. - Ale byłbym twardy, paniusiu. Nie jestem delikatnym króliczkiem.
 - Jeden garnek! - powtórzyła z naciskiem.
 - No dobrze. - Wzruszył ramionami. - Zauważyłem niepotrzebne miejsce w stajni, prawie równie dobre, ale musisz mi pomóc je oczyścić i kazać Jockowi, żeby dostarczył mi cegieł na piec.
 - Jock będzie zbyt zajęty opieką nad Ianem, żeby wspierać cię w twoich głupotach, a ja nie mam czasu.
 Kartauk westchnął.
 - Przyjechałem do kraju dzikusów, którzy nie chcą mi pomóc i zapewne będą manipulowali moim talentem dla własnych potrzeb.
 - Oskarżasz mnie o manipulowanie, bo nie pozwałam ci... - Urwała, zorientowawszy się, że to nie Kartauk był manipulowany. - Nie miałeś zamiaru używać kuchni? - powiedziała.
 - Nie? To dlaczego powiedziałem inaczej?
 Nie знаła na to odpowiedzi. Choć może... uprzejmość, próba odwrócenia uwagi od przykrych myśli bez naruszania jej dumy? Z pewnością dostrzegł jej słabość i natychmiast znalazł znakomity sposób na podniesienie jej na duchu. Nie, musi się mylić. Jako zupełnie obcy nie mógł jej tak dobrze rozgryźć.
 - Nie mam pojęcia, dlaczego miałbyś być tak przebiegły - powiedziała szorstko. - Słyszałam, że ludzie ze Wschodu uwielbiają takie pokrętne metody. Bez wątplenia to wpływ twojej pogańskiej krwi.
 - Bez wątplenia - odrzekł ironicznie. - Ale z pewnością taka bogobojna szkocka dama jak ty, bez trudu przejrzy moje pogańskie sztuczki.
 Zanim zdążyła odpowiedzieć, poszedł korytarzem do schodów i zszedł na dół.

Dopiero po dziewiątej wieczorem Jane i Li Sung skończyli szorowanie kuchni i wspięli się po kamiennych schodach do frontowego holu.

- Boże na niebiosach, ależ jestem zmęczona! - Jane wygięła plecy w łuk, żeby rozciągnąć zeszywniałe mięśnie. - Od klęczenia na tej pieprzonej posadzce mam chyba całkiem niebieskie kolana.

- Idź do łóżka. Jutro będziesz się czuć lepiej - powiedział Li Sung, otwierając drzwi wejściowe.

- Dokąd idziesz?

- Do stajni. Kartauk znalazł miejsce na swoją pracownię i kwaterę. Będę mieszkał z nim.

- Ale przecież masz tu pokój.

- Przyzwyczailem się do Kartauka.

- Będzie ci tam wygodnie?

- Wygodniej niż tu. Nawet świątynia miała więcej zadatków na komfort niż ten zamek.

- Musimy więc korzystać z tego, co jest. Przecież już tak bywało.

- Tak - odrzekł Li Sung z namysłem. - Ale tu jest inaczej.

Dobrze wiedziała, co miał na myśli. Glencaren było obce im obojgu. Żadne z nich nie czuło się dobrze w zamku, byli bardziej przyzwyczajeni do budowania niż do naprawiania i konserwowania.

- Przywyknijemy.

- Bo musisz pomóc Ianowi? Według mnie Margaret MacDonald to wszystko, czego mu potrzeba. - Uśmiechnął się blade. - Nawet więcej, niż potrzebuje.

- Ale ona sama nie robi wszystkiego. Ona pomaga w mu odzyskać siły, a ja zrobię, co się

da, żeby wspomóc jego Glencaren. - I po chwili dodała: - Ale ty nie musisz zostawać, jeśli nie czujesz się tu dobrze.

- A co miałbym robić? Odszukać Patricka w tym pensjonacie w Edynburgu i chlać z nim? - spytał z goryczą. - Przyznaję, że czasami myślałem o tej formie ucieczki.

- Naprawdę?

- A jak myślisz, dlaczego tak rzadko pozwalam sobie na picie alkoholu? Niełatwo być kaleką i kuśtykać zamiast biegać.

Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Wiem, Li Sung.

- Nie, nie wiesz. - Powędrował wzrokiem do schodów. - Ale Ian już wie. - Zaczął schodzić. - Zostanę tu, gdzie nie ma pokus.

Jane poszła za nim do drzwi i patrzyła, jak kuśtyka w stronę stajni. Czy ktokolwiek zdołał kiedyś naprawdę poznać drugiego człowieka? Myślała przecież, że zna Patricka, a on zrobił coś tak niewyobrażalnego. Myślała, że zna Li Sunga, i znowu okazywało się, że to nieprawda.

Niebieskie, błyszczące, palące oczy w twarzy równie pięknej jak upadłego anioła...

Dlaczego nagle, znikąd, pojawiła się myśl o Ruelu? Czy poznała Ruela? Wstrząsnęło nią to, co na jego temat usłyszała tego popołudnia od Margaret. Chociaż właściwie nie powinna być taka zaskoczona. Nikt nie był równie nieprzewidywalny i enigmatyczny jak Ruel.

A przecież w ciągu tych kilku tygodni po wypadku dostrzegła w nim zdecydowanie i niezłomną wolę.

Nie, nie wolno jej myśleć o Ruelu. Pewnie tylko jej się wydawało, że go kocha. Nie, nie będzie sama siebie okłamywać. Kochała go, ale czas i oddalenie sprawia, że Czucie to samo uschnie i zwiędnie. Będzie tak zapracowana, że nie będzie miała czasu na myślenie o nim.

W oddali widziała miękkie linie wzgórz i bladą poświatę wrzosu. Jakże inny był to kraj od Ksanpuru, jakże inne musi być tu życie.

Nie wolno jej dłużej myśleć o tamtym życiu. Jak długo będzie mogła pomagać Ianowi, tu będzie jej miejsce.

Teraz było tylko Glencaren.

Cinnidar.

Ruel zacisnął dłonie na relingu, wbijając oczy w wyspę, do której zbliżał się małą, rybacką łodzią. Kiedy pierwszy raz patrzył na Cinnidar, miał to samo uczucie jakiegoś cudu, podniecenia, obietnicy.

Nagle przypomniał sobie, że Jane mówiła coś takiego o pociągach. Twarz jej wówczas jaśniała, ale była w niej jakaś powaga...

Do diabła, nie będzie przecież o niej myślał!

Pomyśli sobie w zamian o Ianie, takim, jakim go widział po raz ostatni, kiedy pomagał go zaokrętować na „Bonnie Lady”. Błady, zniszczony... przytłoczony potwornym bólem.

Łódź podpłynęła do nabrzeża. Był już prawie w domu.

Natychmiast odrzucił również tę myśl. Cinnidar był garncem złota, nie jego domem. Nie potrzebował domu, tak jak nie potrzebował Jane Barnaby. To, czego potrzebował, było ukryte głęboko w trzewiach tej góry, i będzie musiał harować jak wół, żeby to wydostać. Nie będzie miał czasu na myślenie o czymkolwiek poza swym celem.

Teraz jest tylko Cinnidar.

10

*Glencaren
4 października 1879*

Jane pośpiesznie odsunęła się od ściany, kiedy Margaret wyszła z pokoju Iana.

- No i jak?

- Jest uparty jak osioł. - Margaret energicznie przeszła przez korytarz w kierunku schodów.

- Nie chce słyszeć o wyjeździe do Hiszpanii na zimę. Nie umiem sobie poradzić z tym człowiekiem!

Jane odebrała tę wypowiedź jako potwierdzenie powagi sytuacji. Margaret rzadko przyznawała się do porażek.

- Poprosiłaś lekarza, żeby z nim porozmawiał?

- Mówił z nim dziś rano - odparła Margaret krótko. - Ian stwierdził, że Glencaren potrzebuje go teraz i że do Hiszpanii może pojechać wiosną. - Z wściekłością zacisnęła dłoń na balustradzie. - Mówiłam temu idiocie, że jeśli nie pozbędzie się tego kaszlu, to nim przyjdzie wiosna, zrobi ze mnie wdowę. A to niemożliwe tutaj, by w Glencaren są zbyt ostre.

Przez ostatnie trzy lata Jane na własnej skórze odczuła ostrość tych zim i była tego samego zdania o uporze Iana.

- Może zmieni zdanie?

- Nie zmienił go od trzech miesięcy. Ciągle opowiada o Glencaren i o tym, co musi tu zrobić. A po prostu tu umrze.

- Nie popuszczaj mu - podpowiedziała Jane. - Był taki podniecony planami nowej tamy.

- Mężczyźnie potrzebne jest poczucie własnej wartości. Od początku wiedziałam, że to jedyny sposób na utrzymanie go przy życiu. - Margaret wykrzywiła się. - Ale po trzech latach wmawiania mu, że Glencaren zginie bez niego, jak mam go przekonać, że powinien wyjechać i pławić się w słońcu?

- To dlatego mnie wezwałaś? Już mu powiedziałam że młyn świetnie pracuje. Właściwie sam pracuje. - Zawahała się. - Ale mogę jeszcze z nim pogadać.

- Ciebie też nie usłucha. Dobrze, że to przewidziałam i podjęłam już odpowiednie kroki.

- Jakie kroki?

- Ruel.

Jane zatrzymała się na schodach w pół kroku.

Margaret rzuciła jej spojrzenie spod oka.

- Jesteś blada jak mąka w zamach tego twojego ukochanego młyna. Nawet myśl o Ruelu tak tobą wstrząsa?

Jane znów ruszyła po schodach.

- Oczywiście, że nie. Jeśli ci się wydaje, że jestem blada, to pewnie dlatego, że korytarz jest ciemny i słońce zachodzi.

- Jest dopiero druga, światło jeszcze jest silne.

- Dlaczego miałabym się denerwować, kiedy mówisz o Ruelu?

- Z tego samego powodu, dla którego nie wymówiłaś imienia tego lotra od pierwszego dnia pobytu w Glencaren. - Margaret ze znużeniem potrząsnęła głową. - Nie moja sprawa, jak Ruel zdołał cię tak do siebie zrazić. Zdaję sobie sprawę, że w tej dziedzinie jest wyjątkowo uzdolniony. Jeśli nie chcesz o tym mówić, mogę...

- Nie opowiadam o tym, bo to nieważne - przerwała jej Jane. - To wszystko przeszłość.

- Przeszłość miewa ogromny wpływ na przyszłość. - Margaret zdjęła z wieszaka obok drzwi swój niebieski, wełniany szal i zarzuciła na ramiona. - Dlatego uznałam, że powinnam ci powiedzieć.

- Że napisałaś do Ruela?

Margaret pokręciła głową.

- Napisałam do niego trzy miesiące temu, kiedy Ian pierwszy raz odmówił zimowania w Madrycie. Dziś rano dostałam wiadomość z Edynburga, że Ruel powinien przyjechać jutro do Glencaren.

Z zaskoczenia Jane zabrakło tchu.

- On tu przyjeżdża?

- Zdawałam sobie sprawę, że tym razem nie przekonam Iana, a Ruel zawsze umiał go nakłonić do postępowania po jego myśli.

Jane pomyślała, że Ruel każdego umie do tego nakłonić.

- A co z Cinnidarem?

- Ruelowi musiał się poważnie poprawić charakter od czasu, gdy go ostatni raz widziałam. Chyba uznał, że zdrowie jego brata jest ważniejsze od kopania złota. - Margaret otworzyła frontowe drzwi. - Musisz więc odłożyć wszelkie zatargi z Ruelem do czasu, kiedy zdoła już namówić Iana do podróży do Hiszpanii. Później możesz go nawet obedrzeć ze skóry.

- Dziękuję. - Jane zmusiła się do uśmiechu. - Ale wątpię, czy się z nim w ogóle zobaczę, kiedy tu będzie. Mamy z Li Sungiem za dużo roboty przy młynie, żeby przychodzić do zamku.

- Przecież powiedziałaś, że właściwie młyn już sam pracuje - powiedziała Margaret, a nie doczekawszy się odpowiedzi wzruszyła ramionami i kontynuowała: - Dobrze, jeśli chcesz się ukrywać w młynie, to ja nie mam nic przeciw temu.

- Nie ukrywać się. Ja tylko...

- Chcesz go unikać. - Margaret zatrzymała się obok Przywiązanej do belki Bedelii. - Wątpię, czy on do tego dopuści. W każdym liście domaga się szczegółowych opisów twojej działalności.

- Nigdy mi nie mówiłaś.

- Nie było sensu o tym mówić, skoro w ogóle nie chciałaś rozmawiać o Ruelu. Niemniej, jako ten, który właściwie za wszystko płaci, miał pełne prawo wypytywać o Glencaren i jego mieszkańców. - Rozejrzała się po pokrytym nowymi płytami dziedzińcu i odbudowanych budynkach gospodarczych. - A naprawdę dobrze płaci. Pieniądze, które przysyła, utrzymały Glencaren przy życiu a właściwie pozwoliły mu rozkwitnąć. A to znaczy, że pozwoliły rozkwitnąć również Ianowi. - Z powrotem zwróciła się do Jane. - Wracasz teraz do młyna?

- Chyba że chcesz, żebym została.

- Po co miałabyś tu zostawać? Wiem, że nie lubisz zamku. Kiedy się wyniosłaś do tej chaty obok młyna, w ogóle nie byłam zaskoczona.

- Gdybyś mnie tu potrzebowała, nie wyniosłabym się.

- Nie potrzebowałam cię. - Margaret uśmiechnęła się lekko. - Ale brak mi ciebie. Dlaczego tak cię to dziwi? Jesteśmy przecież przyjaciółkami.

- Tak. - Margaret nigdy dotąd nie powiedziała czegoś takiego, a to świadczyło o jej silnym wzburzeniu. Wspólne wysiłki dla ratowania Iana i Glencaren połączyły je silną więzią, ale Margaret broniła swej prywatności tak samo jak Jane i nikogo nie dopuszczała zbyt blisko. Może więc Jane powinna była zostać w zamku i odciążyć trochę Margaret? Ale była taka silna, że Jane czasami zapominała, z jaką ogromną ilością problemów musiała mierzyć się codziennie. To przecież ona, a nie Ian, była siłą sprawczą wszystkiego, co działo się w Glencaren, ale nigdy nie pozwoliła, aby jej mąż to zauważył. Była dla niego niańką i pielęgniarką, swą niezłomną siłą woli doprowadziła do tego, że najpierw usiadł na łóżku, a potem - choć czynił to rzadko - na swoim fotelu. Dwa lata temu posłała po pastora i wymusiła ceremonię ślubną.

- Jeśli chcesz, wróć do zamku - powiedziała Jane.

- Nie bądź głupia. Ty masz swoje obowiązki, a ja swoje. Nawet gdybyś tu była, rzadko byśmy się widywały. - Margaret ruszyła przez dziedziniec.

- Dokąd idziesz?

- Do Kartauka. - Margaret wydeła gniewnie usta. - Nie dość, że muszę użerać się z uporem Iana, to jeszcze teraz mam poskramiać chucie tego złotniczego buhaja.

- Znowu? - spytała Jane tłumiąc śmiech.

- Tak, nie zrobiłaś mi przysługi sprowadzając go do Glencaren. Ellen MacTavish przysłała do mnie wczoraj rano z płaczem, że Kartauk wykorzystał jej niewinność.

- To poważne oskarżenie.

- I fałszywe. Ona rozkłada nogi przed każdym chłopakiem w dolinie. - Margaret zmarszczyła czoło. - Ale dosyć już tego. Już trzeci raz przez ostatnie dwa miesiące muszę słuchać o jego podbojach. Czy on myśli, że nie mam nic innego do roboty, tylko wysłuchiwać narzekań jego flama? - Owinęła się mocniej szalem. - Należy mu się parę słów prawdy. - Szybkim krokiem poszła do stajni.

Kiedy Margaret zniknęła w pracowni Kartauka, uśmiech Jane znikł. Dosiadając Bedelii zauważyła, że jej ręce drżą.

Przynagliła konia do truchtu zaraz po opuszczeniu dziedzińca, ale skierowała się na południe, zamiast na północ, w stronę młyna, jak z początku zamierzała.

Wkrótce stała już na wzgórzu i patrzyła na ruiny chaty Annie Cameron. Była tu wcześniej tylko raz, w pierwszym miesiącu pobytu w Glencaren. Wmawiała sobie wówczas, że przyjechała z ciekawości, ale zdawała sobie sprawę, że była to rozpaczliwa próba odreagowania słów Margaret o Ruelu i jego matce. Wiedziała, że musi stać się twarda, jeśli chce go zapomnieć. Sądziła, że kiedy obejrzy ruiny, przestanie ją prześladować wizja opuszczonego dziecka, chłopca, który leżał całą noc w samotności, umierając od ukąszenia węża,

że wyraźnie zda sobie sprawę z tego, że Ruel, którego zna, nie jest już tamtym chłopcem. Jednak godzina, którą tu spędziła, była bolesna i bezowocna. W dolinie wciąż żył duch tamtego dziecka.

Zrozumiała nagle, że właśnie dlatego tu dziś przyjechała. W tym chłopcu nie było nic przerażającego. Był wrażliwy na ból i nie miał jeszcze tej stalowej determinacji, jaką wykazywał się Ruel w Kasanpurze. Chciała pamiętać, że Ruel jest też człowiekiem i że można go zwyciężyć. Chciała zapewnić sama siebie, że nie ma się czego bać.

Poprawiła się szybko w myślach, że wcale się tak naprawdę nie, boi. Po prostu wstrząsnęła nią nagłą wiadomość o jego przyjeździe. Przecież nie mogła nadal go kochać. Ciężko pracowała nad wypłenieniem resztek tej namiętności, o której myślała, że będzie trwać wiecznie. Z pewnością więc jej zmieszanie było najzupełniej naturalną reakcją, skoro nie widziała Ruela od czasu tego ostatniego, zastraszającego spojrzenia w porcie.

Kto wie, czy on wciąż jeszcze czuje wobec niej tę gorzkość? Rozłąka uczyniła z nich przecież obcych ludzi. Mógł się zmienić, zmięknąć przez te lata. Będzie chciał szybko wrócić na Cinnidar, a jak jej dopisze szczęście, to może nawet się nie spotkają. Może w ogóle nie będzie szukał okazji do spotkania?

Zamknęła oczy i szeptem odmówiła modlitwę.

Dobry Boże, spraw, aby jej nie szukał.

Boże na niebiesiech, ależ tu śmierdzi! - Zatykając nos Margaret wkroczyła do pracowni Kartauka. - Chyba już gnój ma lepszy zapach od tej straszliwej mieszanki, którą palisz w piecu.

Kartauk rzucił jej spojrzenie przez ramię.

- Ależ to właśnie suszony gnój jest podstawowym składnikiem. To tanie paliwo. - Otworzył drzwiczki i wsunął do pieca tacę z glinianą formą. - To powinno cieszyć twą skąpą duszę, paniusiu.

- Cóż, ale ten smród mnie nie cieszy. - Podeszła do niego. - Tak więc powiem, co mam do powiedzenia, i pójdę.

- To znaczy, że nie chcesz, żebym cię wysłuchał. Muszę ustawić tę tacę dokładnie pośrodku paleniska. - Ruchem głowy wskazał jej wysokie krzesło po drugiej stronie pomieszczenia. - Siadaj.

- Ale ja nie mam czasu... - Zamilkła, zauważywszy, że nie zwraca już na nią uwagi, jak zwykle zresztą, kiedy wykonywał tę swoją parszywą robotę. Usiadła na wskazanym przez niego krześle i oparła obcasy o poprzeczkę. Miała rację, że tu przyszła. Zaledwie siadła, a już podziałało na nią to znajome uczucie więzi, jaką nawiązali, już zaczęła odczuwać nieznaczne zmniejszenie napięcia i zdenerwowania. - Nie masz tu specjalnych wygód. Mógłbyś przestać się babrać przez dzień czy dwa i zrobić ze dwa krzesła.

- Mnie tu jest dobrze.

- Dla ciebie byłby dobry nawet koc na wiązce siana. A co z Li Sungiem?

- Teraz, jak pracuje młyn, on tu tylko śpi. - Spojrzał na nią. - Tylko ty jedna narzekasz na brak wygód. Jeśli ci to przeszkadza, to może kazałabyś przynieść parę mebli z zamku.

- Żebyś je mógł zniszczyć przez swoje niedbalstwo?

- Nie jestem niedbały wobec rzeczy, które są dla mnie ważne.

Nie mogła się z nim kłócić w tej sprawie. We wszelkich szczegółach związanych z pracą był skrupulatny i niezwykle dokładny. Kiedyś widziała, jak przez dwie godziny ustawiał i przestawiał rzeźbę w palenisku.

- Byłoby dobrze, gdybyś czasami zwrócił uwagę na coś poza tymi przekłętymi kulkami gliny.

Nie podniósł na nią wzroku.

- Przyszłaś mi zmyć głowę? Co znowu takiego straszego popełniłem?

- Jeżeli na chwilę przerwiesz i posłuchasz, to ci powiem - rzekła cierpko.

- Zaraz. Jak chcesz, możesz sobie wziąć kubek kawy.

- Mam sobie zniszczyć żołądek tym twoim ohydny odwarem? - Zeszła z krzesła i podeszła do pieca. - Ale chyba nie mam wyboru, skoro nalegasz, żebym czekała.

- Nie masz wyboru.

Nalała sobie kawy do popękanego, lecz nieskazitelnie czystego kubka. Jak to kiedyś zauważyła, jedną z manii Kartauka było utrzymywanie w idealnej, błyszczącej czystości wszystkiego, czego dotykał lub używał. Reszta mogła zarosnąć brudem lub rozpaść się w kawałki. Z ciekawością przyjrzała się glinianej masie na stole.

Forma była w pierwszym stadium obróbki, z nierozpoznawalnymi jeszcze kształtami.

- Nad czym teraz pracujesz?

- Li Sung. Zacząłem dziś rano.

Margaret wróciła na swoje krzesło.

- Myślałam, że już go kiedyś robiłeś.

- Ale nie wtedy, kiedy o tym wiedział. W Li Sungu jest zbyt dużo bólu. Bólu i dumy. On myśli, że nikt nie widzi, co się w nim dzieje, i sędzę, że byłby bardzo zakłopotany, gdyby został wyprowadzony z błędu. - Przyjrzał jej się. - Czasami trzeba ukryć wiedzę, kiedy można by tym sprawić ból.

Spojrzała mu w oczy i dostrzegła mądrość, cynizm... i zrozumienie. Za wiele zrozumienia. Z wysiłkiem odwróciła wzrok.

- Chwilami okazujesz właściwie uczucia dobrego chrześcijanina. Szkoda, że nie jesteś taki delikatny wobec kobiet.

Znieruchomiał.

- Nigdy nie żądałaś ode mnie delikatności. Nie sądziłem, że tego potrzebujesz.

- Nie ja - odparła szybko. - Nie mówiłam o sobie.

Odetchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu. Przez chwilę bałem się, że źle cię odczytałem. Jakież to by było upokarzające!

- Ellen MacTavish.

Uśmiechnął się.

- Panienska z wigorem. Dała mi dużo rozkoszy.

- Więcej niż ty jej. Przybiegła do mnie i pożałowała, że odebrałaś jej dziewictwo.

Jego uśmiech zbladł.

- To nieprawda. Jak każdy mężczyzna mam swoje potrzeby, ale nie zadaję się z kobietami, którym brak doświadczenia w łóżku. Jock zapewnił mnie, że...

- Jock? To teraz służący Iana sprowadzają ci dziwki?

- Mężczyzna ma swoje potrzeby - powtórzył Kartauk. Usiadł na krześle przy stole roboczym. - Czy właśnie Ellen MacTavish ma być tematem twojej połajanki?

- I Deidre Cameron, i Martha Belmar.

- Dobry Boże, Szkotki są naprawdę gadatliwe. Wszystkie do ciebie przyszły?

- Jestem żoną dziedzica. Zwyczaj każe, żeby kobiety z doliny przychodziły z kłopotami do zamku.

- Ofiarowałem im rozkosz, a nie kłopoty. Żadnej nie obiecywałem ożenku. Czy mówiły inaczej?

- Nie. - Margaret skrzywiła się z obrzydzeniem. - Jęczały jak kotki w marcu, bo do nich nie wróciłeś.

Kartauk roześmiał się tubalnie.

- To by nie było w porządku. - Klepnął się dłonią po masywnej piersi. - Jedno uderzenie boskiego pioruna to błogosławieństwo, ale każde następne tylko by spowodowało, że już nigdy nie miałyby przyjemności z żadnym mężczyzną.

Margaret zamknęła oczy.

- Matko Boska, ależ z ciebie arogancki bufon! Nie wiem, jak mogę znieść choćby przebywanie w jednym pomieszczeniu z tobą!

- Po prostu mnie potrzebujesz.

- Potrzebuję? - Otworzyła oczy. - Nikogo nie potrzebuję. A już szczególnie zarozumiałego pyszałka, który uważa wszystkie kobiety za bezużyteczne - chyba że w łóżku lub jako modele do rzeźb!

- Niezupełnie bezużyteczne. Toleruję ciebie, a ty nie chcesz mi pozować, ani nie dajesz rozkoszy, ani...

- Tolerujesz mnie? - Wstała, wpatrując się w niego ze złością. - To ja toleruję ciebie.

Zajmujesz stajnię, której potrzebujemy teraz dla koni i inwentarza, i nie ma z ciebie ani pomocy, ani...

- Masz rację.
- Co?

Uśmiechnął się uprzejmie.

- Jestem samolubną kanalią, która ci tylko sprawia kłopoty.
- Z pewnością jesteś. - Popatrzyła na niego podejrzliwie. - Od kiedy to jesteś taki zgodny?
- Może jestem samotny i nie chcę, żebyś wychodziła? Usiądź i skończ kawę.
- Ty, samotny? - Powoli usiadła z powrotem na krześle. - Ty nigdy nie jesteś samotny.
- Skąd wiesz? - Podeszedł do pieca i nalał sobie kubek kawy. - Potrzeby człowieka nie sprowadzają się tylko do ciała. Nie tylko Li Sung ukrywa słabości. Są chwile, kiedy wszyscy robimy coś, co ma odnieść zamierzony skutek bez obnażania duszy. - Wrócił do krzesła przy stole. - A może ugodziłem te kobiety swoim piorunem, bo wiedziałem, że to cię do mnie przywiedzie?

- Bzdura!

Odrzucił głowę w tył i roześmiał się.

- Znasz mnie już zbyt dobrze, Margaret. Masz rację. Dlaczego mężczyzna tak wielki jak ja miałby się obawiać i nie poprosić o to, czego chce?

- Z pewnością nie obawiałeś się poprosić o to Ellen MacTavish - powiedziała oschle.

Wzruszył ramionami.

- Niektóre potrzeby łatwiej zaspokoić niż inne. Niemniej zastanawiam się, dlaczego czekałaś z tą reprimendą aż do teraz, skoro Ellen MacTavish była u ciebie wczoraj rano?

- Wczoraj byłam zajęta. - Odwróciła wzrok. - Nie miałam czasu na błahostki. Chyba nie sądzisz, że czekałam na pretekst, żeby się z tobą spotkać?

- Niech mnie Bóg broni! - Łyknął kawy. - Ale zauważyłem, że jesteś spięta.

- Ellen MacTavish...

- Nie byłaby w stanie zmusić cię choćby do mrugnięcia okiem. Jestem pewny, że zbeształaś ją za niecnotliwe prowadzenie i wyrzuciłaś za drzwi. Co naprawdę się stało? - Spojrzał jej w oczy. - Ian?

Poczuła, jak ulga spływa na nią łagodnym strumieniem. Zgadł, można więc teraz o tym porozmawiać. Kartauk zawsze jakoś odgadywał jej uczucia i dręczył ją tak długo, aż zrzuciła z siebie cały ciężar. Ta dziwna więź między nimi trwała od tego popołudnia trzy lata temu, kiedy przyszedł do salonu złożyć kondolencje po śmierci jej ojca. Nigdy do końca nie zrozumiała, dlaczego nagle zaczęła mu o wszystkim opowiadać, skoro nie potrafiła do tej pory nikomu na tyle zaufać. Opowiedziała mu o swych uczuciach do ojca, uczuciach, o których nigdy nie mówiła nawet Ianowi - miłości, rozczarowaniu... i goryczy. Słuchał beznamiętnie, a potem potraktował jej zwierzenia, jakby ich nigdy nie było. Wrócił do pracowni bez słowa, zostawiając ją cudownie wolną.

- Ian nie chce jechać do Hiszpanii.

- O tym wiesz już od trzech miesięcy. Ruel mu przemówi do rozumu. Kiedy przyjeżdża?

- Jutro.

- To nie masz się czym martwić.

- Masz większe zaufanie do Ruela niż ja. Nie jestem pewna, czy mądrze było przyjąć twoją radę. Jane była zmartwiona, kiedy jej powiedziałam o jego przyjeździe.

- Kiedyś w końcu musi się z nim dogadać. Tobie potrzebna jest jego pomoc, a on ci jej udzieli.

- Cała reszta jest nieważna?

- Bardzo lubię Jane. - Spojrzał w głąb swego kubka. - Ale czasem trzeba dokonać wyboru.

- A ty wybierasz Iana?

- Iana? - Dwoma łykami dopił kawę i odstawił kubek na stół. - Oczywiście. Potrzeby Iana są większe. Wszyscy musimy się poświęcać dla Iana. Miał złą noc?

- Skąd wiesz?

- Nie wspominałabyś znów Hiszpanii przed przyjazdem Ruela, gdybyś nie została do tego zmuszona.

- Całą noc kaszlał. - Zaciśnęła palce na kubku. - A kiedy powiedziałam o Hiszpanii,

wyśmiał mnie. Twierdzi, że Glencaren go potrzebuje. Nieważne, że ja też go potrzebuję.

- Powiedziałaś mu to?

- Oszalałaś? Czy nie ma dość kłopotów bez dogadania do nich winy?

- Nie, nie dołożyłabyś mu kłopotu. - Uśmiechnął się. - Ale ja nic dla ciebie nie znaczę i mam silne plecy, które zniosą wszelkie ciężary. Dobra, opowiadaj, chcę siedzieć.

On naprawdę chciał wiedzieć. Wpatrywał się uważnie w jej twarz, a ona czuła jego pomocną siłę woli.

- Wyduś to z siebie - powiedział miękko. - Zacznij od ostatniego wieczora, kiedy zaczął kaszleć.

Wzięła głęboki wdech i rozpoczęła.

Słuchał bacznie słów, które wypływały z jej ust niczym rzeka, a palce jego rąk nieustannie formowały glinę. Nie zdawała sobie sprawy z upływu czasu. W pewnej chwili Kartauk wstał i zapalił lampę stojącą obok stołu. Potem znów usiadł i słuchał.

W końcu przestała mówić. Między nimi zapadła cisza. Spokój.

Potężna dłoń Kartauka jednym uderzeniem zmiażdżyła glinianą formę na stole.

- Co... - Wbiła wzrok w jego twarz. - Dlaczego to zrobiłeś? Pracowałeś nad tym całe popołudnie.

- Nie było wystarczająco dobre. - Podniósł ręcznik i wytarł dłonie. - Lepiej zniszczyć jednym uderzeniem niż usiłować zrobić dzieło z czegoś przeciętnego. - Uśmiechnął się. - Co nie znaczy, że ja mógłbym w ogóle stworzyć coś przeciętnego. Dla każdego innego człowieka coś takiego mogłoby być wspaniałym uwieńczeniem wysiłków całego życia.

Jej niepokój już znikł, odpowiedziała mu więc uśmiechem.

- Arogant.

- To prawda. - Wstał i przeciągnął się leniwie. - A teraz druga prawda - czas już, żebyś wracała do swojego Iana. Zaraz się ściemni, a on zacznie się o ciebie niepokoić.

- Tak. - Wstała i zawahała się. - Przyjdiesz dziś zagrać z Ianem w szachy?

- Dzisiaj nie. - Wykrzywił twarz, patrząc na zmiażdżoną pecynę gliny na stole. - Mam pracę.

Podeszła do drzwi.

- A więc zobaczymy się, kiedy przyjedzie Ruel?

- Możliwe. - W skupieniu marszczył czoło, mieszając znów glinę.

Już zapomniał o jej obecności, zapomniał jej słowa. Tego przecież chciała. Dał jej milczenie i spokój, a potem znów zamknął się przed nią. Ale z jakiegoś powodu dzisiaj jego zamknięcie się zaniepokoiło ją.

Stała już od dłuższej chwili przy drzwiach, wahając się, kiedy nagła myśl przyszła jej do głowy.

- Nigdy nie zrobiłeś mojego, prawda?

- Co takiego?

- Robisz popiersie Li Sunga bez jego wiedzy. Skąd mam wiedzieć, czy nie zrobiłeś też w tajemnicy mojego?

- Zastanawiasz się, czy nie ukrywam pośród moich skarbów twojej podobizny? - Pokręcił głową. - Nie, paniusiu.

Odczuła absurdalną ulgę.

- Nie można było tego wykluczyć. Nikt nie jest bezpieczny, kiedy w grę wchodzi twoja sztuka.

- To prawda. - Uniósł głowę. - Ale nigdy nie zrobiłem twojego popiersia.

- Dlaczego? - spytała zaciekawiona.

- Nie ośmieliłbym się.

Zaczęła się śmiać, ale przestała, napotkawszy jego wzrok. Poczowała się niepewnie.

Kartauk znów spuścił oczy i podjął mieszanie gliny.

- Nawet ja drzę przed słusznym gniewem pani dziedziczki - powiedział lekko.

Wśród goniącej splątanych myśli i mieszanych uczuć, jakie w niej wywołał tym stwierdzeniem, najbardziej odczuła ulgę i rozczarowanie. Poczowała się przez chwilę, jakby była o krok od dokonania jakiegoś wielkiego odkrycia, jakiejś wielkiej prawdy o Kartauku, a potem została oszukana. Co tak naprawdę o nim wiedziała? Nigdy nie mówił o swojej

przeszłości, nigdy też nie prosił o pomoc, chyba że chodziło o coś związanego ze sztuką, i nie pozwalał zajrzeć pod tę zewnętrzną skorupę. Przez te lata wiele od niego wzięła, nie dając nic w zamian. Być może nie żartował, mówiąc o potrzebach ducha.

- Nie powiedziałam ci prawdy - rzekła niepewnym Skosem. - Brakowałoby cię w Glencaren.

Zatrzymał się w pół ruchu, ale nawet na nią nie spojrział.

- Ianowi?

- Tak. - Zwilżyła usta, nim dopowiedziała niezgrabnie: - I mnie. Myślę, że jesteś miłszy, niż udajesz.

- Naprawdę? - Podniósł wzrok i uśmiech rozjaśnił jego twarz. - Ale ja nie udaję. Nie oceniaj mnie według swoich kryteriów. Jestem beztroskim poganinem, pamiętasz?

Skinęła głową.

- Jak mogłabym zapomnieć?

- I kobieciarzem bez serca.

Ten łobuz wyraźnie ją drażnił. Dlaczego, do diabła, martwiła się jego przekłętymi uczuciami?

- O, to z całą pewnością. Od tej chwili, kiedy znowu spuścisz swój boski piorun na jakąś dziwkę, odczekaj obok niej i sam ugaś pożar.

Wychodząc ze stajni słyszała za sobą jego gromki śmiech.

W kilka chwil po powrocie Jane do drzwi jej chaty zapukał Li Sung.

- Co się stało? - zapytał z niepokojem, zobaczywszy jej twarz. - Ian?

Jane od początku wiedziała, że Li Sung dostrzeże jej zaniepokojenie i dlatego też wybrała się najpierw do chaty Annie Cameron zamiast do młyna. Pokręciła głową.

- Nie, nie pogorszyło mu się. - Dostrzegła w ręku Chińczyka kopertę. - Do mnie?

- Przyszło zaraz po twoim wyjściu. Pomyślałem, że chciałabyś to przeczytać jak najszybciej.

- Wręczył jej list. - To z Lancashire.

Z nadzieją w sercu rozdarła kopertę. Dobry Boże, spraw, by odpowiedź brzmiała „tak”. Tego dnia naprawdę potrzebowała jakiejś dobrej wiadomości. Kiedy jednak przeleciała wzrokiem krótki liścik, jej jedynym odczuciem było gorzkie rozczarowanie.

- Znów odmownie? - Li Sung wpatrywał się w jej twarz.

- Tak. - Złożyła Ust i wepchnęła go z powrotem do koperty. - Zdaje się, że kolej w Lancashire nie potrzebuje moich usług.

- Tylko tyle napisali?

- O, nie. - Uśmiechnęła się kwaśno. - Pan Radkins sugeruje, że powinnam się zająć czymś bardziej dystygowanym i zapomnieć o takich głupotach, jak pakowanie się w męskie sprawy.

- Głupol - skomentował Li Sung.

- Chyba cały świat składa się z głupców. To już piąta odmowa w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. - Rzuciła list na stół. To był cios, kolejny tego dnia, i to wtedy, kiedy i tak czuła się niepewna i zastraszona. - Właściwie powinnam była się tego spodziewać. Oni wszyscy uważają, że najbardziej niekompetentny mężczyzna i tak jest lepszy od kobiety.

- Może byśmy wrócili do Ameryki? - zasugerował Li Sung. - Tam mogą mieć bardziej otwarte głowy niż ci Brytyjczycy.

- To za daleko. Muszę być w Szkocji, a przynajmniej w Anglii, na wypadek gdyby Ian mnie potrzebował.

Chińczyk pokręcił w zadumie głową.

- Zupełnie nie rozumiem tego twojego poczucia winy wobec kalectwa Iana.

Jane wielokrotnie w ciągu ostatnich trzech lat odczuwała pokusę wyjaśnienia mu powodów, ale teraz była zadowolona, że tego nie zrobiła. Miałaby teraz na głowie nie tylko Ruela, ale jeszcze najeżonego, napastliwego Li Sunga.

- Dlaczego? - kontynuował Chińczyk. - W tym wypadku nie było przecież niczyjej winy.

Jakżeby chciała, żeby tak było, żeby była tak niewinna, jak wyobrażał sobie Li Sung. Wciąż dręczyła ją świadomość, że Ian byłby zdrowy i silny, gdyby tylko potrafiła Przewidzieć decyzje Patricka. Nie było przed tym ucieczki - za każdym razem, kiedy widziała Iana, świadomość winy wracała jeszcze silniej.

- Lubię Iana i zupełnie naturalne jest, że chciałabym zrobić dla niego wszystko, co w mojej mocy. - Jane odwróciła się, porwała z oparcia krzesła swój szal w szkocką kratę i podeszła do drzwi. - Mam ochotę na spacer Idziesz ze mną?

Li Sung pokręcił głową i pokuśtykał do konia.

- Jak na jeden dzień moja noga dostała wystarczająco Poza tym wygląda na to, że masz bardziej ochotę uciec niż spacerować. Jadę z powrotem do zamku. Zobaczmy się jutro rano. - Spojrzał na nią przez ramię. - Chyba że mnie jeszcze potrzebujesz.

Jane zmusiła się do uśmiechu.

- Praca na dziś skończona, robotnicy poszli do domu, dlaczego miałabym cię jeszcze dzisiaj potrzebować? Z powodu listu? Spodziewałam się przecież tego.

- A spodziewałaś się też tych wiadomości w zamku, przez które jesteś taka blada i roztrzęsiona, jakbyś miała nawrót choroby?

- Wcale nie jestem... - Napotkała jego wzrok i urwała. - Ruel MacClaren przyjeżdża tu jutro.

- Rozumiem. - Uśmiechnął się lekko. - Nic dziwnego, że jesteś podenerwowana.

- Nie jestem podenerwowana. Może niespokojna...

- Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

- On mnie... wytrąca z równowagi. Wszystkich wytrąca z równowagi.

- Bardzo wiele zrobił dla Glencaren. - Kiedy zaczęła protestować, dodał: - Owszem, my wykonaliśmy robotę, ale to jego pieniądze nam ją umożliwiły. Nie można temu zaprzeczyć, Jane.

- Nie przeczę temu. - Przez chwilę milczała, a potem wybuchła: - Żałuję tylko... Czy on nie może trzymać się daleko stąd? To nie jest jego miejsce, on tu nie pasuje!

- My też nie - odrzekł miękko Li Sung. - Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Inaczej nigdy nie próbowałabyś znaleźć pracy daleko stąd. Widziałem, jak przez ostatni rok narastał twój niepokój. Jak długo musimy tu zostać?

- Jak długo Ian nas potrzebuje.

Li Sung pokręcił głową.

- Ty i ja daliśmy mu takie Glencaren, jakiego chciał, a Margaret zapewnia mu pokrycie innych potrzeb.

Jane patrzyła, jak Chińczyk niezgrabnie dosiada konia i zwraca go w stronę zamku.

- Li Sung!

Obejrzał się.

- Naprawdę jesteś tu nieszczęśliwy?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Dla mnie każde miejsce jest równie dobre. Chociaż, może ja też jestem trochę niespokojny, kiedy nie ma żadnych trudności do przezwyciężania? - Odwrócił się, wbił pięty w boki konia i odjechał truchtem.

Jane owinęła się ciasniej szalem w czarno-zieloną kratę i zaczęła się wspinać na wzgórze. Słońce już prawie zaszło, więc wiatr, jaki czuła na policzkach, był coraz chłodniejszy. Szła szybkim krokiem, niemal biegła po nierównej, pylistej ścieżce. Powinna już wracać do chaty, zjeść kolację i położyć się spać, ale nagle ta perspektywa wydała jej się zupełnie nieciekawa. Chociaż wstała o świcie i spędziła cały dzień na nadzorowaniu pracy w młynie, aż do chwili, kiedy Margaret wezwała ją do zamku, nie była zmęczona. Ostatnio zaczęła odczuwać znużenie monotonią zdarzeń. Wydarzenia dnia wczorajszego zlewały się ze zdarzeniami dzisiejszymi i na pewno zleją się też z dniami jutrzejszym.

Nie, z jutrzejszym nie. Jutro przyjeżdża Ruel.

Powiedziała sobie, że nie będzie o nim myślała. Trzeba myśleć o tym, co jest jeszcze do zrobienia w Glencaren i o słowach Li Sunga. Mimo jego przeczącej odpowiedzi wyczuwała w nim to samo niezadowolenie, jakie było ostatnio także jej udziałem. Nie miała prawa przykuwać Li Sunga do tego miejsca tylko dlatego, że sama czuła się Obowiązana pozostać. Ale z drugiej strony, dokąd ona i Li Sung mogliby stąd odejść? Kolej była jedynym znanym im życiem, a przecież dobitnie dano im do rozumienia, że nikt nie wynajmie kaleki i kobiety. Będzie Usiała dokładnie przemyśleć możliwości i...

- Widzę, że zaczęłaś nosić barwy MacClarenów.

Zamarła zaskoczona.

- To się strasznie gryzie z tą rudą czupryną - kontynuował Ruel ze swym zwykłym kpiarstwem. - Ja bym cię w to nigdy nie ubrał.

Jane powoli się odwróciła i zobaczyła, że po ścieżce podchodzi do niej Ruel. Zupełnie się nie zmienił. Nie było w nim cienia tej wrażliwości, o którą modliła się przy ruinach chaty Annie. Był szczuplejszy, wyglądał twardziej, ale nic się nie zmienił.

Chryste, co się z nią działo? Zrobiło jej się słabo. Nie mogła oddychać. Czula się tak samo, jak w dniu wyjazdu z Kasanpuru - obezwładniona przez rozpacz, smutek i jeszcze inne uczucia, których nie umiała nawet nazwać. Odetchnęła głęboko, żeby uspokoić gwałtowne bicie serca.

- Miałaś tu się pojawić dopiero jutro.

- Niemądrze jest postępować zgodnie z oczekiwaniami. Wówczas wrogowie mają możliwość się przygotować.

- Nie masz tu wrogów.

- Nie? - Stał obok niej na ścieżce. - To dlaczego myśl o tobie męczyła mnie bardziej niż o jakimkolwiek wrogu? - Uśmiechnął się do niej. - Ty też o mnie myślałaś?

- Nie, wcale - skłamała. - Miałam za dużo pracy.

Wiatr uniósł mu włosy z czoła, odsłaniając całe piękno jego rysów. Jane uświadomiła sobie, że wpatruje się w niego z taką samą fascynacją jak wówczas, gdy ujrzała go po raz pierwszy.

- Tak też pisała mi Maggie. - Popatrzył na młyn w dolinie u ich stóp. - Naprawy w zamku, mleczarnia, nowy młyn. Ian musi być szczęśliwy.

- Czy nie tego chciałeś?

- Niezupełnie. - Przeniósł spojrzenie na jej twarz. Jane znów się poczuła, jakby ją przeszył tymi błyszczącymi, niebieskimi oczami. - Chciałem też, żebyś cierpiana, ale ty poszłaś łatwiejszą drogą.

- Łatwiejszą? - spytała zaskoczona. - Ciężko pracowałam.

- Ale to praca, która ci odpowiada, bez której byłabyś nieszczęśliwa.

- Przykro mi, że cię rozczarowałam, ale Margaret woli sama dbać o osobiste potrzeby Iana.

- Chyba powinienem był się spodziewać twojej ucieczki. - Uśmiechnął się. - Ale skoro tu już jestem, naprawię ten błąd.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Nic mi nie możesz zrobić. Powiedziałam ci przecież, że z własnego wyboru tu przyjechałam, ode mnie też zależy, czy wyjadę.

- I oczywiście myślałaś o opuszczeniu Glencaren? - spytał miękim głosem. - Od dawna się tego spodziewałem. Trzy lata to kawał czasu.

- Pewnie Margaret wspomniała ci, że szukałam pracy w kilku miejscowych kompaniach kolejowych?

- Nie, pisała tylko o Glencaren, ale wiedziałem, że się zniecierpliwisz.

Tak, pomyślała z rozpaczą, mandaryn zawsze znał jej myśli.

Pokiwał głową, jakby właśnie w nich czytał.

- Tak, znam cię. Kiedyś tylko mi się tak zdawało, ale teraz nikt nie zna cię lepiej ode mnie. Nie chciałem o tobie myśleć, ale ty po prostu cały czas byłaś ze mną. - Zacisnął usta. - Po dniu ciężkiej harówki w górach kładłem się spać - i ty też tam byłaś. Z początku mnie to złościło, ale po pewnym czasie przyzwyczailem się do twojego towarzystwa. Stałaś się częścią mojego życia. Częścią mnie.

Zadrżała.

- Ty mnie nienawidzisz.

- Nie wiem już, co czuję do ciebie. Wiem tylko, że muszę się wreszcie ciebie pozbyć. - Przerwał. - A nie Potrafię, dopóki nie upewnię się, że poniosłaś karę za to, co zrobiłaś Ianowi.

- Boże święty, poniosłam ją! Ponoszę ją ciągle, za każdym razem, kiedy patrzę na Iana, cierpię.

- Ale nie patrzysz na niego. Mieszkasz z dala od zamku w swojej przytulnej chatce i bardzo

rzadko oglądasz jego ból.

Postanowiła się nie usprawiedliwiać, skoro i tak nie chciał jej uwierzyć.

- Nie będę się tłumaczyła. Nie słuchasz, co do ciebie mówię.

- Nie, za późno na tłumaczenie. Właściwie to moja wina, nie wziąłem pod uwagę zapachu Maggie. Ale to i tak nieważne. Jestem teraz tutaj i mogę tak pokierować wydarzeniami, żeby mnie zadowolily. - Uśmiechnął się. - Muszę już iść do zamku. Wpadłem tylko, żeby cię ostrzec przed próbą ucieczki przede mną.

- Jeśli postanowię stąd odjechać, nie zatrzyma mnie nic, co mógłbyś jeszcze powiedzieć.

- Ale wówczas znalazłbym cię. Albo Li Sunga. - Urwał. - Albo Patricka. Wspomniałem ci już, że odwiedziłem Patricka w tym pensjonacie w Edynburgu?

- Wiesz przecież, że nie - odparła sztywno Jane.

- Pewnie dlatego, że nie udało mi się z nim porozumieć. Czy on ostatnio ciągle jest pijany?

- Zapewne - odrzekła z rezerwą.

- Byłem naprawdę zdziwiony, że wypuściłaś go spod swych opiekuńczych skrzydeł. Czyżby twoja sympatia dla tego szubrawca zaczęła zniknąć?

Nie odpowiedziała.

- Ale przecież wciąż tli się iskierka uczucia. Jego gospodyni twierdzi, że tylko twoje cokwartalne płatności trzymają go z dala od rynsztoka. - Pokiwał głową. - Tak, myślę, że mógłbym wykorzystać Patricka. - Wyciągnął ręce i poprawił ułożenie szala na jej ramionach, okrywając ją szczelniej. Dziwny był to ruch, dziwnie intymny. - Wracaj do chaty. Robi się zimno, możesz się przeziębic.

Nie spodziewała się czegoś takiego. Przez chwilę patrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Przecież gdybym zamarzyła na śmierć, nic by cię to nie obeszło.

- To nieprawda. Bardzo by mnie obeszło. Jeśli ma ci być zimno, to tylko przeze mnie... albo gorąco. - Te słowa były wypowiedziane miękko, lekko, ale Jane czuła czającą się za nimi siłę.

Ruel pieszczotliwie dotknął palcami jej szyi.

Odskoczyła od niego, zaskoczona ciepłem tego gestu.

Ruel uśmiechnął się na widok tej instynktownej reakcji.

- Jutro rano przyjdę do ciebie. Będę już po rozmowie z Maggie i Ianem i będę mógł wyłożyć moją propozycję.

- Chcesz przekonać Iana do podróży do Hiszpanii?

- Nie, zabieram go do domu, na Cinnidar.

Przez chwilę Jane zaniemówiła ze zdziwienia.

- Nigdy nie pojedzie.

- Mylisz się. Ian pojedzie ze mną. - Spojrzał jej w oczy. - I ty też, Jane.

Zabrakło jej tchu.

- Nie - wyszeptała.

- Nie idź jutro do młyna, bo pójde za tobą.

- Grozisz mi?

- Nie w tej chwili. Ale owszem, jestem zagrożeniem dla ciebie. Niemniej czasami człowiek zgadza się na zagrożenie, jeśli uzna, że działa ono na jego korzyść. A moją propozycję z całą pewnością uznasz za korzystną dla siebie, Jane. - Odwrócił się i zaczął schodzić ze zbocza. - Przy okazji, nie zakładaj jutro na siebie tego szala. Nie podobasz mi się.

Ten człowiek, który kiedyś chciał się z nią ożenić, uważał ją teraz za niegodną noszenia klanowych kolorów! Dziwne, ale taki drobiazg rozżłościł ją, a zniosła od niego tyle gorszych rzeczy.

- Może i nie jestem stąd, ale Margaret dała mi ten szal i będę go nosić!

- Myślisz, że uważam noszenie tego pieprzonego szala przez ciebie za profanację honoru klanu? Gdybym tak myślał, ubrałbym cię w barwy MacClarenów od stóp do głowy. Nie mam żadnych sentymentów do MacClarenów czy ich symboli. Mój ojciec postarał się, abym czuł się tu obcy.

- Nie powinno ci więc przeszkadzać, że noszę ten szal.

- No cóż, nie muszę zawsze postępować rozsądnie. Te barwy to jak oznaka przynależności, a mnie nie Podoba się myśl, że mogłabyś należeć do Glencaren. Nie noś już tego szala.

Kiedy odszedł, bez reszty opanowała ją panika, która cały czas usiłowała przed nim ukryć.

Ledwie się pojawił, a już tonęła w takim samym zamięcie uczuć, jak wówczas gdy wyjeżdżała z Kasanpuru. Przecież tuż przed jego pojawieniem się była jeszcze pełna niechęci do monotonii życia w Glencaren. Teraz zaś rozpaczliwie chciała, żeby ta nuda wróciła.

Pomyślała, że Ruel nie może jej zmusić do wyjazdu na Cinnidar. Nie może w ogóle jej do niczego zmusić. Minął już czas, kiedy mógł grać na jej uczuciach i naginać ją do swej woli. Była już bezpieczna.

Wzięła kilka głębokich, uspokajających wdechów. Tak, wciąż czuła fascynację, która ją do niego ciągnęła, ale związana była ona wyłącznie z ciałem. Oczywiście, to może być rodzaj władzy, jaką Ruel utrzyma nad nią na zawsze, ale tę władzę można zwalczyć. To już nie miłość. Skończyła już z tym szaleństwem. Przez trzy lata z dala od niego Jane się wyleczyła.

To już nie miłość.

11

On nigdy nie pojedzie - powiedziała Margaret. - Skoro odmówił wyjazdu do Hiszpanii, myślisz, że przejedzie pół świata na Cinnidar?

- Musimy go do tego przekonać. Hiszpania jest za blisko, żeby mogła rozwiązać jego problem. Zaczęłyby myśleć o Glencaren i nagle znalazłabyś się na następnym statku do Szkocji.

- Może i masz rację. - Margaret zmarszczyła brwi. - Ale słyszałam, że Wschód jest gorący i niezdrowy.

- Czy mój wygląd świadczy o tym?

Był zdrowy jak ryba, mocny jak pień drzewa, opalony na brąz i przystojny jak zawsze.

- No, nie, ale złego diabeł nie weźmie.

Ruel wybuchł gromkim śmiechem.

- Brakowało mi cię, Maggie! Zawsze znałaś mnie lepiej niż Ian.

- Też tak kiedyś myślałam, ale ostatnio zaczęłam się zastanawiać. Twoja wielkoduszość wobec Iana i Glencaren zmusiła mnie do przemyślenia moich ocen.

Ruel przestał się śmiać.

- Ja kocham Iana, Maggie.

- Naprawdę się zmieniłeś. Zanim stąd wyjechałeś, nigdy byś się nie przyznał do kochania kogokolwiek. - Przyjrzała mu się taksujące. - Jeśli go kochasz, jedź z nami do Hiszpanii i dopilnuj, żeby nie wracał do Glencaren, zanim nie wyzdrowieje.

- Nie mogę, do diabła! Następnym statkiem muszę wracać na Cinnidar. Sytuacja tam jest... delikatna.

- Stan Iana też jest delikatny.

Ruel zmarszczył czoło.

- Cinnidar jest inny niż Kasanpur. To wyspa, gdzie bryza morska obniża temperaturę. Myślisz, że zaryzykowałbym nawrót jego choroby?

Margaret przyjrzała mu się uważnie.

- Nie - powiedziała w końcu. - Nie skrzywdziłbyś Iana, gdyby istniała możliwość uniknięcia tego.

Skłonił się jej ironicznie.

- Chyba powinienem ci podziękować za tak wzruszającą wiarę we mnie.

- Nie chcę podziękowań. Chcę zapewnień.

- Powiedz mi, co chcesz wiedzieć. Mówiłem ci już, że Cinnidar ma dobry klimat i że mogę ci zapewnić tylu służących, że będą się o siebie potykać i przepychać, żeby tylko pomóc Ianowi, że będą dbać o niego.

- To może być męczące, a nie pomocne. Przez trzy lata walczyłam, żeby wzmocnić wiarę Iana w siebie. Jak z warunkami mieszkalnymi?

- Pałac. Rodzina Savitsar wybudowała dawno temu pałac nad kanionem. Był opuszczony przez dziesięciolecia, ale przed wyjazdem zatrudniłem robotników, żeby go wyremontowali i urządzili na nowo. - Posłał jej nieśmiały uśmiech. - Nie będziesz mogła narzekać na warunki, Maggie.

- Zobaczymy. - Potrząsnęła niecierpliwie głową. - Po co my w ogóle o tym rozmawiamy? Nigdy go do tego nie przekonasz.

- Jeśli nie będzie pewny, że Glencaren jest prawidłowo zarządzane, to nie. Masz kogoś, kto

potrafiłby sprostać wymaganiom opieki nad Glencaren?

- Ian zaufałby Jane...

- Jane pojedzie z nami - przerwał Ruel. - Li Sung też. Wymyśl kogoś innego.

- To nie będzie łatwe.

- Nie musisz decydować dziś. Mamy kilka dni.

- Idziesz teraz zobaczyć się z Ianem?

Ruel przecząco pokręcił głową.

- Ian nie jest głupi. Jak tylko mnie zobaczy, będzie wiedział, o co chodzi. Niech się dobrze wyśpi, zanim zacznę atak.

- W takim razie powiem Mary, żeby cię zaprowadziła do twojego pokoju.

- Nie zostanę tu - odrzekł. - Mój ojciec by się przewrócił w grobie, gdybym śmiał spocząć w tych świętych murach.

- Sądziłam, że to dla ciebie świetny powód, żeby tu zamieszkać.

- Nie ma nic śmiesznego w okradaniu zmarłych. - Uśmiechnął się bez wyrazu. - Chociaż kiedyś byłem gotów oddać duszę za schronienie w zamku.

- Dokąd pójdziesz?

- Znajdę coś. - Wzruszył ramionami. - Wrócę rano pogadać z Ianem.

- Który odpowie „nie”.

- Za pierwszym razem - odparł Ruel. - W końcu się zgodzi, jeśli znajdziesz kogoś kompetentnego do zarządzania Glencaren.

Margaret zmarszczyła brwi w namyśle.

- Może pastor zna kogoś takiego. Ja proponowałabym Kartauka, ale Ian nigdy by mu nie zaufał. Bałby się, że Kartauk zatopi się w pracy, a zamek spali się do fundamentów.

- Kartauk też jedzie. Potrzebuję go.

- Wykorzystanie Kartauka może być kłopotliwe - powiedziała sucho Margaret. - Kartauk nie ma zbyt zgodliwej natury.

- Też to odkryłaś?

- Okazał się... pomocny. - Uciekła wzrokiem od Ruela. - On umie zabawić Iana.

- A ciebie, Maggie?

Spojrzała na niego i zauważyła, że wpatruje się w nią intensywnie.

- Co masz na myśli?

- Nic. - Wzruszył ramionami. - Długo mnie nie było i zapomniałem, jak bardzo jesteś cnotliwa.

- Cnotliwa?! - Jej oczy napęłniły się wściekłością. - Myślałeś, że ja...

- Tak mi się wymknęło - powiedział niecierpliwie. - Nieważne.

- To nie jest nieważne! - Tryskała wprost furiją. - Kocham mojego męża, Ruelu. Jak śmiesz...

- Przepraszam, do cholery! Następnym razem będę bardziej uważał na słowa.

- Lepiej uważaj na swoje brudne myśli. - Obróciła się na pięcie i poszła do drzwi. - Mam na imię Margaret. Kiedy byłeś chłopcem, trochę ci pobażałam, ale jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie Maggie, znajdę sposób na ukaranie twojego zuchwalstwa.

- Tak, Margaret - powiedział.

Cień rozbawienia, jaki dosłyszała w jego pokornym głosie, znów ją rozgniewał.

- Myliłam się. Nic a nic się nie zmieniłeś. Jesteś tak samo dziki i nieznośny jak zawsze.

Jego rozbawienie natychmiast zniknęło.

- Potrzebuję twojej pomocy, żeby Ian zgodził się pojechać na Cinnidar. Nie pozwól na to, żeby twój gniew na mnie skrzywdził jego.

- Myślisz, że dopuściłabym do tego? - Głęboko wciągnęła powietrze, starając się zapanować nad sobą. - Pogadam dzisiaj z Ianem i spróbuję przetrzeć dla ciebie ścieżkę.

- Tylko o to proszę.

- Wątpię, czy to coś da. - Otworzyła drzwi. - Najlepiej przygotuj się z góry na zmianę planów i zabranie Iana do Hiszpanii.

- Jeśli wkrótce nie wrócę na Cinnidar, może już nie być ani Cinnidaru, ani Glencaren. - Zamilkł na chwilę i uśmiechnął się. - Ciekawe. Dlaczego jesteś na mnie taka zła?

Zatrzasnęła za sobą drzwi i poszła w stronę schodów.

Ruel był w Glencaren ledwie parę godzin, a już zdołał ją wyprowadzić z równowagi tym swoim niewyparzonym jęzorem i brudnymi myślami. Boże, ależ miała ochotę spoliczkować tę piękną twarz i...

Ale dlaczego? Ruel słusznie powiedział, że ją trudno rozzłościć.

Chociaż jej gniew był całkowicie zrozumiały. Obraził ją przecież.

Natychmiast przeprosił, a jeszcze nigdy Margaret nie dopuściła do tego, aby jego zuchwalstwa ją denerwowały.

Postanowiła, że wyrzuci tego łotra ze swych myśli. Miała wszak tyle ważniejszych rzeczy do roboty niż pozwalanie, aby Ruel wytrącał ją z równowagi. Musi przygotować Iana na jutrzejszą wizytę Ruela.

Ruel wiedział, że nie ma tu czego szukać.

Zatrzymał konia na szczycie wzgórza i wpatrzył się w resztki krytej strzechą chaty, oddalonej o kilka jardów.

Była opuszczona od czasu, kiedy opuścił Glencaren, i zapewne kłębiło się w niej od szczurów i karaluchów. Wyjeżdżając dziś z zamku, wiedział, że nie będzie w stanie tu spać. Z pewnością nie czuł też żadnego sentymentu, związanego z tym miejscem. Więcej nocy spędził skulony pod kocem w górach niż w tej norze. Kiedy stary MacClaren stracił zainteresowanie matką Ruela i nie uznał go za swego syna, Annie wyraźnie dała do zrozumienia chłopcu, że nie życzy sobie jego obecności, kiedy sama zabawia się z mężczyznami z doliny.

Może więc przyjechał tu, aby uzmysłowić sobie, jakim był szczęściarzem, że zdołał uciec od tego miejsca, w którym zaznał tylko upokorzeń i łez? Łez? Boże, nie uronił Przecież ani jednej łzy od czasu, gdy skończył siedem lat. Takie roztrząsanie przypomina cklive wywody pijaczka.

Po co więc w ogóle tu przyjechał?

Jane.

Wszystkie te wspomnienia i wreszcie jego przybycie tutaj musiały być spowodowane widokiem Jane, patrzącej na niego wyzywająco, zawiniętej w ten przekłety szal MacClarenów. Myślał, że się przygotował, ale w chwili, gdy ją ujrzał, poczuł... Boże, co właściwie poczuł? Gorycz żądze... i zaborczość? To ostatnie uczucie musi zwalczyć Gorycz zniknie sama, kiedy jego zemsta się już dokona. W efekcie wprowadzenia w życie planu pozbędzie się też żądzy. Ale posiadać znaczy też być posiadany. Przez te lata zawiądnęła nim myśl o Jane, teraz zaś stała się jego obsesją.

Jednak ten uczuciowy zamęt wkrótce się skończy. Kiedy uwolni się od goryczy i żądzy, Jane nie będzie już nic dla niego znaczyła. Będzie mógł ją zapomnieć tak samo, jak zapomniał tę chatę, jak zapomniał tego chłopca, którym był, jak zapomniał Glencaren.

Niezbyt luksusowo, ale jasno i przyjemnie - powiedział Ruel, zaglądając ponad ramieniem Jane do bardziej niż skromnie urządzonego jednoizbowego wnętrza jej chaty. - Mogę wejść?

- Nie - odparła krótko Jane.

- Tak też myślałem. A więc wyjdź ze mną pospacerować.

Pospacerować...

Słowa, które wypowiedział tamtej nocy w Kasanpurze, wróciły do niej, jakby je usłyszała zeszłego wieczora.

- Ale tym razem nie zaręczamy się - powiedział miękko. - Dawno już minęło tamto szaleństwo. Mam propozycję do przedyskutowania.

Jane zastanawiała się z irytacją, dlaczego ten szatan w ludzkiej skórze zawsze musi wiedzieć, o czym ona akurat myśli.

- Nie mam ci nic do powiedzenia - odrzekła.

- Och, zapewne to ja będę mówił. Jedyne, co musisz powiedzieć, brzmi „tak”.

Patrzyła na niego z buntem w oczach.

- Możesz ze mną wyjść albo ja wejdę. Nie pozbędziesz się mnie.

Jane zawahała się, a potem z niechęcią wzięła z oparcia krzesła przy drzwiach szal MacClarenów i wyszła z chaty.

- Tak lepiej. - Ruel zamknął za nią drzwi i ruszył obok niej po ścieżce na wzgórze. - Powiedziałaś Li Sungowi o naszej rozmowie?

- Nie.

- To dobrze. Możesz to z nim omówić później, kiedy poznasz szczegóły.

- Nie pojedę na Cinnidar i jesteś szalony, jeśli uważasz, że Ian pojedzie. Rozmawiałeś z nim?

- Dziś rano.

- I?

- Oczywiście odmówił.

Jane poczuła idiotyczną ulgę. Oczywiście, że Ian odmówił. Niepotrzebnie się martwiła.

- Ale pogadam z nim znowu dziś wieczorem - kontynuował Ruel - i jutro rano, i jeszcze tyle razy, aż się zgodzi.

Ulga zniknęła, kiedy Jane rozpoznała tę samą niezłomną wolę, jaką słyszała w jego głosie setki razy w ciągu pierwszych dni po wypadku, Ian nigdy nie potrafił się jej oprzeć i wątpliwe było, żeby tym razem Ruel nie zdołał go złamać.

- Ale ja z tobą nie jadę - powiedziała.

Ruel uśmiechnął się, nie przerywając marszu.

- Nie pojedę - powtórzyła z rozpaczą. - Nie zmusisz mnie. Byłabym idiotką, gdybym dała się postawić w sytuacji, w której mógłbyś mnie ranić, ile byś chciał.

- Chyba że z tej sytuacji wynikłyby warte ryzyka korzyści dla ciebie i twojej trzódki. Długo myślałem nad sposobami i środkami, jakie pozwoliłyby mi schwytać cię w sieci. Zamierzałem czekać, aż popadniesz w rozpacz, ale okoliczności zmuszają mnie do przyspieszenia działań.

- Posłuchaj sam siebie! Ja mam niby po prostu wejść w tę sieć?

- Nie, będziesz ostrożnie posuwać się naprzód, robić wszystko, żeby jej uniknąć, zapracowywać się na śmierć, żeby uciec, a poddasz się dopiero wtedy, kiedy nie będzie już żadnej innej możliwości. - Spojrzał na nią z boku. - Ja z siecią to kij, ale marchewka, jaką ci daję, będzie zbyt wspaniała, żebyś odrzuciła propozycję.

- Jaka marchewka?

- Kolej.

- Co? - spytała z oczami rozszerzonymi w szoku.

- Nie tylko kolej, ale też pieniądze. Wystarczająco dużo pieniędzy, żeby ci dać niezależność i życie, na jakie masz ochotę. Interesuje cię to?

- Nie.

- Ależ tak, tylko myślisz, że cię chcę wykiwać. Żadnych oszustw. Wyłożyłem karty na stół. Będziesz wiedziała dokładnie, jakich nagród lub kar masz się spodziewać.

- Ta rozmowa nie ma sensu.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli wszystko wytłumaczę. Potrzebuję linii kolejowej do transportu rudy złota z góry przez dżunglę, a potem przez kanion do huty w porcie. Zdołałem wyciąć nierówną ścieżkę, po której może przejechać karawana mułów, ale to najwyżej jedna dziesiąta tego, co można załadować do wagonu kolejowego. A ja naprawdę potrzebuję tego złota.

- Potrzebujesz, czy chcesz?

- I jedno, i drugie. Chcę, bo będę bogaty jak Midas. A potrzebuję, bo jeśli szybko nie przetworzę dużej ilości złota, nie będę miał pieniędzy na wspieranie Glencaren i obronę Cinnidaru przed Abdarem.

- Abdarem?

- A co, myślałaś, że ziemia się rozwarła i pochłonęła go zaraz po twoim wyjeździe z Kasanpuru?

- W ogóle o nim nie myślałam. Tak jak i o tobie - dodała po chwili.

Ruel nie zwrócił uwagi na ostatnią uwagę.

- Abdar niezwykle interesuje się Cinnidarem.

- Skąd wiesz?

- Ponad rok temu pojawił się na wyspie Pachtal. Biorąc pod uwagę, że akurat wysyłałem transport złota, musiał dostarczyć Abdarowi fascynujący raport.

- A co to za różnica? Jesteś właścicielem Cinnidaru. Nie może go tknąć.

- Teraz nie. Ale Pickering twierdzi, że Abdar niedługo będzie władcą Kasanpuru. Maharadża jest właśnie w trakcie kuracji przeciwgruźliczej w formie, pod opieką brytyjskich lekarzy. Pickering wątpi, czy pociągnie dłużej niż dziewięć-dziesięć miesięcy. A to oznacza, że musimy dobrze ufortyfikować Cinnidar, zanim Abdar przejmie władzę.

- Ale przecież Cinnidar jest twoją własnością!

- Savitsarowie już raz przyłączyli Cinnidar do swojego państwa przemocą. Jeśli Abdarowi się spodoba takie rozwiązanie, ogłosi dokumenty sprzedaży za nieważne i niewiążące, a potem postara się odzyskać wyspę.

- Przecież Brytyjczycy by mu...

- Brytyjczycy nie mają zamiaru ingerować w jakiegokolwiek działania Abdara przeciw wyspie oddalanej o dwieście pięćdziesiąt mil od wybrzeża. Wiedzą, że Abdar o niczym innym nie marzy, jak tylko o wyrzuceniu Brytyjczyków ze swojej prowincji, i będą się mocno starać o pozostanie w Kasanpurze. Jeśli mam zatrzymać Cinnidar, muszę być przygotowany do bronienia go samemu.

- A do tego potrzebna ci kolej?

- I ktoś, kto ją wybuduje. - Urwał. - Ty, Jane.

Jane pokręciła głową.

- To trudne zadanie, ale wykonalne - kontynuował. - Zleciłem zbadanie terenu Jamesowi Medfordowi, inżynierowi poleconemu przez Pickeringa. Słyszałaś o nim?

- Oczywiście. Ma wielką renomę.

- Medford twierdzi, że ta praca będzie miała cechy koszmaru, ale może być wykonana w siedem miesięcy.

- To zleć mu tę robotę.

- Zleciłem Medfordowi położenie torów od kanionu do portu. Kanion zachowałem dla ciebie.

- Dzięki - odparła z ironią w głosie. - Dziwię się, że chcesz mi zawierzyć swoją wspaniałą linię kolejową.

- Wiem, że jesteś więcej niż kompetentna. - Spojrzał jej w oczy. - I że nigdy nie ośmielisz się użyć dla mnie kiepskich materiałów.

- Czyżby?

Zignorował jej sarkazm i ciągnął:

- Nasz kontrakt będzie mówił, że masz ukończyć linię do Ścieżki Słoni w ciągu ośmiu tygodni od rozpoczęcia prac, a cały twój szlak ma się spotkać z torami Medforda w ciągu siedmiu miesięcy. A to - według szacunków Medforda - jest dokładnie najkrótszy możliwy termin ukończenia pracy. Jeśli spóźnisz się z pracami do Ścieżki Słoni, stracisz pięćdziesiąt procent całkowitego wynagrodzenia. Jeżeli nie ukończysz linii w ciągu siedmiu miesięcy, stracisz jeszcze trzydzieści procent.

- Po co mi to mówisz? Nie obchodzą mnie twoje warunki.

- Na pewno? Jeżeli skończysz na czas, dam ci wystarczająco dużo pieniędzy, żebyś uruchomiła własną firmę, i sfinansuję pierwszy rok jej działania.

Jane wbiła w niego spojrzenie pełne zaskoczenia.

- Nie mówisz tego serio.

- Ależ tak, to wszystko jest w kontrakcie. Kiedy już będę miał linię kolejową, ta suma nie będzie dla mnie nic znaczyć. Ale dla ciebie dużo, co, Jane?

- Tak. - Przecież to byłby cud. Swoboda budowania. Swoboda pracy. Ale to tylko pięknie opakowana pułapka. Musi przestać o tym nawet myśleć.

- Mogłabyś dać swojemu chińskiemu przyjacielowi wysokie stanowisko w firmie. Miałby wreszcie miejsce w społeczeństwie i szacunek, na jaki zasługuje. A ty miałabyś dość pieniędzy, żeby zadbać o Patricka.

- Milcz - syknęła.

- Przecież tego chcesz, Jane - powiedział miękko. - Wiesz, że tak.

- Nie od ciebie.

- A kto inny ci to da? Znam tuzin mężczyzn, którzy oddaliby dusze diabłu za taką okazję. Bezpieczeństwo dla ludzi, na których ci zależy, i szansa na wzbogacenie się.

Wolność. Li Sung. Kolej...

- Nie chcę słyszeć nic więcej.

- Dlaczego? Przecież to tak pięknie brzmi.

Jane odwróciła się na pięcie i ruszyła w dół.

Ruel natychmiast znalazł się obok niej i położył rękę na jej ramieniu.

- Puść mnie! - wysyczała.

- Dopiero jak mnie wysłuchasz.

To, co usłyszała do tej pory, i tak było dla niej nieodpartą pokusą. Czowała się rozdarta.

- Przedstawiłeś już swoją ofertę - powiedziała gwałtownie. - Nie interesuje mnie.

- Jak cholera! - warknął. - Już dawno nie byłoby cię w Glencaren, gdybyś zdołała dostać gdzieś pracę. Chcesz tego tak samo jak ja.

- I opłaca ci się wpakować te wszystkie pieniądze, byle mnie tam ściągnąć?

- Tak. - Zawiesił głos. - Bo jak już będziesz na Cinnidarze, na pewno znajdę sposób na ukaranie cię. Nie będziesz mogła uciec, jak to zrobiłaś tu, w Glencaren.

Takiej właśnie odpowiedzi się spodziewała. Nie było sensu ciągnąć tego dalej. Zaśmiała się smutno.

- Dobry Boże, dlaczego więc miałabym być taka głupia i jechać z tobą?

- Podaliśmy ci już wszystkie powody. - Uśmiechnął się. - Poza jednym.

Czekała.

- Obsesja rzadko działa w jedną stronę. Zazwyczaj wymusza reakcję, a ty naprawdę reagujesz. Ty chcesz kolei i bezpieczeństwa, szczęścia dla swych przyjaciół. - Urwał. - I chcesz tego, co przeżyliśmy w Kasanpurze.

- Nie!

- To się jeszcze nie skończyło. Spróbowaliśmy tylko tyle, żeby nabrać smaku na więcej. Dopóki się nie nasycimy, nigdy nie uwolnimy się od siebie. - Jego spojrzenie było niemal pieszczotliwe, jego słowa miękkie, przekonujące, splatały wokół niej zmysłową sieć czarów. - A ty przecież chcesz się ode mnie uwolnić, prawda, Jane? Co wieczór kładłem się z tobą spać w tej chacie, tak samo jak ty kładłaś się ze mną w górach. Czy także przewracałaś się z boku na bok i przeklinałaś mnie?

Jane zwilżyła usta.

- To nie było tak. Ja nie... - Niech go szlag, znów się uśmiechał tym swoim nieśmiałym, wszechwiedzącym uśmiechem. Poczowała się nagle naga, jakby Ruel podglądał przez te wszystkie noce, kiedy nie potrafił przestać o nim myśleć.

Poczowała gwałtowną potrzebę ucieczki, odwróciła się na pięcie i pobiegła w dół. Zimny wiatr chłostał jej policzki, ale nie czuła tego.

Nie zatrzymała się, dopóki nie dobiegła do chaty. Zatrzasnęła drzwi i zaryglowała je, przebiegła przez pokój i rzuciła się na łóżko.

Była strasznie zmarznięta, drżała z zimna.

- Jane!

Zastygła ze spojrzeniem wbitym w drzwi.

- Przyjdę jutro po odpowiedź - powiedział Ruel. - Wsuwam pod drzwi kontrakt i raport Medforda. Masz do jutra mnóstwo czasu na przestudiowanie ich obu.

- Nie chcę ich oglądać!

- Ale obejrzysz je. Obejrzysz, bo pomyślisz o Li Sungu i Patricku. Bo przypominasz sobie, jak trudno kobiecie znaleźć sobie miejsce w życiu. - Dwa złożone dokumenty wysunęły się spod drzwi. - Do zobaczenia jutro, Jane.

Nie słyszała oddalających się kroków, ale wiedziała, że sobie poszedł.

Powinna odczuwać ulgę, ale tak nie było. Miała wrażenie, że Ruel jest z nią w pokoju, patrzy na nią, dotyka jej.

To się jeszcze nie skończyło...

To prawda. Nieważne, jak bardzo się okłamywała, nigdy nie była w stanie zwalczyć swoich uczuć do Ruela. Zawsze drzemały gdzieś blisko.

Niech zostanie jak jest. Nie chciała zaczynać wszystkiego od nowa. Trzy lata walczyła ze sobą, żeby wyleczyć się z miłości do Ruela. Nie wyobrażała sobie nic gorszego od uczucia do mężczyzny, który pragnie tylko ją ranie. Na samą myśl o tym zrobiło jej się niedobrze.

Ale nie mogła oderwać wzroku od dwóch papierń leżących na podłodze.

Kartauk siedział na płytach dziedzińca z zamkniętymi oczami, opierając się o kamienną ścianę stajni.

- Nie pracujesz? - spytał Ruel, podchodząc do niego. Nie wierzę własnym oczom! Jeszcze nigdy nie widziałem cię tak odprężonego.

- Właśnie skończyłem wypalanie rzeźby. Stygnie teraz. - Kartauk otworzył oczy. - Margaret mówi, że mam jechać na Cinnidar. To miłe z twojej strony, że mnie zapraszasz.

- Właśnie miałem taki zamiar. Potrzebuję cię, Kartauk.

- Cały świat mnie potrzebuje.

- Cały świat potrzebuje twojej pracy. Ja potrzebuję twojej wiedzy o Abdarze. Istnieje poważne prawdopodobieństwo, że się pojawi, a wówczas będę potrzebował twojej pomocy.

- Trzy lata upłynęły mi na unikaniu Abdara, a ty chcesz, żebym pojawił się w miejscu, gdzie nie będzie mnie mógł nie zauważyć?

- Nie jesteś dżentelmenem na emeryturze. Nie chciałbyś się całkowicie uwolnić od Abdara?

- Całkowicie? Jak sobie wyobrażasz „całkowite” usunięcie człowieka o jego pozycji?

- Cinnidar jest mój. Według wszelkich zasad jestem jego maharadzą. Jeśli Abdar podejmie próbę zawładnięcia Cinnidarem, będę miał pełne prawo potraktować go jak każdego innego najeźdźcę. - Uśmiechnął się ponuro. - I nie mam żadnych oporów przed dopilnowaniem, aby nie miał już możliwości powtórzenia próby.

- A więc mogę tu siedzieć zajmując się swoimi sprawami i pozwolić ci na pozbycie się Abdara.

- To prawda, ale jego porażka będzie łatwiejsza i pewniejsza, jeśli będę miał sprzymierzeńca, który zna naturę bestii.

- Bestii? - Kartauk delektował się przez chwilę tym słowem. - Wiesz, on naprawdę jest bestią. Zupełny potwór. - Pokręcił głową. - Nie sądzę, żeby mój wyjazd z tobą był najmądrzejszą rzeczą.

- Dlaczego?

- Z wielu powodów.

- Możesz mieć w pałacu własne studio.

- Przywykłem do tego, co mam tu.

- A przywykłeś też do pracy wyłącznie w brzozi i w drzewie?

Kartauk przyjrzał się Ruelowi dokładnie.

- Chcesz mnie przekupić?

- W nieodparty sposób. Złoty sposób. Z gotówką chwilowo jest krucho, ale złota wystarczy nawet na pokrycie twoich potrzeb.

- Będziesz moim mecenasem?

- Przecież każdy władca potrzebuje artysty do upiększania swego pałacu.

- Złoto...

- I obietnica mojej protekcji przed Abdarem.

- Stać cię na nią tylko tak długo, jak ty żyjesz.

Ruel pochylił głowę.

- Punkt dla ciebie. Ale zdecydowanie mam zamiar przeżyć Abdara.

Kartauk przez chwilę uważnie przyglądał się Ruelowi.

- To hazard.

- Tak.

- Tyle złota, ile potrzebuję?

- W rozsądnych granicach - powiedział ostrożnie Ruel. - Stać mnie na złote drzwi, ale mogę protestować, jeśli dojdiesz do wniosku, że twoja artystyczna dusza pożąda całego wagonu kolejowego.

- Będę rozsądny. - Na twarzy Kartauka pojawił się figlarny wyraz. - Nie żeby zaraz wagon pasażerski, ale może tender? - Wstał i wszedł do stajni. - Zmarnowałeś już dosyć mojego czasu. Muszę wracać do pracy.

- Jedziesz?

- A mógłbym się oprzeć? Los najwyraźniej zechciał wystawić mnie na pokusy, jakich nie umiem zwalczyć. Głowa Abdara i złoty tender?

Nie, Ruelu - powiedział Ian, starając się, by jego głos brzmiał zdecydowanie. - To nie wchodzi w rachubę. Powiedziałem ci już tyle razy, że nie opuszczę Glencaren. Dlaczego nie przyjmiesz tego do wiadomości?

- Bo jesteś głupi - powiedział z uporem Ruel. - Jaką różnicę robi ci sześć miesięcy? Myślisz, że na zawsze chcę cię pozbawić Glencaren? - Zniżył głos i mówił przekonująco: - Posłuchaj. Daj mi sześć miesięcy na wyleczenie tego kaszlu, a obiecuję, że odeślę cię z powrotem do Glencaren.

Ian pokręcił głową.

Ruel znów usiadł w fotelu.

- Czy nie jesteś przypadkiem egoistą? A co z Margaret? Chcesz ją owdowić po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiła?

Ian wykrzywił wargi.

- Czasami myślę, że byłyby to dla niej największy dar ode mnie.

- A więc mylisz się. Margaret zawsze cię kochała i zawsze będzie cię kochać. Ona chce cię żywego!

Ian westchnął.

- Wiem. Biedna dziewczyna.

- Ona się na to nie uskarża.

Głos Iana stał się nagle ostry.

- No cóż, powinna. Wyszła za męża za strzep mężczyzny, który zapewne nigdy nie będzie zdolny nawet dać jej dziecka.

- Czy tak powiedział doktor?

Ian wzruszył ramionami.

- Powiedział, że dziecko jest możliwe. Ale minęły już dwa lata.

- Dwa lata to nie tak znowu długo.

- To całe życie - odrzekł sucho Ian.

Ruel zacisnął usta.

- Przepraszam. Myślę, że dla ciebie tak.

- Nie chciałem, żeby to zabrzmiało jak uzalanie się nad sobą. Czasami nie rozumiem...

- Czego?

- Dlaczego Bóg kazał mi żyć.

- Wciąż więc poszukujesz w swojej duszy odpowiedzi. Przecież stwierdziłeś już, że to ja stanąłem na drodze przeznaczeniu.

- Naprawdę tak powiedziałem? Wybacz mi, Ruelu.

- Na Boga, nie ma nic do wybaczenia!

- Ależ tak, i ty, i Margaret macie mi wiele do wybaczenia. Bóg jest nieomylny, więc musi być jakiś powód, dla którego jestem takim ciężarem dla was. Tylko jeszcze go nie odgadłem. Kiedy nabrałem trochę sił, myślałem, że to oznacza, że mam dać Margaret dziecko. - Uśmiechnął się z goryczą. - Ale staje się jasne, że nie potrafię nawet tego.

- Ostatniej zimy byłeś bardzo chory. Kiedy znowu nabierzesz sił, może...

- Może - przerwał mu Ian. - A może Glencaren ma być moim jedynym dzieckiem? - Zmusił się do uśmiechu. - Nie powinieneś więc powstrzymywać mnie od opiekowania się moim dzieckiem, Ruelu.

- Szukasz wymówki. Wątpię, czy Bogu tak bardzo zależy na Glencaren jak tobie. - Przerwał. - Czyżbyś brał pod uwagę wykorzystanie Glencaren jako drogi ucieczki?

Ian uciekł wzrokiem.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Jeśli zostaniesz tej zimy w Glencaren, umrzesz. To grzech śmiertelny, odbierać sobie życie, Ianie.

- Ja nie... - Uniósł pełne zaskoczenia spojrzenie do twarzy Ruela. - Czy ja...?

- Skąd mam wiedzieć, do cholery? Ty mi to powiedz.

- Chyba wiesz za dużo... jak zwykle. Boże, żałuję, że przyjechałeś, Ruelu.

- Nie spodziewałem się od ciebie miłego powitania.
- To nie jest tak, że cię nie kocham. Tylko że ty...
- Jestem przeszkodą pomiędzy tobą a tym, czego chcesz - dokończył za niego Ruel znużonym głosem. - I byłem taki od chwili, kiedy wyciągnąłem cię z tego wagonu. Na Boga, jedź na Cinnidar, wylegaj się w słońcu, nabieraj znowu sił! Spróbujmy razem zrobić dla ciebie coś dobrego!

- Już i tak zrobiłeś mnóstwo dla mnie i dla Glencaren. Chyba jestem bardzo niewdzięczny.
- Nie chcę twojej wdzięczności. Chcę, żebyś przyjechał na Cinnidar.
Ian nie odpowiadał przez dłuższą chwilę.
- Przemyślę to - powiedział w końcu powoli.
- Dobrze. - Ruel wstał i podszedł do drzwi. - Odpocznij teraz, a ja przyślę Margaret z twoją kolacją.

- Nie, nie chcę...
Za Ruelem zamknęły się już drzwi, Ian ze znużeniem położył się z powrotem na poduszkach. Mądrała z Ruela, zgadł to, do czego Ian nigdy nie śmiał się przyznać nawet sobie samemu: że chciał, aby Światło zabrało go do siebie tu, w Glencaren, a nie w obcym kraju. Światło było z nim teraz prawie zawsze; czasami o nim śnił i budził się z niechęcią i zadumą, które musiał ukrywać przed Margaret.

Kochana, silna, słodka, dbająca Margaret. Nawet ona bladła i oddalała się wobec powabu Światła.

Ale Ruel miał rację, Ian nie był uczciwy. Oni wszyscy tak bardzo starali się trzymać go z daleka od Światła, że taka musi być wola boża.

Cinnidar. Nawet nazwa brzmiała egzotycznie i obco.

Ruel znalazł Margaret w gabinecie, gdzie uzupełniała księgę rachunkową.

- Ian mięknie. Nie zaszkodziłoby, gdybyś teraz do niego poszła i dodała własne argumenty do moich.

Margaret zamknęła księgę.

- Nie sądziłam, że jesteś w stanie to zrobić.
- To jeszcze nie jest pewne zwycięstwo. Czy zorganizowałaś kogoś, kto by zarządzał Glencaren w czasie mojej nieobecności?

- Timothy Drummond, syn pastora. Właśnie wrócił z uniwersytetu w Edynburgu. To zdolny człowiek, który co prawda mało wyobraźni, ale będzie prowadził nasze sprawy do mojego powrotu.

- Więc powiedz to Ianowi. Zdaje się, że on traktuje Glencaren jako swoje dziecko, które musi wykarmić i którym musi się opiekować. - Zawiesił głos. - od bardzo chce dać ci dziecko.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - spytała obcesowo - Nie potrafi mówić o niczym innym. Ale to się nie zdarzy.

- Podobno lekarz mu powiedział...

- Bo go zmusiłam, żeby okłamał Iana. Nigdy by się ze mną nie ożenił, gdyby wiedział, że nie ma szans.

- Żadnych?

- Prawie. Bóg czasami czyni cuda, ale lepiej na Niego nie liczyć.

- Niedobrze.

- Niedobrze? Jest gorzej niż źle. Chodzi nie tylko o to, że Ian obwinia się o pozbawianie mnie dziecka. Ważniejsze jest to, że dziecko dałoby mu powód do życia.

- Przepraszam, Magg... Margaret.

- Przepraszam nie pomogą Ianowi. - Wyprostowała plecy i podeszła do drzwi. - Pójdę na górę i pogadam z nim.

Li Sung. Linia kolejowa.

Jane w nieskończoność powtarzała w myślach te słowa. Dlaczego właściwie kuli się w łóżku i boi się podjąć wyzwanie rzucone przez Ruela? Przecież to tylko człowiek, taki sam jak inni. No, może niezupełnie taki sam, ale to istota ludzka, omylna. Powiedział, że chce

zemsty, ale wystarczająco dobrze go znała, by wiedzieć, że nie będzie jej oszukiwał, aby tylko wziąć odwet.

Linia kolejowa.

Matko Boska, ależ się bała! Nie miała wątpliwości, że Ruel będzie bezlitosny w każdym starciu podczas ich walki.

Linia kolejowa.

Dlaczego właściwie z góry przyjęła, że nie zdoła zebrać dosyć sił, aby pokonać Ruela? Spędziła przecież ostatnie trzy lata na przygotowaniach do obrony przed nim. Nie była już tym dzieciakiem, jakiego poznał w Kasanpurze, a gdzie jest napisane, że ma z nim przegrać?

Było już po pomocy, kiedy Jane powoli wstała z łóżka i podeszła do leżących na podłodze pod drzwiami papierów. Zapaliła lampę, usiadła i zaczęła czytać raport Medforda.

Zrobię to - powiedziała Jane następnego dnia, kiedy tylko otworzyła drzwi na pukanie Ruela. Rzuciła mu kontrakt. - Masz. Podpisałam to cholerstwo. Zatrzymam raport, żeby go dokładnie przestudiować. Jutro prześlę do zamku listę materiałów i sprzętu, jakie muszę mieć do dyspozycji zaraz po przyjeździe. Kiedy mam być na Cinnidarze?

- Tak szybko, jak to możliwe. Ja wypływam najbliższym statkiem, a Ian zgodził się dziś rano, że wyruszy w ciągu miesiąca. Możesz jechać z nim i Maggie. - Przyjrzał się jej twarzy. - Jesteś wymizerowana. Nieprzespana noc, co?

Zignorowała kpinę zawartą w tym pytaniu.

- Studiowałam raport - odparła szorstko. - Twierdzisz, że jest dokładny?

- Tak dokładny, jak tylko Medford mógł zrobić, ale zawsze zdarzają się niespodzianki.

- Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, kary nie zostawią mi prawie nic.

Ruel przytaknął.

- To prawda, ale w kontraktach są zawsze klauzule o karach umownych.

- Nawet maharadża nie nastawał na tak srogie. Obniż pierwszą karę do dwudziestu procent, a drugą do dziesięciu.

Pokręcił głową.

- Wiedziałaś od początku, że się na to nie zgodzę, bo nie podpisałabyś kontraktu. Obniżenie kar zmniejszyłoby bodźce. A ja chcę, żebyś naprawdę ciężko pracowała i ukończyła moją linię na czas.

- Chcesz, żebym harowała pod twoimi rozkazami jak niewolnik, a potem wszystko straciła.

- To też byłby sposób na ukaranie cię, nieprawdaż? - Uśmiechnął się. - Czy masz ochotę podrzeć kontrakt?

Nie miała dużej nadziei na namówienie go do zmiany warunków na lepsze, ale musiała przecież choć spróbować.

- Będzie zrobione na czas.

- A więc, jak sądzę, nie mamy już o czym dyskutować. - Skinął jej uprzejmie. - Do zobaczenia na Cinnidarze.

Patrzyła, jak odchodzi - zuchwały, twardy i obezwładniająco pewny siebie.

Ale nie da mu się onieśmielić, do diabła!

Da mu tę jego linię kolejową i złapie szansę na niezależne życie dla siebie i Li Sunga. Będzie pracowała ciężiej niż kiedykolwiek w życiu i nie zostawi sobie czasu na myśli o niczym innym.

Tym razem mandaryn nie wygra.

12

To naprawdę pałac - mruknął Li Sung, wlepiając oczy w masywną budowlę na wzgórzu. - Ale to zupełnie nie to, czego spodziewałem się po Ruelu.

Jane mimo woli zacisnęła mocniej dłonie na wodzach Bedelii, kiedy tylko zobaczyła ten wspaniały pałac. Obsadzona po obu stronach rzędami cyprysów droga wiodła do dziedzińca, którego centralnym punktem była marmurowa fontanna. Pałac był bezbłędnie symetryczny, a jego środkowa część kryta półkulistą kopułą. Przez całą długość budynku biegł wsparty na ośmiu zbiegających się łukowo kolumnach balkon, obramowany balustradą zdobioną marmurowymi, błyszczącymi w zachodzącym słońcu jak brylanty sześcianami. Cały pałac tchnął egzotycznym pięknem i... władzą. Władzą Ruela. Jak na potrzeby Jane budowla do

przesady uświadamiała, że jest to królestwo Ruela.

- Dlaczego tak myślisz? - spytała. - Ruel zawsze powtarzał, że chce mieć pałac.

- Słowa to nie czyni. Ludzie tacy jak on nie umieją poczuć się naprawdę wygodnie, jeśli otacza ich luksus. Tak samo jak my.

- Ale przynajmniej Ianowi będzie wygodnie. - Jane obejrzała się na oddalony o kilkaset jardów wielki powóz, którym Margaret, Kartauk i Ian powoli wjeżdżali pod górę. - Bardzo dobrze zniósł tę podróż, prawda? Dużo lepiej niż podróż do Szkocji.

- Teraz jest silniejszy - powiedział Li Sung głosem pozbawionym wyrazu. Wpatrywał się w pałac, mrużąc oczy przed promieniami zachodzącego na wprost nich słońca. - Chyba widzę Ruela na balkonie. Pośpieszmy się.

Człowiek na balkonie był z tej odległości tylko białawym cieniem, ale Jane też wiedziała, że to Ruel. Bezwolnie napięła mięśnie, po czym zmusiła się do ich rozluźnienia. Obawiała się tego momentu od czasu wypłynięcia ze Szkocji, a nie wolno jej okazać nawet odrobiny nerwowości, kiedy się z nim spotka.

- Jedź sam, ja zostanę przy powozie.

Chińczyk posłał jej spojrzenie spod oka.

- Nie zdołasz go unikać przez siedem miesięcy.

- Ale nie muszę się śpieszyć na jego spotkanie. Dziwię się, że ci tak pilno. Z całą pewnością nie przejawiałeś entuzjazmu, kiedy ci powiedziałam, że podpisałam kontrakt.

- Bo się bałaś. A nigdy przedtem nie widziałem, żebyś się bała.

- Nie boję się. To wspaniała szansa, to może dla nas znaczyć wszystko. Oczywiście, chciałabym, żeby poszło dobrze.

- A dlaczego obawiasz się, że nie pójdzie?

- Nie obawiam się. Czytałeś kontrakt i raport Medforda. My naprawdę potrafimy to zrobić.

Li Sung.

- A wynagrodzenie jest istotnie szczodre - dodał Chińczyk w zamyśleniu. - Zbyt szczodre.

- Za to klauzula o karach umownych nie jest taka szczodra. A Ruel będzie przestrzegał warunków kontraktu.

- Tak, chyba dotrzyma obietnicy. Przyznaję, że od kiedy tu jesteśmy, bardziej mi się podoba ta umowa. Może rzeczywiście Cinnidar jest tym rajem, w który wierzy Ruel.

- Nigdy nie mówił, że to raj - powiedziała Jane ze zdumioną miną. - A po zapoznaniu się z opisanymi przez Medforda problemami ja też tak nie uważam: dżungla, strome stoki, moczary, tygrysy, słonie...

- My naprawdę potrafimy to zrobić, Jane. - Li Sung uśmiechnął się nieśmiało, kiedy powtarzał jej słowa.

- Pobita własną bronią. - Jane nagle zrobiło się lżej na duchu. - Jasne, że potrafimy.

Dlaczego teraz bardziej ci się podoba ta umowa?

- Nie wiem. Poczulem to bez żadnej wyraźnej przyczyny. Zobaczyłem tę wyspę i ona... - Zawahał się.

- Przemówiła do ciebie?

- Nie próbuj mi wkładać w usta tak idiotycznych słów. Wyspy nie mają głosu, żeby przemawiać.

- Ruel twierdzi, że Cinnidar do niego przemówił.

- Spędził lata na poszukiwaniu złota. Bez wątpienia, kiedy zobaczył tę górę, jego instynkt poszukiwacza zmusił go do uwierzenia w tę głupotę.

- Tak, bez wątpienia. - Jane opanowała śmiech. Li Sung, jak zawsze, odrzucał mistycyzm, nawet wtedy gdy wyraźnie magnetyzm wyspy działał na niego. - A jaki instynkt przemawia przez ciebie?

- Zapewne instynkt nakazujący opuszczenie tego statku i postawienie wreszcie nóg na stałym lądzie. Nie umiejący pływać zawsze na wodzie odczuwa niepokój. - Przynaglił konia do truchtu. - Zobaczmy się w pałacu.

Uśmiech Jane zbladł, kiedy obserwowała, jak znika za zakrętem drogi. To dziwne, że i Ruel, i Li Sung odczuli tak samo magnetyzm tej wyspy. Piękno? Cinnidar był z całą pewnością śliczny, od zamglonej góry po tę niezwykłą wioskę wokół portu, ale ani Ruel, ani Li Sung nie byli ludźmi, na których zrobiłby wrażenie sam widok. Być może to efekt niemal

magicznej scenerii wyspy? Powietrze wydawało się lżejsze, łatwiejsze zdawało się oddychanie i jeszcze te zapachy... Wanilia, drzewo sandałowe, jaśmin, cedr i setki innych aromatów, zbyt subtelnym, aby je rozróżnić, wszystkie one drażniły zmysły przy każdym wdechu.

Jane zganiała się w myślach, zaczynała przecież już reagować w równie ogłupiały sposób jak Li Sung. Cinnidar jest takim samym miejscem jak każde inne, miejscem, które wykorzysta do swych celów tak samo, jak zrobił to Ruel.

- Jane!

Odrzuciła się i zobaczyła, że Margaret wychyla się z powozu.

- Daleko jeszcze? Widać już?

Jane bez słowa wskazała ręką pałac na wzgórzu.

Margaret podążyła wzrokiem za gestem Jane i oczy jej się rozszerzyły.

- Boże na niebiesiach! - Zaczęła się głośno śmiać. - Naprawdę jestem pod wrażeniem. Ale ten łotr zawsze twierdził, że tego dokona!

Dwaj ubrani na biało służący rzucili się do drzwi powozu w tej samej chwili, kiedy zatrzymał się on przed wejściem do pałacu. Moment później czterech muskularnych tubylców przyniosło podobny do tronu fotel, umocowany na czterech rzeźbionych belkach i ocieniony przez palankin kryty szkarłatnym jedwabiem. Jeszcze inny sługa złapał wodze Bedelii i doprowadził ją wraz z Jane do belki, obok której Ruel stał z Li Sungiem. Ruel ubrany był na biało, a jego garnitur i koszula były równie eleganckie jak pałac, który stał się teraz jego domem.

Skinął uprzejmie głową.

- Jane. - Podszedł bliżej i zdjął ją z klaczy. - Witam na Cinnidarze.

- Dziękuję. - Przez bawełnę koszuli Jane odczuła ciepło jego rąk i ciało jej przeszło lekkie, zmysłowe doznanie. Szybko odstała, wyrывая się z jego ramion. Za szybko. Z jego baczego spojrzenia wywnioskowała, że ujawniła wszystko to, co chciała tak rozpaczliwie ukryć. Pogorszyła jeszcze sytuację, mówiąc pośpiesznie: - Nie zauważyłam śladu torów Medforda na drodze z portu.

- Myślisz, że cię okłamałem? - spytał, unosząc brwi.

- Nie powiedziałam tego.

Ruchem głowy wskazał na zachód.

- Obóz Medforda jest o milę poniżej tego deszczowego lasu. Spotkacie się podczas kolacji. - Odwrócił się i podszedł do powozu.

Kartauk już wysiadł i właśnie obcesowo rozsuwał służących na boki.

- Ja go wyjmę. Jest do mnie przyzwyczajony. - Pochylił się w głąb powozu i po chwili pojawił się z Ianem w ramionach. Ostrożnie usadził go na wyściełanym fotelu i okrył jego kolana jedwabną narzutą. - No i gotowe. - Uśmiechnął się. - Kiedy ostatni raz widziałem taki fotel, siedział na nim maharadza, którego z ogromnym szacunkiem noszono po królewskim ogrodzie. Ty wyglądasz w nim znacznie lepiej.

- Ale czuję się jak ostatni idiota - powiedział z zakłopotaniem Ian. Oparł się powoli. - Ale trzeba przyznać, że jest wygodny.

- A tylko to się liczy. - Ruel przyjrzał się twarzy Iana. - Jak zniosłeś podróż?

- Wiedziałbyś to, gdybyś zadał sobie trud powitania nas w porcie - odrzekła zamiast Iana Margaret, której właśnie służący pomagał wysiąść z powozu. - Myślałam, że będziesz na tyle uprzejmy i wyjdiesz po nas osobiście, zamiast wysyłać do portu tę zgrają służących. W końcu jesteśmy tu na twoje żądanie.

- Czuję się zbesztany. - Ruel zamrugnął oczami. - Rozumiem, że nie ma dla mnie wymówki, ale uważam, że powinienem wyjaśnić. Sam wróciłem z góry do pałacu dopiero godzinę temu. Byłabyś bardziej zdegustowana, gdybym was powitał w takim stanie, w jakim wówczas byłem - brudny i śmierdzący.

- Powinieneś być więc zorganizować wszystko tak, żeby wrócić wcześniej. - Margaret spojrzała na powóz. - Muszę jednak przyznać, że powóz jest wygodny, a służący chętni do pomocy.

- Cieszę się, że moje skromne wysiłki nie poszły na marne. - Wskazał ręką na wysokiego,

złotoskórego Mężczyznę, który właśnie wyszedł z pałacu. - To jest Tamar Alkanar. Sprowadziłem go ze wsi, żeby doglądał Iana.

Tak jak i inni służący, Tamar nosił sandały i białą kurtkę do pasa, jego wąskie biodra zaś były owinięte kolorowym materiałem, sięgającym do połowy łydek, co przypominało sarong. Na nadgarstkach obu rąk miał szerokie, mosiężne bransolety. Z uprzejmym uśmiechem pochylił głowę w ukłonie.

- Jestem szczęśliwy, mogąc was powitać. - Skłonił się nisko przed Ianem. - Bądź pewny, panie, że będę służył ci dobrze i spełnię każde twoje życzenie.

Margaret z gracją skinęła mu głową, ale natychmiast odwróciła się do Ruela.

- Nie potrzebujemy go. Jock został w porcie, żeby dopilnować rozładunku bagaży, ale Ian będzie wolał...

- Jock nie zna tutejszego języka - przerwał jej Ruel. - Będziesz potrzebowała Tamara, żeby nadzorować pracę innych służących.

- I żeby chronił cię przed hordami pogan - mruknął Kartauk, posyłając Margaret kosy uśmiech. - Oni uwielbiają jeść cnotliwe Szkotki.

- To by mnie wcale nie zdziwiło. Ale skoro przetrwałam trzy lata twoich barbarzyństw, nie będę chyba miała kłopotów z poradzeniem sobie z tymi ludźmi. - Zaczęła wspinać się po schodach i skinęła na tragarzy. - Chodźcie, ale ostrzegam was, delikatnie z nim. To nie jest worek ryżu!

- Będą ostrożni. Nie dopuszczę do tego, aby panu stała się jakaś krzywda - powiedział poważnie Tamar. Jego gruby, lśniący warkocz z furkotem przeleciał mu na plecy, kiedy podbiegł po schodach do wysokich, rzeźbionych drzwi i otworzył je przed gośćmi. Po chwili Kartauk, Margaret i procesja z Ianem zniknęli w pałacu.

Ruel zwrócił się do Jane.

- Tamar wróci za kilka minut i zaprowadzi ciebie i Li Sunga do waszych pokoi. Uznałem, że Ian powinien być obsłużony najpierw.

- Oczywiście.

- Może tymczasem pójdziecie ze mną na taras z tyłu pałacu i rzucicie okiem na resztę wyspy? Pałac stoi dokładnie nad kanionem. - Nie czekając na odpowiedź, poprowadził ich na wielopoziomowy taras, wykładany kobaltową i szmaragdową mozaiką. Z tarasu na taras ściekała leniwie woda z ozdobnej fontanny, zbierając się w basenach otoczonych drzewkami jaśminu.

Ruel przeprowadził ich obok kilku lśniących basenów przez wspaniałą ogród, a potem wspięli się po trzech stopniach na kolejny taras.

- Widok na kanion jest naprawdę wspaniały... i onieśmielający.

- Bardziej niż Wąwóz Lanpur? - spytał Li Sung.

Ruel zatrzymał się przy ozdobnej, kamiennej balustradzie.

- Sam zobacz - odrzekł.

Stali na krawędzi stromego zbocza, które opadało setki stóp w dół do doliny, pokrytej, jak okiem sięgnąć na wschód i zachód, gęstym dywanem zielonej dżungli. Na północy majaczyły masyw góry, a jej zbocza przerażały taką samą stromizną jak ta, na której stali.

- Raport Medforda mówi, że od ścian kanionu do podnóża góry jest ponad sto mil. Stąd nie wygląda na to, żeby było tak daleko.

- Ręczę ci, że wydaje się dużo dalej, kiedy człowiek przedziera się przez dżunglę - odparł sucho Ruel.

Jane w to nie wątpiła.

- Czy ta góra nie ma nazwy?

- A po co? Jest tylko jedna. - Uśmiechnął się. - Nie ośmieliłbym się nadać jej nazwy.

Jane przypomniała sobie nagle, że to samo mówił o swoim lisie. Nie nadał mu imienia z tego samego powodu.

- Mogłaby się poczuć urażona, a jest dla mnie bardzo dobra - kontynuował Ruel. W jego słowach pobrzękiwała nuta uczucia i odcień dumy posiadacza, czego nie odczuwało się, kiedy maszerował przez wspaniałości pałacu.

To nie jest człowiek, któremu naprawdę będzie wygodnie w pałacu. Tak jak nam.

Li Sung miał rację.

- Rzeka też nie ma nazwy - dodał Ruel.

- Rzeka? - Jane wpatrzyła się z powrotem w dżunglę.

- Nie widać jej stąd, bo zasłaniają drzewa. Płynie z południa na północ, zakręca na wschód i wpada do morza

- Mówisz, że twoja góra była dla ciebie taka dobra a jednak po trzech latach wydobywania złota niezbyt przybliżyłeś się do swojego celu.

Ruel wzruszył ramionami.

- Góra dała mi możliwość. Nie można prosić o więcej. Nie miałbym takiej satysfakcji, gdybym nie musiał ciężko pracować. - Skrzywił się. - A zapewniam cię, że musiałem.

Jane dokładnie rozumiała, co miał na myśli. Nie ma na świecie większej przyjemności niż szczęśliwe zakończenie pracy wbrew przeciwnościom. To zawsze dawało jej...

W jej głowie zabrzączał nagle dzwonek alarmowy. Nie wolno dopuścić do takich odczuć, takiego pokrewieństwa uczuć.

Szybko przeniosła spojrzenie z góry na dżunglę na wschodzie.

- Spodziewałam się zobaczyć morze. Wyspa musi być szersza, niż myślałam.

Ruel przytaknął.

- Ma trzysta mil szerokości i sześćset długości. - Wskazał na zachód. - Ale tam można dojrzeć lekki odblask od powierzchni morza.

- Czy można stąd zobaczyć tę drogę, którą wykarczowałeś w dżungli?

Ruel pokręcił głową i pokazał ręką na południe.

- Jest tam, za drzewami. Masz zamiar kłaść tor na ścieżce dla mułów?

- Jeśli to tylko możliwe. Będzie trzeba ją poszerzyć, wykarczować więcej drzew, ale to już jakiś początek. Co z moim zaopatrzeniem?

- Kazałem ludziom Medforda przetransportować je do obozu na górze. Widzisz, jaki jestem pomocny?

- Och, z pewnością to chciwość, a nie dobra wola.

Zaśmiał się.

- Masz rację.

- Wyruszymy w stronę góry jutro rano. Potrzebna mi mapa.

- Sam pójde z wami i poprowadzę was aż do góry.

- To niepotrzebne - powiedziała Jane w napięciu. - Nie chcę, żebyś cierpiał niedogodności.

- To nie jest dla mnie niedogodność. I tak muszę wracać do obozu. Przyjechałem tu tylko po to, żeby dopilnować ulokowania Iana. - Uśmiechnął się. - Korzystaj z pomocy, bo jak już dotrzemy do góry, twoja praca się oficjalnie zaczyna i nic więcej ode mnie nie dostaniesz.

- Niczego nie oczekuję.

- Nawet tłumacza? Musisz jakoś wyjaśnić robotnikom, o co ci chodzi.

- Medford zapewne mi kogoś poleci.

- Tamar ma kuzynkę, która już jest w obozie. Dilam pracowała kiedyś jako nadzorca dla Medforda, jest lubiana przez Cinnidarian i zna się na słoniach.

- Potrzebuję kogoś, kto zna się na kolei, a nie na słoniach.

- Wiedza i o jednym, i o drugim może okazać się korzystna. Ta dżungla przez wieki była domem dla stad słoni. A one nie lubią intruzów.

Jane zmarszczyła czoło.

- Raport Medforda wspominał o słoniach, ale nie mówił o jakichś szczególnych problemach. W każdym razie biorę Dilam, jeśli tylko jest kompetentna.

- Och, wyjątkowo kompetentna.

- I lojalna wobec ciebie?

- Ależ jesteś podejrzliwa. Dilam nie będzie szpiegiem w twoim obozie. Cinnidarianie to bardzo niezawisły lud. Nawet ja nie mogę kupić ich lojalności.

- To musi cię bardzo martwić.

- Nie, właściwie mi to odpowiada. - Obejrzał się na Li Sunga i odezwał się głośnie: - Cinnidarianie tak jak ty lubią warkocze. Li Sung.

- Co? - Li Sung odwrócił się od balustrady, a Jane znów zauważyła ten wyraz zadurzenia, jaki nosił na twarzy od chwili wylądowania na Cinnidarze. - O, tak, zaważyłem po drodze z wioski. To dowodzi, że są naprawdę wspaniałymi ludźmi.

- Zgadza się - przystał Ruel.

- Są też wyjątkowo przystojni, chociaż nie przypominają Hindusów. Ich skóra ma bardziej złotawy kolor są wyżsi i bardziej krzepcy niż większość Hindusów, jakich widziałem w Kasanpurze. Czy są mieszanej krwi?

Ruel zaprzeczył ruchem głowy.

- Tamar mówi, że Cinnidarianie pochodzą z Polinezji z mórz południowych, a tu się tylko kiedyś osiedlili. Prapradziadek Abdara bardzo brutalnie podbił wyspę, a Cinnidarianie nie chcieli mieć nic do czynienia z Savitsarami czy ich ludźmi. Przenieśli wszystkie swoje wioski z wybrzeża do dżungli w kanionie. A ponieważ kanion jest prawie niedostępny, nikt ich od tamtej pory nie niepokoił.

- Bardzo rozsądnie. - Li Sung zaczął się już z powrotem odwracać do balustrady, kiedy jego uwagę przykuło coś jeszcze. - Kto tam mieszka? - spytał, wskazując na śliczny budynek w kształcie pagody, pokryty niebieską dachówką, stojący niedaleko od tarasu.

- Nikt. To letni domek. Kazałem go zbudować, żeby mieć schronienie na wypadek, kiedy będę miał dość pałacu. - Uśmiechnął się do Jane. - Nie korzystałem z niego jeszcze, ale sądzę, że to się niedługo zmieni. - Odwrócił się, zanim zdążyła się odezwać. - O, jest Tamar. Jeśli mi wybaczyacie, spotkamy się przy kolacji.

Jane odetchnęła z ulgą, kiedy Ruel oddalił się w kierunku pałacu. Poza pierwszą chwilą po przyjeździe zachowywał się uprzejmie i z humorem, jak gospodarz witający swych honorowych gości. Nie miała wątpliwości, że to wkrótce się skończy, ale z wdzięcznością przyjmowała każde wytchnienie przed czekającą ją harówką.

- Co wiesz o słońiach? - spytała Li Sunga, kiedy szli za Tamarem do pałacu.

- Słońiach?

- Ruel uważa, że mogą stanowić problem. Nie słyszałeś, co mówił?

- Nie, myślałem o czym innym. Jedyne, co wiem o słońiach, to że ich nie lubię.

- Dlaczego?

- Mają bardzo duże nogi. - Widząc, że nadal go nie rozumie, dodał: - Kalecy szczególnie boją się stworzeń dużymi nogami. Czasami niełatwo nam uciec im z drogi.

Jane zachichotała.

- To będziemy musieli uważać, żebyś się do nich nie zbliżał.

- Tylko o tym marzę.

Jeśli wolno mi wyrazić taką opinię, jesteś cholernym głupcem, Ruel - powiedział nie owijając w bawełnę James Medford.

Ruel zachichotał.

- I tak by mi nic nie dało, gdybym ci zabronił to mówić. Nie musisz akceptować panny Barnaby, musisz tylko być gotowy, na wypadek gdyby potrzebowała informacji lub porady.

Medford spojrział spod oka.

- Zapewne znaczy to, że mam wybudować całą tę cholerną linię sam i w dodatku nie dostanę za to pieniędzy.

- Kiedy już poznasz tę damę, sam zauważysz, że nie jest ona tym typem, który cię zechce wykorzystywać. - Skinął na służącego, żeby uzupełnił ubytek w szklance Medforda. - Jak idzie twoja praca?

- Nieźle. - Medford jednak nie dał się zbić z tropu. - Dobry Boże, nie wystarcza ci to, co zrobiła z linią w Kasanpurze?

- Wiedziałeś o tym? - spytał Ruel, sztywniejąc.

- Pickering mi powiedział.

- Nie wspominałeś o tym.

- Bo nie było szans, żebyś zmienił zdanie i pozwolił ci zrobić całą linię.

- Robisz się chciwy. - Ruel podniósł szklaneczkę do ust. - Chociaż nie powinienem ci tego wytykać, skoro sam ostatnio zostałem oskarżony o to samo.

- Czyżby? Kto ośmielił się podjąć ryzyko obrażenia białego radzy Cinnidaru?

- Jane Barnaby.

- Ciekawe. Przynajmniej jestem teraz pewien, że ni używała pochlebstw, żeby cię nakłonić do wynajęcia jej

- Ona nawet nie wie, co to znaczy pochlebstwo.
- No cóż, mam więc taki sam zgryz, jak na początku Dłaczego, do cholery, wynajęłaś ją do...
- przerwał w połowie zdania, wpatrzony w drzwi po drugiej stronie ogromnej jadalni. - Czy to jest właśnie nasza panna Barnaby?

Ruel spojrział w tym samym kierunku i dojrzał w świetle kandelabrow związane w warkocz rude włosy.

- Tak, to jest... - urwał, drętwiejąc z zaskoczenia, kiedy dojrzał całą sylwetkę Jane.

Miała na sobie prostą białą sukienkę z przejrzystego materiału, obnażającą ręce i ramiona, podkreślającą szczupłość jej talii i krągłość piersi. Po raz pierwszy od czasu, kiedy Ruel ją poznał, wyglądała tak kobieco.

- Nieważne... - mruknął Medford.

Ruel siłą oderwał wzrok od Jane i zwrócił oczy na wpatrującego się weń Medforda.

- Co? - spytał nieprzytomnie.

- Nie musisz mi już mówić, dlaczego dałaś jej tę robotę - powiedział Medford, wskazując oczami dolną część ciała Ruela. - Nie można tego wyrazić jaśniej.

Psiakrew, wystarczyło jedno spojrzenie na tę kobietę, a już był gotów jak ogier stojący koło klaczy.

- Przyprowadzę ją i przedstawię cię - powiedział szorstko.

- Nie śpiesz się. Nie palę się do poznania tej twojej małej...

Ruel nie dosłyszał reszty zdania, bo nie spuszczać oczu z Jane przeszedł już na drugą stronę pokoju. Jej twarz pokrywał delikatny rumieniec i patrzyła na Ruela z obawą w oczach. Tak, powinna się obawiać. Ruel chciał dotknąć jej skóry, pogłaskać jej nagie ramiona, sięgnąć pod suknię i objąć jej piersi. Właściwie dlaczego nie. Dopiero co Medford nazwał go ironicznie radzą do Cinnidaru, ale ta władza była rzeczywista. Mógł przecież kazać ją sprowadzić do swojego pokoju i zrobić z nią, co mu przyjdzie do głowy. Mógłby rozwiązać ten warkocz i bawić się jej włosami. Mógłby ją rozebrać z tej sukni, rozsunać jej uda i ruszyć...

Zatrzymał się przed nią.

- Dobry wieczór. Nie spodziewałem się takiej elegancji. Wyglądasz... wyjątkowo.

- I to cię złości?

- Nie złość... - A jednak był zły. Zdał sobie nagle sprawę, że jest zły i sfrustrowany, bo nie weźmie jej tej nocy. Gwałt nie pozwoliłby mu pozbyć się tej przeklętej obsesji na jej tle. Jane musi sama do niego przyjść, pobita i pokonana. Spróbował się uśmiechnąć.

- Nigdy przedtem nie widziałem cię w sukience. Zaskoczyłaś mnie.

- Margaret mi ją dała. - Jane rozejrzała się po pokoju. - Gdzie ona jest?

- Przysłała wiadomość, że Ian jest zbyt zmęczony, żeby przyjść na kolację, i że zjedzą sami w pokoju. - Spuścił wzrok na jej nagie ramiona. - Jak zwykle gust Maggie jest bez zarzutu. Jak zdołała cię przekonać do włożenia takiego ubrania?

Jane wzruszyła ramionami.

- Zawsze nalegała, żebyśmy się przebierali do kolacji w zamku, i twierdziła, że w związku z tym słuszne byłoby, żeby to ona dobierała odpowiednie ubrania dla Li Sunga, Kartauka i dla mnie.

Kiedy wzruszała ramionami, stanik sukni obsunął się nieco, ukazując jedwabiste ciało jej piersi. Ruel poczuł bolesne poruszenie w kroczu.

- Dziwi mnie, że posłuchałaś jej tyrad i zgodziłaś się to włożyć.

- Margaret mówi, że suknia nie czyni kobietą, tak jak godnie nie czynią mężczyzną. Są po prostu wskazówkami podkreślającymi różnice, a nie wyższość.

- Stałaś się niezwykle ugodowa. Bardzo się zmieniłaś od czasu opuszczenia Kasanpuru.

- Przyjęcie rozsądnej rady to nie ugodowość. Oczywiście, że się zmieniłam. Tylko dumie nie wyciągają wniosków z upływu czasu. - Urwała, a potem dodała zniecierpliwiona: - Tyle hałasu o sukienkę?

- Nie podoba mi się.

Zaczerwieniła się.

- Sukienka czy fakt, że nie jestem już tym dzieckiem które poznałaś w Kasanpurze?

- Nie byłaś dzieckiem. Nawet wtedy byłaś bardzo - opuścił oczy na jej piersi - dojrzała.

Jej rumieniec pogłębił się.

- A więc cóż złego jest w mojej sukience?

Ruel nagle uświadomił sobie, że to nie sama sukienka lecz fakt, iż nie on ją dał. To Margaret przekonała Jane do zrzucenia męskich ciuchów, a teraz Ruel dyszał zawiścią, równie nierozsądną, co gwałtowną.

- Jest zbyt poważna i skromna. Szczegółowo obmyśliłem nasze spotkanie, włączając w to sposób, w jaki zamierzam cię ubrać. Chcesz, żebym ci o tym opowiedział?

Jane z trudem wciągnęła powietrze.

- Nie, jestem tu po to, żeby się spotkać z Medfordem. Jak sądzę, to właśnie on stoi obok drzwi na taras?

- Tak, to James. Niestety, on nie pała chęcią poznania ciebie.

- Dlaczego?

- Bo myśli, że wynająłem cię do tej pracy tylko dlatego, że jesteś moją kochanką.

Zacisnęła usta.

- I, oczywiście, nie wyprowadziłeś go z błędu?

- A dlaczego miałbym to zrobić? Jestem szczerym człowiekiem, a to jest jeden z powodów.

- Jestem tu, żeby wybudować linię kolejową.

- Ale ja mam również zamiar uczynić cię moją kochanką. Kochanka to tylko pokorne stworzenie, mające przynosić swemu panu rozkosz i korzyć się przed nim. Nie podobałoby ci się to, co?

Dostrzegł na jej twarzy płomień wściekłości, ale jej głos się nie zmienił.

- Nie muszę się martwić czymś, co się nie przydarzy.

- Ale wiedziałaś, że przeznaczyłem dla ciebie taką rolę, zanim jeszcze wyjechałaś z Glencaren. Byłem wobec ciebie uczciwy. Chcę, żeby Cinnidar cię pokonał, a potem ja zrobię to samo.

- Nie dostaniesz, czego chcesz. - Wróciła wzrokiem do Medforda. - Niech cię szlag trafi, mogłeś mu powiedzieć, że jestem kompetentna w tym, co robię.

- Będziesz jeszcze bardziej kompetentna, kiedy będę miał okazję cię wyszkolić.

- Miałam na myśli... - Wciągnęła powietrze i powoli je wypuściła. Powiedziała spokojnie: - Wiesz dobrze, co miałam na myśli. Przedstawisz mu mnie, czy masz sama to zrobić?

- Tak, przedstawię cię. - Odwrócił się i poprowadził ją przez pokój. - Zapewniłem ci jego współpracę, ale nie spodziewaj się, że będę cię wspomagał. To bitwa, którą musisz sama stoczyć.

- Nigdy nie popełnię tego błędu. Nigdy nie uwierzę, że mógłbyś mi pomóc, jeśli tylko będziesz miał możliwość uniknięcia tego.

Jego słowa nią wstrząsnęły, ale robiła, co mogła, żeby tego nie dostrzegł. Traktowała go z takim chłodem i oziębłością, że odbierał to jak wbijanie cierni.

- Wiesz, że ten letni domek wybudowałem dla ciebie. - Nie chciał jej tego mówić już teraz, ale musiał w jakiś sposób ją dotknąć. - Chciałem mieć miejsce, gdzie będziesz tylko dla mnie.

Nie odpowiedziała, ale dojrzał czerwień jej rumieńca i przyśpieszone unoszenie piersi w oddechu.

Jeszcze mało.

- Złoto - powiedział.

- Co? - spytała, patrząc na niego z zaskoczeniem.

- Ubiorę cię w złoty jedwab - odrzekł miękko. - W suknię, która odsłoni twoje piersi i nogi.

Masz piękne nogi.

- Zamilcz - powiedziała chrapliwie.

- Pamiętam, jak sterczą twoje sutki, kiedy je wypuszczam z ust. I jakie twarde są na moim języku. A ty pamiętasz?

- Nie.

- Natychmiast każe zacząć pracę miejscowej szwaczce. Złoto będzie piękne przy twoich rudych włosach.

- Zmarnujesz tylko pieniądze. Do niczego nie dojdzie.

- Owszem, dojdzie. - Zatrzymał wzrok na jej piersiach. - Twierdzą nawet, że już się zaczyna

dziać. Jak to ujął James, będę miał bardzo niewygodny wieczór.

Wbrew sobie spojrzała na jego krocze i szybko odwróciła wzrok.

- Widzisz? - powiedział miękko. - Już się zaczyna i prędko się nie skończy. - Zatrzymali się przed Medfordem. Ruel uśmiechnął się i spytał uprzejmie: - James, czy mogę ci przedstawić pannę Jane Barnaby? Myślę, że się nią zaopiekujesz? Ja pójdę sprawdzić, co zatrzymało Li Sunga i Kartauka.

Jesteś wytracona z równowagi - zauważył Li Sung, kiedy wraz z Jane wychodził z jadalni. - Obserwowałem cię przez cały wieczór, kiedy rozmawiałaś z Medfordem. Czy on jest głupcem?

- Nie, sądzę nawet, że może się okazać bardzo mądrym człowiekiem. - Zmarszczyła nos. - Chociaż myśli, że ja jestem małym głupkiem, a to może spowodować trudności, których wolałabym uniknąć.

- Wkrótce zauważy swój błąd. Czy powiedział ci coś, co moglibyśmy wykorzystać?

Przecząco pokręciła głową.

- Twierdzi, że wszystko, czego się dowiedział, jest w raporcie. Ale wspomniał coś o słoniach.

- Co?

- Powiedział, że Cinnidarianie oddają im cześć i skrzywdzenie słonia może spowodować kłopoty.

- Czyli że mamy spokojnie stać i pozwolić im stratować nas tymi wielkimi nogami?

Jane wzruszyła ramionami.

- Może nie mamy się czym martwić. Będziemy walczyć z tym kłopotem, kiedy będziemy do tego zmuszeni. Medford twierdzi, że kiedy zbierał materiały do raportu, zaledwie parę razy mu mignął jakiś słoń. - Ziewnęła, zasłaniając usta dłonią. - Ale teraz mam zamiar wyrzucić wszystko z pamięci i porządnie się wyspać. Masz wygodny pokój?

- Wspaniały. Dostałem nawet dwóch służących, żeby dbali o moje życzenia. Jestem tym wszystkim przytłoczony.

- Zapewne taki był zamiar naszego gospodarza.

- A może Ruel chce nas trochę rozpieścić, zanim odda nas na pastwę tej góry złota? - Skrzywił się. - I tych wielkonogich potworów.

- Może. - Znużyły ją już ciągle próby odgadnięcia przyczyn postępowania Ruela, a jeszcze bardziej męczące było to nieznośne napięcie, jakie ogarniało ją zawsze, kiedy była w jego towarzystwie. Ten wieczór był okropny; siedzieć w tym bogato ozdobionym pokoju, upstrzonym lśniącoymi złoceniami i przypominającym na każdym kroku o władzy Ruela. Przez cały wieczór Jane wyczuwała w Ruelu gwałtowność i gniew, skryte pod uprzejmym uśmiechem. Nie miała pojęcia, co go tak podminowało, ale wyszła z tego spotkania zmęczona i przestraszona. Nie mogła się już doczekać, kiedy wreszcie będzie na tej górze, wolna od niego aż do ukończenia pracy. - Medford mówi, że podróż do obozu zabierze nam trzy dni i że Ruel zwykle nocuje na Ścieżce Słoni.

- Ścieżka Słoni - powtórzył burkliwie Li Sung.

- O tym była mowa w kontrakcie?

Przytaknęła.

- Tor do tego miejsca ma być ukończony w osiem tygodni.

- A tak, kary umowne. Stracimy część wynagrodzenia, jeśli przekroczymy termin, tak?

- Pięćdziesiąt procent.

Chińczyk zagwizdał przeciągle.

- Ale to nieważne. I tak to zrobimy. Jutro wieczorem skorzystamy z okazji i obejrzymy sobie to miejsce. - Zatrzymała się przed drzwiami swego pokoju. - Dobrej nocy. Li Sung.

- Dzięki. - Jego głos był pozbawiony wyrazu.

13

Ruel zsiadł z muła i zaczął rozwiązywać rzemienie toreb.

- Do zachodu słońca została jeszcze godzina. Ja rozbiję obóz, a ty i Li Sung rozejrzyjcie się.

- Niewiele chyba jest do oglądania. - Jane popatrzyła wokół. Byli na polanie średnicy około pół mili, pozbawionej zupełnie śladów roślinności, wyłączając kilka powyrywanych z ziemi,

butwiejących drzew. - Dlaczego to się nazywa Ścieżka Słoni?

- Z wyjaśnień Dilam wynika, że słonie z reguły trzymają się wschodniej strony wyspy, ale czasami jeden lub dwa, a nawet i całe stado, przenoszą się na zachód, i wtedy idą tędy.

- Dlaczego więc wyciąłeś swoją drogę dokładnie przez tę polanę?

- To mi zaoszczędziło jakieś pół mili karczowania - odrzekł Ruel i wzruszył ramionami. - Przez cały ten czas, kiedy prowadziłem z góry karawany mułów, nie widziałem ani razu słoni. Gdybym się kiedykolwiek natknął na stado, zapewniam cię, że cofnąłbym się i przepuścił je przodem.

Jane zmarszczyła czoło w namyśle.

- Nie mogę kłaść tutaj torów, skoro istnieje prawdopodobieństwo zniszczenia ich przez słonie. Będę musiała obejść tę polanę łukiem.

- To zabierze ci więcej czasu - powiedział Ruel z uśmiechem.

Była pewna, że Ruel od początku wiedział, iż nigdy nie zaryzykuje położenia torowiska w poprzek tej polany.

- Nadrobię stracony czas gdzie indziej - odrzekła.

- Dlaczego one się przenoszą? - zapytał nagle Li Sung.

Oboje spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Słonie - wyjaśnił. - Powiedziałeś, że tylko od czasu do czasu wędrują na zachód. Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Dilam mówi, że Cinnidarianie nie niepokoją słoni, a słonie też dają im spokój.

- Ale skoro wiedzą już tyle, że słonie wędrują na zachód, dlaczego nie znają przyczyn tych przenosin?

- Dlaczego tak się nimi interesujesz?

- Bez powodu. - Li Sung powoli i z grymasem bólu zsiadł z muła i zaczął go rozkulbaczać. - Dobrze jest zsiąść z tego stworzenia. Uważałem jazdę konną za niewygodną, dopóki nie wsiadłem na to zwierzę.

- Dałbym ci konia, ale krok muła jest pewniejszy na tym wąskim zejściu do kanionu.

- Będziemy musieli wysłać robotników, żeby je poszerzyli - powiedziała Jane.

- To nic nie zmieni. Jazda na każdym zwierzęciu jest niewygodna, kiedy się ma taką nogę. - Li Sung sztywno zrobił kilka kroków po polanie. - Rozejrzę się w terenie i zobaczę, czy możliwe jest wytyczenie innej, bezpieczniejszej trasy.

- To dzielny człowiek - powiedział Ruel, patrząc za Chińczykiem. - Dużo bardziej wartościowy fachowiec niż ten twój Patrick. - Uśmiechnął się kpiąco do Jane. - Dziwię się, że go tu nie przywiozłaś.

- Przeszkadzałyby tylko.

- Jak zawsze, co? A jednak wciąż się o niego troszczysz. Dlaczego?

Jane rozsiadła swojego muła i rzuciła siodło na ziemię.

- Nie mogę inaczej. Kiedy człowiek się o kogoś troszczy, przyzwyczajają się do tego... staje się...

- Opiekuńczy.

- Co takiego?

- Nic wielkiego, tak cię po prostu określił kiedyś Kartauk. To niebezpieczna słabość.

Jane przypomniała sobie, że Kartauk też ją kiedyś przed tym ostrzegł, ale dopiero później, jak sam już wykorzystał tę „słabość”.

- Nie mam czasu na takie rozmowy. - Ruszyła przez polanę. - Idę za Li Sungiem.

- Dlaczego mu nie kazałaś na siebie zaczekać?

- Potrzebował trochę samotności. Podróż była ciężka, a on nie lubi, żeby ktoś oglądał go, gdy cierpi.

- Nawet ty?

- Ja mam takie same odczucia - odrzekła, patrząc mu w oczy. - I ty też.

Odwróciła się i szybko poszła za Li Sungiem.

Wrócili do obozowiska już po zapadnięciu nocy, wiedzeni zapachem smażonego bekonu i światłem ogniska. Ruel siedział w kucki przy ogniu, trzymając patelnię w rękę. Podniósł na nich wzrok i szybko rozdzielił plasterki bekonu na trzy blaszane talerze, na których czekała

już fasola i suchary.

- No i jak, wytyczyliście nową trasę?

- Można by pójść na północ stąd - odparł Li Sung, biorąc talerz i siadając. - Ale ściemniło się, zanim zdołaliśmy dokładnie wszystko obejrzeć.

- Nieważne. Później będziemy mieli na to mnóstwo czasu. - Jane usiadła i zaczęła jeść. - Li Sung, mógłbyś wziąć jedną brygadę tutaj, a ja bym nadzorowała początek szlaku na górze.

- Nie przewidujesz żadnych większych opóźnień? - spytał Ruel.

- Nic nie do pokonania - odparła, patrząc mu w oczy.

Ruel uśmiechnął się.

- Czasami zdarzają się takie opóźnienia, których nie da się kontrolować. Zobaczymy.

- Co to było? - wtrącił Li Sung, podnosząc głowę i bacznie nasłuchując. - Coś słyszałem.

Tym razem Jane też to usłyszała, słabe i odległe...

- To tylko trąbienie słonia - wyjaśnił Ruel. - Czasami dociera aż tu.

- Sądziłam, że to będzie brzmiało dziko - powiedziała Jane. - A to jest... smutne, zagubione.

Li Sung posłał jej surowe spojrzenie.

- Ten słoń nie jest ani smutny, ani zagubiony - powiedział. - I nie potrzebuje twojej pomocy.

Ruel zaśmiał się.

- Nie jest też niebezpieczny. Jest daleko.

- Niewystarczająco daleko - przerwał mu Li Sung. - Wolałbym ich ani nie widzieć, ani nie słyszeć.

- Li Sung nie lubi słoni - wyjaśniła Ruelowi Jane.

Li Sung pokręcił głową i zwrócił się do Ruela.

- Jane w bardzo uprzejmy sposób usiłuje zamaskować moje prawdziwe uczucia. To nie tak, że ja nie lubię słoni. - Zawahał się. - Boję się ich. - Urwał. - I zazdroścę im.

- Zazdrościsz? Czego? - Ruel nie zrozumiał.

- Siły. Władzy. Są potężniejsze od wszystkich innych zwierząt na ziemi. Słabi zazdroszczą silnym. Ja zawsze byłem traktowany gorzej ze względu na rasę i kalectwo. - Spojrzał na Ruela. - Tobie też zazdroścę. Ty też masz teraz władzę.

- Władzę zawsze można stracić, jeśli się jej nie strzeże.

- Ale ty już wiesz, jak to jest ją mieć. To coś, czego ja nigdy nie poznam.

- Poznasz - wtrąciła szybko Jane, ocierając ukradkiem łzy, których nie wolno jej było ukazać. - Zobaczysz, Li Sung. Kiedy już będziemy mieli własną linię kolejową, będziesz otoczony szacunkiem i...

- To nie to samo. To władza, którą ty mi dasz, a nie taka, którą sam sobie wywalczę. - Postawił talerz na ziemi. - Chyba pójdę już spać. Możesz pozmywać, Ruelu.

Ruel skrzywił się.

- I tyle z tej mojej osławionej władzy. Czy mogę zauważyć, że do tej pory sam wszystko zrobiłem?

- To kwestia odpowiedzialności tych, którzy mają władzę. Muszą się opiekować słabszymi od nich. - Chińczyk wsunął się do swojego śpiwora i odwrócił plecami. - Poza tym tak jest sprawiedliwie.

Ruel zwrócił wzrok na Jane. Zauważyła odbłask płomieni w jego oczach i zeszywniała w napięciu. Dopóki Li Sung był z nimi, Ruel zachowywał się w cywilizowany sposób. Ale teraz Li Sung zaśnie i zostawi ją sam na sam z Ruelem.

- Zgadzam się z Li Sungiem - powiedziała szybko postawiła swój talerz na ziemi i wsunęła się do swojego śpiwora. Ułożyła się obok Chińczyka i zamknęła oczy.

Usłyszała, że Ruel cicho przeklina, a potem chichocze.

- Myślę, że w waszym rozumowaniu tkwi jakiś błąd - powiedział. - Ale nie będę się kłócił.

Jane pomyślała, że Ruel nigdy nie traci czasu na nieistotne rzeczy. Znakomicie i z humorem wykona tę służebną pracę i zachowa siły na większe batalie.

Wkrótce potem usłyszała, jak wślizguje się na swoje posłanie po drugiej stronie ogniska. W ciszy, która zapadła, słychać było tylko szeleszczące odgłosy dżungli, trzask drew w ognisku... i od czasu do czasu trąbienie słonia.

Li Sung zapewne miał rację, że słoń nie jest ani smutny, ani samotny, ale ten dźwięk nappełnił ją melancholią.

Jeszcze jeden słoń zatrałił w ciemnościach.

Myślała, że Li Sung śpi, ale najwyraźniej była w błędzie.

Jego szept był ledwo słyszalny, ale pełen zadumy.

- Siła...

Górnicy obóz Ruela różnił się od jego pałacu równie mocno jak od Glencaren. Po okolicy rozrzucona była chyba setka namiotów. Widok ten nie różnił się specjalnie od tymczasowych obozowisk z dzieciństwa Jane.

Na tę myśl mimo woli zacisnęła mocniej dłonie na wodzach muła.

- Coś się stało? - spytał Ruel, wpatrując się w jej twarz. - Wiem, że to nie pałac, ale nie sądziłem, że jest aż tak źle.

Jane zmusiła się do uśmiechu.

- Nic się nie stało. Po prostu to mi przypomina...

- To nie to samo - przerwał jej Li Sung. - Widzisz, jak tu czysto? Żadnych śmieci. Idealny porządek.

Napięcie Jane zelzało i poczuła wdzięczność. Na Li Sunga zawsze można liczyć. Zawsze odgadnie gorzkie wspomnienia i zrobi wszystko, żeby ją pocieszyć.

- Masz rację, to nie to samo.

- Jak co? - zapytał Ruel.

Jane ostrożnie dobierała słowa, widząc napięcie na jego twarzy:

- Li Sung i ja widzieliśmy w życiu trochę namiotowych miast. - Urwała, po czym, dla umknienia dalszych pytań, szybko dodała: - Ale żadne nie było tak czyste. Czy to twoja zasługa?

Ruel zaprzeczył ruchem głowy.

- Cinnidarianie są niebywale wymagający. Kiedy przyszło do omawiania warunków z robotnikami, zażądali najpierw wspólnej łaźni, namiotu do *belim*, dwóch godzin dziennie na *belim* i czasu na porządkowanie miejsca zamieszkania.

- Zażądali?

- A co, myślałaś, że wykorzystuję niewolników?

- Powiedzmy, że nie byłeś tak skory do ugody w naszych negocjacjach.

- Z Cinnidarianami nie miałem wyboru. - Skrzywił się ponuro. - Godzili się na podjęcie pracy w mojej kopalni tylko na własnych warunkach. Gdybym nie spełnił ich życzeń, w pełnej szczęśliwości pozostaliby w swoich wioskach i patrzyliby z ciekawością, jak się zaharowują na śmierć - bez względu na to, ile bym im proponował pieniędzy.

Ale wyraźnie Ruel nie miał im tego za złe. Jane usłyszała w jego głosie tę samą nutę dumy posiadania, jaka pojawiała się, gdy mówił o swojej górze.

- Czyżby pieniądze do nich nie przemawiały?

- Pieniądze przemawiają do każdego, ale Cinnidarianie nie uważają ich za niezbędne do „błogiego życia”, jak go nazywają.

- A co uważają za konieczne? - zapytał Li Sung.

- Dzieci, pogodne otoczenie, czas na zdobywanie wiedzy i *belim*.

- *Belim*?

- Gry. Cinnidarianie uwielbiają gry. Prawie zawsze można natrafić na jakąś trwającą właśnie grę.

- I my mamy ich nakłonić do pracy? - spytała sucho Jane.

- Nie są leniwi. Ale fakt, miałem ten problem na samym początku, dopóki nie poznałem sekretu. Trzeba z pracy zrobić grę i doprowadzić do tego, żeby robotnicy współzawodniczyli ze sobą. Co wieczór ogłaszamy zwycięzcę i nagradzamy go.

- Jak?

- Różnie. Wolnym dniem, jakąś błyskotką, pieniędzmi... Miejskowa Rada co dwa tygodnie zbiera się, żeby ustanowić nagrody.

- A ty jesteś w tej Radzie - spytał domyślnie Li Sung.

Ruel pokręcił głową.

- W Radzie Cinnidaru nie może zasiadać nikt poza Cinnidarianami. Jestem tu od trzech lat i jeszcze nigdy nie spotkał mnie ten zaszczyt. - Uśmiechnął się. - Ale Dilam twierdzi, że jeśli będę nadal zachowywał się poprawnie, może za rok lub dwa pozwoli mi przysłuchiwać się albo nawet brać udział.

- Dilam jest w Radzie?

- O tak, Dilam przewodzi Radzie. To wyjątkowa osobowość. - Spojrzał na zachodzące słońce. - Zabiorę was do namiotu *belim*. Większość robotników zbiera się tam przed kolacją, żeby pograć w kości lub karty. Chyba już czas, żebyście poznali Dilam.

Już z odległości stu jardów usłyszeli śmiechy i podniecone głosy, dochodzące z ogromnego namiotu na środku obozowiska.

W jego wnętrzu hałas był wręcz ogłuszający. Namiot był nieumeblowany, jeśli nie liczyć leżących na gołej ziemi kolorowych dywanów i malutkich, pięknie rzeźbionych lampek, które oświetlały pełne napięcia twarze kobiet i mężczyzn, zebranych w kilku grupach. Jane uśmiechnęła się z rozbawieniem, kiedy przypomniała sobie wypowiedź Li Sunga o wspaniałości Cinnidarian, do czego sprowokowały go noszone przez nich warkocze. Ci ludzie z pewnością lubili warkocze; nigdy jeszcze nie widziała tylu warkoczyków w jednym miejscu. Mężczyźni i kobiety, wszyscy mieli czarne, długie włosy zaczesane i związane z tyłu głów.

Ich wejście nie wywołało większej reakcji, zaledwie kilku mężczyzn pozdrowiło Ruela, bardziej zresztą po przyjacielsku niż z szacunkiem. Ruel odpowiadał równie swobodnie, przeszukując wzrokiem namiot.

- Ach, kości. Tak myślałem - powiedział. - Dilam uwielbia kości. Tędy. - Przepchnął się przez tłum do najdalszego końca namiotu, gdzie klęcząca grupa graczy w kości tworzyła niewielkie koło. - Dilam, możemy porozmawiać? - zawołał.

- Za chwilę, samir Ruel - odkrzyknęła jedna z czarnowłosych postaci, pochylająca się właśnie nad kośćmi.

Jane wpatrywała się w nią zaszokowana. Ruel nie kpił. To naprawdę była kobieta.

Dilam uniosła wzrok i zatrzymała go na Jane.

- A, już tu są? To dobrze.

- Myślałem, że ci się to spodoba - powiedział Ruel, widząc że Jane wciąż nie może uwierzyć. - Jednak nie jesteś jedyną kobietą, umiejącą szefować brygadzie robotników kolejowych.

Dilam wyrzuciła kości. Wśród innych graczy natychmiast wybuchły jęki i okrzyki niezadowolenia. Dilam skrzywiła się i powiedziała coś w swoim języku, po czym zawołała w kierunku Ruela:

- Nie podoba im się, bo mam szczęście. Powiedziałam, że bogowie nagradzają szczęściem tych, którzy już wcześniej otrzymali dar mądrości. - Zaczęła zbierać ograna. - Zaczekajcie na mnie na zewnątrz. Tu jest za głośno na powitania.

Ruel kiwnął głową i wyprowadził Jane i Li Sunga z namiotu.

- Kobieta? - spytał Li Sung.

- Medford poprosił Radę Cinnidaru o inteligentnego tubylca do nadzorowania brygady i dostał Dilam. Na Cinnidarze nie należy obrażać Rady, odrzucając jej wybór.

- Ona bardzo dobrze mówi po angielsku.

- Nauczyła się w ciągu zaledwie czterech tygodni. Mówiłem, że jest wyjątkowa.

- Po chwili Dilam wyszła z namiotu i zbliżyła się do nich, poruszając się sprężystym krokiem, z pełną siłą gracją. Była średniego wzrostu, miała szerokie ramiona i silne, szczupłe ciało. Na jej ubiór składały się ciemnozielona tunika, czarne, luźne spodnie i brązowe sandały, które - choć znoszone - aż błyszczały czystością.

- Ty jesteś Jane Barnaby? - spytała z rozpromienioną twarzą. - Witam. Jestem Dilam Kankula. Nazywaj mnie Dilam.

- Dziękuję - odrzekła Jane, przyglądając się kobiecie. Kiedy pierwszy raz ujrzała Dilam w namiocie, dostrzegła tylko ciemne, roziskrzone oczy i szeroki, promienny, biały od zębów uśmiech. Teraz widać było, że Dilam zbliża się do trzydziestki, a jej kwadratową twarz, oprócz wspaniałych oczu i pięknie zarysowanych ust, zdobił wyraz inteligencji i humoru. -

Nie wierzyłam Ruelowi, że jesteś kobietą.

- Ale tak jest lepiej, prawda? Będziemy współpracować harmonijnie i ze zrozumieniem. Tobie nie będę musiała udowadniać swojej wartości, jak to było z samirem Medfordem.

- Czy w brygadzie są jeszcze jakieś kobiety?

- Tak, ale niewiele. Mężczyźni są lepsi do pracy fizycznej. Kobiety są wytrzymalsze i mają więcej rozsądku, ale mężczyźni są silniejsi fizycznie. Najlepiej więc pozwolić im robić to, w czym są najlepsi, a resztę zostawić nam.

- Bardzo przepraszam - powiedział z naciskiem Li Sung, wysuwając się z cienia rzucanego przez ogromny namiot.

- Ty jesteś Li Sung? - spytała Dilam, zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze. - Nie zauważyłam cię w tym cieniu za Jane.

- Chociaż jestem tylko nędznym mężczyzną i mam robić tylko to, w czym jestem najlepszy, nie chowam się w cieniu żadnej kobiety.

- Nie miałam zamiaru nikogo obrazić - odrzekła pilam z roztargnieniem, wpatrując się niezwykle intensywnie w Li Sunga. - Ale sam wiesz, że to prawda.

- Nie, nie wiem!

- Społeczność Cinnidarian jest zasadniczo matriarchalna - wtrącił Ruel. - Czyżbym zapomniał o tym powiedzieć?

Jane ze złością pomyślała, że doskonale o tym wiedział. Oczywiście Ruela błyszczały potnie, kiedy przenosił wzrok z Dilam na zjeżonego Li Sunga.

- Jestem pewna, że świetnie nam pójdzie - rzekła.

- Jeśli ona nie będzie próbowała mnie traktować jak bezmózgie zwierzę pociągowe - dopowiedział zjadliwie Li Sung.

- Och, nie mam wcale takiego zamiaru. - Dilam była wyraźnie przejęta. - Źle zrozumiałeś moje słowa. Mężczyźni to naprawdę wspaniałe stworzenia.

- Stworzenia - powtórzył szyderczo Li Sung. - Jak na przykład muły albo słonie?

- Nie powinieneś robić takich porównań. Słonie są znacznie mądrzejsze od mułów.

- A gdzie w tej hierarchii jest miejsce dla mężczyzn?

- Bogowie, ależ się czepiasz! - powiedziała Dilam z rozdrażnieniem. - Wyraźnie chcesz się ze mną kłócić. Mężczyźni są dobrymi myśliwymi i wojownikami. Mogą też być niezłymi rzemieślnikami.

- Ale w rządzeniu są nic niewarci?

Dilam pokręciła głową.

- Mają zbyt gorące usposobienie. Zanim kobiety przejęły Radę, mieliśmy dużo wojen plemiennych.

- Ale teraz, jak rozumiem, pod rządami łaskawej Rady panuje pokój?

- Nie zawsze. - Uśmiechnęła się pogodnie. - Ale ponieważ danie dziecku życia zabiera nam dziewięć miesięcy, dużo ostrożniej podchodzimy do wojen, które odbierają życie.

- Jestem pewny, że wasi mężczyźni równie mocno dbają o dzieci - odparł oziębło Li Sung.

- To dlaczego wojują? - Podniosła rękę, kiedy Chińczyk usiłował coś wtrącić. - To nie jest prawdziwa kłótnia. Widzę, że jesteś inny... pod pewnymi względami - dodała

Jane zauważyła, że te słowa tylko powiększyły rozdrażnienie Li Sunga, pośpiesznie wtrąciła więc:

- Zaprowadź mnie do mojego namiotu, Dilam. Będziemy mogły przedyskutować...

Dilam pokręciła głową.

- Samir Ruel pokaże ci twoją kwaterę. - Uśmiechnęła się i dodała, wskazując Li Sunga palcem: - Ja biorę ciebie.

- Zbytek łaski - odparł chłodno.

- To przyjemność, a nie łaska. Jesteś na mnie zły, muszę więc jakoś wszystko załagodzić. Chyba przed kolacją my razem *nesling*.

Jane dosłyszała od strony Ruela ni to parsknięcie, ni to kichnięcie.

- *Nesling*? - Li Sung zmarszczył czoło i rzucił Ruelowi pytające spojrzenie.

- Kopulacja - mruknął Ruel.

- To jeszcze jedna rzecz, w której mężczyźni są dobrzy - dopowiedziała Dilam znów z promiennym uśmiechem. - *Nesling*.

- Jakże miło z twojej strony, że doceniasz nasze zdolności cielesne! - Li Sung był pełen zgrzyźliwości. - Ale chyba nic z tego.

- Och - powiedziała z rozczarowaniem. - Nie podobam ci się?

- Nie podobasz mi się.

- Ty mi się bardzo podobasz. Jesteś... - Zasmuciła się, widząc jego nieprzejednaną minę. - Może kiedyś później bardziej ci się spodobam.

- Wątpię.

- Nie zmienisz zdania? - spytała z nadzieją w głosie. - Jestem naprawdę świetna w *nesling*,

- Nie zmienię zdania. - Li Sung odwrócił się do Ruela. - Gdzie jest mój namiot?

- Pokażę ci - odparł Ruel i zwrócił się do Dilam, starając się powstrzymać wesołość: - Chyba będziesz musiała się zadowolić tą dyskusją, którą proponowała Jane. Sprowadź ją do *candmaru* za godzinę.

- To nie był dobry początek - powiedziała w zadumie piłam, patrząc za nimi. Nagle dojrzała coś jeszcze. - On kuleje!

- Zmiażdżyło mu nogę w dzieciństwie. Ale to mu nie przeszkadza. Jeszcze zobaczysz, że pracuje ciężej niż ktokolwiek inny.

- Wiem o tym. - Dilam potrząsnęła głową, nachmurzona. - Ale kalectwo dużo wyjaśnia. Mogłam sobie znaleźć łatwiejsze zadanie.

- Co masz na myśli?

Dilam nie odpowiedziała, wciąż się wpatrując w odchodzącego Li Sunga.

- Co to jest *candmar*? - spytała Jane.

- Co? - Dilam nieprzytomnie przeniosła wzrok na Jane. - A, *candmar* to miejsce do jedzenia. Jemy wszyscy razem przy jednym ognisku na środku obozowiska. - Odwróciła się i ruszyła w stronę przeciwną do tej, gdzie zniknęli Ruel i Chińczyk. - Chodź, pokażę ci, gdzie śpisz, a potem tu wrócimy. Mamy jeszcze czas na kości przed kolacją.

Jane pokręciła przecząco głową.

- Muszę obejrzeć mapę i zobaczyć, jakie problemy mogą...

- Pójdziemy grać w kości - powiedziała stanowczo Dilam. - Kiedy się jest zmęczonym i przybitym, hazard daje odprężenie. Przejaśni ci się w głowie, gdy serce napełni ci się radością. - Przyjrzała się Jane. - Musisz nauczyć się radości życia. Jesteś zbyt poważna.

- Muszę wybudować linię kolejową w siedem miesięcy. To poważna sprawa.

- Li Sung też jest zbyt poważny. - Dilam nagle przeskoczyła na inny temat: - Ty z nim *nesling*?

- Ja? - Jane zachichotała. - Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Przyjaciele też *nesling*. Czasami to bardzo przyjemne

Najwyraźniej zwyczaję Cinnidaru bardzo różniły się od tych, w jakich Jane do tej pory żyła.

- Jesteśmy jak brat i siostra - powiedziała, usiłując w jakiś sposób wyjaśnić sytuację.

- Och, to dobrze. Więc my też będziemy przyjaciółmi - Dilam uśmiechnęła się szeroko. - Ty *nesling* z samirem Ruelem?

Uśmiech Jane zbladł.

- Nie. - Zesztywniała, kiedy nagle myśl przyszła jej do głowy. - A ty?

Dilam zaprzeczyła ruchem głowy, patrząc z ciekawością na Jane.

- Dlaczego to dla ciebie takie ważne?

- Nie jest ważne - odparła szybko. - Tylko się zastanawiałam.

- Kłamiesz - powiedziała stanowczym głosem Dilam. - Jest ważne.

Dilam miała rację. Na samą myśl o Dilam i Ruelu razem Jane odczuła ostry ból, który ją zaskoczył i przestraszył. Szybko zmieniła temat.

- Ruel mówił, że nie żyliście dobrze z zarządcami Savitsarów.

- Chcieli zrobić z nas niewolników. Nie mieliśmy bronii, żeby z nimi walczyć, musieliśmy więc uciekać. - Zacisnęła usta. - To nie może wrócić. Jednym z powodów, dla których Rada zdecydowała o współpracy z samirem Ruelem, była pewność, że w przeciwnym razie znów ktoś nas najedzie.

- A wy woleliście, żeby to był Ruel?

- Z początku taki był, ale szybko przestał.

- Dobrze się z nim pracuje?

Dilam przytaknęła.

- Samir Ruel jest sprawiedliwy, pracuje tak samo ciężko jak my i umie się śmiać ze swoich błędów.

- Ale i tak nie dopuście go do swojej Rady?

- Z czasem. On należy do Cinnidaru, ale musimy go trochę utemperować.

Myśl o temperowaniu Ruela wywołała na twarzy Jane uśmiech.

- Chciałabym to zobaczyć - powiedziała.

- Zobaczysz. - Dilam zatrzymała się przy małym namiocie. - Ten jest twój. Mój jest o dwa namioty dalej. Odśwież się, a ja przyjdę po ciebie za kwadrans. Nie, za pół godziny - poprawiła się nagle. - Mam jeszcze coś do zrobienia.

Jane z uśmiechem odprowadziła ją wzrokiem. Podobała jej się ta kobieta. Jej całkowita szczerłość mogła być czasami niewygodna, ale humor i żywotność na pewno były ożywcze. Możliwe też, że była tak cenna, jak twierdził Ruel, jeśli tylko równie dużo energii wkładała w pracę, co w grę.

Uśmiech przeszedł nagle w chichot, kiedy Jane przypomniała sobie minę Li Sunga tuż przed oddaleniem się z Ruelem. Tak, obecność Dilam zdecydowanie czyniła zadanie ciekawszym.

Półtorej godziny później, kiedy Ruel przyszedł do obozowego ogniska. Li Sung siedział na ziemi, żarłocznie pochłaniając kawałek pieczonego królika. Jednakże Dilam i Jane nie było nigdzie widać.

- Gdzie Jane - spytał Ruel.

- Nie widziałem jej. Nie mam pojęcia, gdzie może być.

Ponieważ Dilam również nie było, Ruel doszedł do wniosku, że mogą być tylko w jednym miejscu. Namiot *belim* nadal był pełen graczy, a Ruel zdążył się już zorientować, że Dilam nie lubiła, by jej przeszkadzano, kiedy oddawała się hazardowi.

Chwilę później przepychał się już przez tłum w namiocie. Prawie natychmiast zauważył Dilam grającą w *parzak*, cinnidarską grę w karty, ale nie było z nią Jane.

- Tak sobie pomyślałem, że tu będziesz - powiedział do Dilam, rozglądając się po namiocie.

- Gdzie Jane?

- Tam - odrzekła, wskazując ruchem ręki miejsce gry w kości. - Nie przeszkadzaj jej. Ona wygrywa.

Ścisk w namiocie był tak wielki, że Ruel w ogóle nie widział graczy skupionych na kościach.

- Czas na kolację. Jedzenie jest ważniejsze od hazardu

- Kiedy ty wygrywasz, nigdy tak nie myślisz. - Jane rzuciła karty i wstała. - Pójdę z tobą na *candmar*, ale jej pozwolimy tu zostać i cieszyć się.

- Czyżby?

Dilam skinęła głową.

- Ona potrzebuje zwycięstwa. W niej nie ma radości. - Wzięła Ruela pod ramię i zaczęła go wyciągać z namiotu. - Później przyślemy po nią Li Sunga.

- Wątpię, czy Li Sung pozwoli ci się gdziekolwiek wysłać.

- Wiem - odrzekła pośpiesznie. - To chyba przez tę chromą nogę. On mi sprawi dużo kłopotów.

Śmiech. Śmiech Jane - podniecony, swobodny, rozluźniony - rozbrzmiał nagle w namiocie.

Ruel zatrzymał się w pół kroku, ignorując rękę Dilam, i zawrócił. Wstrząsnęło nim, kiedy uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie słyszał Jane śmiejącej się w ten sposób. Z pewnością ani w Kasanpurze, ani w Glencaren.

W niej nie ma radości...

- A więc ty będziesz musiał go wysłać - powiedziała Dilam.

- Co?

Jane znów się zaśmiała. Cholera, pragnął, by tłum się rozsunał, żeby mógł ją zobaczyć.

- Li Sunga - powiedziała zniecierpliwiona Dilam. - To ty będziesz musiał go wysłać po Jane.

W tłumie wokół graczy pojawiła się nagle szczelina.

Jane klęczała z kośćmi w dłoni. Głowę odrzuciła do tyłu, a jej lekko zarumieniona twarz aż tryskała radością. Wyglądała młodo, swobodnie i szczęśliwie.

- Widzisz? Mówiłam ci - powiedziała miękko Dilam. - Ona tego potrzebuje.

A on chciał, żeby to miała. Chciał, żeby wciąż się śmiała. Chciał, żeby tak wyglądała przez resztę...

Jane podniosła wzrok i ujrzała, że Ruel się w nią wpatruje.

Śmiech umilkł, usta zacisnęły się w nagłym wyrazie baczności. Wyglądało to tak, jakby nagle zamknęła się w ciemnym pokoju, chowając w nim wszystko, co młodzieńcze i jasne, a Ruela zostawiając na zewnątrz.

Poczuł się oszukany, zraniony, jakby Jane go czegoś pozbawiła.

- Czas jeść - zawołał do niej ostrym głosem.

- Straciłam poczucie czasu - odrzekła cicho. - Zaraz przyjdę.

Kiwnął głową i wyszedł z namiotu. Dilam następowała mu na pięty. Chryste, przez chwilę znów było jak w dniach tuż przed katastrofą, kiedy traktował Jane z taką czułością, jakiej nigdy nie zaznała od niego żadna kobieta. Pośpiesznie zapewnił sam siebie, że ten moment już minął. Nie sprowadził jej na Cinnidar, żeby jej dawać radosne dzieciństwo, jakiego nigdy nie miała. Miała tu ponieść zasłużoną karę. Nie była dzieckiem, lecz kobietą, która zniszczyła życie jego brata.

- Nie posłuchałeś mnie! - powiedziała Dilam. - Dlaczego jej nie pozwoliłeś...

- Nie zauważyłaś nigdy, że kiedy nie słucham, to znaczy, że nie chcę słyszeć?

- Mimo to uważam, że... - Urwała, dostrzegłszy jego wyraz twarzy. - Mam przestać gadać?

- Masz przestać gadać - odrzekł z naciskiem.

Jane zorientowała się, że humor Li Sunga nic a nic się nie poprawił. Przez całą kolację albo milczał, albo odzywał się monosylabami. Doszła do wniosku, że najlepiej będzie, żeby się wygadał, zrzucił z siebie całe to ponuraństwo.

- Dilam? - spytała.

To jedno słowo wystarczyło, żeby wybuchł.

- Ona jest okropna - wysyczał przez zaciśnięte zęby, wbijając wściekły wzrok w Dilam, siedzącą po drugiej stronie ogniska. - Nie moglibyśmy wynająć kogoś innego?

- Wątpię. Gdybyśmy jej nie zaakceptowali, Cinnidarianie przyjęliby to jako obrażę. Poza tym ja ją lubię. - Uśmiechnęła się łobuzersko. - A ona najwyraźniej lubi ciebie.

- Uważa mnie za jakieś zwierzę domowe. Wiesz, że przyszła do mojego namiotu po odprowadzeniu cię?

- Nie. - A więc to było to „coś do załatwienia”.

- Powiedziała, że wybacza mi moją ślepotę, że nie dostrzegam, co mnie czeka z nią. I zapewniła mnie, że będzie cierpliwa.

- Jak to miło z jej strony - powiedziała Jane, wykrzywiając wargi.

- Miło? Ona uważa mężczyzn za bezużyteczne trutnie służące tylko do niewolniczego zaspokajania królowych pszczół.

- Z pewnością źle ją rozumiesz. - Jane podążyła wzrokiem za spojrzeniem Chińczyka. Twarz Dilam rozjaśniał śmiech, kiedy gestykulując rękami, rysując coś w powietrzu, mówiła do Ruela. - Nie jest nieatrakcyjna, prawda?

- Brzydka jak noc.

- Ja tak nie uważam. - Lecz Li Sung wyraźnie nie miał ochoty dać się przekonać do czegoś, w co postanowił nie wierzyć, Jane zaś była już zbyt zmęczona, żeby próbować. Wstała. - Wracam do namiotu. Muszę jeszcze przyjrzeć się mapie tego szlaku z góry, a jutro musimy wcześniej zacząć.

Za odpowiedź Li Sunga posłużyło skinienie głowy i spojrzenie spod oka.

Ledwie Jane odeszła od ogniska, dołączył do niej Ruel.

- Dobrze się chyba bawiłaś dzisiaj w namiocie *belim!*

Napięcie, jakie jej zawsze towarzyszyło w jego obecności, sprawiło, że odrzekła tylko:

- Tak.

- Dużo wygrałaś?

- Nie wiem. Jeszcze nie poznałam tutejszych pieniędzy. Ale nie sędzę.

- Podobają ci się Cinnidarianie?
- Oni nie mogą się nie podobać. Są dobrzy, inteligentni i jeszcze nigdy nie widziałam nikogo, kto tak by się cieszył życiem. - Spojrzała na Ruela. - Tobie też się podobają. Dilam mówi, że należysz do Cinnidaru.

- To prawda - odrzekł wyraźnie.
Jane zdziwiło to otwarte wyznanie.

- Z powodu złota?

Pokręcił głową.

- Cinnidar mnie złapał. Pracowałem na górze, współdziałałem z Cinnidarianami i uważałem, że haruję po to, żeby stać się bogaczem. A potem, pewnego dnia, przestałem pracować na wystarczająco długą chwilę, żeby unieść głowę i rozejrzeć się. I wtedy uświadomiłem sobie, że wlałem prosto w potrzask.

- Potrzask?

- Ian nazwałby to domem. Nie jestem przyzwyczajony do tego słowa.

- Dlaczego mi to mówisz?

- A dlaczego nie? - Jego głos był pełen kpiny. - Chyba już czas, żebyśmy się znów do siebie przyzwyczaili.

- Nie. - Zatrzymała się przy wejściu do swego namiotu. - Nie chcę nic o tobie wiedzieć.

- To niezbyt uprzejme. A ja chcę wiedzieć o tobie wszystko. - Spojrzał jej w oczy. - I dowiem się.

Nawet jej nie dotykał, a mimo to jej serce biło mocniej, a oddech stał się płytszy. Wpadła w panikę, rozpoznawszy tę nierozumną reakcję.

Ruel przesunął spojrzenie na pulsującą na jej szyi żyłę.

- Widzisz? - spytał miękko. - Chcesz mnie poznać.

Miał rację. Użył słowa „poznać” w biblijnym znaczeniu, a jej ciało naprawdę chciało go poznać. Boże, zupełnie, jakby się nigdy nie rozstawali.

Odwróciła się, weszła do namiotu i szybko odwinęła jego klapę, odcinając się od Ruela.

- Do zobaczenia jutro! - zawołał.

- Raczej nie. - Jej głos drżał, z wysiłkiem nad nim zapanowała. - Muszę jutro zacząć pracę, a ty z pewnością będziesz zajęty w kopalni.

- Och, ale muszę się upewnić, że dobrze pracujesz. W końcu budujesz moją kolej. - Słowa dobiegały coraz ciszej, kiedy odchodził.

Myślała, że kiedy już dotrą do góry, będzie rzadziej oglądać Ruela, ale najwyraźniej nie miała się jeszcze od niego uwolnić. Ta świadomość była równie niemiła, jak reakcja jej ciała na niego. Może jednak nie będzie aż tak źle, jak się obawiała? Pewnie przyjdzie na budowę tylko parę razy, a potem zajmie się swoimi sprawami.

Przez cały następny miesiąc przychodził codziennie. Czasami zostawał pięć minut, czasami godzinę.

Zartował z Li Sungiem, Dilam i robotnikami, albo siedział na koniu i patrzył, jak Jane wykonuje swoją pracę.

Budziła się rano, wiedząc, że on przyjdzie, cały dzień obawiała się jego przybycia i była boleśnie, przenikliwie świadoma każdej sekundy jego wizyty. To było tak samo jak w Kasanpurze, w dniach poprzedzających ich wspólne przeżycia w wagonie. Chociaż nie, poprawiała się zaraz w myślach, to było gorsze. Teraz miała świadomość, że on chciał nie tylko pojąć jej ciało, ale także zranić ją, może nawet zniszczyć. Był jak świeca dla ćmy.

Tyle że, Boże na niebiosach, Jane z każdym dniem coraz bardziej korciło, żeby podlecieć bliżej płomienia.

Kłęczała właśnie i mierzyła torowisko, kiedy padł na nią den. Nie musiała nawet podnosić wzroku, żeby wiedzieć, że to Ruel. Jej zmysły były tak wyczułone na niego, że nawet jego cień zaczęła odczuwać jako niemiłą obecność.

- Dlaczego jeszcze tu jesteś? - spytał. - Wszyscy już na dziś skończyli.

Nie spojrzała na niego, bo sprawdzała odległość między torami.

- Chciałam to po prostu skończyć. Jestem pewna, że nie masz nic przeciw, żebym jeszcze

trochę dla ciebie popracowała jak galernik.

- Nie, nie mam. Zastanawiałem się tylko, czy wszystko w porządku.

- Mamy dzisiaj małe opóźnienie - odrzekła i szybko dodała: - Ale jutro to nadrobimy. To jest ostatnia ćwiartka mili na linii zbiega góry. O świcie zaczynamy już na dnie kanionu.

- Wiem, Li Sung mi powiedział.

- Musiał ci więc też powiedzieć, że wszystko jest w porządku.

- Owszem, ale czy rzeczywiście wszystko mówisz Li Sungowi?

- Oczywiście, że tak.

- A powiedziałaś mu, co robiliśmy w wagonie maharadży?

Jane poczuła, jak krew uderza jej do twarzy, ale nie odpowiedziała.

- Tak też myślałem - rzekł miękko Ruel. - Może sobie myśleć, że coś jest między nami, ale nic nie wie na pewno.

- Tego akurat nie musiał wiedzieć. - Wstała szybkim ruchem, podeszła kilka kroków dalej, przyklękła i znów zaczęła mierzyć. - Jeśli to wszystko, czego chciałeś, to idź sobie. Widzisz, że jestem zajęta.

- To nie wszystko. - Poczowała znów na sobie jego cień, kiedy podszedł i stanął nad nią. - Chciałem zobaczyć cię na kolanach. Ten widok daje mi szczególną przyjemność.

Podniosła oczy i obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Stał w lekkim rozkroku, nie tylko jego cień był ciemny. Jego łydki opinały czarne, skórzane buty, czarne spodnie podkreślały jego potężne uda, czarna koszula kryła jego tors. Tylko płowe włosy i złota skóra twarzy rozjaśniały ten obraz ponurej elegancji. Wyglądał jak sam książę ciemności.

- O, tak nawet lepiej. - Uśmiechnął się. - Kiedyś marzyłem o tobie klęczącej i patrzącej na mnie z takim wyrazem twarzy. Ale to nie jest dokładnie to. Twoje włosy powinny być rozpuszczone, a moje palce powinny się nimi bawić. - Urwał. - I oboje powinniśmy być nadzy.

Stworzona przez niego wizja była jednocześnie zmysłowa i barbarzyńska. Zwycięzca i pokonany. Niewolnik - pan. Niemal czuła jego palce, ciągnące ją za włosy, ruszające do spojrzenia mu w twarz. Nagle była bezradna, schwytana, uwięziona. Jednak z niedowierzaniem uświadomiła sobie, że pod tym wszechwładnym poczuciem upodlającego poddania drzemie erotyczne podniecenie zupełnie jakby sama pożądała doznania tej dominacji.

Nie! Na tę myśl ogarnął ją taki strach, że wszystkie gorące uczucia, jakie Ruel w niej zdołał wzbudzić, zniknęły jak splukane wodą.

Wstała i wyprostowała się. Spojrzała mu wyzywająco w oczy i wysyczała przez zaciśnięte zęby:

- Ty skurwielu! Wypieprzaj stąd do diabła i daj mi pracować!

Przez moment wydawało się, że Ruel nie zwróci na to uwagi, ale nagle na jego twarzy pojawił się łagodny uśmiech.

- Skoro nalegasz... Nastrój i tak już prysł. - Urwał, a po chwili dodał: - Ale czułaś to, prawda?

Nie odpowiedziała.

- Taak, czułaś. - Stał i z uśmiechem wpatrywał się w jej twarz. - To dobrze. Teraz, kiedy już skończyłaś tę część trasy, nie będę w stanie cię odwiedzać tak często. Chciałem więc opuścić cię, pozostawiając wystarczająco silne wspomnienia, żeby wystarczyły na czas mojej nieobecności.

Na te słowa Jane całą sobą odczuła ulgę. A więc od dziś nie będzie go musiała oglądać codziennie. Nie będzie już wprowadzał zamieszania swą obecnością.

- Najwyższy czas, żebyś zaczął się zajmować swoimi sprawami i dał mi spokój - odrzekła.

- Och, ale będę z tobą duchem. Nie zapomnisz mnie.

- Mylisz się. W tej samej chwili, w której zejdziesz mi z oczu, zapomnę nawet, że w ogóle jesteś na tej wyspie.

Ruel pokręcił głową, po czym odwrócił się i podszedł do Nuggeta.

Był tak cholernie pewny siebie, że Jane się nagle wściekła.

- Czekaj! - wrzasnęła. - Za kogo ty się właściwie uważasz, do diabła?!

- Że co, proszę? - spytał, odwracając się znów w jej stronę.

- Skąd wiesz, że masz prawo mi to robić? Czy byłeś całe życie taki święty, że możesz pierwszy rzucić kamieniem?

- Nie, robiłem w życiu podłe rzeczy, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić. - Jego twarz stężała. - Ale nigdy nie skrzywdziłem niewinnego nie zapłaciwszy za to. To by było nie fair. Wszyscy musimy płacić za grzechy, Jane.

- A ja mam płacić za swoje grzechy tobie?

- Masz rację jak wszyscy diabli. Kiedy byłem chłopcem, nauczyłem się, że nie mogę liczyć na to, że ktokolwiek wymierzy za mnie sprawiedliwość. Jeśli chciałem sprawiedliwości, sam musiałem po nią sięgać. - Jego głos stawał się coraz ostrzejszy. - Ten świat nie jest sprawiedliwy. Nie mogę liczyć na to, że Bóg lub los wymierzy ci karę. Mogą się odwrócić plecami i odejść. Musiałem sam to zrobić.

Jane w milczeniu obserwowała, jak dosiada Nuggeta i odjeżdża.

Trzęsa się. Zaczęła głęboko oddychać, starając się uspokoić rozdygotane ciało. Nie wolno jej pozwolić, żeby Ruel jej to robił. Opadła znów na kolana i zaczęła mierzyć tory. Ruela już tu nie było. Trzeba go zapomnieć. Nie może o nim myśleć. Nie tak, jak on by tego chciał.

Zamknęła oczy, pochyliła głowę i oparła ręce na szynie. Mocna stal, rozgrzana ciepłem słońca.

Ten dotyk przyniósł jej ukojenie. Nie była słaba. Miała w sobie taką samą siłę jak te tory. Skoro starcza jej woli, ducha i sił umysłu, aby wybudować linię kolejową, jeden człowiek nie jest w stanie jej zgnieść ani złamać.

Księżę Ciemności!

Obudziła się. Serce waliło jej jak oszalale. Oddychała spazmatycznie.

To tylko sen. Tylko sen - pocieszała się rozpaczliwie.

Ten sam sen nachodził ją co noc od tego popołudnia, kiedy Ruel odwiedził ją po raz ostatni. Ten sam sen i te same zawstydzające objawy po przebudzeniu. Twarde, przeczulone na dotyk sutki. Bolesna pustka między udami.

Nie, to nie jest dokładnie tak samo.

Była skąpana we własnym pocie.

Dziwne. Kiedy kładła się spać, w namiocie panował chłód, a teraz było jej gorąco.

Wstała z legowiska i podeszła do miednicy. Schlapała twarz zimną wodą. Wciąż było jej gorąco, a jej skóra była sucha i piekła przy dotknięciu. Już to kiedyś przechodziła objawy były znajome.

Gorączka wróciła.

Ta świadomość niemal przyniosła jej ulgę. Była chora. To było wytłumaczenie erotycznych snów, które ją prześladowały.

To nie Ruel, to gorączka.

14

Kolej? - Abdar wbił paznokcie w obite satyną oparcia krzesła. - Jak daleko posunięte są prace?

- Część budowana przez Medforda jest prawie ukończona, ale tory z góry zaczęto kłaść dopiero siedem tygodni temu i wciąż jest to faza wstępna. Dziewczyna położyła tor od obozu górniczego do stóp góry i dalej, do dżungli, ale...

- Ile jeszcze? - spytał gwałtownie Abdar.

- Mój człowiek w obozie Medforda twierdzi, że do połączenia torów zostały jeszcze co najmniej cztery miesiące.

- Cztery miesiące! A przez ten czas Szkot będzie gromadził kruszec i będzie gotów do wysłania go natychmiast po ukończeniu linii. Moje złoto! - Wstał i podszedł do ściany, gdzie jego najnowsza maska błyszczała w świetle kandelabrow, potężna, wspaniała, świadectwo jego wielkości. - Potrzebuję tego złota!

- Jest jeszcze jedna wiadomość. - Pachtal zawiesił głos. - Ta cię zadowoli. Kartauk jest na Cinnidarze.

- Co?! - Abdar odwrócił się do niego jak fryga. - Jesteś pewien? On żyje?

- Sam go widziałem. Nawet się nie ukrywa. Mieszka w pałacu i swobodnie porusza się po wyspie.

- Bo się czuje bezpieczny. Myśli, że nie mogę go osiągnąć na tej przeklętej wyspie. - Abdar nachmurzył się. - I ma rację. Nic nie mogę, póki nie jestem maharadzą.

- A kiedy to nastąpi? Czy stan twojego ojca pogorszył się, od kiedy wyjechałem?

Abdar pokręcił głową.

- Może dożyć lata.

- Wówczas Szkot będzie miał już dużo lepsze możliwości obrony. Wyspę można najechać tylko przez lądowanie w porcie, a jeśli on będzie miał możliwość ufortyfikowania go, możemy nie...

- Wiem, wiem - przerwał mu niecierpliwie Abdar. - Uważasz mnie za głupka? Nie możemy dopuścić do tego, żeby miał tyle czasu. - Odwrócił się i podszedł do posągu Kali. - Jak wiele miłości masz dla mnie? - Poczł nagle zeszywnienie Pachtala, jego głos stał się słodki jak miód. - Nie pomożesz mi w tym drobiażdżku?

- Co mam zrobić? - zapytał Pachtal z rezerwą.

- On jest stary i chory. I tak niedługo umrze.

- On jest maharadzą - odparł Pachtal zduszonym głosem. - Wiesz, co mi grozi, jeśli ktoś odkryje, co zrobiłem. Spalą mnie żywcem na jego stosie pogrzebowym.

- Nikt niczego nie będzie podejrzewał, jeśli on umrze trochę wcześniej, niż wszyscy oczekują. Któż miałby powód zabijać umierającego?

- To zbyt niebezpieczne.

- Nie proponuję sztyletu. Są inne, mniej rzucające się w oczy metody. Może trucizna, podawana przez tydzień lub dwa? - Zwrócił się do Pachtala z uśmiechem. - Masz taki talent do trucizn. Po cóż ci ten dar, jeśli go nie wykorzystujesz?

- Nie wiem, czy...

- To złoto potrzebne mi jest, by służyć Kali. Jeśli mnie kochasz, oddasz mi tę przysługę. - Jego palec gładził złoty sztylet posągu. - Oddasz tę przysługę Kali.

- Ja... pomyślę o tym.

- Nigdy dotąd mnie nie zawiodłeś. - Urwał, aby dokończyć z naciskiem: - I ufam, że nigdy nie zawiedziesz...

Abdar dosłyszał odgłos kroków Pachtala, gdy ten pośpiesznie opuszczał pokój.

Zdał sobie sprawę, że Pachtal się boi. Nie zdarzyło się dotąd, aby Pachtal sprzeciwił się jego woli, ale do tego zadania zapewne trzeba będzie go trochę dłużej przekonywać. Niemniej Abdar nie wątpił, że w końcu spełni to życzenie.

Kali i tak zawsze triumfuje, a czyż on nie został wyznaczony jej strażnikiem na tym ziemskim padole?

Ruel tu jest. - Li Sung skinął w stronę oddalonego o kilkaset jardów od torowiska namiotu.

- Przyjechał sprawdzić postępy prac.

- Znowu? - Jane wytarła rękawem pot z czoła. - Lepiej by się zajął swoimi sprawami i pozwolił nam troszczyć się o nasze.

- To dopiero jego piąta wizyta od czasu, kiedy opuściliśmy górę i zaczęliśmy prace w dżungli - wytknął jej delikatnie Chińczyk. - To przecież jest w jego interesie, żeby się upewniać, czy jego inwestycja się rozwija...

- ...czy nie - dokończyła Jane. - No cóż, będzie zawiedziony. Wyprzedzamy harmonogram.

- Dlaczego nasze postępy mają go zawieść?

Jane nie miała zamiaru wrywać się z tym spostrzeżeniem. Jej nerwy były tak napięte, że wystarczyło samo przybycie Ruela, żeby się spinała i stawała agresywna. Li Sung znał ją zbyt dobrze, aby nie wyłapać natychmiast każdego niechcący wypowiedzianego słowa. Stawał się od razu podejrzliwy. Odrzekła więc szybko:

- Przecież straci mnóstwo pieniędzy, jeśli osiągniemy Ścieżkę Słoni na czas.

- Nie sądzę, żeby pieniądze były dla Ruela aż tak ważne.

Jane nagle wybuchła.

- Oszalałeś? Jeśli tak myślisz, to go nie znasz. Myślisz, że po co chciał mieć własne królestwo? Oczywiście, że pieniądze są dla niego... Co ty robisz?

Li Sung położył jej dłoń na czole.

- Gorące. Znowu masz gorączkę. Tak mi się właśnie wydawało, że nie najlepiej wyglądasz.

- Nie jest tak źle - odrzekła, cofając się.
- Wystarczająco - powiedział ponuro. - Od jak dawna?
- Nie mam jej codziennie - odparła wymijająco.
- Ale co noc?

Nie odpowiedziała.

- Co noc? - powtórzył.
- Biorę *qinghao* i przechodzi.
- Uważasz, że długo wytrzymasz, pracując jednocześnie do wyczerpania?
- Aż do ukończenia tej przekłętej linii kolejowej.

Li Sung pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Ruel to porządny człowiek. Da ci więcej czasu, jeśli powiesz mu, że jesteś chora.
- Nie! - Dobry Boże, tylko tego było trzeba, żeby Ruel się dowiedział o jej chorobie.

Przecież na to tylko czekał, żeby w jej liniach obronnych pojawił się słaby punkt. - Wszystko będzie dobrze. Nie mów mu o tym. Nikomu nie mów. - Ruszyła w stronę namiotu. - Poproś Dilam, żeby sprawdziła tę ostatnią ćwiartkę mili, którą zaczęłam mierzyć.

- Nie trzeba, ja to zrobię.

Powinna była wiedzieć, że będzie się upierał przy przejęciu obowiązków, a i tak już dziś za bardzo nadweręzał nogę.

- To nie potrwa długo - powiedziała. - Może sama dam radę to zrobić.

Chińczyk zacisnął szczęki.

- Ja to zrobię.

Po prawie dwóch miesiącach pracy dzień i noc nie miała już siły się z nim kłócić.

- Rób, jak uważasz - odparła więc.

Kiedy weszła do namiotu, Ruel popatrzył na nią znad mapy.

- Macie naprawdę dobry czas. - Puknął palcem w zaznaczone kółkiem miejsce na mapie. - Cztery mile od Ścieżki Słoni.

- Powinniśmy dotrzeć tam pojutrze. Robimy średnio dwie mile dziennie. Moglibyśmy robić więcej, gdybyśmy nie musieli dodatkowo karczować obu stron szlaku.

- Ale zdecydowałaś obejść polanę na Ścieżce Słoni.

- Tak, to następne trzy dni. - Podeszła do stołu i wskazała miejsce na mapie. - Tu. Miniemy Ścieżkę dwa dni przed datą wyznaczoną w kontrakcie.

- Być może. - Uśmiechnął się. - A może nie. Do tej pory Cinnidar był dla ciebie łaskawy, ale nie powinnaś liczyć na to, że twoje szczęście będzie trwało.

- Będzie trwało.

- Żadnych kłopotów ze słoniami?

- Nie widzieliśmy nawet jednego słonia od czasu, kiedy weszliśmy do dżungli. Dilam nie spodziewa się kłopotów. Mówi, że słonie to stworzenia mające swoje zwyczaje i jeśli obejdziemy ich polanę, to unikniemy bezpośredniej konfrontacji.

- Są bliżej niż trzy miesiące temu, kiedy tędy przejeżdżałem. Słyszałem je jadąc do obozu.

- Ciągłe je słyszymy. To nic nie znaczy. Według Dilam one ciągle do siebie mówią.

- Obserwowałem Dilam i Li Sunga, pracowali razem, kiedy wjeżdżałem do obozowiska.

Chyba lepiej się już dogadują?

- Nie ma z nimi kłopotów tak długo, jak Dilam...

- Nie próbuje z nim *nesling*? - dokończył Ruel i uniósł pytająco brwi. - Zdaje się, że dała sobie już spokój z tymi zamiarami?

Jane wzruszyła ramionami.

- Kto wie? Nie mówi nic na ten temat, a Li Sung zdaje sobie sprawę, jak ważna jest dla nas obojga ta linia. Jesteśmy oboje zbyt zajęci, żeby martwić się czymkolwiek Poza wykonaniem pracy. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Teraz też powinnam to robić.

- Zawsze uciekasz, kiedy przyjeżdżam cię zobaczyć.

- Mam pracę do wykonania. Nie mam czasu na gadanie.

- Ja też mam pracę do wykonania, ale dla ciebie znajduję czas. - Jego głos był niemal pieszczotliwy ale słowa zawierały wyrzut. - Zawsze znajdę dla ciebie czas, Jane.

Zawsze. To słowo wywołało w niej poczucie nieuniknioności. On nigdy się nie podda.

Nigdy nie zostawi jej w spokoju, dopóki nie dojdzie do wniosku, że dość wycierpiała. Boże, miała tego wszystkiego dosyć.

- Czy już skończyliśmy? Muszę wracać do pracy.

- Taak, dowiedziałem się tego, co mnie interesowało. Jadę do huty w wiosce, a potem odwiedzę pałac, zobaczyć, jak się miewa Ian. Wrócę za pięć dni. - Odwrócił się.

- Nie trudź się. Nie będę miała czasu na składanie raportu. Za pięć dni będziemy już za Ścieżką, tuż przed ścianą kanionu.

- Och, to żadna fatyga. - Posłał jej przez ramię uśmiech. - Wiesz, jakaś część mnie właściwie życzy ci ukończenia o czasie. Zrobiłaś dobrą robotę, a ja lubię porządną pracę.

Patrzyła na niego w milczeniu, zbyt zaskoczona, aby coś odpowiedzieć. Dlaczego, na Boga, nie mógł być cały czas jednakowo twardy i kpiący? Ledwie zdążyła wznieść przeciw niemu nowe zapory, miękł, zmieniał się, przypominając tego Ruela, którego знаła w Kasanpurze. Patrząc na niego czuła, jak jej siły obronne słabną. Odejdź! - modliła się bez słów. Był jak jej choroba, gorączka pozbawiająca ją sił.

- Ponieważ wyraźnie mnie przeganiaasz, postąpię zgodnie z twoją uprzejmą prośbą. - Odwrócił się. - Do widzenia, Jane. Pięć dni.

Po jego wyjściu Jane wpatrywała się w mapę niewidzącymi oczyma. Pięć dni. Nie ma powodu do zdenerwowania. Przecież już walczyła z tą gorączką - i wygrała. Praca szła wyjątkowo dobrze. Cinnidarianie pracowali szybko i radośnie, nie napotkali też żadnych przeszkód nie do zwalczenia. Cóż mogło się przydarzyć, aby powstrzymać ją przed osiągnięciem celu na czas?

Ian leżał wsparty na poduszkach i oddychał urywanie. Na twarzy miał wyraz nieopisanej rozkoszy.

- Margaret...

Margaret zsunęła się z niego i położyła obok. Jej piękne włosy zakrywały jego ramię.

- Dziwię się, że możesz jeszcze mówić. Chyba kiepsko się starałam.

- Cudownie... Zawsze jesteś cudowna... - Dłoń Iana delikatnie gładziła jej włosy. - A ja? Było ci przyjemnie?

- Tak. - Jak zwykle kłamstwo ledwie przeszło jej przez gardło, ale Kartauk powiedział jej, że bardzo ważne jest, aby po akcie mężczyzna poczuł się silny i dominujący. Pocałowała go w ramię. - Zawsze mi z tobą cudownie.

- Nie wiem, jak to możliwe. Leżę tu tylko jak kłoda, a ty...

- Nie zauważyłaś, że jestem bardzo apodyktyczna?

Lubię przewodzić. - Uniosła się na łokciu i spojrzała na niego prowokująco. - Kto wie? Biorąc pod uwagę mój charakter, może nie byłoby mi nawet w połowie tak dobrze, gdybym miała się tylko posłusznie podporządkować?

- Ty? Posłuszna? - powiedział, dotykając jej ust. - Nigdy!

- Ja myślę! - Przytuliła się z powrotem. - Jeszcze raz?

Ian zaśmiał się z zadowoleniem.

- Co, uważasz mnie za ogiera?

- Oczywiście. A niby dlaczego zmusiłam cię do małżeństwa ze mną? Zawsze wiedziałam, że syn starego lorda musi mieć tak samo chutliwą naturę jak jego ojciec. - Oparła policzek o jego rękę. - Ale chyba muszę ci dać trochę wytchnienia. - Wyczuła jego otepienie, znamionujące wyczerpanie, i wiedziała, że Ian za chwilę zaśnie. - Od kiedy tu przyjechaliśmy, nabierasz sił z każdą chwilą. Cinnidar ci dobrze robi.

- Myślisz? - spytał w zadumie. - To może będę mógł wkrótce wrócić do domu?

- Jeszcze nie. - W rzeczywistości wcale nie był wiele zdrowszy. Kaszel prawie mu przeszedł, ale wciąż tracił na wadze. Margaret miała straszne wrażenie, że Ian po prostu powoli gaśnie.

- Ale wkrótce? Glencaren mnie potrzebuje.

- Przecież czytałam ci list od pastora. Wszystko idzie świetnie.

Wyczuła, jak przeje jego ciało przemknął skurcz, i natychmiast zdała sobie sprawę ze swego błędu. Kolejny raz przypomniła sobie, że w rozmowie z nim trzeba bardzo zważać na słowa.

- Masz rację - sapnął. - Niepotrzebnie się okłamuję. Jestem niepotrzebny. Ani tobie, ani

tym bardziej Glencaren.

- Nie opowiadaj głupot - odparła. - Oboje cię potrzebujemy. Zawsze cię będziemy potrzebować.

Ian pokręcił głową.

Margaret poczuła szczypanie łez pod powiekami, ale nie pozwoliła im popłynąć, Ian potrzebował z jej strony sił, a nie słabości. A jednak była strasznie zmęczona ciągłym toczeniem tej walki.

- Czyżbyś wątpił, że cię kocham?

- Nie, ale miłość nie oznacza niezbędności. Przeze mnie tylko cierpisz. Gdyby mnie nie było, znalazłabyś sobie silnego, zdrowego mężczyznę, który dałby ci radość... i dzieci.

Dzieci. Wracał do nich w każdej rozmowie.

- Kto wie? - powiedziała lekkim tonem. - Może właśnie teraz dałeś mi dziecko? - Ian nie odpowiedział, a Margaret nagle się przestraszyła. Zawsze do tej pory była w stanie wzbudzić w nim promyk nadziei, ale teraz nie udało się nawet tyle. - To nawet bardzo prawdopodobne - dodała. Co za różnica, jeszcze jedno kłamstewko więcej, jeśli tylko potrafiło go to utrzymać przy życiu? - Jesteś coraz silniejszy, a...

- Nic nie mów - szepnął, przesuwając ustami po jej skroni. - Moja kochana, moja śliczna. Jestem taki zmęczony. Pozwól mi odejść.

Zacisnęła dłoń na jego ramieniu. Czyżby serce naprawdę mogło pęknąć? Zawsze uważała to określenie za idiotyczne, ale teraz sama czuła, jak coś w niej pęka, rozpada się.

- Nie mogę - odparła cicho.

- Chyba byłbym szczęśliwszy. Przecież chcesz, żebym był szczęśliwy.

- Tak bardzo... - szepnęła. - Wiesz... - Nie była w stanie mówić.

- Płaczesz, Margaret? No widzisz, zadaje ci ból nawet wtedy, kiedy nie chcę.

- Nie płaczę.

- Bo się powstrzymujesz. Nie pozwoliłabyś mi nigdy, żebym cię ujrzał płaczącą.

- Dlaczego miałabym płakać? Mam męża, którego kochałam całe życie, który mi daje rozkosz, który...

- Ty się nigdy nie poddajesz, Margaret - przerwał jej. - Słodka Margaret...

Nie była słodka. Czasami myślała, że Ian nie ma pojęcia o jej prawdziwej naturze. W tej chwili chciała wyć, kopać i wygrażać pięściami losowi, który go tak potraktował.

- Ty też nie możesz się poddać. Potrzebuję cię, Ianie.

- Co noc śnię teraz to samo. Pamiętasz, kiedy byliśmy dziećmi, w piękne dni przesiadywaliśmy na wzgórzach wśród wrzosów.

- Tak.

- Myślę, że to by było tak samo - spokojnie, szczęśliwie i jasno. - Ian delikatnie palcem zsunął jej włosy z twarzy. - To na mnie czeka.

- To niech czeka jeszcze pięćdziesiąt lat! - powiedziała ostrym głosem. - Będzie czekało jak głupie, a ty będziesz wciąż nabierał sił, dasz Glencaren dziedzica i... - Ian pokręcił głową, więc kontynuowała bardziej dobitnie: - Tak będzie. Sprawię, że tak będzie. - Ukryła twarz w jego piersi, walcząc z lękiem i rozpaczą.

- Ty drzysz, Margaret. - Jego oddech poruszał włosy na jej głowie. - Nie możesz się tak przejmować. Wszystko jest w porządku. Śpij, kochana.

Jak mogłaby zasnąć? Powiedział, że wszystko jest w porządku, ale nie obiecał jej, że będzie walczył o pozostanie z nią. Z każdym dniem odchodził coraz dalej na drugą stronę.

Ian po kilku minutach zasnął, ale Margaret leżała wpatrując się w ciemność, zdrętwiała ze strachu, kurczowo trzymając go za rękę.

Natychmiast przerwij pracę! - Z tymi słowami Margaret wkroczyła do pracowni Kartauka i zatrzasnęła drzwi. - Muszę z tobą porozmawiać.

- Czyżby? - spytał Kartauk, wycierając dłonie w ręcznik. - Ponieważ od czasu naszego przyjazdu na Cinnidar nie raczyłaś mnie odwiedzić, rozumiem, że to sprawa naprawdę istotna.

- Oczywiście, że tak. Nie tracę czasu na błaahostki. - Obciągnęła spódnice i usiadła na wyściełanym krześle. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Biała, lśniąca, mozaikowa posadzka,

takież ściany i liczne okna, których witrażowe skrzydła szeroko otwarto, aby wpuścić jak najwięcej światła. Umebłowanie było proste, ale pięknie wykonane. Pokój ten w niczym nie przypominał owego pomieszczenia w stajni, które stopniowo nauczyła się uznawać za bezpieczne schronienie. Uśmiechnęła się z trudem. - Ten pokój naprawdę jest całkiem przyjemny. Bałam się, że zrobisz z niego taki sam chlew, jak w swojej pracowni w Glencaren.

- Jestem tu zaledwie od dwóch miesięcy. Nawet ja potrzebuję dłuższego czasu dla stworzenia tak wspaniałego nieporządku.

- Gdzie twój piec?

Kartauk wskazał głową drzwi wiodące na werandę.

- Ruel kazał wybudować specjalny barak z dala od głównego budynku. Powiedział, że nie ma zamiaru ryzykować rozwalenia przeze mnie ścian albo spalenia pałacu.

- Bardzo rozsądnie. - Rozprostowała koronkę na rękawie. - Pewnie jesteś wreszcie zadowolony, że możesz dłużyć w złocie. To jest hedonistyczna ekstrawagancja, biorąc pod uwagę, że...

- Po co tu przysłaś?

- Właśnie miałam do tego przejść - odrzekła ze zmarszczonym czołem.

- Nieskoro ci to szło. Muszę przed zmrokiem skończyć ten fryz.

- Jest wczesny ranek.

- No właśnie. Czy chodzi o Iana?

- Częściowo.

- Rozumiem, że nie pogorszyło mu się nagle, boby cię tu nie było. Jesteś zadowolona z opieki Tamara nad nim?

- Tamar? Ten człowiek to skarb! Wystarczy, że Ian mrugnie, a Tamar już biegnie wykonać. Jock nie ma już nic do roboty. - Zauważyła leżącego u stóp Kartauka psa. - Co Sam tutaj robi? Myślałam, że jest w stajni.

- Jane prosiła mnie, żebym go pilnował. Nie dowierza jego inteligencji. Bała się, że mógłby pobiec za wiewiórką i wpaść do kanionu.

- To bardzo prawdopodobne. - Poprawiła włosy na skroniach. - Czy zrobisz mi tę uprzejmość i zaproponujesz filiżankę tego okropnego płynu, który nazywasz kawą?

- Nie, ręce ci się tak trzęsą, że pewnie byś upuściła kubek.

- Bzdura! - Szybko spłotła ręce i ukryła w fałdach sukni. - Co to za fryz? Chcesz...

- Nie przysłaś tu gadać o moich „babraninach” - przerwał jej Kartauk. - Czy Ian miał nawrót choroby?

- Nie, jego stan się nie zmienia. - Spuściła wzrok. - Ale jest... - Urwała, a potem znów zaczęła. - Mam zamiar urodzić mu dziecko.

Kartauk znieruchomiał.

- Ale mówiłaś mi, że lekarz...

- Tak, Ian nie może mieć dzieci. - Czują, że płoną jej policzki, i wiedziała, że denerwująco spostrzegawcze oczy Kartauka zauważą jej niepokój tak samo, jak zauważały wszystko, co jej dotyczyło. - Ale tak musi być. Za twoją sprawą.

Rzeźbiarz zaklął pod nosem, po czym odezwał się jadownicę:

- A niby jak mam to zrobić? Co innego powiedzieć ci jak podniecić i zaspokoić mężczyznę, ale nie mam zdolności magicznych i nie potrafię sprawić, aby Ian cię zapłodnił. Czy mam...

- Cicho bądź! - rzuciła. - Nie musisz się wściekać. Jeżeli posłuchasz, zamiast na mnie napadać, powiem ci czego od ciebie potrzebuję.

Kartauk usiadł na swym wysokim krześle i przyjrzał się jej.

- No dobrze, mimo wszystko słucham.

- Ian jest... Nie mogę... - Wzięła głęboki wdech i powiedziała: - Jeśli nie dam Ianowi świadomości, że ma dla kogo żyć, umrze. Jemu naprawdę jest potrzebne dziecko.

Kartauk czekał w milczeniu.

- Ponieważ Bóg nie widzi potrzeby obdarowania nas, postanowiłam wziąć sprawę w swoje ręce. - Patrząc wprost przed siebie, powiedziała prędko: - Będziesz się ze mną pokładał, Kartauk?

- Co takiego? - spytał zdrętwiały.

Margaret pośpiesznie kontynuowała:

- Tylko do czasu, aż pocznę dziecko. Później nie będę cię już kłopotać.

Cisza. Dlaczego nic nie mówi? Choć na niego nie patrzyła, czuła, że biją promieniujące od niego uczucia.

Nagle odezwał się powoli, wymawiając dokładnie każde słowo:

- Mówisz, że mam zostać ojcem dziecka, które potem przedstawiś jako potomka twojego męża?

Przytaknęła gwałtownym ruchem głowy.

- A czy mogę wiedzieć, dlaczego właśnie ja zostałem wybrany jako ogier do pokrycia takiej klaczy?

- Nie bądź wulgarny! - Zwilżyła usta. - To chyba rozsądny wybór. Sądzę, że lubisz Iana. Masz silne ciało i jesteś rozumny, jesteś też pewnie zdolny do poczęcia zdrowego potomstwa.

- I co jeszcze?

- Nie powinno to być dla ciebie trudne. Nie zaprzeczysz chyba, że masz rozwiązłą naturę. Ellen MacTavish i te inne kobiety były...

- Spójrz na mnie.

- Gdyby to nie było konieczne, nie zrobiłabym tego. Ale dziecko jest konie...

- Spójrz na mnie!

Niechętnie podniosła wzrok. Kartauk był zły. Nigdy dotąd nie widziała go w gniewie, ale teraz był wściekły.

- Nie pozwolę ci się wykorzystać!

- To nie taki straszny... To musisz być ty! Myślałam o Ruelu, ale...

- Ruelu?!

- On też ma rozwiązłą naturę i mógłby to zrobić, żeby ratować Iana, ale nie mogłam go obarczać tym ciężarem.

- Jakim ciężarem?

- Cudzołóstwa - szepnęła. - To straszny grzech, którego, jak sądzą, Bóg nie wybacza. Lepiej cierpieć jego gniew samotnie.

Kartauk zacisnął usta.

- A mnie uważasz za zbyt wielkiego poganina, aby Bóg zauważył moje występki?

- Z twojej strony to by był akt łaski. Bóg z pewnością zrozumie, że to nie twoja wina.

- Dobry Boże, to teraz spółkowanie z tobą jest aktem łaski! Jesteś szaloną kobietą!

- Kiedy pierwszy raz sobie uświadomiłam, że być może będę musiała to zrobić, owszem, pomyślałam, że oszalałam. - Musiała przerwać, żeby zapanować nad drżeniem głosu. - Długo zastanawiałam się nad tym, ale to jedyne wyjście. To trzeba zrobić. Myślisz, że łatwo było mi cię poprosić?

- Nie zauważyłem, żebyś mnie prosiła. Po prostu mi powiedziałaś, co mam zrobić.

- Nie chciałam być nieuprzejma, tylko szczerze powiedziałam.

Nagle jego gniew zniknął, a wyraz twarzy złagodniał.

- Wiem. Szczera, pyskata, z ciętym językiem i ofiarna. No cóż, nie możesz dać Ianowi dziecka. - Uniósł dłoń kiedy otworzyła usta, aby protestować. - Nie zrobię tego paniusiu.

- Dlaczego? To zniszczy Iana, jeśli tego nie zrobię.

- A jeśli to zrobisz, zniszczysz siebie. Znam cię dobrze. Usiłujesz nagiąć swój kręgosłup moralny, ale możesz go tylko złamać. - Podszedł do niej. - Nie wezmę w tym udziału. Nigdy nie miałem skłonności do niszczenia. Żeby tego uniknąć, uciekłem od Abdara, i nie pomogę ci zostać jego wyznawcą.

- Ja już postanowiłam, Kartauk!

- Ale to wymaga mojej współpracy. - Spojrzał na nią z góry. - Nie, paniusiu, nie dostaniesz ode mnie dziecka.

Był tak blisko niej, że czuła zapach mydła, kawy i gliny, którymi przesiąkł, i widziała pulsujące miejsce na jego silnej, brązowej szyi i nabrzmiałe żyły na masywnych ramionach. Opanowało ją nagle uczucie obcości. Uświadamiała sobie ostro jego potężne rozmiary, szerokość jego barków, masywną siłę jego łydek i ud w tych luźnych spodniach, niedostępność w jego twarzy. Była niespokojna, ale przecież to był ten sam Kartauk, jakiego

znała już ponad trzy lata. Niepokój więc musiał być spowodowany przez samą intymność propozycji, którą złożyła.

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego wybrałam ciebie - powiedziała z wahaniem w głosie. - Uważam cię za mojego przyjaciela. Miałam w życiu niewielu przyjaciół. Mam nadzieję, że się nie pomyliłam.

- Matko Boska! - Ręce Kartauka zacisnęły się na jej ramionach, jakby chciał ją potrząsnąć.

- Wykazujesz wobec mnie niesamowite zrozumienie. - Zamrugowała szybko, żeby przepędzić z oczu łzy. - To będzie najtrudniejsze przedsięwzięcie i cieszyłabym się, mogąc cię przy tym mieć koło siebie.

Jego dłonie zacisnęły się, aby po chwili opaść.

- Odejdź stąd, paniusiu.

- Jeszcze nie skończyliśmy dyskusji. Nie mogę odejść, dopóki nie dojdziemy do porozumienia.

- Nie dojdziemy do porozumienia.

- Ale to jest konieczne. Wiem, że to, co proponuję, nie jest ani cnotliwe, ani chrześcijańskie, ale uważam, że tak powinno być. Kiedy będzie dziecko, Ian będzie żył. Czy ratowanie życia może być grzeszne?

- Zostaw mnie.

- Sam akt nie jest mi szczególnie miły, ale Ian wydaje się uważać, że robię to dobrze. Będę robić wszystko tak, jak mi kazałeś. To nie powinno być dla ciebie bardzo nieprzyjemne.

Kartauk szarpnięciem podniósł ją na nogi i popchnął w stronę drzwi.

- Wiem, że nie jestem taką ślicznotką jak Ellen MacTavish, ale postaram się...

- Moja droga pani. - Kartauk otworzył drzwi i wypchnął ją do holu. - Na pewno nie jesteś ślicznotką i tak samo daleko ci do Ellen MacTavish, jak Cinnidar jest oddalony od Szkocji.

Margaret poczuła ukłucie bólu, ale wyprostowała się, spojrzała mu w oczy i rzekła:

- Ślicznotka czy nie, nie umrzesz, jeśli posłużysz mi, aż zacieję. Nie będę nalegała na natychmiastową konsumpcję. Ja też muszę się przyzwyczaić do myśli o... - zawahała się.

- Cudzołóstwie.

- Poczęciu. Jestem pewna, że poczujemy się oboje lepiej, jeśli spróbujemy nawzajem lepiej się zrozumieć. Na początek możesz zacząć nazywać mnie Margaret. - Odwróciła się i ruszyła w stronę schodów. - Jutro cię znów odwiedzę. Dobrego dnia, Kartauk.

- Do widzenia, paniusiu. Nie wracaj. - Drzwi się za nią zatrzasnęły.

Kartauk patrzył na nią chłodno.

- Powiedziałem ci, żebyś nie wracała. Nie mam czasu na twoje idiotyczne pomysły.

- Nie będę ci zawracała głowy. - Margaret zamknęła drzwi i podeszła do niego. - Rozumiem, że nie obchodzi cię nic poza twoją pracą, wymyśliłam więc sposób, żeby nasze cele były zbieżne.

- Ciekawe jaki?

- Pomogę ci. - Podwinęła rękawy sukni. - O tej porze Jock kąpie Iana, a później Ian będzie drzemał. Mam więc trzy godziny wolne. Będę przychodziła codziennie i pomogę ci w modelowaniu twoich dłubanek.

Rzeźbiarz spojrzał na nią bez wyrazu.

- Chcesz być moim terminatorem?

- Skoro tak się to nazywa, owszem. Będziemy też rozmawiać i lepiej poznamy swoje charaktery. No więc, co mam zrobić najpierw?

- Wyjść.

- Po co nosisz ten skórzany fartuch? Czy ja też powinnam taki mieć?

- Nie potrzebuję terminatora.

- Oczywiście, że potrzebujesz. Jestem pewna, że każdy rzemieślnik ma pomocnika, wykonującego poślednie prace. Będę zamiatać i... - urwała, niepewna, aby zakończyć mgliście: - trzymać różne rzeczy.

- Do tego mogę mieć służbę Ruela.

- Ale im byś nie zaufał, nie pozwoliłbyś im przebywać w jednym pomieszczeniu ze swoimi

drogocennymi rzeźbami - powiedziała z odcieniem triumfu w głosie. - Wiesz, że nie jestem fleją i że nie dopuszczę do zniszczenia którejs z tych dłubanek.

- Paniusiu, ja nie... - Urwał i spróbował z innej beczki: - Twój plan jest pozbawiony sensu. Przez ostatnie trzy lata odwiedziłaś mnie tyle razy, że na pewno niczego nowego o sobie się już nie dowiemy.

- Ty mnie zapewne dobrze znasz, ale ja muszę się o tobie wiele nauczyć. To ja zawsze opowiadałam. Ty pytałeś, ja odpowiadałam.

- Czasami bardzo niechętnie.

- Zwierzenia to nie mój styl. To było dla mnie trudne... Ale ty o tym dobrze wiesz. Byłeś dla mnie zawsze bardzo miły - dodała w zadumie. - Dlaczego nie możesz taki być teraz?

- Jestem. Bardziej, niż myślisz. - Popatrzył na nią przez chwilę w milczeniu. - Jesteś bardzo upartą kobietą. Nie zrzucisz tego zamiaru, co?

- Oczywiście, że nie.

- No, dobrze - powiedział, podnosząc ręce w geście poddania.

Oczy Margaret rozszerzyły się.

- To znaczy, że ty...

- Nie to miałem na myśli, do cholery! - przerwał jej szybko. - Mam na myśli, że przyjmę cię na terminatora. Wygląda na to, że jeśli nie dam ci naprawdę absorbującego zajęcia, będziesz mi tu siedzieć, gapić się i zamęczać mnie swoją paplaniną.

- Ja nie paplam. - Nie zdawała sobie sprawy, że traktował jej zwierzenia jako paplaninę. Teraz ta nagła świadomość sprawiła jej ból. Powiedziała więc sztywno: - Chociaż rozumiem teraz, że uważasz mnie za gadułę. Nie powinnam była zwać ci na głowę moich kłopotów. Wybacz mi, proszę.

- Nie wmuszałaś mi ich. Sam je przyjmowałem - powiedział Kartauk szorstkim głosem. - Na Boga, przecież naprawdę tego ci było trzeba, żebym ich wysłuchiwał. Byłem twoim księdzem w konfesjonale. Dawałem ci schronienie i rozgrzeszenie. Czy bierzesz pod uwagę, że gdybym zrobił to, o co mnie prosisz, nie mógłbym już zaspokajać twoich potrzeb? Nie byłoby już schronienia.

Wyobraziwszy sobie tę sytuację, Margaret natychmiast poczuła się samotna.

- Potrzeby Iana są ważniejsze - powiedziała z wysiłkiem.

- Jesteś głupią kobietą. Przez lata byłaś niewolnicą egoistycznego faceta tylko dlatego, że zapłodnił kobietę, która cię urodziła, a teraz chcesz się poświęcić dla Iana. - Zawiesił głos, a po chwili powiedział z namysłem: - A wszystko dlatego, że czujesz się winna, bo nie czujesz do nich wystarczająco dużo miłości.

Margaret wpatrywała się w niego zaszokowana.

- Ależ ja ich kocham!

Kartauk potrząsnął głową.

- Miłość trzeba odwzajemniać, a twój ojciec nie dawał ci nic w zamian.

Tej oczywistej prawdzie nie mogła zaprzeczyć.

- Ale Ian jest...

- Kochałaś Iana jako kumpla z dzieciństwa i przyjaciela. Z czasem mogło to ulec zmianie, ale przez ten wypadek stał się również twoim dzieckiem. I tym właśnie teraz jest - ukochanym dzieckiem, które trzeba chronić.

- Kłamiesz - odparła ostrym głosem. - Ian jest moim mężem i kocham go z całego serca.

- Wcale nie z całego i dlatego poczucie winy popycha cię do zniszczenia samej siebie, byle tylko Ianowi było lepiej.

- To nieprawda - szepnęła. - Nie wolno ci mówić takich rzeczy.

- Dlaczego? - Uśmiechnął się beztrudnie. - Zawsze wiedziałem, że jak bardzo uczciwa byś nie była wobec innych, siebie zawsze będziesz oszukiwać.

- To dlaczego nigdy dotąd nie powiedziałeś mi o tym?

- Jesteś rzadko spotykanym, wspaniałym typem kobiety, i nie chciałem cię zranić. - Spojrzał jej w oczy. - Ale jeśli będziesz się uparcie próbowała trzymać tych głupot, jakie wymyśliłaś, nigdy już nie pozwolę ci się schować. Zbudujesz mur - rozwalę go. Powiesz mi półprawdę - będę kopał i drapał, i wiercił, aż dowiem się całej prawdy. Żadnego pocieszenia więcej. Żadnego schronienia.

Margaret jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak bezbronna i zalekniona. Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Życiu trzeba stawić czoło. Jestem dorosłą kobietą i nie potrzebuję żadnych schronisk. Mylisz się co do mnie» Kartauk.

- Masz ochotę zaryzykować i dowiedzieć się, że mam rację?

- Ponieważ to nieprawda, nie ma żadnego ryzyka. - Podeszła do stołu i popatrzyła na fryz. - A teraz powiedz mi, co mają oznaczać te nacięcia na tej dłubance.

Kartauk nie odpowiedział od razu, podniosła więc wzrok i zobaczyła, że się jej przygląda z łagodnym uśmiechem.

- Nie będziesz już więcej nazywać moich prac „dłubankami”, paniusiu.

- Margaret - poprawiła go. - I będę wyrażała swoje myśli w taki sposób, jaki mi odpowiada.

- Nie, od tej chwili będziesz mówiła tylko prawdę. Ogromnie cenisz moje prace za ich piękno. Być może bardziej niż ktokolwiek inny.

- Dlaczego tak mówisz? - spytała czujnie.

- Widziałem, jak patrzyłaś na zachód słońca... I widziałem, jak patrzyłaś na moje „dłubanki” - dodał miękko.

Margaret niemal wpadła w panikę. Zdawała sobie sprawę, że Kartauk umie być przenikliwy, ale nigdy jej nie dał do zrozumienia, że widzi aż tak wiele.

- Dlaczego miałabym udawać, że coś mi się nie podoba, jeśli tak nie jest?

- Może dlatego, że piękno potrafi sprawiać zarówno przyjemność, jak i ból. A może uważasz taką miłość do piękna za słabość, która przeszkadza w wypełnianiu obowiązków?

- To nie jest... - Zamknęła usta, bo poczuła się nagle bardziej bezradna i niepewna, niż kiedy była dzieckiem.

- Żadnego schronienia, paniusiu. I żadnej litości - dodał miękko.

- Nie prosiłam cię o nie. - Odwróciła wzrok. - Nie odpowiedziałeś mi. Czy będzie mi potrzebny taki skórzany fartuch?

- Z całą pewnością. - W jego uśmiechu pojawił się smutek, kiedy sięgał na półkę pod stołem. Zdjął fartuch, wręczył jej i rzekł: - Nie możesz się przecież upaprać. Masz tak impulsywny charakter, że coś podobnego mogłoby się zdarzyć.

Wycie... Grzmot...

Wyrwana gwałtownie ze snu Jane usiadła na posłaniu.

Wycie powtórzyło się, a natychmiast po nim znów rozległ się grzmot.

- Chodź szybko! - Li Sung wpadł do jej namiotu. - Pośpiesz się! Tory!

Li Sung niósł strzelbę - on, który nigdy w życiu nie był uzbrojony! Jane odrzuciła na bok koc i szybko wciągnęła buty.

- Co się dzieje? Co to jest?

- Słoń.

Znowu rozległo się wycie, dzikie, wściekle, demoniczne.

- To nie może być słoń. Nigdy w życiu nie słyszałam czegoś takiego. - Jane wstała i podbiegła do wyjścia z namiotu.

- Dilam mówi, że to samotnik.

Dostrzegła Dilam, która biegła z pochodnią w rękę wzdłuż legowisk robotników, budząc ich.

- Zostaw to! - krzyknęła do Dilam. - Chodź z nami. Możesz być potrzebna!

Dilam kiwnęła głową i po chwili była już obok Jane. Pobiegły razem wzdłuż torowiska w stronę, z której słychać było wycie. Za nimi, najszybciej jak mógł, kuśtykał Li Sung.

- Co to znaczy samotnik, do cholery? - spytała Jane.

- Słoń, który został wykluczony ze stada - odparła Dilam. - Czasami dostaje szału z samotności. Jest bardzo niebezpieczny.

Wycie ozwało się kolejny raz. Bliżej.

Potem Jane usłyszała metaliczny, trzeszczący dźwięk, który przeraził ją o wiele bardziej niż wściekle trąbienie.

- Psiakrew! On wyrywa moje tory!

Wybiegli z za zakrętu i Jane po raz pierwszy ujrziała tego słonia.

Był olbrzymim, szarobrazowym potworem z jednym uchem porwanym na strzepy. Stał, trzymając w uniesionej trąbie szynę i na ich oczach odrzucił ją od siebie, jakby była wykałaczką. Potem sięgnął po następną.

- Powstrzymaj go! - wrzasnęła Jane.

Słoń uniósł głowę i spojrzał na nich małymi, nabiegłymi krwią oczami. Zatrąbił gniewnie i odwrócił się w ich stronę.

Jane poczuła, że krew zastyga w jej żyłach. Słoń oglądał jak diabelski pomiot z koszmarnych głębi piekieł.

Li Sung zmełł przekleństwo w ustach, podszedł do torowiska i uniósł strzelbę.

- Nie! - krzyknęła Dilam. Siłą opuściła lufę w rękach Li Sunga. - To jest Danor!

- Nie obchodzi mnie, co... - zaczął Li Sung, ale w tym momencie słoń pochylił ciosy i zaszarżował w jego kierunku.

Dilam uskoczyła mu z drogi. Jane popchnęła Li Sunga na bok z taką siłą, że oboje się przewrócili i odtoczyli w dżungłę, unikając w ostatniej chwili stratowania.

Samotnik z łomotem przebiegł obok.

Dilam podniosła z ziemi porzuconą przez Li Sunga strzelbę.

- Nie wstawajcie! - syknęła do nich.

- Mam leżeć i pozwolić mu, żeby mnie rozdeptał tą swoją gigantyczną nogą? - spytał Chińczyk. - Nic z tego. Dawaj strzelbę.

Nie zwracając na niego uwagi, Dilam uniosła broń i wystrzeliła ponad głowę słonia.

Olbrzym zatrzymał się, kiwając na boki trąbą.

Dilam oddała jeszcze dwa strzały.

- Co ty robisz? - spytała niecierpliwie Jane. - Strzały ostrzegawcze nie pomogą. Przecież słoń nie może wiedzieć, że pociski ranią. Musisz go zastrzelić.

- Nie! - Dilam strzeliła jeszcze trzykrotnie nad głowę słonia.

Zwierz przestępował z nogi na nogę i znów uniósł trąbę. Potem nagle odwrócił się i potoczył w głąb dżungli, gdzie po chwili zniknął.

Jane powoli wypuściła z płuc powietrze, starając się opanować bicie serca.

- Czy on wróci?

- Nie dzisiaj - odparła Dilam. Wręczyła Li Sungowi strzelbę i skłoniła się uprzejmie. - Żałuję, że musiałam zachować się tak niegrzecznie i zabrać ci broń, ale to był Danor. Nie mogłam pozwolić, abyś go skrzywdził. Ten słoń jest niezwykle.

- Mówiłaś, że to samotnik.

Dilam wysunęła szczękę w wyrazie uporu.

- Nie wiedziałam, że to Danor. Owszem, to możliwe że został samotnikiem, ale nawet jeżeli, to wciąż jest bardzo wyjątkowy. Nie pozwolę wam go zabić.

- Omal nas nie stratował - próbowała ją przekonać Jane.

- Mnie - poprawił ją Li Sung, podnosząc się z ziemi. - Zaatakował mnie. Najwyraźniej pomyślał, że kaleka jest najsłabszym ogniwem. Chcę mu uświadomić jego błąd. Idę za nim.

- Nie wygłupiaj się. Li Sung. Ten słoń po prostu oszalał. Skąd mógłby wiedzieć, że jesteś kaleką? Nie mamy teraz czasu na ściganie go - powiedziała Jane i zaczęła oglądać torowisko.

- Bóg jeden wie, co on zrobił... Na Boga!

Z przerażeniem wpatrywała się w obraz zniszczenia, jaki roztoczył się przed jej oczami. Jak okiem sięgnąć, powyrywane szyny, połamane podkłady. Wzięła z ręki Dilam pochodnię i poszła wzdłuż szlaku. Ledwie zdawała sobie sprawę z ich obecności.

Wszędzie chaos.

- Bardzo źle - mruknęła Dilam, kiedy przeszli już spory kawał w górę torowiska.

Było jednak gorzej niż źle. Ponad dwie mile torów do naprawy - to oznaczało utratę całego dnia.

- To się już nie może powtórzyć - powiedziała Jane. - Nie obchodzi mnie, jak bardzo wyjątkowy jest ten twój słoń. Nie możemy sobie pozwolić na utratę ani jednego dnia więcej z powodu konieczności naprawiania po nim.

- Może już nie będzie mu się chciało tego powtarzać - odrzekła impulsywnie Dilam.

- Chciało? Czy samotnik może decydować o tym, czego chce, a czego nie? Sama mówiłaś, że on oszalał.

- To było przedtem, zanim zorientowałam się, że to Danor. On jest bardzo rozumny.
- Cholernie dobrze rozumie, co zrobić, żeby zniszczyć moją linię kolejową. - Jane przejechała dłońmi po włosach. - W jaki sposób jeden słoń zdołał tyle zniszczyć w tak krótkim czasie? Usłyszeliśmy go przecież dopiero kwadrans temu.

- Bo przedtem nie chciał, żebyśmy go słyszeli.

- Jak to rozumieć?

- Zaczął trąbić dopiero na ostatniej ćwiartce mili. Inaczej w ogóle byśmy go nie usłyszeli. Musiał mieć jakiś powód, skoro chciał zwrócić naszą uwagę.

Jane wpatrywała się w Dilam z zaskoczeniem.

- Chcesz powiedzieć, że on to zaplanował?

- Nie wiem, ale on nie jest taki sam jak inne słonie.

- Nie obchodzi mnie, że nie jest taki jak inne słonie. Chcę mieć pewność, że to się nie powtórzy.

Dilam zawahała się.

- Niestety to jest możliwe. Najwyraźniej nie spodobało mu się, że mu przerwaliśmy.

Jane nagle przypomniała sobie opuszczone w trakcie szarży ciosy.

- Tak, to się dało zauważyć.

- Wystawię jutrzejszej nocy strażę przy szlaku - pośpieszyła Dilam.

- Musiałabyś ustawić strażę wzdłuż całej linii - wtrącił Li Sung. - Najlepiej byłoby pójść za nim i zabić go.

Na twarzy Dilam pojawił się nieprzenikniony wyraz.

- Nie pomogę wam w tym.

- Widziałas, co zrobił? Te tory są... - Jane zachłysnęła się, urwała i po chwili opanowała głos. - Nigdy bym nie zabiła żadnego zwierzęcia bez potrzeby, ale ten słoń jest wściekły. Dlaczego nam nie pomożesz?

- Uratował życie mojemu dziecku. Gdybym zniszczyła jego zbawcę, okryłabym się hańbą.

- A więc znajdź kogoś innego, kto nas do niego doprowadzi.

- Nie mogę tego zrobić - odrzekła z uporem Dilam. - To by było to samo. Wystawię strażę przy torowisku.

- Mógłbym sam spróbować go znaleźć - podsunął Li Sung.

- Zgubiłbyś się - odparła zwięźle Jane. - Nie wiesz nic o dżungli.

- A jeszcze mniej o słońiach - przyznał Chińczyk. - Ale wiem, że tego słonia nie lubię, a nawet ja nie chybiłbym do tak wielkiego celu.

- Jeślibyś trafił w odpowiednie miejsce. Nie jestem nawet pewna, czy pocisk przebije tę skórę. To zbyt niebezpieczne. Omal cię dziś nie zabił.

- Mówiłem ci, że mnie nie lubi. - Li Sung zacisnął usta. - Ale zapewniam cię, że ta niechęć jest obustronna. Pójdę za nim.

Jane pokręciła przecząco głową.

Li Sung posłał jej chłodne spojrzenie.

- Uważasz, że to za trudne zadanie dla kaleki?

- Nie powiedziałam... Li Sung, nie rób mi tego teraz! - Zwróciła się do Dilam. - To się nie może powtórzyć. Chcę, żeby straż była uzbrojona. Rozumiesz?

- Rozumiem.

Jane dodała w myślach, że Dilam nie obiecała rozkazać strażom zabić słonia. Odwróciła się na pięcie i poszła z powrotem do obozu.

Li Sung szedł obok niej.

- Martwisz się o terminy?

- Oczywiście, że tak.

- Wciąż mamy jeden dzień w zapasie.

- Jeśli ten pieprzony słoń nie wyrządzi więcej szkód.

- Jeśli to robi, pójdę za nim.

Li Sung naprawdę był zdecydowany tak postąpić. Z jakichś idiotycznych powodów odbierał atak słonia na bardzo osobistej płaszczyźnie. Teraz Jane musiałaby martwić się nie tylko o terminy, ale i o Li Sunga, płaczącego się wściekle po dżungli, usiłującego znaleźć tego samotnika. Oparła się przyplływowi paniki i rozpacz. Wciąż miała dwa dni. Po prostu

trzeba będzie ciężiej pracować, żeby te dwa dni wystarczyły na naprawę szkód i oczyszczenie Ścieżki.

I modlić się, aby temu stukniętemu zwierzowi nie przyszło do łba niszczyć więcej torów.

15

Li Sung klęczał obok koca Dilam i potrząsał ją za ramię.

- Zbudź się!

Dilam sennie uchyliła powieki.

- Chcesz *nesling*?

- Nie, z pewnością nie.

Dilam ziewnęła, przewróciła się na bok i zamknęła oczy.

- No to muszę spać. Dopiero co wróciłam pod koc, a muszę wstać za trzy godziny.

Pogadamy jutro.

- Dlaczego miałabyś spać, skoro ja nie mogę? Tylko ty możesz mi podać odpowiedzi.

- Jakie odpowiedzi?

- Opowiedz mi o słońiach.

Dilam otworzyła oczy i podparła się na łokciu.

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko.

- Bo chcesz iść za Danorem?

- Może.

- Jaki inny może być powód?

- Dobrze, więc chcę iść za nim.

- Dlaczego jesteś na niego taki wściekły? - spytała z zaciekawieniem.

Li Sung sam się nad tym zastanawiał. Zdawał sobie doskonale sprawę, że jego reakcja jest zupełnie niewspółmierna do popełnionego przez słońia czynu. Wiedział tylko, że kiedy spojrzał na tego potwora z porwanym uchem, coś w nim eksplodowało.

- Usiłował mnie zabić. Czy to nie wystarczający powód?

- Owszem. - Dilam wpatrywała się w jego twarz. - Ale nie wierzę, żebyś był... Myślę, że dosłyszałeś *makhol*.

- *Makhol*?

- Zew. Mój ojciec powiedział mi, że słoń czasem rzuca urok na człowieka, człowiek słyszy zew i od tego czasu człowiek i słoń są jednością. To się zdarza bardzo rzadko, nawet wśród *mahoutów*, opiekunów słońi. - W zadumie zmarszczyła brwi. - Bardzo ciekawe. Nigdy nie słyszałam, żeby ktokolwiek poza małym dzieckiem zareagował na *makhol*.

Li Sung uśmiechnął się sardonicznie.

- Zapewniam cię, że do mnie nie dotarł żaden zew. Nie mam ochoty być jednością z żadnym słońiem, nawet dużo spokojniejszym od tego bandyty.

- Pragniesz więc wiedzy o słońiach, żeby móc zabić Danora, jeśli znów przyjdzie?

Li Sung przytaknął ruchem głowy.

- Rozumiem, że teraz nie będziesz ze mną rozmawiać?

- Tego nie powiedziałam.

- A co z chronieniem szlachetnego zbawcy twojego dziecka?

- Nie boję się o Danora.

- A powinnaś - powiedział ponuro Chińczyk.

- Nie sądzę. - Dilam uśmiechnęła się i owinęła kocem. - Dobrze, powiem ci, co wiem o słońiach. Są bardzo podobne do nas, wiesz? Bardzo długo żyją, czasami ponad sześćdziesiąt lat, a dorastają dopiero w wieku lat kilkunastu. Przemieszczają się w stadach rodzinnych, składających się z ośmiu do dziesięciu sztuk, a często łączą się w większe. W stadzie Danora naliczyłam ponad sto słońi. Zwykle przewodnikiem jest największa w stadzie słońica.

- Znowu matriarchat - wtrącił kwaśno Li Sung. - Nic dziwnego, że lubisz słońie.

Dilam zaśmiała się figlarnie.

- Mówiłam ci, że są inteligentne. Najważniejszy samiec w stadzie musi być bardzo mądry i silny, żeby podtrzymać swoją pozycję. Jeśli inny samiec podejmie z nim walkę i wygra, pokonany opuszcza stado i zostaje sam. Czasami rozpacz czyni go gwałtownym i wówczas

staje się on typowym samotnikiem.

- Jak Danor?

- Być może. - Wzruszyła ramionami. - Wiem, że samica Danora jest przewodnikiem stada. Widywałam ich razem. Słoń zjada czasami ponad tysiąc funtów pożywienia dziennie, a jego ulubione jedzenie to młode gałązki na szczycie niskich drzew. Są bardzo delikatne. Jeśli słoń nie sięga tych gałązek, przewraca całe drzewo i je objada. To właśnie dlatego po przejściu słonia przez dżunglę widać tyle zwalonych drzew. Muszą jeść cały czas albo słabną.

- Nie ciekawi mnie menu Danora.

- Nie, wolałbyś się dowiedzieć, jak go zabić. To też ci powiem, ale prosiłeś o wszystko i to właśnie dostajesz. Tylko samce mają ciosy i potrafią nimi nieźle napsocić.

- Zauważyłem.

- Nie jestem pewna, czy Danor rzeczywiście chciał cię stratować czy nadziać na cios. Słonie potrafią bardzo delikatnie stapać, potrafiłby więc cię dopaść, kiedy uskokczyłeś na bok.

- On chciał mnie zabić.

- Najwyraźniej nie uwierzysz w nic innego. - Skrzywiła się i kontynuowała. - Słonie lubią wodę i świetnie się w niej czują. Widziałam kiedyś, jak całe ich stado płynęło Pod wodą, żeby przedostać się na drugi brzeg, i tylko czasami wystawiały trąby ponad powierzchnię dla zaczerpnięcia powietrza. To było jak obserwowanie...

- To mnie nie obchodzi. Ponieważ nie umiem pływać, nie planuję zmierzyć się z nim gdziekolwiek poza suchym lądem.

- Nie przerywaj. Będę mówiła, o czym chcę.

Li Sung otworzył już usta, żeby się kłócić, ale zamknął je bez słowa. Przez ostatnie miesiące nauczył się, że Dilam potrafi być niezwykle uparta, a wysłuchanie jej do końca nie było takie znów straszne.

Dilam skinęła głową z satysfakcją i podjęła swój wywód. Minęło dwadzieścia minut, zanim zamilkła.

- Dałaś mi mnóstwo bezużytecznych informacji - powiedział Li Sung. - Teraz będę musiał odsiewać ziarno od plew.

- To było samo ziarno - odparła Dilam. - Musisz je tylko wykorzystać odpowiednio. - Ziewnęła. - A teraz, jeśli to wszystko, co chciałeś wiedzieć, idę spać.

Li Sung zrozumiał, że powinien już wracać na swoje legowisko. Dowiedział się już wszystkiego, czego mógł potrzebować. Niemniej coś jeszcze nie dawało mu spokoju.

- No? - poganiała.

- Nigdy przedtem nie mówiłaś, że masz dzieci - odparł powoli.

- Nie byłeś gotowy zainteresować się tym tematem. Mam dwóch wspaniałych synów. Medor ma dziewięć lat, a Kalmar cztery. Na czas mojej misji tutaj są pod opieką kobiet z Rady.

- Chłopcy? - Li Sung spojrzał na nią spod oka. - To pech dla ciebie. Żadnej dziewczynki, która by kontynuowała twoją tradycję dominacji i chwały.

Dilam westchnęła.

- Nic nie rozumiesz. My nie dominujemy, to tylko... Jeśli mężczyzna ma ochotę zasiąść w Radzie, może to zrobić. Tyle że musi udowodnić swoją wartość. - Uśmiech rozjaśnił jej twarz. - Ale próby są trudne i mężczyźni z naszego plemienia wolą cieszyć się życiem, pozostawiając nam podejmowanie decyzji.

- A twój mąż też woli pozwolić tobie na podejmowanie decyzji?

Uśmiech znikł z twarzy Dilam.

- Mój mąż nie żyje, ale nie, nigdy nie chciał rządzić. Senat był myśliwym i to mu sprawiało radość. Zresztą wszystko, co robił, sprawiało mu przyjemność.

- Którego z twoich synów uratował Danor?

- Medora. Miał wtedy tylko pięć lat. Chcesz o tym usłyszeć?

Chińczyk skinął głową.

Dilam zawahała się i w zamyśleniu skrzyżowała ręce na piersi.

- Mój mąż. Senat, Medor i ja często chodziliśmy wieczorami nad brzeg rzeki koło naszej wioski, żeby obserwować słonie. Medor uwielbiał patrzeć, jak bawią się i chlapią wodą. Pewnego wieczoru, kiedy tam byliśmy, pojawił się tygrys. Bez żadnego ostrzeżenia. W jednej

chwili śmialiśmy się na brzegu, a w następnej atakował nas tygrys. Senat odepchnął mnie i stanął mu na drodze. - Dilam musiała na chwilę przerwać, po czym opowiadała dalej szeptem: - Było tyle krwi, tyle krwi. Senat leżał na ziemi, a ja wrzeszczałam na Medora, żeby biegł do wsi po pomoc. Złapałam dzidę Senata i zaatakowałam tygrysa w nadziei, że odciągnę go od rozszarpywania mojego męża. Medor mnie nie usłuchał. Podbiegł do mnie z krzykiem. Tygrys nie zwrócił na mnie uwagi, porzucił mojego męża i rzucił się na Medora. - Urwała, podejmując opowiadanie dopiero po dłuższej chwili. - Ze stada wyskoczył słoń i wbiegł na brzeg. Danor. Uniósł Medora trąbą w chwili, kiedy tygrys skoczył. Jego kły dosięgły ucha słonia i rozdarły je.

Dilam była blada, a usta wykrzywił jej ból. Prosząc ją o opowiedzenie o tym. Li Sung nie przypuszczał nawet, że historia będzie tak tragiczna.

- Niepotrzebnie ci zawracam głowę - powiedział. - Nie musisz nic więcej opowiadać.

- To już prawie koniec. Danor stratował tygrysa. - Dilam zadrżała i ciśniej owinęła się kocem. - Ja żyłam. Medor żył. Senat zginął. Przez długi czas życie nie miało dla mnie żadnej radości. A potem okazało się, że jestem w ciąży i radość życia wróciła. To tak, jakby Senat ofiarował mi dar, żeby ukoić mój żal i uświadomić mi, że życie jest dobre. Czy to nie cudowne?

- Tak, cudowne. - Dilam również wydawała mu się w tej chwili cudowna, taka prosta i zwyczajna, i taka piękna w swej sile. Dodał cicho: - Ale to niczego nie zmienia. Twój Danor dla mnie nadal jest potworem.

- Wiem. - Skrzywiła się. - Nie jesteś w stanie myśleć jasno, bo walczysz teraz z *makhol*. Taki brak rozsądku jest typowy dla mężczyzn. Ale to nie ma znaczenia. - Położyła się z powrotem i zamknęła oczy. - A teraz idź sobie i daj mi spać.

Jak duże są szkody? - spytał Ruel, patrząc na Li Sunga, nadzorującego pracę robotników usuwających płataninę szyn i podkładów, które kiedyś były torowiskiem.

Jane nawet nie spojrzała.

- Będziesz rozczarowany, ale nie jest tak źle, jak wygląda. I tak dotrzymam terminu.

- To wszystko zrobił jeden słoń?

- Dilam twierdzi, że to bardzo szczególny słoń. - Uśmiechnęła się kwaśno. - Chyba się z nią zgadzam. - Wyprostowała plecy. - Ale to i tak nieważne. Teraz wiemy, że musimy się go wystrzegać. To się już nie zdarzy.

- Nie?

- Nie. - Odeszła od niego w stronę Li Sunga. - Nie mam już dla ciebie czasu. Mam pracę. Wracaj do swojej kopalni i wykop następną tonę złota czy co tam chcesz.

- Chyba jednak zostanę tu na noc i zobaczę, co się będzie działo - mruknął. - Zdaje się, że mam nieoczekiwane sprzymierzeńca.

Dobry Boże, ależ jej było gorąco!

Pochyliła się nad umywalką i ochlapała twarz wodą. Chłodno... Tak o wiele lepiej. Osuszyła twarz ręcznikiem i podeszła do wejścia do namiotu, żeby powiewy słabego wiatru mogły ją trochę ostudzić. Popatrzyła na ognisko oddalone o kilkanaście jardów.

Pomyślała w dziwnej zadumie, że Ruel zapewne opowiada historyjki.

Kiedy był w obozie, zawsze szła do swego namiotu natychmiast po kolacji, wiedziała jednak, że często bawił swoimi zamorskimi opowieściami Li Sunga, Dilam i innych Cinnidarian. Ta historyjka musiała być wyjątkowo zajmująca, bo wszyscy wokół ogniska wpatrywali się w Ruela jak zahipnotyzowani.

Twarz Ruela była pełna życia, niebieskie oczy lśniły w świetle ognia. Choć Jane nie słyszała słów, wiedziała doskonale, jak świetnie potrafi odmalowywać słowami, czarować i przekonywać. W tej chwili niemal widziała siłę czarów, jaka go otaczała.

Mandaryn.

Nie, to znów ta gorączka, która wykoślawia jej myśli.

Odwróciła się od wejścia i ciężko podeszła do leżącego na ziemi obok legowiska plecaka. Weźmie kilka kropel *qinghao*, pójdzie spać i gorączka minie.

Po połknięciu lekarstwa położyła się i oddychała równo, głęboko, starając się rozluźnić

ciało. Musi odpocząć. Ostatnio czuła się tak, jakby całe znużenie i napięcie minionych miesięcy skumulowało się w niej i było gotowe wybuchnąć przy najmniejszym wstrząsie. To nie może się zdarzyć. To się nie zdarzy. Trzeba myśleć o kolei. O życiu, które wkrótce stanie przed nią otworem. O, tak, już się zaczęła odprężać. Napięte mięśnie rozluźniły się. Za parę minut gorączka osłabnie i wszystko będzie w porządku. A potem nadejdzie sen i zapomni o mandarynie...

Jane domyśliła się wszystkiego, ledwie ujrzała twarz Li Sunga w słabym świetle wpadającym przez wejście do namiotu. Usiadła na posłaniu.

- Słoń? - spytała niespokojnie.

Li Sung przytaknął.

- Tej nocy. Dilam właśnie dostała wiadomość od jednego z wystawionych strażników.

Jane odrzuciła koc.

- Zaraz do ciebie dołączę.

- Nie ma pośpiechu, już sobie poszedł. Szkody są w górze szlaku. Osiodłam konie i obudzę Ruela.

Ruel. Zapomniała, że on tu jest. Poczowała przypływ paniki i gniewu. To niesprawiedliwe. Dlaczego wszystkie jej wysiłki i nadzieje mają być zniweczone przez siłę której nie może kontrolować? Ale może tym razem nie jest tak źle? Był już prawie wschód słońca, a przecież w nocy wcale nie słyszeli słońca.

Nie ma sensu martwić się tym, co będzie. Trzeba iść i sprawdzić. Postawiła nogi na ziemi i wstała. Poczowała falę oszołomienia i na oślep wsparła się na maszcie namiotu żeby odzyskać równowagę. Do cholery z tą gorączką! Nie miała na nią czasu!

Pięć minut później wyszła z namiotu i ujrzała Li Sunga, Ruela i Dilam, już na koniach. Nie odezawszy się do nich wsiadła na Bedelię i zwróciła klacz w stronę szlaku.

Nie, to niemożliwe, pomyślała Jane w odrętwieniu, patrząc na rozciągającą się przed nią ruinę.

- Jaki jest rozmiar szkód? - spytał Li Sung Dilam.

- Zniknęło pięć mil torowiska.

- A gdzie były twoje sławetne straże? - zapytał z goryczą Chińczyk, skręcając ze szlaku na wydeptaną przez Danora ścieżkę w dżungli.

Dilam wzruszyła ramionami.

- Nie spodziewaliśmy się, że uderzy tak daleko od obozu. To prawie piętnaście mil od miejsca, gdzie szalał ostatnim razem.

- Pięć mil - mruknęła Jane. Nie było szans na naprawę szkód przed wieczorem. Czuła na sobie spojrzenie Ruela i wiedziała, że powinna kryć się ze swym szokiem i lękiem. Dokładnie tego chciał, nie mogła mu więc dać tej satysfakcji. Patrzyła wprost przed siebie na straszliwe zniszczenia, jakich dokonał Danor, żeby tylko nie widzieć uciechy Ruela. - Tak nie można, Dilam. Musimy z tym skończyć.

Dilam nie spojrzała na nią, odwróciła się i podeszła do swego konia.

- Pojadę z powrotem do obozu i sprowadzę robotników, żeby to ponaprawiali.

Jane z wściekłością uświadomiła sobie, że Dilam zignorowała jej uwagę. Ten przeklęty słoń mógłby zniszczyć całą linię, a ona nie zrobiłaby nic, żeby go powstrzymać.

- Jane - powiedział Ruel.

Nagle poczuła, że już nie zniesie niczego więcej. Coś w niej pękło, a rozpacz zmieniła się w dziki gniew.

- Jesteś chyba teraz szczęśliwy. Wygrałeś.

- Tak, wygrałem.

Dziwna nuta w jego głosie kazała jej się odwrócić i spojrzeć na niego. Nie było w nim śladu kpiny ani satysfakcji, które spodziewała się ujrzeć. Nie wiedziała, co on sobie myśli. Nie obchodziło jej to. Wściekłość, która w niej kipiała, była jak pożar, spopielający wszystko na swej drodze.

- Ale jeszcze ci mało, co? Chcesz jeszcze więcej? Chcesz mnie zobaczyć na kolanach, tak? Tak mówiłeś. Chcesz mnie jeszcze bardziej pokarać? - Jej oczy płonęły. - Dobrze, dam ci

szansę.

Ruel znieruchomiał.

- Naprawdę?

- To się nigdy nie skończy! - Wyrzucała z siebie słowa szybko, gorączkowo. - Teraz to rozumiem. Nie skończy się, póki nie uznasz, że wystarczająco mocno mnie skrzywdziłeś. Dobrze, zniosę wszystko, co chcesz. Wracaj do swojego przeklętego domku letniego i czekaj na mnie!

- Co?

- Słyszałeś! Przyjadę do domku letniego i pozwolę ci robić ze mną, co tylko wymyślisz. Tego przecież pragniesz, prawda? Chcesz mnie ukarać. Zawsze tego chciałeś. Po to tu jestem.

- Nigdy temu nie przeczyłem.

- O, nie, zawsze byłeś szczery wobec mnie - powiedziała z goryczą. - Przyjedź na Cinnidar, a ja ci dam cały świat.

- Nie powiedziałem, że ci go dam. Powiedziałem, że dam ci szansę wygrania go.

- A ja przegrałam pierwszą bitwę. No cóż, nie mam zamiaru przegrać następnej. Skończę linię na czas.

- A co to ma wspólnego z twoim przyjściem do...

- Nie chcę cię tu! Przeszkadzasz mi. Chcę, żebyś znikł z mojego życia. Nie chcę cię już widzieć, nie chcę o tobie słyszeć, nie chcę o tobie myśleć! Chcę, żebyś się trzymał z daleka, póki nie skończę pracy. - Mówiła coraz głośniej, ale nie próbowała zapanować nad głosem. - A nie zrobisz tego, dopóki nie nasycisz się zemstą. Dam ci więc taką możliwość.

- Myślę, że jesteś za bardzo wytrącona z równowagi, żeby wiedzieć, co mówisz - powiedział powoli.

- Wiem jedno: rzygać mi się chce, kiedy widzę, jak krążysz wokół mnie jak sęp! I wiem, że mam tego dość!

Przez długą chwilę Ruel przyglądał się jej zaczerwienionej twarzy i jarzącym się oczom.

- Na Boga, ja też - powiedział wreszcie i gwałtownym ruchem zawrócił konia. - Bądź w domku jutro o zachodzie słońca. Zostaw konia w stajni pałacowej i przyjdź pieszo. Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że tam jesteś. - Dźgnął konia piętami i skierował się na południe.

- Co teraz zrobimy?

Jane odwróciła się i zobaczyła kuśtykającego w jej stronę Li Sunga. Wzięła głęboki wdech, usiłując ukryć swoje rozdrażnienie.

- Czy mamy pozwolić temu słoniowi na dalsze zniszczenia? - spytał.

- Wiesz, że nie wolno nam do tego już dopuścić. Musimy coś z nim zrobić - odparła. - Ale najpierw musimy to naprawić.

- Znowu?

- Tak, znowu - powiedziała z irytacją. - Mamy jakieś inne wyjście?

- Mógłbym pójść za tym słoniem.

- Nie! - krzyknęła, po czym kontynuowała już spokojniejszym głosem: - Będę cię tu potrzebowała do nadzorowania robotników i powiadamiania mnie na wypadek problemów ze słoniem. Jutro rano muszę jechać do pałacu, omówić z Ruelem klauzule kar umownych.

- Dilam może wykonać tę pracę równie dobrze jak ja.

- Chcę, żebyś ty tu był. Dilam pewnie stałaby z boku i pozwoliła temu szalonemu zwierzowi wyrwać wszystkie szyny stąd aż do kopalni.

- Ten słoń ma mnóstwo samozaparcia. - Wzrok Li Sunga znów powędrował do wyrwanych i połamanych drzew, znaczących powrotną drogę słonia do dżungli. - Znów poszedł na zachód. Ciekawe dlaczego.

Przynajmniej nie musiała się już kłopotać o ewentualność wtrącania się Li Sunga. Ze znużeniem patrzyła na niego, kiedy podchodził do swego konia. Dziwna obsesja na temat słonia zaczęła mu już przesłaniać wszystko inne.

Marzyła w tej chwili, żeby móc zapomnieć o Ruelu i tym, co ją czekało następnej nocy. Jej gniew opadał, zaczęła się już godzić z losem. Niemniej, rozbudzony przez rozpacz instynkt odezwał się wreszcie. Nie mogła dłużej tego wszystkiego ciągnąć, Ruel powodował zbyt wielkie spustoszenie w jej uczuciach. To musiało się wreszcie skończyć.

Ale teraz o nim zapomni. Miała pracę do wykonania i wystarczająco dużo czasu, żeby stawić czoło nieuniknionemu. Ale nie pozwoli, żeby Ruel zmusił ją do cierpienia na zapas.

Zawróciła konia i podążyła za Li Sungiem do Ścieżki Słoni.

O, słoń! - Margaret oglądała wspaniale wycięty wzór w małym, czarnym kamieniu, leżącym na stole. Słoń miał uniesioną trąbę i był pełen życia, każdy mięsień jego ciała był widoczny i żywy. Równie pięknie wycięty był wianuszek liści, otaczający brzegi okrągłej płaskorzeźby.

- Z przyjemnością słyszę, że zaczęłaś wreszcie dostrzegać w mojej skromnej pracy jakieś kształty.

- Skromnej? - parsknęła Margaret. - Przecież ty nawet nie wiesz, co to słowo znaczy! - Podeszła bliżej stołu. - Ale przyznaję, że to wyjątkowo dobra robota. Nie było go tu wczoraj, kiedy odchodziłam. Kiedy to zrobiłaś?

- Wieczorem. Nie mogłem spać, postanowiłem więc zrobić dla Ruela tę pieczęć.

- Pieczęć? Nikt już przecież nie używa pieczęci.

Kartauk uśmiechnął się kącikami ust.

- Właśnie. Tylko głowy państw na oficjalnych dokumentach. - Wskazał małe monogramy na dole kamienia - Nie uważasz, że ten pomysł ubawi Ruela?

- Biorąc pod uwagę, jak jest rozpieszczany od chwili powrotu do pałacu, niepotrzebne mu dalsze podbijanie bębenka.

- Niemniej jako dworski artysta muszę dogadzać mojemu mecenasowi.

- Chyba raczej sobie chciałeś dogodzić - powiedziała bystro. - Robiłeś już kiedyś pieczęć?

Kartauk odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się tubalnie.

- Nie, a zawsze chciałem wypróbować metody Celliniego w tej dziedzinie. Chyba zbyt dobrze mnie już poznałaś. Mężczyzna potrzebuje czasami małych kłamstewek.

- Nic, co ciebie dotyczy, nie jest małe. - Szybko spuściła wzrok na kamień. - Dlaczego słoń?

- Ponieważ druga część słoniowej zabawki pozwoliła Ruelowi kupić wyspę od maharadży, uznałem, że to najlepszy symbol. - Sięgnął do jednego z małych, glinianych pojemników stojących obok niego i wyjął spory kawałek lekko stwardniałego, czarnego wosku.

Margaret patrzyła zafascynowana, jak Kartauk wykonuje relief na wzorze kamienia. Jego wielkie, szerokie dłonie były zaskakująco zręczne i dokładne. Nigdy nie miała dość obserwowania tego magicznego procesu tworzenia piękna wyłącznie z materiałów naturalnych. W sposobie poruszania się jego dłoni było coś zmysłowego, niemal miłostnego.

- Poza tym lubię słonie - powiedział po dłuższej chwili. - Kiedy byłem w pałacu, maharadża pozwolił mi zrobić dziesiątki posążków tych stworzeń.

- Nie znudziło ci się?

- Po pewnym czasie tak, ale efekty były warte tej pracy. Postarałem się, żeby w każdym pomieszczeniu pałacu był słoń. - Uśmiechnął się łobuzersko. - A Abdar ich wszystkich nienawidził. On nienawidzi tych zwierząt.

- Dlaczego?

- Jego ojciec opowiedział mi, że kiedy Abdar był chłopcem, spadł z grzbietu słonia, który w dodatku nadepnął mu na rękę i połamał ją. Niestety, jeden ze służących wyciągnął go spod nóg zwierzęcia, zanim zdążyło skończyć swe zbrojne dzieło. - Kartauk zamoczył pędzelek w oliwie z oliwek i zwilżył woskowy relief. - Od kiedy usłyszałem tę historię, bardzo polubiłem te stworzenia.

- To barbarzyński sposób myślenia.

- Abdar jest barbarzyński. Idź złoto do złota. - Sięgnął do innego naczynia i z czystej gliny utworzył mały wał, otaczający pieczęć. - Módl się, żebyś się nigdy nie dowiedziała, jak bardzo barbarzyński.

- Mówiłeś, że Ruel spodziewa się jego przyjazdu.

- Tak.

- To dlaczego zgodziłeś się przyjechać na Cinnidar?

- Z wielu powodów.

- Jakich?

Kartauk wstał i podszedł do pieca po drugiej stronie pokoju, gdzie w małym garnuszku

bulgotała jakaś ciecz.

- Nie mam czasu na pytania. Podaj mi ten pędzel z długim włosiem z szafki, terminatorze!

Margaret otworzyła szafkę.

- Sam zadajesz mnóstwo pytań, kiedy masz na to ochotę.

- Ale ty nie ukrywasz żadnych ciemnych tajemnic. W tobie wszystko jest równie przejrzyste jak górski potok.

- Z twoich słów wynika, że jestem bardzo płytka.

Ostrożnie wylał na wosk gotujący się gips szamotowy, troskliwie rozprowadzając go po szczelinach w wosku pędzlem, który mu podała.

- Nie płytka. Po prostu nieskażona i przejrzysta. Pewnie jeszcze nikt nie zgłębił twych myśli.

Margaret skrzywiła się.

- Ty sporo osiągnąłeś w tej dziedzinie.

Kartauk uniósł głowę i przyjrzał się jej.

- Ledwie dotknąłem powierzchni - powiedział miękko. - Nawet jeszcze pod nią nie zajrzałem. Zapewniam cię, że gdyby było inaczej, wiedziałabyś o tym. Jestem świetny w... zgłębianiu.

Poczuła dziwne uczucie gorąca, zabrakło jej tchu, jak wtedy, podczas pierwszego spotkania w stajni w Glencaren. Szybko opuściła wzrok na relief.

- Co chcesz... - Głos jej drżał, umilkła więc, aby go opanować. - Co teraz zrobisz?

Kartauk nie odpowiedział. Margaret zmusiła się do podniesienia nań oczu i dostrzegła w jego twarzy siłę, napięcie i coś jeszcze, czego nie umiała określić.

- Tobie? - odparł wreszcie.

Margaret zmarszczyła brwi.

- Przestań łapać mnie za słówka. Wiesz przecież, że mówię o pieczęci.

- Ach tak, o pieczęci. - Usiadł na swym stołku. - Kiedy gips zastygnie, oddzielę go od wosku, wyczyszczę matrycę nożem i wypoleruję.

- I wtedy będziesz mógł już ją odlewać?

- Tak. Pozwolę mu schnąć dwanaście godzin, a wieczorem zacznę rozgrzewać piec. - Uniósł brwi. - Twoje zainteresowanie cieszy moje serce. Powiedz mi, terminatorze, czy miałabyś ochotę zrobić sobie własną pieczęć?

- Oczywiście, że nie - odparła krótko. - Nie mam takich pretensji do ważności.

- Wszyscy mamy jakieś pretensje i okłamujemy się sami. To tylko czyni „zgłębianie” ciekawszym.

Margaret szybko zmieniła temat.

- U kogo terminowałeś jako chłopak?

- U mojego ojca. Był dobrym artystą, najlepszym złotnikiem w Istambule. Wykonał wiele prac dla członków Rady i dla samego sułtana. Dobrze mnie uczył. Ale kiedy miałem trzynaście lat, kazał mi opuścić swój dom i warsztat.

- Dlaczego?

- Zawieść. Już jako chłopak byłem bardzo obiecujący i jakaś moja praca mogła wpaść w oko sułtanowi.

- I wyrzucił cię z tak błahego powodu? - spytała zaszokowana.

- Dla niego nie był błahy. - Kartauk wzruszył ramionami. - Wiedziałem, że kiedyś tak się stanie. Był świetnym rzemieślnikiem, ale to ja miałem iskrę.

- Iskrę?

- Talent. Geniusz. - odrzekł krótko. - Jak Michał Anioł albo - w mniejszym stopniu - Cellini. Prawie natychmiast zorientowałem się, że mnie to też dotyczy. Nie winię mojego ojca. Niełatwo jest żyć obok kogoś z takim darem, jeśli się go nie ma samemu. Gdybym to ja znalazł się w takiej sytuacji, byłaby to dla mnie tortura.

- Ale ty nie wyrzuciłbyś nikogo z domu.

Kartauk uśmiechnął się.

- Skąd wiesz?

- Wiem. - Ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że to prawda. W ciągu ostatnich tygodni poznała Kartauka lepiej, niż jej się wydawało. Chociaż był arogancki jak diabli, nie był

próżny. Był niebywale pewny siebie, jeśli chodziło o jego zdolności artystyczne, ale kpiące gloryfikowanie swych innych talentów było u niego tylko bufonadą. Był zaskakująco cierpliwy wobec jej niewiedzy w jego dziedzinie i o wiele bardziej wyrozumiały i uprzejmy, niż się spodziewała. Poczula złość na jego ojca, który jako pierwszy zadał Kartaukowi cierpienie i spowodował, że zaczął on ukrywać swą uprzejmość pod maską kpiny. - Podle cie potraktował.

- Mówiłem już, nie winię go za to.

Ale to odrzucenie musiało go zabołec.

- A co z twoją matką?

Rzeźbiarz wzruszył ramionami.

- Była piękna i próżna. Uwielbiała te wszystkie świecidełka, które ojciec dla niej robił. Nigdy nie zaryzykowałaby utraty swej pozycji przez kłótnię o taką drobnostkę jak wypędzony syn. - Przyjrzał się jej twarzy. - Dlaczego cie to zasmuciło? To było nieważne. Dałem sobie świetnie radę. Poszedłem do sułtana i przekonałem go, żeby mi dał pracownię w pałacu.

- Byłeś przecież małym chłopcem. Nie tęskniłeś za rodzicami?

Nie odpowiedział wprost.

- O wszystkim można zapomnieć, kiedy się ciężko pracuje.

- Czyżby?

- Dlaczego pytasz? Wiesz, że to prawda. Czy kiedy wreszcie kładziesz się na spoczynek, nie jesteś tak wykończona, że o wszystkim zapominasz?

- Nie potrzebuję zapomnienia. Jestem zadowolona ze swojego losu.

Spojrzał na nią w milczeniu.

- Dlaczego nie miałabym być zadowolona? - spytała agresywnie. - Wiodę dobre życie, lepsze niż większość ludzi. Nie mam potrzeb materialnych. Mam męża, którego kocham. - Zdjęła fartuch i rzuciła go na stół. - Muszę wracać do Iana. Nie mam czasu na takie bezsensowne... - Urwała, napotkawszy jego spojrzenie. Znowu zabrakło jej tchu. - Nie gap się na mnie!

- Lubię się na ciebie gapić - powiedział, ale posłusznie spuścił wzrok na pracę na stole. - Masz rację, mądrze zrobisz odchodząc. A jeszcze mądrzej, jeśli już nie wrócisz.

Margaret podeszła do drzwi.

- Znowu zaczynasz te wygłupy? Myślałam, że już zaakceptowałeś moją obecność tutaj. Oczywiście, że wrócę. Dzięki Bogu, nie zawsze jesteś w takim dziwnym usposobieniu. Jutro z pewnością będziesz znowu sobą.

- Teraz jestem sobą. Dlatego cie ostrzegałem.

- Ależ świetnie nam idzie. Ostatnio zauważyłam nawet pewną nić sympatii.

- Na Boga, nie rozumiesz, że na tym właśnie polega niebezpieczeństwo?! - Nagła gwałtowność w jego głosie przeszła ją strachem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - wyszeptowała.

- Przemyśl to sobie. - Popatrzył na dół, na formę. - I nie wracaj, Margaret.

Margaret. Pierwszy raz wypowiedział jej imię. Taka mała rzecz, ale przecież ich stosunki nabrały od razu znamion intymności.

- Kartauk. - Zwilżyła usta. On też miał imię, a ona chciała je wypowiedzieć, poczuć jego brzmienie na swych wargach. - John...

Wyraźnie zeszywniał, ale nie uniósł głowy. Znowu napłynął lęk, bo nagle uświadomiła sobie, że chce, żeby uniósł głowę i popatrzył na nią tak, jak przed chwilą. Natychmiast odrzuciła tę myśl, choć serce chciało inaczej. Pragnęła, żeby znowu się wyłączył, uwolnił ją tak samo, jak robił to tyle razy przedtem. Ale nie doczekała się. Kartauk siedział przy swym stole, wpatrując się nie widzącymi oczami w pieczęć.

Nagle podniósł wzrok, a serce Margaret zabiło szybciej.

- Nie! - krzyknęła. W następnej chwili gwałtownym ruchem otworzyła drzwi i pobiegła przez długi, lśniący korytarz do swego pokoju, do Iana.

Żądza.

Dobry Boże, pożałowała go, chciała go w taki sam zwierzęcy sposób, jaki udawała codziennie przed Ianem! Zareagowała na Kartauka w sposób, jaki należy był tylko jej mężowi.

Zdrada.

Płomienie otaczały całe podwyższenie, ogarniając owinięte w jedwab ciało maharadży. W powietrzu unosiła się ciężka woń płonącego drzewa sandałowego, kiedy stos pogrzebowy uwalniał jego duszę, zwracając ją powietrzu, ogniewi, wodzie i ziemi.

To już prawie koniec, pomyślał Abdar. Zawodzenie żałobników wzmoгло się, zagłuszając trzask płomieni i krzyki związanych nałożnic, wybranych na towarzyszki jego ojca w śmierci na stosie.

Abdar spojrział przez ciężką zasłonę dymu na Pachtala i stwierdził, że jest on nieco blady. Nieważne, to nie mogło mieć następstw. Nikt nie śmie zakwestionować takiej reakcji na całopalenie.

Nie pozwolił sobie na uśmiech, ale powoli skinął Pachtalowi, po czym znów wpatrzył się w płomienie. Wszystko dobrze się układało. Trzeba teraz być cierpliwym.

Zwyczajnie w Kasanpurze nakazywały trzy miesiące żałoby, zanim będzie mógł zasiąść na tronie.

Jeszcze trzy miesiące i będzie mógł zwrócić swe oczy na Cinnidar.

Być może.

Ale czyż prawem syna Kali nie jest obalanie zwyczajów i ustanawianie nowych?

Jesteś dziś bardzo cicha - powiedział Ian, unosząc do ust filiżankę herbaty. - Jesteś zmęczona, Margaret?

- Może trochę. - Zmusiła się do uśmiechu, wygodnie sadwiąc się na wysokim stolku obok jego fotela. - Ale to przejdzie.

- Co Kartauk tworzy ostatnio nowego? Znowu pomnik?

- Nie, pieczęć dla jego wysokości, króla Ruela Cinnidarskiego. - Poprawiła pled na nogach Iana. - Mówiłam mu, że to błąd, aż tak bardzo podbijać miłość własną tego łajdaka, ale mnie nie słuchał.

Ian zachichotał.

- Nie zgadzam się. To rozbawi Ruela, a jemu jest potrzebne coś dla poprawienia samopoczucia. Ostatnio haruje przecież jak galernik.

- On to lubi. - Przeniosła wzrok na ogień na kominku. - Ale może i masz rację, że się przepracowuję. Właściwie postanowiłam skończyć te wygłupy w pracę z Kartaukiem. Zabiera mi to za dużo czasu.

- Nie - powiedział łagodnie Ian. - Nic z tego.

Margaret zaskoczona uniosła głowę.

- Co?

- Jeśli masz za dużo pracy, spędzaj mniej czasu ze mną. Nie pozwolę, abyś się pozbawiała przyjemności.

- Przyjemności? Jeśli Kartauk nie każe mi czegoś podnieść czy przynieść, sadza mnie przy wykonywaniu bezwartościowych paciorków albo w ogóle ignoruje. Jaką mogę mieć z tego przyjemność?

- Wystarczającą, aby twe kroki były lżejsze, a uśmiech bardziej promienny, kiedy wracasz do mnie.

- Naprawdę? - Jeśli prawdą było to, co mówił Ian, to jej decyzja o zarzuceniu planu była jeszcze mądrzejsza, niż jej się zdawało. Jakże ślepa była, że nie zauważyła tych subtelnych zmian, jakie w niej zaszły w ciągu ostatnich tygodni!

- Potrzebujesz takiego oderwania się - powiedział Ian z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Jeden Bóg wie, że nie robię nic, aby cię podnieść na duchu.

- Podnosisz mnie na duchu przez samo bycie ze mną.

- Kłamiesz. - Ian uśmiechnął się. - Ale to miłe z twojej strony. Nie daję ci nic, prócz trosk i znoju.

- O, nie! - Przytuliła jego dłoń do swego policzka. Ta dłoń była coraz szczuplejsza, prawie przezroczysta. - Troski tak, kiedy nie wspomagasz mnie w walce. Ale nie znój. Miłość nie zna znoju.

Dłoń wysunęła się z jej ręki i delikatnie pogładziła ją po włosach.

- Dobrze, przyjmuję to, ale nie pozwolę ci na większe poświęcenie niż dotąd. Wrócisz jutro do pracowni Kartauka i zrobisz mi taką pieczęć, jaką robi dla Ruela. Poczuję się bardzo ważny, kiedy będę mógł pieczętować listy do Glencaren.

- Nie, nie chcę...

- Nie potrzebuję cię - przerwał delikatnie. - Nie rozumiesz tego, Margaret?

Zrozumiała i ta świadomość napełniła ją lękiem. Z każdym dniem oddalał się od niej coraz bardziej.

- Jeśli mnie kochasz, nie... - Urwała. Nie będzie go obarczała ciężarem winy, kiedy już i tak był przytłoczony. Poza tym w tej chwili przekonywanie nic nie zmieni. Potrzebna mu była dużo większa motywacja niż ta, którą mogła mu teraz dać.

Dziecko.

Czy jednak nie próbuje znaleźć wymówki dla grzechu cudzołóstwa? Myśli kłębiły się w jej głowie. Z początku nie miała najmniejszych wątpliwości co do czystości swych zamiarów, ale teraz nie była już taka pewna. Przecież tym, co ją cały czas pchało do Kartauka, mogła być po prostu żądza.

- Nie chcę tam wracać - szepnęła.

- Oczywiście, że chcesz. Jeśli jednak nie chcesz tego zrobić dla siebie, zrób to dla mnie. - Uśmiechnął się kpiąco. - Potrzebuję tej pieczęci dla Glencaren.

Potrzebował też dziecka dla Glencaren, dziecka, które utrzymałoby go przy życiu. Nawet jeśli przebywanie z Kartaukiem ma jej dawać rozpustną rozkosz, czyż nie będzie jej to przebaczone, jeśli tylko zdoła uratować Iana? Margaret nie potrafiła sobie odpowiedzieć.

- Margaret?

- Dobrze. - Ukryła twarz w kaszmirowej narzucie na jego ramionach. - Będziesz miał swoją pieczęć.

Boże, ale co ona będzie miała, kiedy to wszystko się już skończy?

Margaret zawahała się przed drzwiami pracowni, potem szybko je otworzyła i wślizgnęła się do środka.

- Dzień dobry, Kartauk. Jak się miewasz? Wiem, że się trochę spóźniłam, ale musiałam...

Podchodził do niej, a jego twarz...

Nie chciała przyznać przed sobą, co wyrażała jego twarz. Spuściła wzrok na błyszczącą mozaikę podłogi. Zatrzymał się przed nią. Widziała tylko jego szerokie, duże stopy w brązowych, skórzanych sandałach i wyczuwała znajomy zapach wosku, drzewa i szamotowego gipsu. Oblizwała usta.

- Pewnie zamierzasz zrobić mi wykład na temat mojego powrotu. Nic ci to nie pomoże. Długo nad tym myślałam, Ian wciąż mówi o mojej potrzebie rozrywki, a ja zdecydowałam, że nie ma powodu, dla którego nie powinnam, skoro on...

- Cicho. - Głos Kartauka był gruby, jakby dochodził wprost z trzewi. - Nie chcę słyszeć jego imienia. - Jego dłonie zanurzyły się w jej włosach, po czym poderwały jej głowę tak, że musiała spojrzeć mu w oczy. - Nie powinnaś była wracać.

- Powiedziała ci, nie miałam zamiaru, ale... - Nie mogła oderwać oczu od jego twarzy. Wpatrywał się w nią z taką samą pożerającą intensywnością, z jaką patrzył na swoje rzeźby. - Ale Ian chciał... - Przełknęła ślinę, żeby pozbyć się dziwnego ucisku w gardle. - Pieczęć.

- Jak cholera!

A potem przywarł wargami do jej ust, mocno, gorąco, brutalnie, pożądliwie. Wyciągał spinki z jej włosów, mamrocząc coś w obcym jej języku, przesuwając usta z jej warg na policzki i szyję w gorącej, bolesnej pieszczocie. Czowała na ciele jedwabistą miękkość jego brody, a jego ręce dotykały jej ramion, ścisnęły, przesuwały się na szyję, piersi... Nie, myliła się, to nie była pieszczota. To posiadanie, zawładnięcie. Przycisnął ją do swych bioder, a ona poczuła, jak twardość jego erekcji wpiera się w jej miękkie podbrzusze... Odbierała to jako szokujące, ale właściwe. Matko Boska, w jej sercu musiało mieszkać jakieś zło, skoro uznała to za właściwe...

Jej włosy spływały na ramiona w nieładzie, a Kartauk zanurzył w nich palce. Podniósł głowę.

- Chcesz mnie. - Te słowa zabrzmiały obcesowo. - Mnie.

- Tak. - W tej chwili nic nie mogło być bardziej oczywiste. - Tak, Kartauk.
Objął ją całą i przycisnął do siebie, pozbawiając tchu. Pożądanie. Żądza. Bezpieczeństwo. Jak mogła czuć się tak bezpiecznie, balansując nad przepaścią? Wreszcie miało się zdarzyć. Myślała, że była na to przygotowana, ale teraz drżała, przestraszona jak dziecko stawiające pierwszy krok.

- Co ja robię? - sapnęła. - Pomóż mi. Czy mam robić to samo, co kazałeś mi robić z Ianem?
Kartauk zeszytywniał przy niej, jego ręce zatrzymały się w pół ruchu w gęstwie jej włosów.

- Powiedziałem ci, żebyś nie... - Jego ciało przeszył dreszcz. - Chryste, dlaczego to powiedziałaś. - Odepchnął ją od siebie.

Margaret natychmiast przysunęła się do niego z powrotem.

- Nie. - Dyszał przez zaciśnięte zęby, trzymając ją na dystans. - Nie, Margaret.
- Dlaczego? - Nie potrafiła uwierzyć, że ją odtrąca. - Myślałam...
- Ja też. - Wziął głęboki wdech i powoli opuścił ręce na jej ramiona, a potem cofnął. Odsunął się o krok. - Myślałem o tym całą noc. Myślałem o tym od czasu kiedy zaczęłaś tę głupotę przed paroma tygodniami. - Odwrócił się i podszedł do stołu. - Siadaj.

Nie poruszyła się, wpatrywała się tylko w jego twarz, czując się tak niepewnie, jak jeszcze nigdy w życiu.

- Dlaczego? Przecież ci się podobam. Wiem, że nie jestem Ellen MacTavish, ale nie jestem ci obojętna.

- Nieobojętna! Boże, to wystarczy! - Jego głos był chrapliwy. Usiadł za stołem. - Tak, można powiedzieć, że jesteś mi nieobojętna.

Margaret ruszyła w jego stronę.

- A więc chyba niemiędrze jest nie...
- Zatrzymaj się! - rzekł ostro. - Nie podchodź do mnie!
Zatrzymała się i uśmiechnęła nerwowo.

- Skoro nie uważasz mnie za odrażającą, to dlaczego nie uderzysz mnie swym boskim piorunem?

- Bo nie jesteś taka jak inne kobiety.
- Chyba mam niezbędne kończyny, oczy i piersi.
- Pod tym chłodnym obliczem kryjesz też czułe serce, nieskalane sumienie i delikatność. - Potrząsnęła głową. - Nie potrafię cię skrzywdzić. Nie zrobię tego.
- Ale przecież mnie chcesz!
- Kocham cię.

Oczy Margaret rozszerzyły się w szoku.

- Dziwi cię to? - Jego uśmiech był słodki i gorzki jednocześnie. - Tak, wiedziałem od pierwszej chwili, kiedy wyszłaś z zamku na dziedziniec i zaczęłaś mną pomiatać.

- Nie mogłeś... - Sama ledwie słyszała swój głos. - Nie jestem Heleną Trojańską, żeby tak porażać mężczyzn.

- Mnie poraziłaś. W blasku słońca lśniłaś jak czyste złoto, sama siła, odwaga i kochające serce. Wciąż tym świecisz. Czasami, kiedy jesteś zmęczona czy zniechęcona, to tylko lekka luna, ale kiedy indziej aż iskrzysz i błyszczysz, jakbyś...

- Piękne słowa - powiedziała drżącym głosem.
- Których nie chcesz słyszeć. Myślisz, że o tym nie wiem? - Jego wielka dłoń zacisnęła się powoli w pięść na stole. - Wolno mi cię pożądać, ale nie kochać. Szkoda, że nie potrafisz tego oddzielić. To właśnie usiłowałem ci wczoraj powiedzieć. Zbyt się do siebie zbliżyliśmy. - Spojrzał jej w oczy. - Miej choć uczciwość przyznania tego.

Jego słowa przedzierały się przez zapory i bariery, jakie wzniosła.

- Ja... nie przeczę, że cię pożadam.
- Nie, żądza jest bezpieczna. Niedobra, ale bezpieczna. Kiedy tu weszłaś, wiedziałem, że się z tym pogodzisz. Ale miłość to zdrada Iana. A temu już nie stawisz czoła, prawda?
- Co ty mówisz? Kocham Iana. - Ból stawał się nie do zniesienia. Zamknęła oczy, żeby o nim zapomnieć. O nich. O bólu i o Kartauku. - Kocham go.
- Tak, wiem o tym. - Urwał. - Ale mnie też kochasz.

Margaret otworzyła oczy.

- Nie!

Przez twarz Kartauka przeleciał cień gniewu.
- Cholera, przyznaj to! Daj mi choć tyle!
- Kobieta nie może kochać dwóch mężczyzn.
- Bo wszyscy poeci i trubadurzy paplają, że w życiu jest tylko jedna wielka miłość? - Parsknął pogardliwie. - Jest wiele rodzajów miłości, a my możemy cieszyć się tym najwspanialszym. Pożądaniem, pogodą ducha i porozumieniem. Jesteśmy tacy sami. Dwie połowy jedności.

Margaret pokręciła głową.
- W niczym nie jesteście podobni.
- Jediną różnicą między nami jest świadomość, która cię wiąże z...
- Nie chcę o tym słuchać.
- Bo nie chcesz w to uwierzyć. Mówiłem ci, nie będzie litości. - Uśmiechnął się gorzko. - Ale i tak otrzymałaś więcej łaski, niż wydawało mi się to możliwe. Dałem ci trzy długie lata, kiedy płomień we mnie ledwie się tlił, bo nie chciałem, aby cię spopielił. Mogłem cię wziąć parę chwil temu i zapewniam cię, że postaramy się, abyś wiedziała, że czujesz coś więcej niż żądzę.

- To dlaczego tego nie zrobiłaś?
- Bo nie chciałem, żeby w twoich oczach pojawiło się zrozumienie, że popełniłaś cudzołóstwo z mężczyzną, którego kochasz. Jesteś silną kobietą, ale nie wierzę, żebyś przetrzymała ten cios.

- Nie kocham cię. I nie pokocham! - powiedziała z rozpaczą.
- Kochasz, ale nie będziemy teraz już o tym mówić. - Wzruszył potężnymi ramionami, jakby zrzucił z nich jakiś ciężar. - Mówisz, że Ian chce mieć swoją pieczęć? To weźmy się za to. Będziemy musieli...

- O czym ty mówisz? - spytała bez wyrazu. - Pieczęć?
Kartauk zdecydowanie skinął głową.
- Postanowiłem, że będziemy to ciągnąć. Jako terminator okazałaś się wyjątkowo wartościowa. Trochę zbyt gadatliwa, ale jestem w stanie to znieść.

Wyraźnie udawał, że to, co się zdarzyło, w ogóle nie miało miejsca.
- Nie umiem tak po prostu zignorować...
- Oczywiście, że umiesz, Ian chce, żebyś się bawiła. A ja uważam, że mogę zagwarantować rozerwanie cię. A co do innych rzeczy - spojrzał jej w oczy - poczekam, aż zrobisz pierwszy ruch.

- Nigdy go nie zrobię.
- Skoro chcesz dziecka dla Iana? - Uśmiechnął się smutno. - Biedna Margaret. Ale masz dylemat.

- Teraz jest inaczej. Nie potrafiłabym... - Uniosła drżącą dłoń do skroni. - Nie mogę myśleć.

- Nie proszę cię, żebyś myślała. Zdecydowanie wolałbym, żebyś czuła. Kiedyś, jak będę miał szczęście, może obdarujesz mnie, wyłączając to swoje okropne sumienie i pozwolisz sobie samej wziąć to, czego potrzeba nam obojgu.

Margaret pokręciła głową.
Kartauk wzruszył ramionami.
- A więc właściwie nic się nie zmieniło.
Jak mógł coś takiego mówić? Wszystko się zmieniło. Każdy nerw jej ciała, każdy mięsień zdawał się reagować tylko na jego gesty, jego ruchy.

- Masz rację, nie powinnam była tu przychodzić - powiedziała drżąc.
- Czyżbym cię wreszcie przekonał? - Uśmiechnął się. - Za późno, Margaret. Skończył się czas mojego poświęcenia. Jeśli nie będziesz do mnie przychodziła, co wieczór przyjdę do Iana i spędzę z wami obojgiem czarujące kilka godzin.

- Nie zrobiłbyś tego.
- Dlaczego? Bardzo lubię Iana, a on narzekał, że ostatnio go nie odwiedzam. Możesz tu przychodzić rano albo siedzieć tam obok Iana i widzieć, jak cię obserwuję i być świadoma, o czym myślę, co chcę z tobą robić.

Nie byłaby w stanie tego znieść. Kartauk wiedział o tym tak samo, jak wiedział o wszystkim

innym, co jej dotyczyło.

- Wczoraj myślałam, że jesteś uprzejmy, ale to nieprawda. Jesteś okrutny.

- Nie jestem ani uprzejmy, ani okrutny. Jestem po prostu głodnym, który zostanie nakarmiony. Nawet jeśli zamiast sutego posiłku dostanie ochłapy. - Odwrócił się i podszedł do drzwi na werandę. - Wyglądasz na trochę rozdygotaną, a do wycinania pieczęci potrzebna jest pewna ręka. Chyba jednak zaczekamy z tym do jutra. A kiedy zrobimy pieczęć, czas już chyba zacząć rzeźbienie twojego popiersia...

16

Ruel wpatrywał się nie widzącymi oczami w słońce, które zaczynało właśnie chylić się ku zachodowi za górą.

Jane powinna tu być za godzinę.

Powinien być zadowolony. Do cholery, był zadowolony!

Utrata pieniędzy w ramach kary umownej musiała ją zabość i to nie tylko przez samą stratę, ale przede wszystkim dlatego, że przegrała. Zmusił ją, aby czuła się bezradna i pokonana.

Ona potrzebuje zwycięstwa.

Przypomniał sobie słowa Dilam w namiocie *belim*. No cóż, tym razem nie zwyciężyła. Ruel wiedział, że nigdy nie zapomni pełnego przerażenia wyrazu jej twarzy na widok spowodowanych przez słońca zniszczeń. Czuł wówczas, jak coś w nim pęka, skręca się, chciał ją przytulić i...

Pocieszyć? To tylko nic nie znaczący instynkt, powiedział sobie. Przecież to zupełnie naturalne, czuć podziw dla wroga, który stoczył odważną walkę. Z całą pewnością nie oznaczało to, że jego uczucia wobec niej złagodniały. To przecież niemożliwe.

Ciężko odwrócił się od okna i przeszedł przez pokój do krzesła przy kominku. Wkrótce to wszystko się skończy. Porażka na Ścieżce Słoni to tylko początek. Kiedy Jane już wyjdzie z letniego domku, Ruela będzie przepełniała satysfakcja, że poniosła karę, na jaką zasłużyła. A przecież tego tylko chciał.

Chryste! Oczywiście, że tylko tego chciał! To, co szarpało jego nerwy, to tylko niecierpliwość wobec bliskości osiągnięcia celu.

Niecierpliwość i... żądza.

Ciemnoniebieski, wywinięty dach letniego domku połyskiwał szarawo w świetle księżyca. Z łukowatych okien padało światło, rzucając na trawę cienie witraży.

Czekał na nią. Oczywiście, że na nią czekał, pomyślała niecierpliwie. Przecież czekał na nią ponad trzy lata.

Zebrała się w sobie i zeszła szybko po stopniach tarasu, po czym pomaszzerowała ścieżką do domku.

Była gotowa przez to wszystko przejść. To tylko Ruel, a nie ten mandaryn, któremu jej strach pozwolił urosnąć do olbrzymich rozmiarów. Nie był w stanie jej zranić, jeśli mu nie pozwoli. Doszła do drzwi, wzięła głęboki wdech i otworzyła je. Powiedziała po prostu:

- Jestem.

- Widzę, że jesteś. - Ruel siedział przed wykładanym marmurem kominkiem na wspaniale zdobionym krześle w stylu Ludwika XV. Ubrany był cały na biało, tak samo jak w dzień ich przyjazdu do pałacu. Jego złote, wypłowiałe włosy lśniły w świetle ognia, ostro kontrastując z wytwornością garderoby. Wyglądał na zupełnie rozluźnionego w tym ze smakiem umeblowanym wnętrzu, w atmosferze wyrafinowanego, europejskiego luksusu. Ale przecież, pomyślała, Ruel zawsze i wszędzie wyglądał na pewnego siebie i rozluźnionego, czy to przy wbijaniu haków w szalejącej ulewie, czy jako gospodarz przy stole w pałacu, czy w końcu smażąc bekon nad ogniskiem w środku dżungli.

Wstał i pociągnął nosem.

- Niestety, nie tylko cię widzę, ale i czuję.

- Jak miałabym nie śmierdzieć, skoro jechałam konno dwadzieścia mil w słońcu i kurzu? - Zamknęła drzwi. - Mogę sobie iść, jeśli ci to nie odpowiada.

- O nie, nigdy nie zrezygnuję z posiłku tylko dlatego, że muszę go sam przygotować.

Jedzenie jest lepsze, jeśli jest przygotowywane specjalnie pod czyjś gust. - Podeszedł do wzorzystej, brokatowej zasłony, która przedzielała pokój. - Właściwie przewidziałem ten mały kłopot. Dziesięć minut temu kazałem przynieść z pałacu wrzątek. - Odsunął zasłonę, ukazując niewielkie pomieszczenie które powiększały lustra na trzech ścianach. Czerwononiebieski chiński dywan tylko w paru miejscach odsłaniał dębową podłogę, a po drugiej stronie białe, satynowe prześcieradło pokrywało szerokie łóżko, osłonięte delikatną moskitierą. Ruel uśmiechnął się lekko, podążywszy za jej wzrokiem, po czym wskazał stojącą w rogu zaraz za zasłoną wannę z wywiniętymi brzegami, pełną parującej wody. - Miałaś szczęście, że przyszedł na czas, bo inaczej woda by wystygła.

- To i tak nic by nie zmieniło - powiedziała cicho. - Jak rozumiem, będziesz mnie oglądał?

Cień jakiegoś nieokreślonego uczucia przeleciał mu przez twarz.

- Jak najbardziej.

Usiadła na szerokim, krytym satyną tapczaniku oddalonym o kilka stóp od wanny i zdjęła buty i wełniane skarpety.

- Tak myślałam.

- Dlaczego?

- Bo chcesz, żebym się czuła... obnażona, upokorzona. - Wstała i zaczęła rozpinąć koszulę. - To wszystko się ze sobą łączy.

- To bardzo dobrze, że zdajesz sobie z tego sprawę. Właściwie myślałem też o czymś innym. - Zawiesił głos. - Kochanka to ktoś, kogo traktuje się z delikatnością. Zastanawiałem się, czy nie dać ci odczuć przyjemności bycia traktowaną tak, jak traktowano twoją matkę.

Jane poczuła się, jakby ją kopnął w żołądek. Jej palce zacisnęły się na drugim guziku.

- Naprawdę?

- A wyobrażasz sobie bardziej odpowiednią zemstę? Z pewnością nie podejrzewałaś, że będę cię biczował czy zamykał w żelaznej dziewicy. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o mojej awersji do węży? Powiedziałem ci, że każdy się czegoś boi. - Wbił spojrzenie w jej twarz. - Czyż nie tego najbardziej się boisz? Bycia kurwą, jak twoja matka?

- Tak - szepnęła. Zniewolenie, poddanie, pokora. Boże, powinna była wiedzieć, że Ruel zada jej cios najokrutniejszy z możliwych.

- No i co, nie masz zamiaru uciec?

Przez chwilę ta myśl ją kusiła, ale to oznaczałoby kolejną porażkę.

- Nie!

Wydało jej się, że na jego twarzy pojawił się cień rozczarowania, ale musiała się pomylić, bo uśmiechał się kpiąco.

- A więc, mimo wszystko, kontynuuj. Woda ci stygnie.

- Jeszcze nie. - Spojrzała mu w oczy. - Chcę obietnicy.

- Jakiej?

- Kiedy stąd wyjdę, będziemy kwita. Chcę, żebyś mi obiecał, że powstrzymasz się od przychodzenia na budowę poza absolutnie koniecznymi wypadkami.

- Myślałem, że już się co do tego zgodziliśmy.

- Chcę twojej obietnicy.

Przez chwilę milczał, po czym rzekł krótko:

- Masz ją.

- Dobrze. - Była w pełni świadoma, że nie odrywa od niej oczu, kiedy szybko pozbyła się reszty odzieży i odwróciła się w stronę wanny.

- Zaczekaj! Odwróć się!

Zamarła, a potem powoli obróciła się w jego stronę.

Opierał się o ścianę, leniwie sunąc wzrokiem po jej ciele.

- Jesteś szczuplejsza niż w Glencaren. W ubraniu nie było tego widać.

- Zawsze chudnę, kiedy ciężko pracuję.

Zacisnął usta.

- Rozumiem, to stwierdzenie miało wywołać we mnie poczucie winy, że zmuszam cię do...

- Nie zmusiłeś mnie. To ja zdecydowałam. - Wpatrywała się wyzywająco w jego oczy. - I omal nie wygrałam.

Ruel uśmiechnął się lekko.

- Masz rację. Ale „omal” to trochę za mało. - Przeniósł wzrok na włosy otaczające jej łono. - Obróć się dookoła. Powoli!

Fala gorąca przeszła jej ciało, ale zdołała utrzymać obojętny wyraz twarzy i wykonała polecenie.

- Nawet mimo chudości twoje piersi są pełniejsze niż trzy lata temu.

- Czy mogę już wejść do wanny?

- Jeszcze nie. Odwróć się tyłem.

Odwróciła się, zagryzając dolną wargę, i stanęła bez ruchu, wyprostowana jak świeca.

- Wspaniałe pośladki! - powiedział zniższy głos. - Jędrne i krągłe... Pamiętasz rysunek w wagonie maharadży?

Jane czuła się jak niewolnik na targu, jak dziwka w namiocie Frenchiego. Poddanie. Usiłowała wyrzucić z myśli ten obraz. Dawała mu przecież w ten sposób właśnie to, czego chciał, a on wywoływał w niej takie uczucia, jakie chciał.

- Nie, nie pamiętam. Skończyłeś?

- Tak - odparł ochryple Ruel. - Wchodź do wanny.

Szybko wspięła się po kilku stopniach i po chwili zanurzyła się w mydlanej wodzie. Nie patrzeć na niego. Po prostu przez to przejść. Kiedy sięgnęła po unoszącą się na powierzchni gąbkę, poczuła zapach jaśminu i cytryny. Szybkimi, rwanymi ruchami zaczęła nacierać ramiona.

- Nie tak mocno! - powiedział Ruel kpiąco. - Nie chcę, żebyś się pokaleczyła.

Jane patrzyła tępo w mydliny.

- Nie uda ci się. Będziesz bardzo rozczarowany.

- Tak? - Doszedł ją głos zza pleców. - A dlaczego tak myślisz?

- Bo ja nie... - Urwała, poczuwszy na swych włosach jego ręce, szybko rozplatające warkocz - ...nie pozwolę ci się skrzywdzić.

- Nie? - Przesuwał palce przez jej włosy, dokładnie rozdzielając kosmyki, aż rozsypały się w nieładzie na ramionach.

Mądrała z Ruela. Miękki, jedwabisty dotyk włosów na nagim ciele zwiłokrotnił poczucie przewrażliwienia, bezbronności i kobiecości. Jane zwilżyła usta.

- Jadąc tu miałam czas na myślenie. Przez kilka dni zniosę wszystko.

- Czyżby? - Słyszała, że porusza się za nią. - Skąd wiesz, że to potrwa tylko kilka dni?

- Kilka dni - powtórzyła stanowczo. - Potem się znudzisz i zajmiesz rzeczami ważniejszymi dla ciebie.

- To jest dla mnie ważne.

- Nie tak jak Cinnidar.

- Czasami nie jestem tego pewny.

- Upewnij się, kiedy ogarnie cię nuda. - Zawiesiła głos, by po chwili dokończyć szybko: - A wówczas wrócę i ukończę tę linię w terminie.

- A co będzie, jeśli twój nieposłuszny słoń złoży ci jeszcze jedną wizytę?

Jane starała się nie myśleć o tej możliwości.

- Li Sung dopilnuje, aby Dilam zabezpieczyła się przed takim zdarzeniem. To wszystko, co mogłam zrobić, żeby powstrzymać go przed pognaniem do dżungli za Danorem.

- Zauważyłem, że Li Sung zaczyna mieć obsesję na tle pozbycia się tego słonia. - Wyszedł spoza niej i usiadł na kanapce obok wanny. - Współczuję. Potrafię zrozumieć obsesję.

Był nagi i siedział w lekkim rozkroku, ukazując członek w erekcji.

Jane zabrakło tchu, kiedy uświadomiła sobie, że nie jest w stanie oderwać wzroku od jego podbrzusza. Wkrótce jego członek będzie w niej, Ruel będzie się poruszał w przód i w tył, a ona znów będzie czuła to oddanie, które poznała w wagonie maharadży, a któremu nie umiała zaradzić. Tym razem nie będzie się o nią troszczył, a ona powinna być przestraszona. Była przestraszona, ale również pod wpływem tej ciemnej fascynacji, którą zawsze w niej wywoływał.

- Jak rozumiem. Li Sung wyśle wiadomość, jeśli pojawią się jakieś nowe kłopoty?

- Co? - Zdołała oderwać wzrok od niego i znów wbiła oczy w wodę. - Nie spodziewam się żadnych nowych problemów.

- Danor chyba lubi robić niespodzianki. Unieś piersi. Chcę zobaczyć, jak lśnią od wody.

Jane zacisnęła dłoń na gąbce.

- Chyba powiedziałaś „Wszystko, czego zechcę”? - przypomniał jej miękko. - Naprawdę pragnę cię w to wprowadzić, ale ty musisz dotrzymać słowa.

Zacisnęła mocno oczy i wypuściła gąbkę. Podniosła dłonie i ujęła piersi.

- O, tak. - Jego głos zabrzmiał bliżej, obok niej. - Wyżej. Tak, teraz przysuń je do mnie. Dobrze...

Jego usta ujęły sutek.

Jęknęła i otworzyła oczy. Obejmował ustami jej pierś, ale wzrok wbijał w jej oczy, obserwując twarz, kiedy powoli ssał i lekko gryzł przeczulony sutek. W instynktownej odpowiedzi na fale doznań mięśnie jej brzucha napięły się.

- Teraz nie ruszaj się, a wynagrodzę ci posłuszeństwo. - Obie ręce włożył do wody, dotykając, szukając, znajdując. Znów jęknęła, kiedy zaczął kciukiem uciskać i otaczać lechtaczkę. Każdy ruch przeszywał ją gorącymi, zmysłowymi wstrząsami. Jego druga dłoń wsunęła się jeszcze głębiej i wtedy mruknął: - Nie zaciskaj się!

Nic nie mogła na to poradzić. Jeden palec. Dwa. Trzy. Wygięła się w łuk, opierając się na wannie, zaciskając dłonie na porcelanowych brzegach, kiedy jego palce zagłębiały się w niej i wysuwały, szybko, wolno, w rytmie, który spowodował, że zagryzła dolną wargę, aby nie krzyczeć. Wreszcie przysiadł na piętach.

- Bardzo dobrze. - Jego pierś unosiła się w świszczącym, chrapliwym oddechu. - Może nawet za dobrze. Zaczynam się niecierpliwić. Chyba zakończymy już tę pierwszą lekcję. Mamy jeszcze mnóstwo czasu na następne. - Wstał i sięgnął po wielki ręcznik leżący na kanapce. - Wstań.

Nie była pewna, czy zdoła. Kolana jej się trzęsły, całe ciało drżało z wysiłku, aby nie okazać, jak bardzo reaguje na niego.

- Wstawaj! - Nie czekając, aż usłucha, wyciągnął ją z wody wprost w fałdy ręcznika. Rzucił szybkie spojrzenie na łóżko. - Za daleko. - Opadł z powrotem na kanapkę. - Nie mogę już... czekać.

Jego dłonie szukały, dopasowywały, rozsuwając jej nogi i nasuwając ją na biodra. Ujął jej pośladki i szarpnięciem nabił ją na siebie.

Jęknęła głośno, kiedy poczuła w sobie ciepłą twardość. Zacisnęła się wokół niego. Gorąco. Głód. Nie, nie głód. Niech to tylko nie będzie głód!

Poruszał się, rzucał w przód, trzymając ją w ciasnym uścisku, dając jej odczuć każdy cal, każde doznanie. Uświadomiła sobie, że jej sutki twardniały w zetknięciu z jego pierśią.

- Trzymaj mnie mocniej - mruknął, podkreślając każde słowo pchnięciem. - Daj... mi... więcej!

Nie miała najmniejszej ochoty dawać mu czegokolwiek, ale nagle jej nogi instynktownie zacisnęły się mocniej wokół niego. To niesamowite napięcie, jakiego zaznała w wagonie maharadży, wróciło i narastało z każdą sekundą. Jak jej ciało może ją tak zdradzać? Przecież to oznaczało kolejne zwycięstwo dla niego?

Poruszył się, okręcił i nagle w jakiś sposób znalazła się na plecach, leżąc w poprzek kanapki. Głowa jej zwisała poza krawędź, a włosy zamiatały podłogę za każdym pchnięciem Ruela. Czowała, jak narasta krzyk w jej gardle, w jej całym ciele, w oczekiwaniu na uwolnienie.

- Przestań się powstrzymywać! - mruknął Ruel, obrócił się, powoli wyszedł i nagle z szarpnięciem wszedł w nią głęboko. - Daj mi!

Nie potrafiła dłużej walczyć. Jej ciałem wstrząsnął pierwotny krzyk, zadrżała, szczytując, i usłyszała nad sobą jego cichy jęk satysfakcji. Ledwie zauważyła kilka krótkich ruchów, które jego doprowadziły do końca. Znów wygrał, pomyślała ze znużeniem. Zrobił z jej ciałem, co chciał, i wziął co chciał, a ona nie była w stanie odebrać mu nawet tego końcowego zwycięstwa.

Niósł ją do łóżka, wciąż luźno owiniętą ręcznikiem.

Z trudem oddychała, kiedy podniosła na niego wzrok.

- Nie spodziewałaś się tego, prawda? - powiedział złożony ją na łóżku. - Dla naszych ciał obojętne jest, czy się nienawidzimy, czy kochamy. I tak będzie za każdym razem. Doprowadzę do tego, chcesz czy nie.

- Nie!

- Tak, to się przydarza nawet dziwkom.

Nie zareagowała na ten nieoczekiwany atak.

- Wzięłaś mnie przez zaskoczenie - powiedziała z wahaniem. - Więcej się to nie zdarzy.

- Ależ tak, i to wkrótce. Jeśli chodzi o ciebie, jestem nienasycony. Zapewniam cię, że to dopiero pierwsza niespodzianka. Miałem trzy lata na planowanie wielu, wielu innych. - Sięgnął do stolika obok łóżka i po chwili trzymał już coś przed nią. - Pamiętasz tę noc u Zabrie?

Maska, ekstrawagancka maska z piaskowych i turkusowych piór.

Przed jej oczami pojawił się obraz Ruela, stojącego na środku pokoju, kpiące oczy błyskały przez wycięcia w masce, bardzo podobnej do tej.

- Bardzo mało pamiętam z tamtej nocy. Nie jest to wspomnienie, które przechowuję jak skarb.

- Ani ja. - Przejechał delikatnie piórem po jej sutku. - Ale to dlatego, że byłem wtedy wzburzony.

Jej piersi wzbierały, sutki stawały się coraz bardziej przeczulone po każdym muśnięciu piórem.

- Czy to konieczne? Wolałabym... żebyś przestał - powiedziała urywanym głosem.

- To chwilowe. - Przesunął maskę w dół i musnął kilkakrotnie piórami jej brzuch i podbrzusze.

Jane poczuła, jak między jej udami wzbiera gorące mrowienie. Tylko nie to, powiedziała sobie rozpaczliwie. Leżeć spokojnie. Nie reagować bardziej, niż to konieczne.

- Zabrie była bardzo mądra. Wiedziała, że w domu rozkoszy mężczyzna interesuje się kobietą tylko do czasu, aż dostanie, czego chce. A przecież nie ma nic bardziej anonimowego niż maska, prawda, Jane?

Nie odpowiedziała.

Opadł na nią, rozsunął jej uda i wszedł w nią znów, najgłębiej jak można.

- A, jesteś gotowa. Tak myślałem. Wygląda na to, że się dostosowujesz. - Ułożył maskę na jej twarzy i powoli zawiązał welwetowe tasiemki z tyłu głowy, po czym rozsypał jej włosy na poduszce. Przez chwilę oglądał ją w milczeniu. - Wyglądasz niezwykle seksownie. - Jego ton był kpiący, ale głos ochryply.

Boże na niebiosach, uczuła, że zaciska się wokół niego.

- Najwyraźniej tak samo się czujesz. - Uśmiechnął się blado. - Popieram. Tak właśnie powinna się zachowywać kobieta rozkoszy. Szybko się uczysz, Jane. Kiedy już skończymy, dam ci następną lekcję. - Zaczął się poruszać z okrutną, drażniącą powolnością. - Jest wiele innych możliwości wykorzystania piór.

- Nie zrobiłeś tego dobrze - powiedziała Jane, patrząc na okno, przez które zaczynały wpadać pierwsze, szarawe promienie świtu.

- Naprawdę? - Ruel przyciągnął ją do siebie, leniwie bawiąc się jej rudymi włosami, rozsypanymi na ramieniu. - Nigdy bym tego nie powiedział, sądząc po twoich reakcjach.

- Och, czułam się... - Urwała. I tak wiedział, jak się czuła w ciągu tych ostatnich godzin. Zawładnięta, całkowicie w jego władzy, uległa jego woli jak gałązka wobec huraganu. Całe ciało bolało ją od tego oddania, wiedziała jednak, że gdyby tylko zechciał, potrafiłby ją pobudzić znowu i znowu. Ale stopniowo zaczęło do niej docierać coś, co napełniło ją nieskończoną ulgą. - Nie boję się już ciebie.

- Nie wiedziałem, że się bałaś.

- Myślę, że wiedziałeś. Nie bardzo umiem ukrywać swoje uczucia. - Wpatrywała się nie widzącymi oczami we wzór na dywanie, ożywiany bladą poświatą poranka. - Ale nie wiedziałeś dlaczego.

- Powiesz mi?

- Bałam się, że sprawisz, żebym cię znów pokochała - szepnęła.

Ruel znieruchomiał.

- Pokochała?

- Kochałam cię... dawno temu. Bałam się, że to wróci.

- Och, z pewnością ta możliwość już nie istnieje.

- Nie, teraz już nie. Czuję się pusta w środku, jakbym była wypełniona piaskiem, a potem

go ze mnie wysypano.

- Bez wątpienia przyniosło ci to ulgę.
- O, tak, nawrót byłby czymś potwornym. W Kasanpurze przez pewien czas myślałam, że jesteś...
- Kim?
- Nieważne. - Teraz nic nie wydawało się ważne. Miała wrażenie, że się wznosi. Gorączka?
- zastanawiała się. Będzie musiała pamiętać o wzięciu jutro rano *quinghao*...
- Wręcz przeciwnie. Dla mnie to wyznaczenie oddania jest fascynujące.
- Tak bardzo się ode mnie różniłeś i od każdego, kogo kiedykolwiek poznałam. Przez pewien czas myślałam o tobie jako o jednym z tych chińskich mandarynów.
- Co to jest mandaryn, do cholery?
- Li Sung mówi, że oni w Chinach dzierżą władzę. W dawnych czasach niektórzy z nich zdobywali wpływy na cesarzy przy pomocy magii.
- No, czarownikiem to ja nie jestem.
- Przedtem nikt nigdy nie wywoływał we mnie takich uczuć. Przez ciebie czułam się... bezradna. Bałam się, że mnie w nią zmienisz.
- W twoją matkę?
- Tak, chyba zawsze się bałam, że tak naprawdę należą do jednego z tych miejsc, a los tylko czyha na okazję, żeby mnie tam z powrotem wepchnąć. - Uśmiechnęła się smutno. - A dla losu nie ma lepszego narzędzia niż mandaryn. Ale teraz już wiem, że nie jesteś w stanie tego zrobić. To tylko moje ciało, nie umysł. W rzeczywistości nie możesz zmienić tego, kim jestem. Kiedy stąd wyjdę, będę tą samą osobą, która tu przyszła. Oszukałam cię, Ruelu.
- Nie bądź taka pewna siebie! Dopiero zacząłem.
- Teraz już jest za późno. Mógłbyś wygrać, gdybyś to robił dobrze. Gdybyś zmusił mnie do przypomnienia sobie tamtych dni. - Przeniosła wzrok na pogniecioną maskę, porzuconą na stoliku obok łóżka. - Jedwabne zasłony, przyćmione światło... egzotyczne maski z piór. To nie jest to, co pamiętałam, to nie tego bałam się przez te wszystkie lata.
- Czyżbym zrobił błąd w przygotowaniach? A może opowiedziałabyś mi kilka z tych przemilych wspomnień?
- Prześcieradła śmierdzące brudem, potem i moczem, czerwona, szklana bańka fajki z opium, które paliła moja matka, widok Frenchiego liczącego pieniądze... - Zamknęła oczy. - Jestem bardzo zmęczona. Mogę już teraz zasnąć?
- A nie obawiasz się, że spróbuję odtworzyć to wspaniałe otoczenie? Teraz, kiedy mi się już zwierzyłaś?
- Nie.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Ty nie jesteś... - Była tak zmęczona, że ledwie mogła myśleć, a co dopiero mówić. - Ty nie jesteś Frenchie.
- Dzięki Bogu! - Milczał przez długą chwilę, a potem rzekł lekkim głosem. - Tak się składa, że zbyt się przyzwyczaiłem do własnej wygody, aby teraz nagle zniżyć się do czegoś takiego. Będę musiał znaleźć inny sposób osiągnięcia celu.
- Za późno. Już się nie boję. Nie jesteś w stanie mnie zranić, kiedy nic do ciebie nie czuję. Uwolniłam się od ciebie, Ruelu.

Przeczesał palcami jej włosy.

- Czyżby?

- Tak, już wiem, kim jestem...

Spała.

Ruel znów machinalnie przesunął dłonią po jej włosach.

Nie zrobiłeś tego dobrze...

Musi zapomnieć o tym obrazie, który odmalowała przed nim w tych kilku zdaniach. Nie pozwoli, żeby poczucie żalu odciągnęło go od celu. Przecież kara, którą dla niej przygotował, była śmiesznie mała w porównaniu z tym, co przez nią przytrafiło się Ianowi.

Ranił ją, jak to jej obiecał; sprawił, że czuła się wykorzystywana, pozbawiona godności i dumy, że była bezrozumnym przedmiotem żądzy i rozkoszy.

Chociaż nie, nawet pod koniec nie była pozbawiona godności. Po prostu dotrzymała słowa i dawała mu wszystko, czego zażądał. Niczego więcej nie oczekiwał. Od dnia, w którym ją poznał, nigdy nie zawiodła zaufania.

Tyle że ten jeden raz wybudowała most nad Wąwozem Lanpur. Użyła żelaza zamiast stali, a Ian z tego powodu ucierpiał. Cholera, skoro już musiała popełnić taki błąd, czy nie mogła tego zrobić gdzie indziej i kiedy indziej? Ruel wybaczyłby jej wszystko, ale nie to, co przydarzyło się...

Wybaczył? Między nimi nie było już miejsca na wybaczenie. Zemścił się już raz i zrobi to jeszcze raz, zanim nadejdzie czas jej odjazdu. To, co robił, było słuszne. niesprawiedliwe, żeby cierpiał tylko Ian.

Powiedziała, że już siebie zna.

Ale czy on znał siebie? Czy wiedział, ile w wydarzeniach tej nocy było zemsty, a ile czystej, opętanej żądzy? Im więcej ją brał, tym bardziej jej pożądał.

Pożądał i potrzebował. Przez te kilka godzin chwilami miał wrażenie, że to on jest jej niewolnikiem, nie odwrotnie.

Ale pokona to. Pierwszy wybuch pasji jest zawsze najsilniejszy. Zanim Jane opuści letni domek, Ruel pozbędzie się i żądzy, i chęci zemsty.

Już cię nie kocham.

Uwolniłam się od ciebie...

W nie kontrolowanym geście posiadania przyciągnął ją mocniej do siebie. Mruknęła coś niezrozumiale i spała dalej.

Nie zdołał zasnąć przez następne dwie godziny. Był zbyt naładowany złością i... Nie, to nie było współczucie!

Nie zrobiłeś tego dobrze...

Li Sung zmarszczył brwi.

- Żaden z twoich strażników nie widział nigdzie nawet śladu tego słonia?

Dilam zaprzeczyła ruchem głowy.

- Spokojna noc.

- Jesteś pewna?

- Czyżbyś był rozczarowany?

- Bzdura! - odparł opryskliwie Li Sung. - Po jego wyczynach po prostu wydaje mi się dziwne, że zostawił nas w spokoju przez dwie noce z rzędu. Dlaczego miałbym chcieć, żeby słoń niszczył to, co zbudowaliśmy?

- Właśnie, dlaczego?

Wiedział, o czym myślała Dilam. *Makhol*. Kolejna bzdura.

- Mamy robotę. - Li Sung odwrócił się gwałtownie i poszedł w stronę torowiska, powstrzymując się od spojrzenia na zachód. Dilam się myliła. To nie jakaś mistyczna więź przyciągała jego myśli do słonia. To gniew... i lęk.

Margaret otworzyła drzwi pracowni i od progu oświadczyła:

- Nie mam zamiaru więcej tu przychodzić. Jestem tu dziś tylko dlatego, że nie mogłam wymyślić sposobu, żeby...

- Powstrzymać mnie od wzięcia, czego chcę - zakończył za nią niecierpliwie Kartauk. - Wiem, wiem. A teraz podejdź tu i załóż fartuch. Mamy robotę do wykonania.

Margaret poczuła ulgę uświadomiwszy sobie, że w jego głosie nie było poufałości. Najwyraźniej zatrzasnął po prostu drzwi, dzień wczorajszy najzwyczajniej w świecie w ogóle nie miał miejsca. Przeszła przez pracownię do stołu.

- I nie będę ci pozowała.

- Nie teraz - rzekł z nieobecny wyrazem twarzy, wsypując wilgotny piasek do małego pudełka. - Muszę odlać pieczęć Ruela. O rzeźbie pomyślę kiedy indziej.

- Nic ci nie da wracanie do tego. Nie będę pozowała. - Sięgnęła pod stół po swój fartuch. Popatrzyła na formę, którą zrobili dwa dni temu. - Co się robi najpierw?

- Posypuje się gipsowy model pyłem z węgla drzewnego. - Zrobił tak, po czym wcisnął formę do jednego z dwóch pudełek odlewniczych, leżących przed nim na stole. Cudowne

ręce: wyćwiczone, delikatne, pewne. Ale kiedy wczoraj jej dotykał, nie były pewne, drżały z żądz. - Następnie osuszamy tę część formy, w której będzie odcisk pieczęci. Słuchasz mnie?

- Oczywiście. - Przyłapaną, odwróciła wzrok od jego dłoni. - I co dalej?

- *Pasta di pane crudo*.

- Co?

- Ciasto. - Wydobył z pojemnika ciastowatą masę, nadał jej podobną do pieczęci formę i wielkość i ostrożnie ułożył w zagłębieniu tworzonym przez zastygły gips. - Ciasto ma tworzyć kształt rękojeści pieczęci. Weź drugie pudełko i napełnij je piaskiem.

Margaret wykonała polecenie.

- I co teraz?

- Kiedy piasek wyschnie, przykryjemy tym pudełkiem to pierwsze. Dwie połowy czynią jedność.

Dokładnie tak samo określił ich. Dwie połowy jedności.

- Ubijaj mocno piach. Rozsypałaś trochę...

Nic dziwnego. Jej dłonie drżały tak samo jak jego. Zamknął drzwi. Dlaczego ona nie umie tak samo?

- Po pewnym czasie rozdzielimy pudełka, wyjmemy ciasto i wytniemy w formie wlew i dwa otwory wentylacyjne. Kiedy obie części wyschną, opalimy je niedużym płomieniem, takim jak ze świeczki, i pozwolimy wystygnać. Gorące złoto najlepiej wlewać w zimne szczeliny.

- Czy to wszystko, co mam zapamiętać?

Jego gęste brwi uniosły się w zdziwieniu.

- A co, mało? Mam postawić cię przed jakimś większym wyzwaniem, terminatorze?

- Nie, to już wystarczy.

- Mam nadzieję, że uważnie słuchałaś. Zrobisz pieczęć Iana zupełnie sama.

Oczy Margaret rozszerzyły się.

- Co? Całą pieczęć?

- Ja przygotowuję materiały, a ty wykonasz robotę.

- Ależ ja nie jestem przygotowana do czegoś takiego! Co będzie, jeśli popełnię błąd?

Kartauk uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że tak będzie. Najwięcej uczymy się na własnych błędach.

Margaret wykrzywiła twarz,

- A ty będziesz stał obok i bez słowa pozwolisz mi zmarnować całe godziny pracy?

- Mówiłem ci, żebyś uważnie słuchała. Jeśli zepsujesz swoją pieczęć, wytłumaczę ci wszystko jeszcze raz - ale tylko raz - i zrobisz wszystko ponownie.

Usiłowała sobie przypomnieć kolejność czynności.

- A co robi się później?

- Topi się złoto, ale myślę, że na razie masz dość do zapamiętania. Teraz nie będziemy w to wchodzić.

- Dzięki ci - rzekła sarkastycznie. - Ale rozumiem, że ten proces też mam opanować. Masz jeszcze jakieś mądrości do dodania?

Nie spojrzał na nią, wstał i zdjął swój fartuch.

- Tak. Skup się tylko na pracy, którą wykonujesz.

- Chyba nie byłabym w stanie robić inaczej.

- I pamiętaj, ogień ma się tylko tlić.

- Przecież mieliśmy teraz nie mówić o topieniu...

Przez trzy długie lata ogień we mnie tylko się tlił...

Kartauk musiał doskonale zdawać sobie sprawę z tego, co przeżywała, ale nie zwracał na to uwagi. Zostawił ją w spokoju i dał punkt zaczepienia w tym niezbadanym morzu uczuć. Margaret poczuła gdzieś w głębi ciała jakieś ciepło, popychające ją na krawędź desperacji. Jak miała się przed nim bronić, kiedy był wobec niej tak uprzejmy i wyrozumiały?

- Rozumiem - powiedziała cicho.

- Oczywiście, że rozumiesz. Jesteś bardzo inteligentną kobietą, terminatorze. - Podeszedł do drzwi werandy. - Uprzątnij ten bałagan, a ja pójdę do wytapialni i wybiorę odpowiedni kawałek złota.

Szare, ciężkie chmury wisiały nad górą. Sam ich widok przytłaczał Jane, powodując poczucie ociężałości i przygnębienia. Chociaż nie, to nie przez pogodę. Chmury dopiero zaczęły się gromadzić, a ona miała ten nastrój od pierwszej chwili po otwarciu oczu tego poranka.

- Chciałabym po południu pojechać do Medforda - powiedziała przez ramię do Ruela. - Muszę z nim omówić plany połączenia torów.

- Już się niecierpliwisz? - Usta Ruela zmieniły się w wąską kreskę. - Minęły dopiero dwa dni. Muszę się bardziej przyłożyć do tego, co robię, bardziej cię zainteresować.

Był zły. Jane zdawała sobie sprawę z tego, że jego chandra stale się pogłębiała. Od kilku godzin chodził wokół pokoju jak lew zamknięty w klatce.

- Sam się niecierpliwisz. Żadne z nas nie jest przyzwyczajone do bycia w zamknięciu, bez jakiegokolwiek pracy.

- Chwilowo to jest twoja praca.

Odwróciła się gwałtownie od okna.

- O Boże, nie możemy przecież co godzinę kopulować. To cię tylko przygnębia.

- Nie jestem przygnębiony.

- Oczywiście, że jesteś.

Ruel spojrzał na nią wilkiem.

- No więc powinnaś mnie rozerwać i pocieszyć.

- Nie powinieneś się spodziewać pocieszenia. Przecież ci mówiłam, że się rozczarujesz.

- Nie jestem rozczarowany. Robię dokładnie to, co zapowiedziałem. - Lekkie skrzywienie warg miało być uśmiechem. - I cieszę się każdą chwilą.

- Na pewno nie. - Jane zmarszczyła czoło, próbując jakoś określić jego zachowanie. - Z jakiegoś powodu... Och, myślę, że moje ciało sprawia ci przyjemność, ale reszta nie.

- Jaka reszta?

- Nie cieszy cię ranienie mnie.

Ruel zeszywniał.

- Nie zauważyłem u ciebie żadnych ran.

Jane miała, oczywiście, kilka ranek na ciele, ale nie zrobił ich umyślnie. Niemożliwe byłoby przetrwanie czterdziestu ośmiu godzin tej seksualnej orgii bez jakichkolwiek śladów.

- Wiesz dobrze, jakie rany mi zadawałeś. Ale nie przyniosły ci satysfakcji.

- Żałuję, że mnie nie rozumiesz. Jestem bardzo zadowolony ze wszystkich aspektów twojego tu pobytu. Ty też, jeśli jesteś w stanie się do tego przyznać, dostałaś swoją część zadowolenia.

- Bo dałeś mi rozkosz? - Pokręciła głową. - Za każdym razem, kiedy mi dajesz rozkosz, ranisz mnie. Odzierasz mnie z dumy i powodujesz, że nie czuję się sobą. Dokładnie tak, jak tego chciałeś.

- Dziwię się, że mi to mówisz.

- Kiedy tu przyszłam, nie byłam w stanie się do tego przyznać. - Wzruszyła ramionami. - Teraz jest inaczej. Nie widzę przeszkód, żeby ci dać małe zwycięstwa. Bardziej ci są potrzebne niż mnie. To straszne, żyć z takim opętaniem żądzą zemsty.

- Jakże łaskawie! - Zacisnął usta. - Zanim zaczniesz mnie potępiać, spróbuj sobie wyobrazić, jak ty byś się czuła, gdyby to Li Sung, a nie Ian, przeżywał ten koszmar.

Jane ze znużeniem potrząsnęła głową.

- Nie wiem, jak bym się czuła. To zbyt potworne, żeby nawet o tym myśleć. - Spojrzała mu w oczy. - Ja nigdy cię nie potępiałam. Teraz też cię nie potępiam, po prostu się cieszę, że to się skończyło.

Na twarzy Ruela pojawił się nagle dziwny grymas pomieszanych uczuć. Jane zdołała wyłowić tylko kilka z nich - zaskoczenie, frustrację, gniew i pożądanie.

- Och, jeszcze się nie skończyło - powiedział z łobuzerskim uśmiechem. - Chyba powinnaś się przygotować na oddanie mi kolejnego zwycięstwa. - Obrzucił ją spojrzeniem. - Skoro już musisz się czymś okrywać, to niech to nie będzie prześcieradło. Czas, żebyś wdziała bardziej odpowiednią szatę. Wyjmij z garderoby złotą suknię i włóż na siebie.

Jane z początku nie zrozumiała, ale przypomniawszy sobie jego słowa, wypowiedziane pierwszego wieczora po przyjeździe, zdziwiła się.

- Naprawdę kazałeś ją zrobić?

- Oczywiście. Zawsze dotrzymuję obietnic. Włóż ją!

- A nie uważasz, że ta obietnica była... - Urwała, widząc jego twarz. Jego oczy lśniły szaleńczo, cały był spięty i gotów eksplodować przemocą. Wzruszyła ramionami. - Skoro tak ci zależy. Nie warto się o to kłócić. - Podeszła do garderoby.

Parę chwil później trzy lustra na ścianach ukazały jej sylwetkę w luźnym, krzykliwym i wyzywającym stroju. Na grecki sposób skrywał on tylko jedno ramię i spływał na resztę ciała, odsłaniając jedną pierś. Jego dolna część była rozcięta aż do talii, ukazując przy każdym ruchu całe nogi. Rumieniec wpłynął na jej twarz. Poczuli się bardziej naga, niż gdyby była w ogóle bez ubrania.

- Prześlicznie. - Ramiona Ruela objęły ją od tyłu, dłoń ujęła nagą pierś. - Dokładnie tak, jak sobie ciebie wyobrażałem.

Spojrzała mu w oczy w lustrze.

- Jako dziwkę?

- A jakżeby inaczej? - spytał kpiąco, bawiąc się jej sutkiem.

Jane przeszył gorący dreszcz. Mięśnie jej brzucha napięły się.

- Ten strój nie robi ze mnie dziwki ani trochę więcej niż twoje traktowanie.

- Ale sprawia ci przykrość.

- Tak. Czy to cię zadowala?

- Oczywiście, że tak. Dlaczego niby nie miałyby... - Urwał, a na jego twarzy znów pojawił się ten dziki wyraz pomieszanych uczuć. - Klękaj na dywan, do cholery!

- Łóżko jest o kilka stóp...

- Na podłogę!

Jane wzruszyła ramionami i opadła na kolana.

Znów się zaczynało - podniecenie, dominacja i... oczekiwanie. Zwilżyła usta.

- Dlaczego?

- Czas wypróbować coś nowego. - Uniósł materiał sukni i po chwili poczuła, jak jego ciepłe dłonie pieczą jej pośladki. - Rysunek z wagonu maharadży...

Wszedł w nią tak głęboko, że zabrakło jej tchu. Zatrzymał się, dając czas na odczucie swej twardości i ujął pieśczośliwie jej piersi.

- Musimy wiernie powtórzyć scenę z rysunku, prawda? - Zaczął się poruszać powoli, aby mogła czuć każdy cal jego członka. Wbrew swej woli Jane zacisnęła się wokół niego w gorącym spazmie. - O, właśnie tego chciałem. A teraz popatrz na mnie. Chcę widzieć wyraz twojej twarzy.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Dobrze wiedziała, co ujrzała. Podniecenie, żądę i gniew na siebie samą, bo nie umiała oprzeć się temu, co w niej budził z taką łatwością. Twarz Ruela była zaczerwieniona, usta aż ciężkie od zmysłowości, zaciśnięte w wyrazie bolesnej rozkoszy. Jednak znów Jane miała to dziwne uczucie.

- To nie to samo - sapnęła. - Nie rozumiesz? Nie... może być tak samo, nieważne, co ujrzysz w mojej twarzy. Twoja twarz jest inna. Mówiłam ci, że ten obrazek karnie. Mężczyźni nie są delikatni. Nigdy...

Ruel zamarł.

- Niech cię cholera! - powiedział ochryple. - Niech cię cholera! - I wybuchł w oszalałej lawinie głębokich szybkich pchnięć.

Jane wbiła palce w dywan, kiedy ta burza narastała a każde jego pchnięcie wpędzało ją głębiej w bezrozumne szaleństwo. Nie wiedziała, jak długo trwało, zanim wezbrało w niej dzikie doznanie, zapowiadające rychłe zaspokojenie ich obojga.

Opadła na dywan, a po chwili poczuła, że z niej wyszedł. Była zupełnie bezsilna, niezdolna do poruszenia. Ledwie zdawała sobie sprawę, że podniósł ją i położył na łóżku.

- Dobrze się czujesz? - spytał sztywno.

Ociężałość, jaką odczuwała przez cały dzień, zdawała się ją miażdżyć, wyciskać dech.

- Jestem zmęczona...

Okrył ją kocem pod szyję i położył się obok. Patrzył przed siebie, nie dotykając jej.

- Nie mam już nastroju - powiedział cicho.

Nie odpowiedziała.

- Dobrze, nie musisz już wkładać tej przeklętej sukni! - wybuchł nagle.

- To nieistotne.

- Zdejmij ją!

- Jestem za bardzo zmęczona.

Zaklął pod nosem. W chwilę później zdarł z niej suknię i rzucił na podłogę. Znow okrył ją kocem.

- Jesteś zadowolona?

Jane pomyślała niewyraźnie, że to nie w jego stylu, ale w końcu tego dnia nic nie było w jego stylu.

- To nieistotne - powtórzyła i zamknęła oczy. - Nieważne...

Zabierz mnie ze sobą, Patricku! - jęczała Jane. Jej głos nabierał siły. - **Zabierz mnie ze sobą!**

- Co do cholery... - Ruel obudził się nagle i zobaczył, że Jane wije się dziko na posłaniu obok niego. Miała zamknięte oczy. Tylko jej się coś śni, pomyślał z ulgą.

Wyciągnął rękę, żeby ją potrząsnąć za ramię.

- Obudź się, to tylko... - Poczul, że jej ciało jest tak gorące, że aż parzy. - Jane?

- Nie chcę być taka jak ona. - Oddychała spazmatycznie. - Nie będę dla ciebie kłopotem! **Zabierz mnie ze sobą, Patricku!**

- Jezu, co się dzieje?! Obudź się! - Usiadł na łóżku i zapalił lampę, po czym znow potrząsnął ją za ramię. - Otwórz oczy, do cholery!

Usłuchała go, ale jej wzrok był niewidzący.

- Pociąg! On odjeżdża pociągiem! - W jej głosie pojawiła się panika. - Nie zostawiaj mnie, Patricku!

- Nikt cię nie zostawia. - Ruel otoczył ją ramie nami. Boże, ależ była gorąca. Jego serce biło równie mocno jak jej, kiedy próbował zmusić ją do leżenia spokojnie. - Wszystko w porządku. Nikt cię nie opuści.

- Tak, on mnie opuści. Muszę go przekonać.

- Przestań machać rękami!

- Patrick!

Ruel nie wiedział, co robić. Była półprzytomna, a on bał się ją zostawić samą, nawet choćby na czas sprowadzenia pomocy. Tamar wróci dopiero w porze śniadania.

- Proszę, nie chcę być taka jak ona... - wyszeptała.

Ruel objął ją mocniej. Wiedział, o kim mówiła i jakie, wspomnienia w niej odżyły. Kiedy nie spała, umiała walczyć ze swymi demonami, ale teraz była znow dzieckiem, z wszystkimi lękami i uwolnionymi upiorami.

Upiorami, które rozmyślnie uwolnił, sprowadzając ją tutaj.

Kto może dobijać się do drzwi o tej porze w nocy? - zastanawiała się sennie Margaret.

Rozbudziwszy się zupełnie, spojrzała z niepokojem na Iana. Dzięki Bogu, nie zbudził się. Szybko narzuciła szlafrok, wsunęła nogi w kaptcie i podeszła do drzwi. Ruel. Powinna była od razu wiedzieć, kto może być tak bez troski.

- Na niebiosy, musisz w środku nocy tak walić w drzwi? Ian potrzebuje snu, to cud, żeś go jeszcze nie obudził! Nie mogłeś... - Urwała, dostrzegłszy napięcie w jego twarzy i pałające oczy. - Co się stało?

- Potrzebuję cię - powiedział ochryple. - Możesz przyjść?

- Dokąd? - Rzuciła spojrzenie przez ramię, Ian spał. Wieczorem miał tak silne bóle, że musiała mu dać podwójną porcję laudanum. Wyszła na korytarz i cicho zamknęła za sobą drzwi.

- Do letniego domku. - Wziął ją za łokieć i prawie powłókł w stronę schodów. - Potrzebuję cię - powtórzył.

- Pierwszy raz słyszę od ciebie coś takiego - powiedziała sucho. - Nie mogę się doczekać na wyjaśnienie, w jakim sensie mnie potrzebujesz?

- Znasz się na chorobach - odrzekł gwałtownie. - Opiekowałaś się ojcem i Ianem.
 - Jesteś chory?
 - Jane.
 - Jane tu jest? - spytała zaskoczona.
 - Czy przyszedłbym do ciebie, gdyby jej nie było? Przestań zadawać pytania i pośpiesz się. Już i tak zbyt długo zostawiłem ją samą.
 Margaret przyśpieszyła kroku.
 - Co się stało?
 - Gdybym wiedział, nie wzywałbym cię. Gorączka. Dreszcze. Jest nieprzytomna. Nie poznaje mnie.
 - Posłałeś po lekarza?
 - Oczywiście, że tak. Ale mogą minąć całe godziny, zanim Tamar tu z nim wróci. Ona potrzebuje kogoś teraz.
 - Co ona robi w letnim domku?
 Ruel patrzył wprost przed siebie.
 - To nie twoje zmartwienie.
 - Co ty kombinujesz, Ruel?
 Nic nie odpowiedział.
 Jasne było, że nie ma zamiaru zwierzać się ze swoich szatańskich pomysłów.
 - Możliwe, że nie będę umiała jej pomóc.
 - Musisz spróbować! - Otworzył drzwi na taras i dodał z wahaniem: - Proszę!
 Dobry Boże, Ruel naprawdę musi być zdesperowany, skoro zniża się do błagania.
 - Postaram się.

Margaret wyszła z letniego domku i zamknęła za sobą drzwi.
 - Lepiej się czuje.
 Drgnął mu tylko mięsień policzka.
 - Dzięki Bogu.
 - Gorączka spadła i Jane obudziła się na tyle, żeby odpowiedzieć na kilka pytań lekarza. Doktor twierdzi, że za kilka godzin gorączka powinna ją zupełnie opuścić.
 - Ale co jej jest, do cholery?
 - Malaria. Złapała ją w Kasanpurze i gorączka powraca co jakiś czas.
 - Nigdy mi o tym nie powiedziała.
 - Mnie też nie - odparła Margaret. - A znam ją ponad trzy lata. Ona nie jest kobietą, która zwierza się ze swoich słabości. - Ze znużeniem potarła kark. - Muszę wracać do Iana. Może mnie potrzebować. Wrócę do niej po południu.
 - Nie, od teraz ja się nią zaopiekuję.
 - Zdaje się, że do tej pory niewiele zrobiłeś w tym kierunku.
 Ruel się wzdrygnął.
 - Powiedziałem, że się nią zaopiekuję. Ona może się czuć niezręcznie w twojej obecności.
 - Chcesz jej oszczędzić wstydu? Niebawem. Twoja spóźniona galanteria jest niepotrzebna. Jane i ja świetnie się rozumiemy. Ona wie, że nie potępiam jej za twoje grzechy. - Spojrzała mu w oczy. - Nie jestem pewna, czy nie powinnam jej zabrać ze sobą do pałacu.
 - Nie poszłaby.
 - Myślę, że tak. Nigdy by się do tego nie przyznała, ale zawsze się ciebie bała.
 - Już nie - powiedział z uśmiechem. - Przynajmniej wtedy, kiedy nie toczy jej gorączka. A nawet gdyby, i tak by nie poszła. Mamy układ.
 Margaret parsknęła.
 - Ona ma za dużo rozumu, żeby wchodzić w pakty z takim pozbawionym sumienia samotnikiem jak ty. Co ona tutaj robi?
 - Chyba wolałabyś nie wiedzieć.
 - Może masz rację. - Margaret nagle odczuła przemożne zmęczenie. Nie była przygotowana na ponoszenie dodatkowych ciężarów, kiedy sama była w ciągłym napięciu. Poza tym jakie miała prawo wypytywać Ruela o jego grzeszki, skoro ostatnio tak bardzo uległa pokusie? - Czy mogę ci zaufać, że nie...

- Och, na Boga, czy myślisz, że mam zamiar wskoczyć z nią do łóżka, kiedy ledwie może unieść rękę? - spytał gwałtownie.

Cokolwiek tu zaszło, choroba Jane wstrząsnęła Ruelem. Margaret jeszcze nigdy nie widziała go tak bladego i roztrzęsionego jak wtedy, gdy pojawił się przed jej drzwiami. Nie była pewna, jak długo to potrwa, ale na razie Jane była przy nim bezpieczna.

- Jeśli czegoś będziesz potrzebował, daj mi znać.

Odwróciła się i poszła z powrotem do pałacu.

Jane pomyślała otępiele, że Ruel wygląda jak maska pośmiertna. Trzeba coś zrobić. Powie mu, że teraz ona będzie czuwała przez noc nad Ianem. Nie żeby miała jakąś większą nadzieję, skoro Ruel tak bardzo się obawiał, że Ian po prostu odpłynie, jeśli on sam nie będzie go trzymał przy życiu...

- Musisz... odpocząć...

Ruel spojrzał w jej twarz.

- Co?

- Musisz trochę odpocząć. Wyglądasz... - Urwała, rozbudziwszy się zupełnie. To nie bungalow w Kasanpurze. Nie współpracują już, żeby utrzymać Iana przy życiu. To letni domek...

- To ty musisz odpoczywać. - Ruel pochylił się nad nią i przytknął szklanekę z wodą do jej ust. - Pij.

Jane przełknęła wodę.

- Byłam chora?

- Gorączka. Przez dwa dni. Doktor mówi, że to był stosunkowo łagodny atak. - Zaciśnięła usta. - Moim zdaniem tak nie wyglądał.

Jane niejasno przypomniała sobie doktora, który zadawał pytania i rozmawiał z kimś po drugiej stronie pokoju.

- Margaret... też tu była?

- Tak. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz malarię?

- A po co? - Zmarszczyła brwi. - Dwa dni. Muszę wracać do pracy.

- Wysłałem Li Sungowi wiadomość, że się spóźnisz.

- Powiedziałaś mu, że jestem chora? To niedobrze. Tylko się będzie martwił.

- Powiedziałem, że niebezpieczeństwo minęło. - Spojrzał na nią spod oka. - Czas, żeby ktoś się zaczął o ciebie martwić. Li Sung powinien był zauważyć, że się zaharowujesz na śmierć.

- To moja wina... Zapomniałam wziąć po przyjeździe *qinghao*.

- Co to jest?

- To stare chińskie lekarstwo ziołowe. Li Sung dał mi je, kiedy pierwszy raz miałam atak w Kasanpurze.

- Bierzesz je cały czas?

- Nie, tylko wtedy, kiedy podejrzewam, że mogę mieć...

- A jak długo brałaś je, od kiedy jesteś na Cinnidarze? - spytał z napięciem.

Jane nie odpowiedziała.

- Jak długo? - powtórzył stanowczo.

- Cztery tygodnie.

- O Boże!

- Nie było wcale źle. Taka sobie gorączka w nocy.

- Ale to cię pozbawiało sił w ciągu dnia. - Zaciśnięła dłoń na poręczy krzesła. - Miałaś gorączkę tego wieczora, kiedy tu przyjechałaś, prawda? Cholera, pewnie nigdy byś nie przyszła, gdybyś była w pełni sił!

Cofając się myślą do tego niewyraźnego czasu, Jane zastanawiała się, czy Ruel nie ma racji.

- Nie wiem. Wydawało mi się to jedyną rzeczą, jaka została do zrobienia. - Urwała, po czym szybko dodała: - Ważne, że już mi przeszło i że będę wkrótce na nogach. W zeszłym roku miałam atak w Glencaren, a nazajutrz byłam już w młynie.

- Taki silny atak jak ten?

Jane pokręciła głową.

- Ale to nie znaczy, że ja... - Zawiesiła głos i spytała ze znużeniem: - Dlaczego właściwie

miałoby cię to interesować?

- Bo ja... - Odwrócił od niej wzrok i odstawił szklanę na stolik. - Bo potrzebna mi ta kolej.

Wyraźnie chciał powiedzieć coś innego, coś zupełnie innego. Jane zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

- Jesteśmy spóźnieni tylko o kilka dni w stosunku do harmonogramu. Moja choroba nic tu nie zmienia. Li Sung jest bardzo kompetentny. Jutro wracam na Ścieżkę.

- Jak cholera! - Powrócił wzrokiem do jej twarzy, jego oczy błyszczały. - Żebyś na drugi dzień padła? Zostaniesz tu i będziesz odpoczywać przez cały tydzień.

- Jak cholera! - powtórzyła jego słowa. - Tobie potrzebna kolej i mnie też. Mogę sobie chorować kiedy indziej.

- I tak sobie pochorujesz. Właśnie o tym mówię, do cholery! Odpoczywaj teraz, bo możesz... - Urwał, dostrzegłszy wyraz jej twarzy. - No, dobrze. Cztery dni.

Potrząsnęła głową.

- Cztery dni, a jutro po południu sprowadzę tu Medforda. Będziesz mogła z nim przedyskutować kwestię połączenia torów i w ten sposób to nie będzie tak zupełnie stracony czas.

Jane naprawdę musiała się spotkać z Medfordem. Przyjrzała się uważnie pełnej determinacji twarzy Ruela i doszła do wniosku, że musi iść na kompromis, bo inaczej straci na kłótnię z nim wszystkie siły, potrzebne do rekonwalescencji.

- Trzy dni.

- Dobra. - Ruel się uśmiechnął.

Jane wpatrywała się w niego z zaskoczeniem. To był prawdziwy uśmiech, rozjaśniający jego twarz ciepłem i humorem. Taki uśmiech posyłał jej rzadko nawet w czasach przed katastrofą pociągu.

- Dlaczego jesteś... Coś się zmieniło...

Twarz Ruela natychmiast przybrała wyraz obojętności.

- Zmieniło?

Wrażenie ciepła zniknęło, a Ruel znów był cały zagadką. Niemniej Jane była pewna, że przez chwilę w jego zachowaniu pojawiło się coś bardzo niezwykłego.

- Spróbuj znów zasnąć. - Wstał. - Pójdę do pałacu i wyślę Tamara z wiadomością do Medforda. Zadowolona?

Była zbyt słaba, aby coś ją mogło zadowolić.

- Chyba jestem.

Ruel schylił się i popatrzył na nią.

- Wiesz, wszystko będzie dobrze - powiedział z wahaniem. - Ja nie jestem... - Urwał, a potem machnął niecierpliwie ręką. - Och, do diabła! - Odwrócił się na pięcie i wyszedł z domku.

Jane patrzyła za nim tępo.

Zdecydowanie coś się zmieniło.

Koc się zsunął i powiew chłodnego powietrza wyrwał ją ze snu. Ciepłe ciało, zapach skóry i korzeni. Ruel był obok niej.

- Ruel...

- Ciiicho. - Przytulił się mocno do jej pleców. - Śpij.

- Medford?

- Jutro o czwartej. - Pogładził jej włosy, spływające na jego ramię. - Jak się czujesz?

Była pozbawiona sił, ale dziwnie zadowolona i bezpieczna w jego ramionach.

- Lepiej.

- Myślałem... - zaczął z dziwną niezręcznością. - Myślałem, żeby ci dać spać samej, ale chcę tu być, kiedy znowu zaczniesz mieć koszmary. To niedobrze, żebyś się tak rzucała i wierciła.

- Koszmary?

- Nie pamiętasz?

- Nie, ale skąd wiesz, że miałam koszmary?

- Trudno było to przegapić, skoro wrzeszczałaś z całych sił.

Jane poczuła ukłucie niepokoju na myśl o tym, że bezwiednie się obnażyła.

- O czym wrzeszczałam?

Przez chwilę nie odpowiadał.

- Nie zrozumiałem słów. Nie trzymały się kupy.

Jane odetchnęła z ulgą i wtuliła się w niego.

- Jasne, koszmary nigdy nie trzymają się kupy.

- Śpij. Dziś nie będziesz miała koszmarów.

Uwierzyła mu. Zamknęła oczy, a opary snu otoczyły ją znowu. Nie musiała się o nic martwić. Ruel przegoni wszystkie złe duchy...

No, to dogadaliśmy się. - Medford zwinął mapy i wstał. - Jeśli coś się zmieni, proszę mnie o tym zawiadomić. Jak pani myśli, kiedy pani dojdzie do ściany kanionu?

- Według planu. - Jane się skrzywiła. - Mamy trochę kłopotów ze słoniem-samotnikiem, który niszczy tory, ale znajdziemy sposób na pokonanie tej trudności.

Medford uśmiechnął się do niej.

- Wierzę, że tak będzie. Wykonała pani dobrą robotę.

Jane spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Tak pan myśli?

- Jeszcze trochę za wcześnie na oceny - wyjaśnił szybko - ale jestem pod wrażeniem pani dotychczasowych osiągnięć. Nie spodziewałem się tego po pani.

- Zdawałam sobie z tego sprawę - odparła oschle.

- Ale nie pozwoliła pani, żeby związek z Ruelem wpłynął na pani pracę. Obawiałem się po...
- Urwał, skrzywiony. - Cholera, miałem o tym nie mówić.

- O czym?

- Ruel powiedział, że mi wyrwie język, jeśli nie ograniczę naszej rozmowy do ściśle roboczego zakresu. - Wzruszył ramionami. - Powinien był to przewidzieć.

Nie umiem skrywać swoich myśli.

- Zauważyłam - odparła, myśląc o jego wypowiedzi. Dlaczego Ruel nagle starał się ją chronić, skoro przedtem tego nie robił?

- Medford, czas na ciebie! - W drzwiach stał Ruel. - Ona teraz musi odpoczywać.

- Właśnie wychodziłem. - Skinął Jane i pośpiesznie skierował się do drzwi. - Mam nadzieję, że szybko pani wyzdrowieje, panno Barnaby.

- Do widzenia, panie Medford.

- Za długo tu siedział - powiedział Ruel, zamknąwszy drzwi za inżynierem. - Powiedziałem mu: godzina. Zmęczył cię?

- Nie - odparła powoli. - Ale jestem trochę zagubiona.

- Gorączka? - Zaklął pod nosem i szybko przeszedł do niej przez pokój. - Ten przekłety doktor twierdził, że nie powinna tak zaraz wrócić. - Dotknął jej czoła. - Nie jest gorące.

- Nie mam gorączki. - Odwróciła głowę, wysuwając ją spod jego dłoni. - I nie muszę być chora, żeby być zaskoczona tym, jak mnie traktujesz. Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry?

- Nic dziwnego, że się pogubiłaś. Nigdy cię tak nie traktowałem, co? - Uśmiechnął się kpiąco. - Czysty egoizm. Potrzebna mi jesteś do wybudowania tej kolei.

- Ja... Myślę, że to nie to.

Ruel opadł na swoje krzesło w stylu Ludwika XV obok okna. - A jakież inny może być powód?

Jane żałowała, że nie widzi jego twarzy. Siedział z wyciągniętymi nogami, a światło słońca tworzyło aureolę wokół jego głowy, skrywając twarz w cieniu.

- Nie jestem pewna, ale chyba dlatego, że zachowałam.

- Mówisz o współczuciu?

- Nie. - Zamilkła, usiłując ubrać myśli w słowa. - Uważam, że dlatego się mną zaopiekowałeś. Kartauk twierdzi, że niektórzy ludzie są z urodzenia opiekuńczy i że im bardziej się kimś opiekują, tym większy czują przymus kontynuacji.

- A, tak. Mówił mi, że ty jesteś jednym z opiekunów świata. Zapewniam cię, że ja z natury nie jestem taki ofiarny.

- A Ian?

- Ian to wyjątek.

- Czyżby?
- Chyba to udowodniłem w ciągu ostatnich paru dni? - Wstał. - Zaczyna mnie nudzić to przetrząsanie duszy. Grasz w pokera?

Przytaknęła.

- Ale nie jestem tak dobra jak Li Sung.

- Nawet tego nie podejrzewałem. Blef nie byłby dla ciebie łatwym zadaniem. - Wysunął szufladę ze stolika stojącego przy jego krześle. - A ja jestem w tym naprawdę świetny.

- To dlaczego miałabym z tobą grać?

- Dla zabicia czasu. - Usiadł przy stoliku i rozsunął blat. - I żeby mi dać wygrać. Bardzo mi tego potrzeba.

- A co ja będę z tego miała?

Ruel się uśmiechnął.

- Jestem ulicznym krzykaczem, pamiętasz? Może dam się namówić na pokaz umiejętności? Siadaj, a ja ci opowiem, jak znalazłem swoje pierwsze złoto.

- Czy to ciekawa historyjka?

- Wówczas była raczej przygnębiająca, nie ciekawa. Miałem dziewiętnaście lat i jeszcze sporo musiałem się nauczyć. - Zaczął rozdawać. - Ale postaram się, żeby dla ciebie była zajmująca.

Jane była tego pewna. Ruel będzie ją rozśmieszał i zaciekawiał, topiąc ponure fragmenty opowiadania w powodzi słów, ale może jej się uda dostrzec cień tego młodego, wrażliwego Ruela.

- No więc? - Ruel podniósł karty.

Przez całe swoje dotychczasowe życie Jane nie miała więcej pewności siebie i wiary we własną siłę woli niż w ciągu ostatnich kilku dni. Ruel nie jest już w stanie jej zranić, dlaczego więc nie miałyby zaspokoić swojej ciekawości na jego temat?

- Czemu nie? - Przeszła przez pokój w jego kierunku. - Jak to określiłeś, dla zabicia czasu.

Jane jest z Ruelem w letnim domku - powiedziała Margaret, obserwując jak Kartauk ubija piasek wokół formy pieczęci Iana.

- Taak? - Uniósł jedną brew. - Czy to niepokoi twoją sztywną szkocką moralność?

- Nie, choć może powinno. Boję się, że on ją skrzywdzi.

- Daj im spokój, Margaret. Nie możesz zbawić świata.

- Tylko poganin nie próbuje zmienić zła w dobro. - Ze znużeniem pokręciła głowę. - Ale czasami linie podziału się mieszają, co?

- Dobry Boże, czyżbym wyczuwał jakieś złagodnienie w postawie moralnej? Jane już nie jest taka bezbronna jak kiedyś. Ruel i ona muszą w końcu rozegrać to, co jest między nimi - ale na ich sposób i w odpowiadającym im czasie. Żadne z nich nie podziękowałoby ci za interwencję.

- Ruel jest...

- I tak dalej. Znam wszystkie te przymiotniki - przerwał jej Kartauk. - A dojdą jeszcze następne, zanim się do końca ustatkuje. To będzie ciekawa obserwacja.

- Uważasz, że nie jest zły?

- Ruel? - Kartauk zaprzeczył ruchem głowy. - Nie wątpię, że się uważa za złego, ale on nie zna nawet znaczenia tego słowa.

- A ty znasz?

- O, tak, studiowałem u mistrza.

- Abdar?

Przytaknął.

- Prawdziwy, zupełny potwór.

Pierwszy raz Kartauk wyszedł poza tylko wzmiankę o Abdarze.

- To dlaczego tak długo z nim byłeś? - spytała z ciekawością.

- Generalnie pracowałem dla jego ojca, maharadży a z Abdarem miałem bardzo mało do czynienia - aż do czasu, kiedy maharadża zainteresował się kolejną. To było jakiś rok przed moją ucieczką z pałacu. Wtedy Abdar dostał pozwolenie na dysponowanie moimi usługami.

- Wzruszył ramionami. - Po sześciu miesiącach doszedłem do wniosku, że więcej tego nie

zniosę i odszedłem.

- Jaką pracę wykonywałeś dla niego?

- Zrobiłem mu posąg jego ukochanej bogini Kali. To była naprawdę wspaniała robota.

- Kali?

- Bogini zniszczenia. Abdar uważa siebie za jej prawdziwego syna, zesłanego na ziemię, żeby wykonać jej pracę. - Zaciśnął usta w ponurym wyrazie. - Ale wierzy też, że jego moc musi być stale podsycana. I właśnie do tego mnie potrzebował.

- Żebyś tworzył dla niego rzeźby?

- Nie. - Urwał. - Maski.

- Maski?

- Złote maski. - Odwrócił się i popatrzył na nią. - Na pewno chcesz o tym usłyszeć? To nie jest zbyt miłe opowiadanie.

- Tak, mów.

- Abdar wierzy, że jego moc jest podsycana przez emocje ludzi z jego otoczenia. Im mocniejsza dusza, tym silniejsze emocje, którymi można się żywić. Ale emocje przemijają, więc Abdar coraz bardziej się złościł. Zdecydował, że muszą być zatrzymane, żeby mógł je wsysać, kiedy zechce. - Zawiesił głos. - A jaki jest lepszy sposób na zatrzymanie emocji niż śmierć?

Oczy Margaret rozszerzyły się z przerażenia.

- Chciałaś przecież to usłyszeć. Abdar ufa, że jeśli zdoła uchwycić ostatni, straszliwy wybuch emocji i energii, będzie mógł je w siebie wciągnąć.

- Maski pośmiertne - szepnęła. - Kazał ci robić maski pośmiertne?

- Zrobiłem mu trzy. Pierwsza była jego nałożnicy, młodej kobiety o imieniu Mirad. Jej ciało przyniósł mi pewnego poranka Pachtal i powiedział, że umarła w nocy na apopleksję, a Abdar chce jej maski w złocie, żeby ją lepiej zapamiętać. Musiała być ze złota, bo to najczystszy i najbardziej nieśmiertelny z metali. Zrobiłem maskę. Właściwie wyszła bardzo ładna. Kobieta była piękna, a jej twarz smutna, lecz spokojna.

Tydzień później Pachtal przyniósł mi inną martwą kobietę z tym samym wyjaśnieniem. Tę maskę było dużo trudniej zrobić. Mięśnie twarzy były poskręcane, zastygłe w wyrazie bólu i przerażenia.

- Tak szybko druga śmierć?

- Mnie też to zdziwiło, ale nie pozwoliłem sobie na zuchwalstwo kwestionowania. Trzeci trup, którego mi przyniesiono, należał do młodego chłopca, jedenasto- może dwunastoletniego. A jego twarz... - Kartauk zaciśnął usta. - Nie potrafiłem się już dłużej oszukiwać. Żaden normalny człowiek nie chciałby zachować tej twarzy na wieczność. Odmówiłem zrobienia maski.

Godzinę później Abdar złożył mi wizytę i powiedział, że albo bez gadania będę robił dla niego maski, albo utnie mi ręce. Miałem być boskim narzędziem Kali i tworzyć maski, którymi mógł się otaczać i z każdym na nie spojrzeniem wsysać ich energię.

- Zamordował ich? - szepnęła.

- O, tak, z pomocą Pachtala. Pachtal eksperymentował z różnymi truciznami, żeby osiągnąć dokładnie taki efekt, jakiego chciał Abdar. Abdar powiedział mi, że ustalił, jakoby ból dawał największą eksplozję energii, kazał więc Pachtalowi sporządzić taką truciznę, która spowodowałaby pożądaný skutek.

Margaret zrobiło się niedobrze.

- Masz rację. To potwory. A Ruel uważa, że Abdar tu się pojawi?

Kartauk przytaknął.

- Właśnie dlatego tak się stara przygotować na jego przybycie. Chce skończyć z Abdarem.

Margaret wbiła wzrok w jego twarz.

- To dlatego przyjechałeś na Cinnidar, prawda? Ty też chcesz, żeby Abdar został zabity?

- Przyznaję, uważam, iż świat będzie miłszy bez niego. Mam dość ukrywania swojego talentu. - Spojrzał jej w oczy. - Ale nie dlatego przyjechałem.

- To dlaczego... - Zachłysnęła się własnym oddechem. Nowa pułapka. W ostatnich dniach każde słowo i gest mogły nieść niebezpieczeństwo. Dopiero po chwili zdołała spuścić wzrok na formę na stole. - Kiedy zaczniemy wylewać złoto?

- Wkrótce. - Zawiesił głos, po czym dodał powoli - Niemądrze jest być niecierpliwym w tych sprawach, nawet jeśli trudno się doczekać.

Ruel sondował wzrokiem twarz Jane.

- Błefujesz. - Rozłożył karty. - Para króli. Sprawdzam.

Jane z obrzydzeniem odrzuciła karty.

- Skąd wiedziałaś? Myślałam, że się już poprawiłam.

- Poprawiłaś się. - Zebrał karty. - Żadnych zewnętrznych oznak. Gdybym cię nie znał, dałbym się oszukać.

- To skąd wiedziałaś, do cholery?!

- Instynkt. U niektórych ludzi można wyczuć napięcie. To nie namacalnego.

Jane pomyślała ponuro, że z całą pewnością Ruel umiał rozpoznawać jej uczucia. Wygrała zaledwie cztery rozdania z tych wszystkich, które rozegrali przez ostatnie półtora dnia. Właściwie powinno to być dla niej okropnym przeżyciem, ale z jakiegoś powodu nie było.

- Instynkt? Nie możesz być aż taki dobry. Pewnie ruszyłam brwią albo co innego. Będę się pilnowała następnym razem. Rozdawaj.

Ruel położył karty na stole.

- Później. Teraz czas na twoją drzemkę.

- Nie jestem zmęczona. Rozdawaj.

- Później - powtórzył. - Teraz odpoczywasz.

- Jestem już zdrowa - upierała się. - Jutro wracam do pracy.

- Myślałem o tym. Powinnaś poleżeć jeszcze tydzień.

- Jutro - powtórzyła stanowczo. - Nie mam zamiaru odpoczywać ani...

Urwała, zaskoczona, kiedy od drzwi dobiegło ich stukanie. Nikt nie przychodził do letniego domku, poza Tamarem w porze posiłków, ale było dopiero wczesne popołudnie.

Ruel otworzył drzwi i w progu ukazała się Dilam.

Jane poczuła, że serce jej stanęło i skoczyła na równe nogi.

- Co się stało? - Szybko przeszła przez pokój. - Coś z Li Sungiem?

- Li Sung jest w dobrym zdrowiu - odparła Dilam. - To słoń.

Jane zakłęła pod nosem.

- Bardzo źle?

- Wszystko szło dobrze. Zakończyliśmy naprawy i dociągnęliśmy szlak do punktu oddalonego o milę od Ścieżki. Do tego czasu Danor się nie pojawił.

- Czy jest bardzo źle?!

- Myśleliśmy, że dał sobie spokój. A potem ostatniej nocy... - Wzruszyła ramionami. - Trzy mile szlaku w ruinie. Li Sung nie był zadowolony.

- Ja też nie jestem - powiedziała ponuro Jane.

- Li Sung poszedł za nim.

Jane wiedziała, że Chińczyk tak zareaguje. Dlaczego, do diabła, był tak opętany przez tę bestię?

- Sam?

- Na to pewnie wyjdzie - odrzekła Dilam. - Wysłałam go do kopalni, żeby sprawdził, czy któryś z robotników zechce z nim pójść, ale od razu wiedziałam, że nie.

- To po co go tam wysłałaś?

- Potrzebowałam czasu, żeby do ciebie dotrzeć i powiedzieć ci o jego planach. Nie sądzę, żeby Danor mu zrobił krzywdę, ale nie wiem... Pójdiesz za nim, prawda?

- Tak. Ile mam czasu?

- Pewnie wyruszy dziś na noc albo jutro wcześniej rano. Jeśli pojedziesz od razu, będzie miał bardzo małą przewagę.

- A jak on sobie właściwie wyobraża znalezienie tego słońca? - spytał Ruel.

Dilam popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Nietrudno tropić słońca. One raczej nie prześlizgują się przez dżunglę bez śladów.

Tak, to była prawda. Jane przypomniała sobie połamane konary i powyrywane z korzeniami drzewa, znaczące drogę Danora przez dżunglę.

- Idź i osiodłaj mojego konia, Dilam. Spotkamy się w stajni za kwadrans. - Zatrzasnęła

drzwi i przeszła przez pokój do garderoby. - Nie martw się, to nas nie wstrzyma - powiedziała do Ruela. - Dłama będzie nadzorowała robotników, kiedy ja z Li Sungiem pozbedziemy się tego słonia.

- Jeśli tylko nie zemdlejesz w dżungli w trakcie tropienia Li Sunga - odparł ponuro Ruel.

- Idę za nim.

- Nie kłóć się z tobą. Do głowy mi nie przyszło, że mogłabyś postąpić inaczej. - Ruel podszedł do drzwi. - Nie będziesz przecież zajmowała się takimi bzdurami, jak troszczenie się o swoje zdrowie, skoro Li Sung chce zabić słonia.

- Czy mogę ci przypomnieć, że ten słon niszczy twoje tory?

- Może też zniszczyć... - Przerwał w pół zdania i otworzył drzwi. - Spotkamy się w stajni. Muszę załatwić parę spraw, zanim będę mógł wyjechać.

- Wracasz na górę?

- Nie, do cholery! Jadę polować na słonia! - Drzwi zatrasnęły się za nim.

Rozbiję obóz. - Ruel zdjął Jane z konia i odwrócił. - Usiądź gdzieś, zanim się przewrócisz.

- Pomogę ci.

- Jasne. Jesteś biała jak prześcieradło i przez ostatnie dwie mile chwiałaś się w siodle. - Urwał, a potem dodał sarkastycznie: - Ale, oczywiście, jesteś w świetnej formie.

Była zbyt zmęczona, żeby się z nim kłócić. Zły humor opanował Ruela od chwili, kiedy poprzedniego dnia opuścili pałac. Sama też była rozstrojona. Opadła na pień powalonego drzewa i patrzyła, jak rozkulbacza konie i zbiera drewno na ognisko.

Nie odezwali się do siebie, póki po zjedzeniu Ruel nie zeszkrobał z talerzy resztek posiłku do ognia.

- Niewiele zjadłaś - powiedział. - Jak masz zamiar odzyskać siły, skoro się głodzisz?

- Zjadłam dość - odparła i zmieniła temat. - Myślałam, że do tej pory już dogonimy Li Sunga.

- Też tak myślałam. Jechaliśmy całkiem szybko, więc musi być już blisko. Złapiemy go rano. - Rozwinął posłania po obu stronach ogniska. - Jeśli naturalnie zupełnie nie oszalał i nie próbuje przedzierać się przez dżunglę po ciemku.

- Li Sung nie oszalał.

- Wszyscy jesteśmy szaleni. Z jakiego innego powodu mielibyśmy pętać się po dżungli w pościgu za jakimś przeklętym słoniem?

- Nie musiałeś iść ze mną.

- Nie?

- Dałabym sobie radę sama.

- Nie robię tego dla ciebie - powiedział opryskliwie. - Ta kolej jest mi potrzebna, zanim Abdar zdecyduje się złożyć nam wizytę.

- Będzie ukończona.

- A pierwszym ładunkiem do portu będą pewnie twoje zwłoki.

Jane nagle miała dość.

- A dlaczego właściwie miałoby cię to martwić? - zaatakowała go. - Wreszcie byś się ode mnie uwolnił.

- Do cholery! Nigdy się od ciebie nie uwolnię! - Odwrócił się gwałtownie i poderwał ją na nogi. Jego oczy błyszczały dziko w napiętej twarzy. - Boże, pomóż mi! Nie chcę się od ciebie uwolnić! Chcę, żebyś żyła, chcę, żebyś... Jezu! Chcę, żebyś była ze mną do końca życia!

Jane wpatrywała się w niego zszokowana.

- Nie patrz tak na mnie! Myślisz, że mi się to podoba? Że z tym nie walczyłem? Ale tak jest, do cholery, i nic na to nie poradzę.

Jane roześmiała się.

- Co za delikatne wyznanie! Nie martw się. Jestem pewna, że to tylko chwilowe zamroczenie, które szybko minie.

- Nie minęło przez trzy lata. Chyba już w Kasanpurze wiedziałem, że nie ma ucieczki, ale teraz zatoczyliśmy pełne koło. - Jego dłonie ugniatały jej ramiona jakimś dziwnym, tęsknym ruchem. - Czasami to jest wręcz... czułość.

- Masz na myśli współczucie? - Odstąpiła od niego o krok. - Czy opiekuńczość?

- Opiekuńczość? To twoje słowa. Wystraszyłaś mnie jak wszyscy diabli. Już myślałem, że cię stracę. - Jego uścisk zacieśnił się jeszcze bardziej. - Ale nie stracę cię. Nigdy.

Jane poczuła, że wzbiera w niej panika. A już wszystko było takie jasne i proste. Była taka pewna, że umie go zwyciężyć i znów przeżywała zwątpienie i dziwną bezsilność. Nie pozwoli mu na opętanie się.

- Stracić mnie? Nigdy mnie nie miałeś. I nigdy nie będziesz miał. Nie jestem idiotką, żeby pozwolić ci na takie zbliżenie do mnie po tym wszystkim, co między nami zaszło.

- Już jesteśmy sobie bliscy. Tak bliscy, że staliśmy się prawie jednością. Ja to czuję i ty też. Jesteśmy sobie tak bliscy, że nigdy się naprawdę nie rozstaliśmy, mimo że dzieliły nas oceany.

Intensywność jego uczuć dosięgła jej, otoczyła, otuliła.

- Nie - szepnęła.

- Tak. - Dotknął pieszczotliwie jej policzka. - O, tak, musimy mieć siebie nawzajem. Musimy być razem.

- Ian.

Ruel zamarł.

- Potrafię to przemóc.

- Wybaczysz? Zapomnieć? - Uśmiechnęła się smutno. - Nie ty, Ruelu.

- Przełamie to - powtórzył. - Nie mam wyboru.

- Ale ja mam. - Odwróciła się od niego i poszła na swoje posłanie. - Nie mam zamiaru znów pozwolić ci na zadawanie mi bólu. Od kiedy się spotkaliśmy, manipulowałeś mną, wykorzystywałeś mnie do swoich celów, ale to się nie powtórzy. A kiedy to wszystko się już skończy, mam zamiar odzyskać wolność i żyć w taki sposób, na jaki ja mam ochotę, a w tym życiu nie ma dla ciebie miejsca. - Zmusiła się do spojrzenia na niego przez ramię. - Nie chce mi się wierzyć, że myślałeś, że będzie inaczej.

- No więc będę musiał ci wyperswadować te plany. - W sardonicznym uśmiechku uniósł jeden kącik ust. - Tak, wiem, że to nie będzie łatwe, po tym, co uczyniłem. Zrobię wszystko, co będę mógł, żeby to załagodzić, ale ty też będziesz musiała przez to przejść.

Dobry Boże, Jane doskonale wiedziała, jak uparty i nieprzejednany potrafił być Ruel, kiedy obrał sobie jakiś cel. Teraz postanowił skupić siłę tej niezłomnej woli na niej - i to na całe życie, a nie na kilka dni zemsty. Już sama myśl o tym przerażała ją. Pragnęła tylko spokoju i życia w sposób, jaki jej odpowiadał. Wtuliła się w koce i odwróciła tyłem do Ruela, chcąc odciąć się od jego słów, odciąć się od niego.

- Wiesz, możemy spać na jednym posłaniu - powiedział miękko. - Chyba byśmy oboje lepiej spali. Jesteśmy już do siebie przyzwyczajeni.

Prawdziwość jego słów przeraziła ją jeszcze bardziej. Byli do siebie przyzwyczajeni, do swych ciał, do wszystkich tych kształtów, zapachów i smaków, do rytmów szaleństwa. Poznali się w najbardziej erotyczny i uwodzicielski z intymnych sposobów. Ale przecież w ostatnich dniach następowały też takie chwile, kiedy ich bycie razem nabierało delikatniejszego, wręcz nieskrępowanego charakteru. Ruel nie był już dla niej ciemną zagadką, a myśl o tym kusila. Był jak walka, którą stoczyła i wygrała... i przegrała.

- Na miłość boską, tylko się przytulimy! Nie jestem taki głupi, żeby choć pomyśleć, że jesteś wystarczająco zdrowa, żeby... - Urwał. - To by był początek.

Nie mogła pozwolić na zaczynanie od nowa.

- Nie. - Czowała na plecach jego spojrzenie. Na myśl, że się od niego uwolniła, odczuwała ulgę. Niechże on już nic więcej nie mówi! I nie dotyka!

Uspokoila się usłyszawszy, że Ruel wsuwa się do swojego posłania. Przez kilka długich chwil trwało milczenie. A potem odezwał się cicho:

- Pomyśl o tym, Jane. Potrafisz być uczciwa wobec siebie samej, przyznasz więc też, że nie masz wyboru.

Nagle Jane poczuła pod powiekami szczypiące, niechciane lzy. Ruel mówił o potrzebie i pożądaniu, ale nie o miłości. Powtórzyła sama do siebie, że nie chciała, by ją pokochał. Zresztą, dla niego byłoby to niemożliwe, tak samo jak i dla niej - teraz. Była zmęczona i niezupełnie zdrowa, bo inaczej nigdy nie miałyby tego poczucia wyizolowania i osamotnienia. Ale zwalczy to. Nie musi przecież mu odpowiadać ani dopuszczać go bliżej

siebie.

Miała nadzieję, że Ruel się mylił co do tego, czy miała jakiś wybór. Oczywiście, że się mylił. Musiał się mylić.

Dopiero późnym popołudniem następnego dnia dogonili Chińczyka.

- Li Sung!

Li Sung zastygł, kiedy dosłyszał wołanie Ruela, po czym powoli odwrócił się w ich stronę. Ulga Jane zmieniła się natychmiast w troskę, kiedy dostrzegła jak wygląda. Zwykle złocista cera Chińczyka była teraz kredowobiała, miał zaciśnięte usta i zaciekle wyraz twarzy.

- Nie powinnaś tu być - powiedział.

- Ty też - odparła. - Czy jesteś chory? Wyglądasz strasznie.

- Ty też - powtórzył z bladym uśmiechem jej słowa. - I to właśnie ty byłaś chora. Ja zaledwie przeżywałem zwykle tortury związane ze zbyt długą jazdą na tej bestii.

Dla Li Sunga nawet półdniowa wycieczka konno była bardzo bolesna, a przecież bez żadnej litości dla siebie jechał już trzeci dzień. Jane skryła współczucie, jakie w niej wywołały te myśli, i rzekła lekkim głosem:

- Wszystko dlatego, że pojechałeś za słoniem beze mnie.

Li Sung skrzywił się.

- Nie potrafiłem ci zaufać, że na widok słonia nie zmięknie. Masz zbyt czułe serce. A ja chcę go zastrzelić, nie adoptować.

- Niepotrzebnie się martwiłeś. To nie jest pies czy kot, i w dodatku niszczy moje tory - odparła Jane. - Czy on jest daleko?

- Niedaleko.

- Skąd wiesz? - spytał Ruel. - Słyszałeś go?

- Nie.

- To skąd wiesz? - dopytywał się Ruel. - Może już wraca na Ścieżkę inną drogą?

- Nie wraca. - Chińczyk machnął niecierpliwie ręką, gdy Ruel otworzył usta. - Nie wiem, dlaczego jestem tego pewny, ale jestem. Mówię wam, jest tuż przed nami.

- Nie klóć się. Bardzo wierzę w instynkt - odpowiedział cicho Ruel. - Ale skoro jest tuż-tuż, to może byśmy się zatrzymali na nocleg. Ta ścieżka jest równie dobrym miejscem, jak każde inne. Możemy przynieść wody z tego stawu, który minęliśmy ćwierć mili temu.

Li Sung zmarszczył brwi.

- Jeszcze jest wcześnie. Jeśli będę kontynuował pościg, dopadnę go.

- Albo i nie. - Ruel zsiadł z konia. - A nawet jeśli go dopadniemy, możemy być już zbyt zmęczeni, żeby mu zagrozić.

Li Sung zeszywniał.

- Jestem znużony, ale nie bezradny!

- Nie mówiłem o tobie. - Ruel zdjął Jane z siodła. - Jane chorowała, zapomniałeś już? - Spojrzał jej ostrzegawczo w oczy, kiedy zaczęła protestować. - Ty możesz jechać dalej i nie zemdleć, ale możesz też pomyśleć o innych.

- Ona nie powinna była przyjeżdżać.

- Ale jesteśmy - odparł Ruel stanowczo - więc musisz to przyjąć do wiadomości.

Chińczyk zawahał się, a potem z rezygnacją skinął głową.

- Dobrze. - Zsiadł z konia i dla utrzymania równowagi musiał złapać się łąku siodła, bo jego chroma noga ugięła się pod nim.

Jane szybko odwróciła wzrok od tej zdradliwej oznaki słabości.

- Nazbieram drew.

- Ja to zrobię. - Li Sung puścił siodło. - Danor zostawił za sobą wystarczająco dużo połamanych drzew, żeby zaspokoić nasze potrzeby. - Pokuśtykał ścieżką pozostawioną przez słonia.

- Mądrze zrobiłeś, nie dając Li Sungowi poznać, że to o nim mówiłeś - powiedziała cicho Jane do Ruela.

- Do diabła, nie uważam się wcale za mądrego. Mówiłem prawdę. Martwię się o ciebie. - Odwrócił się, zanim zdążyła odpowiedzieć. - Rozbiję obóz. Idź za Li Sungiem i spróbuj go przekonać, żeby tu został, kiedy ja pójdę za słoniem.

- Sam? - spytała zaskoczona. - Nie mów tylko, że myśliwym też kiedyś byłeś.
Ruel pokręcił przecząco głową.
- Jedyne zwierzęta, na jakie kiedykolwiek polowałem, to szczury w kanałach Londynu.
Jane mgliście przypomniała sobie, że tej nocy u Zabrie opowiadał jej o tym, jak był łapaczem szczurów.
- Ale szczury nie bardzo mieszczą się w tej samej klasie co słonie.
- Zasada jest ta sama. W każdym razie mam większe kwalifikacje niż ty czy Li Sung. - Ruel odpiął popręg swego siodła. - Idź za nim.
Jane nie ruszyła się z miejsca, przyglądając mu się z namysłem. Sama myśl o tym, że Ruel ma w samotności ścigać oszalałego słonia, wywołała panikę.
- Idź za nim - powtórzył z naciskiem.
Jane szybko odwróciła się i poszła za Li Sungiem.
- To było bardzo głupie z twojej strony - powiedziała, kiedy już się zrównali. - Mówiłam ci, że znajdziemy inne rozwiązanie.
Nie odpowiedział.
- Nie wmawiaj mi, że jesteś tu, żeby go powstrzymać od dalszych zniszczeń. To tylko wymówka. W rzeczywistości masz jakąś szaleńczą obsesję na tle unicestwienia tego słonia.
Zadnej reakcji.
Jane musiała powiedzieć coś takiego, co zburzyłoby mur milczenia.
- Ruel chce, żebyśmy tu zostali, a on pójdzie za Danorem.
- Nie! - Li Sung odwrócił się gwałtownie i stanął twarzą w twarz z Jane. - On jest mój!!
Zaskoczyło to Jane zupełnie. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby Li Sung przejawiał taką pasję.
- Nie powiedziałam, że mu na to pozwolę. Powiedziałam tylko, że...
- To nie twoje zmartwienie. Wracaj do obozowiska.
- Ty jesteś moim zmartwieniem. Tak samo, jak ja bym była twoim, gdybym to ja pognąła za jakimś szalonym słoniem.
W twarzy Chińczyka przygasły emocje. Odwrócił od niej wzrok.
- Masz rację. Czuję to samo.
- A więc pójdziemy za nim razem.
Niechętnie skinął głową.
- Dobrze.
Przez chwilę szli w milczeniu.
- Mylisz się - rzekł nagle ze wzrokiem wbitym w ścieżkę po przejściu Danora. - Już nie ścigam Danora.
Jane pytająco uniosła na niego oczy.
- On czeka.
- Co?
- On na mnie czeka - wyszeptał Li Sung.

A co zrobisz, kiedy go już dogonisz? - spytał Ruel, poprawiając drwa w ognisku.
- Zastrzelę go - odparł po prostu Li Sung.
- Słoń chyba nie ma zbyt wielu czułych punktów.
- Będę celował w oczy. - Chińczyk wpatrywał się w płomienie. - Dilam mówi, że to jedyne miejsce, które naprawdę gwarantuje zabicie.
- Nie jesteś dobrym strzelcem - wytknęła mu Jane. - A drugiej okazji możesz już nie mieć.
- Będę o tym myślał, jak już go znajdę.
- Ale ty w ogóle nie myślisz. Tylko czujesz.
- Być może. - Li Sung podniósł wzrok znad swojej kawy. - Ale próby odwiedzenia mnie są bez sensu.
Jane wiedziała o tym, ale musiała podjąć choć próbę.
- Nie rozumiem tego. Dlaczego?
- Próbował mnie zabić.
- Zachowujesz się, jakby chciał to zrobić z premedytacją. Przecież, na Boga, to jest słoń!
Li Sung bez słowa wzruszył ramionami.

- Czy to właśnie o to chodzi? - spytał nagle Ruel. - Bo to jest słoń?
Li Sung wpatrzył się w niego beznamyślnie.

- Moc - powiedział miękko Ruel, wbijając wzrok w twarz Chińczyka. - Powiedz, masz zamiar również zjeść jego serce?

- Co?

- W Brazylii słyszałem o plemieniu, którego wojownicy zjadają serca pokonanych wrogów, bo uważają, że dzięki temu siła i odwaga przeciwników wchodzi w ich ciało.

- I uważasz, że zasługuję na takie podejrzenia?

- A nie?

- Nie jestem wariatem. Zdaję sobie sprawę, że zabicie Danora będzie tylko zemstą. Czasami to wystarcza.

- A czasami nie - powiedział ze znużeniem Ruel.

- Zdziwiasz mnie. - Li Sung uśmiechnął się blado. - Myślałem, że zrozumiesz moje uczucia.

- Och, rozumiem. - Ruel spojrzał na Jane. - Nikt nie potrafi lepiej zrozumieć chęci zemsty niż ja. Prawda, Jane?

Jane wyczuła pod tą kpina z samego siebie jakiś ból, który ją zranił. Miała ochotę dotknąć Ruela, pocieszyć go. Odezwała się nerwowo do Li Sunga:

- Powinniśmy iść spać, skoro mamy zamiar wstać przed świtem. Może byśmy...

W ciemności zatrąbił słoń.

Li Sung usiadł prosto, wbijając wzrok w ścieżkę wiodącą na zachód.

- Blisko.

Miała rację. Jane pomyślała, że Danor musi być bardzo blisko, ale w jego trąbieniu pojawiło się coś zagadkowego. To nie było wściekłe trąbienie, jakie usłyszała w nocy na szlaku. To było jakby...

Li Sung skoczył na równe nogi i porwał strzelbę.

- Li Sung, zaczekaj na światło dnia! - krzyknęła. - Skoro jest tak blisko, kilka godzin nie robi różnicy!

- Teraz! - Chińczyk zarzucił na ramię pas z nabojami i odkuśtykał od ogniska. - Wy czekajcie na światło dnia. Nie potrzebuję was!

- Jak cholera, zaczekamy! - Ruel już zadeptywał ognisko. - Możesz choć poczekać, aż osiodłamy konie?

- Nie trzeba. - Słowa Li Sunga doleciały do nich, kiedy dżungla zamknęła się już za nim. - On jest blisko.

Jane skoczyła na równe nogi i pobiegła za Li Sungiem.

Słyszała, że Ruel ją woła, ale nie zwracała na to uwagi.

Słoń znów zatrąbił przyzywająco.

Wzywał Li Sunga do unicestwienia.

Psiakrew, Li Sung, zaczekaj na mnie! - wrzasnęła Jane do ledwie widocznej sylwetki pracującej naprzód.

- Szkoda wysiłku. - Ruel odchylił kolczasty krzew, żeby mogła przejść. - Nic go nie powstrzyma. Teraz najważniejsze, by za nim nadażyć.

Jak Li Sung mógł przedzierać się przez dżunglę tak szybko mimo chromej nogi? Prawie biegł.

Słoń znów zatrąbił, bliżej.

Trwoga, niepokój i oszołomienie walczyły w umyśle Jane o pierwszeństwo. W tym wołaniu słonia było coś, co ją dręczyło. Jasne, że dręczyło, pomyślała niecierpliwie. Ten przeklęty słoń wciągał Li Sunga prosto w niebezpieczeństwo.

- Li Sung!

Z ulgą zauważyła, że Chińczyk wreszcie zdecydował usłuchać jej prośby. Zatrzymał się o kilkaset metrów od nich. Potem, kiedy podeszli bliżej, zobaczyła, że patrzył wprost przed siebie, nienaturalnie zeszywniały.

- Czy to słoń? Uważ... - Urwała, kiedy wraz z Ruelem stanęła obok Li Sunga i dostrzegli, co go tak zaskoczyło.

Szkielety.

Wszędzie, pokrywające olbrzymią polaną makabrycznym dywanem, białe nagie kości. Księżyc skrył się za chmurą, ale w ciemności szkielety zdawały się świecić własnym, drżącym blaskiem.

- Co to jest? - szepnęła.

- Cmentarzysko słoń - odparł Li Sung. - To pewnie dlatego przemieszczają się na zachód.

- Nie rozumiem.

- Dilam mówi, że kiedy słoń wyczuwa nadchodzącą śmierć, czasami przebywa wiele mil do miejsca umierania. - Wzrok Li Sunga błędził po pokrytym kośćmi krajobrazie. - To chyba jest takie miejsce.

Jane zadrżała.

- Na pewno.

- Ale dlaczego Danor tu przyszedł? - spytał Ruel w zadumie.

Li Sung poruszył ramionami, jakby zrzucając z nich ciężar widoku.

- Skąd mam wiedzieć? - Uśmiechnął się ponuro. - Może czuje, że chce go zabić?

Trąbienie odezwało się ponownie. Jane przeniosła wzrok na drugą stronę cmentarzyska. Pod samymi drzewami z trudem dostrzegła potężną sylwetkę słoń z uniesioną trąbą.

Li Sung wydał cichy pomruk satysfakcji i ruszył poprzez zasypaną kośćmi polaną.

Jane i Ruel szybko podążyli jego śladem, ale zanim go dogonili, zdołał już dojść do środka cmentarzyska.

Słoń stał bez ruchu i przyglądał się, jak podchodzą.

- Dlaczego jeszcze nas nie zaatakował? - mruknęła Jane, mając w pamięci przekrwione oczy Danora i dudniący, szaleńczy atak na nich na szlaku kolei.

Li Sung podszedł już do słoń na odległość strzału. Podniósł strzelbę i przyłożył ją do oka.

Słoń nie drgnął.

Księżyc wyszedł zza chmur, oświetlając swym bladym blaskiem polaną i Danora.

- Czekaj! - Jane złapała ramię Li Sunga. - Tam coś...

- Puść mnie! - Li Sung próbował wyszarpnąć rękę.

- Nie, jeszcze nie! Coś widzę! - Pobiegła przed Chińczykiem w kierunku słoń.

- Jane! - zawołał Ruel.

- On mi nic nie robi! Nie widzisz... - Zatrzymała się ledwie o kilka jardów od słoń, starając się nie schodzić Li Sungowi z linii ognia. - Nie strzelaj, Li Sung!

- Zejdź mi z drogi, Jane!

- Chodźcie tu! - zawołała Jane, nie spuszczając z oczu Danora. Dobrze jej się wydawało, światło księżyca wydobyło z mroku coś wilgotnego i lśniącego w oczach słoń.

- Żeby znów mógł podjąć próbę zdeptania mnie?

Ruel stanął obok Jane.

- Do cholery, Jane, chcesz zginąć?! Dlaczego, do cholery...

- Ciicho! - Wskazała na ciemny kształt na ziemi po lewej stronie Danora. - Myślę, że on...

Czy to nie...

- To następny słoń. - Ruel ostrożnie stąpnął w przód, wpatrując się bacznie w Danora. - Zostań za mną. Przyjrzy się.

Danor wyżej uniósł trąbę i znów zatrąbił, tym razem ostrzegawczo.

Ruel zatrzymał się.

- Chyba dalej nie pójdę. Raczej mu się nie podobam.

- Jemu się nie podoba nikt na tym świecie. - Li Sung przykuśtykał do nich, trzymając strzelbę w pogotowiu w zgięciu ręki. - Jeśli się odsuniecie, odeślę go stąd.

- On nikomu nie robi krzywdy - rzekła Jane. - On chyba tylko ochrania... Nie widzisz? On płacze, Li Sung.

- Nonsens.

- Nawet na niego nie spojrzales. Mówię ci, że on oplakuje... - Wskazała na leżącego słoń.

- Musimy zobaczyć, czy potrafimy jakoś pomóc.

- Jak już zabiję Danora, przyjrzymy się temu drugiemu.

- Przestań! - powiedziała Jane z rozdrażnieniem. - Nie musisz go teraz zabijać.

- Potrzeba nie zawsze idzie w parze z chęcią. - Chińczyk podniósł broń.

Jane ruszyła w stronę słonia.

- Powiedziała: Nie!

Danor przestąpił z nogi na nogę i obrócił się do niej ostrzegawczo.

Ruel sięgnął i złapał ją za ramię.

- Ty też mu się nie podobasz. Niewdzięczność, biorąc pod uwagę, że tylko ty chcesz go oszczędzić.

Li Sung wydał dziwny dźwięk, wyszedł przed nich i podszedł do słoni.

- Wiedziałem, że nie powinienem być pozwolić ci iść ze mną. Czy koniecznie musisz sama zobaczyć, jak bardzo jest zły? - Zbliżył się do Danora ze strzelbą w pogotowiu. - No, słoni, chodź teraz do mnie!

Danor stał bez ruchu, wpatrując się w Li Sunga. Kolejna łza stoczyła się z jego oka i powoli opuścił trąbę. Dotknął nią głowy leżącego słonia i zaczął ją tarmosić, jakby usiłował podnieść zwierzę na nogi.

Li Sung zatrzymał się obok grzbietu padłego słonia, patrząc ponad jego ciałem z wyzwaniem na Danora.

- Czy ten słoń jest martwy? - zawołała Jane.

Li Sung spojrział na leżące zwierzę.

- Nie wiem. - Dotknął dłonią skóry. - Ciepła. Może nie.

- To dlaczego Danor tak trąbił? - Jane podsunęła się ciut bliżej. - Czy to samica?

- Tak.

- Więc to pewnie jego słonica.

- Zapewne. - Li Sung spojrział spod oka na Jane. - Rozumiem, że teraz tak bardzo mu współczujesz, że dla ukojenia jego żalu pozwolisz mu powyrywać resztę torowiska?

- Tego nie powiedziałam. Ale musimy jej pomóc, jeśli to możliwe. Nie można dopuścić... - Urwała, kiedy Danor uniósł głowę i wbił w nią oczy. - Sam będziesz musiał sprawdzić, czy coś się da zrobić. On nie dopuści do siebie nikogo poza tobą.

- A to znaczy, że jest bardzo głupi. Nie umie rozpoznać wroga, nawet gdy go widzi. - Li Sung obszedł padłą słonicę dookoła. - Samica nie żyje. Ma otwarte oczy i... Urwał w pół zdania.

- Co się stało? - zawołała Jane.

- Słoniątko.

- Co?

- Słyszałaś. - Chińczyk podszedł jeszcze bliżej, patrząc na coś, co kryło się za ciałem słonicy. - Słoniątko.

- Żywe? - spytał Ruel.

Li Sung przytaknął.

- Próbuje ssać.

- Bardzo młode?

- Skąd mam wiedzieć? Chyba ma ledwie kilka dni.

- Chcę je zobaczyć - powiedziała Jane.

- Pewnie, że chcesz. Jeszcze jedno bezradne stworzenie do rozpieszczania - powiedział zgryźliwie Li Sung. - Jane, to nie jest zabłąkany szczeniak.

- Chcę je zobaczyć - powtórzyła. - Danor chyba cię akceptuje. Wróć do nas i weź nas za ręce. Podprowadź nas do słonicy.

- Wtedy nie będę mógł nieść strzelby.

- Nie będzie ci potrzebna - powiedziała Jane z rozdrażnieniem. - Tylko na niego popatrz. Serce się kraje.

- Ja poniosę strzelbę - powiedział Ruel. - Zrób lepiej tak, jak ona mówi. I tak tam pójdzie.

Li Sung podszedł do nich.

- Wiem. - Wręczył strzelbę Ruelowi, podał im obojgu ręce i poprowadził ich do słoni. - A teraz pewnie nas wszystkich wdepcze w ziemię.

- Cicho bądź. Li Sung. - Jane napięła mięśnie, kiedy Danor podniósł głowę i obserwował całą trójkę. W jego oczach nie było gniewu, tylko wszechogarniający smutek rezygnacja... i akceptacja.

Potem słoń znów pochylał głowę i podjął poszturchiwanie padłej samicy, próbując ją

nakłonić do powstania.

- Chyba mu nic nie będzie. - Jane obesza już cielsko słonicy.

Słoniątko leżało na boku z wyciągniętymi nogami i ssało wymię matki.

Jane poczuła, że łyżki wypełniają jej oczy.

- Biedne maleństwo.

- Nie! - powiedział ostro Li Sung. - Nie, Jane.

- Nie możemy pozwolić mu umrzeć.

- Nie możemy go uratować. Żeby przeżyć, potrzebuje mleka, a jego matka zdechła. Kto go wykarmi? - Li Sung obrzucił wzrokiem kości cmentarzyska. - Oni?

- Jeśli zdołamy go zaciągnąć do stada, jedna z samic może go adoptować.

- Stado może być oddalone o sto mil na wschód!

- To lepiej zabierzmy się do tego od razu.

- A jak znajdziemy stado?

Jane wskazała na Danora.

- Myślisz, że zaprowadzi nas do stada, jak koń ciągnący do stajni?

- Dilam mówi, że on jest bardzo inteligentny. - Zmarszczyła czoło w zamyśleniu. - Może właśnie dlatego wyrywał tory?

- Wyrywał tory, bo mu to sprawiało przyjemność.

Jane pokręciła głową.

- Może chciał, żebyśmy za nim szli. Może wiedział, że nie zdoła uratować samicy, ale chciał dać szansę słoniątku? Musimy mu to umożliwić.

- Nie - powiedział stanowczo Li Sung.

- Tak - odparł Ruel.

Li Sung stanął z nim twarz w twarz. - Ty też się zgadzasz na to szaleństwo?

- Ona tak chce. - Ruel wzruszył ramionami. - Więc my tak robimy.

Jane popatrzyła na niego ze zdumieniem.

Uśmiechnął się, widząc to spojrzenie.

- Mówiłem ci, że będę nad tym pracował - rzekł miękko. - Od czegoś muszę zacząć.

Oderwała od niego wzrok.

- Li Sung, musisz odciągnąć słoniątko od matki. Nie sądzę, żeby Danor pozwolił na to nam.

- Odwróciła się i ruszyła z powrotem przez cmentarzysko. - Ja wracam do obozu i spakuję wszystko. Ruel, zostań z Li Sungiem. On może potrzebować pomocy.

- Tak jest, pszepani - odparł pokornie Ruel.

W godzinę później Li Sung i Ruel zjawili się w obozowisku, popędzając przed sobą słoniątko. Miało zaledwie trzy stopy wzrostu, chwiała się i słańiało na nogach przy każdym kroku. Było wielkookie, niezgrabne i rozkoszne.

- Mieliście jakieś problemy? - spytała Ruela.

- Nie z Danorem. Pozwolił Li Sungowi robić z małym, co tylko chciał. - Skrzywił się i skinął w stronę słonika. - Ale mieliśmy kłopot z przekonaniem tego młodego faceta, żeby opuścił matkę, a niełatwo jest przepchnąć stu pięćdziesięciofuntowe niemowlę w kierunku, który mu nie odpowiada.

- Gdzie jest Danor?

- Wciąż usiłuje ją obudzić - odparł Ruel. - Być może będziemy musieli znaleźć stado sami.

- Jest taki słodki. - Jane pieszczotliwie poklepała trąbę małego. - Musimy mu nadać imię.

- Po co? - zapytał Li Sung. - Żebyś mogła opłakiwać go po imieniu, kiedy zdechnie?

- On nie zdechnie. - Słoniątko owinęło trąbą jej nadgarstek. - Zawsze podobało mi się imię

Kaleb. Będziemy go nazywać Kaleb.

Li Sung wydał odgłos pomiędzy parsknięciem a warkotem.

Słoniątko puściło jej nadgarstek i zaczęło się do niej przysuwać.

Jane z niepokojem poruszyła brwiami.

- Chyba niezbyt pewnie się trzyma na nogach.

- Jest słaby - odrzekł Ruel. - Nie wiemy, ile mleka zdołała mu dać matka, zanim padła.

- Czy możemy go nakarmić, Li Sung?

Chińczyk popatrzył na nią w milczeniu.

- Li Sung? - naciskała.
- I tak zdechnie.
- Tego nie wiemy. Powiedz mi, czym go karmić?
- Wodą albo mlekiem - odpowiedział niechętnie Li Sung. - Pewnie jest za młody na cokolwiek innego.

Kalebowi ugięły się nogi i upadł na ziemię. Patrząc na to bezradne niemowlę, Jane ogarnęła czułość.

Wbrew swej dezaprobach Li Sung wydawał się być równie poruszony.

- Potrzebuje mleka, ale może woda pomoże oszukać jego głód. Pójdę do stawu i przyniosę.
- Zdjął z siodła bukłak i pokuśtykał ścieżką.

- To niepodobne do Li Sunga, żeby być tak nieugiętym - mruknęła Jane, odprowadzając go wzrokiem. - Nie rozumiem go.

- A ja tak - odparł Ruel. - On się czuje oszukany. Był przygotowany na bitwę wojowników, a teraz okazało się, że ma być niańką dla potomka swego wroga. Niełatwo mu to zaakceptować.

- Danor nie uważa go za wroga.

- Tego też nie umie zaakceptować. Zostań przy ogniu i nie pozwól Kalebowi odejść. Zaraz wrócę.

- Co chcesz zrobić?

- On nie będzie w stanie długo iść. Chcę znaleźć kilka konarów, które można by wykorzystać jako tyczki i zrobić coś w rodzaju sań. Przywiążę je potem do siodła i pociągnę za sobą.

- Ruel!

Obejrzał się przez ramię.

Jane wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła trąby słoniątka.

- On będzie żył, prawda?

- Skoro tego chcesz, to będzie - powiedział tonem stwierdzenia Ruel i odszedł, znikając w chaszczach.

Absurdalne, po tych słowach na Jane spłynęła ulga. Ale przecież mandaryn się wypowiedział, a skoro był w stanie wyciągnąć Iana z bram śmierci, to dlaczego nie to małe, niezdarne zwierzątko?

Nugget nie zaprotestował, kiedy Ruel przytroczył do jego siodła dwie tyczki, ale zaczął wierzgać, kiedy na samach, zaraz za jego zadem, ułożono Kaleba. Koń Li Sunga i Bedelia zareagowały tak samo, kiedy spróbował przywiązać sanie do ich siodel.

Ruel zaklął pod nosem.

- Cholera, tylko tego nam było trzeba.

- A czegoś się spodziewał, próbując łączyć w parę konia ze słoniem? - spytał Li Sung.

Jane zmartwiła się.

- Co teraz zrobimy? - Kaleb nie był w stanie godzić, na nogach utrzymywał się tylko przez chwilę, po czym padał.

- Chyba nie mamy wielkiego wyboru - powiedział ponuro Ruel. Odwiązał tyczki od siodła Bedelii i zaczął wiązać z liny uprząż. - Musicie poprowadzić Nuggeta; ja będę zwierzęciem pociągowym.

- Bardzo cenię twój uczynny charakter - powiedział i Li Sung - ale czy mogę ci przypomnieć, że on waży ponad sto pięćdziesiąt funtów?

- Jestem pewien, że każdy z tych funtów będzie mi doskonale znany, zanim zatrzymamy się na noc. - Ruel wślizgnął się w uprząż i ułożył ją na ramionach. - Chodźmy!

- Zaczekaj! - Jane wyjęła z torby dwie koszule i podłożyła je Ruelowi pod uprząż, żeby ochronić jego barki przed wrzynaniem się lin. - Obawiam się, że niewiele pomogą przy takim ciężarze.

Ruel uśmiechnął się.

- Dziękuję.

- To nie ja będę ciągnęła Kaleba przez dżunglę. - Wsiadła na Bedelię. - Powiedz, kiedy będziesz chciał się zatrzymać i odpocząć.

- Bez obawy. - Skrzywił się i szarpnął w przód. - Na pewno powiem.

Tej nocy zatrzymywali się na odpoczynek dwa razy, ale dopiero o świcie rozbili obóz. Jane ściągnęła wodze Bedelii na małej polanie obok strumienia i zsiadła z konia.

- Li Sung, weź dwa bukłaki i przynieś wodę dla Kaleba. Ja rozpalę ognisko.

- Żyję, żeby służyć - powiedział sarkastycznie Li Sung, biorąc bukłaki i sztywno idąc do strumienia. - Teraz na przykład jestem nosiwodą dla słonia.

- A jakie są rozkazy dla mnie, memsahib? - zapytał Ruel.

- Li Sung i ja zrobimy wszystko, co trzeba - odparła i zaczęła zbierać drwa na brzegu ścieżki. - Siadaj i odpoczywaj.

- Czyżbym był rozpieszczany? Niebywałe.

- Trudno nazwać rozpieszczaniem pozwalanie ci na odpoczynek, skoro spędziłeś sześć godzin na wleczeniu za sobą słonia.

- Nie będę się wyklócał. - Odwiązał uprząż i siadł na ziemi obok sań Kaleba. - Rozpieszczaj mnie dalej.

Kpiarstwo w jego głosie niemal zupełnie zniknęło pod znużeniem. Jane spojrzała w tamtą stronę, ale było za ciemno, by mogła dostrzec jego minę. Był po prostu cieniem rzuconym obok słoniątka.

- Czy te szmaty pod linami coś dały?

- Owszem. - Zmienił temat. - Niedługo będziemy musieli zmienić ten koc, którym pokryłem tyczki. Przeciera się.

- Zanim znów wyruszymy, dam ci jeden z moich. - Przyklękła obok stosu drewna na podpałkę i rozpałała ogień, po czym odwróciła się. - I tak cud, że wytrzymał tak długo wleczenie po...

Na ramieniu Ruela była krew.

Skoczyła na nogi i podbiegła. W świetle ognia jego twarz była blada, a usta zaciśnięte.

- Przecież powiedziałeś, że szmaty coś dały. Okłamałeś mnie.

Ruel wzruszył ramionami.

- Dały tyle, ile można się było spodziewać.

Opadła na kolana i rozpięła mu koszulę.

- Jutro trzeba będzie podłożyć je podwójnie. I ja mogę pomóc. Wezmę za jedną tyczkę, łatwiej ci będzie ciągnąć.

- Jesteś jeszcze słaba przez tę przeklętą gorączkę. Dam sobie radę sam.

- Nie bądź idiotą. Z każdym dniem jestem silniejsza i nie ma powodu, żebym... - Urwała, odchyliwszy koszulę i zobaczywszy okropne otarcia od lin. Jego prawe ramię było pocięte czerwonymi krechami, spod których wyglądało krwawiące, pokaleczone ciało i obnażony obojczyk. - Boże! - szepnęła. - To musiało cię potwornie boleć!

- No, przyjemne nie było.

- Powinieneś był mi powiedzieć.

- Żebyś mogła się nade mną rozczulić, jak nad Kalebem? - Uśmiechnął się. - Czy nie wzrusza twego serca, że krwawię dla ciebie?

- Nie żartuj! - powiedziała opryskliwie. Przyniosła bukłak i wyjęła z torby chusteczkę, po czym zaczęła delikatnie przecierać pociętą skórę. - Dlaczego zawsze musisz żartować?

- Żeby pokazać, jakim odważnym i dzielnym jestem typem. Chyba tak to trzeba określić.

Jej dłoń drżała i chwilę trwało, zanim uspokoiła się na tyle, żeby obwiązać mu chustkę dokoła ramienia.

- Trzeba będzie wymyślić inny sposób transportowania Kaleba. Nie możesz iść dalej w tym stanie.

- Ależ mogę. Mogę wszystko, co muszę.

- To ja zdecydowałam, że weźmiemy Kaleba. Nie pozwolę ci cierpieć tylko dlatego, że...

- Zrobię to, Jane.

- Dlaczego?

- Bo wtedy będziesz wiedziała, że każda kropla krwi, którą tracę, jest dla ciebie. - Wytrzymał jej wzrok. - A za każdym razem, kiedy będziesz opatrywać moje rany, bardziej się ze mną zwiążesz.

- O czym ty mówisz?
- Sama to powiedziałaś. Jesteś opiekuńcza. - Spojrzał na jej ręce, zawiązujące opatrunek na jego ramieniu. - A kiedy się kimś opiekujesz, należy on do ciebie. Ja chcę należeć do ciebie.

Jane wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

Nagły uśmiech rozjaśnił jego twarz, kiedy spojrzał na Kaleba.

- Poza tym lubię tego małego. Zrobiłbym to, nawet gdybym się z tobą nie zaręczał.

- Zaręczał? - To słowo przyniosło falę wspomnień z tego wieczoru na werandzie w Kasaanpurze. - Nie wraca się do przeszłości - powiedziała z rezerwą.

- Nie chcę wracać. Chcę zacząć od nowa.

- Tego też nie możemy zrobić. - Skończyła zawiązywanie opatrunku i przeniosła spojrzenie na jego lewe ramię. Tu uprząż nie wyrządziła aż takich szkód, ale i tak już dawno powinien był się zatrzymać. Jego ramiona były prawie tak samo pocięte linami jak wtedy, kiedy wyszedł z Wąwozu Lanpur, ciągnąc za sobą Iana. Nie, to nieprawda. Przypomniała sobie, że wówczas nie tylko skóra, ale i ciało było w strzępach.

- Co się stało? - Ruel wbił wzrok w jej twarz. - Co, do cholery, znowu się stało?

- Twoje ramiona - szepnęła. - Po prostu przypominałam sobie Wąwóz Lanpur.

Przez sekundę rysy twarzy Ruela stwardniały, po czym posłał jej wymuszony uśmiech.

- Nie możemy wrócić - powtórzył jej słowa. - Więc przestań o tym myśleć.

Pokręciła głową.

- To niemożliwe.

- Wszystko jest możliwe. - Ruel wskazał wzrokiem Kaleba. - Jakie on miał szanse przeżycia jeszcze dwa dni temu?

- Niewiele mniejsze niż teraz. - Z mroku wyszedł do nich Li Sung, objuczony dwoma bukłakami. - Widzę, że cię naznaczył. Nieodrodny syn swego ojca. - Na przekór oschłym słowom zarówno jego ręce, jak i wyraz twarzy były pełne delikatności, kiedy ukląkł obok zwierzęcia i ostrożnie wlał wodę w pysk Kaleba. - Bez wątplenia on też wyrośnie na samotnika-mordercę.

Jane była zbyt znużona i wstrząśnięta, żeby się z nim kłócić. A skoro ona była znużona, jak musiał się czuć Ruel?

- Idźcie spać - powiedziała i podeszła do swego posłania obok ognia.

- Chyba tak zrobię. - Ruel wyciągnął się obok Kaleba na saniach i zamknął oczy.

Jane zastygła.

- Nie możesz tam spać.

- Tylko patrz! - Nie otworzył nawet oczu. - Nie mam siły się przenieść...

- Rozłożę ci twoje koce!

- Tak jest dobrze... - Odwrócił się na bok. - Cztery godziny. Nie więcej. Nie możemy tracić czasu. Musimy dowieść Kaleba do... - Zamilkł, a Jane po chwili zrozumiała, że zapadł w sen.

Li Sung wkrótce poszedł w jego ślady, ale Jane mimo zmęczenia nie mogła zasnąć. Słowa Ruela i jego postępowanie rzuciły ją w płataninę uczuć - troski, czułości, podziwu i wielu innych, nieokreślonych odczuć, zbyt niebezpiecznych, by się nad nimi choćby zastanawiać. Właśnie wtedy, kiedy myślała, że już się uwolniła od mandaryna, zmienił się, stał się człowiekiem, wrażliwym mężczyzną, który zaczął jej się wydawać... godny miłości.

Dobry Boże, cóż ona najlepszego robi, powinna spać, a zamiast tego przetrząsa swoją duszę w poszukiwaniu czegoś nieuchwytnego. Zakopała się głębiej w koce i zamknęła oczy. Ciepło od ogniska było bardzo przyjemne i kojące, a trzask płonących szczap mile brzmiał w uszach.

Ale w powietrzu dawał się wyczuć chłód poranka.

Ruel spał o kilka jardów od ognia.

Jane wstała, wzięła jeden ze swych koców i podeszła do niego. Spał głęboko, ale Kaleb otworzył oczy, kiedy narzuciła koc. Słoniątko uniosło trąbę i dotknęło nią jej policzka. - Ciii... - Poklepała go po głowie, podniosła się i wróciła do swego legowiska obok ogniska.

Opiekuńcza.

A jeśli nawet, to co z tego? Nic złego nie ma w oddaniu swojego koca komuś, kto tak się dla niej poświęca. Zupełnie nic złego.

Drugiej nocy od rozpoczęcia ich wędrówki z powrotem do Ścieżki Jane, Ruel i Li Sung zbudzili się na dźwięk łamania i wrywania drzew. Otworzywszy oczy, Jane ujrzała Danora, stojącego na linii zarośli i przyglądającego się leżącym. Jego oczy błyszczały w świetle ogniska, przywołując niespokojne wspomnienia chwil na szlaku, kiedy uważała go jeszcze za oszalałego samotnika.

Jej lęk zniknął, kiedy zobaczyła, że Danor powoli podchodzi do sań obok ognia, na których leżało słońtątko. Owinął trąbę wokół głowy Kaleba i zaczął delikatnie, choć natarczywie, przynaglać słońtątko do wstania, tak samo, jak przedtem robił to z jego matką.

Kaleb był zbyt słaby, żeby zrobić coś więcej niż unieść głowę i spleść swą małą trąbę z trąbą Danora.

Widok ten był niewypowiedzianie wzruszający, i Jane poczuła pod powiekami łzy.

Potem Danor uwolnił swoją trąbę, cofnął się i zniknął w dżungli.

Li Sung powiedział kwaśno:

- Wyrzywa nas ze snu, a potem odchodzi i zostawia nam swoje dziecko pod opieką. Pewnie go już nigdy nie zobaczymy.

- Poszedł w kierunku Ścieżki - zwrócił mu uwagę Ruel.

- A więc dołączy do stada. Ale to nie znaczy, że go jeszcze kiedyś zobaczymy. - Li Sung z powrotem ułożył się na posłaniu i zamknął oczy. - Co byłoby najszcześniejszą rzeczą, jaka by się nam przytrafiła od przyjazdu na Cinnidar.

Owijając się ciaśniej kocem Jane pokręciła z rezygnacją głową. Nigdy jeszcze Li Sung nie wykazywał się takim uporem jak wobec tego słońtątko. Był w błędzie. Jane doskonale wiedziała, że Danor martwi się o słońtątko.

Zresztą nie on jeden. Wzrok Jane powędrował do Kaleba. Mały wciąż słał. Dawali mu nadal wodę, żeby stłumić jego głód, ale jak długo może wytrzymać bez jedzenia?

- Będzie żył.

Zwróciła oczy na Ruela i dostrzegła, że się jej przygląda.

- Będzie? - szepnęła. - Nawet jeśli wystarczająco wcześnie odnajdziemy stado, żadna z karmiących samic może go nie przyjąć.

- Wtedy pojedę do wioski i przyprowadzę kilka dojnych kóz.

Mimo zatroskania Jane zachichotała na myśl o Ruelu-pasterzu.

- Żeby go nakarmić, potrzebowałibyśmy całego stada.

- To przyprowadzę stado.

Napotkawszy jego wzrok, Jane przestała się śmiać. Nie wątpiła, że zrobiłby to. Przez ostatnie dwa dni jego cierpliwość i zdecydowanie bardzo ją uspokajały.

- Może będziesz musiał.

- Czy moglibyście przestać gadać? - spytał Li Sung. - Wystarczy, że Danor nas obarczył swym potomkiem, nie musicie jeszcze o tym plotkować całą noc.

Podoba ci się? - Margaret z napięciem wpatrywała się w twarz Iana. - Nie umiałam zrobić herbu Glencaren, i skupiłam się więc na twoich inicjałach i gałązce wrzосу.

- Jest bardzo piękna. - Ian delikatnie dotknął palcem złotej pieczęci. - I dokładnie taka, o jakiej marzyłem. Herb byłby jak dla mnie za bardzo wytworny.

- Nic nie jest dla ciebie zbyt wytworne. - Usiadła na rzęsie obok jego łóżka. - Przecież jesteś dziedzicem. Musiałam ją robić dwa razy. Pierwszą pieczęć zepsułam. Oczywiście, ten poganin Kartauk nie był uprzejmy poinformować mnie, że robię błędy i musiałam powtórzyć całą operację. Powiedział, że człowiek najlepiej uczy się na własnych błędach.

- To do niego podobne. Zawsze wykorzystuje do końca każde możliwe doświadczenie, nie myśląc o następstwach.

- Nie zawsze.

Coś w głosie Margaret kazało Ianowi podnieść na nią wzrok. Ze zdziwieniem zauważył, że się zaczerwieniła po nasadę włosów.

- Mam na myśli, że nie zawsze jest taki beztroski i niedbały - powiedziała prędko.

- Nie?

- Jego prace... - Urwała, po czym szybko kontynuowała. - Jest bardzo dokładny... -

Gwałtownie wstała. - Czas na twoją kolację. Pójdę po Tamara.

- Jeszcze nie jestem głodny.

- Ale będziesz. Musisz jeść.

- Margaret.

Zatrzymała się koło drzwi, zeszywniała.

- Tak?

- Poproś Kartauka, żeby zjadł z nami kolację.

Nie odwróciła się.

- Dlaczego?

Lęk. Bała się. Jego Margaret, która nigdy nie lękała się niczego, teraz się bała.

- Muszę podnieść moje szachowe umiejętności, a on już bardzo dawno z nami nie jadł.

Brak mi jego towarzystwa.

Zauważył, że mięśnie jej karku rozluźniły się.

- Był bardzo zajęty.

- Jeden wieczór może stracić. - Starał się, żeby jego głos był lekki. - Chcę mu podziękować za pomoc w robieniu mojej pieczęci.

- Powiem mu, ale nie mogę obiecać, że przyjdzie.

- Mam do niego napisać liścik?

- Nie! - Odwróciła się twarzą do niego. - Naprawdę chcesz go zobaczyć?

- Każdy lubi spotykać się z dobrymi przyjaciółmi - powiedział cicho. - A minęło już bardzo dużo czasu, Margaret.

- Dobrze, dopilnuję, żeby do nas przyszedł. - Odwróciła się i wyszła z pokoju.

Ian przestał się uśmiechać, opadł na poduszki, zamknął oczy i poddał się fali bólu.

Dobry Boże, dlaczego nie byłeś miłosierny? Margaret nie powinna nosić jeszcze tego krzyża.

Ale może się mylił? Może to nieprawda?

Dowie się, kiedy ujrzy ich razem.

Tamar, czy mógłbyś przynieść inną butelkę wina? - Ian skrzywił się i powrócił wzrokiem do szachownicy. - To mi nie odpowiada.

- Oczywiście, samir Ian. - Tamar natychmiast skierował się do drzwi. - Przykro mi, że nie zadowoliło pana. A może zamiast tego whisky? Wiem, że ją pan woli.

- Tamar, wiesz, że nie wolno mu pić whisky - powiedziała Margaret. - Doktor zabronił mu pić cokolwiek mocniejszego od wina.

- Nie powinien mu zabraniać whisky, skoro właśnie to lubi - odparł Tamar ze zmarszczonym czołem. - Whisky, samir Ian?

- Mnie to wino smakuje - powiedział Kartauk.

- Skoro samir Ian mówi, że jest złe, to jest złe - odpowiedział mu Tamar wojowniczo.

- Przynieś inną butelkę wina, Tamar - wtrącił szybko Ian.

Kiedy za służącym zamknęły się drzwi, Kartauk zachichotał.

- Dobry Boże, teraz rozumiem, co miałaś na myśli, Margaret. Czy on zawsze jest taki oddany, Ianie?

- Zawsze. - Ian posłał mu blady uśmiech. - Cinnidarianie są tak krępkim ludem, że potwornie się boją choroby. Tamar zapewne utopiłby się w morzu, gdyby miał zostać takim kadłubkiem jak ja. Nie widzi powodu, dla którego miałby odmówić od jakiegokolwiek przyjemności, żeby tylko przedłużyć mi życie.

Margaret zrobiła gniewną minę.

- Nie jesteś kadłubkiem, a on nie powinien był ci proponować...

- Ależ on tylko chciał mnie uszczęśliwić - przerwał jej Ian i zmienił temat. - Wiesz, Kartauk, Margaret rozwodziła się nad twoim mistrzostwem wykonania pieczęci Ruela, a ja nie wierzę, żeby była ona piękniejsza od mojej - powiedział, przesuając hetmana na szachownicy. - Słoń jest bardzo dobry, ale brakuje mu pewnej godności.

- Chcesz powiedzieć, że terminator jest bardziej utalentowany od mistrza? - Kartauk popatrzył na niego z uśmiechem ponad szachami. - To bluźnierstwo.

- Mówię tylko, że chciałbym sam ocenić. Pokaż mi tę cudowną pieczęć Ruela.

- Teraz?
Ian przytaknął.
- Pożera mnie ciekawość. Muszę ją zobaczyć.
- A więc pójdę i przyniosę ją z pracowni. - Kartauk zaczął wstawać z krzesła. - Wrócę za minutę.
- Nie, nie ty. - Ian odwrócił się w stronę Margaret. - Kochana, czy mogłabyś pójść i ją przynieść? Mam zamiar w ciągu kilku ruchów dać mata temu łotrowi.
- Jak chcesz. - Szybko podeszła do drzwi. - Ale rozczarujesz się. W porównaniu z pracą Kartauka moja pieczęć to ledwie dłubanka.
- Ty mnie nigdy nie rozczarowujesz, Margaret.
Kiedy zamknęły się za nią drzwi, przez chwilę w pokoju panowała cisza.
- No, pozbyłeś się już ich obojga - powiedział Kartauk, przesuwając królową. - Dlaczego chciałeś, żeby Margaret wyszła?
Ian z ulgą zdał sobie sprawę, że powinien był od początku wiedzieć, iż Kartauk zorientuje się - pieczęć to tylko pretekst. Dzięki Bogu, bezceremonialność rzeźbiarza dorównywała jego inteligencji.
- Była niespokojna. Dla niej to był wyjątkowo niewygodny wieczór. Biedna dziewczyna.
- Czyżby?
- Wiesz, że tak. - Ian patrzył na szachownicę, ale wyczuwał napięcie Kartauka. - I dlatego nie poproszę cię już więcej, żebyś mnie odwiedzał.
- A dlaczego poprosiłeś o to dzisiaj?
- Musiałem wiedzieć. Musiałem się upewnić.
Nagle stwierdzenie rysów Kartauka było tak świetnie maskowane, że Ian nigdy by go nie zauważył, gdyby na nie nie czekał.
- Co do czego?
Ian zawahał się, dobierając słowa.
- Nie mam nic przeciw temu. Och, na początku mnie to zabolalo. Kochałem ją przez całe życie i przywykłem do myślenia o niej jako o mojej własności. Pamiętam, jak spacerowałem z nią, wówczas ledwie dziesięcioletnią dziewczynką, po tym wzgórzu za zamkiem, i myślałem, że całe nasze życie będzie tak wyglądało. Przez całe życie będziemy razem. To były takie szczęśliwe czasy... - Urwał i uśmiechnął się z wysiłkiem. - Ale one się skończyły, prawda? Byłbym głupi, gdybym winił za to kogokolwiek poza losem i samym sobą. Margaret mnie nie opuściła; to ja ją opuszczam przez ostatnie lata.
Przez chwilę Kartauk milczał.
- Chyba powinienem zaprzeczyć.
- Żadnych kłamstw - powiedział Ian. - Proszę, żadnych kłamstw. Nie ma na to czasu.
- Żadnych kłamstw - powtórzył Kartauk i znów milczał jakiś czas, po czym powiedział z wahaniem: - Nie chciałem jej pokochać, ale nie żałuję tego.
- Nie powinieneś - odparł delikatnie Ian. - Miłość to rzadko spotykane uczucie. I piękne. Wzbogaca życie.
- Margaret nigdy nie była ci niewierna. - Kartauk wzruszył ramionami. - Nie jestem taki jak ty. Nie uważam przyjemności za grzech. Kiedyś... ale nigdy do tego nie doszło.
- Wiem, i nigdy nie dojdzie. - Ian podniósł wzrok z szachownicy. - To dobrze, że znasz prawdę. Margaret może cię kochać, ale nie opuści mnie, zanim nie umrę. - Skrzywił się. - A nie mogę obiecać, że to się szybko przytrafi. Nie umiem zmusić się do popełnienia grzechu śmiertelnego przez odebranie sobie życia, bo inaczej już dawno nie stałbym na drodze.
- Nikt nie chce, żebyś nie stał na drodze - powiedział mruklawie Kartauk.
- Oprócz mnie. - Ian uśmiechnął się smutno. - Co noc się o to modlę, ale nie chcą mnie zabrać. Nieważne. Najważniejsze to utrzymać Margaret w możliwie dobrym nastroju.
- Chcesz, żebym wyjechał z Cinnidaru?
- Oczywiście, że nie. Nigdy nie pozbawiłbym Margaret twojego towarzystwa. Rozśmieszaj ją dalej i dawaj jej zajęcie, chroń i kochaj, tak jak to robisz teraz. Ale muszę pozbawić tego siebie. Margaret jest tak pełna poczucia winy, że torturą dla niej jest, gdy obaj przebywamy w jednym pomieszczeniu. - Spojrzał Kartaukowi w oczy. - I nigdy nie może się dowiedzieć o naszej rozmowie. Zgadzasz się?

- Tak. - Kartauk powoli pokiwał głową. Zamrugał szybko i spuścił wzrok na szachownicę. - Jesteś dobrym człowiekiem, Ianie MacClaren. I dużo silniejszym, niż ja bym był w takiej sytuacji.

- Silny? Nie czuję się silny. - Ze znużeniem oparł się na poduszkach. - Staram się tylko zrobić, co się da, żebyśmy wszyscy mogli jakoś przetrwać. Nie pozwolę, żeby Margaret cierpiała bardziej, niż to konieczne... - Spojrzał na drzwi. - Wraca. - Szybko przesunął gońca i z uśmiechem zerknął na wchodzącą Margaret. - Szybka jesteś. Nie zdążyłem go pokonać. Pokaż mi tę pieczęć.

Wręczyła mu złotą pieczęć Ruela i stanęła obok, kiedy ją oglądał.

- Mówiłam ci, że jest dużo lepsza.

- Jest wspaniała. - Ian położył ją obok swojej pieczęci na łóżku. Wziął w rękę dłoń Margaret i przycisnął do niej usta. - Ale wolę tę, którą zrobiłaś dla mnie. Niech Ruel ma sobie swoje słonie. Moja gałązka wrzosu przypomina mi Glencaren.

18

Kiedy do obozowiska przy Ścieżce pozostały im tylko dwie mile, spotkali Dilam, która im wyszła na spotkanie. Na jej widok Jane się przeraziła.

- Co się stało?

Dilam posłała jej uśmiech.

- Nic. Praca idzie bardzo dobrze.

- To co tutaj robisz?

- Ciekawość. Zastanawiałam się... - Dostrzegła słońtątko na samach. - Ach, rozumiem. To Danora?

- Tak. Jego matka zdechła. Mały też zdechnie, jeśli szybko nie znajdziemy sposobu na dokarmienie go.

- Chyba znajdziecie. - Dilam przeniosła spojrzenie na Li Sunga. - To było mądre z twojej strony, że wysłałeś Danora przodem.

- Nigdzie nie wysyłałem tego diabła wcielonego - odparł sucho Li Sung.

- Przodem? - wtrąciła zdziwiona Jane.

- Zobaczysz. - Dilam zawróciła konia i poprowadziła ich w stronę obozowiska. Piętnaście minut później wychynęły z dżungli na polanę.

- Co do... - Jane zabrakło tchu, ściągnęła wodze Bedelii i rozglądała się rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

Słonie! Setki słoni, samce, samice, młode, wszystkie tłoczyły się na wyrębie.

- Wielkie nieba! - wyszeptwała słabo.

- Nadeszły o świcie - wyjaśniła Dilam. - Byliśmy przerażeni.

- Wyobrażam sobie!

Ruel przeszukiwał wzrokiem stado.

- Nie widzę Danora.

- Jest tam. - Li Sung niecierpliwie wskazał palcem. - Nie możesz go nie widzieć! Z tym poszarpanym uchem wyróżnia się jak szatan między aniołami!

Dilam uniosła ze zdziwieniem brwi.

- Wciąż usiłujesz pokonać *makhol*? Jesteś jeszcze bardziej uparty, niż myślałam.

- Co to jest *makhol*? - spytała Jane.

- Głupoty! - powiedział szybko Li Sung. - Dobrze, stado tu jest. A w jaki sposób pozbedziemy się teraz tego brzdąca i zabierzemy się do pracy?

- Wygląda na to, że Danor kontroluje sytuację. Może po prostu sprawdzimy, co on chce zrobić? - Ruel zsiadł z konia i odczepił konary, na których wspierały się sanie. - Chodź, Li Sung, zaciągniemy sanie do środka stada i zobaczymy, co się stanie.

- To się stanie, że obaj zostaniemy stratowani przez te bestie. - Li Sung zsiadł z konia. - A przynajmniej ja zostanę stratowany. Ty szybciej biegasz.

- Ja to zrobię - zaferowała się Jane.

- Nie! - odparł ostro Chińczyk. - To moje... - Urwał i potrząsnął głową. - Szaleństwo.

Kiedy Jane patrzyła, jak Ruel i Li Sung ciągną słońtątko na saniach w środek stada, sama nie była pewna, czy Li Sung nie miał racji. Pośród tych olbrzymich zwierząt byli obaj żałośnie mali i słabi, a słoniom najwyraźniej nie odpowiadała ta wizyta.

Zaczęły się niepokojąco tłoczyć wokół mężczyzn.

Jane nerwowo zacisnęła dłonie na wodzach Bedelii, kiedy zniknęli jej z oczu.

- Rozluźnij się - powiedziała miękko Dilam. - Zobacz, Danor.

Danor przedzierał się przez stado, rozpychając na boki inne słonie, aż stworzył coś w rodzaju wąskiej ścieżki, którą Ruel i Li Sung mogli wyjść poza stado.

Jane odetchnęła z ulgą, kiedy obaj dotarli wreszcie do skraju wyrębu.

- Co z Kalebem?

- Nie wiem - odparł Ruel. - Będziemy musieli poczekać i zobaczyć, co się stanie. Zauważyłem w stadzie co najmniej cztery karmiące samice, ale nie wyglądały na zbyt chętne do opieki nad sierotą. A nawet jeśli się na to zgodzą, małemu chyba nie starczy sił, żeby się podnieść i zacząć ssać. - Skrzywił się ponuro. - Może jednak będę musiał jechać po te kozy.

- Gdyby się tylko rozsunęły, żebym mogła coś dostrzec. - Jane nagle przyszła do głowy straszna myśl. - A co będzie, jeśli na niego nadepną? On nie może wstać. Zabiją go!

- Słonie z reguły troszczą się o swoje - pocieszyła ją Dilam. - A poza tym tam jest Danor.

Jane przeszukiwała nerwowo wzrokiem kłębiące się stado. Nie widziała ani Danora, ani słońiatka.

- Jest ich tak dużo, że...

Nagle wielki samiec, zasłaniający jej widok, usunął się na bok. - Jane dostrzegła wówczas znajomą małą figurkę w samym środku stada.

Słońiatko ssało.

Kaleb stał i wściekle ssał wymię niewielkiej, szaro-brązowej samicy. Jego nogi były wyraźnie niepewne, ale podtrzymywały go trąby Danora i innej słońicy.

- Wszystko będzie dobrze! - Twarz Jane błyszczała radością, kiedy zwróciła się do Ruela. - Będzie żył!

Ruel uśmiechnął się, widząc jej twarz.

- A najważniejsze, że nie muszę zostawać pastuchem kóz. Co za ulga! Z pewnością zrujnowałoby to moją reputację!

- Skoro już skończyliśmy z niańczeniem słonia, to może byśmy wrócili do pracy? - powiedział Li Sung. - Trzeba kłaść tory, póki jest widno.

Dilam przytaknęła.

- Zdążymy położyć jeszcze ćwierć mili przed zmrokiem. - Odwróciła się do Ruela. - Tamar jest w obozowisku. Przywiózł wiadomości od Medforda.

- Dlaczego mi od razu nie powiedziałaś? - spytał Ruel z marsem na czole.

- Byłeś zajęty. I to czymś, co wydawało mi się ważniejsze.

- Dla niej zawsze słonie są ważniejsze od ludzi - wtrącił zgryźliwie Li Sung.

- Idę z tobą - powiedziała Jane do Ruela i odwróciła się do Li Sunga. - Wrócę, jak tylko dowiem się, czego chce Medford.

- Nie muszę być pilnowany i niańczony, jak twój drogocenny słoń. - Oderwał wzrok od Danora i słońiatka i wsiadł z powrotem na konia. - Spotkamy się w obozie na kolacji. Do tego czasu, jeśli szczęście nam sprzyja, wszystkie te słonie wrócą tam, skąd przyszły.

Coś się stało? - powiedziała Jane na widok miny Ruela, wracającego do niej po rozmowie z Tamarem.

- Czy chodzi o kolej? Czy Medford ma jakieś kłopoty? - Nie, ale my możemy mieć więcej kłopotów, niż zdołamy unieść. Medford właśnie dostał wiadomość od Pickeringa. Maharadża nie żyje.

- Nie! Tak szybko?

- Pickering podejrzewa, że Abdar mógł przyspieszyć jego zgon, ale nie byłoby mądrze tego sugerować, kiedy Abdar jest u władzy,

- Natychmiast tutaj wyruszy?

Ruel pokręcił głową.

- Zanim Abdar zasiądzie na tronie, musi upłynąć trzymiesięczna żałoba. Do tego czasu Abdar nie ma więcej władzy niż dotąd. Potem możemy mieć jeszcze nawet miesiąc lub dwa spokoju, zanim zwróci swą uwagę na nas, ale nie możemy na to liczyć.

- Trzy miesiące - mruknęła Jane. - W żaden sposób nie zdołam wybudować linii w takim

czasie.

- To musi być zrobione w dwa miesiące - powiedział stanowczo Ruel. - Będę potrzebował jednego miesiąca na wysłanie złota i ufortyfikowanie portu.

- To niemożliwe.

- Musi być zrobione. Medford prawie skończył swoją część linii. Każę mu kłaść tory w kanionie. - Zmarszczył brwi w głębokim namyśle. - Zamknę kopalnię, przeniosę robotników na torowisko i sam ich będę nadzorował. Czy w ten sposób będzie to możliwe?

- Możliwe, ale nieprawdopodobne. Dalej dżungla jest dużo gęstsza. Wzdłuż szlaku trzeba będzie bardzo dużo karczować.

- Ściągnę dodatkowe siły z wioski.

- To wciąż może być za mało.

- Ale to musi być zrobione, Jane! Mogę stracić wszystko, na co harowałem przez te wszystkie lata! - Spojrzał jej prosto w oczy. - Potrzebuję twojej pomocy. Pomożesz mi?

Nigdy nie przypuszczała, że ją kiedykolwiek o coś poprosi. Zawsze żądał, nie prosił. Teraz nie próbował nawet używać tego hipnotyzującego czaru, który stanowił jego najgroźniejszą broń. Po prostu wyjawiał swoje potrzeby. Kochał tę wyspę. Była dla niego domem. Patrząc na niego, Jane odczuła dziwną potrzebę wsparcia go. Do cholery! Nie pozwoli przecież Abdarowi, żeby mu zrobił krzywdę czy zabrał mu dom!

- Zobaczą, co się da zrobić. - Odwróciła się i poszła do namiotu. - Chodź ze mną. Musimy obejrzeć mapę. Tuż przed nami, na wprost, jest bagno, które miałam zamiar ominąć. To koszmar poszukiwać na bagnie twardego podłoża, na którym da się położyć tory i pracować w błocie, ale jeśli przetniemy bagna zamiast je omijać, zyskamy siedem mil. To by mogło pomóc, co?

- Siedem mil by cholernie pomogło!

- Więc bierz swoją brygadę i zacznij kłaść tory poniżej bagna, a ja, Dilam i Li Sung będziemy się przedzierać przez moczary. Jeśli zdołamy...

- Jane.

Spojrzała na niego.

- Tak?

Uśmiechnął się tym rzadko na jego twarzy goszczącym, pięknym uśmiechem.

- Dziękuję.

Jego słowa też były piękne i napełniły ją niebezpiecznym poczuciem szczęścia. Uniosła połą namiotu.

- Nie ma za co. - Skrzywiła się. - Na razie. Nie jestem pewna, czy będę równie wspaniałomyślna, kiedy zaczniemy się przedzierać przez bagno.

Dlaczego nie odchodzą? - spytał Li Sung, patrząc z rozdrażnieniem na słonie stojące wśród drzew. - Przecież to trwa już ponad tydzień, ciągle idą za nami jak wierne psy.

Jane posłała mu uśmiech.

- Dilam mówi, że Danor cię lubi. *Makhol*.

Chińczyk spojrzał na nią spod oka.

- Już ci opowiedziała te głupoty?

- Albo tęskni za swoją samicą.

- To niech sobie znajdzie inną i da mi spokój.

- Myślę, że Dilam ma rację. Z jakiego innego powodu Danor miałby trzymać stale stado w pobliżu? I ciągle na ciebie patrzy.

- Może czeka na sposobność, żeby mnie wprasować w błoto. - Skrzywił się. - Chociaż i tak by nic nie zmienił. Od trzech dni jestem cały w błocie od stóp do głowy.

- Tak jak my wszyscy. - Jane ze znużeniem otarła pot z czoła i rozejrzała się wokół. Robotnicy z trudem utrzymywali równowagę w śliskim błocie po obu stronach torowiska. - Jeszcze jedna mila i będziemy to mieli za sobą. - W zadumie przeniosła wzrok na oddaloną o pół mili rzekę. - Wspaniale będzie wieczorem zeskrobać z siebie tę skorupę.

- To jeszcze pięć godzin. - Li Sung ostrożnie przeszedł wzdłuż szyn, mierząc szerokość toru.

- Mam nadzieję, że wyjdziemy z tego bagna, zanim... Co, do...

Stracił równowagę, nogi wyslizgnęły się spod niego i upadł. Zanim się zorientował, zsunął

się bezradnie po oślizgłym nasypie do pełnego błota rowu.

Niezdarnie wygrzebał się na powierzchnię, wypluwając mieszankę chińskich i angielskich przekleństw, cały pokryty grudami żółtawego błota.

- Nic ci się nie stało? - zawołała Jane. Podłoże było tak miękkie, że nie spodziewała się, aby odniósł jakieś obrażenia. Boże, nie wolno jej się roześmiać. Li Sung by ją za to zabił.

Ale nie mogła się powstrzymać. O nieba, ależ śmiesznie wyglądał.

- Przestań rechotać! - W twarzy Li Sunga tylko czarne, jarzące się oczy błyszczały spod warstwy błota. Spojrzał na Cinnidarian, którzy przerwali pracę, żeby pośmiać się z jego kłopotów. - Wy też! To nie jest... Nie! Zabierzcie go ode mnie!

Danor nagle pojawił się obok i z tupotem zbiegał po śliskim nasypie do Li Sunga.

Rozbawienie Jane znikło.

- Dobry Boże! Co on robi?!

Danor owinał trąbę wokół Li Sunga i wyciągnął go z rowu.

- Puść mnie, ty gruboskórny pawianie! - wykrzyknął Li Sung, bezskutecznie usiłując uwolnić się z uścisku Danora. - Dilam!

- Jestem tutaj! - zawołała do niego Dilam, podbiegając wzdłuż torowiska.

- Ale nic nie robisz! Podobno wszystko wiesz o słomach! Każ mu...

- On cię nie skrzywdzi. - Zmarszczyła czoło. - Chyba.

Danor odwrócił się i pobiegł przez nasyp i bagno tak szybko, że jego ciężkie cielsko nie zdążyło zapadać się w miękkim gruncie.

- Jane! - wrzeszczał Li Sung. - Zastrzelisz wreszcie tego potwora?

Jane znowu się niepowstrzymanie śmiała.

- Przecież ci nie robi krzywdy. Chyba nie chcesz, żebym go zabiła tylko za naruszenie twojej dumy.

- Właśnie, że tak! - Jego słowa doleciały do Jane z daleka, bo Danor właśnie się rozpędział.

- Puść mnieeee!

Jane już wiedziała, dokąd Danor zmierza i ruszyła za nim biegiem, a jej wysokie buty zapadały się w błoto przy każdym kroku. - Nie bój się! Chyba niedługo cię puści!

- A potem nadepnie mi na głowę?!

Jane nie mogła złapać oddechu - ze śmiechu i od biegu.

- Nie! - wysapała. - O to się raczej nie musisz martwić.

Danor zatrzymał się na brzegu rzeki i... wrzucił Li Sunga do wody.

Chińczyk wypłynął plując i klnąc. Danor sięgnął trąbą, wciągnął do niej wodę i opryskał nią twarz Li Sunga.

- On próbuje mnie utopić!

- Nie! - Jane zachłystywała się każdym oddechem, płacząc ze śmiechu. - Po prostu cię kąpie!

- Durna bestia! - Li Sung uderzył płaską dłonią powierzchnię wody, ochlapując słonia.

Danor natychmiast znów go spryskał.

- To jest... - Li Sung popatrzył na Jane, potem na słonia i nagle jego złość zniknęła, a usta zaczęły się wykrzywiać. - Zupełnie niesprawiedliwe. - Uśmiech zmienił się w chichot. - Ja nie mam takiego potwornego nosa, którym można nabierać wody.

Trąba Danora opasała ramiona Li Sunga i zaczęła się delikatnie przesuwac w górę i w dół. To była niemal miłosna pieśczoć. Jane przypomniała sobie, jak Danor dotykał swego syna tej nocy w dżungli.

Twarz Li Sunga zastygła w dziwnym wyrazie. Stał bez ruchu z głową przechyloną tak, jakby czegoś nasłuchiwał.

- No, dobrze, przebaczam ci - powiedział niechętnie. - Ale tylko dlatego, że potrzebna mi była kąpiel. - Skrzywił się. - I śmiech. Lepiej się teraz czuję. - Odwrócił się i zaczął się gramolić do góry.

- Ja też. - Jane wyciągnęła rękę i pomogła mu wejść na brzeg. - Teraz zachód słońca nie wydaje mi się już taki odległy.

Li Sung obejrzał się na słonia, ale Danor już ich kompletnie ignorował, opryskując się wodą.

- Samolubna bestia. Zobacz, jak mu dobrze. Nie musi harować od wschodu do zachodu

słońca.

Jane zauważyła, że w jego słowach - mimo ich treści nie ma niechęci, z jaką Li Sung zwykle mówił o Danorze. Zupełnie jakby kąpiel w rzece zmyła z jej przyjaciela coś więcej, nie tylko błoto.

Li Sung przyjrzał się jej i zmarszczył brwi.

- Z czego się teraz śmiejesz?

Jane ruszyła przez bagno w stronę torowiska, na którym czekała na nich Dilam z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Naprawdę się śmiałam?

Danor znów tam był, stał w cieniu drzew po drugiej stronie wyrębu.

Li Sung odwrócił się na drugi bok i naciągnął koc na głowę, rozmyślnie ignorując słonia.

Ta głupia bestia może sobie tam stać całą noc, tak samo, jak poprzednie trzy. Nie będzie na niego zwracał uwagi. Potrzebuje snu.

Słoń wciąż go obserwował.

Li Sung zaklął i odrzucił koce. Pokuśtykał obok śpiących robotników w stronę Danora.

- Idź sobie!

Słoń podszedł o krok bliżej.

- Nie masz nic lepszego do roboty? Musisz mnie ręczyć? Idź, zajmij się swoim synem albo czymś innym!

Z głębi gardła Danora dobiegł niski, miękki dźwięk.

- Nie chcę cię! Co mi po słoniu?

Danor wyciągnął trąbę i delikatnie, pieszczotliwie dotknął jego policzka.

- Przestań! - Li Sung cofnął się o krok.

Słoń podszedł bliżej, pieszczotliwie przesuwając trąbę po ciele Chińczyka.

Wspólnota. Czulość. Spokój. Li Sung przymknął oczy, kiedy opadły go te same uczucia, jakich zaznał wtedy w rzece.

- Nie chcę... - Zamilkł z westchnieniem rezygnacji. - Ale przecież ciebie nie obchodzi, czego ja chcę. Może zresztą ty też tego nie chcesz? Może tęsknisz za swoją samicą? Zobaczmy, może nam się uda znaleźć dla ciebie inną? - Dotknął trąby Danora. Była szorstka i skórzasta, ale dziwnie przyjemna. Jakby dotykał pnia drzewa, wyhodowanego w ukochanym ogrodzie. - Dobrze, możemy być przyjaciółmi. Całkiem możliwe, że znajdziemy jakiś wspólny... Nie!

Został uniesiony wysoko i po chwili posadzony na grzbiecie słonia.

- Tego już za dużo! Nie miałem ochoty...

Wspólnota, więź i coś jeszcze...

Moc.

Jeszcze nigdy nie czuł się tak silny i spełniony.

Danor ruszył powoli przez wyręb w stronę stada. Jego krok był płynny, niemal toczący. Li Sung z rozbawieniem stwierdził, że nie czuje bólu, jakiego doświadczał jadąc na koniu czy mule. Jego chroma noga była uniesiona i zwisiała pod takim kątem, że w ogóle jej nie napinał. Poczul się znów taki zdrowy jak w dzieciństwie, zanim został kaleką.

Przeszyło go dziwne, dzikie rozradowanie. Uniósł twarz i poczuł, jak wiatr dotyka jego policzków, a coś innego dotyka jego duszy. *Makhol*. Teraz nie wydawało mu się to już tak szalonym pomysłem. Nie wiedział, jakiego rodzaju więź ich łączy, ale wiedział, że jeszcze nigdy nie był bardziej zadowolony czy ożywiony niż w tej chwili.

Jane! Obudź się!

Jane uświadomiła sobie sennie, że to głos Li Sunga, ale było w nim coś dziwnego...

- Jane!

Obudziła się zupełnie, wyskoczyła z posłania i dobiegła do wejścia do namiotu.

- Co się stało?! Czy to...

Li Sung siedział na grzbiecie Danora o kilka stóp od jej namiotu.

- Li Sung! - szepnęła.

- Chciałem się z tobą podzielić - powiedział po prostu.

Nie musiała go pytać, co postanowił z nią dzielić. Wszystko to było w jego twarzy - radość, podniecenie...

- Jak to się stało?

- Danor. - Poklepał głowę słonia. - On jest bardzo uparty.

- Zauważyłam. Chyba ci tam bardzo wygodnie na górze?

- To do niczego nie po... - Urwał. - Nie umiem wytłumaczyć.

- Nie musisz. - Uśmiechnęła się. - *Makhol*.

Szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz i nagle Li Sung wyglądał jeszcze młodziej niż ten chłopak, który tak dawno temu przyszedł do namiotu Frenchiego.

- *Makhol*. - Dotknął lewego ucha Danora i słoń odwrócił się od namiotu Jane. - Uczymy się rozpoznawać nawzajem, ale możliwe, że zostanę tu przez całą noc. - Skrzywił się. - Jeszcze nie wymyśliłem, jak mu powiedzieć, że chcę zejść...

Jego słowa cichły, kiedy Danor oddalał się na drugą stronę wyrębu, do stada.

Jane długo odprowadzała go wzrokiem, zanim spuściła połę namiotu i wróciła na posłanie. Jutro jest znowu męczący dzień, trzeba się wyspać. Cieszyła ją radość Li Sunga. Jak mogła się nie cieszyć, skoro znalazł coś, dzięki czemu tak wygląda? Przecież nic się nie zmieniło. Jak na starego przyjaciela przystało, przyszedł do niej podzielić się szczęściem.

To było głupie, ale miała bolesne poczucie utraty czegoś na zawsze.

Nie możesz tego zrobić! - powiedział stanowczo Pachtal.

- Oczywiście, że mogę. - Abdar uśmiechnął się. - Jestem maharadzą.

- Jeszcze nie zostałeś koronowany. Minie jeszcze miesiąc, zanim będziesz mógł iść na Cinnidar.

- Nie mogę czekać. Twój informator powiedział, że linia kolejowa jest bliska ukończenia. Czy mam czekać, aż MacClaren będzie miał środki na fortyfikacje? - Abdar odwrócił się i spojrzał na zawieszane na ścianach maski. - Każę Benaresowi spakować maski - mruknął.

- Bierzesz je ze sobą? - spytał Pachtal. - Wszystkie?

- Oczywiście. Benares też musi pojechać, na wypadek gdybym na Cinnidarze spotkał kogoś wartego uwagi Kali. Potrzebuję mocy do pobicia MacClarena.

- Potrzebujesz armii.

Abdar zmarszczył brwi.

- Nie dowierzasz potędze Kali?

- Dowierzam - odparł szybko Pachtal. - Tylko uważam, że szybciej odniesie zwycięstwo mając wsparcie.

- Zgadzam się. - Czoło Abdara się wygładziło. - Będziemy mieli armię.

- Kiedy już zasiądziesz na tronie.

- Dlaczego się ze mną kłócisz? Myślisz, że nie zdaję sobie sprawy z trudności? Wymyśliłem sposób na rozwiązanie tego problemu. - Uśmiechnął się. - Czy nie widzisz, jakie spustoszenie wywołała we mnie żalność po śmierci mojego ojca? Mój lekarz jest tak zatroskany, że nalega, abym wyjechał z miasta i zmienił otoczenie.

Pachtal czekał w milczeniu na ciąg dalszy.

- Ogłosimy pograżonym w żalobie poddanym mojego ojca, że jadę do Narinth, do letniego pałacu, żeby podreperować zdrowie.

- A armia?

- W mojej podróży będę potrzebował dużej eskorty. Wszyscy wiedzą, że brytyjski pułkownik o niczym bardziej nie marzy, jak o znalezieniu sposobu na pozbawienie mnie władzy. Jeśli dopadniemy MacClarena z zaskoczenia, wystarczy nam kilkudziesięciu żołnierzy. Każ przygotować statek do wypłynięcia w dół rzeki.

- Ale czy ci żołnierze będą słuchali twoich rozkazów, kiedy dowiedzą się, że bezprawnie skrucasz okres żałoby i zamiast do Narinth jedziesz na Cinnidar?

- Och, myślę, że tak. Wytłumaczy się im, że jak wrócimy z Cinnidaru, minie akurat miesiąc i będę miał pełne prawo zasiąść na tronie. - Urwał. - I ukarać każdego, kto mi uchybi.

- To może się udać - powiedział powoli Pachtal.

- To się uda. Ten plan zesłała na mnie boska Kali, a ona nie może się mylić.

- A co będzie, jeśli Pickering przewidzi twój plan? On nie jest głupi.

- Nie mogę martwić się wszystkim. Wierzę, że Kali zajmie się Pickeringiem. - Uśmiechnął się do Pachtala. - Muszę zaufać Kali... i mojemu przyjacielowi, Pachtalowi.
- Żartujesz - odparł przestraszony Pachtal. - Nie mogę zabić Anglika.
- Nie chodzi mi o jego śmierć. Zaledwie o tymczasową niedyspozycję żołądkową, która nie pozwoli mu przez kilka tygodni zajmować się tym, co robię. Czy to jest możliwe?
Pachtal uśmiechnął się szeroko.
- Całkowicie.

Dlaczego jesteś taka milcząca? - spytał Ruel, napełniając kawą kubki i siadając przed Jane obok ogniska.

- Nie mam nic do powiedzenia. - Wypiła kawę, wpatrując się w płomienie. Była świadoma zwykłego gwaru rozmów w *candmarze*, ale czuła się dziwnie daleka od tego. - Czy ciągle muszę gadać?

- Nie cały czas. Tylko wtedy, kiedy coś jest nie tak. Okropnie nie lubię widzieć, że coś cię gryzie i nie wiedzieć, co to jest. Czy chodzi o mnie?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Jasne, że wiesz, do cholery! - powiedział szorstko. - Co zmalowałem?

- Nic.

Ruel położył rękę na jej dłoni. Ciepły, twardego dotyku jego ciała zmusił ją do spojrzenia na niego.

- Tak już lepiej - powiedział. - Przynajmniej na mnie spojrzałaś. A teraz zacznij ze mną rozmawiać. Zaharowywałaś się dla mnie, kładąc ten pieprzony szlak, ale od trzech dni nawet się do mnie nie uśmiechnęłaś.

- Nie wiedziałam, że uśmiechanie się jest wymagane.

- Nie jest. Po prostu mi go brak. - Odwrócił jej dłoń i zaczął rysować wyimaginowane wzory na jej wewnętrznej stronie. - Twój uśmiech mnie... ogrzewa.

Popatrzyła na niego z lękiem w oczach.

- Ruel...

- Myślałem, że już jest lepiej. Czy muszę się wyprawić po następne słońce i przywlec je tutaj, żebyś się do mnie uśmiechnęła?

Ruch jego palca po wnętrzu dłoni wywołał mrowienie w nadgarstku i ramieniu. Przypomniała sobie, że tak samo jej dotykał, kiedy siedzieli obok siebie na werandzie w Kasaanpurze. Gładził jej dłoń i mówił o Cinnidarze... i obrazku w wagonie maharadży.

Poczuła, że na jej policzki wypływa rumieniec. Przecież klęczała przed nim w letnim domku, jak ta kobieta na obrazku. Czuła go w sobie, jego ręce pieściły jej ciało i kopulowali jak zwierzęta w rui, nie mogące się sobą nasycić. Erotyczne wspomnienie pojawiło się nagle, tak silne i namacalne, jakby obok nich usiadła jeszcze jedna osoba. Jane niemal czuła, jak dłonie Ruela ujmują jej piersi, a jego członek wnika w nią głęboko...

Próbowała wyrwać dłoń, ale Ruel mocno zacisnął rękę.

- Nie. - Spojrzał jej w oczy. - Pozwól mi się dotykać. Muszę jakoś się do ciebie zbliżyć.

Jane pomyślała rozpaczliwie, że zbliża się aż za bardzo. Przez ostatnie dni był po prostu towarzyszem i sprzymierzeńcem, odsuwając wszelkie przejawy fizycznego pociągu, ale teraz znów czuła zmysłowość, która tak bardzo z nim się wiązała.

- Gdyby istniał jakiś inny sposób, nie robiłbym tego - powiedział cicho. - Nie tego chcę dla nas. - Zaśmiał się dziwnie. - Poprawka. Chcę tego jak cholera. Po prostu to nie wszystko, czego chcę, a obawiam się, że przeraziłbym cię, gdybym sobie to po prostu wziął. - Przesunął palce i gładził cienką skórę jej nadgarstka.

Ciało Jane przeszył gorący dreszcz,

- Puść mnie, Ruelu.

- Dlaczego? - Rozejrzał się po tłumie robotników zebranych wokół ogniska, nie przerywając muskania jej delikatnej skóry. - Nikt nie zwraca uwagi. Cinnidarianie ciągle się dotykają.

Wiedziała, że to prawda i że pieszczoty Ruela dla większości z nich są w ogóle niezauważalne, jako że ich dłonie kryły się pomiędzy nimi. Ale ta świadomość nie pomogła jej pozbyć się poczucia obnażenia.

- Poza tym przecież to lubisz. I chcesz tego. Przyjdę dziś w nocy do twojego namiotu. Będzie ci...

Li Sung dosiadł się do nich.

- Muszę z wami o czymś pogadać.

Jane odetchnęła z ulgą, kiedy Ruel cofnął dłoń z jej ręki.

Rzucił jej pełne smutku spojrzenie. Podniósł swój kubek z kawą i zwrócił wzrok na Li Sunga.

- Mów.

- Chyba wymyśliłem sposób na przyśpieszenie budowy - powiedział Chińczyk.

- Jaki?

- Wykorzystując słonie - odparł Li Sung. - Spadek tempa naszej pracy jest teraz spowodowany kłopotami z wyrębem. A w Kasanpurze czasami korzystano ze słoni do zwalaki.

- Dzikich?

- Nie, takich, które przez lata były tresowane przez swoich opiekunów, *mahoutów*. Ale rozmawiałem o tym z Dilam i ona też uważa, że jeśli zdołam nakłonić Danora do powalania tych drzew, które chcę powalić, to reszta stada pójdzie za nim. Skoro i tak muszą jeść ogromne ilości liści, możemy równie dobrze poprowadzić je tam, gdzie nam to odpowiada.

Ruel popatrzył na Jane.

- Myślisz, że to się uda?

- Muszę nad tym pomyśleć. Zaskoczyło mnie tak samo jak ciebie. Li Sung nie wspominał mi o tym planie.

- Zapomniałem - odparł niezbyt przytomnie Li Sung. - Jeśli ty i Jane połączycie brygady, Dilam i ja będziemy mogli zabrać słonie i pójść przodem, oczyszczając trasę kolei stąd do ściany kanionu.

- Tylko wy dwoje?

- Będę potrzebował do pomocy trzech cinnidariańskich poganiaczy słoni. To by było niebezpieczne, gdyby za dużo ludzi kręciło się w pobliżu tak wielu niekontrolowanych słoni.

Ruel zwrócił się do Jane.

- No, jak myślisz?

- Można spróbować - odparła powoli. - Jeśli tylko zdołamy nakłonić Wysoką Radę Cinnidaru do oddania nam *mahoutów*.

- Oddadzą. - Li Sung uśmiechnął się z zadowoleniem. - Wczoraj wieczorem byłem w wiosce Dilam i rozmawiałem z nimi. Poganiacze będą tu jutro.

- Dziwię się, że tak łatwo ulegli - powiedział Ruel. - Bardzo dbają o bezpieczeństwo swoich ludzi.

Li Sung wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Postarałem się o dobre *entrée*. Wjechałem do wioski na Danorze. Byli pod wrażeniem.

- No cóż, chyba kontrolujesz sytuację. - Jane uśmiechnęła się z wysiłkiem. - To dobry pomysł. Zobaczmy, czy się uda.

- Uda się. - Li Sung wstał. - Pójdę powiedzieć Dilam, że się zgadzacie.

- Dobrze. - Ruel z uśmiechem odprowadził go wzrokiem, po czym cicho powiedział do Jane: - Chyba i tak by to zrobił. Nasz Li Sung się zmienia. Już nie będzie stał w twoim cieniu.

- Nigdy nie był w moim cieniu - zaprotestowała.

- Nie?

- Nigdy tego nie chciałam... - Urwała i dodała z lękiem: - Czyżbym mu dawała to odczuć?

Ruel pokręcił głową.

- Nie, pozostawał w nim, bo nie czuł potrzeby wychodzenia... aż do teraz.

Jane patrzyła, jak Li Sung w poprzek polany podchodzi do miejsca, gdzie Dilam siedziała z grupą Cinnidarian. Ruel miał rację, ogromnie się zmienił w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Zmienił się nawet jego sposób poruszania. Choć wciąż utykał, jego krok był szybszy i pewny siebie. Kiedy zatrzymał się obok Dilam i zaczął mówić, jego twarz wyrażała zdecydowanie i miała w sobie znacznie więcej humoru niż kiedykolwiek przedtem. Ten Li Sung nie byłby zadowolony ze stania w niczyim cieniu.

Spojrzała w głąb swojego kubka.

- Cinnidarianie uważają go za jakiegoś czarownika, od kiedy go widzieli na grzbiecie Danora.

- Moc - wyjaśnił Ruel, wciąż wpatrując się w Chińczyka. - Myślę, że słoń udzielił mu swojej mocy, ale teraz Li Sung już wie, że jej nie potrzebuje.

- Co przez to rozumiesz?

- Odnalazł moc w sobie. - Ruel nagle zachichotał. - O Boże, alez wygłaszam drobnomieszczkańskie mądrości! Ale to prawda. W każdym razie on może być zaproszony do udziału w Radzie wcześniej ode mnie.

- Bardzo możliwe. - Jane chlusnęła, resztką kawy płomienie ogniska i nagle wstała. - Idę do namiotu.

Uśmiech Ruela zbladł.

- Nie musisz przede mną uciekać. Jestem zbyt dużym oportunistą, żeby nie wiedzieć, że nic więcej już dzisiaj nie zdziałam. Nie zaczynałbym nawet, gdybym nie chciał się dowiedzieć, dlaczego jesteś na mnie zła.

- Nie jestem na ciebie zła! - wybuchła. - Nie wszystko w moim życiu kręci się wokół ciebie! Są inne rzeczy, które... - Odwróciła się na pięcie. - Dobranoc.

- Inne rzeczy? Jakie inne... - Zawahał się. - Dobranoc.

Jane czuła na plecach jego pełen zadumy wzrok, póki nie zniknęła w cieniu namiotu.

Cień. Przypomniały jej się słowa Ruela o Li Sungu. Nigdy nie chciała trzymać Li Sunga w swym cieniu. Zawsze chciała dla niego słońca i szczęścia. Chciała mu dać wszystko, czego pragnął.

Ale on już niczego od niej nie potrzebował, sam umiał zdobyć wszystko, czego chciał.

Będzie musiała się po prostu przyzwyczaić do tego nowego Li Sunga.

Niewiarygodne. - mruknął Ruel, obserwując Danora, który wparł czoło w pień młodego drzewa i nacisnął. - Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Zdumiewające...

Danor nacisnął jeszcze raz i drzewo poruszyło się, z ziemi wysunęły się jego korzenie i po chwili przewróciło się z trzaskiem.

Jane pokiwała głową.

- Wygląda na to, że Li Sung potrafi zrobić z tym słoniem wszystko. Chyba będziemy w stanie oddać ci tę kolej w ciągu dwóch miesięcy. Doszliśmy już do pięciu mil dziennie. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Naprawdę jestem zadowolona.

- Naprawdę?

Odwróciła się i ujrzała, że Ruel wpatruje się w jej twarz.

- Czyżbyś wątpił?

- Tak. To znaczy, jestem pewny, że jesteś zadowolona z przyśpieszenia robót, ale jest coś, co ci nie pasuje.

- Na przykład co?

- Li Sung - odparł miękko Ruel. - On już cię nie potrzebuje.

Przeszył ją ból.

- Nigdy mnie nie potrzebował. Zawsze był niezależny.

- Nie aż tak. Miał w tobie oparcie przez zrozumienie i wspólnotę uczuć.

- Wciąż jesteśmy przyjaciółmi. Przyjaciele zawsze się potrzebują.

- On oszalał na punkcie tego słonia, a u Cinnidarian znalazł taką akceptację, jakiej nie miał nigdy u nikogo.

- Wiem. - Jej głos był szorstki i musiała przełknąć, zanim dokończyła: - I cieszę się z tego.

- On już nie zechce porzucić ani tego słonia, ani tych ludzi. Kiedy opuścisz Cinnidar, będziesz musiała pojechać sama.

- Co cię zapewne cieszy.

- Tak, rzeczywiście - przyznał Ruel. - Bo skoro Li Sung tu zostanie, będziesz miała jeszcze jeden powód, żeby nie odjeżdżać po ukończeniu linii.

- Nie mogę zostać.

- Możesz zrobić, co chcesz. - Uśmiechnął się. - Po prostu chciałbym, żeby twoje życzenia były zbieżne z moimi. A mam cichą nadzieję, że spełnienie jest co dzień bliższe.

Było. Od tego wieczora przy ognisku nie dotknął jej więcej, ale pracowali razem, jedli razem, zmierzali do wspólnego celu. Ruel był zawsze obok, pomagał jej, zachęcał, dzielił jej kłopoty i zwycięstwa. Czasami był jej tak bliski, że wydawało się, że są jedną osobą. Spróbowała zmienić temat.

- Miałaś ostatnio wiadomości od Medforda?

- Dziś rano. Doszedł już prawie do dna kanionu. Będzie tam za dwa, trzy dni. - Poszukał spojrzeniem jej twarzy. - Wyglądasz na zmęczoną. Dużo ostatnio wypoczywałaś?

- Wystarczająco.

Ruel zaklął.

- Powiedziałaś, że wyprzedzamy harmonogram. Więc pozwól, żebyśmy na jakiś czas przejęli od ciebie kierownictwo.

- Abdar będzie...

- Pozwól, że ja się będę o niego martwił.

Pokręciła głową.

Ruel obrzucił ją rozdrażnionym spojrzeniem.

- Cholera, ależ jesteś uparta!

Zawrócił Nuggeta w stronę budowy i przynaglił go do galopu, pozostawiając ją w chmurze pyłu.

Przyjechał z powrotem po południu, ciągnąc za sobą Bedelię.

- Chodź! - powiedział do Jane. - Mam ci coś do pokazania. - Czy to nie może poczekać? - spytała, ocierając rękawem pot z czoła. - Jeszcze parę godzin do zmierzchu.

- Nie może - odparł. - Powiedziałem już Dilam, żeby nadzorowała robotników do końca dniówki.

- Ale ona jest potrzebna Li Sungowi przy słoniach.

- Chodź - powtórzył stanowczo. - Teraz.

Było jasne, że nie da się przekonać. Jane wsiadła na Bedelię.

- Co się dzieje? Dokąd jedziemy?

- Zobaczysz. - Ruszył przodem, kierując się na południe. - Jedź za mną.

Z początku myślała, że Ruel zabiera ją na wyrąb, gdzie byli tego ranka, ale wcześniej skręcił na wschód i pojechał ścieżką przez dżunglę. Dwadzieścia minut później wychynęli na brzeg jeziora.

- No, jesteśmy. - Zatrzymał Nuggeta w cieniu drzewa i zeskoczył z siodła. - Zsiadaj!

- Gdzie jesteśmy? - spytała obojętnie, rozglądając się wokół. Gdzie nie zwróciła spojrzenia, wszędzie było pięknie i kolorowo. Szkarłatne maki pokrywały brzegi, a po drugiej stronie jeziora pomarańczowe kwiaty kwitnących drzew rzucały płomienne refleksy na chłodną, spokojną, niebieską wodę. Niedaleko od tej pomarańczowej feerii dwadzieścia czy trzydzieści słoni leniwie baraszkowało w jeziorze. - Nie rozumiem. Co takiego mam zobaczyć?

Obszedł Bedelię i zdjął Jane z siodła.

- Kwiaty, wodę, ptaki, słonie. - Zdjął z siodła Nuggeta koc i rozłożył go na ściółce. - I mnie.

- Sprowadziłeś mnie, żebym sobie pooglądała krajobraz?

- Sprowadziłem cię, żebyś odpoczęła. Odpoczywaj.

- Nie chcę.

- A mimo to odpoczywaj. - Spojrzał jej w oczy. - Nie musisz się mnie obawiać. Tamtego wieczora byłem zdesperowany. Myślałem, że gdzieś po drodze popełniłem błąd i wszelkimi sposobami próbowałem odzyskać stracony teren. Nawet wtedy wiedziałem, że to nie jest najlepszy sposób. - Zanim zdążyła odpowiedzieć, odwrócił się i wskazał stado słoni po drugiej stronie jeziora. - Widzisz kogoś znajomego?

Podążyła zniecierpliwionym spojrzeniem za jego gestem.

- Codziennie widzę słonie. Nie muszę tu przychodzić, żeby... - jej oczy rozszerzyły się, kiedy dostrzegła to, co chciał jej pokazać. - Kaleb!

- Kaleb - potwierdził.

- Nie widziałam go od naszego powrotu!

- Dilam powiedziała, że samice często oddzielają się od samców, a Kaleb musiał przecież

zostać ze swoją przybraną matką. Wytropiłem go w zeszłym tygodniu.

- Po co?

- Wpadłem we własną pułapkę. Zaopiekowałem się nim. - Uśmiechnął się blado. - Teraz należy do mnie. Powinnaś to zrozumieć.

- Urósł - powiedziała miękko. Zaśmiała się, ujrawszy, że opryskał wodą innego słonia. - Już nie jest taki potulny.

- Nie masz ochoty go chwilę pooglądać? - spytał przymilnym tonem. - Cóż to jest parę godzin?

Powinna wracać. Znów spojrzała na Kaleba.

- No, może przez chwilę. - Usiadła na kocu i otoczyła rękami kolana. - Śmieszny, prawda?

Ruel usiadł obok niej, blisko, ale nie dotykając jej.

- Bardzo śmieszny.

Z upływem czasu Jane poczuła, że opada z niej napięcie. Trzy dzikie pawie z niebieskimi piórami na piersi poderwały się do ciężkiego lotu, kiedy słonie przysunęły się bliżej brzegu, ale szybko usiadły z powrotem na ziemi. Żadnych niebezpieczeństw. Żadnego pośpiechu. Tylko subtelne piękno i spokój. Miękka bryza chłodziła policzki Jane, a zapach kwiatów otaczał ją, przenikając zmysły.

- Ja też umiem być zabawny - powiedział Ruel, patrząc na Kaleba. - Jeśli mi na tym zależy.

- Uliczny krzykacz... - mruknęła.

- Tak, potrafię cię zabawić. Potrafię się tobą zaopiekować. Potrafię zadowolić twoje ciało. - Urwał i dokończył ponuro: - I nigdy cię nie opuszczę dla jakiegoś przeklętego słonia.

Jego słowa wyrwały ją nagle z zapażenia.

- Co ty mówisz?

- Mówię, że chcę być dla ciebie Li Sungiem, Patrickiem i Kalebem. - Uśmiechnął się łobuzersko. - I nie tylko. Chcę dla ciebie znaczyć więcej niż twoja pieprzona kolej. Mówię, że chcę być tym, który cię rozbawi i da ci dzieci.

Jane wpatrywała się w niego zaszokowana.

- Mówię, że... - Urwał, zawahał się, po czym dokończył z niezgrabnym pośpiechem: - Kocham cię. - Sapnął. - No, wreszcie, powiedziałem to. Cholera, jakie to trudne! Mam nadzieję, że jesteś zadowolona.

Zadowolona? Był czas, kiedy była gotowa oddać wszystko, żeby tylko usłyszeć, jak mówi te słowa. Nawet teraz napełniły ją słodkim uczuciem radości, choć zaprawionym goryczą.

- Za późno.

Ruel zmarszczył brwi.

- Wiem, że nie powiedziałem tego jak należy, ale to prawda i musimy z tym żyć. - Dotknął z ogromną delikatnością jej policzka. - To we mnie rosło co dzień, aż... Nie, to nie tylko żądza.

- Skrzywił się. - Choć jeden Bóg wie, że niewiele było takich nocy, kiedy kładłem się spać nie pożądam cię. Chcę się tobą opiekować. Chcę cię uszczęśliwić. Wierzysz mi?

Bardzo chciała mu wierzyć, ale nie odważyłaby się na to.

- Nie.

Ruel znieruchomiał, a Jane natychmiast zrozumiała, że go zraniła.

- Chyba na to zasłużyłem - powiedział spokojnie, po czym nagle wybuchł: - Ale, na Boga, uwierzysz! Uwierzysz mi, zaufasz mi, nauczysz się mnie znów kochać! Już teraz trochę cię obchodzi, choć nigdy byś tego nie przyznała. Może nie czujesz tego, co ja, ale coś czujesz! - Wciągnął powietrze i zdobył się na beztrudne wzruszenie ramionami. - Nie spodziewałem się, że to pójdzie łatwo. Muszę po prostu być cierpliwy.

- Nic ci to nie da - odparła opryskliwie.

- Oczywiście, że tak, do cholery! Rzecz w tym, że mi nie ufasz. Myślisz, że znowu cię skrzywdzę. Ale to już się nie zdarzy. Kocham cię!

- Dopóki nie zobaczysz mnie w jednym pokoju z Ianem. A wtedy jak bardzo będziesz mnie kochał?

Nie próbował ominąć tego tematu.

- Kocham Iana, ale to nieporównywalne z tym, co czuję do ciebie. Sprawdź.

Jane pokręciła głową.

- Nie jestem taka odważna. - Zaczęła wstawać. - Muszę wracać na szlak.

- Siedź. Wrócimy po zachodzie słońca. Nie ma potrzeby, żebyś uciekała. Koniec wyznań. -
Położył się na kocu i zamknął oczy.

Jane nie miała ochoty siedzieć i rozmyślać o tym, co jej powiedział.

Te słowa były zbyt słodko kuszące. Spojrzała na niego w świetle słońca, na jego lśniące włosy, pełne wdzięku ciało, rzęsy sięgające policzków. Był mandarynem, herosem i ulicznym krzykaczem. Był determinacją, zmysłową rozkoszą i złośliwym oszustwem. Był wszystkim, co cieszy oko i kusi zmysły. Wszystkim, czego chciała. Wszystkim, czego nie mogła mieć.

Kochała go.

Uświadomiła to sobie ze smutkiem i ciepłem zarazem. Jak mogła myśleć, że kiedykolwiek go przestanie kochać? Chyba tylko dlatego, że się go bała. Rany były zbyt głębokie. Ryzyko zbyt wielkie.

- Połóż się - powiedział nie otwierając oczu.

Nie mogła mieć jego, ale mogła mieć ten moment spokoju i słodczy. Zawahała się, po czym powoli położyła się obok niego. Kiedy już opuści Cinnidar, zostaną jej tylko wspomnienia, a to przechowa na pewno.

- Może jeszcze przez chwilę - powiedziała i zamknęła oczy. Słyszała śpiew ptaków i głęboki, spokojny oddech Ruela obok siebie...

Jane!

Otworzyła oczy i ujrzała, że Ruel pochyła się nad nią. Przenikające przez gałęzie słońce było teraz za nim, rozświetlając jego włosy, a twarz pozostawiając w cieniu.

- Ruel... - powiedziała ospale.

- Czas jechać. Spałaś przeszło godzinę. Zaraz zajdzie słońce.

- Tak? - Wyciągnęła rękę i dotknęła jego włosów. Takie miękkie... Przesunęła dłoń na jego policzek, gładząc jego skórę.

Ruel zastygł.

- Obudź się, Jane!

- Nie śpię.

- To co, do cholery? - Zmarszczył czoło, kiedy przeraziła go nagła myśl. - Masz znowu gorączkę?

Było jej ciepło i szumiało w głowie, ale wiedziała, że to nie z powodu nawrotu gorączki.

- Nie.

Ujęła jego dłoń i położyła sobie na piersi. Wstrząs, jaki pojawił się w oczach Ruela, był równy jej zaskoczeniu. Zrobiła to bez namysłu, instynktownie. Ale nie żałowała. Następne wspomnienie...

- Nie rób mi tego - powiedział ochryple. - Nie po to cię tu przywiozłem, do cholery!

Jej pierś wzbierała pod jego dłonią, sutek stwardniał. Powiedziała bez tchu:

- Nie mam ochoty dalej odpoczywać.

- Daje się zauważyć. - Powoli zacisnął dłoń na jej piersi. Jej ciało przeszło gorąco. - Jesteś pewna?

- Tak - odparła, zaczynając drżeć.

Westchnął głęboko, urywanie.

- O Boże, cieszę się.

Zaczął rozpinać jej koszulę.

Było inaczej niż kiedykolwiek do tej pory. Z początku rytm był powolny i słodki jak kołysanka, lecz później zmienił się radykalnie. Był szaleńczy, dziki i bezrozumny, pochłonął ich oboje w burzy uczuć. Ale nie było w tym nic z dominacji. Ruel prowadził, a nie zwyciężał.

Bezsilna i dysząca leżała, przyciskając go mocno do siebie.

Czuła na sobie ruch jego piersi w przyspieszonym jeszcze oddechu, twarz ukrył na jej ramieniu. Jego głos był cichy i stłumiony.

- Dlaczego, Jane?

Bez namysłu odpowiedziała zgodnie z prawdą:

- Chciałam mieć jakieś wspomnienie, kiedy już wyjadę z Cinnidaru.

Ruel wzdrygnął się, jakby go uderzyła.

- Mam nadzieję, że to było coś wartego zapamiętania.

Znów go zraniła nieostrożnymi słowami.

- To znaczy... Obudziłam się, a ty byłeś...

- Nie musisz wyjaśniać. - Podniósł głowę i spojrzał na nią. - Bywałem już wykorzystywany przez kobiety. Nigdy się tym nie przejmowałem. - Ześlizgnął się z niej, wstał i wziął ją na rękę. - Nie mam zamiaru zostać tylko wspomnieniem, ale nie mam nic przeciw temu, żeby samemu pozyskać kilka przyjemnych wspomnień.

Ruszył w stronę jeziora.

- Co ty robisz? - spytała, przestraszona. - To jest...

Zeskoczył z brzegu do wody.

Zachłysnęła się, kiedy chłód wody dotarł do jej skóry.

- To ma być przyjemne?

Uśmiechnął się i postawił ją na nogach.

- Przyzwyczaisz się. - Sięgnął do jej warkocza i zaczął go rozplątywać. - Chcę zobaczyć twoje włosy. Są takie jedwabiste. Zawsze kochałem twoje włosy. - Zagłębił w nich palce i uniósł jej głowę, aby spojrzeć w oczy. - Kocham cię.

Stała bez ruchu, wpatrując się w niego. Nie mogła mu powiedzieć, co czuła. Nie mogła znów oddać się w jego władanie.

- Ale, oczywiście, nie wierzysz mi. - Uśmiechnął się z przymusem. - Wciąż ci zimno?

- Nie - szepnęła.

Opuścił rękę i cofnął się. Uderzył dłonią w wodę, opryskując jej twarz.

- A teraz? - spytał z uśmiechem.

Prychnęła.

- Próbujesz mnie utopić?

- Nie, idę tylko za przykładem Kaleba. Chyba cię to bawiło. - Znów ją opryskał.

- Ruel, to było... - Na jego twarzy jaśniał taki chłopięcy łobuzerski uśmiech, że zaczęła niepowstrzymanie chichotać. W ułamku sekundy zmienił się w kawalarza, a ona przyjęła z ulgą tę zmianę. - Popływajmy!

Pokręcił głową.

- Wolę cię chlapać. Wyglądałaś jak niewinna dziesięciolatka - odparł. - Szkoda, że cię nie widziałem tak młodej.

Przez następną godzinę miała wrażenie, że Ruel zwrócił jej dzieciństwo, którego nigdy nie zaznała. Bawili się i pływali w wodzie. Czuła się młodo i radośnie, beztrudnie. Była rozczarowana, kiedy o zachodzie słońca Ruel wgramolił się na brzeg i zaczął się ubierać.

Niechętnie poszła w jego ślady. Powietrze było wciąż ciepłe, ale zadrżała, kiedy wiatr owiał jej wilgotne ciało. Szybko osuszyła się kocem i zaczęła wciągać ubranie.

Ruel podniósł z ziemi jej koszulę i przytrzymał ją.

Wsunęła ręce w rękawy.

- Potrafię się sama ubrać.

Zaczął zapinać jej guziki.

- Chcę to zrobić. Uklęknij - mruknął. - Jest jeszcze coś, co chcę zrobić.

Obraz maharadży. Kiedy nagle wróciło do niej wspomnienie tego dnia w letnim domku, podniosła na niego wzrok.

Ruel zacisnął usta, gdy zorientował się, o czym pomyślała.

- Nie, chociaż chciałbym kiedyś powtórzyć ten eksperyment. Tym razem, myślę, zrobiłbym to prawidłowo. Chyba gdybym na ciebie patrzył tak jak teraz, nie uznałabyś tego za nieprawidłowe.

Wspomniała delikatność w jego spojrzeniu, kiedy obserwował ją w jeziorze.

- Nie. - Powoli opadła na kolana na kocu.

Ukląkł obok niej i zaczął splatać jej warkocz.

- Chciałem to zrobić od czasu, kiedy pierwszy raz zabrałaś mnie do świątyni na spotkanie z Kartaukiem. Patrzyłem, jak Li Sung się tobą opiekuje i byłem zazdrosny jak cholera. Powinienem być już wtedy wiedzieć...

Jego palce nie były tak wprawne jak Li Sunga, i dużo czasu zabrało mu zaplecenie długiego warkocza. Jane pomyślała marząco, że to nieważne. Czuła się rozpieszczana i doceniana.

- No, gotowe. - Wstał i pociągnął ją za sobą. - A teraz muszę cię odstawić do obozu, zanim

zacznieš dygotać.

Posadził ją na Bedelii, ale kiedy ujęła wodze, zacisnął dłoń na jej ręce.

Jego głos był nagle ochryple ciężki od uczucia, kiedy wyrzucił z siebie:

- Kiedy wreszcie zrozumiesz, że nigdy już cię nie skrzywdzę? Kiedy wreszcie mi uwierzysz?

Chciała mu uwierzyć, spróbować. Pokusa była tak bardzo silna, że niemal nieodparta, ale bała się. Spojrzała na niego bezradnie.

- Nie umiem. Mówiłam ci, jest za dużo... - Głos jej się załamał, kiedy skończyła wśród łez: - Nie umiem!

Po chwili już galopowała przez dżunglę z powrotem do obozowiska.

19

Musisz coś zobaczyć! - powiedział Kartauk. Złapał Margaret za nadgarstek i pociągnął przez hol do głównego wejścia.

- Puszczaj! - Szamotała się z nim. - Muszę wracać do Iana. Już prawie pora jego obiadu.

- Chyba go nie zje.

- Dlaczego miałby... - Zamilkła, widząc przerażająco ponury wyraz jego twarzy.

Wyciągnął ją na frontową werandę i wskazał w dół, w stronę portu.

- Patrz!

Ogień.

Budynki portowe i magazyny przylegające do oceanu tonęły w morzu zniszczenia, posyłając w niebo czarne kłęby dymu.

- Co to jest?

- Chyba wiem, ale posłałem Tamara, żeby się upewnić. - Kartauk szybkim krokiem wrócił do drzwi. - Ty idź do kwater służących i sprowadź nosicieli fotela Iana. Ja przygotuję pana do podróży.

- Co się dzieje? - spytała Margaret, podążając za Kartaukiem. - Wiesz, jakie trudne są dla Iana wszelkie podróże.

- Trudniej by mu było zostać - odrzekł Kartauk. - Jeśli to Abdar puka do drzwi.

- Abdar? Ale przecież Ruel mówił, że powinniśmy mieć jeszcze dwa miesiące!

- Więc najwyraźniej Abdar postanowił zignorować tradycje. Kazałem Jockowi osiodłać twojego konia i sprowadzić go tutaj. Pamiętaj powiedzieć tragarzom, żeby położyli na fotelu Iana dodatkowe poduszki. Dla niego ta wyprawa w dół zbocza kanionu będzie bardzo ciężka.

- To straszne. A nie moglibyśmy się ukryć gdzieś w dżungli niedaleko pałacu?

Kartauk pokręcił głową.

- Znaleźliby nas. Musimy dotrzeć do Ruela.

- Ale czy tragarze będą wystarczająco szybcy?

- Nie mamy wyboru. Nie zdołamy przeprowadzić powozu po tej ścieżynie na dno kanionu. Ona ledwie wystarcza na tory, które kładzie Medford. - Odwrócił się, rzucając jej przez ramię: - Ruszaj!

Pokiwała głową i pobiegła do kwater służących.

Kartauk otworzył drzwi do pokoju Iana i ujrzał go w fotelu obok okna, wpatrującego się w kłęby dymu z portu.

- Wyjeżdżamy - rzucił krótko.

Ian przeniósł wzrok z ognia na twarz Kartauka.

- Abdar?

Kartauk przytaknął.

- Prawie na pewno. Wysłałem Tamara, żeby sprawdził, ile mamy czasu. - Podeszedł do garderoby i wyjął płaszcz Iana. - Może ci być potrzebny. - Wyciągając wielką torbę podróżną, rzucił okiem na kolekcję fiolek z lekarstwami na stoliczku obok fotela Iana. - Będziemy na to potrzebowali walizki.

- Na dole garderoby jest małe, skórzane pudełko, w które Margaret zapakowała moje lekarstwa, kiedy wyjeżdżaliśmy z Glencaren. - Wyprostował się w fotelu. - Przynieś je tutaj. Ja będę pakował lekarstwa, a ty zajmij się rzeczami Margaret. Gdzie ona jest?

- Sprowadza tragarzy.
- No tak, nawet w najgorszych tarapatkach muszę podróżować z odpowiednią pompą. - Wziął od Kartauka pudło i zaczął delikatnie układać w nim medykamenty. - Zapakuj niebieski szal Margaret. Jest ciepły, a ona w nim tak ślicznie wygląda.

Kartauk złapał szal i wrzucił go do torby.

- Jesteś bardzo spokojny.

- A dlaczego nie? Skoro ty i Margaret dbacie o moje zdrowie? - Ian uśmiechnął się. - Czym jest taka szumowina jak Abdar, kiedy ma się wokół przyjaciół?

- Zagrożeniem.

Tamar wpadł przez drzwi, pozbawiony swego zwykłego spokoju.

- Abdar! Musimy wyjechać!

- Jesteś pewny, że to Abdar? - spytał Kartauk.

Tamar przytaknął.

- Jego żołnierze noszą niebiesko-białe stroje, tak jak mi mówiłeś.

Kartauk zaklął.

- Ilu ich jest?

- Może dwustu. Ale mają brytyjskie strzelby.

Kartauk zmarszczył brwi.

- Dwustu. Dlaczego nie więcej?

- Dla mnie wystarczy - powiedział łagodnie Ian.

Kartauk potaknął i zwrócił się znów do Tamara.

- Ile mamy czasu?

- Niewiele. Żołnierze podpalili port wyruszając w stronę pałacu. Wpadłem na nich już za wioską, zawróciłem i przybiegłem z powrotem.

- A więc jest zaraz za tobą - powiedział Ian. - Nie mamy czasu na moich głupich tragarzy. - Spojrzał w oczy Kartaukowi. - Margaret.

Ian miał rację. Tylko cudem tragarze mogliby uniknąć pościgu Abdara. A gdyby Margaret była z nimi, nie opuściłaby Iana, nawet jeśli to by znaczyło wpadnięcie w niewolę. Kartauk skinął głową.

- Zajmę się tym. - Odwrócił się do Tamara. - Skończ pakowanie Iana i usadź go na fotelu. Wyjedzie natychmiast potem.

Musiał ustąpić z drogi czterem cinnidariańskim tragarzom, którzy właśnie wpadli do pokoju. Złapał za ramię Margaret, która chciała wbiec za nimi.

- Nie! - Siłą ją odciągnął od drzwi. - Ja się nim zajmę. Ty jedziesz przodem.

- Oszalałeś? Nie wyjadę bez Iana.

- Ktoś musi ostrzec Medforda i Ruela, żeby się przygotowali na przyjęcie Abdara. Obóz Medforda jest dokładnie u podnóża zbocza kanionu. Przekaż mu ostrzeżenie, a potem jedź do Ruela. Kiedy ostatni raz o nim słyszałem, był jakieś piętnaście mil od obozu Medforda. Powiedz mu, że Abdar ma tylko dwustu ludzi i chociaż są dobrze uzbrojeni, najprawdopodobniej nie będzie posiłków. Chyba tym razem Abdar poważnie przecenił swoje siły.

- Ty pojedziesz do Ruela. Moje miejsce jest przy Ianie.

Tego właśnie się spodziewał po tej silnej, odważnej kobiecie.

- A czy jesteś wystarczająco silna, żeby go obronić w walce? - Popchnął ją w dół schodów werandy, w stronę Jocka, trzymającego konia. - Masz wielkie serce, ale to ja jestem potężny jak Goliat.

- Którego Dawid pokonał bez strat własnych.

- Miał szczęście. - Kartauk uśmiechnął się. - Goliat powinien był zwyciężyć. - Odwrócił się do Jocka. - Nie pozwól jej się zatrzymać, póki nie dojedziecie do Ruela.

Jock kiwnął głową.

- Ta jest!

- Nie pojedę, póki...

- Ufasz mi? - spytał Kartauk. - Naprawdę mi ufasz, Margaret?

- Tak, ale...

- Tak właśnie powinniśmy postąpić. Możliwe, że to jedyny sposób, żeby wygrać. Obiecuję,

że Ian wyruszy zaraz po tobie. - Uśmiechnął się i nagle jego twarz nappełniła się miłością. - Jedź, Margaret, zaufaj mi!

Podniósł ją na siodło i klepnął konia po zadzie, wysyłając go galopem w stronę kanionu.

Natychmiast odwrócił się i wspiał po stopniach werandy. Żałował, że nie może patrzeć, jak odjeżdża, podziwiał wspaniałej postawy i tego trzymania głowy, który tak kochał. Niewiele w końcu pragnął.

Ale nie było na to czasu.

Margaret i Jock byli już prawie w połowie drogi do kanionu, kiedy uświadomiła sobie dokładne znaczenie słów Kartauka.

- Mój Boże - jęknęła, kiedy przeszył ją strach.

Obiecał, że Ian wyjedzie zaraz po niej.

Ale nic nie powiedział o sobie.

Ian wciąż siedział na swym fotelu przy oknie, kiedy Kartauk wszedł do jego pokoju. Kartauk zwrócił się do Tamara, który stał pod ścianą wraz z cinnidariańskimi tragarzami.

- Dlaczego on jeszcze nie jest w swym podróżnym fotelu? Kazałem ci go przygotować!

Tamar pokręcił głową.

- A on mi zakazał się ruszać. To jego rozkazy mam wykonywać.

- Odjechała? - spytał Ian.

Kartauk przytaknął.

- Nie bez protestów. Musimy cię wysłać w drogę, żeby nie wróciła. Obiecałem jej, że wyślę cię zaraz za nią. - Podeszedł do Iana. - Trzymaj się. Przeniosę cię.

- Jeszcze nie. - Ian skrzywił się i wskazał głową kielich z winem na stoliku obok. - Jak skończę wino. Właśnie wziąłem laudanum i muszę poczekać, aż zacznie działać. Podróż na dno kanionu będzie potworna. To tylko chwila.

- Nie mamy ich zbyt wiele.

Ian podniósł kielich.

- Ty nie masz zamiaru ze mną iść, prawda?

Kartauk zamarł.

- Dlaczego tak mówisz?

- Powiedziałeś „wyślę”, a nie „zabiorę”, a poza tym to pasuje do twojego charakteru.

- Biorąc pod uwagę mój charakter, powinieneś przewidywać coś wręcz przeciwnego. Nikt bardziej nie pilnuje własnej skóry niż ja.

- Ale nie w sytuacji, kiedy chodzi o Margaret. - Łyknął wina. - Zapewne uważasz, że powinieneś zostać i opóźnić marsz Abdara za nami.

Kartauk skinął głową.

- Abdar byłby szczęśliwy, mogąc się pobawić z bratem Ruela.

- Ale nie z tobą?

Kartauk wzruszył ramionami.

- Zadawałem się z Abdarem przez lata. Znam go.

- Mimo wszystko to dla ciebie niebezpieczne.

- Kończ wino, musisz wyjeżdżać.

Ian skinął głową i posłusznie dopił wino.

- Wiem, że nie powinienem opóźniać, ale kiedy tutaj siedziałem, przyszło mi coś do głowy. Coś, co gnębiło mnie od tej nocy w Wąwozie Lanpur.

- Nie ma na to czasu. - Kartauk niecierpliwie podeszedł bliżej.

- Bóg zawsze postępuje celowo, ale nie rozumiałem, dlaczego mnie uratował tamtej nocy.

Teraz jest to dla mnie jaśniejsze.

- Przeniosę cię - powiedział Kartauk i pochylił się nad Ianem.

- Nie rób tego - mruknął Ian, dając znak Tamarowi nad głową Kartauka. - Tak bardzo się o mnie troszczysz, a gdybym upadł, bardzo by mnie to bolało.

- Nie upuszczę cię.

- Chyba nie będziesz miał wyboru.

- Bzdura! Jestem silny jak...

Zamilkł, kiedy na jego głowie rozprysnęła się waza upuszczona przez Tamara. Upadł.
- Widzisz? - spytał Ian, patrząc na ziemię na Kartauka. - Naprawdę nie mogłem ci pozwolić na oszukiwanie mnie, przyjacielu. - Uniósł wzrok na Tamara. - Świetnie. Bierz go na konia. Szybko!

Tamar zawahał się.

- Nie sądzę...

- Powiedziałeś, że zawsze będziesz wypełniał moje rozkazy. - Uśmiechnął się uprzejmie. - Nie martw się, postąpiłem dobrze, Tamar.

- Nie. - Tamar spojrział mu ze zrozumieniem w oczy. - Postąpiłeś wspaniale. - Kiwnął na jednego z tragarzy i razem wynieśli ogromne ciało Kartauka.

- Czekaj! - zawołał Ian. - Każ tragarzom zabrać fotel na dół. Przywiąż go do grzbietu konia i niech go prowadzą razem z Kartaukiem.

Tamar z zaskoczeniem zmarszczył brwi.

- Mamy zabrać fotel bez ciebie?

- Margaret będzie wypatrywać fotela. Jeśli go nie zobaczy, zawróci, zamiast jechać do Ruela.

Tamar skinął głową i wydał szybko rozkazy tragarzom.

- Wrócę natychmiast potem, jak ich wyprawię.

- Nie, chcę, żebyś się ukrył gdzieś na terenie pałacu. Kiedy żołnierze cię znajdą, nie walcz z nimi. Ruel może potrzebować kogoś w pałacu.

- Wolałbym wrócić tutaj.

Ian pokręcił głową.

Tamar zawahał się, po czym rzekł miękko:

- Będzie tak, jak sobie życzysz.

Po chwili Ian został sam. Ogarnęło go zadowolenie. Zrobione. No, jeszcze niezupełnie zrobione, ale wkrótce się to wszystko skończy. Powinien był mieć więcej wiary. Powinien był wiedzieć, że Bóg jest litościwy i że nigdy nie kazałby mu cierpieć bez powodu. Na koniec szarego i monotonnego życia miał odegrać wielką, heroiczną rolę.

Oparł się wygodnie w swym fotelu i czekał na Abdara.

Tam! - Jock wskazywał coś ręką daleko za nimi. - Widzę ich!

Ich? Margaret odczuła nagły przypływ nadziei i popatrzyła we wskazanym kierunku, mrużąc oczy przed słońcem. Mniej więcej w połowie drogi, którą już przebyli, z trudem dostrzegła fotel Iana. Ale wydawało jej się, że tuż za rozwianym palankinem fotela widzi jeźdźca.

- Jedźmy! - poganiał ją Jock. - Obóz Medforda jest dokładnie przed nami.

- Dobrze! - Margaret odwróciła się i ponagliła konia. Może rzeczywiście jadą obaj? Kartauk mógł wyjechać z Ianem. Modliła się w duchu. Boże, żeby to byli oni obaj. Boże, bądź miłosiwny i spraw, żeby obaj się uratowali.

Ian nagle uświadomił sobie, że się boi. Nie spodziewał się lęku, a jednak nadszedł, wstrętny, przytłaczający i ciemny. Nie, nie wolno myśleć o ciemności. Musi myśleć o Świetle.

Nadchodzili.

Usłyszał krzyki na zewnątrz pałacu, a potem tupot butów na wspaniałej, drewnianej podłodze i odgłosy otwieranych na korytarzu drzwi.

Byli coraz bliżej, tuż obok jego pokoju.

Napiął odruchowo mięśnie, kiedy drzwi się otworzyły i w progu stanął Abdar.

- Ach, w końcu! Obawiałem się, że nikogo nie ma. - Podszedł do Iana. Jego zwykle pozbawiona wyrazu twarz wykrzywiona była niezadowoleniem. - Znam cię. Jesteś tym bratem, kaleką.

Ian pochylił głowę.

- Ja również pamiętam nasze spotkanie. Wasza Wysokość.

- Gdzie są inni?

- Inni?

- Gdzie jest Kartauk?
 Ian półprzytomnie rozejrzał się po pokoju.
 - Przed chwilą tu był. - Odchylił się w tył na fotelu. - Musisz mi wybaczyć, panie, ale właśnie wziąłem laudanum i nie potrafię jasno myśleć. Pewnie jest w swojej pracowni... na końcu werandy. Albo w letnim domku. Był dość zdenerwowany twoim nadejściem.
 - Ma prawo być tym zdenerwowany. - Abdar odwrócił się do przystojnego, młodego człowieka, stojącego za nim. - Idź go poszukać, Pachtalu! Sprowadź go tu.
 Pachtal szybko opuścił pokój.
 Abdar z powrotem zwrócił twarz do Iana.
 - Miałem wiadomości, że przyjechała z tobą twoja żona. Gdzie ona jest?
 - Przestraszyła się i uciekła. Sądzę, że ukrywa się gdzieś w pobliżu pałacu.
 - I zostawiła cię samego?
 - Nie miała wyboru. Miała oddać swoje życie, żeby ocalić kalekę?
 Ian zauważył, że ta odpowiedź trafiła Abdarowi do przekonania. Powoli skinął głową i zwrócił się do oficera:
 - Poszukajcie również tej kobiety!
 Kiedy oficer wyszedł, Abdar podszedł do fotela Iana.
 - Nie powinniście byli wracać. Twój brat obraził Kali, próbując skraść jej skarb.
 - Jej skarb czy twój skarb? - spytał Ian.
 - To to samo.
 - Czyżby? - Ian zamknął oczy. - Wybacz mi. Wasza Wysokość, ale nie mogę już dłużej walczyć z laudanum.
 Minuty mijały, a Ian słyszał, jak Abdar niespokojnie chodzi po pokoju. W końcu nie wytrzymał i wybuchł:
 - Myślę, że nie jesteś pod wpływem lekarstw. Po prostu starasz się mnie ignorować.
 - Laudanum...
 - Wiesz, że ja zwyciężę.
 - Tak?
 - On nie ma armii, nie ma broni. Ja mam świetne strzelby, dostarczone ze zbrojowni waszego pułkownika Pickeringa.
 - To miło z twojej strony.
 - Nie wierzysz mi?
 - Wierzę, że myślisz, że zwyciężysz. - Ian uśmiechnął się blado. - Niemniej, jak to zwykła mówić Margaret, Ruel nigdy nie potrafił się do nikogo dostosować.
 - Nie będzie miał...
 - Kartauka nie ma. - Pachtal wpadł do pokoju. - Przeszukaliśmy pałac i otoczenie. Znaleźliśmy tylko cinnidariańskiego sługę. Reszta związała.
 Abdar zaklął i z wściekłością odwrócił się do Iana.
 - Gdzie on jest?!
 Ian uniósł powieki.
 - A może byś zapytał Kali?
 - Przeciwstawiasz mi się?! - Na policzkach Abdara pojawiły się czerwone plamy. - Ty nieszczęsny kaleko! Masz czelność okazywać mi wzgardę?
 - A rzeczywiście, mam czelność. Aż się sam sobie dziwię. Przez chwilę obawiałem się, że nie będę w stanie tego zrobić we właściwy sposób. Ruel jest w tych rzeczach o wiele lepszy ode mnie. - Spojrzał Abdarowi w oczy. - Tak, Abdarze, gardzę tobą. I tobą, i tą twoją pogańską boginią zniszczenia.
 - Kali okaże ci swą moc. Powali każdego, kto nie...
 - Kali nie istnieje - przerwał mu miękko Ian. - Nie istnieje prawdziwe zniszczenie. To, co niszczy, staje się po prostu czymś innym.
 - Kłamiesz! - Oczy Abdara jarzyły się. - Kali istnieje. Udowodnię ci to. - Odwrócił się do Pachtala. - Gdzie jest Benares?
 - Wciąż na statku.
 - A co on tam robi? - wrzasnął przeraźliwie Abdar. - Poślij po niego. Co z niego za pożytek, jeśli go nie ma tam, gdzie go potrzebuję?

- Powiedziałeś, że może nie będziesz go w ogóle potrzebował - odparł uspokajająco Pachtal. - Myślałeś, że jeśli Kartauk tu jest, może się go uda przekonać...
- Ale Kartauka nie ma. Uciekł pod opiekę tego szkockiego psa. Muszę się zadowolić Benaresem. Każ mu przyjść i przynieść maski.
- Wszystkie?
- Oczywiście, że wszystkie. Muszę pomedytować, otoczony mocą, zanim poprowadzę atak na Szkota.
- A nie byłoby lepiej uderzyć od razu i zaskoczyć go?
- Nie będzie to teraz zaskoczeniem, skoro Kartauk zdołał uciec i zawieźć mu wiadomość o naszym przybyciu. Zgniotę go spokojnie. - Jego pulchną, dziecięcą twarz rozjaśniał uśmiech, kiedy odwrócił się do Iana. - Ty jesteś zbyt słaby i otyła od lekarstw, żeby zająć miejsce w moich zbiorach, ale można cię wykorzystać do zasiania lęku w sercu twego brata.
- Spojrzał na Pachtala. - Zrób to. Wykorzystamy tego cinnidariańskiego sługę do dostarczenia maski Szkotowi. Ona musi być zrobiona dobrze, pamiętaj. Bardzo dobrze.
- Nigdy cię jeszcze w tym nie zawiodłem, prawda? - spytał Pachtal.
- I nie zawieź mnie teraz. - Abdar wyszedł z pokoju.
Pachtal uśmiechnął się do Iana.
- Uraziłeś jego Wysokość. Obawiam się, że będziesz za to cierpieć. - Podszedł do niego. - Ale przedtem musimy poczekać na przyjazd Benaresa i koniec działania laudanum. Trzeba się starać, żeby efekt był odpowiedni.
Ian poczuł przyływ zapachu. To już wkrótce. A kiedy ten moment nadejdzie, będzie walczył, jak nakazuje święte prawo, ale to się zbliża.
Już prawie widział Światło.

To nie moja wina! - Głos Benaresa załamywał się ze strachu. - Ja jestem tylko rzemieślnikiem. To ty jesteś odpowiedzialny. To twój błąd!
- Nie zrobiłem błędu - odparł ochryple Pachtal. Zastanawiał się, jak to się mogło stać. To niewiarygodne. - Nie dam się tym obarczyć.
- Musisz! - Oczy Benaresa zaszyły łzami, ręce mu się trzęsły. Nigdy przedtem nie ośmielił się mówić w ten sposób do Pachtala, ale lęk przed Pachtalem był niczym w porównaniu z przerażeniem, jakie wywoływał w nim Abdar.
Pachtal uświadomił sobie, że sam się trochę lęka. Od śmierci maharadży Abdar stawał się coraz dziwniejszy i zamknięty w sobie, a nie wiadomo, jaki wpływ na jego humor będzie miał ten błąd. Gniew Abdara może spaść równie dobrze na niego, jak i na Benaresa, a nie miał najmniejszej ochoty dołączyć do kolekcji zdobiącej ściany komnaty Abdara.
- Nie będę cię nakłaniał do przejęcia odpowiedzialności. - Odwrócił się. - Zapakuj to do pudełka i poślij po tego sługę, Tamara. Każ mu wziąć pudełko i zawieźć je do obozu Medforda, żeby je przesłali Szkotowi. Abdar nawet tego nie zobaczy. Powiem mu, że źle zrozumiałem jego rozkaz i myślałem, że chciał, żebyśmy to wysłali wprost do MacClarena.
- Będzie bardzo rozgniewany - powiedział powątpiewająco Benares.
- Ale nie aż tak, jak by był, gdyby zobaczył to... tę potworność. - Kiwnął głową w stronę złotej maski. - Ty siedź cicho i ja będę siedział cicho, a wtedy obaj przeżyjemy.

Na Boga, to Margaret! - Ruel poderwał się na nogi i podbiegł do jeźdźca zbliżającego się do obozowiska.

Jane podążyła za nim z sercem ściśniętym strachem. Pojawienie się Margaret świadczyło o czymś strasznym. Jechała po męsku, okrakiem, jej biała suknia była brudna i porwana, a nie związane włosy opadały na plecy.

Kiedy ściągnęła przed nim wodze, Ruel złapał klacz za uzdę.

- Ian? - spytał krótko.
- Zaraz za mną - wysapała Margaret. - Kazałam Medfordowi zatrzymać go w jego obozie, póki po niego nie wróć. Kartauk powiedział, że musisz się dowiedzieć natychmiast.
- O czym?
- Abdar... dwustu ludzi... port spalony.
Ruel zaklął.

- Cholera, nie spodziewałem się go tak wcześnie. Daleko jest?
Margaret pokręciła głową.
- Nie wiem. Kiedy dojeżdżałam do kanionu, nie było śladu pościgu. Medford powiedział, że zacznie związać obóz i że wystawi warty przy torowisku.
- Może byś jej pozwolił zsiąść? - powiedziała Jane, podchodząc bliżej. - Nie widzisz, że jest wykończona?
- Przepraszam - powiedział Ruel z nieobecnym wyrazem twarzy i zdjął Margaret z konia. - A Kartauk?
- Nie jestem pewna. - Margaret oparła się o siodło i przymknęła oczy. - Możliwe, że jedzie za Ianem. Widziałam konia...
- Chodź tu i usiądź. - Jane otoczyła ramieniem talię Margaret i poprowadziła ją do swego koca. - Ruel, daj jej kawy.
Ruel odwrócił się i poszedł w stronę kociołka zawieszzonego nad ogniskiem.
Margaret opadła na koc.
- Myślę, że Kartauk... - Skrzyżowała ręce na piersi, żeby uspokoić ich drzenie. - On chyba... chciał zostać.
- Dlaczego? - spytała Jane.
- Bo jest głupim mężczyzną, który uważa, że tylko on wie, co należy robić. - Wbrew ostrym słowom po jej twarzy spływały łzy. - Powinien był... - Urwała i otarła grzbietem dłoni wilgotne policzki. - Nie, on woli zostać i dać się zabić tej szumowinie. Zawsze był zbyt uparty, żeby... - Głos jej się załamał i musiała zamilknąć.
- Nawet jeśli rzeczywiście został, to nie znaczy, że nie żyje. - Ruel wcisnął jej do ręki metalowy kubek. - Kartauk jest mądrym człowiekiem, a Abdar chciał go mieć żywego.
- Jak długo? - spytała ostro Margaret. - Opowiedział mi o tym potworze. Kartauk nie da mu tego, czego tamten chce, a kiedy odmówi, Abdar go zabije.
- Mówiłaś, że być może jedzie z Ianem - przypomniała jej delikatnie Jane. - Nie wiesz na pewno, że został.
- Masz rację. - Margaret odetchnęła głęboko. - Wciąż jest nadzieja, prawda? Zachowuję się jak idiotka. - Usiadła prosto. - Kartauk kazał ci powiedzieć, że siły Abdara to piesi, uzbrojeni w angielskie strzelby i że nie spodziewa się, żeby mieli dostać jakieś posiłki.
- Mając dwustu ludzi zapewne sądzi, że ich nie potrzebuje - powiedział ponuro Ruel. - Skoro ja nie mam w ogóle armii. - Wstał. - Ale się myli, niech go szlag trafi.
- Co robimy? - spytała Jane.
- Ty i Margaret przeniesiecie ten obóz na drugą stronę rzeki. To lepsza pozycja obronna. Jeśli cokolwiek się stanie, a ja nie wrócę ani nie przyślę wiadomości, odetnijcie wiszący most i idźcie do wioski Cinnidarian. - Podeszedł do swego konia. - Jadę do obozu Medforda, sprawdzę, czy Ian i Kartauk dotarli bezpiecznie.
- A jeśli nie? - spytała drżącym głosem Margaret.
Ruel rzucił jej uważne spojrzenie.
- To pojedę za nimi.
- Nawet, jeśli to będzie tylko Kartauk?
Ruel zmarszczył czoło.
- Oczywiście. Kartauk tu jest, bo go przywiozłem na Cinnidar. Myślałaś, że powiem co innego?
- Chyba nie - odparła z cieniem ulgi w głosie.
- A Dilam i Li Sung? - spytała nagle Jane. - Zatrzymałaś się w ich obozie?
Margaret pokręciła przecząco głową.
- Przejeżdżałam obok, ale się nie zatrzymałam. - Ze znużeniem potarła skronie. - Słonie... Nigdy nie widziałam tylu słoni.
Jane zwróciła się do Ruela.
- Dilam z pewnością może pomóc.
- I zaryzykuje, że jej ludzie zginą? Nie sądzę.
- Myślę, że się mylisz. Kiedy ją pierwszy raz spotkałam, powiedziała coś... Pojadę do jej obozu i pogadam.
- Chcę, żebyś była po drugiej stronie rzeki - powiedział Ruel.

- Jak pogadam z Dilam. - Wstała. - Zostań tu i odpocznij, Margaret.
- Jadę z Ruelem - odrzekła Margaret. - Będę potrzebowała innego konia, klacz jest wykończona.

- Nie tylko ona - powiedziała Jane, patrząc na bladą, napiętą twarz Margaret. Ale nie próbowała jej odwieść od tego pomysłu, Ian mógł być w niebezpieczeństwie, a sama nie potrafiłaby siedzieć beczynn timer, gdyby Ruel był w podobnej sytuacji. Ta myśl uderzyła ją nagle.

Przecież Ruel był w niebezpieczeństwie. Może właśnie się wybiera wprost na spotkanie sił Abdara? Chciała krzyknąć, kazać mu zostać, powiedzieć, że razem mogą uciec, schować się w dżungli i przeczekać, aż minie niebezpieczeństwo.

- Ruel!

Odwrócił się i popatrzył na nią.

Nie mogła go powstrzymać. Cinnidar był jego domem. To był teraz jego lud.

- Uważaj na siebie! - szepnęła.

- Ty też - odpowiedział z uśmiechem.

To był piękny, pełen miłości uśmiech, który przegnał z jego twarzy wyraz ponurości. Poczła się ogrzana, ukojona, nagle pełna wiary. Razem mogą przez to przejść. Wstała.

- Kończ kawę, Margaret. Pójdę osiodłać Bedelię i świeżego konia dla ciebie.

To bardzo źle - powiedziała Dilam, kiedy Jane skończyła swoje opowiadanie. Potem dodała, bardziej stanowczo: - To nie może się zdarzyć. - Odwróciła się do Li Sunga. - Musimy ich zatrzymać. Nie dopuszczę do tego, żeby Savitsarowie znów byli na mojej wyspie.

- Dziwię się, że mnie w to włączasz - powiedział Li Sung, unosząc brwi. - Czyżbyście wy, kobiety, nie umiały sobie poradzić w tej sytuacji bez pomocy mężczyzn?

Dilam uśmiechnęła się.

- Przecież ci mówiłam, że mężczyźni to dobrzy wojownicy. Czas, żebyście to udowodnili.

- Nie muszę ci niczego udowadniać.

- Ty nie. - Uśmiech Dilam zgasł. - Wiem, kim jesteś.

Jane przenosiła wzrok to na jedno, to na drugie. Ich wymiana zdań nie miała w sobie żadnej ostrości, ot, takie przyjacielskie przekomarzanie, pełne zrozumienia. Wyraźnie nie tylko słoń wygrał z Li Sungiem od czasu rozpoczęcia wyrębu.

- Potrzebujemy waszej pomocy, ale bez narażania waszych ludzi, Dilam. Żołnierze Abdara mają strzelby.

- Mówiłaś już. - Dilam zmarszczyła czoło w namyśle. - Ale my znamy wyspę. To też broń. Li Sung mówi, że ten Abdar jest jeszcze gorszy niż poprzedni Savitsarowie. Nie dopuszczę do tego, żeby takie okropności spadły na głowy naszego ludu.

- Nie dojdzie do tego. - Li Sung uśmiechnął się jej w oczy. - Wiecie, że w moim języku są dwa odpowiedniki słowa „kryzys”? Jedno znaczy „niebezpieczeństwo”, a drugie „sposobność”. Musimy tylko unikać niebezpieczeństwa i wykorzystać sposobność. - Odwrócił się do Jane. - Mówisz, że Ruel chce przenieść obóz na drugą stronę rzeki?

Przytaknęła.

- A więc zrobimy to. - Zwrócił się znów do Dilam. - Czy byłabyś tak uprzejma, poszła do wsi i sprowadziła kilku bezwartościowych mężczyzn, żeby poprowadzili twoją walkę?

- Być może znajdę kilku zdatnych do tego celu. - Dilam wstała. - A co ze słomami?

Jane zupełnie o nich zapomniała. Było tyle rzeczy do przemyślenia, tyle niebezpieczeństw do uniknięcia.

- Abdar nienawidzi słoń. Żeby je zabezpieczyć, musicie je przeprowadzić na wschód, za rzekę, z powrotem do dżungli.

Li Sung skinął głową.

- Można tak zrobić. Dilam i ja zaczniemy je przepędzać za rzekę, zanim pójdzie do wsi.

Jane wstała.

- To zabierajmy się do roboty.

20

Ruel dotarł do nowego obozowiska około południa następnego dnia. Kiedy tylko wysiadł z

łódki, Jane wiedziała, że wieści są bardzo złe. Jego twarz była równie blada i napięta jak wówczas, gdy patrzył w dół Wąwozu Lanpur na ruiny pociągu.

- Co się stało? - szepnęła.

- On nie żyje - odparł gwałtownie.

- Kto? Kartauk?

- Ian. - Patrzył wprost przed siebie. - Kartauka przywieziono nieprzytomnego do obozu Medforda. Tamar z rozkazu Iana uderzył go w głowę, Ian wiedział, że ktoś musi zatrzymać dłużej Abdara, bo inaczej schwytałby wszystkich. Zdecydował, że on nim będzie.

- Och, nie. - Ogarnął ją przytłaczający smutek. To niesprawiedliwe, Ian. Delikatny, kochany Ian, którego pozbawiono już tylu rzeczy. - Jesteś pewny?

- Abdar raczył przysłać dowód. Maskę pośmiertną Iana.

- Co takiego?

- Kartauk mówi, że Abdar kolekcjonuje takie rzeczy. Wysłał Tamara z maską Iana. Z ostrzeżeniem, żebym mu nie stawiał oporu.

- Widziałeś ją? - spytała, czując mdłości.

Ruel pokręcił głową.

- Margaret nie pozwoliła nam otworzyć pudełka. Dała je Medfordowi na przechowanie. Kartauk opowiedział jej, jak wyglądają te maski. - Zaciśnął usta w cienką linię. - Abdar nigdy nie wybiera łatwej śmierci dla swoich ofiar.

- Skoro nie widziałeś maski, to może to wszystko tylko podstęp. Może Ian wciąż żyje?

- Psiakrew! - wybuchł nagle. - Nie żyje. Tamar widział maskę, kiedy ją wkładali do pudełka. I widział ciało Iana w tym samym pokoju.

Zniknęła ostatnia nadzieja. Jane wciągnęła głęboki, drżący wdech.

- Jak się czuje Margaret?

- Chora, odrętwiała, wściekła.

Jane uniosła oczy na Ruela.

- A ty?

- Chory, ale nie odrętwiała. - Spojrzał jej w oczy. - Mam zamiar zarżnąć tego skurwysyna.

Jane ujrzała na jego twarzy wyraz dzikości. Potem pomyślała o Ianie i sama poczuła przypływ zimnej wściekłości.

- Jak?

- Mam kilka pomysłów. Gdzie jest Li Sung?

Ruchem głowy wskazała polanę, na której Li Sung rozmawiał z jednym z Cinnidarian.

- Wysłał Dilam do wsi po wojowników. Powinni tu wkrótce być.

- Dobrze, będą nam potrzebni. Medford zwinął obóz, ale z odwrotem zaczeka, aż zobaczy, że ludzie Abdara schodzą do kanionu. Medford ma nie więcej niż dwadzieścia strzelb.

- A my dwanaście. - Jane wzruszyła ramionami. - Ale nawet gdybyśmy mieli więcej, Cinnidarianie nie umieliby się nimi posługiwać.

- Kiedy już Dilam i Medford przeprowadzą swoich ludzi na nasz brzeg, spalimy most.

Jane pokiwała głową.

- Abdar będzie potrzebował czasu, żeby zorganizować przeprawę dla tylu ludzi, a nam ten czas jest potrzebny. Jak długo to potrwa, jak myślisz?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, dlaczego Abdar nie pojechał natychmiast za Margaret i Kartaukiem. Kartauk powiedział mi kiedyś, że on jest nienormalny. Będziemy musieli wykorzystać jego wariactwa w każdy możliwy sposób.

- Li Sung i ja budujemy wzdłuż brzegu zapory z kolczastych krzewów. Tu jesteśmy poza zasięgiem ich strzelb, ale trzeba coś wymyślić, żeby nas nie dosięgli, kiedy już zaczną się przeprawiać.

- Dobry pomysł - powiedział, ale myślami był gdzie indziej. Ruszył w stronę Li Sunga. Szedł sztywno, ostrożnie, jakby był ze szkła i bał się, że się może rozbić.

Chciała być z nim, pocieszyć go, ukoić jego ból. Ruszyła nawet, ale się zatrzymała. Czuła, że jej oczy napełniają się łzami i wiedziała, że nie umie mu pomóc. Lepiej będzie, jeśli oboje zajmą się teraz swoimi zadaniami. Odwróciła się i poszła w stronę zapór.

Nie podoba mi się to - powiedział Li Sung. - To jest zbyt niebezpieczne.

- To jedyny sposób. - Ruel patrzył mu w oczy. - Boisz się stracić to, co tu znalazłeś. No cóż, to może zniknąć w miesiąc, jeśli Abdar przejmie Cinnidar. Nie będzie miał litości ani dla Cinnidarian, ani dla słońi, które tak kochasz.

- Wiem o tym - odrzekł Li Sung. - Ale nie podoba mi się... - Pokręcił głową. - Ale tu chodzi nie tylko o moją stratę. Jest jeszcze Jane. I ty.

- Ja? - Ruel uśmiechnął się rozbawiony. - Jestem wzruszony twoją troską.

- Tak, troszczę się. - Li Sung uśmiechnął się uprzejmie. - Jane ma wielkie marzenia i plany, które mogą zostać zniweczone, a ty cierpisz.

Ruel wzdrygnął się.

- Zapewniam cię, że cierpienie się skończy, kiedy zabiję Abdara.

- Jesteś pewny?

- Przekonasz się. Pomożesz mi?

- Przemyślę to. - Li Sung zmarszczył nos. - Moja naturalna odraza może rzeczywiście wpływać na mój osąd tej sytuacji.

- Ale mój osąd jest trzeźwy. Uda się, jeśli przeprowadzimy to prawidłowo. - Odwrócił się. - A zrobimy to jak należy.

- Dilam przechodzi przez rzekę. - Koło nich zatrzymała się Jane. - Naliczyłam, że jest z nią około siedemdziesięciu żołnierzy.

- A więc. Li Sung, będziesz musiał szybko decydować - powiedział Ruel. - Abdar nie da nam dużo czasu.

- Omówię to z Dilam. - Li Sung uniósł rękę, żeby powstrzymać protest Ruela. - Jeśli uznam, że twój plan jest mądry, będę potrzebował jej pomocy.

Zapadły ciemności, a Medford wciąż nie nadchodził. Kiedy nie pojawił się do północy, wystawili strażę i położyli się, żeby odpocząć.

Odpocząć, ale nie spać. Jane była zbyt zmęczona, zdenerwowana i załękniiona, żeby zasnąć. Obróciła się na bok i spojrzała na Ruela po drugiej stronie ogniska. On też nie spał. Leżał na plecach, napięty, wpatrując się w ciemność. Nie odzywał się do nich przez cały wieczór, wpatrzony w siebie, w swój gniew i smutek. Powinna go zostawić samego. Gdyby potrzebował jej pomocy, poprosiłby o nią.

A co to znowu za głupoty? Ruel z wielkim trudem wyznawał komukolwiek, że go potrzebuje.

Odrzuciła koc, wstała i obeszła ognisko.

Ukłęka obok Ruela i uniosła jego koc.

- Posuń się.

- Nie - odparł, nie patrząc na nią.

Położyła się przy nim.

- Odejdź. Nie chcę cię tu.

- To źle, bo ja zostaję. - Owinęła się kocem. Leżała nie dotykając go, wyczuwając jego napięcie i niechęć.

- Wiedziałem, że przyjdiesz - powiedział ochryple. - Musiało do tego dojść. Musisz się wciąż kimś opiekować. Ale ja nie jestem małym chłopcem ze złamaną nogą ani jakimś pieprzonym słońiatkiem. Nie potrzebuję cię. Nikogo nie potrzebuję.

- Nie mówię, że potrzebujesz. - Przełożyła rękę przez jego spięte, naprężone ciało. - To ja cię potrzebuję. Boję się jutra, a gdzieś w środku czuję jakąś wciąż krwawiącą ranę.

Milczał przez chwilę.

- Naprawdę?

Skinęła głową.

- Pomógłbyś mi, gdybyś mnie objął. Chyba nie czułabym się tak samotna.

Nie zareagował od razu. Po dłuższej chwili powoli otoczył ją ramionami.

- Nie jesteś sama.

- Ty też - szepnęła. - Jeśli chcesz, zawsze będę z tobą.

Ruel jeszcze bardziej się naprężył.

- Litujesz się nade mną?

- Nie, kocham cię.

- Dziwne, że akurat teraz mi to wyznajesz.
- Kiedyś powiedziałaś, że wiesz, że cię kocham.
- Wiem też, że masz bardzo miękkie serce.
- No dobrze, lituję się także.

Zaklął cicho.

- W litości nie ma nic złego, Ruelu.
- Jak cholera!

- Psiakrew! Nie mam zamiaru cię przeproszać za to! Kiedy byłam chora, nie litowałeś się nade mną?! A jak Zabrie skrzywdziła Li Sunga, nie chciałeś mu pomóc? - Zacisnęła wokół niego ręce. - Teraz zamknij się i śpij.

- Nie jestem zmęczony.
- To mów coś do mnie. - Urwała. - Opowiedz mi o Ianie.

Poczuła, jak jego ciało drgnęło.

- Nie ma nic do opowiadania. On nie żyje.
- To mamy o nim po prostu zapomnieć?

- Oczywiście, że go nigdy nie zapomnę - powiedział przez zęby. - Zabiję Abdara.

- A mnie? Mnie też zabijesz? Przecież nigdy by do tego nie doszło, gdyby Ian nie był kaleką. Mógłby uciec.

- Cicho bądź - powiedział ochryple. - To nie była twoja wina.

- Jeszcze miesiąc temu winiłbyś mnie.

- Nie chcę o tym mówić.

- A ja nie chcę o tym milczeć. Powiedz to. To moja wina.

- To nie twoja wina - powiedział cicho, po czym nagle wybuchł: - To moja wina!

Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Co takiego?

- To była od początku moja wina. Obwiniałem cię, ale chyba zawsze wiedziałem, że to ja jestem odpowiedzialny. Ian nigdy by się nie pojawił w Kasanpurze, gdyby nie ja.

- Ale przecież przyjechał za tobą ze Szkocji. Nie chciałeś go.

Wydawało się, że Ruel jej nie usłyszał.

- I powinienem był bardziej uważać, kiedy go wyciągałem z wraku.

- Uratowałeś mu życie!

- Okaleczyłem go! - prawie wykrzyknął. - Zniszczyłem mu życie, a potem przywiozłem go tu, żeby umarł.

Jane nigdy nie przypuszczała, że Ruel potrafi skrywać w sobie takie morze poczucia winy. A powinna. Ruel nigdy niczego nie robił połowicznie. Jego uczucia i reakcje były zawsze silniejsze i intensywniejsze niż kogokolwiek innego. Nagle zdała sobie sprawę, że jest częściowo odpowiedzialna za to jego poczucie winy. Kochał ją i chciał z niej zdjąć odpowiedzialność, przenieść ją na swoje barki. Musiała coś zrobić. Łatwo było dojść do tego wniosku, ale co robić? Próba wyperswadowania mu tylko wywoła jego większy upór.

- Dobrze, to twoja wina. Ale moja też, a wybaczyłeś mi. Musisz wybaczyć i sobie.

Potrząsnął głową.

- Posłuchaj mnie. Ian cię kochał. Chciał, żebyś był szczęśliwy.

Nie odpowiedział.

- Umarł, żeby pomóc tobie, Margaret i Kartaukowi, żebyście mieli tak szczęśliwe życie, jakiego wam życzył. Chcesz, żeby jego śmierć była nadaremna?

Wydało jej się, że poczuła lekkie rozluźnienie tych boleśnie napiętych mięśni, ale nie była pewna.

- Jak możesz być tak uparty? On chciał... - Urwała, poczuwszy coś ciepłego i wilgotnego na skroni. - Ruel?

- Kocham cię. - Jego głos drżał. Objął ją ciasno ramionami. - Kocham cię!

Teraz mogła już pozwolić, żeby jej łzy też popłynęły. Razem z nimi spłynęła z niej reszta oporów wobec niego. Życie jest zbyt krótkie, żeby się bać, miłość zbyt cenna, żeby dla niej nie zaryzykować wszystkiego.

- Wierzę ci - wyszeptwała.

- Naprawdę? Czas najwyższy - powiedział rwącym się głosem. Długo milczał. - To... boli,

Jane.

- Wiem. - Dotknęła ustami jego policzka. Wiedziała, że jego słabość nie potrwa długo, ale czuła w sobie silną, matczyną opiekuńczość. Chciała go chronić, bronić przed wszystkimi krzywdami. Pierwszy raz uświadomiła sobie, jak rzeczywista była władza Iana nad Margaret. Mężczyzna, który cię potrzebuje, jest największym z mandarynów. - Ale przeżywamy to razem, a wkrótce będzie lepiej. Musi być lepiej.

- Tak. - Przytulił się do niej mocno. - Będzie lepiej, kochana.

Margaret, Kartauk, James Medford i jego ludzie przybyli następnego dnia po południu.

- Gdzie Ruel? - spytał Medford, kiedy tylko przekroczył most.

Jane wskazała na południe.

- W dole rzeki, z Li Sungiem i Dilam. Abdar?

- Tuż przed wyjazdem dojrzelismy, że zaczął schodzić do kanionu - odparł Medford, udając się w kierunku, który wskazała. - Sześć godzin.

Jak zwykle jego mowa była oszczędna i zwięzła. Jane odwróciła się i patrzyła, jak Margaret, tuż za którą podążał Kartauk, dochodzi do końca mostu. Tej nocy, kiedy do nich przyjechała, Jane myślała, że Margaret wygląda źle. Ale teraz przeżyła szok na widok straszliwej zmiany w tej kobiecie. Silna, tryskająca życiem Margaret wyglądała wręcz krucho. Ściągnięta, blada twarz, wielkie sińce pod oczami.

- Witaj, Jane.

- Wiesz, jak bardzo mi przykro - powiedziała delikatnie Jane. - Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Margaret pokręciła głową.

- Nikt nie może nic zrobić.

Jane machnęła ręką w stronę ogniska pośrodku obozu.

- Wyglądasz na zmęczoną. Może usiądziesz przy ogniu i odpoczniesz?

- Jak chcesz - odparła głucho Margaret.

Jane odprowadziła ją zatroskanym wzrokiem. Ruel uprzedził ją, że Margaret jest odrętwiała, ale Jane nie i spodziewała się, że do tego stopnia może ująć z niej życie.

- Nie pocieszaj jej.

Spojrzała na Kartauka patrzącego na Margaret.

- Nie bądź śmieszny - rzuciła. - Ona strasznie cierpi, oczywiście, że postaram się ją pocieszyć.

- Ona nie może mieć czasu na roztrząsanie tego wszystkiego. Daj jej coś do roboty. Ją trzeba znów ożywić, a nie pocieszać.

- Nie umiem czynić cudów - odparła ze znużeniem Jane. - Jeśli ty wiesz, jak to się robi, to może byś spróbował.

- Od kiedy się obudziłem w obozie Medforda z okropnym bólem głowy, odezwała się do mnie ze dwa razy. - Uśmiechnął się smutno. - Ona nie może na mnie patrzeć. Zdradziłem ją.

- Jak to? - spytała Jane bez tchu.

- Powiedziałem jej, żeby mi zaufała, a potem popełniłem błąd w osądzie i nie doceniłem Iana. Nie wybacza się łatwo takich błędów, jeśli oznaczają czyjąś śmierć.

- Margaret mówiła, że chciała zostać w pałacu.

- Ale nie zostałem. - Wzruszył ramionami. - A to komplikuje sytuację.

- Nigdy by nie chciała, żebyś poświęcił swoje życie.

- Wiem. Ale za bardzo bierze wszystko do siebie, a nie jest łatwą kobietą. - Dłuższą chwilę wpatrywał się w Margaret, po czym odwrócił wzrok. - Tym razem nie umiem jej pomóc - powiedział ponuro. - Ty musisz to zrobić. Pomóż jej się wyleczyć. Daj jej pracę. Zmusz ją do takiej harówki, żeby nie miała czasu myśleć.

Jane nagle uświadomiła sobie, że on ją kocha. Przypomniała sobie szaleńczy niepokój Margaret o bezpieczeństwo Kartauka. Tam też miłość? Jak teraz zdołają rozdzielić uczucia winy, miłości i rozpacz? Pomyślała smutno, że to naprawdę skomplikowana sytuacja. Dlaczego nic na tym świecie nie jest łatwe?

- Zajmę ją - obiecała. - Potrzebujemy każdej pary rąk do robienia zapór. - Zmieniła temat. - Ruel jest w dole rzeki i chce z tobą zaraz mówić. Ma plan, przy którym potrzebuje twojej

pomocy.

- Dostanie ją. - Kartauk wciąż się smutno uśmiechał, ruszając wzdłuż brzegu. - Jeden Bóg wie, że ja też muszę się czymś zająć.

Przepłynęły ostatnie łodzie, ostatnie tratwy przeprowiono na drugą stronę rzeki, a Jane nadzorowała zniszczenie mostu. Do zachodu słońca ukończono zapory i od tej chwili nie mieli nic innego do roboty, poza czekaniem.

Około ósmej wieczorem dostrzegli odbłask pochodni, niesionych przez żołnierzy Abdara. Nadchodzili szlakiem kolei od strony kanionu.

- No i? - spytał Ruel Li Sunga. - Czas minął. Na Boga, odpowiedz mi wreszcie!

- Przygotowałeś sprzęt? - odpowiedział pytaniem Chińczyk.

- Tak.

- Dilam uważa, że twój pomysł jest dobry, ale potrzebne będzie odwrócenie uwagi.

- To ci mogę obiecać. Abdar będzie na pewno zajęty czym innym - odparł ponuro Ruel.

Li Sung uśmiechnął się do niego.

- To wszystko, o co proszę.

Gotów? - zapytał Kartauk Ruela, wpatrując się w obozowisko Abdara po drugiej stronie rzeki. W ciągu ostatnich trzech godzin na drugim brzegu wyrósł jak grzyby po deszczu rozległy obóz wojskowy z mnogością namiotów przylegających do rzeki. Ustawione na długich, żelaznych żerdziach pochodnie rzucały błyski na ciemną powierzchnię wody.

Ruel odpowiedział skinieniem głowy, obszedł zaporę, podszedł do krawędzi brzegu. Przyłożył dłonie do ust, zawołał najgłośniejszym głosem:

- Abdaaar!

Żadnej reakcji.

Krzyknął jeszcze raz.

Na brzegu pojawił się Pachtal, oświetlony przez pochodnie.

- Daj spokój, MacClaren! - zawołał. - Nie widzisz, że już jesteś pokonany?

- Chcę mówić z Abdarem!

- Jest w namiocie, medytuje.

- Zawołaj go.

- Dlaczego miałbym mu przeszkadzać, skoro sam mogę przyjąć twoją kapitulację?

- Jestem tu, Szkocie! - Abdar nagle pojawił się obok Pachtala.

Ruel poczuł straszną falę nienawiści, kiedy ujrzał delikatną, pozbawioną wyrazu twarz Abdara. Kontroluj się, powiedział sobie. Myśl.

- Mamy parę rzeczy do omówienia. Czy będziesz honorował białą flagę i zawieszenie broni, jeśli przyplynie do twojego obozowiska?

- Dlaczego miałbym to robić? Za dzień lub dwa będziemy mieli gotowe tratwy i zgniemy was.

- Nie jestem głupcem, Abdar. Jasne jest, że wygrałeś w tej grze, ale możesz ją wygrać łatwo albo ze stratami. Pozwól Kartaukowi i mnie przyplynieć do ciebie i...

- Kartauk? - przerwał Abdar, płonąc ciekawością. - Kartauk przyplynie?

- Kartauk ma znakomity instynkt przetrwania i wie, że musimy negocjować.

- Powinien był negocjować trzy lata temu, skoro pragnie mojej łaski. - Roześmiał się z zadowoleniem. - Przyjeżdżaj, Szkocie, wysłucham twoich prośb.

- To błąd! - zaprotestował Pachtal. - To może być jakaś sztuczka. Nie musimy...

- Nie podważaj mojej mądrości! - uciął Abdar. - To ty masz skłonności do popełniania błędów. Zawiadom mnie, kiedy przybędą. - Odwrócił się i zniknął z plamy światła.

- Wygraliśmy - mruknął Kartauk, kiedy Ruel wrócił za zaporę. - Pierwszy krok.

Ruel ponuro kiwnął głową.

- Mam nadzieję, że nie ostatni. Chodźmy, zanim zmieni zdanie.

- Nikt mi nie powiedział, że ty też idziesz. - Odwrócili się i ujrzeni Margaret stojącą o kilka stóp od nich i wpatrującą się z niedowierzaniem w Kartauka. - Dlaczego? Nie ma potrzeby, żebyście szli obaj.

Kartauk wzruszył ramionami.

- Abdar lubi moje towarzystwo, a Ruel to tylko nieopierzony Szkot. Potrzebuje mojej pomocy.

- Nie żartuj na ten temat. Nie dość, że próbowałaś się zabić? Musisz teraz dokończyć dzieła? - Ciaśniej ściągnęła szal wokół dygocącego ciała. Jej oczy nagle rozbłysły. - Dobrze, jedź! Nie obchodzi mnie to! Niech ten potwór cię złapie i poćwiartuje! Mam nadzieję, że to zrobi. Twoja głupota na to zasługuje... - Głos jej się załamał i uciekła od nich.

Kartauk patrzył za nią z zaciekawionym wyrazem twarzy.

- Ona nie wie, co mówi - powiedział cicho Ruel.

- Margaret zawsze wie, co mówi.

Ruel zauważył, że Kartauk uśmiechał się nieznacznie.

- Nie wyglądasz na niezadowolonego.

- Nie jestem. Ona wraca do życia. - Kartauk się odwrócił. - Chodźmy.

Kiedy pięć minut później Ruel i Kartauk podeszli do brzegu, Jane czekała na nich przy łódce.

- Płynę z wami - powiedziała.

- Nie - odparł Ruel. - Nie będziesz potrzebna.

- Oczywiście, że będę. Potrzebna jest każda możliwość odwrócenia jego uwagi. Ciebie Abdar traktuje po prostu jak wyjątkową niedogodność, do mnie natomiast ma osobistą urazę za pozbawienie go Kartauka.

- Ale będzie miał już mnie - powiedział Kartauk. - Powinna mu wystarczyć ta nagroda. Zostań tu, Jane.

Jane zignorowała go, patrząc w oczy Ruelowi.

- Albo popłynę z wami tą łodzią, albo wpław. Wybieraj.

Ruel przyglądał się jej z mieszanymi uczuciami.

- Do cholery! - powiedział wreszcie. - Dlaczego mi to robisz? Nie chcę stracić jeszcze ciebie!

- Mam wchodzić do wody?

- Niech cię szlag trafi! - Złapał ją w pasie i przeniósł do łódki. - Ale zostawiasz mi Abdara i wykonujesz polecenia. Słyszałaś?

- Słyszałam.

- Zauważ, że nie powiedziała, że będzie posłuszna - powiedział Kartauk. - Uważam to za poważne niedociągnięcie.

Ruel nie odpowiedział, wziął do ręki wiosło i ze złością wbił je w wodę.

Kiedy dotarli na drugą stronę rzeki, Pachtal i Abdar stali już na brzegu z eskortą składającą się z dziesięciu żołnierzy.

- Och, jakaż wyjątkowa przyjemność! - zawołał Abdar na widok Jane. - Nie spodziewałem się ciebie. Kali zesłała na mnie szczęście.

- Dlaczego wszyscy troje? - spytał powoli Pachtal. - Nie podoba mi się to. Wasza Wysokość. Dlaczego oni wszyscy mieliby być tak skłonni do ryzykowania życia?

- Nie mogli nic na to poradzić. Mówiłem ci przecież, że jeśli nasycę się mocą z masek, wszyscy sami do mnie przyjdą - odparł z zadowoleniem uśmiechnięty Abdar. - I tak właśnie zrobiłaś, panno Barnaby. Możesz sobie myśleć, że przybyłaś, aby wspomóc swoich przyjaciół w błaganiu mnie o życie, ale się mylisz. To Kali cię wezwała.

- Kali nie istnieje - powiedziała buńczucznie Jane.

- Cicho bądź - rzucił ostro Ruel. - Chcesz wszystko jeszcze pogorszyć?

Abdar przeniósł zainteresowanie na Ruela.

- Ty zawsze byłeś tym mądrym, Szkocie. W innych okolicznościach Kali mogłaby skorzystać z twych usług. Jesteś o wiele rozsądniejszy od swego brata.

Ruel wzruszył ramionami.

- Zawsze był głupcem.

- A jednak, jak słyszeliśmy, opiekowałaś się tym kalekim głupcem przez trzy lata - powiedział Pachtal.

- Nasz Bóg obiecuje za takie uczynki raj. Kosztowało mnie to niewiele, a uważałem, że warto spróbować. - Spojrzał Abdarowi w oczy. - Ty powinieneś to zrozumieć.

Abdar roześmiał się na te słowa.

- O, tak, rozumiem. Bogowie równie łatwo dają sobą manipulować, jak manipulują nami.

- Czy moglibyśmy wysiąść z tej łodzi? - spytał Kartauk. - Czy mamy ciągnąć tę całą rozmowę w tak niewygodnych warunkach?

- Znów jesteś bezczelny. - Z twarzy Abdara zniknął uśmiech. - Niewiele się nauczyłeś, Kartauku.

- Nauczyłem się, że lubię żyć - odparł Kartauk i zawiesił głos. - I że czasem w tym celu trzeba iść na pewne ustępstwa.

Na obliczu Abdara pojawiło się nagle zainteresowanie.

- Czyżby? W takim razie bezwzględnie musimy porozmawiać. Chodźmy do mojego namiotu. - Odwrócił się i poszedł w kierunku wielkiego, ozdobnego namiotu oddalonego o kilkanaście jardów. - Pachtal, przeszukaj ich, czy nie mają broni i przyprowadź.

- Tak jest. Wasza Wysokość. - Pachtal nie spuszczał oka z przeciwnego brzegu. - Nie podoba mi się to. Dziwne...

- Że przyszliśmy się targować o życie? - spytał Ruel, wysiadając z łodzi i podając rękę Jane. - Nie w takich okolicznościach.

- Być może. - Przystojną twarz Pachtala rozjaśnił złośliwy uśmieszek. - Ale wątpię, czy wasze targi coś wam dadzą. Jego Wysokość ma niezłomną wolę włączenia was do swej kolekcji. Ufa, że dostarczycie wiele mocy. - Odwrócił się do Jane. - Z tym, że ty dołączysz dopiero wówczas, kiedy już nam dostarczysz rozrywki.

- To ci mogę obiecać - odrzekła Jane. - Może aż za wiele, jak na wasz gust.

- A, masz zamiar walczyć? To nas bardzo rozweseli. - Pachtal szybko ich obszukał i zwrócił się do oficera: - Obserwuj drugi brzeg, czy nie wypływają stamtąd inne łodzie. To wszystko było zbyt łatwe.

- A widzisz jakieś łodzie? - zapytał go Ruel. - Niestety, dopadliście nas nie przygotowanych.

- To chyba możliwe. - Pachtal skinął w stronę namiotu. - Jego Wysokość się niecierpliwi.

- Nie chcemy tego - mruknął Ruel. Wziął Jane za rękę i ruszył do namiotu. Jego dotknięcie było ciepłe i podniosło ją na duchu, łagodząc przenikające jej ciało dreszcze.

Ale nawet ono znikło, kiedy weszli do namiotu.

Płomienie białych świec, ustawionych w wysokich lichtarzach, rozjaśniały pogrążone w półmroku wnętrze. Oświetlały Abdara, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na olbrzymiej, białej, satynowej poduszce i odbijały się w kilkunastu złotych maskach, otaczających go odrażającym kręgiem.

Jane zapało dech w piersiach. Ból i potworne cierpienie, zastygłe w maskach, spowodowały, że jej żołądek skurczył się w odruchu mdłości.

- Spokojnie - powiedział Ruel półgłosem, zaciskając mocniej dłoń na jej ręce.

Jane z trudem przełknęła i oderwała wzrok od masek. Dobry Boże, dopiero teraz uświadomiła sobie w pełni, jak bardzo Abdar był niebezpieczny.

- Moc - powiedział miękko Abdar, kiedy Jane zdała sobie sprawę, że na nią patrzy. - Czujesz ją, prawda?

Jeśli zło znaczyło moc, to tak, czuła jego obecność.

- Nie.

- Kłamiesz. Musisz ją czuć - powiedział z wykrzywionymi gniewem ustami. Wskazał ręką podłogę przed sobą. - Siadajcie.

Kiedy usiedli, maski były oddalone zaledwie o parę cali od kolan Jane, lśnić złotem i cierpieniem w blasku świec.

- Prace Benaresa nie są nawet w przybliżeniu tak dobre jak twoje, Kartauku. - Abdar podniósł jedną z masek. - Z tego tematu zrobiłbyś coś naprawdę wielkiego. Miała olbrzymią siłę życia.

Zabrie.

Jane myślała, że nie umie się już bardziej przerazić, ale rozpoznanie wśród tych udręczonych duchów kogoś znajomego było jeszcze okropniejsze.

- Zawsze był zbyt niecierpliwy w ostatniej fazie - odparł Kartauk bez wyrazu. - To powszechny błąd.

- Którego ty nigdy nie popełniłeś.

- No cóż, ale ja jestem wspaniała.

- To prawda. - Abdar odłożył maskę. - Ale czy mogę ci zawierzyć, że znów nie uciekniesz? Oto jest pytanie. Nie lubię być rozczarowywany.

- Czy moglibyśmy odłożyć na bok sprawę masek i przedyskutować warunki? - spytał Ruel.

- Wydajesz się trochę podenerwowany. - Abdar posłał mu wredny uśmiech. - Czyżby cię nie ucieszyła ta maska, którą ci przesłałem? Pachtal twierdzi, że to było jedno z najbardziej udanych dzieł Benaresa. Byłem bardzo zawiedziony, że nie miałem okazji jej zobaczyć. Może mi ją zwrócisz do mojej kolekcji?

Twarz Ruela pozostała nieruchoma.

- Raczej nie.

- Dlaczego jej nie widziałeś? - spytał nagle Kartauk. Jane zauważyła, że wpatrywał się w Pachtala, a wówczas uświadomiła sobie dziwne napięcie w postawie przystojnego pomocnika Abdara.

- Źle zrozumiałem rozkazy Jego Wysokości i przesłałem maskę, zanim zdążył ją zobaczyć - powiedział sztywno Pachtal. - Miał rację, gniewając się na mnie.

- Warunki - naciskał Abdara Ruel.

- To ja wybiorę czas na tę rozmowę - odrzekł mu wyniośle Abdar. - Nie macie żadnych atutów przetargowych, bo inaczej nie byłoby tu was.

- To niezupełnie prawda. Ty potrzebujesz złota, a ja mam zaufanie Cinnidarian. Za procent od zysku mógłbym kierować dla ciebie kopalnią i zajmować się kontaktami z tubylcami.

- Ale ja ich nie potrzebuję. Już moi pradziadowie uznali ich za niegrzecznych i niechętnych do współpracy. Sprowadzę z Kasanpuru własnych ludzi.

- Ale to by oznaczało opóźnienie, którego nie chcesz. Razem moglibyśmy...

- Co to było? - przerwał mu Pachtal. Siedział z dziwnie przechyloną głową, nasłuchując. Abdar zmarszczył brwi.

- Nic nie słyszałem.

- To było... coś jak parsknięcie? Jakby woda... - Pachtal wyszedł z namiotu. - Zaraz wrócę. Jestem pewny, że słyszałem...

Naraz powietrze napęliły nieziemskie wrzaski.

Abdar jednym skokiem stanął na nogach i podbiegł do wejścia do namiotu.

- Pachtal! Co to jest?

- Zostań tutaj - powiedział Ruel do Jane i podążył za Abdarem. - Kartauk, trzymaj ją tu, w namiocie, tu jest bezpiecznie.

Jane kompletnie go zignorowała i wybiegła z namiotu. Wiedziała, czego się spodziewać, ale i tak widok był niesamowity. Na całej długości brzegu wyłamały się z wody słonie, lśniące, wilgotne, olbrzymie, jak koszmarnie stwory z głębin. Jeźdźcy na ich grzbietach byli niemal nadzy, a nieśli tylko dzidy i trzciny, przez które oddychali pod wodą, kiedy słonie płynęły pod powierzchnią.

Stado z tupotem biegło już przez obozowisko, a atak prowadził Li Sung na Danorze. Żołnierze, wzięci przez zaskoczenie, uciekali przed słoniami, które grzmiały na nich i nad nimi.

Wszędzie wybuchł chaos - żołnierze biegali, krzyczeli, strzelali.

- Z drogi! - Dilam pochyliła się z grzbietu słonicy i wyrwała z jednego ze stojaków pochodnię. Podpaliła namiot Abdara i ruszyła za Li Sungiem, podpalając po drodze namioty i zarośla.

- No, to tyle byłoby z trzymania cię bezpiecznie wewnątrz - mruknął Kartauk, łapiąc Jane za rękę i odciągając od płonącego namiotu.

- Gdzie jest Ruel? - Rozpaczliwie przeszukiwała wzrokiem kłębowisko słoni i żołnierzy. - Nie widzę go!

- Nic dziwnego - odparł Kartauk, ciągnąc ją w stronę drzew okalających brzeg. - W tym dymie i zamieszaniu zaskoczyłoby mnie, gdybyś go dojrzała.

Wyrwała mu się.

- Zostaw mnie! Nigdzie nie pójde bez Ruela.

Całe obozowisko płonęło. W gęstym dymie nie była w stanie nawet rozpoznać sylwetek ludzkich. Usłyszała wrzeszczącego Abdara. Wykrzykiwał rozkazy, ruszyła więc w kierunku

jego głosu. Wiedziała, że Ruel na pewno będzie tam, gdzie można spotkać Abdara. Oczy ją szczypały, a płuca wypełnione dymem protestowały. Odskokzyła na bok, kiedy z ciężkiej, czarnej zawiesziny wypadł nagle słoń i przebiegł z łomotem.

Wycie żołnierzy i trąbienie słoni zagłuszyło głos Abdara.

- Ruel! - zawołała.

- Ty dziwko! - Z dymu wychynał Pachtal z twarzą wykrzywioną wściekłością. Podniósł rękę, a Jane dostrzegła błysk stali - sztylet!

- Padnij! - ryknął Kartauk i zwałił ją z nóg, kiedy sztylet Pachtala opadał na jej pierś.

Pachtal zachwiał się, wytrącony z równowagi. Kartauk znalazł się nagle za jego plecami i otoczył potężnym ramieniem jego szyję.

Pachtal klął, oczy prawie wylazły mu na wierzch, twarz jego już nie była piękna. Kartauk szarpnął ramieniem w tył i Jane usłyszała przyprawiający o mdłości trzask pękających kręgów szyjnych Pachtala.

Na jego twarzy zastygł wyraz zdziwienia. Nie cierpienia. Zdziwienia.

Kartauk puścił go i Pachtal opadł na ziemię.

- Żegnam - powiedział Kartauk, pochylił się i wyjął krupowi z ręki sztylet. - Żałuję, że to nie Abdar, ale na niego zasada się Ruel.

- Skąd wiesz? - spytała Jane. - W tym dymie nic nie widać. Abdar może się nawet za nim przemknąć.

- Jest tam. - Kartauk patrzył nad jej ramieniem.

Odwróciła się na pięcie i ujrzała Ruela, oddalonego ledwie o kilka jardów.

Abdar leżał na ziemi z nogą wygiętą pod dziwnym kątem, z rozciętą i krwawiącą wargą. Nad nim stał Ruel. Jego włosy rozsypały się w walce i teraz otaczały mu twarz dzikimi splotami.

Dobry Boże, jego twarz...

Tygrys wścieka się głośno...

Jane przypomniała sobie słowa Iana. Wściekłość Ruela ubrana była w jakieś straszliwe piękno, płonęła nienawiścią i zemstą.

Abdar wyrzucił do niego coś niesłyszalnie i próbował podnieść się na kolana.

- Ruel! - zawołał Kartauk.

Kiedy Ruel przeniósł na niego wzrok, Kartauk rzucił mu nóż przed chwilą odebrany Pachtalowi.

Ruel pozwolił, żeby nóż upadł na ziemię.

- Nie, to za szybkie. - Wziął Abdara na ręce i poniósł wierzgającego i szarpiącego się głębiej w dym, w pobliże płonącego namiotu. - Ty i Jane, idźcie do drzew!

- Kali cię pokarze! - wyszłochał Abdar. - Zobaczysz! Kali cię zabije!

- Niedługo sam z nią to omówisz - odparł Ruel przeniósł go obok płonącego namiotu i rzucił na brzeg rzeki. - Li Sung!

- Tutaj! - Z drugiego końca polany, z głębi dymu, dobiegł go głos Li Sunga.

Ruel odszedł pod drzewa, gdzie stali Jane i Kartauk.

- Słonie już swoje zrobiły! - zawołał. - Zabierz je już na drugą stronę rzeki!

- Chętnie! - odkrzyknął Li Sung. - Nie odpowiada im ten ogień i dym!

- Nieee! - wrzasnął Abdar, zrozumiałwszy znaczenie tego rozkazu.

Ruel powiedział o sztylcie, że jest zbyt szybki. To też mogło być szybkie, ale Abdar umrze w potwornym przerażeniu, śmiercią, której zawsze się bał najbardziej.

- Nie, nie róbcie... - urwał, ujrawszy pędzące na niego spośród dymu słonie. - To nie jest wola Kali! To nie...

Jane wątpiła, czy w swym dążeniu do ucieczki od ognia i dymu słonie choćby zauważyły jego ciało na brzegu.

To była sprawiedliwość. Nie ruszyłaby nawet palcem w jego obronie, nie potrafiła jednak na to patrzeć. Zamknęła oczy, ale nie mogła nie słyszeć wrzasków Abdara, kiedy słonie go rozdeptowały.

Otworzyła oczy, gdy krzyki ucichły, ale odwróciła wzrok.

Ruel nie zamknął oczu. Z dziką satysfakcją wpatrywał się w zmiażdżone resztki ciała wroga.

Tygrys wścieka się głośno.

Jedźcie przodem - powiedział Kartauk do Jane i Ruela, kiedy wsiedli do łodzi, żeby wrócić na drugi brzeg. - Ja mam tu jeszcze coś do zrobienia.

- Co? - spytał go Ruel.

- Maski. - Kartauk obejrzał się na poszarpane, szerniałe resztki namiotu Abdara. - Namiot zniszczono tylko częściowo. One tam ciągle są.

Jane zadrżała.

- Zostaw je tutaj. Przecież ich chyba nie chcesz?

- Nie mogę ich zostawić - odparł po prostu Kartauk. - Złoto jest wieczne. Wrzucimy je do rzeki i za tysiąc lat wciąż będą tam leżały. Podoba ci się taka myśl?

- Nie. - Jane wiedziała, że i tak wspomnienie tych okropieństw będzie ją prześladować do końca życia. - Jak można je zniszczyć?

- Nie można ich zniszczyć. Mówiłem ci, złoto jest nieśmiertelne. - Uśmiechnął się blade. - Ale mogę je zmienić. Mogę stopić złoto i zrobić z niego coś pięknego zamiast tego ohydztwa.

- Maskę Iana też?

- Nie jestem pewny. - W głębokim namyśle zmarszczył brwi. - W zachowaniu Pachtala było coś dziwnego, kiedy o niej wspomniałem. - Odstąpił od łodzi. - Wrócę do obozu, jak je tylko odnajdę.

21

Kiedy Jane i Ruel przybyli do obozowiska, przypominało ono okrągły plac targowy, na którym kłębili się Cinnidarianie, śmiejąc się w głos, gestykulując i przeżywając na nowo swoje zwycięstwo.

Ten nastrój podziałał również na Jane. Było jej lekko na duchu i wesoło. Przeszukiwała tłum wzrokiem.

- Nie widzę Li Sunga.

Ruel kiwnął głową.

- Tam jest.

Li Sung zmierzał w ich kierunku, ale co kilka kroków zmuszony był się zatrzymać i rozmawiać ze świętującymi. Kiedy już do nich dotarł, jego twarz wyrażała tę samą euforię, co twarze reszty wyspiarzy.

- No i czy nie byliśmy wspaniali?

- Byliście. Jakie są straty? - spytał Ruel.

- Żadnych ofiar śmiertelnych. Siedmiu rannych. - Ruchem głowy wskazał pośpiesznie sklecone nosze po drugiej stronie obozu. - Margaret i Tamar opiekują się nimi.

- A słońce?

- Jeden postrzelony. Dilam oczyszcza właśnie jego ranę. Mówi, że to nic poważnego.

- To dobrze - powiedziała Jane z ulgą. - Bałam się, że będzie gorzej. Była taka strzelanina.

- Żołnierze z przerażenia nie mogli trafić nawet w tak wielki cel jak słoń. Pewnie nie zatrzymają się, dopóki nie dobiegną do swojego statku. - Li Sung zaśmiał się. - To było naprawdę zabawne.

- Nawet pływanie pod wodą? - spytała Jane z uśmiechem.

Li Sung się skrzywił.

- Zapewniam was, że wcześniej dokładnie sprawdziłem te trzciny, które dostarczył Ruel. Woda nigdy nie będzie moim ulubionym żywiołem.

- Ale świetnie sobie w niej poradziłeś - odparł Ruel. - Nie można było tego zrobić lepiej, Li Sung.

- Masz rację. Byłem wspaniały. Nawet Dilam to potwierdza. - Odwrócił się. - Spotkamy się później. Muszę pomóc Dilam przy rannym słońcu.

Jane odprowadziła wzrokiem jego kuśtykającą przez tłum sylwetkę. Był wciąż ubrany tylko w opaskę biodrową, w której przekraczał rzekę. Miał nagie nogi.

- Co się stało? - spytał Ruel, widząc zaskoczenie na jej twarzy.

- Jego chora noga... Zawsze ją zakrywał, nawet przede mną.

- Teraz wyraźnie go to nie kłopotuje. Może uznał, że nie ma czego ukrywać? - powiedział

Ruel. - Chyba każdy z nas trochę się po tym otworzył.

Popatrzyła na niego z rozbawieniem. On chyba myślał, że tak jest naprawdę. Jane wątpiła, czy Ruel kiedykolwiek przed nią się otworzy. Raczej już zawsze będzie tym tajemniczym mandarynem, który zdominował jej myśli i uczucia przez ostatnie trzy lata. Ale będzie też tym mężczyzną, który poszarpał sobie ciało, włokąc Kaleba przez dżunglę, i tym delikatnym, zmaltretowanym człowiekiem, który trzymał ją w ramionach dwie noce wcześniej.

- No, to co teraz robimy?

- Jutro wrócimy do pałacu, żeby ocenić straty i zacząć naprawy. - Zachmurzył się. - Trzeba też podjąć pewne kroki...

Ian.

Skinęła głową i podeszła bliżej.

- Może byśmy poszli do Margaret i powiedzieli jej o Abdarze?

Ruel wziął ją za rękę.

- Masz rację, dobrze będzie przynieść jej dla odmiany jakąś dobrą wiadomość.

Kartauk wrócił do obozowiska dopiero cztery godziny później. Kiedy jego łódź wreszcie dobiła do brzegu, czekała na niego Margaret.

- No i co, udało ci się znaleźć tyle kłopotów, żebyś był zadowolony? - spytała, kiedy wysiadł z łodzi. - Jane i Ruel wrócili natychmiast, tylko ty musiałeś zostać i przeszukiwać popioły jak strzyga cmentarz?

- Co za miłe powitanie! - Wciągnął łódź na piach. - Czekaaś tu, żeby mnie wyzwąć od strzyg, czy z ciekawości?

- Ciekawości?

Skinął głową w stronę worka na dnie łodzi.

- Przecież ci powiedzieli o maskach, prawda?

- Mówisz, jakbyś wierzył, że zostanę tu, żeby zobaczyć te okropieństwa. Powinnaś być wiedzieć, że brak ci delikatności i zrozumienia.

- To po co czekałaś na tym wilgotnym brzegu na moją nieważną osobę?

- Wiesz, dlaczego tu jestem.

- Tym razem musisz mi to powiedzieć.

Spojrzała na niego jakby oszołomiona, po czym z niechęcią odrzekła:

- Żałuję tego, co powiedziałam przed twoim odjazdem. Moje słowa były nie przemyślane. Nie chciałam... Nigdy nie chciałabym, żebyś umarł.

- Ulżyło mi.

- Nieprawda! - powiedziała ostrym tonem. - Za dobrze mnie znasz, żeby nie wiedzieć, o czym naprawdę myślę. Dlatego zmuszanie mnie do mówienia takich rzeczy jest wyjątkowo podłe.

- Wyjątkowo - zgodził się. - Teraz zrób porządne palenisko, a ja pójdę do Medforda po maskę Iana.

Wzdrygnęła się i pobiegła wzrokiem do worka.

- Jane powiedziała mi, że masz zamiar stopić maski.

- My mamy zamiar je stopić, terminatorze.

- Chyba nie mogę.

- Trzeba to zrobić - przerwał jej. - A ty potrafisz zrobić wszystko, jeśli się do tego przyłożysz.

- Dzisiaj?

- Dzisiaj. - Odwrócił się i ruszył w górę brzegu. - Rozpal ogień tu, na brzegu. To potrwa przez prawie całą noc, a nie powinniśmy przeszkadzać innym.

Ogień już płonął, kiedy wrócił, niosąc pod pachą drewniane pudełko, które Margaret rozpoznała jako przywiezione przez Tamara do obozu Medforda. Unikała spoglądania na pudło, poprawiając drwa pod wielkim, czarnym kotłem.

- Pozostałe maski już włożyłam do kotła. Staralam się na nie nie patrzeć, ale nie mogłam się powstrzymać. Miałeś rację, Abdar był potworem.

- Mogłaś poczekać - powiedział delikatnie. - Oszczędziłbym ci tego.

Powtórzyła jego słowa:

- Trzeba było to zrobić. - Wargi jej drżały. - Ale chyba pozwolę, żebyś sam dorzucił maskę Iana do tej zwyrodniałej kolekcji.

- Nie.

Poczuła się, jakby ją uderzył.

- Oszczędziłbyś mi tamtych okropieństw, ale nie najgłębszej rany? To jakieś pogańskie fanaberie?

Kartauk wyciągnął w jej stronę pudełko.

- Otwórz je.

- Nie! - Usiadła obok ogniska i podkurczyła pod siebie nogi. - Nie spojrzę na to.

Sam otworzył pudełko.

- Czy mam ją wyjąć i trzymać ci przed nosem?

- Dlaczego mi to robisz? - Wbiła wzrok w ogień. - Nie zasługuję na to.

- Nie zasługujesz na to, żeby do końca życia męczyły cię wspomnienia. - Jego głos zmiażdżył. - Czy już zupełnie straciłem twoje zaufanie? To nie jest następna zdrada Margaret.

Popatrzyła na niego zaszokowana.

- O czym ty mówisz? Nigdy nie uważałam, że mnie zdradziłeś.

- Nawet w głębi serca? - Podsunął jej pudełko. - Udowodnij to. Pokaż, że mi ufasz.

Przełknęła ciężko.

- Nie każ... - Urwała, napotkawszy jego spojrzenie. - Żadnej litości, Kartauk? - szepnęła.

- Żadnej litości, paniusiu - odparł z uśmiechem.

Powoli, niechętnie spuściła wzrok na maskę w pudle.

Zachłysnęła się, kiedy jej ciało przeszył dreszcz.

- Boże na niebiosach! - Dotknęła delikatnie złotych ust maski. - On wygląda...

- Radośnie - podpowiedział jej miękko Kartauk. - Nie pozwolił wygrać Abdarowi i Pachtalowi. Pobił ich.

- Ale mówiłeś, że ta trucizna jest straszliwa.

- Bo jest. Ale jestem pewny, że jej nie poczuł. Wygląda, jakby dopiero co był świadkiem cudu.

- Światło... - Poczuła, jak topi się w niej straszny ciężar smutku. - Zapomniałam o świetle.

- Nigdy więcej o nim nie zapominaj. - Zawiesił głos. - Nawet gdybyś miała w tym celu zatrzymać tę maskę.

Margaret patrzyła na nią przez długą chwilę. Potem powoli pokręciła głową.

- Nie potrzebuję niczego, co Abdar uznał za godne przypominania mi o Ianie. - Wstała i wrzuciła maskę do kotła z pozostałymi. Jej oczy lśniły od łez, kiedy odwróciła się do Kartauka z drżącym uśmiechem. - Zrób coś pięknego, Kartauk. Coś tak pięknego, żeby wstrząsnęło niebem i ogrzało serce każdemu, kto na to spojrzy.

- To wielkie wyzwanie. - Oddał jej uśmiech. - Na szczęście wybrałaś artystę na tyle wielkiego, że potrafi mu podołać. - Podniósł pokrywę i dokładnie zakrył kocioł. - Musimy podgrzewać kocioł przez całą noc, żeby utrzymać temperaturę topnienia. - Usiadł. - Oczywiście, ty, jako prosty terminator, masz obowiązek dostarczenia odpowiedniej ilości drewna.

- A ty będziesz siedział na tyłku i nadzorował?

- Oczywiście.

Usiadła obok niego.

- To mnie nie dziwi. Pogańskie lenistwo.

- Właśnie.

Pilnowali ognia przez całą noc, przez większość czasu siedząc w miłym milczeniu. Już prawie świtało, kiedy Margaret odezwała się z wahaniem:

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Tak myślałam.

- Chociaż Ian nie żyje, nie mogę... - Urwała i dokończyła po namyśle: - Nie mogę czuć do ciebie tego samego co przedtem.

- Wiem.

- Wszystko jest inne. Zmienione.

- Wszystko się ciągle zmienia. Pory roku mijają, dzieci się rodzą, ludzie umierają. - Skinął

w strona kotła. - Tych masek już nie ma. Kolejna zmiana.

- Mam na myśli, że nie mogę...
- Ciiicho. - Spojrzał jej w oczy. - Wiem, co chcesz powiedzieć. Zawsze to wiem. - Sięgnął do ogniska i poprawił drwa. - Chyba potrzebujemy więcej drewna, terminatorze.

Ta wielka paka też idzie na statek, Tamar - powiedziała Jane, przechodząc szybko przez pałacowy korytarz. Wskazała wielką, alabastrową wazę w kącie obok głównego wejścia. - To też zapakuj. Zawsze bardzo ją lubił...

- Wyjeżdżasz gdzieś, Jane? - Li Sung stał w progu, wodząc oczami za trzema służącymi, biegnącymi za Jane, noszącymi paczki i meble.

- Oczywiście, że nie - odparła Jane. - Margaret zabiera Iana do Glencaren na pochówek. Odpływa za dwa dni, a ja pomyślałam, że pewnie chciałyby mieć kilka ładnych mebli do rozjaśnienia tej wielkiej stodoły. Myślę o zamku.

- Nie będą pasowały - powiedział Li Sung. - Glencaren to nie Cinnidar.

- Piękno zawsze pasuje. - Gestem kazała sługom iść naprzód i poprowadziła Li Sunga na taras. - Jak idą prace w porcie?

- Nieźle. Jest dużo zniszczeń w magazynach, a Medford będzie musiał położyć jeszcze raz pięć mil szlaku. Mieliśmy szczęście, że Abdar z takim pośpiechem pognął za Ruelem i nie wyrządził takich samych szkód na dnie kanionu.

- Tak, mieliśmy szczęście - zgodziła się. - Sądzę, że jak skończymy tu naprawy, to ukończenie linii zabierze nam już tylko miesiąc.

Li Sung pokręcił głową.

- Dwa miesiące.

Jane zmarszczyła brwi.

- Dlaczego? Nie przewiduję żadnych problemów.

- Masz wielki problem. Nie będziesz już miała zastępcy w mojej osobie.

- Co?

- Odchodzę. Teraz Ruel już może poczekać na swoją linię kolejową.

- Odchodzisz? Dokąd?

- Dilam twierdzi, że najwyższy czas, żebym odwiedził Wysoką Radę.

- A po co miałbyś to robić?

Chińczyk posłał jej łobuzerski uśmiech.

- Czas, żeby to matriarchalne społeczeństwo uznało paru męskich przywódców.

- A to nie może poczekać?

Li Sung pokręcił głową.

- Bitwa przeciw Abdarowi przyniosła mi powszechny szacunek. Muszę kuć żelazo, póki gorące. Poza tym - dodał - muszę poznać dzieci Dilam. Już czas.

- *Nesling?* - spytała Jane z lekkim uśmiechem.

- Dużo więcej niż *nesling* - odrzekł miękko.

- To wspaniała kobieta. Wszystkiego najlepszego. Li Sung. - Cieszyła się jego szczęściem, naprawdę się cieszyła. I uczucie to było pozbawione smutku, który odczuwała wcześniej. Była głupia, nie zdając sobie sprawy, że mimo iż idą różnymi drogami, zawsze będzie między nimi więź, zbyt silna, aby ją coś zerwało. - A więc przyszedłeś powiedzieć mi, że muszę skończyć linię bez ciebie.

Jego uśmiech zniknął.

- Nie, przyszedłem zobaczyć się z Ruelem.

- Po co?

- Żeby mu powiedzieć, że jest głupi.

Jane znieruchomiała.

- Jak to?

- Ślepy głupiec! On myśli, że to ty zamówiłaś te tory, przez które doszło do katastrofy w Wąwozie Lanpur.

Jane patrzyła na niego w oszołomieniu. Po tak długim czasie, skąd mógł się dowiedzieć?

Medford. Powinna była to przewidzieć, że do tego dojdzie, skoro Li Sung i Medford pracowali razem przez ostatnie tygodnie.

- Medford ci powiedział?

- To ty powinnaś była mi powiedzieć. Przecież jesteśmy przyjaciółmi.

- Nie chciałam...

- Wiem, dlaczego mi nie powiedziałaś. - Spojrzał jej w oczy. - Ale dlaczego nie powiedziałaś Ruelowi? I reszcie świata?

- Nie miałam wyboru - odparła ze znużeniem.

Przyglądał jej się przez chwilę, po czym pokiwał głową.

- Patrick. Tak myślałem. Obietnica?

- I spłacony dług.

- No cóż, ja nie składałem obietnic. Ja powiem Ruelowi.

- Nie!

Li Sung spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Chcesz, żeby wciąż o tobie źle myślał?

- To już przeszłość.

- Powinien wiedzieć, że jesteś niewinna.

- Nie byłam wcale tak do końca niewinna. Z pełną świadomością przymknęłam oko... - Dostrzegła wyraz uporu w jego twarzy, więc szybko powiedziała: - Ruel ma teraz dużo większe poczucie winy w stosunku do Iana niż ja. Nie zostawię go w tym samego.

Chińczyk powoli pokiwał głową.

- Powinienem był wiedzieć, że chodzi o coś takiego. Ale ponoszenie takiego ciężaru nie wchodzi w zakres opieki.

- To nie jest ciężar. - Jane uśmiechnęła się, starając się mu wytłumaczyć. - Nie rozumiesz? Ja chcę, żeby tak było. Ruel kocha mnie mimo tego, co - jak sądzi - zrobiłam. Trzeba mnóstwo uczucia, żeby przełamać taką przeszkodę. Dał mi wielki i wspaniały podarunek.

- I nigdy mu nie powiesz?

Pokręciła głową.

- I ty też nie powinienes.

- Nie można utrzymać czegoś takiego w sekrecie na zawsze. On nie będzie w stanie żyć z tobą i nie zorientować się, że nie jesteś zdolna do takiej rzeczy.

- Obiecuj mi, że nie powiesz Ruelowi.

- Nie powie mi czego? - Ruel wspinał się po schodach. - Jakieś złe wieści. Li Sung? Myślałem, że odbudowa idzie dobrze.

Jane cała się spięła, błagalnie wpatrując się w twarz Li Sunga.

- Bo tak jest. - Zawahał się i dokończył: - Jane chciała po prostu sama ci przekazać nowinę.

- Jaka?

- Odchodzę na pewien czas. Możliwe, że będziesz musiał trochę dłużej poczekać na ukończenie linii.

Jane z ulgą wypuściła powietrze z płuc.

- Muszę już iść. - Li Sung zaczął schodzić po schodach tarasu. - Ona ci dopowie resztę.

Ruel odprowadził go wzrokiem i zwrócił się do Jane.

- Co się stało?

- Nic się nie stało. - Wsunęła dłoń w jego rękę. - Ale, jak powiedział Li Sung, będziemy mieli opóźnienie. On i Dilam planują strategię jego wejścia w skład Wysokiej Rady.

- Opóźnienie to duży problem.

- Możemy je wykorzystać. Doszłam do wniosku, że Li Sung ma rację. Możesz poczekać na swoją kolej.

Ruel uśmiechnął się i zadrwił:

- Naruszysz warunki swojego kontraktu. - Rzucił zaciekawione spojrzenie za Li Sungiem. - Ale to nie wszystko, prawda? O co chodzi?

Jane wiedziała, że musi odwrócić jego uwagę.

- Będziemy je renegocjować. - Urwała. - Ale po ślubie.

Ruel zastygł.

- Ślubie?

- Po narzeczeństwie zwykle następuje ślub. Przecież mówiłaś, że jesteśmy narzeczonymi.

- Nie wspominałaś...

- Czy chcesz powiedzieć, że nie chcesz się ze mną ożenić? Ostrzegam cię, nie jestem kobietą, która lekko przyjmie taką obrazę!

- Oczywiście, że chcę się z tobą ożenić - odparł niecierpliwie. - To ty zawsze unikałaś tego tematu. Kiedyś mi powiedziałaś, że nie odpowiadałoby ci takie życie, jakie ci zaproponowałem.

- A ta oferta się nie zmieniła?

- Nadal musiałabyś mieszkać na Cinnidarze. - Wykrzywił ponuro usta. - Chociaż myślę, że zrównałbym to miejsce z ziemią, gdyby myśl o mieszkaniu w pałacu była ci aż tak nienawistna, jak mówiłaś.

- Li Sung uważa Cinnidar za raj. A raj to nie takie złe miejsce do zamieszkania. - Roześmiała się i rozejrzała po wspinałym, wielopoziomowym tarasie. - A pałac to tylko to, co się buduje. Mogłabym wprowadzić parę poprawek.

- A twoja kolej?

Jej uśmiech zbladł.

- Potrzebuję pracy. Pożytecznej pracy. Nie potrafię przestać pracować.

- Przecież mamy tu kolej, do cholery!

- A jeśli nie wystarczy mi dowodzenie twoją koleją? A jak zechcę wybudować własną?

- Możesz ją tu zbudować. Możesz pokryć torami całą tę przeklętą wyspę!

- Na Cinnidarze jest miejsce tylko na jedną kolej.

Ruel wyrzucił w geście rozpaczony ręce w górę.

- Dobrze. Obiecałem ci twoją własną kolej, kiedy ukończysz moją. Dostaniesz ją. Możesz sobie wziąć moją. Podpiszę zrzeczenie praw na ciebie. To cholernie wielka władza. Jeśli zdecydujesz odciąć moje dostawy złota jestem ugotowany. Czy to cię zadowoli?

Jane uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

- Tak, to mnie zadowala. Chyba dobrze ci zrobi, jak będziesz miał się czym martwić.

- Bardziej bym się martwił, gdybyś mnie opuściła. - Chwyił ją za ramiona. - Myślałem o tym. Pamiętasz, kiedyś mi powiedziałaś, że nie cały twój świat kręci się wokół mnie.

Jane miała tylko mgliste wspomnienia z tej nocy, kiedy czuła się opuszczona przez Li Sunga.

- Chyba pamiętam.

- No więc mój cały świat kręci się wokół ciebie.

Roześmiała się.

- Jestem zaszczyczona. Nie wokół każdej kobiety kręci się takie królestwo jak Cinnidar.

- Ja nie żartuję. - Przyciągnął ją bliżej do siebie. - Nie chcę, żeby kiedykolwiek wróciła przeszłość. - Następne jego słowa prawie zginęły we włosach, w których ukrył twarz. - Byłem... samotny.

Jane poczuła szczypanie pod powiekami. To rzadkie wyznanie było bardzo trudne dla Ruela i świadczyło tylko o jego zaufaniu do niej.

- Ja też.

- Nie tak jak ja. Ty zawsze zbierasz ludzi wokół siebie. Ja umiem ich do siebie przyciągnąć, ale nie potrafię nikomu zaufać, zbliżyć się.

Otoczyła go ramionami.

- Niektórzy nie dadzą się odepchnąć.

- Musiałem się do ciebie zbliżyć - powiedział ochryple. - Byłaś mi potrzebna. Gdybyś mnie teraz opuściła, chyba nie zniósłbym tego. Wrzeszczałbym, wył i rozpieprzył ten świat na kawałki.

Tygrys wścieka się głośno...

Walcząc ze łzami odparła lekko:

- Chyba nie możemy do tego dopuścić. Chyba lepiej będzie, jak z tobą zostanę.

- Obiecay mi.

Był dziwnie zeszywniały w jej objęciach. Instynktownie wyciągnęła rękę i pogładziła naprężone mięśnie jego karku.

- Dlaczego miałabym cię opuścić?

- Obiecay mi!

Jego matka odeszła i zostawiła go. Ian, jedyna osoba, którą kochał, też go opuścił. Śmierć

nie wzięła go sobie tak po prostu; on za nią poszedł radośnie.

- Masz moje słowo - powiedziała miękko. - Nigdy, nigdy cię nie opuszczę.

Napięcie zelżało. Stał po prostu, obejmując ją, kiedy poblask zachodzącego słońca opadł na tarasy i rozpalil lustrzane wody geometrycznych basenów różową luną.

- Uszczęśliwię cię - powiedział. - Obiecuję, że zrobię wszystko, żebyś zapomniała początki.

- Nie. - Spojrzała mu w twarz. - Nie chcę zapomnieć ani chwili. Złe i dobre czasy zupełnie się wymieszały. Nie można zapomnieć o jednym, a pamiętać o drugim. Na Boga, nie oddam ani sekundy z dobrych chwil!

- Ciesz się tym. Też uważam, że warto było to wszystko przeżyć. Ale będzie lepiej. - Szybko ją pocałował, odsunął się, otoczył jej talię ręką i podprowadził do balustrady nad kanionem. - Będę tak cholernie dobrym mężem, że nawet Maggie to przyzna.

Zachodzące słońce skąpało górę w szkarłacie.

Piękno. Wspaniałość. Raj.

Ruel nie podziwiał widoku. Na jego twarzy nagle pojawił się wyraz nieobecności.

- Jutro będę musiał wysłać brygady z powrotem do pracy w kopalni. Pracowali do tej pory w porcie z Li Sungiem. - Przez chwilę milczał, po czym nagle odwrócił się i spytał:

- Chciałabyś pojechać do Johannesburga?

- Do Johannesburga? - spytała zszokowana.

- Nie na długo - powiedział prędko. - Pomyślałem tylko... Skoro i tak ma być opóźnienie w budowie, moglibyśmy...

- Po co miałabyś jechać do Johannesburga?

- Dzisiaj przyplłynął frachtowiec, a kapitan opowiedział mi, że donoszą o kolejnym wielkim polu złotoonośnym na północ od miasta.

Jane była naprawdę zadziwiona.

- Masz przecież całą górę złota, czekającą na rozkopanie.

Skrzywił się.

- Chyba masz rację. Życie w takich obozach jest twarde, a tobie pewnie by się nie podobało. Wiem, że nie potrzebuję już więcej złota. Zachowuję się bez sensu.

Zachowywał się bez sensu, owszem. Ale Jane uświadomiła sobie, że zachowywał się dokładnie jak Ruel MacClaren.

To nie jest człowiek, który się czuje wygodnie w pałacu.

Tak powiedział Li Sung. I miał rację. Cinnidar mógł być domem dla Ruela, ale zawsze jakaś jego część będzie tęsknić za poszukiwaniem przygód. Po spędzeniu dotychczasowego życia na stawianiu czoła całemu światu nigdy nie będzie umiał poddać się łagodnie życiu w tym pałacu, w luksusie oferowanym przez Cinnidar.

Zupełnie jak ona.

Na tę myśl poczuła uniesienie i ulgę. Miała zamiar tu zamieszkać, bo to był dom Ruela, bo go kochała i chciała, żeby był szczęśliwy, ale tak naprawdę nie miała na to ochoty. Raj to piękne miejsce na powroty, ale na zewnątrz jest Świat do podbicia.

- Jak myślisz, czy ci kopacze będą potrzebowali linii kolejowej, żeby dostarczać złoto do miasta? - spytała.

Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Wcale by mnie to nie zdziwiło.

- A więc uważam, że naprawdę powinniśmy pojechać do Johannesburga. - Zamrugła. - Poza wszystkim, ta twoja kopalnia może się wyczerpać za sto lat i nasze prawnuki zostaną bez środków do życia.

- Zawsze jest taka możliwość. - Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się radośnie, po czym złapał ją na rękę i okręcił się wokół. - Naprawdę byś pojechała? Nie mówisz tylko tak sobie?

Pokręciła głową.

- Chciałabym tam wysiąść z pociągu i rozejrzeć się. Cinnidar będzie ostatnim przystankiem, ale jeszcze nie jestem na to gotowa.

Potarł jej nos.

- Obiecuję, że to potrwa krótko.

Tak, ich pobyt w Johannesburgu mógł potrwać krótko, ale pewnie będą inne miejsca i inne chwile, kiedy Ruel stanie się niespokojny i zechce odmiany. Kto wie? Może to ona się

zniecierpliwi i zechce odmiany? W następnych latach będą musieli się nauczyć odgadywać swoje potrzeby. To właśnie oznacza miłość, a przecież kochała Ruela MacClarena z całego serca.

- Zobaczymy.

- A teraz, skoro zaplanowaliśmy nasze następne posunięcia... - Jego dłoń delikatnie odsunęła kosmyk włosów z jej twarzy. - Czego tak naprawdę nie miał mi powiedzieć Li Sung? - szepnęła.

Jak zawsze Ruel był pamiętliwy. Powinna była wiedzieć, że nie da się odwrócić jego uwagi.

- Nic ważnego.

- Sekret? Sekrety mnie zawsze pociągały. - Pocałował ją lekko w usta. - Wiesz, że prędzej czy później się dowiem?

Pewnie odkryje prawdę, ale może wówczas jego cierpienie nie będzie już tak intensywne. A tymczasem Jane dopilnuje, żeby oboje mieli o czym myśleć, zamiast rozpamiętywać przeszłość. Zmieniła temat.

- Chcę wrócić na Cinnidar w przyszłym roku o tej samej porze.

Ruel zmarszczył brwi.

- Postaramy się.

- Nie, to ważne. Musimy tu być.

- Dlaczego to takie ważne? Przecież Li Sung i Dilam mogą kierować kopalnią i koleją.

Jane pokręciła głową.

- Jak będziemy w Johannesburgu, musimy podjąć wysiłki nad realizacją następnego planu.

- Jakiego planu?

- Takiego, któremu każdy władca królestwa powinien poświęcać dużo uwagi.

- O czym ty mówisz, do cholery?

- O dziecku. - Przytuliła się mocniej i szepnęła: - Chcę mieć dziecko, Ruelu. I chcę, żeby nasze dziecko urodziło się w przyszłym roku na Cinnidarze.

Dwa dni później Margaret wsiadła na statek „Golden Hare”, płynący do Szkocji.

- W przyszłym roku przyjedziemy do Glencaren z wizytą - powiedziała jej Jane. - Ale jeśli będziemy ci mogli w czymś pomóc, koniecznie o tym napisz.

- Nie jestem tak bezradna, żebym sobie nie umiała poradzić - odparła Margaret niecierpliwie. - Chociaż przyznaję, będzie mi brakowało waszego towarzystwa. - Szybko objęła Jane i zwróciła się do Ruela: - Traktuj ją dobrze, bo będziesz miał ze mną do czynienia.

- Na samą myśl o tym drzę ze strachu. - Ruel pocałował ją w policzek. - Dobrej podróży, Maggie.

- Marg... - Urwała. To była tak drobna szpileczka, że nie warto się nią przejmować. Ruel nigdy się nie zmieni, chociaż sprawował się o wiele lepiej niż kiedykolwiek się mogła spodziewać. - Oczywiście, że będę miała dobrą podróż.

- Nie może być inaczej. Żaden sztorm nie odważy się jej dotknąć.

Kartauk.

Margaret zeszywniała i odwróciła się do niego. Wspinał się po trapie. Od czasu tej nocy w obozowisku widywała go tylko przelotnie i wmawiała sobie, że nie chce, by przyszedł się z nią pożegnać. A teraz smutek walczył w niej o lepsze z radością.

Stanął przed nią.

- Nawet najwyższe bóstwa uginają się przed wolą Margaret - dokończył swoje zdanie.

- Pogańskie bluźnierstwo - powiedziała Margaret. - Dokładnie tego się po tobie spodziewałam.

Jane popatrzyła na nich po kolei, po czym szybko pocałowała Margaret po raz ostatni.

- Do widzenia, kochana. - Wzięła Ruela pod rękę i pociągnęła go za sobą. - Chodź, idziemy.

Ruel uśmiechnął się z rozbawieniem i kpiąco pochylił głowę.

- Na rozkaz. Żyję tylko po to, żeby cię uszczęśliwić.

Patrząc, jak schodzą po trapie, Margaret parsknęła.

- Nie sądzę.

- Nie zgadzam się - powiedział Kartauk. - W jego słowach jest dużo prawdy. Dziwię się, że tego nie widzisz. - Spojrzał na nią. - Ale w końcu twoja zdolność osądu jest chwilowo ograniczona.

Szybko uciekła od niego wzrokiem.

- To miłe z twojej strony, że przyszedłeś mnie pożegnać. Nie spodziewałam się tego. - Wyciągnęła do niego dłoń w rękawiczce. - Do widzenia, Kartauku.

Ujął jej dłoń.

- Spodziewałabyś się, gdybyś nie chowała głowy w piasek. - Zmarszczył brwi. - Nie podoba mi się ta rękawiczka. - Ściągnął czarny materiał, a Margaret wstrząsnął dotyk, kiedy zamknął jej rękę w swych wielkich dłoniach. - Tak lepiej. Teraz mogę kontynuować. Dam ci rok na żałobę i przyjadę. Dałbym ci więcej, ale pewnie byłabyś już wtedy zakonnicą albo żoną jakiegoś zasuszonego pastora, obarczającego cię tylko obowiązkami, a nie dającego żadnej radości.

Margaret wpatrywała się w niego z zaskoczeniem.

- Mówiłam ci przecież, że nic z tego nie będzie.

- Bo jesteś zakłopotana i przepełniona poczuciem winy. Zwykle taka nie jesteś. Z biegiem czasu dojdiesz do wniosku, że Ian chciał, żebyś była szczęśliwa. - Uśmiechnął się. - Ze mną.

Pokręciła głową.

- Zawsze bym pamiętała...

- Tak, będziesz - przerwał jej. - Ale postaram się, żeby te wspomnienia nie były gorzkie.

Wpatrywała się w niego oszołomiona. Usłyszała syrenę, obwieszczającą wyjście z portu, i powitała ten dźwięk z ulgą. Musi pozbyć się i Kartauka, i tych głupich nadziei, które w niej rozbudzał.

- Musisz iść.

Uniósł jej dłoń do ust.

- Rok, Margaret. - Puścił jej rękę i odwrócił się. - Oczekuj mnie.

Patrzyła, jak schodzi po trapie. Serce jej waliło, a uczucia ogarnął chaos.

Podbiegła do relingu.

- Nie, nie przyjeżdżaj! Nie będziesz mile witany!

- Oczywiście, że będę.

- A co z twoją pracą dla Ruela?

- Możemy tu wrócić.

- Moje miejsce jest w Glencaren.

- Przedyskutujemy to po ślubie.

- Nie weźmiemy ślubu.

Zszedł na nabrzeże.

- Oczywiście, że weźmiemy. Nie jesteś kobietą, która żyłaby w grzechu.

- Miałam na myśli...

- Oczywiście, jeśli naprawdę chcesz zostać w tym zimnym kraju, chyba mógłbym zrewidować moją decyzję o odmówieniu królowej Wiktorii korzystania z mojego geniuszu. - Zmarszczył czoło. - Ale nie zrobię jej popiersia. Te podwójne podbródki...

Trap podniesiono i statek zaczął odpływać. Kartauk stał na lekko rozstawionych, potężnych nogach, a bryza bawiła się jego lśnięcymi, brązowymi włosami.

- Nic ci nie da przyjazd - zawołała z rozpaczą. - Zostań tutaj, Kartauk.

Pokręcił głową.

- Nie mogę. Sama myśl o innym terminatorze napełnia mnie odrazą. A moja praca nie może uciec.

- Usłyszysz tylko odmowę.

- Z początku tak. Ale tylko z początku, Margaret. - Uśmiechnął się, a jego twarz przybrała tak kochający, ufny wyraz, że Margaret mu uwierzyła. - W końcu powiesz „Tak, Kartauk”.